



LISTY *do* PAŁACU

Jorge Díaz

Hiszpański Remarque – hit list bestsellerów!

LISTY *do* PAŁACU

Jorge Díaz

Przełożyła
Barbara Jaroszuk

DOM WYDAWNICZY REBIS



Spis treści

Dedykacja *** 1. 2. 3. 4. 5. 6. 7. 8. 9. 10. 11. 12. 13. Epilog Podziękowania

Pamięci Jaimego Alarcona

i Olgi Álvarez

Wszystko ma swój czas,
i jest wyznaczona godzina
na wszystkie sprawy pod niebem:
jest czas rodzenia i czas umierania,
czas sadzenia i czas wyrywania tego, co zasadzono,
czas zabijania i czas leczenia,
czas burzenia i czas budowania,
czas płaczu i czas śmiechu,
czas zawodzenia i czas płasów,
czas rzucania kamieni i czas ich zbierania,
czas pieszczot cielesnych i czas wstrzymywania się od nich,
czas szukania i czas tracenia,
czas zachowania i czas wyrzucania,
czas rozdzierania i czas zszywania,
czas milczenia i czas mówienia,
czas miłowania i czas nienawiści,
czas wojny i czas pokoju.

KSIĘGA KOHELETA 3, 1-8

(ZA BIBLIĄ TYSIĄCLECIA)

1.

Dzień ślubu może i jest najlepszym dniem naszego życia, tego jeszcze nie wiem. Z pewnością jednak poprzedzający go dzień nie jest najlepszy.

W pałacyku markizostwa Alerces od rana rozbrzmiewa stukot młotków. Ciesle montują podest, który nazajutrz zajmą muzycy z orkiestry hotelu Ritz, by umilać czas gościom zaproszonym na wesele Blanki, córki gospodarzy.

– Spójrz na niebo! Od ponad miesiąca nie padało, a od wczoraj leje bez przerwy.

– Zanim tu przyszłam, byłam u klarysek.

Zgodnie ze zwyczajem ktoś spoza rodziny panny młodej powinien zanieść do klasztoru przy Paseo de Recoletos dwa tuziny jaj i zostawić je przy furcie wraz z informacją o tym, kto i kiedy będzie brał ślub – co ma zapewnić nowożeńcom ładną pogodę. Tym razem zadanie to powierzono Elisie, najlepszej przyjaciółce Blanki. Tej samej, która teraz śmieje się z podenerwowania przyszłej oblubienicy.

– Nigdy nie wychodź za mąż, Eliso, przecież to oszaleć można!

– Wszystkim zajmuje się twoja matka... Ty musisz tylko ładnie jutro wyglądać.

– Właśnie przez matkę tak się denerwuję. O ile się założysz, że zaraz tu wpadnie? A ten hałas...? Obudził mnie już przed ósmą, naprawdę mam dosyć! Co mnie podkusiło, żeby zgodzić się na ten ślub?!

Elisa wygląda przez okno na ogród. Uwija się tam kilkunastu robotników. Niedługo skończą montować podest i Blanca będzie mogła odetchnąć, tyle że później przyjdzie pora na rozstawianie stołów. W kuchni już się zaczęło gotowanie, a pokojówki, wraz z dodatkowymi, wynajętymi trzy dni temu do pomocy zwykłej służbie, czyszczą srebra i woskują podłogę sali balowej, na wypadek gdyby pogoda jednak nie dopisała.

Doña Ana, jakby w obawie, że jej córka mogłaby przegrać zakład, rzeczywiście wpada do pokoju – bez pukania.

– Witaj, Eliso, zaniósłś jajka?

– Tak, przed chwilą. Dwa tuziny. A właściwie dwa razy po trzynaście sztuk, bo podobno to przynosi jeszcze więcej szczęścia.

– Te zakonnice wymyślają coraz to nowe sztuczki, żeby człowieka oskubać. W każdym razie dziękuję. Chociaż bardziej wierzę cukiernikowi, któremu zleciłam upieczenie tortu. Ten dobry człowiek twierdzi, że pogoda z pewnością się poprawi. Podobno czuje to w kościach.

– Poprawi się, mamó. Musimy ufać klaryskom. Albo kościom cukiernika.

Młotki wciąż stukoczą, a teraz dołącza do nich nowy hałas, bo oto ktoś zaczyna pokrzykiwać na kolejną grupę robotników, odpowiedzialnych za rozładowanie zaprzężonych w muły wozów z heblowanymi deskami na stoły. Elisa

nigdy nie widziała Blanki tak zdenerwowanej; z pewnością nie chodzi jej tylko o rejwach, lecz o coś jeszcze, o czym opowie przyjaciółce, gdy znów zostaną same.

– Mamo, ja zwariuję! Czy oni muszą tak hałasować?

– Cierpliwości, to niestety jeszcze potrwa. Aha, przyszedł telegram od don Alfonsa. Życzy ci wszystkiego najlepszego z okazji ślubu i przeprasza, że sam nie będzie na nim obecny.

– Nie wiedziałam, że go zapraszaliśmy.

– No jakże! Twój ojciec złożył mu specjalną wizytę. Gdyby don Alfonso był w Madrycie, zaszczyciłby nas swoją obecnością.

– To i lepiej, że już wyjechał na lato do La Granjy. Wolę nie myśleć, co by się tu działo, gdybyśmy w dodatku spodziewali się króla.

– Wielka szkoda, że się nie zjawi, przyjęlibyśmy go, jak należy. A, i jeszcze jedno: krawcowa wkrótce tu będzie, przyślę ją od razu do ciebie. Teraz sprawdzę, co tam w kuchni.

Blanca i Elisa przyjaźnią się od dzieciństwa: niemal rówieśnice, poznały się podczas zabaw w parku Retiro. Nigdy nie straciły bliskiego kontaktu, mimo że Blanca, córka dyplomaty, sporo czasu spędzała poza Hiszpanią. Tysiące razy wyobrażały sobie ten dzień, już jako małe dziewczynki. I nigdy by nie przypuszczały, że będzie tak nerwowo.

– Muszę ci coś powiedzieć, Eliso. Właściwie to nie wiem, czy chcę wychodzić za mąż.

– Co takiego?!

– No bo... jeśli wcale nie jestem zakochana?

– Absurd. Oczywiście, że jesteś zakochana. Przynajmniej jeszcze wczoraj byłaś, a to tak szybko nie mija. Zakochać się można błyskawicznie, do odkochania się potrzeba trochę czasu.

– No ale... jeśli wczoraj też nie byłam? Ani nigdy?

Może to normalne, może wszystkie narzeczone nabierają w przeddzień ślubu wątpliwości. A może chodzi o jeden z kaprysów Blanki, do których Elisa, chcąc nie chcąc, zdążyła już przywyknąć.

– Widziałas się dziś z Carlosem?

– Nie. Wczoraj też nie. Myślałam, że będzie miał większą ochotę mnie zobaczyć, ale najwyraźniej się myliłam... Może on też nie chce tego ślubu.

Carlos de la Era, książę Camino, to jeden z najprzystojniejszych mężczyzn, jakich w życiu widziały. Jest elegancki, wysoki, silny, dobrze wychowany, a podobno i niezwykle bogaty. Niemożliwe, żeby Blanca nie była w nim zakochana. Elisa, oczywiście, jest. Od zawsze, choć nigdy się Blance do tego nie przyznała. Śni o nim, zazdrości przyjaciółce, czasami wręcz jej nienawidzi. Tak bardzo chciałaby być na jej miejscu... Naturalnie Blanca zawsze nad nią górowała, czyniąc ją prawie niewidzialną. Piękna i wytworna, wyrafinowana i sympatyczna,

uśmiecha się uśmiechem promiennym jak słońce. Ileż to razy zdarzyło się Elisie marzyć, że jest na jej miejscu: zamiast u siebie, mieszka w pałacyku markizów Alerces; zamiast nieznoszącego sprzeciwu generała ma za ojca miłego, dystyngowanego don Jaimego; zamiast wspominać zmarłą matkę, którą pamięta jako wiecznie smutną kobietę w czerni, korzysta z rad bywałej w świecie doñi Any; zamiast martwić się swoją zbyt okrągłą figurą i zbyt małymi ciemnymi oczami, zachwyca wszystkich smukłą sylwetką i jasnymi, radosnymi oczami Blanki... No i, oczywiście, zamiast sobą jest wybranką mężczyzny takiego jak Carlos de la Era.

Akurat widzi przez okno don Jaimego. Jego ukochany ogród, najechny przez armię robotników, przez ostatnie kilka godzin zmienił się nie do poznania. Don Jaime rozgląda się więc dokoła z takim smutkiem, że Elisa ma ochotę śmiać się z niego i płakać nad nim zarazem. Ojciec przyjaciółki nie odzywa się jednak ani słowem, tylko po oszacowaniu strat wraca do domu; ostatecznie to ślub jego jedynaczki, jego oczka w głowie. Ogród można przywrócić potem do poprzedniego stanu, a taki dzień jak jutrzejszy już się nie powtórzy.

– Blanco, nie możesz wycofać się dzień przed ślubem. Twój ojciec by tego nie przeżył.

– Tak, dlatego mówię o tym tobie, a nie jemu.

– I co zrobisz?

– Wyjdę za mąż, ale będę bardzo nieszczęśliwa. Muszę wyjść za mąż, w końcu rozesłaliśmy trzysta zaproszeń, podest dla orkiestry już stoi, król przysłał telegram, zastępy służby robią swoje, a matka co chwila wparowuje mi do pokoju. Nie mam wyjścia.

Gdybyż to była prawda, że Blanca nie kocha Carlosa! Może wtedy on sam by to wszystko odwołał, a potem, szukając pocieszenia, skończyłby przed ołtarzem z nią, Elisą. Długo ćwiczyła uśmiech na jutrzejszą okazję, aby wszyscy myśleli, że cieszy się szczęściem przyjaciółki, podczas gdy w głębi duszy będzie płakała gorzkimi łzami...

Drzwi ponownie się otwierają: to znowu doña Ana, z gazetą w dłoni. Z „ABC”, jak przystało na damę z towarzystwa, nawet jeśli don Jaime jest akcjonariuszem „El Noticiero de Madrid”.

– Przyniosłam ci to, bo piszą o twoim ślubie. A krawcowa dała znać, że spóźni się pół godziny.

– Dziękuję, mamó.

– Wykorzystaj ten czas, żeby napisać liścik z podziękowaniami dla markizy Oliveri, ciotki ojca. Przysłała ci w prezencie bardzo ładny rokokowy wachlarz. A, i przysłała do ciebie jakaś kobieta. Nazywa się Pilar Marín.

– Czego chce?

– Nie wiem. Mówi, że musi ci coś powiedzieć. Ja z nią nie rozmawiałam, uprzedził mnie sekretarz ojca. Słuchaj, Eliso, może przeczytasz mojej córce, co tam

piszą w tej gazecie, bo Blanca jest dzisiaj jakby nieprzytomna. Ja tymczasem zajrzę do ogrodu. Mam wrażenie, że mój mąż nie wytrzyma i kogoś zabije, jeśli zdepta mu jeszcze jeden klomb.

W „ABC” opublikowali na razie ledwo wzmiankę. Po ślubie napiszą więcej, ba, w specjalnym dodatku „Blanco y Negro” zamieszczą, jak to się ostatnio przyjęło, fotografię państwa młodych.

– „Jutro w kaplicy Przytułku dla Sierot pw. Najświętszego Serca Pana Jezusa związek małżeński zawrą don Carlos de la Era, książę Camino, i panna Blanca Alerces, córka markizostwa Alerces”...

– Dlaczego jego imię wymienili pierwsze?

– Nie wiem, pana młodego chyba zawsze wspominają najpierw. A może chodzi o to, że książę stoi wyżej niż markiz? Czy to nie wszystko jedno? Dalej piszą tak: „Książę ofiarował narzeczonej długi *sautoir* z przepięknych pereł oraz wspaniałą koronkową chustę. Prezenty przekazano w niezwykle wartościowym starym kufrze. Panna młoda pójdzie do ołtarza w białej sukni ozdobionej brukselskimi koronkami. Panna Alerces podarowała narzeczonemu komplet perłowych guzików i pasującą do nich szpilkę do krawata, jak również platynowy zegarek. Życzymy państwu młodym wszelkiej pomyślności”.

– Wszelkiej pomyślności? Nie, zdecydowanie nie chcę wychodzić za mąż. Czy ten hałas nigdy nie ustanie?!

– Przychodzą do nas i mówią, że nie są z wyższych sfer, nie są hrabiami ani książętami i tak jak my żyją w ucisku... Nie wierzcie im. Stanowią dużo większe zagrożenie niż arystokracja. To mieszczenie. Z tamtymi wiedzieliśmy przynajmniej, czego się trzymać, ci chcą tylko wysać z nas krew...

Manuel Campos słyszał już wiele podobnych przemów wygłaszanych z włoskim akcentem przez ukrywającego się w Hiszpanii towarzysza anarchistę, ściganego przez policję w jego ojczystych Włoszech i w nie wiadomo ilu innych krajach. Powtarzane do znudzenia podstawowe hasła mają trafić do spracowanych robotników, którzy mną czapki w dłoniach i z trudem śledzą myśl mówcy. Giovanni Rossi, którego słuchają z takim samym oddaniem, z jakim ich przodkowie słuchali swoich proboszczów, bardzo się od nich różni, choć podaje się za jednego z nich. Tylko on jeden spośród zebranych ma na sobie trzyczęściowy garnitur, czyściutkie czarne buty i doskonale zawiązany krawat. Widać, że wygłaszał tę przemowę dziesiątki razy – wie, kiedy publiczność nagrodi go entuzjastycznym aplauzem. Próbuje mówić przekonująco, ale w jego słowach jest coś mechanicznego, co jedynie Manuel potrafi wychwycić. Jedynie on chciałby sięgnąć w głąb, pod warstwę frazesów. Oczywiście, należy rozpowszechnić anarchistyczne idee wśród mało wyrobionych intelektualnie robotników, lecz są chyba jakieś lepsze na to sposoby.

- Przedstawienia teatralne, krótkie i zabawne, oddziaływałyby skuteczniej.
- Tak... Potrzebne nam tu anarchistyczne wcielenie Lopego de Vegi.
- Nie pij sobie. Kilka pomysłów scenek może doskonale naświetlić problem niesprawiedliwości. Czemu służą przemowy, skoro ludzie ich nie słuchają, a nawet jak słuchają, to w połowie nie rozumieją?
- Dziś wieczorem towarzysza Rossiego słuchało ponad czterdzieści osób.
- Czterdzieści osób? Czterdzieści osób z góry przekonanych do jego racji. To kropla w morzu, nic nam z tego nie przyjdzie. Musimy dotrzeć do tysięcy, milionów!

Trzeba uczyć się od wroga – Kościoła katolickiego, z jego przypowieściami, hymnami, wyznaniem wiary, obietnicami bez pokrycia... Papież, biskupi i księża zapewniają sobie zastępy niewolników, obiecując im życie po śmierci, domniemane zbawienie, które, jeśliby nawet wierzyć w absurdalną wizję zaświatów, i tak nie zależałoby od człowieka.

– My, anarchiści, musimy uświadomić ludziom, że jedyne dane im życie to życie tutaj, na ziemi, życie doczesne, a nie wieczne. Że to jedyny dany nam raj, o który jednak trzeba walczyć!

– Prawdziwy marzyciel z ciebie.

– Tylko pomyśl: przedstawienia wystawiane w sobotnie wieczory w robotniczych dzielnicach Madrytu, Barcelony, Bilbao, Walencji... Darmowa rozrywka dla całych rodzin i zarazem jasny przekaz na temat anarchizmu, roli związków zawodowych i nadużyć Kościoła.

– To już lepiej zatrudnić tych potencjalnych aktorów do produkcji bomb i walczyć z burżujami jedyną skuteczną wobec nich bronią.

Manuel nigdy nie przekona swego przyjaciela Luisa Segury, podobnie jak ten nigdy nie przekona jego. Obu im chodzi o to samo, tyle że zdecydowanie inaczej wyobrażają sobie drogę do osiągnięcia celu: Manuel stawia na edukację, Luis – na walkę zbrojną; Manuel – na książki, Luis – na bomby.

– Przemocą nic nie wskóramy. Poza tym, że ściągniemy na siebie uwagę policji.

– Któregoś dnia dołączą do nas również policjanci. Gdy się zorientują, że są w takiej samej sytuacji jak my, przejdą na naszą stronę i razem z nami ruszą na wspólnego wroga.

– Nie pij tyle, co?

Śmieją się obaj. Wypili ledwie karafkę wina na spółkę. Po prostu nigdy się nie zgodzą, nawet w kwestiach, w których zasadniczo się zgadzają.

– Idziemy coś łyknąć na Paseo del Prado?

– Ale tak na szybko, bo jutro pracuję. Zgłosiłem się na kelnera, markiz Alerces wydaje za mąż córkę. Widziałem ją wczoraj w przelocie, istne чудо.

– Tyle gadania o rewolucji, a potem podajesz szampana na przyjęciu

u markiza.

– Z czegoś trzeba żyć, stary. Chociaż mógłbym wziąć ze sobą bombę. Kto wie, może i król tam będzie, to go przy okazji załatwię? Nie załatwiłbyś króla, gdybyś miał okazję?

– Czy ja wiem... Pewnie tak. Tyle że ja nie miewam takich okazji.

* * *

– I, przede wszystkim, nie dajcie się wziąć żywcem.

Gawriło Princip bez przerwy kaszle – ma gruźlicę i wie, że długo nie pożyje. Kilka miesięcy, w najlepszym wypadku ze dwa lata. Choć niewykluczone, że umrze w ciągu najbliższej doby. Nazajutrz, dwudziestego ósmego czerwca tysiąc dziewięćset czternastego roku, weźmie udział w historycznym wydarzeniu, wreszcie walcząc o to, o co zawsze trudno mu było walczyć ze względu na słabość ciała: o Wielką Serbię.

Urodził się w Bośni, w bardzo ubogiej serbskiej rodzinie; jego ojciec był wiejskim listonoszem, sześcioro spośród ośmiorga rodzeństwa zmarło w dzieciństwie. Gawriło od małego marzył o losie narodowego bohatera, jednakże warunki fizyczne nie bardzo sprzyjały jego marzeniom. W tysiąc dziewięćset dwunastym roku, w czasie pierwszej wojny bałkańskiej, próbował zaciągnąć się do serbskiego wojska – bez skutku. Nikt nie chciał go też angażować do organizowania zamachów, zupełnie jakby rzucanie bomb było zadaniem wyłącznie dla herosów. Tym razem wszakże stanął przed szansą: jeśli ją wykorzysta, wszystkie wcześniejsze porażki przestaną się liczyć.

Teraz gładzi ampulkę z cyjankiem, którą przed chwilą dostał. Zgodnie z planem ma połknąć jej zawartość tuż po tym, jak zabije arcyksięcia Franciszka Ferdynanda, bratanka cesarza Franciszka Józefa i następcę tronu Austro-Węgier. Umrze, nie zdradzając żadnego z towarzyszy, i przejdzie do historii jako bohater.

Sześciu spiskowców rozlosowało między sobą pozycje wzdłuż trasy, którą arcyksiężę przejedzie przez Sarajewo kabrioletem marki Gräf & Stift. Przypadek zdecyduje, kto wykona zadanie. Wszyscy zamachowcy, bardzo zresztą młodzi, są Serbami urodzonymi w Bośni i należą do organizacji Czarna Ręka. Wszyscy chcą tego samego: śmierci w chwale, nie ma większego zaszczytu.

Zgromadzili się w piwnicy zajazdu prowadzonego przez pewnego serbskiego irredentystę. Są tu ludzie, których Gawriło podziwia i których nigdy nie spodziewał się spotkać, jak Ilić, Tankosić czy Mehmedbašić. Ilić dowodzi.

– Jakieś wątpliwości?

Kaszel Gawriła nie pozwala nikomu na odpowiedź. Zresztą, co to za pytanie! Nie pora na wątpliwości. Czarna Ręka nie jest klubem dyskusyjnym, każdy z obecnych ma rolę do odegrania, a gdyby tego nie zrobił, zostanie stracony przez własnych towarzyszy.

Trzej z zamachowców – Gawriło, Grabež i Čabrinović – przed miesiącem

wyruszyli z Belgradu do Sarajewa, płynąc Sawą. Zostali przeszkoleni, uzbrojeni i przetrzuceni do Austro-Węgier tą samą drogą, którą zwykle transportuje się broń dla Czarnej Ręki i Młodej Bośni. Cały czas korzystali z pomocy rozgałęzionej siatki serbskich nacjonalistów. Kogo mają zabić – dowiedzieli się dopiero przed kilkoma minutami i bardzo się cieszą: sprawa okazała się znacznie poważniejsza, niż się spodziewali.

Princip podziela radość towarzyszy; nie przeszkadza mu już nawet, że z powodu tego ciągłego kaszlu pozostali patrzą na niego z niechęcią. Gotowi są na śmierć, ale woleliby nie zarazić się gruźlicą.

– Wierzę, że staniecie na wysokości zadania i wykażecie się bohaterstwem.

Gawriło nie ma odwagi się odezwać, choć chętnie by zapewnił, że tak. On, słaby Gawriło, chory Gawriło, jeszcze udowodni, że kocha ojczyznę nie mniej niż inni. Dzięki swoim czynom zamieni się w herosa.

Opuszcza zebranie z ulgą, szczególnie ze względu na Čabrinowicia. Od kiedy opuścili Belgrad, często się kłócili. Nedeljko nieustannie mu groził i się z niego wyśmiewał: że taki niski, taki cherlawy, że mówi piskliwym głosem... Jutro się przekonają, czy Čabrinowić ma w sobie prawdziwą odwagę, czy tylko dużo gada; czy w razie czego zdoła zabić arcyksięcia, czy, jak wielu innych, potrafi jedynie się przechwalać nad szklanką wódki.

Wieczór jak na tę porę roku jest ciemny i zimny, w sam raz, żeby zamknąć się w pokoju w pensjonacie i odpocząć. Jednakże Gawriło wolałby spędzić tę noc – być może ostatnią w swoim życiu – z kobietą, tyle że przez ten jego kaszel żadna prostytutka z nim nie pójdzie. Ale za kilka dni, jak go rozpoznają w gazetach, pożałują, że miały okazję przespać się z bohaterem, może nawet zająć z nim w ciążę, i nie skorzystały z niej.

Idzie przez most Łaciński nad rzeką Miljacka: tu ma jutro czekać na arcyksięcia i tu, jeśli wszystko się uda, umrze.

Chciałby wstąpić do jakiejś knajpy na kieliszek śliwowicy, lecz dobrze wie, że na jednym z pewnością by się nie skończyło. Nie może – nie z pistoletem u pasa i ampułką cyjanku w kieszeni, to zbyt niebezpieczne. Poza tym nie wolno mu ryzykować kaca w dniu, w którym ma zabić następcę austro-węgierskiego tronu. To jego przepustka do historii.

– Jedenaście tysięcy pięćset peset...

– Niesłychane!

– Cieszymy się nim, bo to ostatni taki egzemplarz, dostałem go w prezencie...

Samochód marki Hispano-Suiza, model nazwany na cześć mówiącego te słowa Alfonsa XIII, osiąga prędkość stu dwudziestu kilometrów na godzinę, ma cztery cylindry w rzędzie i moc sześćdziesięciu koni mechanicznych.

– Cztery biegi plus wsteczny, prawdziwy cud techniki.

– Cztery? Nie trzy?

– W tym modelu jeden dodano. Niektóre egzemplarze mają poza tym cztery siedzenia, ale ja wolę takie na dwie osoby, są bardziej sportowe. Chcesz się przejechać?

– Zostawię to Waszej Królewskiej Mości.

Álvaro Giner, choć zwraca się do króla oficjalnie, jest z nim bardzo blisko. Nikomu innemu Alfons XIII nie zaproponowałby przejażdżki swoim nowym autem.

– To jedźmy teraz, potem czeka mnie obiad z francuskim ambasadorem.

Droga na Torrecaballeros, utwardzona i mało uczęszczana, szczególnie przypadła królowi do gustu. Wyprawa w tę stronę zawsze wygląda tak samo: jadą aż do skrzyżowania na Palazuelos de Eresma, machając nielicznym spotykanym na trasie mieszkańcom, i przystają w zajeździe obok kapliczki na szklanek wina oraz kilka plasterków kielbasy. Usługuje im tam, przyzwyczajona do ich wizyt, córka oberżysty, dziewczyna skądinąd mało urodziwa.

– To i lepiej, Álvaro, to i lepiej. Należy unikać pokus. Pamiętaj, że jestem mężem i ojcem rodziny, która zresztą wkrótce się powiększy.

– Pamiętam, Wasza Królewska Mość. Ale co szkodzi czasem ucieszyć oko?

– Dziewczyna jest miła i sumienna. Poza tym jakby jej nie było. Wolałbym chyba zostać tu na kolejną porcję kielbasy z chlebem niż brać udział w tym obiedzie na cześć ambasadora.

– I pić to tanie wino? Cóż, dla mnie nie ma jak pałacowa kuchnia i pałacowa piwniczka.

– Sybaryta z ciebie, Álvaro. Czasem się zastanawiam, jak wytrzymałeś na wojnie w Maroku...

– Do wszystkiego można się przyzwyczaić.

Álvaro Giner, choć bon vivant, był lekarzem wojskowym, potrafi więc zachowywać dyscyplinę i nie uchyla się od obowiązków. Udowodnił to, służąc w wojsku, i to w sytuacji naprawdę niełatwej: pięć lat wcześniej, po klęsce w Barranco del Lobo, operował rannych przez trzydzieści sześć godzin z rzędu. Po tamtych wydarzeniach poprosił o przeniesienie w stan spoczynku i już nigdy nie wrócił do medycyny: teraz zajmuje się zarządzaniem rodową fortuną – czy może raczej korzystaniem z niej. Alfons XIII żartuje sobie z przyjaciela, ale wie, że jemu to nie przeszkadza.

– Wybierasz się jutro na ślub córki markiza Alerces?

– Wymówiłem się, zostaję tutaj, z Waszą Królewską Mością.

– Biedna dziewczyna. Ten jej narzeczony, Carlos de la Era, to niezłe ziółko. Aż miałem ochotę ostrzec markiza, kiedy mnie zapraszał. Ciekawy człowiek, ten don Jaime, bardzo mi się spodobał.

– Podobno rozmawia z kwiatami... Może jego przyszły zięć po ślubie się

ustatkuje. I też zacznie radzić się mieczyków.

– Wątpię. I o mnie mówiono, że po ślubie może się ustatkuję... Wracamy do La Granjy?

– Kiedy Wasza Królewska Mość rozkaże.

Álvarowi Ginerowi nikt nie daje w prezencie takich aut jak to, które właśnie wypróbują. Nie szkodzi, gdyby chciał, mógłby je sobie zafundować za własne pieniądze. No i nie musi, jak don Alfonso, uczestniczyć w niekończących się spotkaniach z ambasadorami, premierem, ministrami i wojskowymi. Podziwia i bardzo lubi króla, uważa go za swego przyjaciela, ale nie chciałby być na jego miejscu. Owszem, weźmie udział w obiedzie wydawanym dziś w galowej jadalni Pałacu Królewskiego w La Granja de San Ildefonso, lecz wcześniej, gdy król będzie konferował z ambasadorem, on zdąży jeszcze odwiedzić swoją kochankę, Beatriz Vargas, w domu, który wynajął dla niej nieopodal pałacu.

Za kilka dni wyruszą do San Sebastián. Rodzina królewska jak zwykle spędzi lato w Miramarze, tamtejszej rezydencji. Álvaro pojedzie za królem, by dotrzymać mu towarzystwa w rozrywkach: samochodowych przejażdżkach po okolicy, morskich kąpielach, potajemnych wyprawach do Biarritz... Wszystko to bez eskorty, tylko we dwóch. Sam wielokrotnie przestrzegał przyjaciela, że to niebezpieczne, pomny, jak w dniu ślubu królewskiej pary pod nogi przejeżdżającego ulicą Mayor orszaku rzucono bombę, która omal nie zabiła króla i jego małżonki, doñi Wiktorii Eugenie Battenberg. Don Alfonso jednak śmieje się z jego obaw.

– Umrę w dniu, w którym mam umrzeć, ani wcześniej, ani później, słowo.

Do Miramaru pojedzie też Beatriz. Zamieszka w należącym do Álvaro mieszkaniu przy plaży La Concha i tam będzie przyjmowała jego wizyty, tak jak dziś w La Gransze.

– Nudzę się tutaj.

– W przyszłym tygodniu przenosimy się do San Sebastián.

– Już się nie mogę doczekać, tam przynajmniej mogę spacerować po plaży, no i mam pod ręką sklepy, nie tak jak tu.

– Odwiedzam cię, jak tylko mogę.

– Nie powinnam była rzucać śpiewu. Gdybym tego nie zrobiła, mieszkałabym teraz w Paryżu, Wiedniu albo Mediolanie, zamiast siedzieć na wsi, gdzie nic nie ma.

Beatriz Vargas nigdy nie była zbyt znana, choć teraz czasem wygląda to tak, jakby przerwał jej wspaniałą karierę. A przecież śpiewała co najwyżej chórki w zarzuelach. Przysięgłby, że jej głos w ogóle się nie wyróżniał spośród innych, kiedy on, Álvaro, zobaczył ją po raz pierwszy na premierze *Jaskółek*, w lutym, w teatrze Circo Price. To nie jej głos zwrócił wtedy jego uwagę, lecz jej figura, a przede wszystkim jasne włosy i niebieskie oczy, jak u kobiet z północnej Europy.

I nie ze względu na jej głos czekał na nią po spektaklu z bukietem kwiatów, by zaproponować kieliszek szampana na prywatnym przyjęciu, które odbywało się akurat niedaleko, przy ulicy Barquillo.

Jutrzejszej panny młodej, Blanki Alerces, nie zna. Słyszał, że jest bardzo ładna, ale wątpi, by górowała urodą nad Beatriz. Jego chórzystka bardzo mu się podoba, nawet jeśli chwilowo się dąsa, przez co on musi iść na obiad u króla, nie zaspokoiwszy potrzeb, które go do niej przywiodły.

Czasem myśli, że należało posłuchać rodziny i znaleźć sobie żonę. Jednakże takie myśli szybko mu przechodzą.

– Podobno chciała pani ze mną mówić.

Pilar Marín, kobieta, która zażyczyła sobie rozmowy z Blancą Alerces w dniu tak mało ku temu sposobnym jak wigilia jej ślubu, jest wyjątkowo piękna – chociaż wyraźnie smutna – i całkiem dobrze ubrana: w prostą ciemną suknię. Pewnie długo się zastanawiała, co włożyć na taką wizytę.

– Przepraszam, że przeszkadzam w takim momencie.

– Rzeczywiście, jestem bardzo zajęta i nie mogę poświęcić pani dużo czasu.

Proszę powiedzieć, w czym mogę pomóc.

– Chciałabym pani coś powiedzieć o mężczyźnie, za którego pani wychodzi.

O don Carlosie.

– Zna go pani?

Pilar waha się, ale krótko. Wie, po co przyszła, dlaczego odważyła się wejść do tego domu i zawracać głowę Blance Alerces.

– Znam. To ojciec mojej córki.

– Ojciec pani córki?

– Elena ma roczek.

– Przepraszam, ale... kim pani jest?

– Rozumiem, że mi pani nie wierzy, że dziwią panią moje odwiedziny.

Carlosa poznałam pięć lat temu, obiecał, że się ze mną ożeni. Przez cały ten czas mieszkałam w należącym do niego mieszkaniu przy ulicy Magdaleny. Aż przed miesiącem usłyszałam, że chce się żenić z panią. Nie wierzyłam własnym uszom... Zaczęłam protestować, więc wyrzucił mnie z domu razem z córką. Teraz nie mam się gdzie podziąć.

Blanca nie jest naiwnym dzieckiem, wie, że mężczyźni przed ślubem mają wiele kobiet, właśnie tego należy się po nich spodziewać. Dziewictwo muszą zachowywać jedynie dziewczęta, a i to nie wszystkie, tylko te z wyższych sfer. Takie jak ona, zresztą właściwie pozbawiona pokus, bo wiecznie pilnowana przez matkę – jeśli nie liczyć ostatnich tygodni, albowiem po ogłoszeniu zaręczyn kilka razy nawet została z Carlosem sama, pozwalając sobie na to i owo, jednakże bez ryzyka utraty tak cenionej przez wszystkich niewinności.

– To niemożliwe.
– Jestem w rozpacz, inaczej w ogóle bym tu nie przyszła, zapewniam panią.
– Ale czego pani ode mnie oczekuje?
– Nie mam się gdzie podziać... Zdaję sobie sprawę, że Carlos do mnie nie wróci, zwłaszcza po mojej tu wizycie. Wczoraj chciałam z nim porozmawiać, prosić, żeby pozwolił mi dalej mieszkać w tamtym mieszkaniu... Żeby zrobił to dla swojej córki... Ale wtedy zobaczyłam, jak wychodzi stamtąd w towarzystwie innej kobiety.

– Innej...?

– Tak, wyjątkowo pięknej, dobrze ubranej, powiedziałabym, że podobnej do mnie sprzed pięciu lat. Proszę, niech pani na niego wpłynie, żeby pozwolił mi wrócić...

– Prosi mnie pani, żebym wstawiła się za panią do swojego narzeczonego? Czy pani zwariowała?

– Mnie chodzi tylko o córkę. To małe dziecko, za nic nie ponosi winy...

– Proszę natychmiast stąd wyjść albo każę panią wyrzucić!

Wszystko jej jedno, że tamta płacze, że naprawdę cierpi i się boi. Najchętniej zawołałaby robotników z ogrodu, żeby wykopali ją na ulicę, jak na to zasługuje. Jest oburzona, nieważne, czy cała ta opowieść ma coś wspólnego z rzeczywistością czy nie. Niech tylko ta kobieta zejdzie jej z oczu, niech zniknie i więcej się nie pokazuje! Nie miała prawa tak postąpić; nie powinna była się do niej wpraszać w przeddzień jej ślubu – i to z takimi rewelacjami!

Pilar Marín opanowuje się i rusza do drzwi.

– Proszę mi wybaczyć to najście. Jestem matką, a matka robi dla dziecka wszystko. Życzę pani szczęścia. I żeby jutro ceremonia się udała.

Blanca, biegnąc do swojego pokoju, mija na schodach matkę. Nie ma ochoty z nikim rozmawiać, musi podjąć decyzję, której się boi; która już z góry zdaje się przysparzać jej wręcz fizycznego bólu.

– Poszła sobie ta kobieta?

– Tak.

– Czego chciała?

– Nie ma o czym mówić. Koleżanka ze szkoły przesyła mi życzenia. Nigdy nudziary nie lubiłam.

– Dziecko, jesteś strasznie rozdrażniona, musisz się uspokoić.

– Ten nie jest na sprzedaż, przykro mi.

Jean-Marie Huguet, choć potrzebuje pieniędzy, nie zamierza się pozbywać swojego ulubionego obrazu. Płótno przedstawia Carmen, jego przyszłą żonę siedzącą nago, tyłem do malarza, i spoglądającą w lustro. Ten obraz coś w sobie ma – może nie jest jego najlepszym dziełem, ale z jakiegoś powodu przyciąga

spojrzenia. Goście odwiedzający pracownię natychmiast się nim interesują. Markiz Albero to dobry klient i szczególnie trudno mu odmówić. Niedawno kupił inne płótno z Carmen w roli głównej. Kazał je wysłać do Madrytu jako prezent ślubny dla córki jakiegoś tamtejszego markiza. Nie ulega wątpliwości, że czar Carmen działa na wszystkich bez wyjątku.

Jean-Marie dobrze pamięta dzień, w którym ujrzał ją po raz pierwszy. Było to z górą rok temu, mieszkał w Trianie, dzielnicy Sewilli, od niedawna. Nie mówił jeszcze po hiszpańsku tak dobrze jak teraz, ledwie coś tam dukał. Porzucił Paryż, swoje miasto, marzenie wszystkich malarzy, aby zamieszkać na południu Hiszpanii. Sam nie wiedział, czego tam szuka, póki nie spotkał Carmen.

Akurat wyszedł ze swego studia przy ulicy Esperanza de Triana: kontemplował białe południowe światło i czekał na natchnienie, żeby potem w którymś ze swoich ulubionych zaułków malować ukwiecone balkony, jakiś placyk z fontanną albo zwykłą uliczkę pachnącą kwiatami pomarańczy, kiedy nagle ta dziewczyna ukazała się przed nim jak zjawa. Widział ją tylko przez chwilę: zgodnie ze zwyczajem szła w towarzystwie matki. Jej długie czarne włosy, jej chód zadziały na niego hipnotycznie. Zamarł, niezdolny się ruszyć. Zanim w końcu otrząsnął się z wrażenia, Carmen znikła. Pożałował, że nie sprawdził, gdzie mieszka, kim jest; że nie próbował jej zagadnąć. Przez kolejne tygodnie włóczył się po Trianie razem z przyjacielem Pakiem, też malarzem, bez wytchnienia szukając nieznajomej. Aż znów ją zobaczył.

– To o niej tak ciągle gadasz? Lepiej uważaj, zabojadzie. A w ogóle najlepiej o niej zapomnij. To Cyganka, pewnie dawno ją komuś obiecali i lada dzień wydadzą za męża. Nie jest już dzieckiem.

Mimo to Paco bardzo mu pomógł: wywiedział się o jej imię i to, gdzie można ją spotkać. Któregoś wieczoru wpadł do pracowni i wyciągnął zabojadę Juana, jak powszechnie nazywano Francuza, na miasto. Udali się na jakieś uroczysko andaluzyjskie patio, na którym Cyganie grali flamenco. Dwie dziewczyny tańczyły – jedną z nich była Carmen. Śpiewał Antonio Carmona, jej brat, ten sam, który kilka dni temu złożył mu wizytę i od którego zależy, co się dzisiaj stanie.

Dwa tygodnie po tamtym koncercie, w trakcie którego Francuz już całkiem się zakochał, Carmen nieśmiało zapukała do drzwi jego pracowni. Był koniec wiosny, upał się wzmagił i Jean-Marie malował nagi od pasa w górę, pobrudzony farbą. Carmen ubrała się cała na białe i nie ulegało wątpliwości, że jest najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widział i jaką jeszcze w życiu zobaczy.

– Chciałbym cię namalować.

Nie odpowiedziała od razu. Przez chwilę kręciła się między niedokończonymi płótnami, przyglądała im się ciekawie, a potem umoczyła palec w farbie, którą Jean-Marie właśnie mieszał – kombinacji błękitów, bieli, czerwieni i czerni, za pomocą których zamierzał oddać odcień nieba istniejący wyłącznie

w jego wyobraźni – i tym umoczoną w farbie palcem nakreśliła mu na piersi krzyż. Jeśli chodziło o jakieś miłosne zakłęcie, nie musiała zadawać sobie trudu, gdyż Jean-Marie i tak kochał ją od momentu, gdy ich ścieżki przecięły się po raz pierwszy.

Później stanęła przed lustrem, a on od razu zrozumiał, jak chciałby ją namalować.

– Jak chciałbyś mnie namalować?

– To zależy od ciebie.

– Kto będzie mógł zobaczyć ten obraz?

– Ty zdecydujesz.

Zawróciła ku szkicowi, który oglądała przed chwilą; to był kobiecy akt.

– O, tak. Chcę, żebyś namalował mnie nago.

Nigdy wcześniej nie pracował z takim entuzjazmem. Niemniej trwało to kilka miesięcy. Teraz wie, że markiz Albero zaoferuje mu za to płótno dużą sumę, złoży propozycję nie do odrzucenia – którą jednak Jean-Marie odrzuci, choć pieniędzy bardzo potrzebuje.

– Dwa tysiące peset.

– Nie, przykro mi. Już mówiłem, że ten nie jest na sprzedaż.

Jean-Marie uważa Carmen za swoją żonę, a ona jego – za męża. Tego wieczoru staną się małżeństwem również w oczach innych.

– Dziś dzień świętego...

– ...Cyryla.

Aż trudno uwierzyć, że aby dostać się do podobnego lokalu, trzeba wcześniej sprawdzać takie rzeczy. Choć właściwie to jeden z paradoksów typowych dla tego zwariowanego kraju, który tak się podoba Frankowi Heimerowi, zatrudnionemu w ambasadzie Niemiec w Madrycie. Przebywając na placówce we Francji, Frank myślał, że żadne miasto nigdy nie dorówna w jego oczach przepięknemu Paryżowi, teraz jednak powoli przyzwyczajają się do Hiszpanii, a jej dziwactwa bardzo go bawią – tak bardzo, że wręcz nie chce mu się wracać do ojczyzny. Nic nie pozwala przypuszczać, że za skromną bramą przy ulicy Flor, wyposażoną w okienko, przez które ktoś zawsze pyta o hasło, i dalej, za grubą czarną kotarą, mieści się interesujący Franka kabaret: nie ma nazwy, lecz jego klienci wiedzą, gdzie się znajduje, jak do niego wejść i czego się w środku spodziewać.

Frank rozgląda się za Gonzalem Fuentesem, swoim hiszpańskim kochankiem. Nigdzie go nie widzi. Dookoła pełno jest mężczyzn – i wyłącznie mężczyzn, choć niektórzy mają na sobie damskie stroje. Każdy może tu robić, co mu się żywnie podoba, to jedyne miejsce w Madrycie, gdzie publicznie uchodzą takie rzeczy.

Wszędzie czerwone aksamity, purpurowe zasłony, czarne, czerwone i złote

dywany, wielkie wygodne fotele, kelnerzy o wybrylantowanych włosach, w strojach w żółto-czarne paski, z czarnymi muchami, otwarcie całujący się goście... Frank dostrzega jednego z sekretarzy ambasady Wielkiej Brytanii, poznanego przed kilkoma dniami na jakimś przyjęciu. Tak coś czuł, że wkrótce go tu spotka. Anglik też go rozpoznaje, ale nie podchodzi, by się przywitać – jest zbyt zajęty śniadym chłopakiem, który mu towarzyszy. Obok sceny, gdzie zaraz rozpocznie się spektakl, stary pianista gra mazura, do którego z wielkim zapalem, choć bez większego powodzenia, próbuje tańczyć dwóch mężczyzn.

Stwierdziwszy, że Gonzala jeszcze nie ma, Frank siada przy stoliku nieco z boku i zamawia u skwapliwego kelnera szampana Moët & Chandon. Nie przepada za nim, ale jego młody kochanek i owszem, z pewnością więc się ucieszy.

Konieczność opuszczenia Paryża była dla Franka prawdziwym nieszczęściem, zwłaszcza kiedy się okazało, że przenoszą go do Madrytu. Wyobrażał sobie straszliwą dziurę, zbigociałą i nietolerancyjną. Zresztą całkiem słusznie: Madryt właśnie taki jest, nie wspominając już o tym, że jest też okropnie brudny i śmierdzący. Niemniej od kilku miesięcy Frank czuje się tu szczęśliwy jak nigdy wcześniej, w dużej mierze dzięki Gonzalowi i temu pozbawionemu nazwy lokalowi przy ulicy Flor. I już nie chciałby stąd wyjeżdżać, no chyba że z powrotem do Paryża. Berlin opuścił tak dawno, że chyba by się tam nie odnalazł.

Spektakl – zdaniem Franka raczej przygnębiający – jest zawsze taki sam: grupa wymalowanych facetów naśladuje znane tancerki i kuplecistki, zwłaszcza Bellę Otero. Gonzalo zjawia się tuż przed rozpoczęciem przedstawienia.

– Cześć, kochanie.

Zachowują się dużo dyskretniej niż większość mężczyzn dokoła i całują się tylko przelotnie.

– Jak miło: moët & chandon! Przepraszam za spóźnienie, musiałem pomóc siostrze wybrać rękawiczki na jutrzejszy ślub jej przyjaciółki Blanki.

– A tak, czytałem wzmiankę w „ABC”. Markizostwo Alerces to ci z tego ładnego pałacyku na tyłach Prado, zgadza się? Mają prześliczny ogród...

– Markiz sam o niego dba, uwielbia rośliny. Podobno całkiem na ich punkcie zwariował.

– A co jest złego w upodobaniu do roślin? Ogrodnictwo to piękne zajęcie, naprawdę się cieszę, że nie urodziłem się w tym barbarzyńskim kraju. Gdzie ma się odbyć ślub?

– W kaplicy Przytułku dla Sierot pod wezwaniem Najświętszego Serca Pana Jezusa, przy ulicy Juana Brava, pewnie wiele razy tamtędy przechodziłeś.

– Pewnie tak... O, już się zaczyna ten okropny spektakl.

Na scenie młodzieniec w andaluzyjskiej sukni udaje Bellę Otero, podśpiewując jakieś fandango.

– Daj spokój, to zabawne.

- Ja tego nie trawię.
- Jeśli chcesz, możemy iść do ciebie do hotelu.
- Zostaniesz na noc?
- Zostanę do bardzo późna.

- Pogadajmy z tamtymi dziewczynami.
- Nie miałaś przypadkiem iść zaraz spać, bo jutro pracujesz?
- Tylko przez chwilę.

Manuel i Luis spacerują po Paseo del Prado. Trwa jarmark świętojański, tu i ówdzie więc wciąż stoją stragany z czekoladkami i najróżniejszymi ciastkami. Można też kupić wino, flaczki, *a zucrillos*, czyli bryłki cukru, a także wodę i wódkę – po zawyżonych cenach.

- Ta brzydsza jest twoja.

Manuel się śmieje, bo Luis zawsze tak mówi. Żadna ze wskazanych dziewcząt nie jest brzydka, zresztą tak czy owak obie, jak się po chwili okazuje, są w towarzystwie narzeczonych.

- A to pech. Jak nie idzie, to nie idzie. Lepiej zrezygnować.

Przy całym swoim anarchizmie i politycznym zaangażowaniu Luis myśli tylko o podrywaniu dziewczyn. Manuel zachowuje dużo większy umiar.

– Lepiej zrezygnować ze względu na pracę, a nie dlatego, że nam nie idzie. Zawsze jeszcze mogłoby pójść. Ale teraz się czegoś napijmy i do domu.

Sącząc wino, patrzą na przechodzące obok dwie eleganckie pary. Ich łańcuszki od zegarków i naszyjniki zwracają uwagę.

– Spójrz na tych elegantów, psia ich mać. Trzeba mieć nie po kolei w głowie, żeby w takim stroju kręcić się między straganami. Kolia tej blondynki kosztuje pewnie tyle, ile półroczne utrzymanie dla całej rodziny. Ktoś powinien nauczyć ich rozumu.

Nagle, jak na zawołanie, skądś wypada czternasto- albo piętnastoletni chłopak. Jednym szarpnięciem zrywa kobiecie naszyjnik i ucieka. Jej towarzysze rzucają się w pościg.

- Łapać złodzieja!

Mały biegnie prosto na Luisa i Manuela. Gdy ich mija, Manuel niby to przypadkiem zastępuje drogę pogoni.

- Potrącił mnie pan! Proszę uważać.
- Z drogi!

Tym razem chłopaka nie złapią, już przepadł w tłumie. Jeden ze ścigających zwraca się w stronę Manuela.

- Pomógł mu! To jego wspólnik.
- Co takiego? Potrącili mnie panowie i w dodatku...? Trzeba bardziej uważać.

Mężczyzna nie zwykł najwyraźniej dyskutować z tymi, których uważa za niżej postawionych w społecznej hierarchii: unosi laskę, zamierzając się na Manuela. Wtedy odzywa się Luis:

– Ja bym tego nie robił.

W jego rękę pojawił się niewielki pistolet marki Star. Mężczyzna, przestraszony, opuszcza laskę. Krąg ciekawskich coraz szczelniej otacza dwie eleganckie pary. Luis i Manuel natychmiast znikają wśród ludzi.

– Od kiedy to nosisz przy sobie broń? Zwariowałeś?

– Wybawiłem nas z kłopotów, tylko to się liczy.

– Nie powinieneś! Prędzej czy później kogoś zastrzelisz!

– Nic się nie bój. Poza tym jesteś moim przyjacielem, nie ojcem.

– Cóż, wygląda na to, że pogoda się poprawia i jutro nie będzie deszczu.

Blanca rozumie, że nie ma żadnego związku między podarowaniem jajek zanesionych przez Elisę rano do klasztoru a faktem, że przez całe popołudnie nawet nie pokropiło. Ujrzawszy przez okno ojca przechadzającego się po ogrodzie, który nazajutrz znów padnie ofiarą najazdu, i z troską oglądającego swoje klomby, wychodzi na dwór, by z nim porozmawiać.

Wszyscy uważają don Jaimego, markiza Alerces, za nieszkodliwego wariata. Jego córka podziela tę opinię, ale tylko poniekąd. Oczywiście, jej ojciec jest człowiekiem niezwykłym. Zajmował ważne dyplomatyczne stanowiska w miejscach tak ważnych jak Paryż, Berlin czy Londyn, zalicza się do członków Królewskiej Akademii Historycznej i posiada przepiękny neoklasycystyczny pałac na tyłach Prado. No i, owszem, ma wyjątkową słabość do roślin: dba o nie własnymi rękami, jakby był ogrodnikiem, a nie dżentelmenem z towarzystwa. Blanca kocha go bardziej niż kogokolwiek na świecie; bardziej, rzecz jasna, niż tego, kto jutro zostanie jej mężem.

– Dobry wieczór, papo.

– Dobry wieczór.

– Myślisz, że jutro będzie padać?

– Bardzo bym chciał... Bo wtedy goście zadowoliliby się wnętrzem pałacu, zamiast niszczyć mi ogród.

Blanca spodziewała się takiej odpowiedzi, lecz udaje oburzoną.

– To mój ślub!

– No tak... Wybacz mi, dziecko, ale jaka w tym wina róż, że ty wychodzisz za mąż? Nie wiem, dlaczego posłuchałem twojej matki. Albo raczej wiem: żeby dała mi spokój. A mogliśmy zrobić przyjęcie w Ritzu... Przecież i tak wynajęliśmy ich orkiestrę. Wynajęlibyśmy też całą resztę i po sprawie...

– Trudno mi uwierzyć, że bardziej zależy ci na jakichś różach niż na własnej córce.

– Wcale nie bardziej. Gdyby ktoś chciał podeptać ciebie, stawiałbym większy opór. Co nie znaczy, że podoba mi się deptanie moich róz.

Blanca się śmieje, jak zwykle wtedy, gdy rozmawia z ojcem. Jednakże don Jaime wolałby teraz zostać sam ze swoimi kwiatami, by w miarę możliwości im pomóc, przeprosić je, jak zawsze po francusku...

– Nie powinnaś już spać? Jutro pewnie zerwą cię z łóżka skoro świt, żeby zdążyć cię ubrać i uczesać.

– Nie mogę zasnąć, bardzo się denerwuję. Czy ty się denerwowałaś przed ślubem z mamą?

Przysięgłaby, że ojciec nie bardzo wie, o czym ona w ogóle mówi.

– Nie pamiętam. To było bardzo dawno. Pewnie tak, nie wiem. Spytaj matkę, ona zawsze wszystko pamięta.

– Nie miałaś wątpliwości?

– Każdy je ma przed podjęciem jakiegokolwiek ważnej decyzji. Ale trzeba robić to, co do nas należy.

– Wychodząc za mąż?

– Tak, jeśli akurat to do nas w danym momencie należy.

Co by powiedział, gdyby streściła mu swoją rozmowę z tamtą kobietą, Pilar Marín? Czy odwołałby ślub? A może raczej skupiłby się na swoich kwiatkach albo oczekiwał od nich rady? Czy wytknąłby córce, że bynajmniej nie aranżował tego związku? Że sama wybrała sobie męża i teraz powinna ponieść konsekwencje własnej decyzji? Blanca nie umie odpowiedzieć na te pytania i boi się sprawdzić reakcję ojca. Nikomu nic nie powie, nawet Elisie. Póki nie przyjdzie pora.

Dom jest pełen prezentów, na które Blanca nie chce nawet patrzeć. Choć jeden wzbudza jej ciekawość. Oparty o ścianę stoi obraz przedstawiający przepiękną śniadą kobietę, może Cygankę, ale nie tancerkę flamenco, jak na wielu innych płótnach. Kobieta siedzi, ramiączko nocnej koszuli zsunęło się jej z ramienia. Niewiele po niej widać, ale tchnie czystą zmysłowością. Nie sposób nie pomyśleć, że właśnie uprawiała miłość.

Do pokoju wchodzi matka.

– Trochę to bezwstydne, prawda? Taki prezent przysłał wam markiz Albero. Zdaje się, że autorem jest pewien francuski malarz, który mieszka w Sewilli, niejaki Jean-Marie Huguet.

– Bardzo ładny obraz. W ogóle trzeba będzie porozsyłać podziękowania.

– Tak, tym zajmiemy się w przyszłym tygodniu. A teraz chodź ze mną, powinniśmy porozmawiać.

Nie, tylko nie to: nie wytrzymałaby dzisiaj matczynych porad.

– Nie trzeba, mamó. Czasy się zmieniły, nie musisz mnie uświadamiać.

Gdyby jakaś Cyganka wywróżyła Jeanowi-Marie Huguetowi, że kiedyś wraz z dwoma andaluzyjskimi Cyganami będzie czekał w ciemnym sewilskim zaułku, aż wybije północ, by przeprowadzić porwanie, uznałby ją za wariatkę. Jednakże właśnie tak wygląda rzeczywistość, a rzeczywistość – czego nauczył się w Andaluzji – najlepiej akceptować, wręcz afirmować. Już sobie wyobraża, jak za kilka lat w jednej ze swoich ulubionych paryskich kafejek opowie o tym przyjaciółom, śmiejąc się i popijając wino: „Nie znacie jeszcze historii mojego ślubu?”. Trzeba będzie ją tylko nieco podrasować: nie powie im przecież, że wszystko zostało ukartowane, dziewczyna się go spodziewała, a jej starszy brat, który powinien jej strzec, też maczał w całej sprawie palce.

Dogadali się, gdy Antonio odwiedził „żabojada Juana” w jego pracowni przy ulicy Esperanza de Triana.

– Wiem, że kochasz Carmen, a ona kocha ciebie, ale została już komuś obiecana. Pewnych rzeczy nie unikniemy.

Jean-Marie od razu wyobraził sobie walkę na noże w świetle księżycy i płonącego nieopodal ogniska, w obecności tłumu ciemnoskórych mężczyzn obserwujących, jak ich kuzyn wypruwa flaki blondaskowi z Francji. Tyle że pomysł porwania wcale nie wydał mu się dużo lepszy.

– Jak to: mam ją porwać?

– To najlepsze rozwiązanie, właściwie jedyne. Naprawdę wszystko sobie przemyślałem.

Zwariowany kraj, gdzie ludzie robią to samo co wszędzie indziej, tyle że w najtrudniejszy możliwy sposób! Nie prościej by było, gdyby on i Carmen zwyczajnie się pobrali, za powszechną zgodą?

– Rozmawiałem już z tym, kogo wybrał jej jeszcze ojciec. Zgadza się.

– Zgadza się?

– Przecież mówię. Trzeba będzie mu zapłacić, ale ja się tym zajmę.

– A nie można mu zapłacić i uznać sprawy za zamkniętą?

– Nic nie rozumiesz, żabojadzie.

Zerwanie z ich strony równałoby się złamaniu danego słowa. Jeśli natomiast Jean-Marie uprowadzi Carmen, dawny narzeczony oskarży jej rodzinę, że dziewczyny nie upilnowała, i sam z nią zerwie. W rezultacie Jean-Marie i tak dostanie ją za żonę, jego rywal usunie się bez plamy na honorze, za to trochę bogatszy, a i rodzina Carmonów nie ucierpi, bo wszyscy przecież będą wiedzieć, że chodziło o zwykłe przedstawienie, w dodatku zorganizowane dla dobra Carmen. Tak czy owak – straszne zamieszanie. A można by to załatwić zwykłym uściskiem dłoni.

– Co uważa Carmen?

– Nie pytałem jej o zdanie.

– Nie zamierzam robić nic bez jej zgody. Zwłaszcza jej porwać.

– Dobrze, spytamy ją. Ale to formalność.

Carmen była pomysłem zachwycona. Porwanie – dziwaczne, wręcz teatralne – zaplanowano na noc z soboty na niedzielę, dwudziestego siódmego czerwca.

I oto zaraz przyjdzie pora, by wdrzeć się do domu Carmonów i zabrać Carmen do pokoiku nad pracownią. Nikt ich tam nie będzie niepokoił, nikt też nie zgłosi zaginięcia dziewczyny aż do następnego dnia, kiedy oni dwoje będą już w pociągu do Kadyksu, rozpoczynając coś w rodzaju podróży poślubnej, którą Jean-Marie zamierza spędzić na nieustannym cieszeniu się ciałem ukochanej. Po powrocie będą w oczach jej rodziny małżeństwem, a on zaprosi wszystkich na uroczystą biesiadę. Zwariowany kraj.

Do północy zostało ledwie kilka minut, Jeanowi-Marie towarzyszą dwaj kuzyni Carmonów – jednego poznał wcześniej, drugiego dopiero przed chwilą, ale i tak nie pamięta jego imienia, choć nigdy nie zapomni jego twarzy: lewą część, od oka po wargi, przecina blizna. Opowiadając o tej nocy paryskim przyjacielom, poświęci tej bliznie dużo uwagi. „To były straszne typy, takich nie spotkasz nawet w marsylskim porcie. Jeden miał okropną bliznę, nie wiadomo, gdzie się jej dorobił: w jakimś północnoafrykańskim więzieniu czy innym podobnym miejscu. W każdym razie także dzięki tym dwóm mogła zatriumfować miłość pięknej Cyganki i takiego jak ja żabojada”.

Wszyscy trzej palili papierosy, widać było jedynie żarzące się w ciemności ogniki, aż kuzyn z blizną orzekł, że już czas.

Prowadząca na patio furka jest otwarta, tak jak obiecał Antonio Carmona; Carmen czeka przy oknie swojej sypialni, gotowa do wyjścia, spakowana. Wszystko zgodnie z planem.

Antonio siedzi w mroku, obserwuje. Cieszy się: zdołał spełnić życzenie siostry i zarazem ocalić honor rodziny. Wierzy, że Francuz będzie dla Carmen dobrym mężem.

Zwariowany kraj.

– Idziesz sobie?

Dochodzi wpół do piątej rano, gdy Gonzalo wyślizguje się z łóżka Franka Heimera, zostawiając rozgrzaną, rozgrzebaną pościel.

– Jest późno, a ja mam dziś ślub, pamiętasz?

– Spotkamy się wieczorem?

– Nie wiem, czy dam radę. Jeśli nie, pogadamy w poniedziałek, zadzwonię do ciebie do ambasady.

Gonzalo stara się nie robić hałasu; i tak będzie musiał znieść spojrzenie nocnego portiera. Jest pewien, że facet by go zwymyślał, gdyby Frank nie należał do stałych gości hotelu Paris. Cóż, można się przyzwyczaić. Tylko właściwie dlaczego ludzie tak się przejmują tym, co inni robią w zaciszu swoich sypialni...?

Niedaleko hotelu, na rogu sąsiadującym z Puerta del Sol, mieści się Café de la Montaña, o tej porze oczywiście zamknięta. To tam, na spotkaniu z Ramónem Marią Valle-Inclánem, Gonzalo poznał swego kochanka.

Frank, tak jak on sam, a w przeciwieństwie do wielu bywalców kabaretu przy ulicy Flor, bynajmniej nie jest zniewieściały, niemniej Gonzalo od pierwszej chwili wiedział, że ten wysoki jasny Niemiec o młodzieńczej, mimo ukończonej czterdziestki, powierzchowności dzieli z nim sekret. Po raz drugi spotkali się właśnie w lokalu przy ulicy Flor i spędzili razem kilka godzin, słuchając okropnych imitacji piosenek Belli Otero. Gonzalo pamięta dokładną datę dzięki imieniu świętego, które musieli podać przy wejściu jako hasło: czwarty listopada, dzień świętego Karola Boromeusza, prawie dziewięć miesięcy temu.

Tamtego wieczoru Gonzalo przełamał swoje opory i poszedł z Frankiem do jego hotelu. Sypiał już wcześniej z mężczyznami, ale nigdy w takich warunkach: w czystym, eleganckim pokoju, na spokojnie, a nie w pośpiechu, z ulgą, lecz zarazem i lękiem, że ktoś go nakryje.

Teraz idzie opustoszałą ulicą, na dworze jest przyjemnie chłodno. Zapominając o pośpiechu, rozkoszuje się przechadzką po ulicy Alcalá. Za niecałe pół godziny będzie w domu czy raczej w należącym do rodziny mieszkaniu przy ulicy Claudia Coella. Na pewno obudzą go dzisiaj wcześniej, dużo wcześniej niż to konieczne, żeby zdążyć na ślub, który ma się zresztą odbyć nieopodal. Elisa musi być gotowa jak najprędzej, bo jako drużna panny młodej, Blanki Alerces, musi biec z rana do pałacu i pomóc w przygotowaniach.

W mieszkaniu panuje cisza. Gonzalo wciąż pamięta ranek, kiedy – tak jak dziś – wrócił do domu po spotkaniu z Frankiem i zastał ojca, generała, na czuwaniu. Dobrze chociaż, że papa uwierzył w jego wyjaśnienia i nawet uśmiechnął się z dumą przekonany, że syn wraca od jakiejś kobiety. Lepiej nie myśleć, co się stanie, gdy prawda wyjdzie na jaw; bo prędzej czy później wyjdzie, nie ma rady. Ojciec w końcu zorientuje się w sytuacji, tak samo jak Elisa. Oby stało się to jak najpóźniej.

Gonzalo rozbiera się – już drugi raz tej nocy – i kładzie do łóżka, lecz nim zdąży zasnąć, do pokoju zagląda jego siostra. Przy takich okazjach Elisa bardzo przypomina małą przestraszoną dziewczynkę, która kiedyś szukała pomocy starszego brata, tęskniąc za matką i panicznie bojąc się ojca.

– Śpisz...?

– A ty czemu jesteś już na nogach?

– Przez całą noc przewracałam się z boku na bok. Denerwuję się bardziej, niż gdybym sama wychodziła za mąż.

– Jeśli się chociaż trochę nie zdrzemniesz, będziesz wyglądać jak siedem nieszczęść.

– Wczoraj rano zaniiosłam jajka do klarysek.

- Co za głupstwa.
- Taki zwyczaj. Tak trzeba. Potem byłam u Blanki. Wiesz, co mi powiedziała? Że nie chce tego ślubu.
- A to by było nawet zabawne, gdyby wystawiła narzeczonego do wiatru.
- Zaczęła się wahać, mówi, że nie wie, czy jest zakochana...
- Elisa, musisz wybić go sobie z głowy. On żeni się z twoją najlepszą przyjaciółką. Nie rób sobie nadziei.

Gonzalo od razu zauważył niechęć, z jaką jego siostra odniosła się do wieści o zaręczynach Blanki z Carlosem de la Era. Pięć minut później wiedział wszystko.

– Blanca jest zwykłą kapryśnicą i nie zasługuje na te wszystkie dobre rzeczy, które się jej przytrafiają!

Niełatwo przekonać Elisę, by się zdrzemnęła i pozwoliła również jemu trochę odpocząć. Jego siostra nie potrafi przyjąć do wiadomości, jakie to szczęście, że to nie ona wychodzi za Carlosa. A przecież wiadomo, że facet ugania się za spódniczkami, wbrew pozorom nie śmierdzi groszem i że w ogóle straszny z niego drań.

* * *

– Nadjeżdżają. Sześć wozów, arcyksiążę jedzie w trzecim.

W pierwszym siedzą funkcjonariusze lokalnej policji; w drugim – burmistrz Sarajewa i komendant główny; w trzecim – arcyksiążę, jego żona księżna Zofia von Chotek, w czwartej ciąży, oraz gubernator Oskar Potiorek. Kolejne pojazdy zajmują inni policjanci i członkowie świty następcy austro-węgierskiego tronu.

Rozstawienie zamachowców wzdłuż trasy jest wynikiem losowania. Szczęście dopisało przede wszystkim Iliciovi i Čubriloviciowi, bo to ich pierwszych mija orszak, przejeżdżając obok ogródka Café Mostar. Obaj mają po bombie i pistolecie, ale nie otwierają ognia – potem powiedzą, że nie zdążyli, a poza tym zaraz obok stał policjant, więc aresztowano by ich, zanim rzuciliby bombę, co przekreśliłoby szanse innych. Gawriło sądzi jednak, że po prostu brakuje im odwagi i determinacji, bo siła mężczyzny, siła patrioty bierze się ze środka: nie z mięśni, lecz z serca i głowy. Człowiek z pozoru słaby może być prawdziwym tytanem, jeśli w jego piersi płonie serbska duma.

Kolejny zamachowiec, ustawiony przy alei biegnącej wzdłuż rzeki, to Nedeljko Čabrinović. On też ma przy sobie bombę. Czy odważy się ją rzucić – ten samochwała, który tyle razy upokarzał Gawriła i tak wątpił w jego dzielność – czy stchórzy jak tamci? To się okaże, gdy samochód przejedzie przez most i skręci w aleję.

Gawriło wolałby jednak, żeby arcyksiążę przeżył do miejsca, w którym czeka na niego on sam.

Obserwuje ludzi wokół: zjawiły się całe rodziny. Najróżniejszych nacji i wyznań, bo są tu Serbowie, Bośniacy i Chorwaci, prawosławni, muzułmanie,

katolicy... Nie jest rzeczą zwykłą, by ktoś tak ważny odwiedzał Sarajewo, w dodatku w okolicach dnia świętego Wita, patrona Serbów, czczonego piętnastego czerwca, kiedy to przypada też rocznica klęski wojsk serbskich w bitwie przeciw Turkom na Kosowym Polu w tysiąc trzysta osiemdziesiątym dziewiątym roku. Imperium osmańskie ciemiężyło Serbię przez wieki, ale Austro-Węgrom to się już nie uda. Śmierć Franciszka Ferdynanda stanie się dla Serbów wyzwoleniem.

W oddali słychać wybuch, najwyraźniej Čabrinović odważył się cisnąć bombę. Czyli to on przejdzie do historii... Gawriło bynajmniej nie cieszy się z powodzenia operacji, nie, smuci się, bo nikt nie zapamięta, że i on tu był, gotowy...

Przerażeni ludzie rozbiegają się na wszystkie strony, policjanci pędzą ku miejscu, gdzie dokonano zamachu. Gawriło odchodzi spokojnie, nie zwracając na siebie uwagi. Za paskiem ma browning z sześcioma nabojami 9x17, wyprodukowany w tysiąc dziewięćset dziesiątym roku w Belgii, bardzo skuteczny przy strzałach z bliska.

Gawriło Princip ze swego miejsca nie dostrzegł jednak, że choć Čabrinović zdobył się na odwagę i rzucił bombę na kabriolet arcyksięcia i księżnej Zofii, Franciszek Ferdynand zdążył zorientować się w sytuacji i odepchnąć ładunek. Bomba skożłowała po krótkim nadwoziu modelu Double Phaeton marki Gräf & Stift i spadła pod koła następnego pojazdu, raniąc około dwudziestu policjantów i gapiów. Čabrinović zażył cyjanek i rzucił się do Miljacki, lecz trucizna nie zadziałała, a rzeka okazała się o tej porze roku zbyt płytka: ujęto go żywcem.

Samochód arcyksiężęcej pary pomknął w stronę ratusza. Wbrew założeniom Franciszek Ferdynand przeżył.

– Widziałaś, jaka pogoda? Wspaniała!

Nieważne, czy to dzięki jajkom przeznaczonym dla klarysek, czy po prostu dlatego, że czerwiec w Madrycie bywa raczej pogodny. Ważne, że tej niedzieli świeci piękne słońce, niebo błyszczy idealnym błękitem, a temperatura sprzyja: nie tak jak w zeszłym tygodniu, kiedy miasto przypominało piekarnik, nie, to naprawdę doskonale warunki dla uroczystości ślubnych.

Blanca jest wyspana i gotowa na czekający ją długi dzień. W każdym razie bardziej niż jej przyjaciółka Elisa, blada i z podkrążonymi oczami, jakby to ona wychodziła za mąż.

– Gonzalo wrócił do domu koło piątej, a ja jeszcze nie spałam.

– Był u swojego przyjaciela?

– Pewnie tak, nie pytałam.

– Powinniśmy byli zaprosić tego Niemca na ślub. W sumie jeden gość więcej nie zwróciłby niczyjej uwagi.

– Tak, tylko tego brakowało, żeby mój ojciec się dowiedział i wyciągnął ten pistolet.

„Ten pistolet” to w rzeczywistości należący do generała Fuentesesa rewolwer. Kiedy Elisa i Blanca miały po trzynaście lat, a Blanca akurat wróciła z Londynu, we dwie wyciągnęły broń z futerału. Na szczęście matka Elisy – która umarła niewiele później – przyłapała dziewczynki na niebezpiecznej zabawie, nim doszło do nieszczęścia.

– Straszna szkoda, że twój brat jest... taki. Z pewnością będzie dziś najprzystojniejszy i najbardziej elegancki, każda dziewczyna chętnie by za niego wyszła.

– Lepiej pomówmy o czymś innym, dobrze? Wiesz, że męczy mnie ten temat. Modlę się za Gonzala co niedzielę.

– Skoro uważasz, że to pomoże.

W pałacu i ogrodzie trwają ostatnie przygotowania do przyjęcia, przez okno widać służbę rozkładającą obrusy, nakrycia.

– Rzeczywiście zniszczą twojemu ojcu ogród. Na szczęście nie masz sióstr, więc nie będzie więcej takich okazji.

– Chyba że sama wyjdę za mąż więcej razy. W wielu krajach na świecie rozwód jest legalny.

Śmieją się obie. Rozwód w Hiszpanii? Niemożliwe. Takie rzeczy zdarzają się w krajach protestanckich, niemających szacunku dla rodziny. W tym momencie rozlega się dziwny dźwięk – dużo przyjemniejszy niż towarzyszący im od wczoraj stukot młotków. To wiolonczela, a zatem orkiestra z hotelu Ritz już jest na miejscu i stroi instrumenty. Do ślubu zostało naprawdę mało czasu.

– Prosiłaś, żeby zagrali jakiś konkretny kawałek?

– Mnie tam wszystko jedno, to oni się na tym znają. Cokolwiek wybiorą, będzie dobre.

– Faktycznie mało w tobie entuzjazmu dla tej uroczystości.

– Wszystko jest inaczej, niż to sobie wyobrażasz, Eliso. Jak będziesz na moim miejscu, sama zobaczysz, że z tym najlepszym dniem w życiu i w ogóle to bzdury.

Elisa dopiero teraz dostrzega, że Blanca wydaje się jakaś inna, doroślejsza. Jakby dojrzała tylko dlatego, że zaraz pójdzie do ołtarza.

Doña Ana, już niemal gotowa do wyjścia, wkracza do pokoju wraz z kobietą, która ma ułożyć Blance fryzurę.

– A ty wciąż w rozsypce? No, szybciotko, nie ma czasu.

Matka się denerwuje, ale wszystko idzie zgodnie z planem: Blanca już się wykapała, teraz pora na czesanie, malowanie i ubieranie. Potem wsiądzie do rolls-royce'a – model Silver Ghost – pożyczonego na tę okazję od księstwa Pimentel.

Przyszły małżonek, książę Camino, będzie na nią czekał w kościele w samo południe. Po ceremonii pojedą z powrotem do pałacyku markizostwa Alerces i tam, w ogrodzie, zjedzą obiad przy akompaniamencie orkiestry z Ritza. Na menu, takie samo jak na weselu Jego Królewskiej Mości Alfonsa XIII, składać się będą: bulion wołowy z ptysiami nadziewanymi parmezanem, jaja w sosie Périgueux, sola à la Colbert, kapłon z czerwonymi owocami i tort ślubny – wedle tradycji brytyjskiej, nieodzowny przy takich okazjach od czasu, gdy uhonorowano nim doinę Wiktorię Eugenię. Innymi słowy zapowiada się ślub idealny, chociaż Blanca Alerces nie wygląda na tak szczęśliwą, jak bez wątpienia się czuje.

– Skoro będziemy jedli na świeżym powietrzu, powinniśmy zaserwować lunch.

– Lunch? Doprawdy, za królową przyszło do nas zbyt wiele brytyjskich zwyczajów. To wesele, a wesele oznacza prawdziwe przyjęcie. Zaproponuj Francuzom, żeby zasiedli do lunchu, zobaczysz, co ci powiedzą.

– Francuzi to republikanie, mamó. Mamy się na nich wzorować?

Doña Ana oddała się z godnością i dwie przyjaciółki zostają same wraz z poinstruowaną odpowiednio fryzjerką; uczesawszy Blancę, zdąży jeszcze poprawić włosy Elisie.

– Przeszły ci wczorajsze wątpiwości?

– Przeszły, już wiem, co powinnam zrobić.

– Przyjeżdżam z wizytą i rzucają na mnie bombę. To oburzające!

Arcyksiążę Franciszek Ferdynand oburza się, dojeżdżając do sarajewskiego ratusza. W rękę trzyma kartkę z oficjalnym podziękowaniem dla miasta: słowa przemówienia, które miał wygłosić, plami krew. Burmistrz chce wystąpić zgodnie z planem, jakby nic się nie stało, ale arcyksiążę go gromi. Żona, księżna Zofia von Chotek, musi go uspokajać.

Akurat dzisiaj przypada czternasta rocznica ich ślubu. Zofia, pochodząca z czeskiej rodziny szlacheckiej, była damą dworu arcyksiężnej Izabeli i poznała Franciszka Ferdynanda na balu w Pradze. Kiedy następca tronu zaczął bywać u arcyksiężnej, wszyscy myśleli, że będzie się starał o którąś z jej córek; tym większe sprawił zaskoczenie. Jego stryj, cesarz Franciszek Józef, zagroził mu odsunięciem od sukcesji: Zofia von Chotek nie miała wśród przodków władców Europy, co stanowiło warunek wejścia do rodziny Habsburgów. Jednakże Franciszek Ferdynand się uparł: zakochał się, ożenił się z Zofią i zrezygnuje z tronu.

Po długich negocjacjach, wymagających nawet interwencji Watykanu, cesarz zgodził się, by jego bratanek zawarł małżeństwo morganatyczne: dzieci pary nie mogły dziedziczyć jej tytułów i przywilejów.

Miłość wszakże nie wygasła i teraz słowa arcyksiężnej, szeptane mężowi na ucho, działają na niego jak balsam. Franciszek Ferdynand uspokaja się i prosi

burmistrza, by kontynuował.

– Proszę sobie nie przeszkadzać.

Wieść o nieudanym zamachu i aresztowaniu Čabrinowicia obiega Sarajewo. Skoro Nedeljko żyje, mógł ich wszystkich wydać. Princip nie wie, co robić: czy czekać w pensjonacie, czy iść do zajazdu, w którym odebrał poprzedniego wieczoru rozkazy... Może reszta trafiła już do więzienia albo zbiegła z miasta? Princip boi się, że za chwilę wszyscy będą go ścigać, na razie jednak kryje się wśród ludzi, w cukierni Moritza Schillera obleganej przez tych, którzy od rana czekali na przejazd arcyksięcia. Tu zastanawia się, co dalej.

Do sarajewskiego ratusza napływają informacje o rannych w zamachu: są wśród nich książę Waldeck i pułkownik Merizzi, którzy zostali przewiezieni do szpitala, lecz ich życiu nie zagraża niebezpieczeństwo.

Franciszek Ferdynand postanawia udać się do nich z wizytą, zanim podejmie oficjalne obowiązki. Przedstawiciele ochrony mają zastrzeżenia, twierdzą, że lepiej unikać centrum, zapchanego po ostatnich wydarzeniach.

Gawriło wychodzi z cukierni, nie może dłużej włączyć się bez celu. Nadal ma przy sobie ampułkę z cyjankiem i browning. Chce iść do zajazdu i tam czekać na dalsze rozkazy: patriota od rana gotowy na śmierć nie powinien kryć się jak jakiś szczur. Nie – jeśli jest Serbem.

Arcyksiężę i jego małżonka wsiadają do tego samego wozu, w którym godzinę temu przeżyli zamach: z tyłu na karoserii widać ślady po bombie, wszystko to jest absolutną katastrofą organizacyjną. Policja zdecydowała o zmianie trasy wiodącej do szpitala, tyle że nikt nie poinformował o tym kierowcy. Nikt też nie pomyślał, że honorowi goście powinni tym razem jechać w zakrytym pojeździe. Gubernator Potiorek mówi szoferowi, że ruszył złą drogą, i każe mu zawrócić. Ulica jest wąska, manewr przebiega bardzo powoli.

Gawriło nie wierzy własnym oczom: kilka metrów od niego niemal stoi samochód z jego celem. To niemożliwe. To przeznaczenie chce, by on, Gawriło, zabił arcyksięcia; to odpowiedź na jego modły. Wyjmuje pistolet, z nerwów prawie go upuszcza i biegnie w kierunku auta. Widzi ich, wzrok go nie zawodzi: oto dobrze znany mundur następcy tronu, oto jego małżonka. Co oni tu robią?

Strzela dwa razy z odległości mniejszej niż półtora metra, nie może chybić. Trafia arcyksięcia w szyję, arcyksiężna próbuje osłaniać męża własnym ciałem i dostaje postrzał w brzuch. Oboje są śmiertelnie ranni.

Gawriło sięga do kieszeni po cyjanek, zażywa go. Nie wie, czy trucizna zadziała od razu. Bezradni członkowie obstawy rzucają się na zamachowca, klienci

cukierni, zaalarmowani hukiem, też wylegli na ulicę. Wszyscy okładają Principa piśćciami, a on ma nadzieję zaraz umrzeć, ale nie umiera, jeszcze nie.

– A oto i panna młoda...

Kościół tonie w kwiatkach, w kolorowych girlandach. Goście – madrycka śmietanka – czekają w ławkach przydzielonych im z wielkim staraniem przez doinę Anę, markizę Alerces, matkę panny młodej, wyglądającą teraz córki, a ubraną w czarne koronki chantilly z dodatkiem topazów i brylantów.

Pan młody, Carlos de la Era, książę Camino, również czeka. Ma na sobie galowy mundur królewskiej sewilskiej jazdy: czerwoną kurtkę ze srebrnymi guzami oraz czarne spodnie. Nie ulega wątpliwości, że dawno żaden mężczyzna nie wyglądał przed ołtarzem tak elegancko. Córce markizostwa Alerces trafiło się prawdziwe szczęście.

Panna młoda widzi kościół z rolls-royce'a i z nerwów aż się w środku skręca. Boi się bardzo, ale jest też całkowicie zdecydowana.

Grupka gapiów zebrała się przed wejściem – obserwują luksusowe pojazdy odprowadzone na bok przez szoferów: hi spano-suiza, mercedesy, buicki... Są też powozy konne, odświeżone na tę tak wyjątkową okazję, jaką stwarza ślub małej Alerces, bo tak mówi się o niej na mieście.

Pośród ciekawskich, którzy oglądają odbywającą się przed kościołem paradę próżności, jest anarchista Manuel Campos. Tłum zagarnął go przez przypadek i Manuel postanowił sprawdzić, co się dzieje. I teraz skręca się ze wstydu, patrząc na ten zbytek, a myśląc o głodujących. Kawalek dalej stoi też Frank Heimer, obserwując triumfalne wejście Gonzala. Chętnie by mu towarzyszył, trzymając ukochanego pod ramię. Z tyłu, ze łzami w oczach, kryje się Pilar Marín. Trzyma na ręku Elenę.

– Papo, czy będziesz po mojej stronie, nawet jeśli się pomylę?

– Oczywiście, choć wolałbym, żebyś się nie myliła. Może jeszcze się przejdziemy...?

– Nie, nie chcę, choć nie wiem, czy się nie pomylę.

– Spokojnie, wszystkiemu w życiu da się zaradzić z wyjątkiem śmierci.

Wszyscy zgromadzeni przyznają w duchu, że narzeczona wygląda prześlicznie w białej sukni z ciężkiego jedwabiu z obcisłym stanem i obfitą spódnicą, w nakryciu głowy wyszywanym perłami i welonie z brukselskich koronek. Całości dopełnia brylantowy naszyjnik. Panna młoda w niczym nie ustępuje panu młodemu. Gdy wysiada z samochodu, rozlegają się spontaniczne oklaski, ktoś rozsiewa tłum, krzycząc: „Cudeńko!”. Blanca szuka go wzrokiem i ma ochotę mu podziękować, lecz się powstrzymuje. Wciąż nie popatrzyła Carlosowi w oczy. Popatrzyła za to w oczy jakiegoś młodemu robotnikowi, który spoglądał na nią z tłumu. Uśmiechnął się do niej, a ona, pełna wdzięczności, odpowiedziała mu uśmiechem.

– Czterdzieści do trzydziestu! Nie zamierzasz chyba wygrać ze swoim królem, Alvarito?

– Oczywiście, że zamierzam.

Golf to najbardziej arystokratyczny ze sportów. Poza tym Wiktoría Eugenia Battenberg pochodzi ze Szkocji, jego kolebki. Tyle że Alfons XIII jakoś go nie lubi. Álvaro Giner wielokrotnie próbował przekonać przyjaciela – bez skutku. Tenis to co innego.

Grają we dwóch, ubrani w przepisowe białe stroje, na odpowiednio przysposobionych terenach na południe od Pałacu. Zwykle wygrywa król, dziś wszakże nie potrafi się skoncentrować, a sportowa rywalizacja nie musi i nie powinna liczyć się z hierarchiami. Álvaro Giner zwycięży, jeśli tylko zdoła, i będzie się tym chełpił królowi prosto w nos. Tak samo jak uczyniłby i don Alfonso.

Już niewiele brakuje. Pora na chwilę przerwy: obaj siadają na krzeselkach w cieniu i popijają wodę. Gdyby tak poddani wiedzieli, że ich monarcha pije wodę z dzbana z taką samą przyjemnością jak oryginalnego szampana z najlepszych kryształów...

Ktoś się zbliża – to niezwykle, obaj wolą grać w samotności, odsyłają nawet chłopców zbierających piłki...

– Wasza Królewska Mość, pilny telegram.

Alfons XIII bierze kopertę ze srebrnej tacy. Rozciąwszy papier, pochmurnieje.

– Kłopoty?

– W Sarajewie zamordowano arcyksięcia Franciszka Ferdynanda.

– To rodzina?

– Tak, jesteśmy spokrewnieni, ale nie o to chodzi. Kto wie, czy nie będzie wojny. Przepraszam, musimy przerwać grę, spróbuję dowiedzieć się szczegółów.

* * *

– Wejdzmy, nie każmy gościom czekać.

Ponieważ to ślub arystokratów, pierwsza, przy dźwiękach marsza weselnego, wchodzi do kościoła panna młoda pod ramię z drużbą. Za nimi podążają pan młody z drużną. Blanca staje po lewej stronie, Carlos po prawej. Wtedy po raz pierwszy wymieniają spojrzenia. On się uśmiecha, tym swoim uśmiechem, który zdaje się roztopiać wszelkie przeszkody; ona jest poważna, jej niebieskie oczy patrzą chłodno.

Mszę odprawia biskup José María Salvador; śpiewa chór dzieci z przytułku. Uroczystość przebiega zgodnie z planem, biskup wygłasza wzniosłe pochwały małżeństwa. Panna młoda, tyłem do gości, ze wzrokiem wbitym w posadzkę, pozostaje skupiona, jakby nieobecna.

– Carlosie, czy chcesz pojąć za żonę tę kobietę, by żyć z nią w miłości Boga, w świętym małżeństwie, kochać ją, ochraniać i dbać o nią zarówno w zdrowiu, jak i w chorobie?

– Tak, chcę.

– Blanco, czy chcesz pojąć za męża tego mężczyznę, by żyć z nim, jak Bóg nakazał, w świętym związku małżeńskim?

– Nie, nie chcę.

W cichym dotąd kościele rozlega się szum, który z każdą chwilą potężnieje. Pan młody, družba, drużna i ksiądz zwrócili się ku Blance Alerces. Jej matka, w ławce nieopodal, nie wierzy własnym uszom – musiała się przesłyszeć.

– Powtórzę pytanie: czy chcesz...?

– Nie, niech ksiądz nie powtarza. Nie chcę pojąć tego mężczyzny za męża i zaraz wyjaśnię dlaczego.

2.

Anglia też wypowiedziała Niemcom wojnę... Miał Wasza Królewska Mość rację, mówiąc, że zabójstwo arcyksięcia Franciszka Ferdynanda może stać się początkiem międzynarodowego konfliktu.

– Niestety miałem. To było do przewidzenia.

– A ja sądziłem wtedy, że chodziło Waszej Królewskiej Mości tylko o to, by przerwać mecz i uniemożliwić mi wygraną...

Alfons XIII śmieje się z żartu Álvara Ginera, choć obaj wiedzą, że sprawa jest poważna. W ciągu miesiąca, który upłynął od zabójstwa następcy austro-węgierskiego tronu, kolejne europejskie potęgi deklarowały przynależność do jednego z dwóch bloków. Kilka dni po zamachu na arcyksięcia Austria, od początku wspierana przez Niemcy, zażądała od Serbii zgody na działania własnej policji w Belgradzie w celu zlikwidowania Czarnej Ręki. Bezpośredni sprawcy zamachu zostali wprawdzie zatrzymani od razu w Sarajewie, lecz Austriacy żywili przekonanie, że jego pomysłodawców szukać trzeba w serbskiej stolicy, i nie ufali pod tym względem miejscowym służbom. Serbowie, wspomagani przez Rosję, uznali żądanie Austriaków za nie do zaakceptowania i postanowili zignorować ich ultimatum, którego termin upływał siódmego lipca.

Pod koniec lipca Austria wypowiedziała wojnę Serbii; Rosja zmobilizowała i rozmieściła na granicy wojska; Niemcy zinterpretowały tę mobilizację jako groźbę dla Austro-Węgier i wypowiedziały wojnę Rosji; Francja, zobowiązana traktatem o przyjaźni z Rosją, niezwłocznie ją wsparła; Anglii nie pozostało w tej sytuacji nic innego, jak niemal natychmiast zrobić to samo.

Państwa centralne, to jest Niemcy i Austro-Węgry, stanęły przeciw entencie, czyli Anglii, Francji i Rosji.

– Niemcy nie dadzą rady walczyć jednocześnie na froncie wschodnim i zachodnim.

– A Austro-Węgry?

– Nie mają rzeczywistej siły: ich armia, choć liczna, jest źle wyszkolona, nie wspominając już o tym, że jej żołnierze mówią ponad piętnastoma różnymi językami, co mocno komplikuje sprawę. Nie, oni nic nie pomogą. To wojna Rzeszy z całą resztą. Dlatego Niemcy muszą szybko wygrać na którymś z frontów, inaczej będzie po nich.

W kolejnych miesiącach do konfliktu przystąpią następne państwa, przekształcając go w wojnę światową. Na razie jednak, w pierwszych dniach sierpnia tysiąc dziewięćset czternastego roku, wiadomo tyle, ile wiadomo.

– A po której ze stron opowie się Hiszpania, Wasza Królewska Mość?

– Gdyby to ode mnie zależało, nie opowiedziałyby się po żadnej. Jeśli się uda, będziemy trzymać się z boku, mój drogi Álvaro.

Hiszpański król poddawany jest licznym naciskom, nawet u siebie w domu: jego żona, doña Wiktoria Eugenia Battenberg, jako Brytyjka chce, by Hiszpania włączyła się do ententy; królowa matka, Maria Krystyna, jest austriacką arcyksiężną i węgierską księżniczką, toteż życzy sobie, by kraj jej syna wsparł państwa centralne.

– Jak Wasza Królewska Mość zamierza zachować neutralność?

– Uśmiechając się do obu stron, uśmiechając się i udając głupka, żeby wszyscy myśleli, że już mnie mają... Moja żona, matka, ambasadorowie... Chociaż trudniej utrzymać pokój w domu niż w Europie.

W głębi duszy don Alfonso sprzyja aliantom, Francji i Anglii, choć bardzo się strzeże, by tego nie okazywać. Álvaro Giner studiował przez jakiś czas w Berlinie i jest umiarkowanym germanofilem, lecz oczywiście też nie wyraża swoich sympatii na głos. Reszta Hiszpanów pozostaje równie podzielona: politycy tacy jak Antonio Maura czy Alejandro Lerroux sympatyzują z aliantami; inni, jak Juan Vázquez de Mella – z Niemcami; jeszcze inni, choćby Eduardo Dato czy hrabia Romanones, optują za neutralnością.

– Nas interesuje teraz przede wszystkim odzyskanie Gibraltaru i sprawne zarządzanie koloniami w Maroku i Gwinei Hiszpańskiej. Nasza armia nie jest gotowa do przedsięwzięć wojskowych w Europie. Służyłeś w Maroku, więc wiesz. Mamy przestarzałe uzbrojenie, prawie żadnego lotnictwa...

– Słusznie, Wasza Królewska Mość. Ale z drugiej strony wojskowi chcieliby, żebyśmy zajęli zdecydowane stanowisko. Najlepiej na rzecz Niemiec. Bywam niekiedy w Kasynie Wojskowym i słyszę, co się tam mówi. Pojawiają się nawet pomysły dotyczące zajęcia Portugalii.

– To dopiero głupota. Anglicy pomogliby Portugalczykom, wykończyliby resztki naszej floty, zbombardowali nam porty i nie oszczędzili nawet okrętów handlowych... Poza tym pora wreszcie zrezygnować z wizji jednoczenia Półwyspu Iberyjskiego. Portugalia to niepodległy kraj, trzeba to uszanować. Wojskowi są chyba po to, żeby słuchać rozkazów, a ja, jako król, mam obowiązek oszczędzić Hiszpanom wojennych cierpień.

Analiza Alfonsa XIII wydaje się trafna i zarazem dość optymistyczna. Hiszpańska armia nie jest gotowa do żadnych przedsięwzięć wojskowych, nie poradziła sobie nawet z Rifenami w Maroku, uzbrojonymi w cztery stare strzelby na krzyż. Przerost niekompetentnej kadry oficerskiej uniemożliwia sprawne dowodzenie. Flota wciąż nie podźwignęła się po klęsce z tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego ósmego roku, kiedy to została niemal całkowicie unicestwiona w wojnie ze Stanami Zjednoczonymi, po której Hiszpania straciła Kubę. Ekonomicznie kraj stoi nie najlepiej: w gospodarce dominuje rolnictwo, produkcja na własny użytek, i tylko gdzieś – w Katalonii, Bilbao czy Madrycie – zaczyna rodzić się przemysł. Poza tym i górnictwem w Asturii właściwie nie ma

o czym mówić. Sytuacja społeczna też nie wygląda różowo: od kiedy w tysiąc dziewięćset dziewiątym roku robotnicy katalońscy powstali przeciw rządowi i Kościołowi podczas Tragicznego Tygodnia w Barcelonie, objawy ich niezadowolenia wciąż się mnożą; nigdy jeszcze Korona nie spotykała się z podobnym odrzuceniem wśród poddanych.

– Mam nadzieję, że premier Dato zdoła przekonać parlament, że wojna to ostatnie, na co możemy sobie teraz pozwolić.

– W każdym razie zapowiadał, że poprze neutralność.

– Gdyby było inaczej, należałoby się zastanowić, w jaki sposób go odwołać.

Wojna, polityka, kłopoty... Choć w ostatnich tygodniach królowi trochę właściwie brakuje czasu na sport i rozrywki, jego przyjaźń z Álvarem nie ucierpiała.

– Aha, żona mi mówiła o tym ślubie córki markizostwa Alerces. Słyszałeś, co się stało?

– Nie, nic nie wiem.

– Wiktoria Eugenia dowiedziała się od hrabiny Romanones, wygląda na to, że od kiedy jesteśmy w San Sebastián, Madryt tylko tym żyje. Ta mała zostawiła narzeczonego przed ołtarzem.

– To był Carlos de la Era, prawda? Dlaczego go zostawiła?

– Zdaje się, że jest nieco rozkapryszona. Oświadczyła, że jej narzeczony to drań, bo wyrzucił z domu swoją dawną kochankę z dzieckiem, aby się ożenić... Cóż, pewnie miała sporo racji, ale żeby w takim momencie...

– O, czyli zdążyła nie najgorzej gagatka poznać.

– Nie żartuj sobie, uważasz, że powinno się robić takie rzeczy w ten sposób?

– Jasne, że nie. Podobny spektakl uwłacza godności. Należało odwołać ślub pod jakimś odpowiednim pretekstem.

– Brudy trzeba prać w domu. Co za wstyd dla jej rodziny!

– Dziwi mnie, że nikt mi nie powiedział. Przecież to prawdziwa sensacja.

– Może to dlatego, że rzadko się pokazujesz na mieście, bo większość czasu spędzasz w mieszkaniu przy ulicy Fuencarral z pewną byłą chórzystką. Widzisz, nic się nie ukryje, Alvarito, nic się nie ukryje...

* * *

– Musiałem usunąć wszystko, co rosło z tej strony... Do przyszłego roku nic się już nie poradzi.

W ogrodzie pałacyku markizostwa Alerces widać skutki ślubnego przyjęcia, które ostatecznie nie doszło do skutku. Jedzenie przekazano organizacjom charytatywnym, kelnerzy, kucharze i służące dostali płacę po wykonaniu tylko części pracy, prezenty wróciły do ofiarodawców. Jednakże szkód w ogrodzie nie dało się, niestety, cofnąć. I to jest jedyny powód, dla którego Blanca czuje się winna, zwłaszcza gdy patrzy na ojca, bez ustanku krzątającego się przy ocalałych

roślinach.

– Co im mówisz?

– Uspokajam je, tłumaczę im, co zamierzam zrobić... Nie możesz ich tak po prostu przycinać, bez słowa wyjaśnienia, że to dla ich dobra. To samo z przesadzaniem: żeby roślina przyjęła się w nowym miejscu, trzeba ją najpierw poprosić o współpracę.

– A dlaczego po francusku?

– Bo, jak mi się zdaje, to ułatwia komunikację. Kwiaty lubią ten język, podobnie jak muzykę. Oczywiście nie każdą, wyłącznie klasyczną. Zarzuela, z małymi wyjątkami, mogłaby je wykończyć. A Vivaldi na przykład jest w porządku.

Poza swoim ogrodem don Jaime to człowiek jakich wielu: wykształcony, inteligentny, pracowity, zajęty swoimi interesami, zwyczajny. No, może nieco ekscentryczny w ubiorze. Tak czy owak wzbudza powszechną sympatię i szacunek. Nawet ci, którzy twierdzą, że jest nieszkodliwym wariatem, mówią to raczej z ciepłym uśmiechem. Niewykluczone, że teraz skandal ze ślubem zaszkodzi pozytywnej opinii całej rodziny Alerces, ale don Jaime wcale się tym nie przejmuje.

Tak samo jak pozostałych zdziwiła go decyzja córki; ba, musiał też wziąć na siebie udzielanie wyjaśnień gościom i rodzinie narzeczonego. Mimo to nie wyrzuca Blance jej zachowania w kościele, wręcz przeciwnie.

– Miałaś coś w oczach już w samochodzie... Powinienem był to zrozumieć i kazać szoferowi zawracać do domu.

– Zdecydowałbyś się na to?

– Jeśli nie po to pracuje się na swoją pozycję, żeby móc sobie na takie rzeczy pozwalać, to nie wiem po co. Jak matka? Odzywa się już do ciebie?

– Tylko jeśli musi. Sądzę, że gdyby to od niej zależało, wyrzuciłaby mnie z domu.

– Nie powiem, że o tym nie myślała. Odmawia pokazywania się na mieście. Uważa, że wszyscy śmieją się z nas za naszymi plecami.

– Bardzo mi przykro, ale jedynie ze względu na was. Ja zrobiłam to, co musiałam.

Doña Ana złażała córkę za dwoje, za siebie i męża. Czuje, że Blanca ośmieszyła rodzinę – i to na długo. Podobno nawet na herbatce u królowej komentowano to okropne zajście, akurat były u niej hrabina Romanones i ze dwie inne panie.

– I co teraz zrobisz? Pójdiesz do klasztoru? Bo po czymś takim nikt już na ciebie nie spojrzy. Nawet najgorszy prostak ze straganu...

– No to nie wyjdę za mąż. Jakoś mnie to nie martwi.

– Postępuj tak dalej, a sama zobaczysz, jak to się skończy.

Doña Ana ma poniekąd rację. Kto się teraz Blanwą zainteresuje? Który mężczyzna przy zdrowych zmysłach zechce się z nią związać? Żeby i jego zostawiła przy ołtarzu? Nie, z zamążpójściem nie będzie jej już łatwo.

– Mogę studiować, zapisać się na uniwersytet.

– Jasne. Czemu nie? A nie myślisz o armii? Szybko zostałąbyś kapralem, dajmy na to, piechoty. Wiesz, że mamy wojnę, a na wojnie prędko się awansuje. Głupia dziewczyna!

Nieco swobodniejsze są rozmowy z Elisą. Przyjaciółki nie oglądają już magazynów o modzie, rozmawiają o innych sprawach. – Nie rozumiem tylko, skąd ci się to wzięło... Ani dlaczego mi się nie zwierzyłaś. Gdybym wiedziała, nigdy bym ci na coś takiego nie pozwoliła...

– Tego jeszcze brakowało, żebyś i ty kazała mi trzymać buzię na kłódkę!

Elisa od początku, od chwili, gdy kilka godzin po niedoszłym ślubie zdołała spotkać się z Blanwą, nie kryła potępienia. Kiedy jednak pierwsze zamieszanie minęło, w głębi duszy poczuła radość. Carlos de la Era wciąż był wolny, istniał więc cień szansy, że się w niej zakocha.

– Mężczyźni miewają kochanki, też mi zaskoczenie! Witaj w prawdziwym świecie. To niemiłe, ale tak już jest od początku świata. Myślałaś może, że Blanki Alerces takie rzeczy nie dotyczą?

– I co? Mamy się z tym w milczeniu godzić?

– Sądzisz, że mój ojciec kogoś nie ma? Albo twój? A jednak ani twoja matka nic nie mówi, ani moja nie mówiła, to naturalne.

– Nie, nie zgadzam się na taki układ. Poza tym co do twojego ojca, to nie wiem, ale za swojego ręczę. Jemu wystarczy ogród.

Dla ich przyjaźni lepiej by było, żeby unikały tego tematu. Nie zawsze się wszakże da.

– Tu nie chodzi tylko o kochankę, Eliso, to kwestia zasad i kontroli nad własnym życiem. W dniu tego nieszczęsnego ślubu po raz pierwszy zdobyłam się na odwagę i powiedziałam wszystkim, że nie zgadzam się, by ktoś mnie okłamywał. By wyrzucał na bruk kobietę i własne dziecko, bo znalazł sobie kogoś innego. By traktował mnie gorzej, ponieważ jestem kobietą.

– Zaraz mi powiesz, że wybierasz się na demonstrację w sprawie praw wyborczych dla kobiet.

– Oczywiście, że tak. Na pewno się wybiorę.

– Lepiej zmieńmy temat. Co teraz zamierzasz?

– Zamierzam pracować. Nie wiem jeszcze jak, ale zamierzam.

– Gorzej z tobą, niż myślałam, Blanco. Jaką pracę, twoim zdaniem, może wykonywać kobieta o twojej pozycji społecznej?

– Nie wiem, w Europie jest wojna, warunki się zmieniają. Jako córka

dyplomaty uczyłam się w najlepszych szkołach i pod okiem guwernantek z różnych krajów, znam trzy języki. Jakiejś firmie współpracującej z zagranicą się przydam.

„W obliczu trwającego w Europie konfliktu mam obowiązek nakazać poddanym hiszpańskim zachowanie jak najściślejszej neutralności, w zgodzie z obowiązującym prawem i międzynarodowymi umowami”.

Dekret Jego Królewskiej Mości Alfonsa XIII, oficjalnie potwierdzający neutralność Hiszpanii, ukazał się w „La Gaceta” siódmego sierpnia tysiąc dziewięćset czternastego roku, wywołując natychmiastową reakcję: wszyscy i wszędzie wypowiadali się za interwencją lub przeciw niej, za Niemcami lub Francją i Anglią albo też odwrotnie... Nawet jeśli hiszpańscy żołnierze – wyjąwszy Hiszpanów, którzy zaciągnęli się do Francuskiej Legii Cudzoziemskiej – nie mieli brać udziału w walkach, obywatele od początku śledzili wydarzenia z takim zaangażowaniem, jakby od ich dyskusji w lokalnym barze zależały losy wojny. Co poniektórzy zaopatrzyli się nawet w mapy Europy, żeby tym lepiej orientować się w rozwoju sytuacji.

– Gdyby Hiszpania poparła Niemcy, Francja musiałaby się bronić na dwóch frontach i długo by tak nie wytrzymała. Odplacilibyśmy żabojadom za napoleońską inwazję...

– To absurd, zresztą kto jeszcze pamięta Napoleona? Gdybyśmy przyłączyli się do Niemców, Brytyjczycy zaatakowaliby nas od razu. Trzeba trzymać z Anglią i Francją.

– Jak udzielimy im poparcia, niemieckie łodzie podwodne storpedują nasze statki i stracimy Baleary, Wyspy Kanaryjskie, Maroko i Gwineę. Hiszpania musi zachować neutralność. Przynajmniej raz się ten cały Burbon nie pomylił...

Hiszpanie podzielili się w sposób, który niewiele ma wspólnego z realiami toczącego się w Europie konfliktu. Co bardziej liberalni sekundują aliantom, podczas gdy konserwatyści i miłośnicy porządku sprzyjają Niemcom. Często decydującą rolę odgrywa zwyczajna sympatia względem jednych lub drugich. Racjonalności w tym wszystkim za grosz, ale cóż, wojna w ogóle nie jest racjonalna.

Frank Heimer, Niemiec zakochany we Francji, słucha tych dyskusji z mieszanymi uczuciami, ale zarazem nie ma wątpliwości.

– Oczywiście, że jako Niemiec jestem za Niemcami. Jeśli zostanę powołany, będę walczyć.

Niedawno skończył czterdzieści lat. Nie wygląda na to, by mężczyzna w jego wieku czekał rychły pobór do wojska, lecz jeśli wojna będzie się przedłużać, to kto wie.

– Nawet wielu nauczycieli przeszło już szkolenia oficerskie. Na froncie będą dowodzili swoimi dawnymi uczniami. Nie wiem natomiast, jaką rolę pruscy

generałowie przewidują dla takich jak ja...

Gonzalo nadal spotyka się z nim, kiedy tylko może – w Café de la Montaña albo w bezimiennym lokalu przy ulicy Flor. Jeśli jest w stanie usnąć czujność ojca, noc z kolei spędza w hotelu París.

– Dla mojego ojca, wielce szanownego generała Fuentesesa, nie ma znaczenia, że skończyłem już dwadzieścia dwa lata i za kilka miesięcy skończę studia prawnicze. Póki mieszkam pod jego dachem, powinienem okazywać posłuszeństwo. Muszę znaleźć pracę i się usamodzielnąć.

– Zamieszkać ze mną.

– Co ty...? Chcesz, żeby ojciec zabił nas obu?

– Nie wątpię, że to by właśnie uczynił. Próbowaleś u don Jaimego, ojca tej przyjaciółki twojej siostry?

Ojciec Blanki, człowiek bardzo dobrze sytuowany, wśród innych swoich zasobów posiada duży pakiet udziałów w „El Noticiero de Madrid”. Gonzalowi marzy się praca dziennikarza i już prosił don Jaimego o pomoc.

– Powiedział, że zobaczy, co się da zrobić.

– Jeśli zechce, na pewno znajdzie ci posadę.

– To się okaże. Jeśli nie uda mi się z dziennikarstwem, będę musiał się zatrudnić w jakiejś kancelarii i resztę życia spędzę w jakimś ohydny gabinetce, zajmując się tym, czego nie lubię.

– Więc dlaczego wybrałeś takie studia?

– A jak myślisz? Miałem do wyboru prawo albo akademię wojskową.

Dzisiejsze hasło wstępu do kabaretu przy ulicy Flor to nazwisko Dominika Guzmána – akurat jest jego dzień, ósmy sierpnia, minęła ledwie doba od ogłoszenia hiszpańskiej neutralności. Gonzalo i Frank, jak prawie zawsze, piją moët & chandon. Zmienił się natomiast wystawiany na scenie spektakl: znikł koszmarny naśladowca Belli Otero, zastąpiony przez znacznie bardziej śmiałego młodzieńca, który udaje słynną Chelito, odgrywając jej nie mniej słynny numer z pchłą i śpiewając: „Och, co za pchła-wstręciucha weszła mi do ucha”.

– Nie, błagam. Chyba się tu nie rozbierze...?

– Najwyraźniej do tego to zmierza. Ostatecznie, jak nie znajdzie tej pchły w uchu...

– Jeśli zjawi się policja i zobaczy go w takim dezabilu, posadzą nas wszystkich. Nawet paszport dyplomatyczny mi nie pomoże.

– Jeśli zjawi się policja, posadzą nas wszystkich tak czy owak. Rozejrzyj się tylko.

Kilku młodych ludzi ubrało się na ten wieczór w spódnice do kankana i teraz zadziera je przy byle okazji; pewien chłopak nieco dalej ma na sobie rzymską tunikę, a pod kolumną nieopodal, głusi i ślepi na wszystko wokół, całują się jakiś starszy mężczyzna i ktoś bardzo, ale to bardzo młody. Większość publiczności

oklaskuje artystę na scenie. Frank i Gonzalo parszczają śmiechem.

– Jeszcze zatęsknimy za naszym Bellem Otero...

– Miałeś wątpliwości, czy ten tam się rozbierze. To patrz.

– Ależ ciało! Chyba płacą mu wystarczająco dużo, by mógł o siebie zadbać.

Wieczór upływa przyjemniej, niż można by się spodziewać po kilku dniach wypełnionych rozmowami o wojnie i polityce. Póki ktoś mocno pijany nie zaczepia Franka słowami:

– Ej, ty, *boche*...

Ma silny francuski akcent. *Boche* to obelżywe określenie Niemca, używane ostatnio z upodobaniem przez rozmaitych francuskich satyryków. Mimo rzuconego mu w twarz wyzwiska Frank się uśmiecha.

– Nie zapominaj, że jesteśmy w kraju zachowującym neutralność, przyjacielu.

Francuz jednak nie zamierza rezygnować z bitki. Gonzalo interweniuje, próbując zapobiec rękoczynom.

– Chodź, Frank, idziemy.

– Nie skończyliśmy szampana. Poza tym podoba mi się to przedstawienie.

Pijany mężczyzna łapie Franka za klapę marynarki, Frank go odpycha. Cała sytuacja przyciąga uwagę ludzi wokół. Francuz stara się uderzyć Niemca, lecz w swoim stanie upojenia tylko się przewraca, choć Frank ledwie go dotknął.

– Chodźmy już, Frank.

– Czekaj, może ten pan ma mi jeszcze coś do powiedzenia.

– Chodźmy, proszę, no, chodźmy...

Wieczór już i tak jest zepsuty, jednakże w hotelu czeka ich kolejna nieprzyjemna niespodzianka. Nocny portier, widząc Franka, mówi:

– Przyszedł telegram do pana, panie Heimer.

Mimo starań Gonzala Frank nie rozpogodził się jeszcze po zejściu w klubie, a przeczytawszy telegram, zupełnie posepnieje.

– Złe wieści?

– Powiem ci na gorze.

W pokoju podaje kochankowi papier. Ręka mu drży i Gonzalo wzdraga się przed odczytaniem wiadomości.

– Wiesz, że kiepsko znam niemiecki...

– Zrozumiałbyś, ale skoro się boisz, tak jak ja zresztą, to ci przetłumaczę: zostałem powołany do wojska, mam miesiąc, żeby stawić się w punkcie mobilizacyjnym w Berlinie.

* * *

– Telegram? Do mnie?

– Z Francji, dziś rano rozwiozłem jeszcze kilka.

Pismo adresowane do Hugueta napisane jest nie po niemiecku, tylko po

francusku, niemniej na jego treść to znacząco nie wpływa: Jean-Marie ma się stawić w odpowiednim punkcie mobilizacyjnym we Francji, w przeciwnym razie zostanie uznany za dezertera.

Oszołomiony wciąż próbuje przyswoić sobie tę informację, gdy do pracowni wchodzi Carmen. Wygląda na tak zadowoloną, że Jean-Marie pozwala, by pierwsza podzieliła się swoją nowiną.

– Będziemy rodzicami!

Wiele razy rozmawiali o tym w łóżku przed snem: Jean-Marie chce mieć hiszpańskiego bobasa, uwielbia słowo *churumbel*¹, które tak go bawi i którego nie potrafi wymówić. Gdyby usłyszał, że zostanie ojcem, przed pięcioma minutami, skakałby ze szczęścia pod sufit.

– Co się dzieje? Nie cieszysz się?

– Jasne, jasne, że się cieszę, tyle że właśnie dostałem telegram.

Carmen od razu wie, o co chodzi.

– Musisz jechać?

– Tak.

– Nie jedź. Nie znajdą cię... Gdzieś się zaszyjemy...

– To niemożliwe, ja muszę.

– A co z twoim dzieckiem?

Jean-Marie nie ma na to odpowiedzi. Jednakże i dziecku by się nie przysłużył, gdyby skazał się na los dezertera i musiał ukrywać po jakichś górskich wioskach. Jak zarobiłby na życie? Przecież nie malowaniem obrazów! Pasałby świnię? Hodował pomidory? Nic nie wie o wsi, urodził się w Paryżu. Nie nadaje się do takiego życia.

– Przed wyjazdem sprzedam wszystkie obrazy i zostawię ci trochę pieniędzy.

Carmen wróci do rodziny, oni się nią zajmą. Cyganie nie zostawią swojej siostry na pastwę losu.

– Przykro mi, kochanie. Nie spodziewałem się tego.

– Idź sobie, nie chcę cię znać.

– Zostały mi dwa tygodnie. Może wojna skończy się, zanim dotrę do Paryża, i wrócę bez konieczności oddania choćby jednego strzału. Wyobrażasz to sobie? W takim wypadku musiałbym wymyślić jakąś heroiczną opowieść dla syna.

– A jeśli to będzie córka?

– To jej powiemy, że ojca zwolnili z wojska, bo taki był przystojny.

A gdyby tak się stało? Gdyby wojna trwała na tyle krótko, by Jeanowi-Marie ani przez chwilę nie groziło niebezpieczeństwo?

– Pamiętasz, jak byliśmy w Kadyksie?

– Oczywiście.

– Najbliższe dwa tygodnie będą jeszcze lepsze. A tymczasem moi rodacy dadzą takiego łupnia Szwabom, że dla mnie nie zostanie ani jeden.

Jeden z obrazów, przedstawiający Carmen w koszuli nocnej z opadającym ramiączkiem, namalowany tuż po tym, jak po raz pierwszy się kochali, znów pojawił się w pracowni.

– Nie sprzedałeś go...?

– Przyjdzie po niego markiz Albero. Odesłali go z Madrytu, to miał być prezent ślubny, ale zdaje się, że panna młoda w ostatniej chwili zmieniła zdanie. O co mogło jej chodzić?

– Może jej przyszły mąż postanowił iść na wojnę, tak jak ty.

– Wiemy już wszystko, co chcemy wiedzieć, twoi wspólnicy nam powiedzieli. Więc jeśli cię pytamy, to tylko po to, by mieć przyjemność obserwowania, jak zdradzasz swoich kumpli.

Cyjanek Gawriła Principa też nie zadziałał, podobnie jak ten Čabrinowicia. Zamiast umrzeć, Gawriło tylko zwymiotował; potem chciał się jeszcze zastrzelić, ale nie zdążył, bo wyrwano mu pistolet z ręki.

Ochroniarze arcyksięcia Franciszka Ferdynanda natychmiast rzucili się na zamachowca, tłum omal go nie zlinczował, dopiero interwencja kilku miejscowych policjantów ocaliła mu życie. Przewieziono go na komisariat – gdzie chwilowo jest w miarę bezpieczny – rannego i ze złamaną ręką.

Gawriło czuje, że z tą ręką nie jest dobrze – nie nastawiono mu jej jak należy i teraz boli okropnie, lecz nikt nie zwraca na niego uwagi. Kto by się przejmował tym, że zabójca następcy austro-węgierskiego tronu skarży się na ból? Zresztą od chwili aresztowania bito go już tyle razy, że pojedyncze dolegliwości toną w ogólnym cierpieniu.

– Kto ci powiedział, którądy będzie jechał samochód arcyksięcia?

– Już mówiłem: to był przypadek. Akurat wychodziłem z cukierni Moritza Schillera...

– I my mamy w to uwierzyć? Kto ze świty Franciszka Ferdynanda dostarczał ci informacji?

Zatrzymano wszystkich zamachowców; żaden nie zdołał zachować milczenia. Już dwudziestego ósmego czerwca w Sarajewie wpadli Princip i Čabrinović; w kolejnych dniach – następni: Grabež, Čubrilović, Popović, Djukić. Potem organizatorzy: Ilić, Kerović, ba, także sympatycy, którzy pomagali im w drodze do Sarajewa, sarajewscy Serbowie udzielający im schronienia już na miejscu... Zbiec udało się jedynie Mehmedbasiciowi, przywódcy Czarnej Ręki w Bośni. Złapano go w Czarnogórze, lecz dzięki tamtejszym władzom ostatecznie trafił do Serbii, gdzie, wśród swoich, był bezpieczny.

Gawriło nie ma kontaktu ze światem zewnętrznym, nie wie zatem, co się dzieje. Marzy, że jego cierpienie nie pójdzie na marne; że każdy w Serbii pozna jego imię, dzieci będą się na nim wzorować, a mężczyźni w Belgradzie – na

dźwięk jego nazwiska z szacunkiem skłaniać głowę.

– Od kogo dostałeś rozkazy w Serbii?

– Od nikogo. Dopiero w Sarajewie dowiedziałem się, kogo mamy zabić. Wcześniej podejrzewaliśmy, że to ktoś ważny, ale nie znaleźliśmy nazwiska. Sądziłem, że chodzi o gubernatora Oskara Potioraka.

Śledczy chcą udowodnić, że za zamachem stały serbskie służby wywiadowcze. Pokazują Principowi zagraniczne gazety, artykuły w obcych językach, pisane alfabetami, których Gawriło nie zna, twierdzące, że właśnie tak było. Pytają go o Apisa, a on wie tylko tyle, ile wszyscy: że to pseudonim Dragutina Dimitrijevicia, szefa serbskiego wywiadu; nigdy go nawet nie widział, nie wspominając już o jakiegokolwiek z nim rozmowie.

Nie mogą skazać go na śmierć ze względu na wiek, bo nie skończył jeszcze dwudziestu lat, wyznaczających w Bośni pełnoletność; najwyższa kara, jaka mu grozi, to dwadzieścia lat więzienia. Sam nie wie, czy to dobra wiadomość: ból ręki staje się nie do zniesienia, gruźlica nie pozwala żywić zbyt wielkich nadziei, przyszłość tak czy owak maluje się w ciemnych barwach. Śmierć nie byłaby w tej sytuacji najgorszym rozwiązaniem.

* * *

– Witaj, nie spodziewałem się tak prędkiego spotkania.

Widząc Blancę idącą chodnikiem na wysokości Prado, Carlos de la Era wysiadł ze swego auta, czerwonego renault coupé, model De Ville. Blanca wraca akurat z ulicy Santa Isabel, gdzie jacyś ludzie potrzebowali osoby znającej angielski. Myślała, że chodzi o tłumaczenia albo coś w tym stylu, lecz okazało się, że szukają guwernantki, a takiej pracy nie zamierza się podejmować. Nie chce dbać o cudze dzieci w ramach kary za to, że nie ma własnych. Zresztą i tak by jej nie zatrudnili – kiedy pani domu ją zobaczyła, od razu spytała, czy to nie ona zostawiła narzeczonego przed ołtarzem. Najwyraźniej wszyscy ją znają, nawet jeśli ona nie zna ich. Matka miała rację: cała ta historia zatoczyła szerokie kręgi i będzie bardzo jej szkodzić. Trudno, tak należało postąpić, żal nie wchodzi w rachubę.

– Wybacz, Carlosie, ale nie mam ci nic do powiedzenia.

– Pewnie, wszystko powiedziałaś już w kościele, prawda?

Blanca usiłuje go wyminąć, bez skutku.

– Ty powiedziałaś wszystko, a ja nic. To niesprawiedliwe, czyż nie?

– Przepuść mnie, proszę.

– Myślisz, że możesz mnie ośmieszyć, a ja nie zareaguję? Jeszcze pożałujesz... Też mam kilka historyjek w zanadrzu, o tobie... Jak to niby taka dama okazuje się zwykłą dziwką. Ciekawe, czy twojej mamie przypadną do gustu upodobania córeczki...

Blanca jest dziewczyną, ale jak wiele kobiet, z przyszłym mężem pozwoliła sobie przekroczyć pewne granice. Nic szczególnie zdroźnego nie zaszło: było

trochę namiętnych pocałunków w tych rzadkich chwilach, kiedy znajdowali się sami, kilka razy czyjeś dłonie zawędrowały dalej, niż dopuszcza przyzwoitość...

– Albo twojemu ojcu, szanownemu panu ambasadorowi, wariatowi, który mówi do swoich kwiatów? Czy papa będzie szczęśliwy, słysząc o twoich wyskokach?

– Nie mam powodów do wstydu.

– To się jeszcze okaże. Powiem ci, co się stanie: pewnego pięknego dnia ci wszyscy ludzie, którzy teraz ci się kłaniają, przestaną to robić, będą szeptać za twoimi plecami jeszcze bardziej niż w tej chwili, będą z wyraźną pogardą patrzeć na twoich rodziców, którzy naprawdę zaczną się ciebie wstydzić.

– Jesteś draniem.

Carlos się śmieje – wymuszonym, drwiącym śmiechem.

– Draniem? Cóż za urocze wyzwisko! Twoi bliscy nie będą cię wyzywać, o nie! Ale i tak będziesz wiedziała, że cierpią przez ciebie. Wiesz, że nie lubię czytać, co nie przeszkodziło mi nauczyć się z jednej książki czegoś bardzo pożytecznego: zemsta to danie, które najlepiej smakuje na zimno. Pamiętaj o tym.

Blanca wyswobadza się w końcu, pragnie jak najszybciej dotrzeć do domu. Zamierzała skorzystać z okazji, że jest sama, i pospacerować, może pooglądać nowe kolekcje na wystawach sklepów z odzieżą, teraz jednak straciła na to ochotę. Niemal biegnie, płacząc; pewnie wygląda jak wariatka.

– Blanca!

To woła Gonzalo, brat Elisy. Ktoś, komu może zaufać; o kim wie niemal wszystko; komu mogłaby się zwierzyć bez obawy, że zostanie osądzona.

– Co ci jest?

– Nic. Nic mi nie jest.

– Słuchaj, mnie nie oszukasz.

Gonzalo proponuje, że zatrzyma taksówkę i odwiezie Blancę do domu, ale ona woli się przejść. To da jej trochę czasu, żeby się uspokoić.

– Niech przynajmniej łzy mi po drodze obeschną.

Ruszają więc we dwoje. Po chwili są już w parku Retiro i siadają na ławce. Kilka minut temu Blanca przeżyła jeden z najgorszych momentów w życiu, a teraz wszystko wokół jest takie spokojne: dzieci się bawią, zakochani spacerują pod rękę, jakieś dziewczęta śmieją się hałaśliwie...

– To powiesz mi, co się stało?

– Spotkałam Carlosa.

– Coś ci zrobił?

– Nic. Zapowiedział tylko, że się zemści.

– Nie przejmuj się, ludzie mówią takie rzeczy, ale to bez znaczenia. Carlos nie może ci zaszkodzić.

– On jest mężczyzną, a ja jestem kobietą. Oczywiście, że może mi

zaszkodzić. Ludzie będą zachwyceni jakąkolwiek historyjką na mój temat.

Kiedy Blanca miała dwanaście, może trzynaście lat, Gonzalo wydawał jej się najprzystojniejszym mężczyzną na świecie. Marzyła, że za niego wyjdzie, o czym wiedziała wyłącznie Elisa. Wkrótce potem zaczęła rozumieć, że Gonzalo różni się od innych chłopców, i przestała o nim myśleć w ten sposób. Nieco ponad rok temu Elisa wpadła do niej bardzo zmartwiona. Początkowo nie chciała zdradzić, o co chodzi, ale w końcu nie wytrzymała: Gonzalo woli mężczyzn. Znalazła list napisany do niego przez jakiegoś przyjaciela i nie miała już żadnych wątpliwości. Zresztą spytała brata, on zaś potwierdził.

– Prosił mnie tylko, żebym nie mówiła ojcu. Pewnie, że nie powiem, przecież zabiłby nas oboje: Gonzala za to, kim jest, a mnie, bo dowiedziałam się wcześniej.

Obie rozumiały, że tak bywa: niektórzy mężczyźni sypiają z mężczyznami, podobnie jak niektóre kobiety pociągają ich własną płcią. Tylko że dotąd nikogo takiego nie znały. Blanca otrząsnęła się pierwsza.

– W sumie: co za różnica? Gonzalo jest inteligentny, przystojny, miły dla ludzi i w potrzebie zawsze ci pomoże.

– A jak mój ojciec się domyśli?

– Dlaczego miałby się domyślić?

Elisa potrzebowała więcej czasu niż jej przyjaciółka, niemniej w końcu uznała, że ta sprawa nie musi wpływać na jej relacje z bratem. Dlatego, choć takich rzeczy nie pochwała i bynajmniej się z tym nie kryje, w razie potrzeby chroni Gonzala przed ojcem.

– Tyle że on chyba coś podejrzewa. To się źle skończy, zobaczysz.

Blanca poprawia makijaż, żeby przed powrotem do domu ukryć ślady łez. Gonzalo się wygłupia, mówi, że potrzyma jej lusterko, po czym przysuwa je i oddala.

– Przestań, co?

– Nie. Poza tym cię odprowadzę. A jak pojawi się ten cały Carlos, to spuszczę mu lanie, ot co!

Zawsze potrafi ją rozśmieszyć, naprawdę szkoda, że nie pociągają go kobiety – byłby doskonałym mężem. Którego, zdaniem matki, Blanca nigdy już nie znajdzie.

– Austro-Węgry atakują Serbię. To wieści z pierwszych stron gazet...

Wojny istnieją, ponieważ sprzyjają interesom, sprzedaży rozmaitych periodyków, a nawet podwyższeniu obrotów kafejek. Neutralność bez wątpienia sprawi, że wielu Hiszpanów mocno się wzbogaci, sprzedając walczącym stronom żywność, produkując broń, części zamienne do pociągów i samochodów, mundury dla żołnierzy... A gazety zwiększą nakłady, by zaspokajać ciekawość obywateli,

którzy gromadzą się, by komentować rozwój wydarzeń, posunięcia armii i szanse na zwycięstwo.

– Informacje, które do mnie docierają, są alarmujące.

Alfons XIII jest, rzecz jasna, lepiej poinformowany niż czytelnicy gazet. Straty wojenne od początku są wyższe, niż można by zakładać. Analitycy, którzy przepowiadali konflikt krótki i elegancki, rozgrywany raczej przez dyplomatów niż żołnierzy, jak to bywało w Europie od czasów Napoleona, mocno się pomylili.

W ciągu zaledwie kilku dni Niemcy zajęli Belgię, Austria najechała Serbię i poniosła klęskę, Francja zaatakowała niemiecką Lotaryngię, Rosja – należąca do Austro-Węgier Galicję. Niemcy maszerują na Paryż, Francuzi podjęli ofensywę antyniemiecką w Kamerunie, wojska francuskie i brytyjskie przygotowują się do starcia z Niemcami nad Marną – pierwszej wielkiej bitwy w tej wojnie po klęsce Austro-Węgier pod Lwowem.

– To wojna pozycyjna, rozgrywana w okopach, jazda na nic się tu nie przyda. Liczą się artyleria, piechota i lotnictwo. Tysiące ludzi giną, żeby zdobyć kilka metrów terenu, które następnego dnia przeciwnik odbije, również ponosząc ogromne straty w ludziach.

– Tak się na dłuższą metę nie da.

– Mam nadzieję, że nie. Dyplomaci powinni zadziałać i znaleźć jakieś rozwiązanie. Wydałem dyspozycje dla naszych ambasad: mają zabiegać o pokój. Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żeby zakończyć ten koszmar.

Po raz pierwszy od wielu lat inicjatywa monarchy podoba się obywatelom. Wprawdzie wojskowi, jak również właściciele mediów i fabryk broni są za wojnę, Hiszpanie jednak zaczynają rozumieć zalety pokoju.

– Na razie spróbujemy środkami dyplomatycznymi zastopować ataki łodzi podwodnych na statki cywilne. Napisałem już do kajzera, do Jerzego V, do cara Mikołaja i do prezydenta Francji, Raymonda Poincaré, z prośbą o spotkanie.

– Nie będzie z tym łatwo.

– Niech przynajmniej oszczędzą okręty pasażerskie i szpitalne.

– Niemcy zatopią każdy statek, który mógłby zaopatrywać Anglię.

– To poważny błąd. W ten sposób tylko sprowokują Stany Zjednoczone. Może coś osiągniemy, choćby tyle, żeby wszyscy zobaczyli w tym rozwiązaniu korzyści dla siebie...

Wielu hiszpańskich robotników, szukających szczęścia w innych krajach Europy, wraca teraz do domu i w niektórych hiszpańskich miastach brakuje pracy.

– To minie. Hiszpania dużo zyska na tej wojnie. Miejmy nadzieję, że dzięki temu dogonimy sąsiadów i że nie zaprzepaścimy kolejnej okazji.

– Dziś dzień świętego...

– Szymona.

Frank rozgląda się po lokalu zdziwiony, że Gonzalo jeszcze nie dotarł. Siada i zamawia ostatnią butelkę moët & chandon, którą wypije ze swoim kochankiem – nieco zresztą zawstydzony, że sięga po francuskiego szampana, produkt wroga. Już zaczął się przyzwyczajać do okropnej niepunktualności Hiszpanów, nieobcej też Gonzalowi, i akurat teraz musi wyjeżdżać...

Nigdy wcześniej nie zwrócił uwagi na pianistę. To starszy mężczyzna, elegancki i biegły w swojej sztuce, nawet jeżeli musi wykonywać najrozmaitsze kawałki do tańca, choć może kiedyś grał w innych okolicznościach, dla bardziej skupionego audytorium. Brwi ma tak wydepilowane, że prawie niewidoczne, włosy zbiera czasem delikatną siateczką i nieodmiennie występuje w złotym garniturze. Frank zastanawia się, co go przywiodło w to miejsce. Sam w dzieciństwie uczył się gry na pianinie i szło mu całkiem nieźle. Nie gra od lat, ale kto wie – może przy odrobieniu wysiłku znów szybko osiągnąłby biegłość. Przechodzi mu przez myśl, że i on mógłby tak skończyć: w klubie dla homoseksualistów, ubrany na złoto, wystukując na klawiaturze kubańskie danzony na użytek kilku par na parkiecie. Niewykluczone, że i tamten kiedyś czekał na kochanka przy kieliszku szampana w jakimś klubie w takim czy innym europejskim mieście... Niewykluczone, że sukces i klęskę dzieli mniej, niż się Frankowi zawsze wydawało, a jedno i drugie może spotkać człowieka w dowolnym momencie.

Gonzalo, spóźniony jak zawsze, dociera na ulicę Flor. W pośpiechu nie zwraca uwagi na grupkę kręcących się po okolicy mężczyzn.

– Tam!

Zastępują mu drogę, jeden go popycha, inny szarpie.

– Pod piątkę, co...?

– Nie pytaj go, przecież widać.

Gonzalo się boi, nie pierwszy raz spotyka się z wrogością, ale nikt nigdy go fizycznie nie zaatakował.

– O co chodzi? Czego ode mnie chcecie?

Przepychanka staje się coraz gwałtowniejsza.

– Chcemy wyrzucić sodomitów z Hiszpanii.

– Tyle że nigdzie was nie przyjmą, więc zaraz ci pokażemy, jakim jesteś zbokiem.

– Zostawcie mnie w spokoju. Nic wam nie zrobiłem.

– Nic nam nie zrobił... Biedactwo...

Gonzalo czuje rosnące przerażenie, nie potrafi się bić. Nigdy tego nie próbował, nawet w szkole, a ci czterej wyglądają na silnych i nawykłych do bójek. Jeden trzyma w dłoni kij.

– Podoba ci się taki rozmiar? Wystarczający jak dla ciebie? Zaraz zrobimy ci dobrze, zobaczysz...

Gonzalo stara się wyrwać, lecz uderzenie pięścią posyła go na ziemię.

– No, już, ściągnijcie mu spodnie, zanim się pozbiera.

Opiera się, walczy, ale bez powodzenia. Od kolejnych ciosów uderza głową o bruk, mocny kopniak trafia go w nogę. Im bardziej Gonzalo się rzuca, tym mocniej obrywa. Czuje w ustach smak krwi, nie widzi już na jedno oko, a kopnięcie w pierś pozbawia go oddechu. Słabnie. Tamci zdążyli już tymczasem zdjąć mu spodnie i teraz starają się go przytrzymać bez ruchu. Jeśli im się uda, nabiją go na ten kij i umrze. Dlatego wciąż walczy. Nie poddaje się mimo bólu, mimo nowych ciosów...

– O, co się tu dzieje?

Napastnicy na moment się zawahali. Gonzalo widzi dwóch mężczyzn, którzy podchodzą bliżej.

– Zostawcie go.

Szykuje się grubsza awantura, ale obrońców jest tylko dwóch. Szans mają niewiele, tyle że przynajmniej wydają się zdecydowani.

– Wy też przyszłście się zabawić z chłopakami? Jak skończymy z tym tutaj, pokażemy wam, co to zabawa...

Chyba ktoś się tu pomylił. Gonzalo, półprzytomny, nie bardzo rozumie, dlaczego sytuacja nagle się zmieniła i mała grupka zyskuje przewagę nad większą. Nie widzi, jak jeden z jego obrońców wyciąga pistolet.

– Ktoś chce coś dodać?

Oprawcy Gonzala jeszcze przez chwilę się wahają, niepewnie patrząc po sobie. Najwyraźniej rozważają swoje szanse, oceniają, czy facet z bronią jest gotów strzelić. A on podnosi pistolet i celuje jednemu w głowę.

– Będiesz pierwszy. Dostaniesz kulkę między oczy.

Ten, w którego wymierzył, cofa się, a potem rzuca do ucieczki. Więc celuje w drugiego.

– Kolega, zdaje się, stchórzył. No to padnie na ciebie.

Teraz cofają się wszyscy, już mocno przestraszeni. W końcu rozbiegają się w popłochu. Kolega tego z bronią zbliża się do Gonzala.

– W porządku? Szlag, ostro cię poturbowali. Trzeba cię zabrać do szpitala.

Gonzalo chciałby poprosić, żeby uprzedzili Franka, który czeka w lokalu nieopodal. Dzisiejszy święty to Szymon, muszą tak powiedzieć przy wejściu, to ich wpuszczą i wtedy będą mogli... Nie może wydobyć głosu.

– Widzisz? Pistolet już drugi raz ratuje nas z opresji.

– Tak czy owak nie powinieneś go nosić.

Manuel Campos i Luis Segura niosą Gonzala do punktu medycznego przy ulicy Fuencarral. Biedak ma pęknięte dwa żebra i złamany nos, stracił też dwa zęby i trzeba będzie mu zszyć lewy łuk brwiowy...

Frank zaczyna się niecierpliwić, Gonzalo punktualnością nie grzeszy, ale aż

tak to się zwykle nie spóźnia. Gdyby coś mu wypadło, jakoś by go przecież uprzedził... Tym bardziej że to ostatni wieczór Franka w Madrycie, trudno sobie wyobrazić, żeby się z Gonzalem jeszcze ten jeden raz nie spotkali...

Kilka godzin później, gdy obejrzał już popisy na scenie i wysłuchał całego repertuaru pianisty, zbliża się do niego kelner.

– Zamykamy...

Frank wraca więc samotnie do hotelu; recepcjonista nie ma dla niego wieści, żadnego listu pożegnalnego od Gonzala. Walizki są już spakowane, z wyjątkiem podręcznej. Frank spędza tę noc, którą spodziewał się długo i miło wspominać, szarpany na zmianę gniewem, smutkiem i strachem.

Wybawcy Gonzala udali się też na ulicę Claudia Coella, by uprzedzić rodzinę nieszczęśnika, że trafił do szpitala San Carlos przy ulicy Atocha. Luis śmieje się z całej sytuacji: być może, interweniując, zwrócili się razem z Manuelem przeciw swoim.

– Uratowaliśmy burżuja, w dodatku generalskiego synka. Gdybym wiedział, nie wyciągałbym broni.

– Był sam jeden przeciw nim czterem. Nie obchodzi mnie ich pochodzenie. Nic mnie z nimi nie łączy.

– No, na anarchistów to mi nie wyglądali. Poszło pewnie o to, że ten chłopak to chyba pedzio.

– Niech każdy robi, co chce. Nam nic do tego.

Manuela, choć jest dumny, że zdołali pomóc, wciąż martwi pistolet Luisa. Dwa razy oszczędził im kłopotów, ale czy przy kolejnej okazji ich nie przysporzy?

* * *

Pociąg do Walencji odjeżdża o jedenastej dziesiątej. Stamtąd Frank popłynie statkiem do Włoch, by potem znów przesiąść się do pociągu, tym razem do Berlina. Jego bagaże leżą już w przedziale pierwszej klasy. Do ostatniej chwili wygląda na peron, szukając wzrokiem Gonzala, przekonany, że kochanek zjawi się jednak i będą mogli się na pożegnanie chociaż uścisnąć. Nic takiego wszakże nie następuje i pociąg rusza. Frank patrzy przez okno na madryckie przedmieścia i odnosi wrażenie, że nigdy więcej tego miasta nie zobaczy.

* * *

– Wyznaczono datę rozprawy, twój proces zacznie się dwunastego października.

Czyli wreszcie skończą się przesłuchania i bicie. I niewiedza, w której pozostaje od bardzo dawna. Choć i tak, z nikim nie rozmawiając, jedynie podsłuchując strażników, Gawriło zorientował się już w konsekwencjach zamachu, którego dokonał: wybuchła wojna, trwają bombardowania, bitwy, rzeź tysięcy ludzi.

– Nawet gdyby można cię zabić milion razy, sprawiedliwości wciąż nie stałoby się zadość.

A on jest przecież patriotą, nie bezdusznym przestępcą; gdyby wiedział, co się wydarzy, może by i nie strzelił do arcyksięcia.

Opowiedzieli mu o nieudanych próbach samobójczych Čabrinowicia: o nieskutecznym cyjanku i zbyt płytkiej rzece... I on pewnie sporo wycierpiał, może przestał być taki zadufany w sobie, może, gdyby się spotkali, już by się nie śmiał z Gawriła...

Princip nie miał kontaktu z żadnym adwokatem i nie wie, jaką przyjąć linię obrony. Zresztą to bez znaczenia: nawet jeśli ze względu na wiek nie mogą skazać go na śmierć, nawet jeśli nie dostanie dwudziestu lat, najwyższego wymiaru kary przewidzianego dla niepełnoletnich, i tak nigdy nie wyjdzie na wolność. Gruźlica, nasilająca się w więziennych warunkach, zabije go bardzo szybko. Najgorszy jednak jest ból ręki złamanej przed aresztowaniem przez tłum; Gawriło ledwie może poruszać palcami.

Korzystając z chwilowej nieuwagi strażników, zdołał ukraść łyżkę. Od wielu dni ostrzy jej trzonek o mur – stopniowo, gdy ma pewność, że nikt go nie przyłapie. Jeszcze nie wie, jak jej użyje, może podetnie sobie żyły na tej ręce, która przysparza mu tyle cierpienia.

Do celi wchodzi nieznany mu strażnik.

– Gawriło, jestem Serbem.

– Jak się nazywasz?

– To nieistotne.

Czy to podstęp obliczony na to, by wydobyć z niego więcej informacji? Czy nikt się jeszcze nie zorientował, że on naprawdę nie wie nic ponad to, co już powiedział?

– Wyciągniemy cię stąd. Bądź gotów dziś w nocy.

Nie myślał o takiej możliwości: że ucieknie, wróci na wolność, spełni swoje marzenie i będzie przechadzał się po Belgradzie w glorii i chwale, może nawet przejedzie otwartym samochodem, takim jak auto arcyksięcia, po ulicy Kniazia Michała, pośród wiwatujących tłumów... I tak wkrótce umrze, ale wcześniej zdoła się przynajmniej nacieszyć uznaniem rodaków.

Czeka całą noc, aż w końcu drzwi celi się otwierają. Tym razem wchodzi jeden ze stałych strażników, ten najbardziej brutalny. Od razu wymierza więźniowi cios, po którym słaby Gawriło wali się na ziemię.

– Więc planowałeś ucieczkę!

Przenoszą go do karceru – wilgotnej klitki, w której nie można nawet stanąć. W dodatku nóż z trzonka łyżki został w dawnej celi, ukryty między dwoma kamieniami w ścianie. Znikąd ratunku.

* * *

– Żebra muszą zrosnąć się same. Przez kilka tygodni nie wolno się panu ruszać.

Gonzalo wciąż leży obolały w szpitalu. Bez przerwy myśli o Franku, który płynie już pewnie do Włoch. Gonzalo nie wie nawet, do jakiego portu zawinie jego kochanek – o tym wszystkim mieli rozmawiać ostatniego wieczoru, na spotkaniu, na które Gonzalo nie dotarł.

Motyw jego pobicia nie wyszedł na jaw. Generał Fuentes sądzi, że chodziło o napad rabunkowy, i pociesza się, że napastników było aż czterech: nigdy by synowi nie darował, gdyby ten uległ jednemu bandycie czy nawet dwóm.

– Tak czy owak matka, niech odpoczywa w pokoju, zbytnio cię rozpieszczała. Gdybym miał większy wpływ na twoje wychowanie...

Elisa i Blanca odwiedzają go codziennie. Blanca przynosi dobre wieści: jej ojciec, don Jaime Alerces, wstawił się za nim w redakcji „El Noticiero de Madrid” i po wyjściu ze szpitala Gonzalo ma się stawić u naczelnego – może dostanie upragnioną pracę dziennikarza.

Blanca przy każdej wizycie czyta mu gazetę: niemal wszystkie ważne wieści dotyczą wojny. I tylko ona odważyła się go spytać, kto i dlaczego go napadł.

– Znalazłem się w złym miejscu w złym czasie. I tyle. Gdyby przechodził tamtędy ktoś inny, też by go to spotkało.

– Nic ci nie będzie, zobaczysz. A ta blizna na czole sprawi tylko, że staniesz się jeszcze bardziej interesujący.

Blanca zagląda do szpitala każdego popołudnia. Rany na twarzy Gonzala się goją, brat przyjaciółki odzyskuje równowagę. Choć w głębi duszy cierpi, bo nie pożegnał się z Frankiem. Lekarze są zadowoleni i być może skrócą pobyt pacjenta w szpitalu. Poza dziewczętami nikt Gonzala nie odwiedza, dlatego chłopak trochę się dziwi, gdy w drzwiach staje Manuel Campos, jeden z dwóch mężczyzn, którzy ocalili mu życie.

– Dzień dobry, zamierzałem się tylko dowiedzieć o pana zdrowie. Nie chcę przeszkadzać...

– Nie, nie, skąd, proszę wejść.

Gonzalo jest naprawdę wdzięczny: ten człowiek wziął go w obronę, ryzykował. Nie wiadomo, jak mu się udało skłonić tamtych do ucieczki, ale to nieważne: grunt, że się w ogóle pojawił.

Blanca i przybysz patrzą na siebie nawzajem z zaciekawieniem, w końcu Gonzalo dokonuje prezentacji.

– Ja chyba panią skądś znam... Tylko nie wiem skąd.

– Ja też nie wiem. Nie bywam zbyt często na mieście.

– Już pamiętam! Widziałem panią przed kościołem! Pani jest...

Jeszcze nim skończy zdanie, Manuel zdaje sobie sprawę, że nie powinien przywoływać tamtego momentu.

- Tak, jestem tą panną młodą.
- Przepraszam, że o tym wspomniałem.
- Nie szkodzi, trzeba ponosić konsekwencje swoich czynów. Ja pewnie będę je ponosić przez całe życie. Stał pan przed wejściem, prawda?
- Tak.
- Chyba pana pamiętam. Miałam wrażenie, że się pan do mnie uśmiechnął, gdy wysiadałam z samochodu.

Rozmowa toczy się gładko. Pięć minut później Blanca i Manuel konwersują już tak zapamiętale, że zdają się zapominać o Gonzalu. Z nieudanego ślubu przerzucają się na wojnę, potem na kwestię neutralności Hiszpanii, jak również jej obecności w Maroku, wreszcie na poetów w rodzaju Juana Ramóna Jiménez, eseistów takich jak Eugeni d'Ors i filozofów typu Ortega y Gasset, który właśnie opublikował *Medytacje o „Don Kichocie”*, znane już Manuelowi, a Blance jeszcze nie, choć jedno ze zdań z tej książki ostatnio często cytowano: „Jestem mną i moimi okolicznościami”.

- Sama już nie wiem, ile żartów wywołało to zdanie.
- W każdym razie jest bardzo interesujące, musi pani przeczytać całą książkę.
- Przeczytam. Zacznę zaraz po powrocie do domu. Zdaje się, że ojciec ma ją od kilku dni w swojej bibliotece.

Gonzalo przysłuchuje się im, patrzy na nich i dochodzi do absurdalnego wniosku, że tworzą idealną parę. Ona – blondynka o jasnej cerze i błękitnych oczach; on – śniady, męski, ciemnooki, zdecydowanie byłby w typie Franka. Po półgodzinie zaczynają mówić sobie na ty. Gonzalo nie ma już wątpliwości: gdyby nie pochodzili z tak różnych światów, narodziłaby się tu miłość od pierwszego wejrzenia.

Kim właściwie jest Manuel? Gonzalo wie o nim niewiele – tylko tyle, że przechodził tamtego wieczoru w pobliżu razem z kolegą, zareagował na bezprawie, odstawił pobitego do szpitala... Ubiera się jak robotnik, ale wydaje się dobrze wykształcony, ładnie się wyraża, a dłonie ma tak zadbane, że z pewnością nie pracuje fizycznie.

Słuchając jego i Blanki, Gonzalo na chwilę zapomniał o Franku. A przecież Frank jedzie wprost w paszczę lwa. Czy zginie? Czy się jeszcze zobaczą?

- Jesteś pewien, że to tutaj?
- Oczywiście, Wasza Królewska Mość. Po prostu nie ma szyldu.

Rozliczne sekretne tunele pod Pałacem Królewskim prowadzą w różne punkty dzielnicy. Powstały, by w razie czego umożliwić rodzinie monarszej ucieczkę, ale od dziesięcioleci służą do wymykania się na miasto incognito. Alfons XIII korzysta z nich, od kiedy, w bardzo młodym wieku, odkrył, że Madryt mimo

swojej sztywnej moralności potrafi być miastem niezwykle rozrywkowym. Dziś wyszli z Álvarem przez tunel, który kończy się w piwnicy pewnego domu przy ulicy Fuentes. Tam czekał już samochód przyjaciela, który powiózł ich na ulicę Atocha, w okolice placu Antóna Martina. Miejsce, którego szukają, mieści się przy ulicy León, na drugim piętrze budynku bez żadnych znaków szczególnych.

– To tu.

Kierowniczką lokalu wie, że ma się spodziewać „bardzo ważnego gościa” i nie powinna zadawać pytań. Otwiera od razu i prowadzi przybyszów bez słowa; nie napotykać nikogo po drodze, wchodzi do osobnej salki. Kiedy zacznie się spektakl, rozsunie się dyskretna kurtynka i obaj panowie będą mogli podziwiać występy, nie mieszając się z resztą gości usadzonych w dużej sali przypominającej widownię teatru. To jest lepsze niż łoża – Álvaro i jego tajemniczy towarzysz zobaczą wszystko, sami niewidoczni.

Ta sama osoba przynosi im wiaderko z lodem, w którym chłodzi się butelka perrier-jouët.

– Zostało piętnaście minut.

Czyli trzeba poczekać, sącząc szampana. Gdyby nie chodziło o króla, do mężczyzn dołączyłyby dziewczęta, by dotrzymać im towarzystwa i przygotować ich na zbliżający się spektakl.

– Wiesz, że królowa Wiktoria kazała uszyć dłuższe obrusy do Buckingham, żeby zasłonić nogi mebli? Podobno mogłyby się skojarzyć z damskimi i prowokować do grzechu.

– No, jeśli sama ma takie, to wolałbym ich nie oglądać.

– Dziwni są ci Anglicy.

– Sam się Wasza Królewska Mość ożenił z Angielką.

– Dziwne posunięcie, doprawdy dziwne.

Alfons XIII ożenił się z miłości i wiadomo, że jego żona wciąż go kocha, jednak małżonkowie z czasem oddalili się od siebie, może również ze względu na hemofilię, którą Wiktoria Eugenia przekazała części ich potomstwa. Utrzymują ciepłe stosunki, niemal się przyjaźnią, ale królowa musi znosić ciągłe zdrady męża. O królu krążą plotki, że ma dziecko z inną kobietą, podobno angielską *nanny* zatrudnioną do opieki nad jego legalną progeniturą; że najpiękniejsze aktorki sławią go jako świetnego kochanka i że po skończonym przedstawieniu nierzadko widuje się go w ich garderobach. Niemal wszystko, co się mówi i co z pewnością dotarło do uszu królowej, jest prawdą.

Teraz przez chwilę można będzie nie rozmawiać o wojnie, która zapowiada się długa i powszechna. Alfons XIII musi znosić rozmaite naciski, lecz jego przekonanie, że Hiszpania powinna trzymać się na uboczu konfliktu, wciąż rośnie.

– Skąd znasz to miejsce?

– Polecił mi je pewien wojskowy w kasynie. Zapewnił Waszą Królewską

Mość, że obejrzymy tu spektakl inny niż wszystkie.

Don Alfonso odchyła zasłonkę, która oddziela ich od reszty widowni, tak jak oni czekającej na rozpoczęcie przedstawienia.

– Patrz, kto tam siedzi. Carlos de la Era.

Álvaro szuka go wzrokiem. Tak, to on. Można by rzec, że stanowi część spektaklu: towarzyszą mu dwie młode wyzywające kobiety, z którymi na zmianę się całuje i pieści. prostytutki bez wątpienia.

– Słyszałeś coś więcej o tym jego ślubie?

– O ślubie to nie, Wasza Królewska Mość. Raczej o tym, co niedoszły pan młody opowiada na mieście: że jego była narzeczona, ta mała Alerces, wcale nie jest taką damą, jak się wydaje, i że ktokolwiek się z nią ożeni, nie będzie jej pierwszym kochankiem.

– Co za idiota. Ale szczęście mu sprzyja. Jego rodzina była już niemal zrujnowana, a teraz dzięki wojnie się podniesie. Jego ojciec robi dobre interesy z Francuzami, Anglikami i Niemcami.

Dźwięk gongu sygnalizuje, że powinni rozsunąć zasłonkę. Główna sala tonie w półmroku, na widowni siedzi około piętnastu osób obojga płci. Dalej widać oświetloną scenę.

– Mam nadzieję, że to nie będzie znowu coś o szukaniu jakiejś pchły.

– Zapewniam Waszą Królewską Mość, że nie. Zacznie się skromnie, ale potem zrobi się goręcej...

Álvaro Giner wie, co mówi. Spektakl robi się coraz bardziej erotyczny: najpierw kilka tancerek rozbiera się i odgrywa lesbijskie scenki, po czym następuje numer o charakterze całkiem już pornograficznym.

– Zaraz Wasza Królewska Mość zobaczy.

– Mam nadzieję, bo to, co widzieliśmy do tej pory, nie było warte całej tej wyprawy.

– Cierpliwość zawsze popłaca.

Na scenę wychodzą trzy kobiety. Dwie w bieli, ze skrzydłami, jak aniołki. Trzecia w czerwieni, z trójzębem w dłoni: istny diabeł.

– Kolejna lesbijska scenka?

– Cierpliwości.

– Przynajmniej te aniołki są całkiem ładne. Diablica wydaje się zbyt wysoka, jak na mój gust.

Kobiety tańczą, aniołki uciekają przed diablicą, która atakuje je trójzębem i zdziera z nich i tak już skąpe odzienie.

Na koniec diablica dopada ofiary, zaczynają się całować. Jeden z aniołków zdziera jej czerwoną pelerynę, drugi nie zaprzestaje pieszczot. Wreszcie na ziemię opada ostatni element czerwonej garderoby i diablica również zostaje obnażona.

– A niech to!

Okrzyk króla zbiega się z ogólnym pomrukiem na sali. No tak, efekt niespodzianki działa, dobrze, że Álvaro nic przyjacielowi nie zdradził.

Wtedy rozlegają się jakieś wrzaski – Carlos de la Era wstał i spoliczkował jednego z widzów. Zdaje się, że oskarża go o pożądlive zerkanie na jego towarzyski. Powstaje zamieszanie, któremu król przygląda się ze swojej „łóży”.

– Mam się im pokazać, Wasza Królewska Mość? Może na mój widok ten głupek się opamięta...

– Nie, tutejsza obsługa na pewno sobie z nim poradzi. Ale nie zapraszajmy go już więcej do pałacu, nigdy go nie lubiłem. Natomiast ciekawi mnie ta dziewczyna, Blanca Alerces. Jeśli kiedyś się na nią natkniemy, pokaż mi która to.

* * *

– Nie wrócimy do pracy, póki nie zostaniemy wysłuchani.

Robotnicy z fabryki Industrial Madrileña, produkującej części do tramwajów i mieszczącej się przy Cuatro Caminos, zastrajkowali, gdy przedsiębiorcy odmówili negocjowania nowych porozumień. Po tygodniu protestujący zajęli pobliską piekarnię, by zapewnić sobie chleb. W okolicy roi się od policjantów, robotnicy z innych dzielnic Madrytu ściągają na miejsce, by okazać wsparcie dla strajku. Sytuacja jest napięta i zdaje się z każdą chwilą pogarszać.

– Mam nadzieję, że nie wzięłeś broni, tutaj może być niebezpiecznie.

– Dlatego ją wzięłem: bo może być niebezpiecznie.

Luis Segura i Manuel Campos solidaryzują się z towarzyszami z fabryki, podobnie jak ze wszystkimi innymi, którzy walczą o swoje prawa. Luis pracuje jako kelner, ale tylko dorywczo – na przyjęciach, w ramach zastępstw. Tak woli: mniej zarabia, ale i nie ma rodziny na utrzymaniu. Poza tym dzięki temu jest panem swojego czasu i zawsze może znaleźć się tam, gdzie go akurat potrzebują. Czyli dziś – przy Cuatro Caminos. Obecność związkowych przywódców takich jak on, nazywanych przez policję zawodowymi wichrzycielami, to rzecz bardzo ważna dla walki o prawa najsłabszych.

Manuel, owszem, ma stałą pracę. Jest linotypistą w pobliskiej drukarni, działającej przy ulicy Juana Brava Murilla. Dlatego zdołał się wyrwać w porze obiadu i teraz obserwuje policjantów przygotowujących się do walki.

– Uważaj, to wygląda poważnie.

Większość strajkujących to mechanicy, silni mężczyźni, którzy dzierżą klucze angielskie, jakby to była broń, i wyraźnie nie lękają się policyjnych oddziałów. Widać też wielu podrostków – to z kolei praktykanci, jeszcze niemal dzieci. Manuel Campos między innymi dlatego zaangażował się w politykę – uważa, że dzieci nie powinny pracować. Powinny być w szkole, uczyć się i przygotowywać do przyszłych zadań, a nie od najmłodszych lat harować.

Manuel pragnie się podjąć mediacji, by uniknąć starcia. Nic z tego: rozmów nie będzie, żadna ze stron nie chce słuchać głosu rozsądku. Policjanci atakują,

robotnicy odpowiadają, rzucając w nich kostkami brukowymi i wymachując ciężkimi kluczami. W ciągu kilku minut wywiązuje się prawdziwa potyczka, w ramach której Luis odnajduje się znacznie lepiej od kolegi.

Manuel odsuwa się na bok – w razie konieczności umie walczyć, lecz tego nie lubi. Są różne sposoby rozwiązywania konfliktów, fizyczna konfrontacja to najgorszy z nich. Manuel ma nadzieję, że to wszystko skończy się prędko i bez strat w ludziach, chociaż wygląda na to, że policja idzie na całość.

Jeden z chłopców wyrывa kostki z bruku, podważając je metalowym prętem. Ma może ze dwanaście lat, ale wygląda młodziej. Jego koledzy chwytają pozyskane w ten sposób kamienie i obrzucają nimi funkcjonariuszy. Na tyle skutecznie, że grupa policjantów zwraca na nich uwagę i rusza w ich kierunku.

Jeden z nich dopada wyrostka i zaczyna go okładać pałką. Manuel rozumie, że jeśli nie zareaguje, tamten zatłucze małego na śmierć. Biegnie więc i odpycha policjanta. I już ma przy sobie trzech kolejnych, uzbrojonych po zęby. A zatem nie uniknie walki, z której zresztą na pewno nie wyjdzie zwycięsko. Wymierza kilka ciosów, aż jedna z pałek sięga jego głowy. Pada. Teraz naprawdę dostanie. Jednakże rozlega się strzał i policjant, który właśnie zamierzał Manuela kopnąć, wali się na niego całym ciężarem. Kula trafiła go w głowę, zabijając na miejscu; krew leje się obficie.

Pozostali funkcjonariusze wahają się; Manuel wykorzystuje to, podnosi się i ucieka. Obok niego biegnie Luis; to on zabił tamtego policjanta. Robi się zdecydowanie niewesoło.

– Mówiłem ci, że przez ten pistolet wpędzisz nas w kłopoty! Mówiłem!

* * *

– Trzy tysiące peset. Sprzedam go panu za trzy tysiące.

Jean-Marie wie, że to zbyt dużo, nawet jeśli dla niego i tak nie dosyć za *Carmen przed lustrem*. W razie czego zejdzie jednak do dwóch tysięcy – musi zdobyć pieniądze, za które jego żona utrzyma się przynajmniej do porodu.

– To zbyt dużo.

– Jeśli umrę, moje obrazy zdrożeją.

– Gdyby był pan sławny, to tak... Zresztą nie wątpię, że kiedyś pan będzie, ma pan talent.

– Za dwa dni wyjeżdżam do Francji, zostałem powołany do wojska.

Nie chce wzbudzać współczucia, chce tylko zarobić. Jego rozmówca, markiz Albero, ten sam, który kupił inny obraz przedstawiający Carmen, by wysłać go w prezencie ślubnym do Madrytu, też czyta gazety i dobrze wie, że wrócić cało z tej wojny właściwie się nie da.

– Dobrze więc, trzy tysiące. Wiem, że przepłacam, ale nie będę się targował. No i niech pan spróbuje przeżyć, szkoda by było takiego talentu.

Sprzedaż pozostałych płócien nie przyniosła podobnych zysków, lecz

Carmen i tak zostanie z czterema tysiącami peset. On weźmie jedynie tyle, by dotrzeć do Paryża, później musi żyć – jak długo zdoła – za to, co armia przeznaczy dla swoich żołnierzy.

Już chce zamknąć pracownię na zawsze, gdy zjawia się Antonio Carmona, jego szwagier.

– Moglibyśmy cię przechować w Alpuharze, mamy tam rodzinę. Nikt by cię nie znalazł...

– Nie, obowiązek to obowiązek. Jestem Francuzem, a Francja jest w stanie wojny.

– Obowiązki to masz przede wszystkim wobec rodziny, czyli wobec żony i dziecka.

Oni oddaliby życie za swoich, ale pojęcie ojczyzny jest im obce. Trudno je wytłumaczyć andaluzyjskiemu Cyganowi, dlatego Jean-Marie nawet nie próbuje.

Usiłuje za to przekonać Carmen, że absurdem byłoby się kłócić i zachowywać tak, jakby już się nawzajem utracili. Zostały im przecież dwa dni, powinni je wykorzystać. Powinni robić to, o czym będą pamiętać w chwilach rozłąki; o czym on będzie myślał na froncie, pośród kul, utrzymując się dzięki tym myślom przy życiu; i o czym ona opowie ich dziecku, czekając na powrót jego ojca. Bo przecież on wróci, co do tego nie powinna mieć wątpliwości.

Spacerują po Sewilli jak turyści. Carmen, urodzona w tym mieście, nigdy nie zajrzała do katedry, nie wspięła się na Giralde, nie zwracała większej uwagi na Złotą Wieżę. Wszystkie te cuda tu były, lecz dopiero ktoś, kto zamieszkał tutaj z własnego wyboru, potrafi je docenić.

– A jeśli cię zabiją?

– Nie zabiją mnie. Muszę wrócić, żeby poznać swoje dziecko. Nawet Niemcy rozumieją i szanują takie rzeczy. Jak je nazwiemy?

– Juan, po tobie...

– A jeśli to będzie dziewczynka?

– To będzie chłopiec.

Wieczorem w przeddzień wyjazdu spotykają się z przyjaciółmi i rodziną: śpiewają, grają na gitarze, tańczą. Carmen, wciąż bez oznak ciąży, robi to lepiej niż kiedykolwiek. Jean-Marie chętnie by ją tak namalował. To kolejny obraz, który zabierze ze sobą, by go wspominać i dzięki niemu czepiać się życia.

Ledwie udaje im się wyrwać; kochają się po ostatni, przyrzekając sobie, że jeszcze kiedyś będą razem, przeżyją – dla tego drugiego.

Cała rodzina Carmen i wszyscy przyjaciele odprowadzają Jeana-Marie na pociąg, który zabierze go do Madrytu. Na dworcu trudno o chwilę samotności z żoną, starcza im czasu ledwie na kilka zdań wyszeptanych do ucha.

– Nie waż się nie wrócić.

– Musiałbym być chyba szalony, żeby nie wrócić do ciebie.

Carmen biegnie za pociągiem, próbując zapamiętać obraz oddalającego się szybko męża. Jean-Marie po drodze szkicuje z pamięci jej portret.

* * *

– To syn.

– Zdrowy?

– Trzeba zrobić badania.

Siódme i ostatnie dziecko Alfonsa XIII i Wiktorii Eugenie Battenberg przychodzi na świat, podobnie jak jego rodzeństwo, w Pałacu Królewskim w Madrycie, dwudziestego czwartego października tysiąc dziewięćset czternastego roku. Otrzyma na chrzcie imiona Gonzalo Manuel María Bernardo Narciso Alfonso Mauricio, a badania wykażą, że cierpi na hemofilię, jak kilkoro innych spośród dzieci królewskiej pary.

Doktor Álvaro Giner był przy porodzie i to on przynosi wieści królowi. On także pierwszy poznaje informację, która nadeszła w tym samym czasie: księżę Mauricio, brat królowej, na którego cześć nowo narodzony otrzymał ostatnie ze swoich imion, zginął, walcząc z Niemcami w Belgii.

– Lepiej nic nie mówić królowej, póki nie dojdzie do siebie.

– Tak, to prawda. Mam nadzieję, że nie napiszą o tym jutro w gazetach.

Śmierć księcia Mauricia jest pierwszą, która dotyka rodzinę królewską bezpośrednio.

– Każdego dnia takie wieści otrzymują tysiące rodzin w całej Europie. Ba, czasem nie otrzymują żadnych, po prostu przestają dostawać listy. To szaleństwo. Trzeba coś zrobić. Jeszcze nie wiem co, ale coś trzeba.

Do wojny wciąż przystępują kolejne kraje – ostatnio Japonia i Turcja. Pierwsza po stronie aliantów, druga – Niemiec. Straty w ludziach budzą zgrozę: mówi się o niemal dziesięciu tysiącach zabitych dziennie, a wszelkie próby zażegnania konfliktu spełzły na niczym.

Ambasador Hiszpanii w Paryżu, Wenceslao Ramírez de Villaurrutia, zamierzał opuścić francuską stolicę tym samym pociągiem, którym wobec postępów wroga miał się ewakuować prezydent Francji, jednakże król osobiście wysłał do dyplomaty telegram: „Nakazuję, żebyś bez względu na rozwój sytuacji pozostał w Paryżu”.

– Nie możemy się wycofywać, trzeba zabiegać o pokój, bez ustanku, choćbyśmy raz za razem uderzali głową w mur.

Inni ambasadorowie, jak markiz Villalobar przebywający w Brukseli, zachowują nienaganną postawę – tak wobec dotkniętych wojną Hiszpanów, jak względem obywateli państw, w których przyszło im działać. Rodrigo de Saavedra, markiz Villalobar, po długich negocjacjach z Niemcami zdołał zorganizować pomoc humanitarną, która dociera do Belgii ze Stanów Zjednoczonych przez Anglię.

Korespondenci gazet piszą z frontu nie tylko o bitwach i poległych, lecz również o zniszczonych, opuszczonych miasteczkach, o tysiącach zrozpaczonych uciekinierów tłoczących się na drogach, z dobytkiem na plecach, o osieroconych dzieciach żebrzących o jedzenie...

– Powinni to czytać wszyscy, którzy domagali się, byśmy wsparli którąś ze stron, a zwłaszcza ci, co nawoływali do zajęcia Portugalii, popijając szampana w komfortowych wnętrzach Kasyna Wojskowego.

Do Hiszpanii napływa fala repatriantów, ale także szukających ochrony przed wojną europejskich bogaczy. San Sebastián, położone blisko francuskiej granicy, przeżywa prawdziwy najazd gości. Jesienią tysiąc dziewięćset czternastego roku życie towarzyskie kwitnie tam bujniej niż w Madrycie. W kasynie aż się roi od milionerów, w teatrach występują najślynniejsi światowi artyści, a jednocześnie wszędzie pełno jest szpiegów.

– Tylu tam tych agentów i podwójnych agentów, że chyba i mysz się nie prześlizgnie, by nie wiedziano o tym zaraz w Berlinie, Londynie i Paryżu. A kto wie: może też w Tokio oraz w Waszyngtonie. Ta wojna musi się szybko skończyć, inaczej pod byle pretekstem będziemy ją niedługo mieli w domu.

– Wasza Królewska Mość nie pozostawił przecież nikomu wątpliwości co do naszej neutralnej postawy.

– Ale to nie wystarczy, Álvaro, to nie wystarczy. Trzeba skończyć z tym koszmarem, nawet jeśli ludzie dorabiają się na nim fortun.

Rodzina Álvaro, podobnie jak reszta Hiszpanów, prowadzi interesy z obiema stronami konfliktu. Tyle że nie sprzedaje im broni ani amunicji, niczego, co miałyby bezpośredni związek z wojną, jedynie żywność, którą produkuje w swoich rozległych posiadłościach w całej Hiszpanii. Wszystkim tym zawiaduje brat Álvaro, Rafael Giner.

– Ceny szybują do nieba, a popyt rośnie. W takich warunkach wręcz podwoimy dochody.

Wszyscy latyfandyści robią to samo: eksportują płody ziemi do Francji albo Niemiec. Oczywiście przynosi to zyski, tyle że na rynku wewnętrznym pojawiają się niedobory zaopatrzenia, ceny rosną, a płace – nie.

– To nie nasza sprawa, Álvaro. My sprzedajemy swoje produkty tym, którzy nam płacą. A ty korzystasz z tego jak wszyscy.

Álvaro nie jest wszakże zadowolony. Czuje – tak samo jak don Alfonso – że powinien coś zrobić, zamiast ograniczać się do spijania śmietanki.

W jego życiu prywatnym też się źle dzieje. Wizyty w mieszkaniu przy ulicy Fuencarral, u Beatriz Vargas, są teraz rzadsze i mniej satysfakcjonujące.

– Nudzę się tutaj. Jedyne, co mogę robić, to chodzić na zakupy, dlatego tyle wydaję...

Trzeba podjąć jakąś decyzję. Może należałoby Beatriz odesłać? Ostatecznie

utrzymuje ją, nie szcędząc środków, żeby ona w zamian go uszczęśliwiała. A nie uszczęśliwia. Coraz częściej nachodzą go myśli o tym, co zawsze ze zgrozą odrzucał: a gdyby jednak ożenił się z kobietą ze swojej klasy, stworzył rodzinę...?

* * *

– Byłeś tu wcześniej?

Tak zwana „dzielnica krzywdy”², położona między Paseo de las Delicias a Paseo de las Yeserías, zgodnie z nazwą jest najbiedniejsza w Madrycie. W jakichś pięciuset nędznych chałupinach gnieździ się trzy albo cztery tysiące osób; to głównie żebracy, prostytutki najniższej kategorii, złodzieje i ogólnie najnędzniejsza nędza. Jeśli nie liczyć głównej ulicy, zabudowanej nieco porządniej, okoliczne domy wzniesiono z drewna uszczelnianego gliną i pokryto blachą. Brak, rzecz jasna, bieżącej wody czy jakiegokolwiek odprowadzania ścieków, które spływają prosto do rzeki Manzanares.

Policja się tu nie zapuszcza, toteż Manuel Campos i Luis Segura właśnie tutaj szukają schronienia po ostatnich wypadkach.

– Nie, nie byłem.

– A właśnie w takich dzielnicach jest nasze miejsce. U boku tych, którzy cierpią.

– Nie, to miejsce dla księży, my powinniśmy walczyć, żeby cierpiących było jak najmniej.

Manuel wiedział, że „dzielnica krzywdy” istnieje, nawet znał anarchistów, którzy bywali tu regularnie, sam się jednak do ich grona nie zaliczał.

– Bezdomne, bose, na wpół nagie dzieci, które nigdy nie były w szkole... Co one poczną, jak przyjdzie zima? Póki tu siedzimy, moglibyśmy się na coś przydać. Może zaczniemy dawać lekcje czytania i pisanie...?

– Żeby natychmiast zwrócić na siebie uwagę? W najbliższych dniach skup się na odpoczynaniu, czekają nas ciężkie czasy.

Manuel wszakże nie odpoczywa; zamiast tego chodzi po dzielnicy, zawiera znajomości, odwiedza ludzi po domach. Szybko natyka się na miejscową oryginałkę: ma na imię Aurelia, ale wszyscy nazywają ją Murcjanką. To kobieta mniej więcej trzydziestoletnia, lecz z wyglądu starsza; śniada, szczupła i mimo trudów życia atrakcyjna. Nikt nie wie, czym Murcjanka się właściwie zajmuje, wiadomo tylko, że jeśli ktoś ma poważny kłopot, idzie do niej, a ona zdobywa dla niego pieniądze. Nie żeby sama była bogata, bo żyje w podobnych warunkach co wszyscy; po prostu znika wtedy gdzieś na mieście i wraca z gotówką. Poza tym podkarmia głodne dzieci, rozdaje koce i ubrania. Manuel proponuje jej współpracę; z pewnością się na coś przyda.

– Chciałbym ci pomóc.

– Mnie? Ja nie potrzebuję pomocy.

– Pomóc ci pomagać innym. To miałem na myśli.

– Rozejrzałeś się już i wiesz, czego trzeba tym ludziom: sprawiedliwości.

Domu Murcjanki pilnuje czarny pies. Coś mu się w Manuelu nie podoba i gdyby nie był uwiązany, z pewnością by się na niego rzucił.

– O co mu chodzi?

– To mądre zwierzę. Rozumie, że nie powinnam się z tobą zadawać, ściągnąłbyś na mnie problemy.

Gdyby kilka dni wcześniej nie poznał Blanki Alerces, Manuel bez wątpienia więcej myślałby o Murcjance – i w nieco inny sposób.

Dom, w którym się z Luisem ukrywają, trochę solidniejszy niż inne, należy do anarchisty Felipe Sandovala. Felipe jest teoretycznie murarzem, w praktyce jednak zarabia głównie na kradzieżach. Pomógł towarzyszom, za co są mu wdzięczni, niemniej Manuel uważa go za wyjątkowo antypatycznego.

– Gdyby urodził się bogaty, byłby gorszy niż niejeden burżuj.

– Wszyscy bylibyśmy inni, gdybyśmy urodzili się bogaci.

Luis nie ma zbyt wielu rozterek natury intelektualnej czy moralnej: znalazł się po określonej stronie barykady i po tej stronie musi walczyć. Wszyscy, którzy walczą wraz z nim, to jego przyjaciele; pozostali bez wyjątku zaliczają się do wrogów. I tyle.

– Tamten policjant nie żyje.

– Nie cieszę się z tego ani nie jestem dumny. Ale facet zaprzedał się bogaczom, więc sam wybrał swój los. To proste: oni albo my.

– Nie, nie takimi metodami osiąga się sprawiedliwość społeczną.

Tyle razy już o tym dyskutowali, nie przekonując siebie nawzajem ani trochę... Szkoda czasu.

Mogą w tym miejscu zostać tylko kilka dni, najwyżej tydzień. Później ryzyko stanie się zbyt duże.

– Manuelu, policja zdołała cię zidentyfikować. Byli u ciebie w drukarni, przeszukali ci mieszkanie.

– To znaczy, że nie mam dokąd wracać. Co teraz?

– Na razie wystaramy się wam o fałszywe papiery. Później spróbujemy wywieźć was z Hiszpanii, tyle że w warunkach wojennych to się może nie udać. Dlatego najlepiej będzie, jeśli poszukacie sobie normalnej pracy i tak dalej...

Już następnego dnia wcześniej rano Manuel dostaje podrabiane dokumenty.

– Tak, aż trudno w to uwierzyć, ale znaleźliśmy dla ciebie rozwiązanie. Mówiłeś, że umiesz pisać na maszynie, prawda?

– Tak.

– Na tyle dobrze, żeby uczyć tego innych?

– Tak, bez problemu.

– Jeden towarzysz przyjechał ostatnio do Madrytu z Valladolid, miał dawać lekcje pisania na maszynie w pewnej szkole przy Carrera de San Jerónimo.

Zanocował u kolegi i nie doczekał ranka. Umarł śmiercią naturalną, biedak, chociaż był młody. Tak czy owak nikogo tu nie znał, więc będziesz się podawał za niego.

– A co z ciałem? Rodzina będzie chciała sprowadzić je do domu...

– Jestem pewien, że facet sam chciałby ci pomóc. Nie musisz nawet zmieniać imienia, nazywał się Manuel Lope, jak Lope de Vega, fajnie, co? Skoro tak lubisz teatr... Jutro zaczynasz pracę, więc musimy się zbierać. Pamiętaj, że kiedyś poprosimy, żebyś nam się odwdzieczył za tę przysługę.

– Kurs pisania na maszynie?

– Tak, mam.

Blanca wie, że na matkę nie ma co pod tym względem liczyć, dlatego poprosiła o pozwolenie przy niedzielnym obiedzie, w obecności ojca. Może on ją wesprze.

– To ważne, mam. Na niektórych stanowiskach niezbędne.

– Jakich stanowiskach? Jakich znowu stanowiskach? Mam dość tych głupstw! Mało jeszcze narobiłaś wstydu rodzinie?

Córka markiza Alerces, „mała Alerces”, jak mówi się o niej na mieście, nie powinna pracować. Urodziła się w środowisku, w którym to nie uchodzi; nie ma też żadnego przygotowania. Rodzina może zapewnić jej utrzymanie, a kobiety z jej sfery wychowuje się tak, by potrafiły prowadzić dom i błyszczeć na salonach.

– A może zatrudniłabyś się w którejś z moich firm? Choćby w „El Noticiero de Madrid”? Mogłabyś tam co tydzień drukować felieton. Wiesz, że w Stanach Zjednoczonych felietony pisane przez panie są ostatnio w modzie? Taki kącik kobiecy... A pisanie zawsze dobrze ci szło.

– Nie, tato, nie chcę pracować u ciebie, nawet w gazecie. Chcę sobie poradzić sama, udowodnić, że potrafię na siebie zarobić.

– Nie musisz niczego udowadniać, wszyscy to wiemy.

Jeszcze trochę wysiłku i ojciec się zgodzi...

– Tak czy owak, pisanie na maszynie przydałoby mi się również w gazecie.

– Oczywiście, niedługo wszystkie teksty będą powstawać na maszynie.

Pisarz czekający na natchnienie w kawiarni, z piórem w rękę, stanie się reliktem przeszłości.

– To może pójdę na ten kurs, a potem pomyślimy?

– Zgoda.

Cóż za sukces – zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę początek tej rozmowy! Zresztą taki cotygodniowy felieton też nie byłby w sumie najgorszy. Można by pisać dla kobiet, ale wcale nie o tym, co zdaniem mężczyzn je interesuje. Żadnych przepisów, rozważań o obowiązkach domowych czy chowaniu dzieci. Zamiast tego – polityka, wojna i konflikty społeczne.

Blanca wciąż odwiedza Gonzala, teraz, od kiedy wypisali go ze szpitala, już w domu, lecz nie spotkała więcej Manuela, mężczyzny, który go uratował i z którym potem odbyła tak interesującą rozmowę. Odkryła, że czasem o nim myśli, i nawet zwierzyła się z tego Elisie.

– Myślisz o linotypiście? Jasne, żadna praca nie hańbi, poza tym jestem temu Manuelowi wdzięczna, że bronił mojego brata, ale chyba nie zakochałaś się w kimś takim...?

– Nie zakochałam się. W czym zresztą nie byłoby nic złego.

– Linotypista z markizówną... Nie, to nie pasuje.

– Głupstwa opowiadasz.

– To może zawołamy twoją mamę i poprosimy ją o opinię?

Oczywiście doña Ana uznałaby, że córka próbuje wpędzić ją do grobu. Tyle że cała ta rozmowa nie ma sensu, bo, po pierwsze, Blanca nie jest zakochana, po drugie, Manuel nie pojawił się już u Gonzala i po trzecie, też nie jest zakochany. Tamtego dnia wpadł do szpitala niejako z obowiązku i nie szukał więcej jej towarzystwa. Czyli ta rozmowa nic dla niego nie znaczyła.

Ku zaskoczeniu Blanki Elisa postanawia zapisać się na kurs maszynopisania razem z nią – i uzyskuje na to zgodę ojca.

– To dzięki Gonzalowi. Przekonał papę, że teraz wszystkie kobiety piszą na maszynie, tak jak kiedyś szyły i haftowały.

Pierwszego dnia zajęć obie przyjaciółki stawiają się więc w szkole przy Carrera de San Jerónimo.

– Dzień dobry paniom. Nazywam się Manuel Lope i będę nauczycielem pań.

Churumbel (hiszp.) – bobas, maluch (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki). [wróć]

W oryginale: *el barrio de Las Injurias*. [wróć]

3.

Odpowiedz hrabiemu Caroliny. Jak zwykle w takich razach: życz mu wszelkiej pomyślności i przeproś, że nie będę na ślubie.

– Tak, Wasza Królewska Mość.

Sekretarz Alfonsa XIII, Bernardo Candeleira, czeka, aż król zapozna się z korespondencją, którą zwyczajowo otrzymuje na srebrnej tacy. Niewiele listów adresowanych do Pałacu dociera na tę tacę, przedostawszy się przez gęste sito selekcji; tylko te wyjątkowo ważne lub całkiem osobiste. Dlatego obaj mężczyźni dziwią się, widząc zamkniętą, odręcznie zaadresowaną kopertę.

– Co to?

– Przepraszam, Wasza Królewska Mość, musiało się zaplątać...

Zazwyczaj sekretarz przegląda wybraną korespondencję, zanim trafi ona ostatecznie do króla, jednakże w ostatniej chwili pojawiły się problemy z pałacowym personelem, tak więc nie zdążył. Don Alfonso otworzył już tymczasem kopertę i czyta. List napisany jest po francusku, dziecięcą ręką.

Szanowny Panie,

przepraszam, że zwracam się do Pana, ale nie wiem, kto inny mógłby mi pomóc. Mam na imię Sylvie, niedawno skończyłam osiem lat i jestem Francuzką z Saint-Martin-de-Hinx, miasteczka niedaleko Bajonny. Mój brat Pierre jest sporo starszy, ma dwadzieścia jeden lat. Chciał zostać piekarzem, ale po wybuchu wojny musiał iść do wojska. Nie widzieliśmy go od lipca. Na początku przysłał dwa listy, w których pisał, że czuje się dobrze, a potem przestał pisać. Od tamtego czasu mama co noc płacze. Myśli, że ja nic nie wiem, ale przecież budzę się i słyszę.

Kilka dni temu wrócił do domu François, którego też od razu powołali. Stracił nogę, chodzi o kulach i nie ma pojęcia, co ze sobą począć. Przed wojną był listonoszem, ale teraz nie wsiądzie już na rower. Przyjaźnili się z moim bratem, podobno razem brali udział w bitwie pod Charleroi w Belgii. François twierdzi, że Pierre nie zginął, tylko dostał się do niemieckiej niewoli. Modlę się, żeby to była prawda i żeby Pierre kiedyś do nas wrócił.

Mama poszła do merostwa, ale nikt nam nic nie mówi. Napisała nawet do Paryża, do prezydenta. Tak czy owak nic nie wiemy, nikt nam nie odpowiada.

A teraz zbliża się Boże Narodzenie i najlepszym prezentem dla mamy byłoby, gdyby dostała list od Pierre'a i wiedziała, że nic mu nie jest. Wiem, że jest Pan królem, ma Pan dużo zajęć i trudno Panu zajmować się wszystkimi, którzy proszą o pomoc, ale może jednak Pan wie, jak to zrobić, żeby Pierre mógł napisać do mamy. Wysyłam Panu jego dane, na wszelki wypadek, żeby łatwiej go było znaleźć.

Jeśli mi Pan pomoże, będę codziennie modlić się za Pana, za Pański kraj

i poddanych.

Sylvie

Król zastanawia się przez chwilę, czekając, aż i Bernardo zapozna się z listem.

– Było takich więcej?

– Nie, Wasza Królewska Mość, nie sędzę. Niemniej w naszej ambasadzie w Paryżu wiele osób prosi o pomoc Waszej Królewskiej Mości w odnalezieniu bliskich.

– Pomyślę o tym. A na razie napisz do naszego ambasadora w Berlinie, żeby zajął się prośbą tej dziewczynki. Przekaż mu, że to sprawa priorytetowa. I informuj mnie na bieżąco.

– Oczywiście, Wasza Królewska Mość.

Jest sobota i król umówił się z Álvarem Ginerem, że pojedą razem do jednego z majątków lekarza, w okolicy Toledo. To pięćset hektarów żyznych pól i niewysokich pagórków z obfitością drobnej zwierzyny. Na spacerze, licząc na to, że zdołają ustrzelić jakiegoś królika czy zająca, don Alfonso pyta przyjaciela o coś, co akurat sobie przypomniał: gdy widzieli się ostatnio, Álvaro opowiedział mu o wystąpieniu, które pewien belgijski generał wygłosił w Kasynie Wojskowym na temat jeńców wojennych. Pod pretekstem, że nie można zapewniać wrogom lepszych warunków niż własnemu wojsku, wszyscy uczestnicy konfliktu skazują więźniów na głód i poniżenie.

– W wielu wypadkach jeńcy nie mają zapewnionej opieki medycznej, dostają niewystarczające racje żywnościowe, tłoczą się w obozach, czasem umierają z zimna...

– Ten generał mówił o żołnierzach aliantów?

– Nie, obu stron. Po obu jest podobnie.

No tak, nie będzie łatwo pomóc w tej sprawie. Jeńców są dziesiątki tysięcy, a kto wie, czy jeszcze w okolicach frontu części z nich się po prostu nie zabija, żeby oszczędzić na ich transporcie do obozów i utrzymaniu.

Zarówno król, jak i Álvaro Giner są wielkimi miłośnikami polowania, choć dziś, bez naganiaczy i zajmowania pozycji strzeleckich, chodzi raczej o spacer przy ładnej zimowej pogodzie. Myśliwym towarzyszą tylko dwa psy – doskonale aportujące golden retrievery. Obaj panowie mają strzelby wyprodukowane przez Victora Sarasquetę w Eibarze i ozdobione królewskim godłem. Álvaro dostał swoją właśnie od króla, zakochanego w rzemieśle baskijskiego rusznikarza. Każda sztuka broni myśliwskiej wykonana przez Sarasquetę to prawdziwe arcydzieło: kolby

z najszlachetniejszego drewna orzechowego, srebrne okucia, lufy z najlepszej stali – wszystko jest tak dopracowane, że lepszych strzelb na świecie nie ma.

W stajni czekają przygotowane konie, na wypadek gdyby gospodarz z gościem mieli ochotę na przejażdżkę; służba rozpałała też ogień, by mogli, jak zgłodnieją, posilić się baraniami kotletami. Od wybuchu wojny trudno o tak swobodny dzień i nie wiadomo, kiedy znów się przydarzy.

Don Alfonsa martwi również kwestia uciekinierów z najrozmaitszych zakątków Europy; ludzi, których domy i gospodarstwa stały się teatrem działań wojennych; rodzin, które przy okazji rozdzielono.

– Zachowujemy neutralność, ale w żadnym razie nie powinniśmy być obojętni. Musimy w miarę możliwości pomagać. Gdyby chociaż ludność cywilną zostawili w spokoju... Ambulanse...

– Nie wiem, czy zna Wasza Królewska Mość sprawę gazów bojowych.

– Coś tam czytałem, ale ty z pewnością wiesz na ten temat więcej.

– Nie trzeba wiele wiedzieć: obie strony produkują toksyczne gazy, które rozpylone na polu bitwy, uszkadzają drogi oddechowe żołnierzy przeciwnika.

– To nie do pomyślenia. Nie spodziewałem się, że zatęsknię za wojnami prowadzonymi przez moich przodków: z mieczami, herbami i zbrojami...

Polowanie się nie udało: obaj byli zbyt przejęci rozmową, by uważać na zwierzynę, i tylko dwa razy dostrzegli zająca. Strzelili wprawdzie, lecz chybili. Nieco więcej szczęścia mieli z królikami: trafili kilka sztuk, nie wrócili więc z pustymi rękoma.

– Proszę wybaczyć, Wasza Królewska Mość, ale poszło nam fatalnie.

– To prawda, Álvaro. Po prostu fatalnie. Ale to przez zmartwienia. Lepiej nikomu o tym nie mówmy.

Giner nie potrafi się skupić także ze względu na złe relacje z kochanką. Stara się, jednakże Beatriz jest w coraz gorszym humorze. Częściej zdarza im się teraz kłócić niż kochać.

– Właściwie to cię nie rozumiem, Álvaro. Po co ci kochanka, która tylko przysparza ci zmartwień?

– Jeśli się przyznam, dlaczego wciąż z nią jestem, nazwie mnie Wasza Królewska Mość idiotą.

– Może tak pomyślę, ale na głos tego nie powiem, nic się nie martw.

– No więc nie chcę być jak Carlos de la Era. Dużo myślałem o tym jego nieudanym ślubie z małą Alerces. Wszyscy krytykujemy jej zuchwałość, wychodząc z założenia, że mężczyzna ma prawo mieć kochanki. Niemniej po namyśle stwierdzam, że Carlos de la Era zasługuje na taką samą, jeśli nie ostrzejszą krytykę. Bo czy to jednak nie jest niemoralne, co zrobił? Spłodził córkę, po czym wyrzucił ją wraz z matką na ulicę... No jak tak można? I teraz odnoszę wrażenie, że jeśli zerwę z Beatriz, będę jak tamten łajdak.

– Tyle że ty nie masz z tą kobietą dzieci. Poza tym możesz się z nią jakoś dogadać: dać jej pieniądze czy coś w tym stylu... Nie musisz wyrzucać jej na ulicę. Ale nie czujesz się z nią dobrze i z tego, co mówisz, ona nie czuje się dobrze z tobą. Więc zrób coś.

– Przemyślę to, Wasza Królewska Mość.

– Mówię ci z doświadczenia, że lepiej zadziałać w porę niż pozwolić, by wszystko jeszcze bardziej się skomplikowało. Po co ryzykować nienawiść?

– Słusznie.

– A tak w ogóle to powinieś się ustatkować. Znaleźć sobie jakąś dziewczynę z dobrej rodziny, zakochać się, ożenić i płodzić zdrowe dzieci. Może na bożonarodzeniowym przyjęciu przedstawię ci kogoś interesującego.

* * *

– Chodźmy, spóźnimy się.

Każdego popołudnia Blanca i Elisa spotykają się na Paseo del Prado, przed muzeum, żeby iść razem na lekcje maszynopisania do szkoły przy Carrera de San Jerónimo. Blanca jeszcze nigdy niczego nie uczyła się z taką przyjemnością.

– Podoba mi się to, dobrze się przy tym bawię. Wreszcie robimy coś pożytecznego.

– Tak, podoba ci się. Nauczyciel.

– A ty zawsze to samo! Nie mogę lubić mężczyzny, z którym w dodatku jest o czym pogadać, żeby się w nim natychmiast nie zakochać? Jesteś gorsza niż moja matka.

Nie przyzna się do tego, ale kiedy on ujmuje jej rękę, by właściwie ułożyć je na klawiaturze, ona czuje dreszcz. Czasem ma wrażenie, że czas się zatrzymał, a potem żałuje, że jednak mija.

– Ja mówię tylko po francusku i trochę po angielsku. Ty znasz tyle języków, że sama mogłabyś dawać lekcje w tej szkole. Jak chcesz, porozmawiam o tym z właścicielami.

– Poczekaj, aż skończę kurs. Jak powiem matce, że nie tylko się tu uczę, ale i daję lekcje, nie dożyje biedaczka Nowego Roku.

– Skąd takie absurdalne ograniczenia?

– Trudno jest być arystokratą, Manuelu. Wam, anarchistom, jest łatwiej.

– Skąd wiesz, że jestem anarchistą?

– Przecież to widać.

Manuel żartuje, ale w głębi duszy się martwi, że jego poglądy są tak oczywiste – zwłaszcza teraz, gdy usiłuje stronić od polityki. Boi się, że popełni błąd i wyładuje w więzieniu, w dodatku pod zarzutem tak poważnym jak zabójstwo policjanta, nawet jeśli nikogo nie zabił.

Od tamtych wydarzeń nie chodzi na spotkania anarchistów i unika ich knajp. Bywa natomiast, przynajmniej raz w tygodniu, w „dzielnicy krzywdy”. Po części

– by pomagać, a po części – by nie stracić kontaktu z Murcjanką Aurelią.

Podczas jednej ze swych wizyt rozpoznał chłopaka, który ukradł naszyjnik na jarmarku świętojańskim. Po krótkiej rozmowie z dzieciakiem ucieszył się, że mu wtedy pomógł. Marcos – bo tak się nazywa ten mały – ma na utrzymaniu chorą matkę i troje młodszego rodzeństwa. Jego ojciec znikł wkrótce po tym, jak matka zachorowała, i nigdy więcej nie dał znaku życia.

– Dużo dostałeś za ten naszyjnik?

– Mniej, niż był wart. Ale musiałem go sprzedać temu całemu Esquinao, a to skończony oszust.

Mimo licznych obowiązków – opieki nad matką, domem i rodzeństwem, a także pracy w charakterze chłopca na posyłki w pobliskim sklepie kolonialnym – Marcos co wieczór chodzi na lekcje, których udziela w kościele świętego Sebastiana pewien ksiądz.

– Może chodzi o to, żebyś i ty wskoczył w sutannę?

– Nie ma obaw.

– A czemu nie zapiszesz się na kursy robotnicze?

– Ksiądz daje mi kupony do darmowej jadłodajni. Uczyć się trzeba, ale jeść też.

Wkrótce po Manuelu z dzielnicy wyniósł się również Luis Segura. Nie zdążyli się pożegnać, bo Luis musiał uciekać. Teraz ukrywa się w okolicy Las Ventas, lecz niedługo wyjedzie do Barcelony, gdzie ruch anarchistyczny jest dużo silniejszy niż w Madrycie. Jaka szkoda, że nie mogą się spotkać; że wszystko tak się pokomplikowało i że nie żyją w bardziej sprawiedliwym kraju.

– I nici. Niczego się nie dowiedziałem. A pisać do niego do domu nie mogę, ojciec by go zabił.

Frank nie ma wieści od Gonzala, od kiedy opuścił Madryt. Nadal nie wie, co się stało tamtej nocy. Teraz, w kawiarni Berio przy berlińskiej Maassenstrasse, rozmawia o tym z Gustavem Müllerem – niemal siedemdziesięcioletnim, bardzo eleganckim mężczyzną. Obaj piją kawę, zagryzając ją strudlem. Wiele lat temu, gdy Frank był jeszcze nastolatkiem, Gustav został jego pierwszym kochankiem. Od dwóch dekad jedynie się przyjaźnią, lecz Frank czuje, że wiele Gustavowi zawdzięcza: wprowadzenie nie tylko w tajniki miłości, ale również w świat kultury – wybitnej sztuki, dobrych win i smacznych potraw.

– Skoro dobrze się wam układało, to dziwne, że się wtedy nie zjawił.

– Zacząłem nawet myśleć, że coś mu się stało.

– Mamy skłonność do zrzucania na los nieszczęść, którym często nie on jest winny.

Gustav pracuje na uniwersytecie, prowadzi zajęcia z literatury, a wywodzi się z dobrej, tyle że podupadłej rodziny.

– Wojna to najgorsze, co mogło nas, Niemców, spotkać. Ciekawe, kto zapłaci za te wszystkie straty... Nawet gdybyśmy wygrali, należałoby pójść w ślady Francuzów i wyciągnąć gilotynę. Nieodpowiedzialność kajzera powinna zostać ukarana.

Wielu ludzi na stanowiskach podziela tę opinię. Natomiast lud, który zresztą, jak zawsze, najbardziej ucierpi, jest pijany entuzjazmem. Co rusz spotyka się na ulicach grupki młodych żołnierzy, którzy oczekując przeniesienia na front, śpiewają patriotyczne pieśni i wyzywają Francuzów tudzież Anglików, oklaskiwani przez gapiów przekonanych, że Bóg i sprawiedliwość są po ich stronie. Kobiety rozdają takim chwatom kwiaty. Ale nie matki – bo matki, jedyne, rozumieją, że ich synowie za chwilę trafią do piekła, z którego pewnie nigdy nie wrócą, i że żadna słuszna sprawa tego nie usprawiedliwi.

– Powiedzieli, dokąd cię wysyłają? Ludzi w twoim wieku raczej nie biorą na front...

– Przepraszam, Gustavie, nie wolno mi o tym mówić.

– Tak tylko pytam, z ciekawości...

– Mam zakaz.

Frank nie może tego zdradzić, ale dostał już przydział i przygotowuje się do rozpoczęcia misji. Po wielu latach spędzonych w Paryżu doskonale włada francuskim, zna francuską stolicę lepiej niż rodzinny Berlin, a w dodatku nie wygląda na Niemca – spokojnie podszyje się pod Francuza. Owszem, ludzi w jego wieku nie biorą jeszcze na front, lecz on, za sprawą swoich wyjątkowych kwalifikacji, został wyznaczony do specjalnych, tajnych zadań: na początku roku przeniesie się do Paryża i będzie szpiegował.

– W porządku, jak zakaz, to zakaz.

– Dziękuję.

– Wychodziłeś już któregoś wieczoru na miasto?

– Nie, niedawno przyjechałem, a ta sprawa z Gonzalem odebrała mi ochotę na rozrywki. Poza tym nie znam miejsc, do których teraz się chodzi.

– Wyślę ci zaproszenie na sylwestra, z którego nie możesz zrezygnować. I gdzie te czasy, kiedy nie miałeś przede mną tajemnic...

– Stare dobre czasy.

Zgodnie z otrzymanymi rozkazami Frank Heimer nie pojawia się w Ministerstwie Wojny. Nie figuruje w spisie poborowych, dla armii nie istnieje. Ma unikać związanych z nią miejsc, bo niewykluczone, że Francuzi mają tam swoich agentów i mogliby go potem zdemaskować. Bywa natomiast w wielkim, z pozoru prywatnym mieszkaniu, które mieści się w pięknej dziewiętnastowiecznej kamienicy przy placu Poczdamskim, obok hotelu Fürstenhof.

Musi zapoznać się z szyframi, by móc wysyłać wiadomości z Paryża; z nazwiskami tamtejszych konfidentów i własnymi, bo będzie miał do wyboru

kilka tożsamości, każdą z odpowiednią, prawdopodobną historią.

– Ufamy panu, panie Heimer. Ale jedno potknięcie kogokolwiek z nas i wszystko się posypie. Wiemy o panu wszystko. Wszystko, nawet to, o czym pan zdążył już zapomnieć. Znamy pańskie upodobania i wybraliśmy pana mimo to, więc nie ma sensu niczego ukrywać. Niech pan zadba, by Niemcy nie pożałowały pokładanego w panu zaufania...

Z sześciu tożsamości, które ma do dyspozycji, Frank najbardziej lubi postać Marcela Malmaisona, którego zamierza udawać w Paryżu. To mężczyzna w jego wieku, czterdziestoletni, niezdolny do służby wojskowej z powodu utykania na jedną nogę. Pochodzi ze wschodniej Francji i po śmierci matki przeniesie się do stolicy. Utrzymuje się z odsetek od odziedziczonego kapitału. Marzy o tym, by stworzyć wielką powieść o Napoleonie. Frank uważa nawet, że dla dobra sprawy powinien zająć się pisaniem takiej książki. Może dzięki wojnie przetruci się na prozę, tym bardziej że wiersze jak dotąd nie przyniosły mu uznania. W wolnych chwilach ćwiczy utykanie, które ma charakteryzować wszystkich jego sobowtórów, chroniąc ich przed zarzutem tchórzostwa i migania się od walki za francuską ojczyznę.

Pozwolono mu przed świętami odwiedzić jedynie rodziców. Od przyjazdu do Berlina jeszcze u nich nie był. Musi się w tym celu wybrać do odległego o jakieś sto trzydzieści kilometrów Chociebuża, gdzie jego ojciec postanowił zamieszkać po przejściu na emeryturę. Jedzie mercedesem z wojskowym kierowcą. Po drodze muszą się zatrzymać, by przepuścić kolumnę mężczyzn wędrujących w zbrojnej obstawie.

– Kto to?

– Jeńcy wojenni. Rosjanie.

– Trochę lekko ubrani jak na tę porę roku.

– To i lepiej, szybciej pozdychają.

W Berlinie tego nie wyczuwał: tej nienawiści. Jego też będą nienawidzić, kiedy już znajdzie się w Paryżu – mieście, gdzie był kiedyś tak szczęśliwy. Po raz pierwszy czuje realne zagrożenie. Dla szpiegów nie ma litości: demaskacja oznacza natychmiastową śmierć.

* * *

– Panienko Eliso, kwiaty dla pani.

Elisa po raz pierwszy w życiu dostaje kwiaty, w dodatku bez wizytówki ofiarodawcy. To imponujący snop róż – czerwonych, w kolorze miłości i namiętności.

– Nie wiem, panienko, od kogo. Posłaniec przyniósł.

Gonzalo się śmieje.

– No proszę, masz cichego wielbiciela. Ale nic dziwnego, taka ładna

dziewczyna.

Lepiej, żeby ojciec się nie dowiedział. Nie wiadomo, co mógłby mieć przeciwko, tyle że generał Fuentes zawsze ma coś przeciwko wszystkiemu.

– Co za emocje...

Blanca też sobie żartuje. Pewnie, kiedyś to jej wysyłano kwiaty, miała wyjść za mąż i wszystko zaprzepaściła... I teraz, gdy to o nią, Elisę, ktoś zabiega, jej przyjaciółkę to śmieszy!

– Może trafiły tu przez pomyłkę i jeszcze będziesz musiała sama za nie zapłacić.

Dwa dni po pierwszym bukietcie przychodzi kolejny. Znow bez wizytówki. Tym razem do masy czerwonych róż dodano kilka białych. Elisa nie wie, co może oznaczać taka mieszanka barw, lecz efekt jest piorunujący: biedaczka chodzi jak na szpilkach.

– Nie spytałaś posłańca, kto go wynajął?

– Spytałam, panienko, ale on nic nie wiedział. Mówił tylko, że pryncypał go wysyła.

Oczywiście, nie sposób iść do kwaciarni na spytki – to żalosne. Choć może gdyby zrobił to Gonzalo, grając oburzonego brata...

– Powiedzieli mi, że nic nie wiedzą. Że przychodzi czyjś służący i tyle. Ale mogę ich poprosić, żeby przestali dostarczać tu te kwiaty.

– Nie, nie.

To niemądre z jej strony, niemniej źle teraz sypia. Kto to może być...? Nikt z kursu maszynopisania, to pewne. Sama nie rozumie, dlaczego dała się przekonać Blance do tego pomysłu, przecież to jej zupełnie nie interesuje. Owszem, szanuje ich nauczyciela, bo to Manuel, ten sam, który uratował niedawno jej brata. Ale to by było na tyle. Jedynie Blanca świetnie się tam bawi.

Dwa dni później – znowu kwiaty. Ich tajemnica w końcu się wyjaśnia, gdyż ofiarodawca podchodzi do Elisy po mszy, przed kościołem.

– Eliso, wybacz, że wysłałem ci te bukiety bez wizytówki. Bałem się, jak to przyjmiesz.

To dopiero niespodzianka! Przed Elisą stoi Carlos de la Era, dawny narzeczony Blanki, najmiłszy, najbardziej uprzejmy, przystojny i elegancki mężczyzna, jakiego Elisa kiedykolwiek widziała.

– Brakowało mi ciebie ostatnio.

– Mnie...?

– Tak, o Blance nie chcę nawet słyszeć, ale pamiętam nasze spotkania we troje. Tak dobrze się wtedy z sobą rozumieliśmy...

Elisa jest dumna, że mężczyzna, którego przez cały ten czas w sekrecie kochała, zachował o niej dobre wspomnienia. Mówi mu jednak, że źle zrobił, wyrzucając na bruk tamtą osobę, Pilar Marín, razem z dzieckiem.

– Ty jesteś prostą, miłą, dobrze wychowaną dziewczyną. Nawet sobie nie wyobrażasz, jakie są te kobiety, które myślą tylko o tym, żeby złapać mężczyznę i żyć na jego koszt. Owszem, utrzymywałem relację z tą osobą, ale bynajmniej nie z własnej woli. Wiadomo, że istnieją różne sztuczki, nawet zaklęcia, znane wiedźmom od stuleci... Dobrze, że się w porę zorientowałem.

– Masz z nią córkę.

– Naprawdę myślisz, że to moje dziecko? Jesteś równie niewinna jak piękna, Eliso! Ta kobieta mnie szantażowała, a kiedy nie uległem, poszła do Blanki, żeby się zemścić. Ciężko mi było z tym wszystkim, ale teraz się cieszę. Ten ślub tak czy owak okazałby się błędem. No i teraz możemy sobie spokojnie rozmawiać, we dwoje...

Elisa czuje, że racja jest po stronie Carlosa, lecz postanawia nie wspominać o tym spotkaniu Blance. Po co przyjaciółka ma wiedzieć, że skrzywdziła narzeczonego, i tak już prześladowanego przez tę całą Pilar. Jeszcze by postanowiła do niego wrócić... Zdaje się, że obecnie Carlos woli ją, Elisę, ale nigdy nic nie wiadomo.

– Czym chciałby się pan w redakcji zajmować?

– Dobrze znam francuski, trochę też angielski i niemiecki. Bardzo chciałbym pojechać do Paryża, mógłbym zostać korespondentem wojennym...

– Doskonale, doskonale... Na razie zajmie się pan kroniką towarzyską. Proszę iść do redaktora naczelnego, przedstawić się.

Niezależnie od poczucia śmieszności, które ogarnia Gonzala wobec pobłażliwego uśmiechu, z jakim prezes rady nadzorczej przyjął jego pomysł wyjazdu na front, możliwość pracy w „El Noticiero de Madrid” stanowi ogromny powód do radości. To pierwsza dobra wiadomość, jaką Gonzalo otrzymał od rozstania z Frankiem i pobicia. Dużo myśli o tym, co go spotkało, i wciąż się zastanawia, czy był jedyną ofiarą tamtych facetów. Powinien się tego dowiedzieć. Może w gazecie coś słyszeli.

Eduardo Ramírez, redaktor naczelny, zawsze ma w zasięgu ręki zapalone cygaro – także w trakcie posiłku; wtedy odkłada je na krawędź popielniczki obok, by zaciągać się między jednym kęsem a drugim. Z powodu jego nałogu w redakcji panuje ciężka atmosfera, której zimą nie może zaradzić nawet otwieranie okien na tyle, na ile pozwala chłód.

– Pracował pan wcześniej w czasopiśmie?

– Nie.

– Zaczynamy nie za dobrze. Co pan pisze?

– Wiersze. Ale, przyznaję, że raczej kiepskie.

– Znalazł się pan tu z czyjegoś polecenia?

– Tak.

– Przynajmniej jest pan szczery. Proszę za mną.

Ramírez prowadzi go na ulicę: wychodzą z redakcji i z budynku. Znajdują się niedaleko siedziby Banku Hiszpanii, na tyłach ulicy Alcalá, w pobliżu miejsca, gdzie zginął w zamachu premier Prim. Gonzalo boi się, że to już koniec jego dziennikarskiej przygody.

– To powiedziano panu, że czym się pan ma u nas zajmować?

– Kroniką towarzyską.

– Niech pan o tym zapomni. Tutaj rządzą ja, nikt inny. Zrozumiano?

– Zrozumiano.

– Świetnie. Oto ulica. Na ulicy jest pełno informacji, które my przekazujemy czytelnikom. Właśnie minęła osiemnasta, numer zamykamy koło dwudziestej drugiej, czasem dwudziestej trzeciej. Chcę, żeby przed zamknięciem przyniósł mi pan jakąś informację. Jeśli ją dostanę i będę zadowolony ze sposobu, w jaki ją pan przedstawił, pomyślę, dokąd pana przydzielić. W przeciwnym razie nic panu nie pomoże, choćby polecał pana sam miłościwie nam panujący Alfons XIII. Bo uznam, że nadaje się pan wyłącznie do roznoszenia kawy. Jasne?

– Jak słońce.

– No to na co pan czeka? Czas leci.

Gonzalo zostaje sam – wobec pierwszego w życiu prawdziwego wyzwania. Ma znaleźć temat i opisać go w niecałe cztery godziny.

Idzie ulicą Alcalá i wkrótce dociera na plac Puerta del Sol. Ze zdziwieniem odkrywa, że spogląda teraz na świat inaczej: nie patrzy, lecz obserwuje. Wszędzie aż roi się od najrozmaitszych historii, chodzi tylko o to, by wybrać taką, która warta jest opowiedzenia. Widzi żebraka bez jednej nogi, podającego się za weterana wojny na Filipinach; sprzedającą losy na loterię staruszkę, która mogła być kiedyś słynną kuplecistką; młodego okularnika, który może właśnie tworzy jakieś arcydzieło, usadowiony przy kawiarnianym stoliku... Tyle że to nie są informacje; trzeba znaleźć coś aktualnego.

Wędruje więc dalej ulicą Arenal w stronę Pałacu Królewskiego: zamach na króla byłby, rzecz jasna, prawdziwą gratką dla żurnalisty, jednakże coś takiego – poza tym, że Gonzalo wcale by sobie tego nie życzył – dowodziłoby jedynie, że dziennikarz ma farta, a nie, że ma talent.

Niemniej szczęście zaiste Gonzalowi sprzyja, bo przed kościołem Świętego Genezjusza naprawdę coś się dzieje: grupka mężczyzn okrada furgonetkę pełną luksusowych towarów – szynki, turrónów i innych bożonarodzeniowych słodczych, kandyzowanych owoców, konserw... Jeden z napastników mierzy do kierowcy z pistoletu, inni zaś w pośpiechu rozładowują pakę, przenosząc zdobycz do innego pojazdu – z zakrytymi numerami. Wszystko odbywa się błyskawicznie, trwa ledwie kilka minut; kiedy zjawiają się policjanci, których najwyraźniej ktoś wezwał, po rabusiach nie ma już śladu.

Gonzalo rozpytuje obecnych. Kierowca obrabowanej furgonetki, bardzo spokojny, mówi, że ani przez chwilę się nie bał, gdyż napastnicy powiedzieli, że go nie skrzywdzą i chcą tylko przekazać zabrane smakołyki bardziej potrzebującym; nie martwi się też, że straci pracę, bo przecież wszyscy widzieli, że trzymany na muszce nic nie mógł zrobić. Gonzalo ma wrażenie, że udział tego człowieka w całej sprawie jest bardziej problematyczny, ale tego nie komentuje.

Przed wyznaczoną przez naczelnego godziną tekst jest gotowy. Eduardo Ramírez czyta go, jak zawsze spowity w opary dymu.

– Tylko tyle pan potrafi?

– Ale to wszystko prawda, niczego nie zmyśliłem.

– Wiele się pan jeszcze musi nauczyć. Benito!

Zbliża się do nich jeden z redaktorów.

– Tak...?

– Popraw to, na trzeciej stronie mieliśmy dziurę. A pan, panie Fuentes, stawi się tu jutro w południe.

Benito zabiera Gonzala sprzed oblicza szefa.

– Nic się nie martw, podobało mu się, po prostu facet nie umie zdobyć się na pochwałę. Chodź, pokażę ci, co trzeba poprawić.

– Czekałam na ciebie wczoraj, prawie spóźniłam się na zajęcia.

– Przykro mi, nie zdążyłam cię uprzedzić.

Blanca widzi, że z przyjaciółką dzieje się coś dziwnego: opuściła już trzy lekcje w ciągu tygodnia. Nie rozumie, o co chodzi, przecież zawsze mówiły sobie wszystko.

– Coś się stało?

– Nie, skąd. Ale wiesz przecież, że całe to maszynopisanie nie bardzo mi się podoba. Nie będę kłamać: raczej nigdy mi się nie przyda, bo nie chciałabym spędzać życia na stukaniu w klawisze w jakimś biurze.

– Może się przydać i w innych miejscach, choćby w gazecie. Papa mówił mi, że twój brat zaczął w końcu pracować w „El Noticiero”.

– Tak, chyba tak.

Blanca zacieśniła ostatnio znajomość z Gonzalem. Codziennie odwiedzała go w szpitalu, prowadząc z nim długie rozmowy. Elisa czasem zostawiała ich samych, zmęczona poruszonymi przez nich tematami.

– Nie sposób z wami wytrzymać. Nic, tylko wojna, wojna i wojna... Jakby nie można było rozmawiać o czymś innym.

Blanca wypytywała Gonzala tak długo, aż wreszcie przyznał się jej, że został pobity, bo jest homoseksualistą i szedł akurat do klubu dla mężczyzn.

– Należałoby zidentyfikować tych ludzi, zgłosić napaść, zażądać kary.

Elisa się nie zgadza, oskarża przyjaciółkę, że nabija jej bratu głowę

dziwnymi pomysłami, nie pozwalając mu o wszystkim zapomnieć.

– Ale o jakich prawach ty mówisz! Najlepiej by było, żeby Gonzalo odciął się od przeszłości. Tamten Niemiec, chwala Bogu, wyjechał. Mój brat powinien teraz znaleźć sobie żonę, mieć z nią dzieci i stać się normalnym człowiekiem.

Faktem jest, że w ostatnim czasie Blanca i Elisa bardzo się od siebie oddaliły. Elisa nie pochwała tego, jak jej przyjaciółka postąpiła z narzeczoną, ani jej chęci, by pracować. No i opowiada takie rzeczy o własnym bracie. Nie wspominając już o tym, że wyraźnie coś ukrywa. Niewykluczone, że tymczasem znalazła sobie konkurenta...

Don Jaime kilka razy proponował córce, by napisała jakiś tekst do jego gazety. Blanca nie sądzi, by się do tego nadawała, nie potrafi jednak ojcu odmówić, ale tym razem prosi ją o coś innego.

– Myśleliśmy o tym już w zeszłym roku, ale w końcu nic z tego nie wyszło i nie chciałbym, by w tym roku sytuacja się powtórzyła. Redakcja „El Noticiero” planuje zbórkę zabawek pod choinkę dla najbiedniejszych dzieci.

– Co miałabym robić?

– Wszystko: od rozmawiania z darczyńcami po przygotowanie listy maluchów, które powinny otrzymać podarki. Cokolwiek ci każą. To praca odpłatna.

Blanca niby nie potrzebuje pieniędzy, ale z drugiej strony cieszy się, że po raz pierwszy sama coś zarobi. Najbardziej jednak podoba jej się to, że będzie miała zajęcie i możliwość niesienia pomocy. Zamierza spytać Elisę, czy się przyłączy: może odbudują dawną bliskość i przestaną się kłócić o byle drobiazg.

– Jeśli na niebie pojawi się samolot, wszyscy na ziemię, do rowów na poboczach drogi.

Potrzeba sprytu, żeby dotrzeć na front. No i lepiej nie myśleć o tym, co cię czeka już na miejscu.

Jean-Marie odbył pięcioletnie szkolenie, w trakcie którego uczył się defilować, salutować i polerować mosiężne guziki munduru galowego; nie dowiedział się natomiast niczego, co mogłoby mu się przydać na froncie – zwłaszcza tego, jak ocalić tam życie. Został zagarnięty przez świat wojskowych absurdów, w którym trzęsący Europą niekompetentni generałowie paradują w operetkowych mundurach i zajmują się głównie posyłaniem milionów ludzi na śmierć.

Teraz siedzi na pace ciężarówki wraz z jedenastoma podobnymi nieszczęśnikami – przyszlými bohaterami walki za ojczyznę lub, inaczej, mięsem armatnim. Każdy trzyma przy sobie swój plecak, hełm oraz broń, którą ledwie potrafi się posługiwać: berthiera z bagnetem i lebela. Jakiś dowódca w swojej niezmierzonej głupocie postanowił wysłać ich do Flandrii za dnia, szosą. Stanowią

więc doskonały cel dla niemieckiego lotnictwa i będą mieli prawdziwe szczęście, jeśli gdziekolwiek dotrą; a jeśli nie, cóż, błyskawicznie powiększą liczbę poległych, o ile, rzecz jasna, ktoś jeszcze prowadzi jakąkolwiek statystykę. Zwierzęta są warte pieniądze, toteż się je oszczędza; żołnierze napływają gratis, żaden generał nie ma więc oporów przed słaniem ich na rzeź.

Obok jedzie Olivier, kolega ze szkoły, którego Jean-Marie spotkał na kursie przysposobienia wojskowego. W dzieciństwie się nie przyjaźnili, ale teraz zbliżyły ich wyjątkowe okoliczności. Olivier krzywi się, cały zeszywniały ze strachu.

– Spokojnie, wyjdziemy z tego.

Olivier nie odpowiada. Weterani opowiadali im o atakach hysterii, którymi część poborowych reaguje na zetknięcie z prawdziwą wojną. Olivierowi wyraźnie to grozi, podobnie jak straszliwa biegunka – doskonale znana doświadczonym żołnierzom okopowa sraczka. Jean-Marie chwilowo trzyma się nieco lepiej.

– Wszyscy na zewnątrz!

Już z daleka słyszeli warkot silników i strzały. Kierowca nie kłamał: atak w drodze jest możliwy. Wyskakują więc z samochodu i kryją się w rowach. Jean-Marie znajduje miejsce pod drzewem. Leży na brzuchu, spodziewając się w każdej chwili uderzenia kuli albo eksplozji bomby. Od ziemi bije lodowaty chłód, jak to w północnej Francji późną jesienią. Dobrze chociaż, że nie ma błota ani śniegu. Po kilku minutach Jean-Marie oswaja się z sytuacją i szuka wygodniejszej pozycji: czy go zabiją – to nie zależy od niego, a leżenie pod drzewem nie wydaje się najgorszym sposobem spędzania czasu. Szkoda, że nie można tak przeczekać całej wojny.

Podczas szkolenia niczego pożytecznego się nie dowiedzieli, ale mieli okazję posłuchać weteranów przesiadujących w okolicznych barach. Zdaniem starych wyjadaczy najważniejsze to przeżyć. Nowicjusze padają pierwsi. Wielu ginie, nim się w ogóle zorientuje, że są już na linii frontu. Snajperzy wroga dziesiątkują ich bez litości; zresztą francuscy snajperzy robią to samo z żółtodziobami w szeregach Niemców. Brak doświadczenia sprawia, że niektórym granaty wybuchają w rękach; łatwiej też na początku o jakąś głupią nieostrożność. Dlatego należy uważnie obserwować stare wygi, wzorować się na nich, o wszystko ich pytać... Jeśli szczęście ci dopisze, sam staniesz się weteranem, nim się obejrzysz.

* * *

Gdy samoloty odlatują, kierowca ciężarówki woła żołnierzy z powrotem. Przy odliczaniu wychodzi na jaw, że kogoś brakuje. Oliviera. Szukają go więc, aż jeden z towarzyszy wydaje głośny okrzyk.

– Tutaj!

Kule Niemców zrobiły swoje: Olivier zginął, nim jeszcze dotarł na front.

Zostawiają go przy drodze; niech pogrzebem zajmą się okoliczni mieszkańcy. Jean-Marie, jeśli kiedyś wróci do Paryża, opowie matce kolegi, że jej

syn walczył jak lew, siejąc postrach wśród *boches*, i otrzymał godny pochówek.

– Jest dla mnie list?

– Nie, Carmen, jak przyjdzie, doręczę go w pierwszej kolejności.

Carmen nie ma wieści od Jeana-Marie od czasu jego wyjazdu do Francji. To nie wina jej męża, jest tego pewna, ale i tak wszyscy patrzą na nią z litością – na nią i na jej brzuch, który rośnie i jest już bardzo widoczny. Niektórzy sądzą pewnie, że żabojad zginął, inni – że po prostu wyrzucił z pamięci Cygankę, której zmajstrował bachora.

Carmen często spaceruje w okolicach dawnej pracowni przy ulicy Esperanza de Triana. Bardzo prędko urządzono tam skład materiałów budowlanych. W pomieszczeniu, w którym Jean-Marie malował, a ona pozowała mu nago, piętrzą się teraz worki z cementem. W pokoiku nad pracownią, tam, gdzie Jean-Marie sypiał i gdzie się kochali – pod obrazem przedstawiającym Carmen odbitą w lustrze – mieści się gabinet kierownika magazynu. Tylko jedno pozostało tam po francuskim malarzu: na pobielonej ścianie w głębi widać szkic dłoni i stóp jego żony.

Carmen prawie nie chodziła do szkoły i ledwie umie czytać, ale Jean-Marie upierał się, by codziennie przeglądali razem gazetę. Uczył ją składać z sylab wyrazy, tłumaczył jej nieznanne słowa i wyrażenia. Nie wracała do tego później, aż pewnego dnia znalazła na chodniku stronę z jakiegoś czasopisma. Mowa tam o bitwach, w których giną tysiące Francuzów, Niemców, Rosjan... Czy Jeana-Marie też to spotkało? Czy dlatego nie przysyła listów...?

* * *

– Potrzebujemy dwóch kopii tej listy.

Blanca od dwóch tygodni każdego ranka idzie do magazynu przy ulicy Amor de Dios, by jako wolontariuszka pracować przy zbiorce zabawek dla najuboższych dzieci. Przykłada się najbardziej ze wszystkich: nie opuściła ani jednego dnia, nigdy się nie spóźnia i nigdy nie rozprasza.

Jej zadaniem jest inwentaryzowanie napływających darów i przygotowywanie list dzieci, które, zdaniem proboszczów poszczególnych parafii, powinny je otrzymać.

Dumna ze swojej pracy opowiedziała Manuelowi o kampanii, w której uczestniczy.

– W „dzielnicy krzywdy” nie ma żadnej parafii. Więc tamtejsze dzieci nic nie dostaną.

– Co to za dzielnica?

– Położona nieopodal rzeki, na lewo od Puerta de Toledo, za kostnicą sądową.

– Jak się nazywa? „Dzielnica krzywdy”?

– Właśnie tak: Las Injurias.

Skoro to najbiedniejsza część Madrytu, to tam w pierwszej kolejności należałoby się udać, tam szukać najbardziej poszkodowanych maluchów. Blanca od razu postanawia, że się tym zajmie.

– Byłeś tam kiedyś?

– Tak.

– Zabierzesz mnie?

– To nie jest miejsce dla ciebie.

Manuel nie opiera się jednak długo. Przecież chodzi o niesienie pomocy najsłabszym.

– Tyle że tamtejsze dzieci nie potrzebują zabawek. Raczej jedzenia, ubrań, nauczycieli... Sprawiedliwości.

– Zabawek też. Każde dziecko potrzebuje zabawek.

Umawiają się, że wybiorą się do Las Injurias w niedzielę przed południem, jak Blanca wyjdzie z kościoła.

– Jeśli wolisz, możemy się spotkać jeszcze przed mszą i zaraz po niej tam jechać.

– Ja miałbym uczestniczyć we mszy? Nie rozśmieszaj mnie. Chyba że chcesz, żebym podpalił kościół. Lepiej poczekam na zewnątrz. To gdzie dokładnie mam się stawić?

Ostatecznie Manuel odbiera Blancę sprzed kościoła Hieronimitów, w niedzielę o dziesiątej rano. Jadą tramwajem na Puerta del Sol, tam przesiadają się do innego, który zmierza do Carabanchel. Wsiadają w pobliżu miejsca przeznaczenia.

– Czy jest tu aż tak niebezpiecznie, jak mówią?

– Oczywiście, że nie. Policja i prasa rozpowszechniają taką wersję, żeby izolować tutejszych mieszkańców jako dzikusów, którym nic się nie należy.

Droga z Puerta de Toledo, gdzie wysiedli, do „dzielnicy krzywdy” wiedzie przez szczerę pole, pokryte w wyniku ostatnich deszczów błotem.

– Ludzie stąd muszą pokonywać tę trasę codziennie. A jak stają potem przed potencjalnym pracodawcą, słyszą, że są brudni i źle ubrani. Tyle że nawet gdyby mogli kupić sobie lepszą odzież, na którą ich nie stać, i tak musieliby się przedzierać przez te kałuże w zimie i burze piaskowe w lecie... Więc nie ma dla nich pracy ani szkoły, ani służby zdrowia, nic, jest tylko nędza.

Pierwsze domy, które pojawiają się w polu widzenia, wyglądają dużo gorzej, niż Blanca się spodziewała: to baraki z przegniłego drewna, skupione wokół tego, co miejscowi nazywają podwórkami.

– Kiedyś stał tutaj tak zwany Dom Pasterski podnajmujący pokoje żebrakom, złodziejom, prostytutkom... Potem ratusz nakazał wszystko zburzyć, żeby „oczyszczyć miasto”, a ludziom nie pozostało nic innego, jak zbudować sobie własne

domy. Nie wiem, czy gorsze niż poprzednie, bo wcześniej tu nie bywałem.

Zbliża się do nich szóstka dzieci, wyraźnie zaprzyjaźnionych z Manuelem i zadowolonych z jego widoku. Manuel zna je wszystkie po imieniu, wypytuje o rodziców, rodzeństwo. Dwoje z maluchów, mimo zimna, jest boso. Niemal wszystkie mają na sobie łańchmany.

– Dzieci potrzebują zabawek, ale jeszcze bardziej potrzebują butów.

Blanca nie odpowiada; nie ulega wątpliwości, że racja jest po jego stronie. Skądś pojawia się blondynek o twarzy spryciarza.

– Blanco, poznaj Marcosa. Marcos pracuje jako chłopiec na posyłki w sklepie kolonialnym. Nie płacą mu pensji, zarabia wyłącznie na napiwkach. Za to utrzymuje matkę i rodzeństwo. Wieczorami chodzi na lekcje, bo chce umieć czytać, pisać i liczyć...

– Witaj, Marcos.

Chłopiec patrzy na Blancę z ciekawością. Szanuje Manuela – inaczej już by się zastanawiał, ile dostanie za broszę, która zdobi suknię nieznajomej.

– Dzień dobry, panienko.

– No, przestań się tak gapić na tę broszę. Blanca nie ma nic wspólnego z tymi idiotami z jarmarku świętego Jana.

Ciszę mąci trąbienie klaksonu. W tej okolicy rzadko widuje się samochody, więc dzieci ogarnia podniecenie. Manuel i Blanca też ruszają za pojazdem, który zatrzymuje się w końcu na placyku między ruderami. Z furgonetki wyskakuje Luis, a za nim jakiś inny mężczyzna. Luis i Manuel padają sobie w ramiona.

– Nie wiedziałem, że wciąż się tu kręcisz.

– Jutro jadę do Barcelony, wcześniej chciałem przywieźć tu trochę bożonarodzeniowych podarków.

Luis zerka na Blancę.

– Pewnie mnie pani nie pamięta. Byłem jednym z kelnerów wynajętych przez pani rodziców na dzień pani ślubu. Przyniosłem pani do pokoju wodę.

– Przykro mi, tamtego dnia byłam niezbyt przytomna.

– Wręcz przeciwnie. Dobrze pani zrobiła, zrywając tamten związek. Nie ma pani czego żałować. A pani ojciec wydawał mi się bardzo przyzwoitym człowiekiem.

Wspólnie rozdają szynki, turrony i konserwy kobietom, które zaskoczone wyłaniają się z domów.

– Prezent od waszych przyjaciół anarchistów, którzy w tym roku postanowili obchodzić Boże Narodzenie, zupełnie jakby Bóg naprawdę istniał, a jego syn miał się właśnie narodzić!

Blanca jest rozbawiona i przestraszona zarazem.

– Ale... Przecież to wszystko zostało ostatnio zrabowane na ulicy Arenal, prawda? Czytałam artykuł Gonzala w „El Noticiero”.

– Owszem. Tutaj te dobra bardziej się przydadzą, czyż nie?

Kilka minut później smakołyki są już rozdane, a Luis Segura i jego towarzysz, pożegnawszy się, wsiadają z powrotem do furgonetki. – Powodzenia. Jak będziesz w Barcelonie, pytaj o mnie.

– Trzymaj się zdrowo.

Dzieciaki biegną za samochodem, zupełnie jakby chodziło o wielbłądy Trzech Króli. Manuel uśmiecha się, obserwując odjazd przyjaciela. Chociaż prawie nigdy się z nim nie zgadza, szanuje go i rozumie, jak wiele Luis gotów jest poświęcić, byle tylko zapewnić biedakom trochę z tego luksusu, którym inni mieszkańcy Madrytu cieszą się na co dzień. Może to i racja: może trzeba zorganizować zamach na króla, zamiast czekać, aż sam ustąpi...

– To dobry znajomy?

– Prawie brat. Cóż, chyba chciałaś się dowiedzieć, ile dzieci tutaj mieszka.

– Owszem.

– To musimy pogadać z Murcjanką. Ona jest tu kimś w rodzaju burmistrzini.

Manuel prowadzi Blancę wąskimi uliczkami: wszędzie prowizoryczne chałupy, kałuże, zaniedbana dzieciarnia. Wreszcie docierają do chaty, której strzeże ogromny pies. Nie wchodzi, boją się zbliżyć. – Uważaj, on podobno nie gryzie, ale jakoś trudno mi w to uwierzyć. Murcjanko!

Z chaty wyłania się mniej więcej trzydziestoletnia kobieta – ładna, ale zaniedbana i rozczochrana. Od razu rozpoznaje Manuela.

– To ty! Co za radość!

– Jak przywiążesz gdzieś tę bestię, przedstawię ci moją znajomą. – Mówiłam ci, że on nie gryzie.

– Wiem, ale lepiej go przywiąż.

Murcjanka Aurelia przytrzymuje brytana za sznurek pełniący funkcję obroży i goście wchodzi do domu. Pies wrogo powarkuje na Manuela.

– Sama widzisz, chce mnie ugryźć. Nie wiem, o co mu chodzi, ale się uwziął.

– Zawsze ci to powtarzam: on po prostu wie, że przynosisz kłopoty.

Chatka jest w środku tak samo skromna jak na zewnątrz, niemniej lśni czystością. Wszyscy troje siadają przy kuchence. Na ogniu pyrka garnek z gotującym się jedzeniem.

– Wody?

– Nie, dziękuję.

– To ze studni, nie umrze pani od niej przecież.

– My tylko na momencik, Murcjanko, nie zawracaj sobie głowy.

W głębi widać zasłonkę i, poniżej, nogi łóżka; obok nocnik. Na gwoździach wbitych w ściany wiszą ubrania, a światła, poza kuchenką, dostarcza wyłącznie

niewielkie okno. Również na ścianie wisi wielka szynka, a pod nią, na podłodze, stoi skrzynia pełna wędzonych śledzi – to część łupu z furgonetki. W kilka pustych butelek wetknięto świece, teraz już na w pół wypalone. Murcjanka usiadła na krześle i szlafrok odslania jej nogi tak wysoko, że dla Blanki to nie do pomyślenia. A nogi Murcjanki są piękne, silne. Blanca krępuje fakt, że i Manuel je widzi. Ale co ma powiedzieć?

– Blanca jest moją dobrą znajomą. Współpracuje przy akcji rozdawania zabawek najbiedniejszym dzieciom. Z okazji Bożego Narodzenia. Chce zdobyć dane dotyczące tej dzielnicy.

– Dane są następujące: tutaj żadne dziecko nie ma zabawek, wszystkie są bardzo biedne. Bawią się kamieniami.

– Muszę wiedzieć, ile tych dzieci jest; poznać ich imiona i wiek.

– Liczbę pani podam, ale co do wieku... Tutaj nikt nie obchodzi urodzin. A zamiast imion używa się przydomków. Połowa mieszkańców nie ma żadnych dokumentów, większość nie potrafiłaby wskazać swego ojca.

Blanca opuszcza ten dom z uczuciem, że nie spodobała się Murcjance – może powinna była napić się tej wody...? Tak czy owak, zrobi wszystko, żeby tutejsze dzieci skorzystały z kampanii, w której uczestniczy. Niemniej martwi ją, w jaki sposób Murcjanka patrzyła na Manuela. Czy to dlatego Manuel nie szukał jej, Blanki, towarzystwa po spotkaniu w szpitalu u Gonzala? Tamtych dwoje łączy coś, czego między nią a Manuelem nie ma.

* * *

– Nie zdołamy uratować tej ręki.

Po wypełnionych cierpieniem miesiącach, które upłynęły od śmierci arcyksięcia Franciszka Ferdynanda, Gawriło osiągnął tyle, że lekarz obejrzał jego złamane ramię.

– Trzeba amputować.

Nie tłumacz mu, na czym polega problem; informują go jedynie, że operacja zacznie się za kilka godzin. W każdym razie nie będzie mu brakować tej bezużytecznej od dawna ręki; byle tylko ból ustał.

Gawriło Prinsip nie cieszy się sympatią w więzieniu. W Austrii nikt nie chce mieć nic wspólnego z zabójcą następcy tronu i sprawcą niesionych przez wojnę nieszczęść.

Wszędzie tylko okopy i naloty, a Austro-Węgry wciąż nie zdołały zrealizować swojego pierwotnego celu: podporządkowania Serbii. Nic nie zdziałają bez pomocy Niemiec, te jednak są zajęte na innych frontach w Europie, Afryce, a nawet Azji, gdzie walczą z Japończykami o Tsingtau.

Wojskowi chirurdzy nic, tylko amputują kolejne kończyny – w okropnych warunkach, często bez innego znieczulenia niż ręcznik wciśnięty między zęby delikwenta. Gawriło zatem i tak ma szczęście. Ból, który odczuwa po

przebudzeniu, nie jest większy niż ten, który dręczył go, gdy rękę miał wciąż na miejscu. Teraz może być już tylko lepiej.

– Czy oskarżony przyznaje się do winy?

Podobno przydzielono mu obrońcę, lecz Gawriło nie ma pojęcia, który z obecnych na sali mężczyzn w czerni miałby nim być. Nikt mu niczego nie doradzał, nie wie, co powinien mówić.

– Przyznaję się.

To raczej bez znaczenia: ostatecznie został złapany z pistoletem w dłoni, dziesiątki świadków widziały, jak strzelał do Franciszka Ferdynanda, niejednokrotnie też przyznawał się do zabójstwa w trakcie nieludzkich przesłuchań, którym go poddawano. Po co zatem ukrywać prawdę? Dla Austriaków jest mordercą, a dla Serbów – tak przynajmniej sądzi – bohaterem. Nie martwi się ani dwudziestoletnim wyrokiem, ani gruźlicą, która wykończy go znacznie wcześniej. Przejmuje się jedynie wciąż sprawiającym ból ramieniem i tym, by wszyscy wiedzieli, że to właśnie on bez wahania spełnił swój obowiązek względem ojczyzny.

Nie zadają mu więcej pytań. W imponującej sali wiedeńskiego sądu znajdują się też pozostali zamachowcy: Čabrinović, Ilić, Grabež... Wszyscy deklarują, że są niewinni. Nieważne. A może to i lepiej: w ten sposób potwierdzają, że jedynie Gawriło gotów był się poświęcić dla idei Wielkiej Serbii.

Kolejno przemawiają oskarżeni, świadkowie, prawnicy... Strasznie to nudne. Gawriło przyznał się już, wie, czego się spodziewać, i nie interesuje się dalszym przebiegiem procesu. Jego uwagę zwracają dopiero zeznania Veljka Čubrilocia.

– Gawriło Princip mi groził. Mnie i mojej rodzinie.

– Proszę wyjaśnić.

– Ja nie chciałem nikogo zabijać, nie chciałem brać udziału w tym zamachu, ale Princip zapowiedział, że jeśli tego nie zrobię, zamorduje moich rodziców i rodzeństwo. Bałem się go.

Co on opowiada? Kłamie jak z nut – przecież był jednym z przywódców spisku; to on rozdał im wszystkim broń.

– Bałem się, co będzie, jak zostanę złapany, ale jeszcze bardziej bałem się Principa.

Pozostali mówią mniej więcej to samo: Gawriło Princip jest jedynym winowajcą, on wszystko zaplanował, zabił arcyksięcia i zastraszał każdego, z kim miał styczność. Gdyby nie chodziło o podłą zdradę, Gawriło czułby się nawet zaszczycony. Gdyby uprzedzono go, że w ten sposób może ocalić niektórych towarzyszy od więzienia czy śmierci, z chęcią uczestniczyłby w tej maskaradzie. Ale nie – przygotowano ją za jego plecami, pozbawiając go jakiegokolwiek pomocy,

przedstawiając jako potwora i zostawiając własnemu losowi.

Jedynie Čabrinović nie obwinia Principa; nie musi, sam też jest niepełnoletni, więc nie grozi mu najwyższy wymiar kary. Ale i on nie umie ukryć strachu.

– Czy to prawda, że wysłał pan list, w którym prosi pan o przebaczenie osierocone dzieci arcyksięcia Franciszka Ferdynanda i jego małżonki Zofii von Chotek?

– Tak, Wysoki Sądzie, i dostałem pozytywną odpowiedź. Zdaję sobie sprawę z tego, że popełniliśmy straszliwą zbrodnię i musimy za to odpowiednio zapłacić, jednakże w swoim sumieniu jestem już spokojniejszy.

Gawriło brzydzi się tchórzostwem dawnych towarzyszy. Sam nie zamierza błagać o łaskę i gdy znów przyjdzie jego kolej, pokaże wszystkim, że dla niego ojczyzna znaczy więcej niż życie.

– Dlaczego zamordował pan arcyksięcia i jego małżonkę?

– Z zemsty za upokorzenia, jakich Serbowie doznają ze strony Austrii. Wierzę, że wyzwoleni spod jej jarzma południowi Słowianie mogą się zjednoczyć i stworzyć jedno państwo. Trzeba było zabić tyrana w imię wolności.

– Żałuje pan?

– Nie, nie żałuję. Zrobiłem to, co do mnie należało. Spełniłem swój patriotyczny obowiązek.

– Co pan powie na zeznania swoich towarzyszy, którzy twierdzą, że ich pan zastraszył?

– Nie mam tu nic do powiedzenia poza tym, że to ludzie niegodni naszej wielkiej sprawy.

Zgodnie z oczekiwaniami sześciu zamachowców – w tym Čabrinović i Princip – ze względu na młody wiek zostaje skazanych na dwadzieścia lat więzienia. Organizatorzy zamachu – wśród nich Ilić i Čubrilović – mają zostać powieszani. Na nic się im nie zdało ich tchórzostwo.

Princip ma prawo wygłosić ostatnie słowa, nad którymi rozmyślał od wielu tygodni. Potem zostanie przewieziony do twierdzy Terezin w Czechach, w której będzie odbywał karę.

– Nie trzeba mnie donikąd przewozić. Moje życie dobiega końca. Lepiej przybijcie mnie do krzyża i żywcem spalcie. Moje płonące ciało stanie się pochodnią wskazującą moim rodakom drogę do wolności.

* * *

– Nie pojawiłeś się na zabawie w Charlottenburgu.

Gustav Müller zgodnie z obietnicą wysłał Frankowi zaproszenia na kilka berlińskich okołosylwestrowych imprez „tylko dla mężczyzn”, lecz Frank nie wybrał się na żadną. Najważniejsza była ta, która odbywała się w pewnej piwiarni przy Berliner Strasse, w dzielnicy Charlottenburg. Frank wszakże stroni od

rozrywek, wciąż zaprzątnięty myślami o Gonzalu. Poza tym stara się wykorzystywać każdą chwilę na jak najlepsze przygotowanie się do czekającej go misji.

Rozkaz wyjazdu może nadejść lada chwila. Zadzwońią do niego, udziela mu ostatnich wskazówek i ułatwią przedostanie się do Paryża. Już na miejscu Frank musi odszukać budynek przy ulicy Oran, gdzie na poddaszu mieszka nieistniejący Marcel Malmaison, jego główne alter ego. Później wszystko zależy od jego inwencji: ma pozyskiwać informacje, przekazywać je zwierzchnikom i w razie konieczności udzielać pomocy towarzyszom w potrzebie.

Nie odważył się napisać do Gonzala do domu, lecz wpadł na pomysł, by skontaktować się z kierownikiem lokalu przy ulicy Flor. W ten sposób dowiedział się, że w ostatnią jego madrycką noc w pobliżu klubu doszło do napaści. Jasne jest jedynie to, że kilku mężczyzn, którzy kręcili się po okolicy już wcześniej, zaatakowało jakiegoś klienta, ale z niewiadomych powodów uciekło potem przed dwoma przypadkowymi przechodniami. A jeśli tym klientem okazałby się Gonzalo...? To oczywiście wyjaśniałoby całą sytuację, przy czym oznaczałoby też, że biedak padł ofiarą czyjejś agresji. Nie, już lepiej, żeby był cały i zdrowy, nawet gdyby nic się nigdy nie miało wyjaśnić.

Poza tym po powrocie do Berlina nie należało się odzywać do Gustava. Gdyby się nie spotkali, nie trzeba by było kłamać.

– Czy to nie dziwne, że odwołali cię z placówki w Hiszpanii i teraz zwlekają z przydzieleniem ci zadań?

– Może im się odwidziało? Może nie jestem wystarczająco wojowniczy? Sam wiesz, jak to z Prusakami bywa...

– Wiem tylko, że nie chcesz zdradzić, o co chodzi, choć mógłbyś spokojnie mi zaufać...

Gustav zawsze należał do ludzi dyskretnych: pilnował własnych spraw i nie wtykał nosa w cudze. Cóż, wojna zmienia każdego. Ostatecznie nauczyciele zajmują się teraz rzucaniem granatów, naukowcy opracowują nowe sposoby zabijania, chemicy produkują gazy bojowe... Niemniej byłoby lepiej, gdyby Gustav nie zadawał tylu pytań. Trzeba się przestać z nim widywać, inaczej wątpliwości będą się mnożyć. Bo może interesuje się tym, czym nie powinien, z jakichś podejrzanych powodów? On, Frank, nie zniósłby takich myśli, no i nie potrafiłby go zadenuncjować.

* * *

– Wasza Królewska Mość, francuski jeńiec, o którym pisała tamta dziewczynka spod Bajonny, Sylvie, został odnaleziony i list od niego wysłano rodzinie.

Alfons XIII nie zapomniał o tej sprawie i kilkakrotnie przypominał sekretarzowi, by mocniej naciskał na hiszpańskiego ambasadora w Berlinie.

- Ta mała i jej matka dostaną przesyłkę przed Bożym Narodzeniem?
- Zapewniono mnie, że tak. Że jeszcze dzisiaj.
- Doskonale, Bernardo, doskonale.

Królowi od razu poprawił się nastrój. Można na chwilę zapomnieć o wojnie, o naciskach, by Hiszpania opowiedziała się jednak po tej czy tamtej stronie, o tym, że – jak się okazało – najmłodszy syn królewskiej pary też cierpi na hemofilię... Ba, nawet wieczorne przyjęcie nie wydaje się już takim nudziarstwem.

Na specjalne okazje galowa jadalnia w Pałacu Królewskim w Madrycie przekształcana jest w salę balową. Do śmierci królowej Marii de las Mercedes Orleańskiej, zmarłej w tysiąc osiemset siedemdziesiątym ósmym roku, używano do tego celu Sali Kolumnowej, ale że właśnie tam zorganizowano wówczas czuwanie przy zwłokach, król Alfons XII postanowił przenieść tańce gdzie indziej. W przyległej do jadalni Sali Zwierciadlanej rozlokowała się orkiestra królewska, grająca dziś głównie walce.

Na bożonarodzeniowe przyjęcie wydawane przez króla Alfonsa XIII i królową Wiktorię Eugenię zaproszono wszystkie ważne osobistości królewskiego dworu. Monarcha spaceruje po sali, wita się z gośćmi, jednych pyta o dzieci, innych – o interesy, starszych – o zdrowie. Ma doskonałą pamięć do ludzi, a jeśli nawet chwilowo go ona zawiedzie, sekretarz Bernardo natychmiast służy pomocą.

W pewnej chwili Alfons XIII zbliża się do markiza Alerces; naprawdę cieszy się z tego spotkania, zawsze cenił don Jaimego, nie tak jak wielu innych, których wbrew sobie pozdrawia uśmiechem. Na takim przyjęciu są wszyscy: ci, których lubi, i ci, których nie cierpi. Choć ostatnio wykreślił z listy gości jedno nazwisko: Carlos de la Era nie dostanie już zaproszenia do Pałacu. Król nie chce, by don Jaime musiał oglądać niedoszłego zięcia, poza tym sam osobnika nie znosi.

– Don Jaime, dawno pana nie widziałem. Od kiedy wycofał się pan z dyplomacji, rzadko bywa pan na dworze.

– Zawsze jestem do dyspozycji Waszej Królewskiej Mości.

– Jak tam sprawy?

– Dobrze, dzięki Bogu. Jak również dzięki neutralności, na którą Wasza Królewska Mość słusznie postawił.

– Dziękuję. Dziękuję. Wielu chciałoby, żebyśmy przyłączyli się do tej strasznej wojny, cieszy mnie, że się pan do nich nie zalicza. A jak się miewa pańska rodzina?

– Bez wątpienia Wasza Królewska Mość słyszał o tym, co stało się na ślubie mojej córki.

– Słyszałem. I coś panu powiem, ale niech to zostanie między nami: choć bezwarunkowo potępiam takie publiczne demonstracje, podziwiam odwagę pańskiej córki. Co porabia teraz doña Blanca? – Wasza Królewska Mość nie uwierzy: uczy się maszynopisania i postanowiła znaleźć sobie pracę. Mówi, że nie

rozumie, czemu kobieta nie miałaby pracować tak jak mężczyzna. I ja się z nią zgadzam.

– Doprawdy, rzecz godna podziwu. Zdaje się, że postępowanie wreszcie zawitało i do nas. Sam pan wie, że w kraju mojej żony kobiety od dawna domagają się dla siebie miejsca w przestrzeni publicznej. To dobrze, że również w Hiszpanii pojawiają się takie tendencje. Gdybym mógł jakoś pomóc, proszę dać mi znać. A teraz muszę pana przeprosić, don Jaime. Obowiązki wzywają. Wesołych świąt.

– Wesołych świąt, Wasza Królewska Mość.

Alfonso XIII właśnie dostrzegł swego przyjaciela Álvaro; przypadkiem stoi niewiele ponad trzy metry od osoby, którą król chciałby mu przedstawić.

– Álvaro, pozwól tutaj... Pamiętasz, jak ci opowiadałem o tej małej Francuzce, która napisała do mnie z prośbą o pomoc w ustaleniu miejsca pobytu brata?

– Oczywiście.

– Sprawa została załatwiona.

– Gratulacje, Wasza Królewska Mość.

– Ten chłopak, jak się okazało, siedzi w obozie jenieckim w Niemczech. Nie pozwalają im pisać do domu, żeby nie przekazywali poufnych informacji. Jakby jeńcy wiele ich mogli przekazać... Cóż... Tak czy owak, chodź, przedstawię ci kogoś.

Don Alfonso i Álvaro podchodzą teraz do Mercedes de la Torre – ładnej, niespełna dwudziestoletniej dziewczyny. Król nie widzi uśmiechu, który pojawia się na twarzy jego przyjaciela.

– Mercedes, cieszę się, że przyszałaś.

– Jestem wdzięczna za zaproszenie, Wasza Królewska Mość.

– Znasz Álvaro Gintera?

– To mój wujek, jego brat jest mężem jednej z siostr mojej matki.

– Coś takiego...

– Wasza Królewska Mość, dziękuję za dobre chęci, ale Mercedes znam jeszcze z czasów, gdy nosiła pieluchy.

– Widać, że jak Burbon postanawia się ośmieszyć, to już na całego... Zostawię was, żebyście mogli sobie uciąć rodzinną pogawędkę, i wracam do reszty gości.

Król się oddala.

– Nie obraził się chyba?

– Skąd, ma wybitne poczucie humoru, możesz mi wierzyć. Dobrze się tu bawisz?

Álvaro Giner wymyka się z przyjęcia wcześniej. Powiedział kochance, że zostanie dłużej i już jej dziś nie odwiedzi, ale zmienił zdanie. Ma ochotę ją

zobaczyć i liczy na to, że mile zaskoczona niezapowiedzianą wizytą będzie dla niego czulsza niż zazwyczaj.

Kierowcy królewskich gości czekają przy autach na placu Oriente. Stoją w grupkach: niektórzy grają w karty, inni gawędzą, paląc papierosy. Z pałacowych kuchni przyniesiono im coś do jedzenia i po filiżance rosołu na rozgrzewkę. Szofer Álvaro, siedząc w samochodzie, czyta powieść Pía Barochy. Widząc swego chlebowodawcę, natychmiast ją chowa.

– Do domu, proszę pana?

– Nie, zawieź mnie na ulicę Fuencarral.

Nie trzeba dalszych wskazówek – kierowca doskonale wie, gdzie ma się zatrzymać.

– Wracaj teraz i odpocznij. Wrócę piechotą.

Álvaro otwiera drzwi wejściowe swoim kluczem. Nie musi fatygować się aż do sypialni: Beatriz Vargas zastaje już w salonie – nagą, w towarzystwie mężczyzny.

– Álvaro!

– Widzę, że jesteś zajęta.

Zna twarz tego człowieka, minął go parę razy na schodach. Myślał, że to sąsiad, a tu proszę: chodziło o kochanka jego kochanki.

– Chcę, żebyś wyprowadziła się stąd w ciągu doby. Nie zmuszaj mnie, żebym sam cię wyrzucił.

Schodzi na dół; kierowca, zgodnie z poleceniem, już odjechał. Álvaro rusza w kierunku dopiero budowanej Gran Vía. Przykra sprawa z tą Beatriz, choć z drugiej strony cała sytuacja ma jedną zaletę: problem sam się rozwiązał.

* * *

– Raúl, zaraz zamykam.

– Nie denerwuj mnie, Pepe, od kiedy to w ogóle zamykasz tę spelunę?

– Dziś Boże Narodzenie, jem kolację z rodziną.

Boże Narodzenie... Raúl Coronado całkiem o tym zapomniał. Wraca do swojego mieszkania przy ulicy Sommerard, w Dzielnicy Łacińskiej, niedaleko ulicy Saint-Jacques i bulwaru Saint-Germain. Mieszka tam od dwunastu lat – od kiedy przyjechał do Paryża.

Jest zimno, bardzo zimno. Żadnego porównania z Gwiazdkami jego dzieciństwa spędzonymi w ciepłej Hawanie, nieznającej tych lodowatych podmuchów, które teraz dolatują znanad Sekwany, zmuszając go do postawienia kołnierza palta. Palta zbyt zresztą lekkiego – ciekawe, gdzie się podziało tamto, które miał kiedyś: grube i dobrej jakości... Nie pamięta, czy zgubił je kiedyś po pijaku, podarował jakiejś prostytutce, by ta oddała je potem swojemu rajfurowi, czy może sprzedał, chcąc spłacić długi w tej czy innej palarni opium. Lata dostatku dawno przeminęły.

Ojciec na Boże Narodzenie zawsze piekł prosiaka i zapraszał całą rodzinę oraz wielu przyjaciół. Starsi, popijając rum, zajmowali się przygotowaniem mięsa, dzieci podjadały sprowadzone z Hiszpanii turrony, kandyzowaną gujawę, lukrowane pączuszki, słodki krem z batatów... Śpiewało się wtedy i tańczyło, paliło ogromne cygara i snuło opowieści, których Raúl nie potrafi sobie przypomnieć.

Dziś wieczorem nie ma nic do jedzenia, ba, także Axarqúe, bar, w którym zwykł spędzać godziny na gorączkowym pisaniu, jest pewnie zamknięty. Nawet taki Pepe spędza święta z rodziną. On – nie; on musi skończyć historię swego życia, nim wróci do Hiszpanii. Nie pojedzie do Madrytu, zatrzyma się w Barcelonie, jedynym miejscu, gdzie mógłby żyć – co brzmi ironicznie, zważywszy, że on zamierza tam umrzeć.

Nie dziwi się, że jego przełożeni z „El Noticiero de Madrid” chcą, by wracał, i nawet zagrozili, że przestaną płacić mu pensję. Od miesięcy nie wysłał im żadnego oryginalnego tekstu; ogranicza się do streszczania tego, co piszą francuskie gazety, a czasem wręcz zwyczajnie zrzuca artykuły z prowincjonalnej prasy, tak żeby nikt w Madrycie się nie zorientował. Wszyscy pragną czytać o wojnie, jego zaś wojna nie interesuje. Niech Niemcy zajmują sobie Paryż, Francuzi – Berlin, niech wszędzie zaroi się od Amerykanów, Australijczyków albo i Nowozelandczyków – jemu wszystko jedno. Paryż nie ma z tym nic wspólnego. Paryż to bary, ulice pełne prostytutek, palarnie opium, tanie kabarety, do których nigdy nie zajrzałyby żaden turysta...

Kiedy po raz ostatni odwiedził Madryt? Nie pamięta; pamięta natomiast, że widział się wtedy z szefostwem „El Noticiero”. Redaktor naczelny palił jak smok, a wszyscy byli ogromnie radzi: oto mieli do dyspozycji wymarzonego korespondenta, Hiszpana urodzonego na Kubie, mówiącego z melodyjnym karaibskim akcentem i zdolnego załatwić gazecie wywiady z najlepszymi poetami, najsłynniejszymi malarzami. I nic by się do tej pory nie zmieniło, gdyby tymczasem nie spotkał Perli. Mógłby zresztą wpaść teraz do niej do pensjonatu, poprosić, żeby zjadła z nim kolację, bo niewykluczone, że to jego ostatnie Boże Narodzenie... Ale w tym celu musiałby się wyprawić na ulicę Audran. W taką zimnicę lepiej zostać w domu. Jest jeszcze przynajmniej pół butelki koniaku, wystarczy.

– Możemy wziąć ze sobą coś do jedzenia i spędzić cały dzień w okolicach Escorialu. Urządzić sobie własne, trochę spóźnione Boże Narodzenie.

Elisa od pewnego czasu spotyka się z Carlosem, udając, że chodzi na lekcje maszynopisania.

Początkowo jedynie dużo rozmawiali: o Blance, o Gonzalu, o podstępach Pilar Marín, o jej córce, która, jak zapewniał Carlos de la Era, nie była wcale jego

dzieckiem.

– Ta twoja przyjaciółka... Co za egoistka! Nawet się nie zainteresowała, czy rewelacje tamtej wariatki mają cokolwiek wspólnego z rzeczywistością, nie, musiała wywlec całą sprawę na światło dzienne! Popełniłem błąd, wiążąc się z Pilar, przyznaję, ale ojcem jej dziecka nie jestem. Zresztą jej chodziło tylko o pieniądze. A teraz czuję się jak trędowaty, nie zostałem nawet zaproszony na bożonarodzeniowe przyjęcie do Pałacu. Po raz pierwszy nie było mnie na liście gości! Wszystko przez te podłe pomówienia Blanki...

Elisa widzi w Carlosie kogoś, kto żałuje błędów przeszłości, popełnionych niejako wbrew woli. Kogoś, kto zasługuje na to, by poznać go dużo lepiej, niż uczyniła to Blanca – powierzchowne, rozkapryszone dziewczysko.

Długie rozmowy zaowocowały przyjaźnią, rosnącą bliskością, tęsknotą od rana do wieczora. Elisa zawsze sądziła, że przyjaźni się z Blancą – jakże się myliła! Przecież Blanca wiecznie myśli o sobie: o swoim narzeczeństwie, swoim ślubie, jajkach dla klarysek, ucieczce sprzed ołtarza, maszynopisanu, pracy, którą, jak zapewnia, znajdzie... Jakże inny jest Carlos, który troszczy się tylko o nią, Elisę; który przynosi jej kwiaty, zdobywa dla niej bilety na premiery teatralne, zabiera ją na konne przejażdżki... Niczego od niej nie chce, a daje jej wszystko.

No i przecież wcale nie chodzi o przyjaźń. Elisa kocha Carlosa i nie wątpi, że jej uczucie jest odwzajemnione. Na ostatnim spotkaniu całowali się w samochodzie, mimo ryzyka, że ich ktoś nakryje. Oczywiście, związek z Carlosem wyklucza dalszą znajomość z Blancą, tyle że na tej znajomości Elisie z każdym dniem mniej zależy. Nie obędzie się też z pewnością bez krytyki z różnych stron, ale wszystko jedno: miłość zawsze zwycięża, a ona, Elisa, już podjęła decyzję. Wtedy, w samochodzie, pozwoliła się tylko pocałować, a Carlos pewnie nie oczekuje wiele więcej, lecz ona go zaskoczy: w ramach prezentu bożonarodzeniowego ofiaruje mu samą siebie. Bo przecież jak się kocha, to się daje drugiemu człowiekowi wszystko.

Dziś spędzą razem cały dzień. Carlos zadbał o jedzenie, picie, wybór miejsca. Nie może przyjechać po nią do domu, to zrozumiałe. Reakcję generała łatwo przewidzieć.

Umówili się na ulicy Alcalá, naprzeciw Retiro. Carlos czeka za kierownicą swego czerwonego renault coupé; pojedą do jego rodzinnej posiadłości nieopodal Escorialu.

– Musimy wrócić wcześniej?

– Skąd, jeszcze zdążysz się mną znudzić...

Elisa kokietuje, uwielbia, jak Carlos robi taką szelmowską minę... – Nie sądzę, bym się tobą znudził.

– W takim razie możemy spędzić razem trochę więcej czasu. Ojciec myśli, że będę dziś nocować u Blanki.

– Czy to znaczy, że mamy dla siebie cały dzień i całą noc?

– Jeśli chcesz, to owszem.

Carlos wydaje się weselszy niż zwykle: prowadzi z fantazją, sypie anegdotami i komplementami, podśpiewuje. Elisa czuje się absolutnie szczęśliwa.

O domu, do którego zmierzają, mówi „chatka”.

– No bo jeśli porównać go z ogromem Escorialu...

Nie jest to może pałacyk, ale i z chatką ma niewiele wspólnego. Zbudował go przed pięćdziesięcioma laty dziadek Carlosa, by spędzać w nim miesiące letnie. W tamtym czasie wyprawa konnymi powozami zajmowała niemal cały dzień; teraz, nowoczesnym automobilem, podróż nie potrwa nawet dwóch godzin. Matka Carlosa wyjeżdża latem nad morze, do Santander, i z domu korzysta jedynie jej syn. Elisa od razu czuje się w tym miejscu jak u siebie.

– Kazałem dozorczy rozpalić w kominku i przygotować posiłek.

– Ty to myślisz o wszystkim...

– O wszystkim, co może cię uszczęśliwić.

W bawialni rzeczywiście ogień wesoło buzuje. Carlos każe też napalić w głównej sypialni.

– Zaraz zrobi się cieplej. Kieliszek szampana?

– Przywiozłeś szampana?

– Oczywiście. I dobre wino do obiadu.

Jedzą, jakby byli na pikniku: siedząc na podłodze przed kominkiem. Rozgrzewają się przepysznym bulionem, potem delektują się pieczonymi przepiórkami i, wreszcie, tartą cytrynową. Po obiedzie piją kawę i po kieliszku brandy.

– Po tych trunkach kręci mi się w głowie.

– Nie martw się, nie wykorzystam twojego stanu do niecnych celów.

– Nie? Szkoda!

Sama nie wie, jak się odważyła to powiedzieć; chwała Bogu, Carlos reaguje uśmiechem. Kilka minut później są w sypialni, całują się na łóżku. Pomieszczenie już się przyjemnie nagrzało. Elisa, wspomagana przez kochanka, zdejmuje ubranie. Nie jest tak wiotka jak Blanca, ale skórę ma dużo bielszą, a biust – większy. Carlos unosi się nieco, by się jej przyjrzeć. Przesuwa dłonią po jej nodze, udzie, lekko muska wzgórek łonowy, sięga ku piersiom, obejmuje jedną. Elisa zdaje sobie sprawę, że nie może równać się z Blancą, zawsze zazdrościła jej urody, niemniej spojrzenie Carlosa sprawia, że czuje się najpiękniejszą kobietą na świecie. Nie wstydzi się wcale, jest gotowa na wszystko.

– Wiesz co? Żaden mężczyzna przed tobą nie widział mnie nago.

– To dobrze. Tak będzie jeszcze przyjemniej.

Carlos wciąż się nie rozebrał, w ubraniu całuje ją i przytula. Chciałaby zobaczyć jego ciało, ale krępuje się do tego przyznać.

– Wygodnie ci tak...?

Carlos wstaje, rozpinając guziki koszuli i ją zdejmując. Klatkę piersiową ma szeroką, porośniętą gęstymi włosami, tak jak sobie Elisa wyobrażała. Ściąga też spodnie, bieliznę nosi z tego samego materiału co koszulę, też z monogramem: C.E.

Gdy sięga ku kalesonom, Elisa unosi rękę do piersi. Nago widziała dotąd jedynie swego brata – i to w dzieciństwie. Kiedyś też znalazły z Blanwą w bibliotece ryciny przedstawiające gołego diabła: jego wyprężony członek przypominał analogiczne organy u psów; ciekawe, czy Carlos też ma coś takiego.

W końcu staje przed nią nagi. Nie przypomina ani małego Gonzala, ani diabła z ryciny. Tyle że Elisa nie może mu się zbyt długo przyglądać, bo oto już leży koło niej i ją przytula. Chciałaby go dotknąć, tam, na dole, ale znowu się krępuje.

Przy pocałunku rozchyła wargi i język Carlosa po raz pierwszy wsuwa się do jej ust. Wcześniej, w samochodzie, i także dziś, po drodze, tylko przyciskali wargi do warg; teraz jest inaczej. Czy Blanca też się tak całowała z Carlosem, gdy byli narzeczeństwem? Trudno odepchnąć tę myśl – zawsze Blanca, zawsze ta zazdrość, że przyjaciółka doświadczyła czegoś z Carlosem wcześniej...

Jego ręce przesuwają się po jej ciele; coś uciska jej biodro – tak, to ta rzecz, której nie umie nazwać; zdaje się, że tymczasem urosła.

– Nie leż tak bez ruchu.

A co ma robić? Liże język ukochanego, głaszcze go po piersi, tak jak on ją. Carlos zsuwa się ku jej piersiom, całuje je, bardzo to przyjemne; potem wraca do jej ust i jednocześnie łapie ją za rękę, prowadząc w miejsce, którego sama chciała dotknąć. Ścisną więc jego członek, gładzi go. Nie tylko urosła, ale i stwardniała.

– Pocałuj go.

Czy to rodzaj próby? Czy powinna usłuchać?

– Powiedziałem, żebyś go pocałowała!

Po co się tak denerwować? Elisa klęka na łóżku i pochyla się.

– No poliz go, do cholery!

Carlos się złości, trzeba się postarać. Elisa liże go, jak umie, nie bardzo wie jak.

– Weź go do ust.

Znów odezwał się łagodniej: jeśli ona się stara, jest miły. Czy Blanca też mu tak robiła? Nigdy o tym nie wspominała; może po prostu nie umie zadowolić mężczyzny, podczas gdy ona, Elisa, właśnie się tego uczy.

– O tak.

Carlos przytrzymuje ją za kark, wyznaczając rytm, wsuwając się coraz głębiej, niemal do jej gardła.

– Doskonale, świetnie ci idzie.

Elisa nie stawia oporu, aż w końcu Carlos każe jej przestać.

– Nie patrz na mnie, patrz na kominek. Uklęknij.

Spełnia polecenie. Carlos przysuwa się do niej od tyłu, jak to robią psy. Potem gwałtownie w nią wchodzi.

– Oj.

– Nie jęcz, wytrzymaj.

Boli ją, bardzo ją boli, a on nie przestaje wchodzić i wychodzić, skacze na niej, jakby ją ujeżdżał. Oby jak najszybciej przestał, inaczej ona nie da rady. On charczy, wykrzykuje: masz, no, masz! W końcu jeszcze przyspiesza, wykonuje kilka ostatnich ruchów i opada na jej plecy. Wyjmuje członek. Elisa widzi na nim krew; krew jest też na prześcieradle.

– Umyj się. Za pierwszym razem musisz krwawić.

* * *

– Czy w archiwum redakcyjnym znajdę jakieś wzmianki o atakach takich jak ten, którego padłem ofiarą?

– Jeśli nie było zgłoszeń o popełnieniu przestępstwa, to wątpię. A ty nie złożyłeś skargi, prawda?

Gonzalo czasem odnosi wrażenie, że Benito, kolega z pracy, jest taki jak on, ale nie ma pewności, a nie wolno mu się zwierzać pierwszemu lepszemu – to dopiero byłby skandal, gdyby się pomylił! Może powinien zwracać uwagę na szósty zmysł, o którym tyle mówił Frank...

– Czemu nie poszedłeś na policję?

– Bo na nic by się to nie zdało.

Dobrze się z Benitem dogadują: nowy kolega bardzo Gonzalowi pomaga i potrafi zinterpretować każdy pomruk redaktora naczelnego Ramireza.

– Uważaj, dziś ma kiepski humor, sprawdza artykuły po dwadzieścia razy.

Albo:

– Dzisiaj jest w dobrym nastroju, pomów z nim o tym swoim pomysle, żeby przeprowadzić wywiad z weteranem wojny ze Stanami. Dzisiaj dostaniesz zgodę na wszystko, nawet na wyjazd do Paryża.

– Nie żeby nasz obecny korespondent przysyłał nam dużo materiałów...

– Nikt nie wie, co się z nim dzieje. Nazywa się Raúl Coronado, swego czasu był najlepszym dziennikarzem w „El Noticiero”, ale teraz lada dzień go zwolnią.

Gonzalo czuje się w redakcji doskonale. Przed Nowym Rokiem musi zająć do pałacyku markizostwa Alerces i podziękować don Jaimemu za wstawiennictwo.

Pierwszego stycznia gazeta nie wychodzi, a wydanie z trzydziestego grudnia zamykane jest późno, po szczególnie długich naradach.

Gonzalo, wracając wreszcie do domu, dziwi się, bo widzi światło w salonie. Na sofie czeka generał, mimo późnej pory jest w mundurze. Na stole leży jego rewolwer, brytyjski webley Mk IV.

– Siadaj!

Gonzalo od razu czuje, a raczej rozumie, że ojciec się dowiedział. Trudno powiedzieć skąd, ale już wie o jego skłonnościach.

– Co konkretnie stało się tamtego wieczoru, kiedy zostałeś napadnięty?

– Po prostu zostałem napadnięty. Już mówiłem.

– Czego od ciebie chcieli ci ludzie?

– Pieniądzy.

Generał sięga po broń. Gonzalo próbuje zachować spokój. Ojciec kieruje lufę rewolweru w jego stronę.

– W magazynku jest tylko jedna kula.

Trzyma palec na spuście, mierząc w głowę syna, w jego czoło. Naciska spust, rozlega się suche szczęknięcie. Komora magazynka była pusta. Gonzalo jest przerażony – spodziewał się wystrzału; spodziewał się, że umrze.

– Co tam robiłeś?

– Niepotrzebnie się tak denerwujesz.

– Chcę to usłyszeć od ciebie. Mów.

– Jest tam pewien lokal, bez nazwy, w którym bywają wyłącznie mężczyźni.

Szedłem na spotkanie z kochankiem.

Generał wciąż trzyma broń w górze, a palec na spuście. Gonzalo czeka na kolejną próbę: czy tym razem w komorze będzie kula? Czy ojciec naprawdę go zabije?

Jednakże generał nie strzela, opuszcza rewolwer.

– Wynoś się. Jesteś zakałą tej rodziny. Masz godzinę, żeby się wyprowadzić.

Nigdy więcej się tu nie pokazuj.

Gonzalo, nim pożegna się z siostrą, pakuje trochę ubrań i portret zmarłej przed laty matki, wiszący w jego pokoju. O świcie ostatniego dnia tysiąc dziewięćset czternastego roku zaczyna się dlań nowe życie. To musiało kiedyś nastąpić, więc równie dobrze mogło nastąpić dzisiaj.

– Nie, jeszcze nie... Teraz!

Zwyczaj jedzenia winogron w sylwestra o północy dopiero się rozpowszechnia, choć niektórzy madrytczycy już od tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego czwartego przychodzą pod zegar na budynku Poczty Głównej, by ścigać się, kto zdąży połknąć wszystkie dwanaście winogron, nim wybrzmi ostatnie z dwunastu uderzeń. Blanca, korzystając z tego, że jej rodzice bawią się u księcia i księżnej Pimentel, wybrała się na Puerta del Sol z Manuelem.

– Nie dam rady.

– Jedz, zamiast gadać. Siedem, osiem...

Gdy zegar milknie, ludzie padają sobie w ramiona. Blanca wciąż ma usta pełne owoców, Manuel jest szybszy.

– Szczęśliwego roku tysiąc dziewięćset piętnastego!

Już chce ją uściskać, lecz rezygnuje i tylko wyciąga do niej rękę, ale wtedy ona unosi głowę, żeby go pocałować. Ostatecznie w tym zamieszaniu Manuel uderza ją w nos.

– Przepraszam! Przepraszam, to było niechcący...

– Nie szkodzi, nic się nie stało.

– No dobrze, więc jeszcze raz: szczęśliwego nowego roku. Pomyślałaś życzenie?

– A tak trzeba?

– Owszem, podczas jedzenia winogron.

– Za bardzo byłam na tym skupiona. A ty jakie sobie pomyślałeś?

– Nie wolno zdradzać, bo się nie spełni.

Blanca musi wrócić do domu przed rodzicami, którzy nie mają pojęcia, że ich córka stoi na Puerta del Sol w tłumie nieznamych, i sądzą raczej, iż śpi w swoim pokoju nieświadoma, że oto nastał nowy rok. Miło byłoby spędzić jeszcze trochę czasu z Manuelem, poświętować.

– Odprowadzę cię.

– Nie trzeba, możesz tu zostać i dobrze się bawić.

– Wolę iść z tobą. Mnóstwo ludzi kręci się teraz po ulicach, dopilnuję, żeby nic ci się nie stało. Poza tym z miłą chęcią wkroczę w nowy rok spacerowo.

Ruszają więc wzdłuż Carrera de San Jerónimo. Noc jest wyjątkowo przyjemna – zimna, ale sucha. Mijają rozbawione, hałaśliwe grupki: niektórzy zbyt dużo wypili i teraz na cały głos wykrzykują noworoczne życzenia.

– Rok tysiąc dziewięćset czternasty był okropny: ten mój ślub, potem wojna...

– A dla mnie, mimo wszystko, okazał się dobry. Bo poznałem ciebie.

Manuel sam nie wie, jak się odważył powiedzieć jej coś takiego. Kątem oka sprawdza, jak to przyjęła. Uśmiechnęła się.

Przechodzą przed hotelem Palace, zbudowanym ledwie parę lat temu, dwa lata po sąsiednim Ritzu. Są już blisko celu i oboje się denerwują: co będzie przy pożegnaniu? Elisa ma słuszość – Blanca powoli zakochuje się w tym mężczyźnie, mimo jego robotniczej powierzchowności i anarchistycznych poglądów.

Nagle przystaje – dostrzegła czerwone renault. To samochód Carlosa, który opiera się o maskę, patrząc prosto na nich.

– Co się dzieje?

– Chodźmy, Manuelu.

Czuje na sobie wzrok dawnego narzeczonego, lecz stara się nie odwzajemniać jego spojrzenia. Boi się tego człowieka; czego on znowu od niej chce? Oczywiście dziś Manuel by ją obronił, ale kiedy indziej...? Carlos de la Era najwyraźniej ją śledzi. Po co?

Gdy docierają na miejsce, Blanca pospiesznie się żegna. Manuel jest zaskoczony – myślał, że jeszcze porozmawiają, może wręcz dojdzie do pocałunku. Ale nie. Coś się stało, a on nawet nie wie co.

– Szczęśliwego nowego roku, Manuelu, do zobaczenia na zajęciach.

Manuel idzie w stronę dzielnicy Lavapiés, gdzie mieszka – w pokoju wynajętym jeszcze przez tamtego nieszczęśnika, który umarł zaraz po przyjeździe z Valladolid, nie wiedząc, że zostawia Manuelowi swoje nazwisko, zawód i biografię... Manuel nie tego się spodziewał; nie brał pod uwagę, że pójdzie dziś spać wcześniej i w fatalnym humorze.

Ostatecznie nie wraca do siebie. Ciężko się idzie przez błotniste rozkopy dzielące centrum od Las Injurias, jedynie tu i ówdzie drogę rozświetlają ogniska rozpalone przez okolicznych mieszkańców dla uczczenia sylwestrowej nocy.

Murcjanka jest w domu. Kiedy jej pies jak zwykle zaczyna ujadać na Manuela, wychodzi, przywiązuje zwierzę i zaprasza gościa do środka.

– Szczęśliwego nowego roku, Murcjanko.

– Wejdz. Zostało mi jeszcze trochę wódki.

Nie starcza im czasu, by ją wypić: po kilka minutach są już w łóżku.

– Kłopoty z markizówną?

– Dlaczego tak mówisz?

– Bo nie urodziłam się wczoraj. Ale nic się nie martw, jesteś tu zawsze mile widziany.

Blancę będzie mógł zobaczyć dopiero na zajęciach. Może to i lepiej.

4.

Ależ, Wasza Królewska Mość... Nie damy rady odpowiadać na wszystkie takie listy.

Bernardo Candeleira, sekretarz Alfonsa XIII, nie nadąża z obowiązkami. W styczniu do Pałacu Królewskiego nadeszło dwa tysiące listów od ludzi proszących o pomoc; w lutym napływa ich tyle, że liczba z poprzedniego miesiąca wydaje się śmiesznie mała.

Piękny bożonarodzeniowy gest hiszpańskiego króla, który pomógł francuskiej dziewczynce odnaleźć brata, opisała bordoska gazeta „La Petite Gironde”, by osłodzić najsmutniejsze od dziesięcioleci święta swoim czytelnikom, często pozbawionym wieści od najbliższych. Wkrótce sprawą zainteresowały się periodyki o zasięgu ogólnokrajowym i wszyscy ci, którzy z rozpaczą poszukiwali zaginionych członków rodziny, zaczęli słać listy do Pałacu.

Alfons XIII usiłował w miarę możliwości spełniać ich prośby, niemniej sytuacja staje się naprawdę trudna. Królowi pomaga specjalna grupa urzędników, jednakże i oni nie są w stanie podołać zadaniu.

Niektórzy z najbardziej zaufanych współpracowników monarchy – wśród nich Emilio Torres y González Arnao – zaniedbują inne swoje obowiązki i nie dosypiają, byle dowiedzieć się czegoś o czyimś ojcu lub synu. Także szeregowi pracownicy Pałacu na ochotnika zgłaszają się do pomocy. Wśród dyplomatów jest podobnie: część ambasadorów, jak choćby markiz Villalobar przebywający w Brukseli, natychmiast zasygnalizowała chęć włączenia się do akcji i rozpoczęła gromadzenie danych jeńców wojennych, by przyspieszyć cały proces. Hiszpański ambasador w Austrii, Antonio de Castro Casaleiz, odwiedza obozy jenieckie i przysyła pełne zaniepokojenia raporty.

Don Alfonso również nie siedzi z założonymi rękami, wciąż się zastanawia, co robić. Trzeba się jakoś zorganizować, inaczej cały wysiłek jego ludzi będzie jedynie kroplą w morzu potrzeb.

– Za kilka dni poczynimy jakieś kroki. Na razie gromadźcie te listy, żeby się żaden nie zgubił. Coś wymyślimy, Bernardo, spokojna głowa.

Álvaro Giner jest zdziwiony. Jego przyjaciel, król, oficjalnie wezwał go z samego rana. Zwykle inaczej się to odbywa.

– Álvaro, przeczytaj, proszę, ten list. Ty dobrze znasz niemiecki.

Czcigodny Panie,

proszę wybaczyć, jeśli niewłaściwie się do Pana zwracam, ale pierwszy raz piszę do tak wybitnej osobistości. Nie wiem, co robić, a powiedziano mi, że Pan

mógłby mi pomóc, nawet jeśli pochodzę z innego kraju.

Na imię mi Eva, jestem Niemką, mieszkam w Monachium i mam czterech synów. Czy raczej: miałam. Dwaj najstarsi zostali wzięci do wojska zaraz na początku tej przekłętej wojny, trzeci zgłosił się na ochotnika i też pojechał na front. Teraz najmłodszy zamierza pójść w jego ślady, walczyć za Niemcy, a skończył dopiero piętnaście lat. Do tej pory dostałam wieści tylko o jednym: zginął ledwie kilka dni po wyjeździe. Nie wiem, czy pozostali dwaj żyją, czy nie. To jest dla matki najgorsze: ta ciągła niepewność, czy jej dziecko leży ranne, cierpi głód i chłód, czy może już niczego nie czuje.

Wydaje mi się, że moja rodzina spłaciła już ojczyźnie należną daninę krwi. Gdyby mógł Pan sprawić, by mojego najmłodszego syna nie wzięto jednak do wojska, byłabym niezmiernie wdzięczna.

Proszę przyjąć wyrazy szacunku od zrozpaczonej matki.

Eva

– I co sądzisz?

– Bardzo to smutne, Wasza Królewska Mość. Niemniej wątpię, by dało się powstrzymać niemiecką armię przed wysłaniem kogoś na front.

– Tak, to prawda, ale można by pomóc inaczej. Zastanawiam się ostatnio nad kwestią jeńców wojennych. Napływają do nas tysiące listów od ludzi, proszących o wstawiennictwo, którego nie jesteśmy w stanie im udzielić. Dlatego postanowiłem stworzyć specjalny urząd do takich spraw. Coś w rodzaju Urzędu do spraw Ochrony Jeńców.

– Myślę, że to wspanała inicjatywa, Wasza Królewska Mość.

– Cieszę się, bo chciałbym, żebyś stanął na czele tego przedsięwzięcia.

Álvaro nie może odmówić królowi, nawet jeśli się przyjaźnią, jednakże chciałby mu uświadomić, że to raczej chybiony pomysł; wiele osób nadawałoby się do tego zadania znacznie lepiej.

– Zastrzeżenia, które zgłaszasz, wydają mi się nieuzasadnione. Masz odpowiednie przygotowanie i świetnie sobie poradzisz. Już podjąłem decyzję. No, chyba że mi odmówisz. Byłbym wtedy ogromnie rozczarowany.

– Oczywiście, że nie, Wasza Królewska Mość. Nigdy nie ośmieliłbym się odmówić.

– W takim razie powinniśmy zająć się konkretnymi. Będę wszystko osobiście nadzorował, bardzo mi ta sprawa leży na sercu.

Álvaro Giner notuje królewskie zalecenia: Urząd do spraw Ochrony Jeńców ma się zajmować informowaniem rodzin o miejscu pobytu uwięzionych, przekazywaniem korespondencji, a z czasem może również wymianą chorych,

poprawą warunków w obozach, pomocą medyczną lub sprawdzaniem, czy respektowane są postanowienia traktatów międzynarodowych.

– Kontaktowaliśmy się już z przedstawicielami obu stron konfliktu. Wszyscy zgadzają się na naszą mediację w tych kwestiach.

Nie ulega wątpliwości, że przedsięwzięcie jest ambitne i jeśli ma się powieść, trzeba w nie zaangażować odpowiednich ludzi i stosowne środki.

– Jeszcze jedno, Álvaro: obaj żyjemy w Hiszpanii i wiemy, jak działa nasza biurokracja. Jeśli zechcemy to załatwić zwyčajnym trybem, skończy się na powołaniu komisji, która zajmie się powoływaniem komisji, które powołają komisję do zaaprobowania naszego projektu. Tymczasem wojna dobiegnie końca i ostatecznie nikomu nie pomożemy. Nie wspominając już o tym, jaki opór stawiają nam po drodze twoi koledzy z armii.

– Co zatem powinniśmy zrobić?

– Chcę, żeby Urząd do spraw Ochrony Jeńców podlegał bezpośrednio mnie. Będzie się mieścił w Pałacu, a koszty pokryję z własnej kieszeni. Wiesz, co to znaczy.

– Słucham uważnie, Wasza Królewska Mość.

– Nie życzę sobie żadnego marnotrawstwa. Będziemy wszystko rozliczać co do pesety.

Giner wciąż notuje, starając się za bardzo nie martwić tym, co go czeka. Zapal króla nie zna granic, a więc najbliższe miesiące z pewnością będą bardziej niż pracowite. Czyli jest jeszcze więcej powodów, by pragnąć jak najrychlejszego zakończenia wojny.

– Będziesz potrzebował odpowiednich, znających języki współpracowników. Trochę ludzi z Pałacu się nada, ale oni nie wystarczą. Myślałem o kimś z doświadczeniem dyplomatycznym i przypomniałem sobie tego pocziwca Jaimego Alerces, tyle że on wycofał się z dyplomacji tak dawno, że chyba nie podoła. Za to wiem, że jego córka chciała pracować.

– Czy to osoba godna zaufania? Jej wybryk w kościele sugerowałby coś innego...

– To było nierozsądne, owszem, ale w każdym razie dowodziło odwagi. Takich ludzi, mężczyzn i kobiet, nam trzeba.

– Porozmawiam z jej ojcem.

– Tak, prosiłem też mojego sekretarza, by poszukał nam w Pałacu miejsca, gdzie moglibyśmy urzędować. Zaraz nam pokaże, co znalazł.

Bernardo prowadzi ich do pomieszczeń, których Giner wcześniej nie znał; najprawdopodobniej zresztą i król nigdy się do nich nie zapuszczał. To ostatnie piętro Pałacu – ta jego część, której nie zajmują pokoje służby.

– Wolnego miejsca w Pałacu jest mało. To najlepsze, co udało mi się znaleźć bez zarządzania jakiejś przeprowadzki.

Chodzi o dwie duże sale, chwilowo pełniące funkcję magazynu, oraz o jedną mniejszą, z oknem wychodzącym na plac Oriente.

– Tu mógłby się mieścić gabinet dyrektora, a tam biuro dla reszty pracowników i archiwum. Bo gdzieś trzeba będzie trzymać te wszystkie dokumenty. Przykro mi, że nie proponuję niczego lepszego.

Rzeczywiście, o żadnych luksusach nie ma tutaj mowy, choć to przecież część wspaniałego Pałacu. Giner myśli o swoim gabinecie w domu: jasnym, wykwintnie urządzonym w stylu angielskim i ozdobionym pięknymi obrazami. Już wie, że będzie zmuszony z wielu rzeczy zrezygnować – choćby z niespiesznej lektury książek medycznych, które czyta, chcąc być na bieżąco z najnowszymi osiągnięciami w uprawianej kiedyś dziedzinie – by przenieść się do zakurzonej klitki i w ten sposób zadowolić króla.

Jeszcze niedawno miał wygodne życie, żadnych obowiązków zawodowych i kochankę, która naprawdę mu się podobała. I oto w ciągu kilku dni kochankę stracił, a obowiązków zdecydowanie mu przybyło. Najwyraźniej nadchodzą zmiany, na które raczej nie jest gotowy.

– O czym tak rozmyślasz? Znowu o swoich miłostkach? Kiedy ja ci mówię o najważniejszym zadaniu naszego życia? Zdecydowanie powinieneś się ożenić, już ja ci kogoś znajdę. Ale teraz się nie rozpraszajmy. Co sądzisz o pomieszczeniach, które wyszukał nam mój sekretarz?

Giner wie, że przez najbliższe dni król nie będzie się zajmował niczym innym. Zawsze się tak zapala do nowych rzeczy, a teraz w dodatku chodzi o coś wyjątkowo istotnego.

– Podobają mi się. Jak tylko się je opróżni, uprzątnie i jakoś urządzi, da się tam pracować.

– Ważne też, żeby pracowało się miło, musisz o to zadbać. Jeśli wszystko się uda, za kilka lat będziemy mogli być z siebie dumni. Zobaczysz, że mam rację, Álvaro.

Kiedy nie da się czegoś uniknąć, najlepiej zmierzyć się z tym od razu. Należy bezzwłocznie zabrać się do pracy – i to nie w pojedynkę. Bernardo, sekretarz króla, już przygotował listę potencjalnych współpracowników; trzeba będzie z nimi porozmawiać. No i pozostaje kwestia tej całej Blanki – oby nie chciała się w to wszystko angażować. Bez względu na to, co twierdzi don Alfonso, narzeczonych się przed ołtarzem nie porzuca i koniec. Choć ciekawie będzie tę dziewczynę zobaczyć, tyle się mówi o jej urodzie...

* * *

– Nie musisz mi niczego tłumaczyć. Było późno, musiałaś wracać do domu.

Manuel zapewnia, że nic się nie stało, lecz w głębi ducha chciałby, aby do Blanki dotarło, że nie spodobało mu się ich sylwestrowe pożegnanie. Od tamtego czasu ani razu nie rozmawiali poważnie, sam na sam – ani o wojnie, ani o Las

Injurias, ani o postępach Marcosa, chłopca, nad którym Manuel czuwa teraz niemal jak nad synem. A to, w jaki sposób Blanca układa dłonie na klawiaturze maszyny, nagle przestało wymagać ciągłych korekt ze strony nauczyciela.

– Niedługo egzamin, ty zdasz bez problemu, ale twoja przyjaciółka Elisa obleje, jeśli nadal będzie opuszczać lekcje.

* * *

Elisa właściwie znikła: nie przychodzi na zajęcia, a jeśli nawet spotyka Blancę na niedzielnej mszy, nie chce udzielać żadnych wyjaśnień. Powtarza tylko, że maszynopisanie w ogóle jej nie interesuje i że jest zajęta innymi sprawami.

– Szczerze ci powiem, że wątpię, by taka umiejętność miała mi się kiedykolwiek przydać. Podobnie jak tobie. Wyjdę za mąż, urodzę dzieci i zapomnę wszystko, czego zdążyłam się nauczyć.

Przy podobnych okazjach Blanca stara się nakłonić przyjaciółkę, żeby przed obiadem trochę się razem przeszły, Elisa jednak zawsze znajduje wymówkę. Jedynie w dniu, gdy wyszło na jaw, że generał wyrzucił z domu jej brata, trochę rozwiązał jej się język.

– Od tamtej pory nie mam o nim wieści.

– Pożegnaliście się?

– Tak, przyszedł wtedy do mojego pokoju, ale byłam strasznie zaspana.

– Mogłabyś odwiedzić go w redakcji, wciąż tam pracuje.

– Ojciec zabronił mi z nim rozmawiać.

– I zamierzasz go usłuchać?

– Ma rację, kiedy mówi, że Gonzalo sieje zgorszenie. Przykro mi, bo to mój brat, ale taka jest prawda. Może tamto pobicie było karą zesłaną na niego przez Boga. Może dzięki temu stanie się normalny.

Blanca nie wierzy własnym uszom. Kto wmawia Elisie podobne głupoty? Ojciec? Skąd ta nagła zmiana, ta nieprzejednana postawa?

Generała Fuentesesa też trudno zrozumieć. Kto wyrzuca własnego syna z domu, zabrania mu wracać i widywać siostrę? Żadnego współczucia – nawet w obliczu niemal śmiertelnego pobicia...

Jakież to szczęście, że jej ojciec jest zupełnie inny! Odważyła się mu powiedzieć o przyczynach ataku na Gonzala, on zaś po raz kolejny udzielił jej lekcji tolerancji.

– Ludzie są okrutni, córeczko. A Hiszpanie zawsze muszą kogoś prześladować: Żydów, morysków, czarownice, homoseksualistów... Idź do redakcji i pozdrów ode mnie swojego przyjaciela. Przy okazji porozmawiaj z redaktorem naczelnym, może on cię przekona, żebyś coś dla nas napisała.

– Już o tym mówiliśmy.

– Przecież chciałaś pracować, prawda?

– Tak, ale nie w twojej gazecie.

– A w Pałacu? Álvaro Giner, przyjaciel króla, dał mi znać, że obsadzają teraz stanowiska w jakimś nowo utworzonym urzędzie i pomyśleli o tobie.

– Naprawdę? A skąd się o mnie dowiedzieli? Masz z tym coś wspólnego?

– Wspomniałem królowi, że szukasz posady, ale nie sądziłem, że pamięta o wszystkim, co mu się mówi.

– Cóż, najwyraźniej tak.

– Twoja matka się złości i jest na mnie obrażona, niemniej ja uważam, że skoro chcesz, powinnaś pracować.

– Jesteście z mamą tak różni, że nie wiem, jak potraficie ze sobą wytrzymać.

– Do kłótni trzeba dwojga. A ja nie chcę się kłócić, pozwalam matce się wygadać i po cichu robię to, co uważam za stosowne. Radzę ci to samo, jak wyjdiesz za męża.

– Nie sądzę, by ktokolwiek się ze mną ożenił.

– Nawet sobie nie wyobrażasz, jak krótka jest ludzka pamięć. Lada dzień będziesz miała nowych konkurentów i nikt nie będzie pamiętał o twoim ślubie.

– Z wyjątkiem mnie i Carlosa.

– Nawet wy zapomnicie. No i może następnym razem dokonasz lepszego wyboru.

Blanca przyznaje, że dziennikarstwo zawsze ją pociągało. W dzieciństwie marzyła, by zostać nieustraszoną reporterką, zapuszczającą się wszędzie tam, gdzie coś się dzieje, i zdającą codzienne relacje rzeszom wiernych czytelników.

Całymi latami przechowywała wśród swoich najcenniejszych skarbów kilka otrzymanych od ojca numerów amerykańskiego magazynu „Harper’s Bazaar”, od czasu do czasu pokazując je Elisie. Fascynujące czasopismo: ukazuje się od połowy dziewiętnastego wieku, publikując teksty o modzie, ale również o stylu życia i ludzkich losach, często o nierównościach między płciami... I wszystko to tworzą kobiety, wśród nich wielkie amerykańskie pisarki.

– Widzisz? Można pisać o polityce dla kobiet.

– Którą kobietę to interesuje?

– A te wywiady Elizabeth Jordan? Z kobietami, które robią ciekawe rzeczy: malują, piszą poezję i prozę... Na tym samym poziomie co mężczyźni! I nie myśl sobie, że u nas takich osób brakuje, weźmy na przykład Concepción Arenal. Wiesz, co ona kiedyś powiedziała? Że w Hiszpanii kobiety nie mają innych możliwości działania niż wyjście za męża. Ja będę miała. A Colombine? Nie czytałaś jej relacji z wojny w Maroku?

– Nie.

– To powinnaś. A ona pochodzi przecież z Almeríi, nie z zagranicy...

Elisa nie podzielała fascynacji przyjaciółki, Blanca zaś, wyrósłszy z nastoletności, musiała sama przed sobą przyznać, że nie pisze zbyt dobrze i nie potrafiłaby pójść w ślady swojej uwielbianej Concepción Arenal. Może teraz, gdy

niemal ukończyła kurs maszynopisania, powinna znowu spróbować...

O tym wszystkim rozmyśla, gdy idzie odwiedzić Gonzala w redakcji „El Noticiero de Madrid”. Bratu przyjaciółki wyprowadzka z domu chyba służy – zdaje się swobodniejszy, choć i zasmucony zdradą siostry.

– Wysłałem jej kilka wiadomości z propozycją spotkania. Nie chce mnie widzieć.

– Ojciec zabronił jej się z tobą spotykać.

– Ojciec zabraniał jej wcześniej mnóstwa rzeczy, które i tak robiła.

Gonzalo z pomocą Benita, redakcyjnego kolegi, znalazł sobie pokój: przy ulicy Colegiata, bardzo daleko od rodzinnego domu, jak również od koszar przy Monteleón, gdzie stacjonują żołnierze generała Fuentesesa. Nowe lokum nie może się równać z poprzednim, niemniej pensja z „El Noticiero” nie starcza na nic lepszego. Mieszkanie należy do wdowy po żołnierzu poległym na wojnie o Kubę; podnajmuje pokoje aż ośmiu mężczyznom, gwarantując im wieczorny posiłek oraz pranie i prasowanie odzieży.

Dziennikarstwo podoba się Gonzalowi z każdym dniem bardziej, nawet jeśli nie przynosi zbyt dużych dochodów, zwłaszcza że redaktor naczelny zleca mu teraz różne naprawdę ciekawe zadania. Ostatnio – wywiad z samym premierem Eduardem Datem na temat wojny. Nie da się ukryć, że Gonzalo w ciągu kilku tygodni osiągnął w dziennikarskim światku więcej niż jego przyjaciel Benito przez okres o wiele dłuższy. Benito jednak wcale się nie skarży, przeciwnie, jeszcze dodaje koledze ducha.

– To się nazywa błyskawiczna kariera: po niecałych trzech miesiącach uprawiania zawodu pozwalają ci zrobić wywiad z premierem!

– To teraz pora na rozmowę z królem.

– Nie wiem, czy zdajesz sobie z tego sprawę, ale o rodzinie królewskiej mogą pisać tylko ci, co pracują w redakcji przynajmniej dwa lata.

Pałac w kontaktach z mediami ustanowił ściśle reguły: nie wolno zadawać królowi niezatwierdzonych wcześniej pytań, gotowe teksty się cenzuruje, ponadto zajmujący się tą tematyką dziennikarz musi należeć do Stowarzyszenia Prasowego i mieć rekomendację od dwóch kolegów zaakceptowanych już przez rodzinę królewską.

– No to, niestety, będę musiał jeszcze poczekać. Tym gorzej dla króla. Zresztą, co on ma do ukrycia?

– Podobno nie należy do ludzi szczególnie odczytanych, a interesuje się tylko polowaniami, samochodami i uwodzeniem kobiet.

Blanca bardzo się cieszy, że Gonzalo tak dobrze sobie radzi; żałuje tylko, że Elisa nie ma udziału w jego radości i swobodzie. Gdybyż jeszcze mógł ułożyć sobie życie osobiste, skontaktować się z tamtym Niemcem... Pod jego nieobecność to ona, Blanca, słucha zwierzeń Gonzala.

– Możesz mi wierzyć, nie tęsknię za domem. Ojciec właściwie oddał mi przysługę, może powinienem był się wyprowadzić wcześniej, kiedy Frank wciąż mieszkał w Hiszpanii.

– Wiesz, co się z nim dzieje?

– Nie wiem. Nie mam nawet pojęcia, na jaki adres do niego pisać. Mogę jedynie liczyć na to, że wojna niebawem się skończy i Frank znów się tu pojawi.

Gonzalo przypuszcza, że jego kochanek wylądował w jakimś biurze. W swoim wieku raczej nie trafił do okopów – o których czyta się prawdziwe okropieństwa. Pewnie siedzi w Berlinie, a może i zagląda do klubów dla mężczyzn, podobno tam również są. Ba, może nawet spotkał już kogoś, przy kim zapomniał o hiszpańskim romansie.

– A próbowałeś się czegoś dowiedzieć w sprawie tamtego napadu?

– Próbować próbowałem, ale w sumie boję się to drażnić.

Od dawna się nad tym zastanawia: na początku był zdecydowany, lecz reakcja ojca osłabiła w nim ducha. Czyżby generał Fuentes popierał to, co tamci uczynili jego synowi? Gonzalo cofa się przed odpowiedzią na to pytanie. Blanca jednak, pamiętając, że marzył o wielkiej karierze dziennikarskiej, zachęca go do działania.

– Jesteś najbardziej odpowiednią do tego osobą. Poza tym masz zawodowy obowiązek demaskowania takich potworności, by się nie powtarzały. Jeśli na jakimś etapie będziesz potrzebował pomocy, mój ojciec na pewno ci jej udzieli.

* * *

– Pospiesz się, pociąg masz za trzy minuty.

Frank Heimer ma więc trzy minuty, żeby przestać być sobą, zapomnieć, że jest Niemcem. Od tej pory nazywa się Marcel Malmaison, jest Francuzem, mieszka na poddaszu w dzielnicy Montmartre, utyka na jedną nogę, odziedziczył po matce okrągłą sumkę i marzy o tym, by napisać powieść o Napoleonie Bonapartem. Od Franka różni się fizycznie tym – jeśli nie liczyć utykania – że ma czarne włosy i nie nosi wąsów, które tamten pielęgnował niemal od dwudziestu lat.

Dwa dni temu w berlińskim hotelu czekała na niego wiadomość: spodziewano się go, spakowanego i zaopatrzonego w stosowne dokumenty, o dwudziestej drugiej pod Bramą Brandenburską. Tam miał do niego podejść pewien mężczyzna, by spytać go, czy mówi po angielsku, a wobec odpowiedzi twierdzącej poprowadzić w inne miejsce.

Później wsadzono go do samochodu i zawiązano mu oczy. Jechali całą noc, kolejny zaś dzień spędzili w domu, z którego nie wystawił nosa – chodziło o to, by nie mógł się rozejrzeć po okolicy. I dobrze: w ten sposób nie zdradzi nic nawet na torturach. Trochę spał, a przez resztę czasu czytał stare wydanie *Fausta* Goethego.

Wieczorem znów wsiedli do auta, on – ponownie z zasłoniętymi oczami. Podróż trwała do świtu, przerywana długimi postojami, w których trakcie nikt

z nim nie rozmawiał. Może wyczekiwali wtedy odpowiednich momentów, by pokonywać strefy kontrolowane przez wojsko. Następnego dnia, wciąż z nikim nie rozmawiając i nie wiedząc, gdzie się znajduje, przesiedział w czymś, co było chyba bunkrem. Odnosił wrażenie, że w oddali słyszy huk artylerii, a zatem podjechali już blisko linii frontu.

Gdy się ściemniło, znowu po niego przyszli. Tym razem nie było żadnego auta: przez bite sześć godzin wędrował na piechotę po bezdrożach, taszcząc swój bagaż i stosując się do poleceń młodego Francuza, który mówił po niemiecku z silnym akcentem.

I oto stoją teraz na stacji kolejowej przy granicy szwajcarsko-francuskiej, czekając na pociąg, który nadjedzie za trzy minuty i, jeśli sędzić po bilecie wręczonym Frankowi czy też Marcelowi przez młodego Francuza, zmierza do Paryża.

– Powodzenia!

Chłopak znika w szarości przedświt. Pociąg wtacza się na stację z punktualnością brytyjską raczej niż francuską.

Wagon jest prawie pełen i Frank wciska się na wolne siedzenie koło staruszki trzymającej na kolanach klatkę z dwiema gęsiami.

– Dzień dobry.

– Dzień dobry.

Frank mówi po francusku doskonale, musi tylko uważać, by z przyzwyczajenia nie odezwać się po niemiecku – to natychmiast by go zgubiło. Wielu podróżnych drzemie, lecz jemu nie wolno: mimo zmęczenia nocną wędrowną powinien mieć się cały czas na baczności. Uświadamia sobie, jaki jest głodny, gdy widzi, że pewien mężczyzna, z wyglądu rolnik, wyciąga chleb, ser i butelkę wina. Częstuje sąsiadów, również Franka, który pociąga łyk trunku i przyjmuje odrobinę jedzenia.

– Do Paryża?

– Ja tak, a pan?

– Prawie. Mam w Boulogne-Billancourt syna. Pracuje jako mechanik w zakładach Renault. Budują tam pojazdy, które podobno wygrały dla nas wojnę.

– Pojazdy?

– Tak, nie wiem, jak je nazywają, ale chodzi o coś w rodzaju ruchomych twierdz.

Czyżby ten człowiek mówił o wozach bojowych? Wedle niektórych raportów Anglicy konstruują pojazdy, które nazywają tankami. Sądzą, że uda im się oszukać przeciwnika, udając, że chodzi o wyposażone w napęd zbiorniki na wodę. Czy w Berlinie już wiedzą, że i Francuzi próbują tego samego i gdzie to robią? Właśnie na tym będzie polegać jego, Franka, praca: na nadstawianiu ucha, czytaniu między wierszami i wychwytywaniu informacji, które być może, ale tylko

być może okazać się przydatne. Ta będzie pierwsza.

Rozmowę przerywa pojawienie się dwóch żandarmów, którzy proszą wszystkich o dokumenty. Frank oddycha głęboko, żeby się uspokoić.

– Dokumenty proszę.

Stara się nie patrzeć na policjanta, który przegląda jego papiery; musi ufać, że zostały dobrze sfalszowane.

– Po co pan jedzie do Paryża?

– Przeprowadzam się tam. Niedawno umarła mi matka i postanowiłem zmienić adres. Byle dalej od Niemców.

– Moje kondolencje z powodu śmierci matki. Miłej podróży.

Żandarm zwraca mu dokumenty i rusza dalej. Frank powoli odzyskuje równowagę – przynajmniej już wie, że papiery są w porządku na tyle, by nie wzbudzić podejrzeń francuskiego policjanta.

Pociąg wciąż musi się zatrzymywać; nie jest łatwo podróżować w czasie wojny. Podczas jednego z postojów Frank dostrzega, że mija ich skład towarowy: na platformach stoją armaty. Z powietrza byłyby niewidoczne, bo od góry zakryte są płachtami brezentu, niemniej z okna sąsiedniego pociągu widać je doskonale. O tym też powiadomi zwierzchników – kto wie, czy Francuzi nie starają się w ten sposób zwiększyć mobilności ciężkiego sprzętu. Niewykluczone, że w Berlinie już o tym wiedzą albo nawet mają zdjęcia zrobione z samolotów zwiadowczych, jednakże jego, Franka, zadanie zostało określone jasno: ma informować o wszystkim, co zwróci jego uwagę i może się okazać z wojskowego punktu widzenia ważne.

Droga do Paryża potrwa jeszcze kilka godzin. Turkot pociągu w połączeniu z brakiem snu robią swoje. Ale nie, nie wolno zasnąć, trzeba zachowywać czujność, bez przerwy, aż wojna się skończy lub Marcel Malmaison zostanie zdemaskowany. Franka Heimera już nie ma; nigdy więcej nie zobaczy Gonzala Fuentesesa.

Gare du Nord to niemal koniec podróży. Teraz należy wsiąść w metro, jak kiedyś, w szczęśliwszych czasach, i dotrzeć na wskazane poddasze. Tam będzie można się przespać. A jutro z rana – pierwszy raport. Początek życia w roli szpiega.

Paryż jest spokojny, nikt by nie powiedział, że tylko nieco ponad dwieście kilometrów stąd przebiega linia frontu. W kafejkach już tłoczno, afisze zapowiadają sporo premier teatralnych, nawet uliczni grajkowie i malarze trwają na swoich posterunkach. W Berlinie odczuwa się atmosferę wojny; Paryż zawsze skłania się raczej ku życiu niż śmierci, ostatecznie wojna kiedyś przecież minie.

* * *

– Proszę chwilę poczekać, zaraz ktoś do pani przyjdzie.

Blanca, zgodnie z instrukcjami, weszła do Pałacu przez boczne drzwi

zarezerwowane dla zatrudnionego w nim personelu. Wolałaby wkroczyć do środka główną bramą – przeciąć dziedziniec, popodziwiać wspaniałe schody Sabatiniego, o których tyle słyszała, przypatrzeć się zdobiącym ściany i sufity freskom Giaquinta oraz stiukom... Ale nawet bez takich atrakcji, wspinając się po zwykłych, wąskich i słabo oświetlonych schodach, czuje się onieśmielona. Króla widziała osobiście tylko dwa albo trzy razy – i to z daleka, nigdy z nim nie rozmawiała, jedynie jej rodzice bywają każdego roku na niektórych spośród wydawanych w Pałacu przyjęć.

– Nazywa się pani Blanca Alerces? Proszę za mną.

Po drodze dowiaduje się, że czeka ją spotkanie nie tylko z Álvarem Ginerem, lecz również z Alfonsem XIII. Przyjmą ją w gabinecie króla. Towarzysząca jej osoba udziela drobnych wskazówek:

– Jego Królewska Mość jest raczej swobodny w obejściu, niemniej powinna pani zachowywać wszelkie formy, nawet jeśli on ich zaniedba. Proszę nie odzywać się bez pytania i zwracać się do króla zgodnie z etykietą. Gdy wejdzie pani do środka, don Alfonso wstanie, by panią powitać; gdy z powrotem usiądzie, może pani również usiąść, a kiedy znowu się podniesie, to znak, że rozmowa dobiegła końca. Wtedy od razu się pani wycofa.

Idą teraz tylnymi korytarzykami, do których przylegają pomieszczenia pełne krzątającej się służby: w Pałacu Królewskim pracuje ponad tysiąc osób. Blanca ukradkiem zagląda przez kolejne drzwi. Powoli zbliżają się do gabinetu monarchy, więc kto wie – może za chwilę będą mijać jakąś słynną salę: Porcelanową, Zwierciadlaną, Gobelinową albo nawet Tronową...? Ale na razie nic z tego; trudno, jeśli naprawdę zostanie tu przyjęta, postara się wszystko dokładnie obejrzeć.

– Proszę tu zaczekać, za kilka minut poproszą panią do środka.

Blanca stoi przed królewskim gabinetem. Chociaż większość obrazów zdobiących niegdyś pałacowe ściany przeniesiono do Prado, to, co zostało, i tak robi wrażenie: Goya, Velázquez, Zuloaga, Sorolla... Nikt też nie zabierze stąd malowideł Tiepola, Giaquinta, Bayeu czy Mengsa ani stiuków Ruski. Wszędzie widać piękną porcelanę – chińską, jak również produkowaną w królewskiej manufakturze Buen Retiro i sprowadzaną z Sèvres; meble z najcenniejszych odmian drewna, w najróżniejszych stylach; szwajcarskie zegary Jacqueta-Droza, tkaniny z królewskiej manufaktury i rzeźby najslawniejszych mistrzów.

Podczas wędrówki po krętych korytarzach Pałacu nietrudno stracić orientację, jednakże Blanca odnosi wrażenie, że okno za jej plecami wychodzi na pałacowe ogrody. Od razu przypomina sobie ojca: jakże byłby zadowolony, gdyby mógł się przespacerować ich alejkami, podziwiając rośliny, gawędząc z nimi i zagadując dbających o nie ogrodników.

Czekanie nie trwa długo, już po paru minutach drzwi gabinetu się otwierają

i staje w nich bardzo atrakcyjny, świetnie ubrany mężczyzna trochę po trzydziestce. Carlos de la Era jest przystojny, owszem, ale ten tutaj nie ma mu czego zazdrościć.

– Blanca? Jestem Álvaro Giner. Witaj. Wejdz.

Puszczaj ją przodem. Król na jej widok wstaje.

– Blanca Alerces! Bardzo chciałem cię poznać. Ogromnie szanuję twojego ojca. Jak on się miewa?

– Doskonale, Wasza Królewska Mość. Przesyła pozdrowienia.

– Podziękuj mu i nie zapomnij przekazać wyrazów uszanowania. Usiądź, proszę. Álvaro Giner zaraz ci wyjaśni, po co cię tu wezwaliśmy.

Największe wrażenie – większe nawet niż wspaniałe obrazy, meble i dywany – robi kasetonowy strop tego pomieszczenia.

– Słyszeliśmy, że znasz kilka języków obcych.

– Tak, dużo wyjeżdżałam z rodzicami za granicę. Jak się nauczyć dwóch czy trzech, kolejne przychodzą łatwiej. Dobrze znam angielski, francuski i niemiecki. Radzę sobie po włosku i portugalsku.

– Doskonale. Trzeba nam takich osób. Niemniej jest kilka problemów.

– Álvaro, pozwól, że ja to Blance wyjaśnię. Twój ojciec, Blanco, był świetnym dyplomatą i Hiszpania, ze mną na czele, ma wobec niego wielki dług wdzięczności. Byłbym wielce rad, gdybym mógł w zamian pomóc ci znaleźć zajęcie, jakiego szukasz, lecz doszły nas tu niepokojące wieści albo może raczej plotki na temat twojego ślubu.

– Och, znowu... Całe miasto o tym mówi! Zapewniam Waszą Królewską Mość, że miałam swoje powody, by tak postąpić, i jestem gotowa ponieść konsekwencje. Proszę wybaczyć mi śmiałość, ale skoro tak bardzo panów te plotki niepokoją, nie musieli panowie tracić czasu na rozmowę ze mną. Myślę, że można na mnie polegać, tyle że aby się o tym przekonać, należałoby dać mi szansę.

– W porządku, w porządku, wierzę ci. Chcę tylko podkreślić, że dobrze by było, gdybyś wykorzystywała swoją energię na inne sposoby. Damy ci szansę, o którą prosisz. Każdy na to zasługuje. Nawet ja.

Álvaro tłumaczy Blance, czym ma się zajmować Urząd do spraw Ochrony Jeńców: pomocą więźniom, uciekinierom i innym ofiarom wojny. Król wtrąca się bez przerwy, widać, że jest bardzo zapalony do tego pomysłu.

– Zaczęłabyś pracę od razu. Jeśli cię to, rzecz jasna, interesuje.

– Oczywiście, mogę zacząć już dzisiaj.

– Raczej za parę dni. Potrzebujemy więcej ludzi. Znasz może kogoś, kto chciałby pomagać innym i potrafił szybko pisać na maszynie?

– Jasne, że znam. Mój nauczyciel maszynopisania, Manuel Lope, nada się doskonale.

Godzinę później Blanca znów jest na placu Oriente, zadowolona ze

spotkania, z tego, że zdobyła pracę i że mogła wciągnąć Manuela do projektu, który z pewnością mu się spodoba. Wpadłaby do Elisy, żeby jej o tym wszystkim opowiedzieć, gdyby wierzyła, że przyjaciółka się ucieszy. Tak czy owak dociera do domu cała w skowronkach.

– Tato, mam pracę!

– No to proszę o szczegółową relację.

Mówiąc, Blanca z przejścia połyka sylaby. Jej matka udaje niezadowolenie, lecz w głębi duszy jest zaskoczona i czuje ulgę: praca w Pałacu Królewskim nie przyniesie ujmy córce markiza.

– Trzeba ci sprawić odpowiednie ubrania.

– Mamo, mam więcej ubrań, niż zdołam włożyć do końca życia!

Mimo że zbiórka zabawek dawno się zakończyła, Blanca nadal bywa w Las Injurias. Żaden inny wolontariusz nie chciał wyprawić się wtedy do „dzielnicy nędzy”, musiała więc zdać się na towarzystwo Manuela i jakiegoś jego kolegi, który zawiózł ich na miejsce wozem zaprzężonym w muła.

– Zadzwoiłam do pewnej fabryki obuwia i zdobyłam dla nas pięćdziesiąt par. Oprócz zabawek damy tym dzieciakom i buty.

– To bardzo dobra wiadomość.

Dzieci cieszą się przede wszystkim z zabawek; ich matki – z butów. Jedna z dziewczynek, czteroletnia Alicia, zaraz na początku wizyty złapała Blancę za rękę i nie puściła jej aż do końca; od tamtej pory za każdym razem kurczowo się jej trzyma.

– O jej ojcu nic nie wiadomo. Matka dla zarobku całymi dniami pierze ubrania w rzece. Mała spędza większość czasu sama.

– Ale przecież ona ma dopiero cztery lata!

– Wszyscy tutaj zajmują się nią po trochu.

Blanca zawsze przynosi jej coś słodkiego, w tajemnicy przed innymi. Rozmawiała już z ojcem i don Jaime zarządził, by co tydzień wydawano jej ze spiżarni kosz z torbami ryżu, soczewicy i ciecioriki dla miejscowych kobiet.

Manuel chodzi do Las Injurias w każdą sobotę rano. Murcjanka udostępnia mu swoją chatę na lekcje z dziećmi, które chcą się uczyć, i Manuel za pomocą tablicy oraz kredy usiłuje nauczyć je czytać i liczyć, mówi im, jak nazywa się miejsce, gdzie mieszkają.

– Mogłabym ci jakoś pomóc?

– A dałabyś radę zdobyć skądś trochę kredy i tabliczek do pisania?

– Spróbuję, zdążyłam się już nauczyć prosić. Ludzie są lepsi, niż nam się zdaje, prawie każdy chce coś dorzucić.

Murcjanka odzywa się do niej tylko w razie konieczności. Blanca sama już nie wie: czy Manuela coś z tą kobietą łączy? Nie zdziwiłaby się wcale, takie osoby

mają mniej zahamowań niż dziewczęta z jej własnej sfery. Sama przed sobą nie chce się do tego przyznać, niemniej jest zazdrosna.

* * *

– No i najważniejsze.

Kapral Dufour wystawił swój hełm na patyku ponad linię okopu. Trzy sekundy później hełm leżał przedziurawiony na ziemi.

– Strzelcy wyborowi są po obu stronach. Gdyby to była wasza głowa, już byście nie żyli, rozumiano?

Jean-Marie odbył tę lekcję od razu po przyjeździe na front, ledwie kilka tygodni temu – choć odnosi wrażenie, że od tamtej pory minęło całe życie. Teraz siedzi w okopie, kawałek dalej siedzą Niemcy, fryce, *boches* czy jakkolwiek ich nazwać, a wojna okazuje się czymś więcej niż grą o to, kto zwycięży: tu chodzi o to, by fizycznie wyeliminować wroga.

– I jeszcze jedno: lepiej fryca ranić, niż zabić. Ranny nie może walczyć, ale trzeba go ewakuować i potem leczyć, a to kosztuje... Poza tym niszczy morale jego kolegów. Nie jesteśmy tu po to, żeby się nad nimi litować, bo i oni nie zlitują się nad nami, rozumiano?

Jean-Marie nie czuje nienawiści do mężczyzn po drugiej stronie, nawet jeśli kapral Dufour usilnie próbuje swoich podwładnych nią natchnąć. Jean-Marie sądzi, że wielu z nieprzyjaciół, a przynajmniej niektórzy, to ludzie tacy jak on, który wykorzystuje chwile spokoju, by rysować w swoim notesie, strzeżonym tak samo pilnie jak broń. Rysuje to, co widzi, czasem szkicuje z pamięci Carmen. Może któryś z Niemców szkicuje z kolei jakąś blondynkę, która czeka na niego w Hamburgu lub gdzieś w Bawarii? Niekiedy, w nocie wolne od bomb i wymiany ognia, jeśli wiatr wieje w odpowiednim kierunku, z niemieckich okopów dobiegają rozmowy, a któregoś razu, stojąc na warcie, Jean-Marie usłyszał, jak jeden z Niemców śpiewa bardzo smutną piosenkę. Dobrze śpiewał – Jean-Marie, nawet gdyby mógł, toby go nie zastrzelił; wolałby słuchać dalej.

Mniej więcej wiadomo, co robić, by mieć szansę na przeżycie, tyle że trudno się ustrzec błędów. Najczęściej giną nowicjusze, jedyny zaś sposób, by przestać się do nich zaliczać, to cierpliwie patrzeć, jak umierają: każda taka śmierć to osobna lekcja na przyszłość.

Przez dwa tygodnie walczą w pierwszej linii, a potem są przenoszeni na tyły. Każdy, kto przetrwał swoje pierwsze czternaście dni – zwłaszcza jeśli przetrwał dzięki własnej inteligencji, nie zaś tylko szczęściu – może się uważać za weterana. Ważne, by pamiętać, że szczury stanowią zagrożenie nie mniejsze niż Niemcy: trzeba z nimi bez przerwy walczyć, żeby nie zżerały zapasów i nie przeszkadzały w wypoczynku. Jean-Marie stał się już mistrzem we władaniu szpadlem, najlepszą bronią przeciwko nim. Blacha musi być ostra jak nóż, a każdy cios – bezlitosny. Nie wolno przejmować się piskami bólu. Jean-Marie nie miał jeszcze okazji

zmierzyć się z żadnym *boche* w walce bezpośredniej, kiedy jednak do tego dojdzie, zamierza zrezygnować z bagnetu i zamiast niego posłużyć się właśnie szpadlem; to znacznie poręczniejsze, bardziej praktyczne narzędzie.

Na razie tylko strzela i rzuca granaty; nie wie, czy kogoś już zabił, ale myśli, że raczej nie. W każdym razie nie patrzył swojej ofierze w oczy i jeśli nawet trafił, to przez przypadek, prawie niechcący, dlatego nie czuje się winny.

Teraz został mu już tylko jeden dzień, zanim po raz drugi wróci na tyły. Następnego ranka zjawią się nowi żołnierze, a jego kompania się wycofa. Oby tylko noc upłynęła spokojnie i każdy z jego towarzyszy zdołał zakosztować upragnionego wypoczynku; oby chociaż przez chwilę nie wzrastała liczba zabitych – po żadnej ze stron...

Koledzy nie mogą się już doczekać, podnieceni przerzucają się żartami, a Guillaume, szewc z Lyonu, nie wiadomo skąd wytrzasnął po kolacji kawałek sera i dzieli się nim z resztą. Tej nocy będą się zmieniać na warcie co dwie godziny i Jeanowi-Marie przypadła w udziale najgorsza pora: między drugą a czwartą nad ranem. Jeśli jednak frycom nie zachce się ataku, kolejny tydzień życia ma zapewniony: będzie mógł się wykapać, uprać sobie ubrania, wytepić wszy, pospać.

Spać, palić i jeść należy przy każdej okazji, bo nigdy nie wiadomo, kiedy nadarzy się kolejna. Gdy tylko zapada zmrok, Jean-Marie zawraca ku tej części okopu, gdzie przysposobili sobie posłania. To rodzaj schronu: przestrzeń osłonięta betonowym parapetem, niemal bezpieczna – przynajmniej jak na frontowe warunki – i dość sucha nawet w czasie deszczu. Jean-Marie wsuwa się do śpiwora i przykrywa drugim, należącym wcześniej do kolegi, który zginął dwa dni temu. Musi jak najszybciej zasnąć, by choć trochę się wyspać, zanim o drugiej go obudzą, jednakże myśl o Carmen nie daje spać. Jak ona się czuje? Co z ciążą? Dziecko powinno urodzić się już niedługo; Jean-Marie nie wie, kiedy dokładnie, i zastanawia się, czy poczuje coś szczególnego w chwili, gdy nawet o tym nie wiedząc, zostanie już ojcem. Woli sobie nie wyobrażać, jak Carmen znosi brak listów od niego. Ma nadzieję, że rozumie: przecież to nie jego wina.

Carmen jest zrozpaczona. Początkowo spodziewała się listu lada dzień, potem wściekła się na męża, że nie pisze, a teraz już na nic nie liczy. Nawet na ewentualną rentę po nim – w końcu nigdy się formalnie nie pobrali i dla konsulatu francuskiego Jean-Marie nie ma żadnej żony. Czasem jej się zdaje, że to lepiej: nie dostanie strasznego telegramu z wiadomością o jego śmierci; kiedy indziej wszakże ta niepewność okazuje się trudniejsza do wytrzymania niż cokolwiek innego.

Poród już niedługo. Carmen czuje się straszliwie ciężka i marzy o rozwiązaniu. Nie wie, czy później zostanie u rodziny. Wprawdzie żyła z Jeanem-Marie krótko – bo wojna szybko ich rozdzieliła – lecz zasmakowała w tym innym życiu: życiu z kimś, kto pytał ją o zdanie, zamiast wydawać jej

rozkazy, i kto uważał ją za równą sobie, zamiast się nią wysługiwać. Niełatwo znów do tego wszystkiego przywyknąć.

Może w Madrycie, w ambasadzie francuskiej, mogłaby się dowiedzieć czegoś o mężu. Może po porodzie zabierze syna oraz resztę pieniędzy uzyskanych ze sprzedaży obrazów Jeana-Marie i wyjedzie do stolicy. Może tam będzie jej lepiej.

Któregoś popołudnia, spacerując nad rzeką, spotkała eleganckiego mężczyznę, który uporczywie się jej przyglądał.

– To ty byłaś modelką tego francuskiego malarza?

Powiedziano jej, że to jakiś hrabia czy markiz, który kupił ulubiony obraz Jeana-Marie – jej pierwszy akt, ten z lustrem.

– Nie rozpoznałem cię w tym stanie. Jeśli potrzebujesz pieniędzy, zajrzyj do mnie, jak już urodzisz.

Nie dodał nic więcej, lecz ona i tak wie, czego od niej chce. Na tamtym obrazie widać ją całą: siedzi tyłem do malarza, ale w lustrze odbija się wszystko, co trzeba. Tyle że to już staruszek, więc raczej nie będzie domagał się seksu; raczej pragnie sobie obejrzeć oryginał – jej nagie ciało.

* * *

– Przyszły informacje o Manuelu Lopem?

– Tym od Blanki Alerces? Tak, Wasza Królewska Mość. Ma dwadzieścia siedem lat, kilka miesięcy temu przyjechał do Madrytu z Valladolid, mieszka w pensjonacie w dzielnicy Lavapiés, uczy maszynopisania i nie był nigdy karany.

– Doskonale. Rozmawiałeś już z nim?

– Przyjdzie dziś po południu. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, za jakieś dwa dni możemy zacząć działać pełną parą.

Manuel wciąż odwiedza Las Injurias. W każdą sobotę wyprawia się tam, by uczyć dzieci, ale również – żeby spotkać się z Murcjanką. Czasami zostaje na noc i wtedy się kochają. Niekiedy złości się na siebie, że mimo to nadal myśli o Blance. Uważa, że ani ona, ani Murcjanka na coś takiego nie zasługują. Nie potrafi jednak zapomnieć sylwestrowej nocy.

Murcjanka gromadzi też u siebie miejscowe kobiety, żeby słuchać ich skarg i namawiać je do walki o podstawowe prawa.

– Trzeba żądać sprawiedliwości: lekarzy, transportu, szkół dla dzieci. Ale nie wolno działać na oślep, na łapu-capu. Musimy zwrócić się do odpowiednich instytucji, a jeśli nic nie zwojujemy, użyć siły.

– A jaką siłę my tu mamy?

– Towarzysze z organizacji nam pomogą, nic się nie martwcie, nie zostawią nas samych.

W ten sposób Manuel poznaje Chudą Merche, niemal pięćdziesięcioletnią prostytutkę, która sprzedaje się na pobliskim polu za kilka monet; Ramonę, która

zebrze pod starym kościołem Świętego Piotra, gdzie nauczyła się nienawidzić księży; Justę, która przyjechała do Madrytu z mężem i piątką dzieci, a odkąd mąż po tygodniu przepadł, wiąże koniec z końcem, zarabiając praniem w rzece; Felisę, kiedyś utalentowaną złodziejkę, zdolną niepostrzeżenie zwędzić każdy zegarek czy portfel, teraz zaś niemogącą już ufać własnym dłoniom, z winy lat i alkoholu nadmiernie drżącym.

Poznając kolejnych ludzi i ich problemy, Manuel jest coraz bardziej przekonany, że miał słuszność: trzeba skończyć z panującym w Hiszpanii ustrojem, z królem i burżuazją, ze wszystkimi, którzy skazują lud na podobne cierpienia. Sytuacja zawsze była zła, ale obecnie, gdy niemal całą żywność eksportuje się do krajów ogarniętych wojną i ceny rosną, jeszcze się pogorszyła. Gazety pieją z zachwytem nad gwałtownym wzrostem gospodarczym, podczas gdy robotnicy pogrążają się w coraz większej nędzy.

Właściwie powinien zostać tutaj, wśród najuboższych; zamiast tego wkrótce będzie pracował w luksusowym Pałacu, dla króla, którego nienawidzi...

* * *

– Zachowujesz się jak dziwka.

Elisa wybucha płaczem. Przecież robi to wszystko dla niego; sam ją tego uczył. Ilekroć on chce, ona wymyśla sposoby, by pojechać z nim do domku nieopodal Escorialu i spełniać jego życzenia, nawet jeśli niektóre budzą w niej wstręt.

– Ja cię kocham, powiedz mi, co mam robić...

– Przede wszystkim się uspokój, nie płacz jak jakieś głupie dziecko. Jesteś gorsza niż twoja przyjaciółka Blanca.

Pewnego razu kiedy się kochali, zaczął ją wyzywać. Używał nawet takich słów, których nigdy z niczyich ust nie słyszała, choć, owszem, wiedziała, że istnieją. Przestraszyła się, ale wytłumaczył jej potem, że w takich chwilach męczyzna nad sobą nie panuje. Tak jak ona krzyczy wtedy jego imię, on mówi różne rzeczy, których wcale nie myśli; nie ma co się tym przejmować. Tyle że od tamtej pory za każdym razem ją obraża, już się nawet do tego przyzwyczaiła. Nazywa ją suką, dziwką, szmata...

Jednakże dziś po raz pierwszy zrobił to na chłodno, w Madrycie, kiedy spytała, dlaczego od ponad dwóch tygodni nie wyprawiają się do Escorialu, i szepnęła, że już się stęskniła.

– Naprawdę: jak zdzira. W sobotę spotykamy się tam, gdzie zawsze, o dziesiątej. I nie musisz się martwić, co powiesz ojcu, bo nie pojedziemy do Escorialu, tylko gdzie indziej. Przed wieczorem będziesz z powrotem.

Na początku zostawali razem na noc, a ona mówiła generałowi, że śpi u Blanki Alerces. Potem się utarło, że jechali coś zjeść i poszaleć w łóżku, po czym, gdy Carlos poczuł się zaspokojony, wracali do Madrytu. Elisie odpowiada

każde rozwiązanie – dla niej najważniejsza jest przyjemność ukochanego, choć oczywiście chciałaby, żeby okazywał jej czułość i miłość, którą przecież do niej żywi. Wiadomo: Blanca okrutnie go zraniła i teraz ciężko mu się przed kimś otworzyć, jednakże ona, Elisa, dzięki swojemu uczuciu go do tego nakłoni.

Spotykają się „tam, gdzie zawsze”: samochód Carlosa czeka przed wejściem do Retiro, przy ulicy Alcalá. Zamiast jechać za miasto, Carlos skręca w ulicę Atocha, potem w ulicę Magdaleny i parkuje. Elisa nigdy tu nie była, ale wie, co to za miejsce. To tutaj mieszkała Pilar Marín ze swoją córką, zanim Carlos ogłosił, że żeni się z Blancą; to tu bywał również z innymi swoimi kochankami.

– Chyba nie chcesz, żebym tam wchodziła...?

– A czemu nie?

– Nie jestem jedną z twoich utrzymanek.

Na to on chwyta ją mocno za ramię.

– Chodź i nie gadaj głupot.

Już na górze, zamknąwszy drzwi, uderza ją w twarz.

– Zwariowałaś? Zawsze musisz zwracać na siebie uwagę?

Później, w łóżku, jak zawsze cierpliwie czekając, aż on skończy, Elisa uświadamia sobie, jaka była niemądra. Jakie znaczenie ma miejsce, w którym się spotykają? Jedyne, co się liczy, to ich miłość. I Carlos słusznie zrobił, uświadamiając jej to, nawet jeśli musiał ją w tym celu spoliczkować. Niewielka to cena za tak cenną lekcję.

Poza tym, skoro ją tu przyprowadził, nie widuje się z nikim innym. Nie musi – kiedy był z Blancą, potrzebował innych kobiet, a teraz nie. Ona, Elisa, daje mu wszystko. To naturalne, tak trzeba.

* * *

– Dziś dzień świętego...

– ...Bruna.

Jest szósty października i obowiązuje stosowne do niego hasło. Menedżer pozbawionego nazwy lokalu przy ulicy Flor pamięta Gonzala: to ten chłopak, który bywał u niego ze swoim niemieckim przyjacielem i zawsze pił moët & chandon.

– Dawno pana nie widziałem... Pański przyjaciel, ten Niemiec, czekał tu na pana w wieczór przed swoim wyjazdem. Później pisał do mnie, pytając o pana. Odpowiedziałem mu, że się pan już nie pokazuje.

– Ma pan jeszcze ten list?

– Nie, przykro mi, po kilku tygodniach go wyrzuciłem. Minęło tyle miesięcy... Ale wydaje mi się, że napisany był na papierze firmowym jakiegoś berlińskiego hotelu.

W lokalu wszyscy wiedzą o homofobicznych atakach na mieście – przynajmniej sześciu – choć nikt nie zdaje sobie sprawy, że Gonzalo padł ofiarą jednego z nich.

– Tu, w okolicy, doszło tylko do dwóch. Reszta miała miejsce koło Ogrodu Botanicznego.

Od kiedy Gonzalo poznał Franka, nie szukał przypadkowych kochanków kręcących się pod murem Ogrodu.

– Czy napastnikami zawsze są ci sami ludzie?

– Nie mamy co do tego pewności, ale sądzimy, że tak. Pewnie musi zdarzyć się prawdziwe nieszczęście, żeby ktoś położył temu kres.

Gonzalo codziennie przegląda informacje napływające do redakcji: jeśli stanie się coś poważnego, on na pewno się o tym dowie i poprosi naczelnego, by pozwolił mu się zająć tą sprawą.

– Może mógłbym porozmawiać z kimś spośród ofiar...?

– Nikt niczego nie zgłosił na policję, bo i po co? Wszyscy boją się policjantów prawie tak samo jak tamtych bandytów. W najlepszym razie skończyłoby się na drwinach.

Gonzalo dobrze to rozumie, sam też nie kontaktował się z policją. Teraz, popijając wino – bo jego dziennikarska pensja nie starcza, rzecz jasna, na francuskiego szampana – obserwuje bywalców lokalu: są tu przykładni ojcowie rodzin, dobrze urodzeni młodzieńcy, szacowni urzędnicy, paru przedstawiciele Kościoła... Prawie nikt z tych ludzi nie zaryzykowałby ujawnienia swoich upodobań, by od samych policjantów usłyszeć, że jest „zboczeńcem”, „pedrylem”, „ciotą”, „sodomitą” albo kimś w tym rodzaju.

– Chciałbym tylko usłyszeć, co się konkretnie stało, może udałoby się nam trafić na jakiś trop...

* * *

– Nie wypłacili mi pensji, Perlo, zamierzają mnie zdjąć ze stanowiska.

– Nie, białasku, ja ci nic nie pożyczę.

Raúl Coronado, korespondent „El Noticiero de Madrid” w Paryżu, wiedział, że ten dzień kiedyś nadejdzie: niejednokrotnie słyszał, że nie będzie dostawał pieniędzy, skoro nie wywiązuje się z obowiązków... Domyśla się, że teraz otrzyma list z informacją, iż został zwolniony, oraz biletem powrotnym do Madrytu.

– Przynajmniej tyle, żebym mógł zapłacić pani Li...

– Nie sypiam z tymi wszystkimi facetami po to, żeby opłacać twoje nałogi, białasku. Moje ciało ma za zadanie utrzymać mnie i tylko mnie.

Perla i Raúl wielokrotnie bywali w palarni pani Li razem. Zawsze płacił on i teraz to ona powinna mu pomóc, by nie musiał się ukrywać i drzeć, że ktoś postanowi dać jego kosztem nauczki innym dłużnikom.

– Zresztą, nawet gdybym tym razem zapłaciła, natychmiast i tak się zadłużysz.

– Zabiją mnie.

– Tyle razy groziłeś, że popełnisz samobójstwo...

Kiedy zjawił się w Paryżu, wszystko wyglądało inaczej: był świetnym dziennikarzem, prawdziwą gwiazdą, myślał o napisaniu książki i każdy chciał z nim przestawać. I tak to trwało, póki nie spotkał Perli. A spotkał ją dość późno, choć cieszyła się sławą w szerokich kręgach: czarna prostytutka, Kubanka dwumetrowego wzrostu, piękna jak mało która.

Najpierw się wahał, czy powinien jej szukać, jednakże tak być musiało: właśnie po to rzucił wygodną posadę w Madrycie i przyjechał do Paryża – żeby znaleźć Perlę. Od kiedy się dowiedział, że Perla istnieje, że jego matką nie była wcale żona jego ojca, lecz dawna służąca, która urodziła potem kilkoro innych dzieci, czuł, że musi poznać swoje przyrodnie rodzeństwo. Udało mu się odszukać jedynie tę olbrzymkę. Fizycznie bardzo się różnili: on – syn Mulatki i hiszpańskiego urzędnika; ona – córka tej samej Mulatki i pewnego wielkiego Murzyna. Poza tym jednak byli identyczni: kapryśni, skupieni na sobie i własnych przyjemnościach, nieodpowiedzialni...

Teraz zaczeka, aż przyjdzie list z redakcji; aż mu napiszą, kto go zastąpi w wojennym Paryżu, i odwołają go do Madrytu. Musi skończyć pisać wspomnienia – może jego następca zatrzyma się w tym samym mieszkaniu, wszystko zrozumie i uświadomi ludziom, kim właściwie był Raúl Coronado.

* * *

– Jeszcze trochę, już niedługo, przyj.

Akuszerka jest z Carmen od trzech godzin, a dziecko nie chce się urodzić. Inne kobiety też pomagają. Brat Carmen, Antonio, czeka na zewnątrz, tak jak powinien tam czekać Jean-Marie.

– Zaraz będzie po wszystkim, przyj dalej.

Kazały jej pić jakiś ohydny napar, zapewniając, że to przyspieszy sprawę. Niektóre kobiety rodzą w szpitalu i jej francuski mąż chciałby na pewno, żeby i ona tam urodziła, jednakże w jej rodzinie takie rzeczy zawsze załatwiano się w domu. Tyle że ona ma wszelkich tradycji powyżej uszu; jeśli Jean-Marie wróci z wojny, wychowają syna na Francuza, nie na Cygana.

– Oddychaj głęboko, nie denerwuj się...

Jak ma się nie denerwować, skoro ból rozrywa ją na dwoje? Nie, nigdy więcej, jedno dziecko wystarczy.

– Pij.

Kolejny łyk tego naparu. Smakuje naprawdę wstrętnie, ale Carmen zrobiłaby teraz wszystko, żeby już to zakończyć. Wypiłaby nawet truciznę, byle tylko skrócić to cierpienie.

Krzyczy, płacze, prze, prawie nie słyszy, co do niej mówią... Wreszcie się udaje. Dziecko zaczyna płakać samo, nie trzeba dawać mu klapsa.

– To chłopiec. Zdrowy chłopiec. Wytrzymaj go trochę i zaraz ci podamy.

Odpoczywaj.

Tydzień na tyłach dobiegł końca i żołnierze wracają na pierwszą linię, do okopów. Teraz kolejne dwa tygodnie stałego zagrożenia. Koniec z popołudniowymi drzemkami pod drzewem, nocnymi rozmowami przy ognisku i wysypianiem się w stajni, która frontowcom wydaje się prawdziwym pałacem. Bo oto wracają do błotnistych rowów, bomb i strachu przed niemieckimi snajperami.

Jean-Marie odkrył jednak, że jego talent malarski może przynosić korzyści nawet podczas wojny. Pewien dowódca zobaczył jeden z jego szkiców i poprosił o portret. Jean-Marie narysował go ołówkiem, w parę godzin, i dostał za to dwie paczki papierosów Gauloises Caporal. Odtąd także inni zamawiają u niego swoje portrety albo rysowane na podstawie zdjęć wizerunki swoich narzeczonych. Każda taka usługa kosztuje dwie paczki papierosów albo butelkę dowolnego alkoholu. Jean-Marie ma już w plecaku zapas tytoniu na dwa najbliższe tygodnie, poza tym przez ostatni tydzień mógł do woli pić razem z kolegami.

Pobyty na tyłach odbiera żołnierzom czujność. Tak im powiedziano w drodze powrotnej na front: że nie powinni zapominać, czego się wcześniej nauczyli, bo teraz wszystko zaczyna się od nowa. Mimo tego ostrzeżenia Clement, rzeźnik z Poitiers, padł ofiarą snajpera dziesięć minut po przyjeździe. To dla wszystkich wielka strata, gdyż dzięki swojej profesji Clement zawsze wiedział, które części zabitego przez granaty lub niemieckie kule konia najlepiej nadadzą się do upieczenia na ogniu, przyjemnie wzbogacając wybitnie niesmaczną frontową dietę.

* * *

– Ten stół postawimy w głębi, złap go z drugiej strony.

Życie jest pełne niespodzianek. Manuel Campos, obecnie Lope, anarchystycznie nastawiony typograf i linotypista zamieniony w nauczyciela maszynopisania, nigdy by nie przypuszczał, że któregoś dnia będzie w Pałacu Królewskim dźwigał stół razem z samym Alfonsem XIII.

Pomieszczenia, w których ma się mieścić Urząd do spraw Ochrony Jeńców, zostały już uprzątnięte i teraz trzeba je urządzić meblami przyniesionymi z innych pokoi. Rankiem Manuel wybrał się z Blancą do sklepu przy ulicy Montera, by kupić kilka używanych maszyn do pisania, które sam starannie wybrał: to trzy underwoody z hiszpańską klawiaturą. Gdy tylko ustawi się stoły i szafy, a maszyny zostaną dostarczone, można będzie rozpocząć pracę. Jest ich w sumie siedmioro: dyrektor Álvaro Giner, Blanca Alerces, Manuel Lope oraz jeszcze cztery osoby znające języki obce i obeznane z pracą biurową – dwaj mężczyźni i dwie kobiety, wśród nich niejaka Camila Nebot, dziewczyna w wieku Blanki, pochodząca z ubogiej rodziny, ale wprost niesłychanie utalentowana językowo. Polecił ją sam Bernardo Candeleira, królewski sekretarz, zachwycony jej możliwościami i bardzo zadowolony z jej wcześniejszych tłumaczeń. Do ich zespołu należałoby chyba

zaliczyć również króla, który uwija się wraz z nimi i wydaje się najbardziej zaangażowany ze wszystkich.

– Zanim rozpoczniemy działalność, chciałbym wam podziękować za to, że tu jesteście. Nie wątpię, że z waszej tutaj pracy będę dumny bardziej niż z jakichkolwiek innych swoich osiągnięć w roli króla. Od tej pory zajmiemy się niesieniem pomocy najbardziej potrzebującym, ofiarom tej wojny, jeńcom wojennym i ich rodzinom, tym, którzy stracili dach nad głową albo nie potrafią odnaleźć swoich dzieci, rodziców czy rodzeństwa... Nie będzie to zadanie łatwe, zdaję sobie z tego sprawę, z pewnością poniesiemy niejedną klęskę. Ale o jedno was proszę: nie pozwólcie, by ktokolwiek, kto się do nas zwróci, pozostał bez odpowiedzi. Ludzie, którzy do nas piszą, są zrozpaczeni, pukali już do wielu drzwi i żadne nie zostały przed nimi otwarte. Mam nadzieję, że dzięki nam to się zmieni.

Wszyscy klaszczą – z wyjątkiem Manuela, który tylko pozoruje bicie braw, bo choć zgadza się z królem, nie wie, czy powinien wierzyć w szczerą intencję jego intencji. Waha się też, czy podzielić się tymi wątpliwościami z Blanca.

– Przecież mówi, że chce pomagać zwykłym ludziom.

– Nawet zegar, który stoi, dwa razy na dobę pokazuje właściwą godzinę. Owszem, facet wpadł na niezły pomysł, ale zobaczymy, w jaką stronę to pójdzie i czy przypadkiem zaraz się nie okaże, że mamy się skupić na oficerach, zapominając o biedakach niższych rangą, albo coś w tym stylu. Nie potrafię zapomnieć, że ten sam człowiek ponosi odpowiedzialność za Tragiczny Tydzień w Barcelonie, wojnę z Rifenami i wiele innych okropności.

Wciąż stara się unikać bliższych kontaktów z Blanca. Jakimż był głupcem, sądząc, że wtedy, w sylwestra, miał szansę... Chociaż nadal nie rozumie, co się stało; na Puerta del Sol wszystko wyglądało tak obiecująco... Coś musiało się zdarzyć w drodze powrotnej. Czy Blanca kogoś zobaczyła? Czy zawstydziła się, że spaceruje z robotnikiem? Czy chodziło o tamtego mężczyznę stojącego przy czerwonym aucie...?

Ale dobrze jest, jak jest. Manuel już rozumie, że omal nie popełnił poważnego błędu. Bo dlaczego arystokratka, markizówna z pałacyku na tyłach Prado, miałaby się wdawać w romans z anarchistą, który posługuje się lewymi papierami, bo inaczej trafiłby za kratki oskarżony o zabójstwo policjanta? Zresztą on też nie chciałby się z nią wiązać. Całe to jej bogactwo stałoby mu kością w gardle.

Tak czy owak sam fakt, że ktoś z jego przeszłością pracuje w Pałacu Królewskim i ma bezpośredni kontakt z królem, świadczy o złym funkcjonowaniu instytucji państwowych. Manuel długo się wahał, czy przyjąć tę posadę, i po raz pierwszy od wielu miesięcy skonsultował się z kolegami związkowcami, którzy nie mieli wątpliwości: powinien się zgodzić, dostać się do Pałacu, zaskarbić sobie zaufanie króla, zbadać możliwości działania i czekać na rozkazy. Chociaż postawił

sprawę jasno: nigdy nie weźmie udziału w żadnym zamachu, nawet na Alfonsa XIII. Czy tamci rozumieją, gdy w razie czego naprawdę im odmówi? Czy zdobędzie się na to, by przekazać niezbędne informacje ewentualnemu zabójcy?

– Omówimy to w odpowiednim momencie.

Teraz żałuje, że się zgodził, ale nie może sam przed sobą taić własnych uczuć: kiedy Blanca oświadczyła, że nie będzie już przychodzić na zajęcia, bo zaczyna pracę w Pałacu Królewskim, poczuł przytłaczający smutek. A zaraz potem – wielką radość, gdy się dowiedział, że może pracować razem z nią i nadal ją widywać.

– W tę sobotę, jeśli się zgodzisz, wyprawię się z tobą do Las Injurias.

Wcześniej jednak muszą się wziąć do roboty: trzeba przeczytać wszystkie nadesłane do Pałacu listy, poklasyfikować je, zarchiwizować.

– Najpierw posegregujmy je wedle języka, w którym są napisane. Najwięcej przychodzi z Francji.

– Dobrze, że akurat francuski znamy wszyscy.

– Ale lada dzień zaczną napływać przesyłki z Anglii. Kilka dni temu w jednej z londyńskich gazet ukazał się artykuł o działaniach podejmowanych przez Jego Królewską Mość.

– W Niemczech też o tym pisali. Manuelu, ty znasz niemiecki?

– Nie, tylko francuski i angielski. Ale Blanca, Camila i pan tak, prawda?

– Owszem. Problemy zaczną się wtedy, jak dostaniemy coś po rosyjsku.

Trzeba będzie poszukać tłumacza.

– Poza tym potrzebne nam są spisy jeńców z Ministerstwa Wojny.

– Zajmę się tym.

Álvaro Giner może w imieniu króla żądać informacji od ministerstw i hiszpańskich ambasad.

– Wszystko gotowe: zaczynamy jutro o dziewiątej. Razem dokonamy wielkich rzeczy.

5.

To niemożliwe, Niemcy przysłali nam tylko dwie kopie tej listy, dlatego nie mogę jej na razie panu udostępnić. Tę od Francuzów, owszem, mogę, bo przyszła w trzech egzemplarzach.

Król miał słuszość, skarżąc się na hiszpańską biurokrację. Álvaro Giner stracił całe przedpołudnie w Ministerstwie Wojny, próbując zdobyć spisy jeńców. Od dłuższego czasu krąży między jednym niekompetentnym urzędnikiem a drugim – bez skutku.

– W takim razie muszą państwo sporządzić dla mnie specjalną kopię.

– Specjalną kopię? Nawet pan sobie nie wyobraża, ile my tu mamy pracy.

– Oczywiście, że sobie wyobrażam. Rozglądam się dookoła i widzę wiele osób, które nic nie robią. Na pana musiałem czekać czterdzieści minut, bo wyszedł pan załatwić prywatną sprawę. W godzinach urzędowania.

– Zawsze może pan złożyć skargę.

– I z pewnością ją złożę. A teraz: czy widzi pan ten dokument? Przewidując podobne sytuacje, Manuel Lope poradził dyrektorowi Urzędu do spraw Ochrony Jeńców, by ten zabrał ze sobą list podpisany przez Alfonsa XIII i nakazujący funkcjonariuszom publicznym pełną współpracę.

– Widzę.

– I...?

– Skoro Jego Królewska Mość każe współpracować, poproszę o przygotowanie kopii.

– Doskonale, na którą będzie gotowa?

– Może pan po nią przyjść w przyszłym tygodniu.

– Wciąż pan nie rozumie. – Álvaro Giner jest coraz bardziej zirytowany.

– Potrzebuję jej dzisiaj. Wezmę ten egzemplarz, sami go przepisemy, a następnie państwu zwrócimy.

– Nie zostałem upoważniony do udostępniania tego dokumentu.

– Prędzej czy później będzie pan musiał to zrobić. – Álvaro wstaje, zdesperowany, lecz przed wyjściem odwraca się jeszcze i pyta: – Uważa pan, że Hiszpania powinna przystąpić do wojny?

– Oczywiście, po stronie Niemiec.

– I sądzi pan, że żołnierze nieprzyjaciela dokumentowaliby każdy swój wystrzał? Z takimi jak pan przegralibyśmy zaraz w przedbiegach.

Tak oto już pierwszego ranka Álvaro uświadamia sobie, że współpraca z organami administracji państwowej nie będzie przebiegać gładko: wszędzie szerzą się nepotyzm i absurdałna biurokracja, urzędnicy są źle opłacani, niekompetentni i zupełnie niezainteresowani swoją pracą, wymigują się więc od niej, jak mogą.

– To wprost niewiarygodne, Wasza Królewska Mość, wprost niewiarygodne!
– Hiszpania cierpi na tę chorobę od dawna, lecz wciąż nie mamy środków, żeby ją zwalczyć. Pamiętasz, co pisał Mariano José de Larra? Nikt nie jest w stanie tego ukrócić. Konserwatyści po dojściu do władzy obsadzają stołki własnymi ludźmi, to samo robią liberałowie. Etos pracy w administracji państwowej nie istnieje. Ale nic się nie martw, królowi nie powiedzą, żeby przyszedł jutro.

Sprawienie, by ktoś jeszcze tego samego dnia przepisał na maszynie trochę dokumentów, wymaga więc osobistego zaangażowania ze strony króla, który kontaktuje się bezpośrednio z ministrem wojny. Takich list będzie więcej: każdego dnia giną tysiące ludzi, tysiące trafiają do niewoli. Często poddają się całe oddziały – tylko w czasie bitwy pod Tannenbergiem pod koniec tysiąc dziewięćset czterdnastego roku broń złożyło dziewięćdziesiąt dwa tysiące rosyjskich żołnierzy wstrząśniętych śmiercią pięćdziesięciu tysięcy swoich towarzyszy, poległych w wyniku katastrofalnej strategii przyjętej przez dowódcę, generała Samsonowa. Cóż, Samsonow przynajmniej miał tyle rozumu, by się po tym zabić; wielu innych jedynie czeka na kolejne kontyngenty żołnierzy, by prowadzić ich znowu na rzeź.

Hiszpania i Szwajcaria, jako państwa neutralne, są zobowiązane do sprawdzania, czy warunki w obozach jenieckich obu stron konfliktu spełniają wymogi konwencji haskich, zgodnie z którymi jeńcom należy się dobre traktowanie. Hiszpańskie ambasady organizują wizytacje w obozach i następnie przedstawiają odpowiednie raporty.

– Ale często takie wizyty, z powodu różnych utrudnień, nie dochodzą do skutku. Ba, obawiam się, że na przeszkodzie niejednokrotnie staje też niekompetencja naszych własnych urzędników.

– Nie powinniśmy bardziej cisnąć?

– Może z czasem nam się to uda.

Praca w Urzędzie do spraw Ochrony Jeńców idzie pełną parą. Gdy Álvaro Giner, po straconym w Ministerstwie Wojny poranku i późniejszej rozmowie z królem, wkracza do biura, zastaje podwładnych w stanie najwyższego ożywienia.

– Uzgodniliśmy sposób archiwizacji poszczególnych spraw. Dla każdej stworzymy osobną teczkę oznaczoną wstążką odpowiedniego koloru, żeby od razu wiedzieć, na jakim etapie się znajduje. Kolor czarny oznacza, że poszukiwana osoba nie żyje. Biały, że została zlokalizowana i że trwają rozmowy mające na celu umożliwienie jej kontaktu z bliskimi. Czerwony, że na razie nic nie wiadomo.

– Zaczęliście już czytać te wszystkie listy?

– Głównie tym się zajmujemy. Udzielenie odpowiedzi na każdy z osobna trochę potrwa, ale nie jest to niemożliwe.

Pracownicy urzędu bez wytchnienia studiują różnojęzyczne, lecz nieodmiennie straszne historie napływające ze wszystkich zakątków Europy:

opowieści o zaginionych synach, braciach, mężach, co do których nie wiadomo, czy jeszcze żyją. Z każdego takiego listu bije rozpacz kogoś, kto ostatnią nadzieję pokłada w królu neutralnego kraju, który nie dał się jeszcze opętać wojennemu szaleństwu. Alfons XIII postanowił, że wszyscy petenci będą traktowani równo, bez względu na narodowość, wyznanie czy rangę.

Maszyny do pisania klekoczą bez przerwy, czasem słysząc, jak ktoś pyta o znaczenie jakiegoś słowa po niemiecku, francusku, angielsku czy rosyjsku albo komentuje szczególnie dramatyczną historię.

– Pewna Niemka straciła pięciu synów. To nie do wytrzymania. Czytałam też, że jeden czternastolatek zgłosił się do armii na ochotnika, posługując się dokumentami starszego brata, i wysłali go na front, niczego nie sprawdzając.

Przesyłki, oprócz próśb i zaklęć oraz historii rodzinnych, zawierają też czasem zdjęcia zaginionych albo przeznaczone dla nich fotografie ich dzieci.

Don Alfonso pojawia się koło południa, w przerwie między naradą z premierem a spotkaniem z producentami broni, którzy naciskają na przystąpienie do wojny, i osobiście czyta jeden z listów.

Do króla Hiszpanii

Doszły nas tu słuchy, że stworzył Pan urząd zajmujący się losem jeńców wojennych bez względu na kraj ich pochodzenia, rasę czy wyznanie. Dlatego ośmielam się napisać do Pana w swojej sprawie.

Nazywam się Susan Howards, jestem narzeczoną Anthony'ego Colemore'a. Poznaliśmy się kilka tygodni przed tym, jak Anthony wyjechał walczyć do Belgii, podczas jego szkolenia, które odbywał w moim rodzinnym Leeds, w hrabstwie Yorkshire. Czasu spędziliśmy razem niewiele, jednakże te kilka szczęśliwych wspólnych chwil sprawiło, że przysięgliśmy sobie wieczną i wierną miłość.

Na początku Anthony regularnie przysyłał mi listy, w których pisał, jak bardzo za mną tęskni, a potem dostałam wiadomość, że zginął i że jego ciała nie da się odesłać do ojczyzny, ponieważ nie zostało odnalezione.

Długo płakałam, ale kilka dni temu miałam sen, że Anthony żyje. Sam mi się ukazał i powiedział, że wcale nie zginął, tylko trafił do niewoli u Niemców. Zwróciłam się już do odpowiednich instytucji tutaj, w Anglii, jednakże nikt mnie nie słucha, wszyscy traktują mnie jak wariatkę. Podobno towarzysze Anthony'ego byli świadkami jego śmierci. Tyle że ten sen nie pozostawia wątpliwości: Anthony jeszcze do mnie wróci.

Czy mógłby Pan mu w tym pomóc?

Niech Bóg da długie i szczęśliwe życie Panu i Pańskiej rodzinie.

Susan

– Teczka z kolorem czarnym. Ten chłopak jednak nie żyje, Wasza Królewska Mość.

Jedna z dziewcząt nieśmiało wtrąca:

– Nie odnaleźli jego ciała. A dusze podobno potrafią się ze sobą komunikować. Więc może i jemu się to udało? Niektórzy uczeni potwierdzają, że tak się dzieje, że nie chodzi o żadne wymysły.

– W większości wypadków wiadomo o czyjejś śmierci właśnie dlatego, że ktoś ją widział. Ciała odnajdywane są rzadko. Przykro mi. Ta teczka musi pozostać oznaczona na czarno, nawet jeśli w snach swojej narzeczonej Anthony Colemore wciąż żyje.

Po przeczytaniu i zarchiwizowaniu każdego listu przychodzi pora na skonfrontowanie jego zawartości ze spisem jeńców i poległych. Chwilowo dostępne są jedynie dane otrzymane od Francuzów i Niemców; niedługo nadejdą kolejne. Taka konfrontacja często kończy się rozczarowaniem.

– Kolor czerwony. Tego nazwiska nie ma na żadnej z list, kwestia pozostaje otwarta.

– Uważajcie na ewentualne błędy w pisowni: listy Francuzów sporządzali Niemcy, a listy Niemców Francuzi. Nazwiska mogą być poprzekręcane.

Pierwszy sukces odnosi Blanca.

– Armand Cornille! Francuz, przebywa w obozie w Minden, w Westfalii.

Powtarza to kilka razy na głos, jakby chciała się upewnić.

– Brawo! Zaraz wyślemy informację do naszej ambasady w Berlinie. Sam napiszę do ambasadora.

Álvaro Giner jest równie zadowolony jak reszta i chętnie podejmie się tego zadania. Wyciąga ze swego biurka butelkę wina, którą przygotował na taką chwilę.

– Za Armanda Cornille’a! Za Urząd do spraw Ochrony Jeńców i za pomyślne rozwiązanie wszystkich spraw zgłaszanych w listach do Pałacu.

Blanca patrzy na szefa z sympatią: Álvaro śmieje się jak dziecko uradowane pięknym podarkiem i bardzo, ale to bardzo mu z tym do twarzy. Wszyscy się cieszą – taki sukces już po kilku godzinach pracy! Blanca przenosi wzrok na Manuela: on też się cieszy, ale bardziej dyskretnie. Nie zamierza dawać sobie ani chwili odpoczynku – ledwie umoczył usta w winie i już sięga po kolejny list. Dalej, nie ma co spoczywać na laurach!

O tym, że to prawda, przypomina urzędnik, który staje w drzwiach z wielkim workiem.

– Powiedziano mi, że korespondencję z Europy mam przynosić tutaj.

– Tak.

Zawartość worka ląduje na stole – to wszystko dla nich.

– Ale tu jest ponad dwieście listów!

– Dwieście trzydzieści siedem.

– To tylko dzisiejsze?

– Wieczorem przyjdą kolejne.

Trzeba dalej je czytać i klasyfikować. Czerwoną wstążkę, wskazującą, że dany przypadek nie został jeszcze rozwiązany, zużywają metrami; białą, sygnalizującą szczęśliwy finał sprawy – tylko centymetrami.

* * *

– Niemcy nigdy nie dojdą do Paryża, nie powinien pan się przejmować, drogi Marcelu.

Frank, w swojej nowej roli, zaczął już nawiązywać znajomości, wdawać się w rozmowy. Przypadek sprawił, że na pierwszym piętrze jego domu przy ulicy Oran mieszka francuski wojskowy, pułkownik Veillard, z którym Marcel chętnie omawia swoje domniemane wątpliwości. Musi bardzo uważać, żeby się nie zdradzić, a zarazem jak najbardziej do tamtego zbliżyć.

– Podobno oblężenie nie jest wykluczone.

– Do tego potrzeba by było ponad milion żołnierzy. A Paryż mógłby się bronić i przez rok. Mówię panu, Malmaison, że nie zobaczy pan tu tych *boches*.

Od początku wojny Niemcy zamierzali zdobyć francuską stolicę, a Francuzi skupiali się na kontrolowaniu granicy z Niemcami: dlatego okopali się wzdłuż spornych terenów Alzacji i Lotaryngii. O inne granice nie musieli się martwić: Hiszpania, Szwajcaria i Belgia były neutralne, Włochy zaś dopiero miały przystąpić do wojny.

Jednakże pruscy generałowie, zdając sobie sprawę, że jeśli zajmą Paryż, podporządkują sobie Francję, zdecydowali się najechać neutralną Belgię, obsadzić swoimi siłami wybrzeże ciągnące się wzdłuż kanału La Manche i zaatakować Francuzów od północy. Plan był dobry, tyle że wojna zawsze szybko weryfikuje wstępne założenia, a posunięcie Niemców sprawiło, że Brytyjczycy zaangażowali w konflikt jeszcze większe siły.

Najazd na Belgię stanowił pogwałcenie wszelkich traktatów: niemieckie lotnictwo, wyposażone w budzące grozę sterowce, po raz pierwszy w historii zbombardowało z powietrza miasto – Antwerpię, powodując straty wśród ludności cywilnej; niemiecka armia spaliła bibliotekę Uniwersytetu w Leuven, gdzie przechowywano bezcenne skarby kultury, i prowadziła działalność odwetową na mieszkańcach. Wojsko belgijskie, nieliczne, ale doświadczone za sprawą kolonialnej obecności w Afryce i wspomagane przez Wielką Brytanię, stawiało zdecydowany opór, dając Francuzom czas na przegrupowanie sił. Niemcy dotarli wprawdzie w okolice Paryża, lecz wytracili impet i najprawdopodobniej zostaną odparci. Tak przynajmniej twierdzi pułkownik Veillard, choć Frank się z nim, rzecz jasna, nie zgadza.

W Paryżu życie toczy się zwyczajnym rytmem, ba, może nawet stało się jeszcze bardziej ożywione niż przed wojną: swoje przepustki spędzają tu żołnierze i oficerowie brytyjscy, kanadyjscy, południowoafrykańscy, australijscy czy nowozelandzcy. Restauracje, kawiarniane ogródki i kabarety pękają w szwach.

Frank, czy raczej Marcel Malmaison, wkręca się, gdzie tylko da radę: tu wypije kieliszek, tam pogada z kilkoma angielskimi pilotami, kiedy indziej znowu pomoże jakimś Kanadyjczykom pragnącym zwiedzić Luwr, zaprosi na piwo Australijczyków, zorganizuje spontaniczny piknik dla Nowozelandczyków... Próbuje wyciągać od nich informacje na temat rozmieszczenia ich oddziałów, rodzajów broni, planów na najbliższe tygodnie, a gdy dowiaduje się czegoś, co mogłoby okazać się istotne, uruchamia swoje kontakty: są wśród nich Francuzi współpracujący z Niemcami dla pieniędzy, obywatele sympatyzujących z nimi krajów oraz ludzie tacy jak on, działający w Paryżu pod przykrywką.

Informacje płyną do Berlina różnymi kanałami – przenoszone przez gołębie pocztowe i łączników, którzy przedzierają się przez linię frontu; nadawane szyfrem drogą radiową lub przemycane w niewinnych z pozoru listach słanych do Szwajcarii lub Hiszpanii i dalej – do Niemiec.

Frank zastanawia się nad każdym swoim krokiem, stara się nie popełnić żadnego błędu. Dla szpiegów nie ma litości. Jeśli wpadną w ręce wroga, w odróżnieniu od żołnierzy nie są traktowani jako jeńcy wojenni, tylko jako zwykli zdrajcy. Jedyne, co ich w takim wypadku czeka, to śmierć. Podobno w Lasku Vinceńskim odbywają się sądy polowe i natychmiastowe rozstrzelania; Frank ma nadzieję, że nigdy się nie dowie, czy to prawda.

Na swoim poddaszu przy ulicy Oran nie trzyma żadnych kompromitujących papierów ani nawet broni. Wszystko przechowuje w skrytce na Gare d'Austerlitz, wynajętej na nazwisko nieistniejącego angielskiego żołnierza. Tam czekają w pogotowiu różne komplety dokumentów, zgodnie z którymi Marcel Malmaison może błyskawicznie stać się kimś innym: handlowcem z południa Francji, hiszpańskim dyplomatą, tym angielskim żołnierzem, co to wynajął na dworcu skrytkę, francuskojęzycznym dziennikarzem z Kanady albo meksykańskim fotografem. Każdej z tych tożsamości odpowiada osobny niewielki bagaż, poza tym w skrytce znajdują się zapasy gotówki oraz dane kont bankowych, z których można pobrać jej jeszcze więcej.

Poza zbieraniem informacji Frank zajmuje się też uwiarygodnianiem swojego alibi: pracuje nad książką o Napoleonie. Kupuje książki w antykwariatach, odwiedza biblioteki, czyta wszystko, co znajdzie o francuskim cesarzu. Jeśli pewnego dnia natknie się na specjalistę w tej dziedzinie, będzie mógł z nim dyskutować jak równy z równym i nie pozwoli, by zdradziła go ignorancja.

Paryż zawsze był miastem otwartym, tolerancyjnym; od dawna słynie z życia nocnego, także z miejsc dla homoseksualistów. Pola Elizejskie już w połowie

dziewiętnastego wieku stały się miejscem ich przelotnych schadzek, podobnie jak parki publiczne czy Tuilerie. Obecność tak wielu zagranicznych żołnierzy, zwłaszcza pochodzących z najróżniejszych brytyjskich kolonii, znacznie wzbogaciła to środowisko. Mnożą się też przeznaczone wyłącznie dla mężczyzn lokale: takich kawiarni, barów, kabaretów, dansingów czy łaźni jest już w mieście ponad setka.

Frank, choć nie zapomniał Gonzala i wcale nie chce innych kochanków, rozumie, że bawiąca się w Paryżu międzynarodowa homoseksualna społeczność to dla niego źródło informacji nie do pogardzenia.

* * *

– Nie chcę, żeby moje nazwisko gdzieś przy okazji wypłynęło.

Kierownikowi lokalu przy ulicy Flor udało się nakłonić jedną z ofiar napadu do rozmowy z Gonzalem. José Luis Alavedra jest dobrze ubranym mężczyzną w średnim wieku, właścicielem księgarni w dzielnicy Salamanca.

– Mieszkam z matką. Ona nie może się o niczym dowiedzieć.

Atak, którego ofiarą padł José Luis niemal miesiąc przed Gonzalem, pozostawił mu ślad w postaci uszkodzonego oka. Bandyci również i jego przydybali niedaleko lokalu, na ulicy Leganitos. Było już dosyć późno. José Luis sądzi, że zobaczyli go, jak wychodził po imprezie, i ruszyli za nim.

– Było ich czterech?

– Tak, wszyscy młodzi, koło trzydziestki. Bardzo silni. Nie zasłonili twarzy, ale i tak niewiele potrafię o nich powiedzieć. Wydawali się normalni.

– Rozpoznałbyś ich?

– Nie wiem, za bardzo się bałem. Mieli kij i grozili, że mnie na niego nabiją.

– Jak im uciekłeś?

– Ktoś wyjrzał przez okno sąsiedniego domu i zaczął krzyczeć. Później ten sam człowiek pomógł mi dotrzeć do punktu medycznego. Nie przedstawił się i zniknął, a chciałem mu podziękować.

– Odnajdziemy go. Pójdiesz tam ze mną?

Gdy już są na ulicy Leganitos, José Luis opowiada:

– To się stało tutaj. Szedłem w tamtą stronę, kiedy mnie zaatakowali. Dwóch zastąpiło mi drogę i zasypało mnie wyzwiskami, a dwóch pozostałych odcięło mi odwrót. Rzucili się na mnie wszyscy, myślałem, że mnie zabiją. Potem pokazali mi ten kij, rozciągnęli mnie na ziemi... A tamten człowiek wychylił się z tego okna.

Dzwonią do wskazanego przez José Luisa mieszkania, ale nikt nie otwiera; Gonzalo będzie musiał spróbować szczęścia przy innej okazji. Może uda mu się dowiedzieć czegoś więcej o napastnikach.

W klubie czeka na nich niespodziewana wiadomość.

– Wczoraj znów uderzyli. Przy wyjściu z Café del Vapor.

Kawiarnia mieści się przy placu Progreso, tam gdzie odchodzi od niego ulica

Mesón de Paredes. Wśród bywalców, głównie artystycznej braci, której wieczorami przygrywa pianista, nigdy nie brak homoseksualistów.

– Jak to się skończyło?

– Gorzej niż zwykle. Ofiara zmarła wkrótce po przywiezieniu do szpitala.

Gonzalo potrzebuje pomocy Benita. Tylko on potrafi przekonać szefa, że to informacja warta zbadania i przedstawienia szerszej publiczności.

– Na ulicy Flor? Wiedziałem, przeczuwałem...

– Wiedziałeś, że to tam mnie pobili?

– Nie, że kiedyś spotkam cię w tym lokalu bez nazwy.

– Ty też tam bywasz?

Czyli to prawda, szósty zmysł Gonzala nie zawiódł: Benito jest taki jak on i naprawdę może mu pomóc.

– Potrzebujemy czegoś, co zwróci uwagę szefa – stwierdza Benito. – Co go przekona, że ta historia dobrze się sprzeda.

– A sama przemoc nie wystarczy?

– Nie. Bądźmy szczerzy: fakt, że nas prześladują, nikogo nie dziwi, ba, wielu nawet cieszy. No i jeśli Ramírez się zorientuje, czemu tak nam na tej sprawie zależy, możemy mieć kłopoty. Nie zamierzasz mu chyba mówić o naszych preferencjach...? No właśnie. Musimy trochę powęszyć za jakimś ciekawym wątkiem.

– Było ich czterech, chyba żołnierzy. Na Embajadores czekał na nich samochód z kierowcą w wojskowym mundurze.

Właściciel baru przy ulicy Mesón de Paredes widział całe zajście, gdy akurat sprzątał po zamknięciu swojego lokalu. To on wezwał sąsiadów, by pomogli przetransportować ofiarę do najbliższego punktu medycznego.

– Osaczyli go tam, na rogu, i pobili kijami. Jak upadł, zaczęli go kopać. Wybiegłem z krzykiem na ulicę, ale sam nie mogłem nic zrobić. W końcu wsiedli do tego auta na Embajadores i odjechali. Biedak właściwie już nie żył.

– Pamięta pan, co to był za samochód? Jakiej marki?

– Tylko tyle, że był zielony. Nie znam się na autach.

Gonzalo i Benito godzinami szukają innych świadków. Kilka osób podaje w miarę zgodny opis bandytów.

– Byli młodzi, koło trzydziestki. Może to i wojskowi, ale nie mieli mundurów ani nic takiego.

W końcu trafiają na kogoś, kto widział samochód, którym tamci uciekli.

– Tak, był zielony. Nie wiem, jakiej marki, w każdym razie z barcelońską rejestracją. Mężczyzna za kierownicą miał na sobie wojskowy mundur, był sierżantem.

Oto haczyk, którego Benito szukał, by przekonać szefa: już nie chodzi

o „zwykłą nauczkę daną zboczeńcom”, lecz o grupkę żołnierzy usiłujących wymierzać „sprawiedliwość” wedle własnego widzimisię.

– Żołnierze? Ale po co to robią? O co im chodzi?

– Właśnie o to trzeba będzie ich zapytać.

– Dobrze, przyjrzyjcie się temu. Obaj. I żadnych wygłupów: wszystkie materiały mają trafić najpierw do mnie.

* * *

– Dwa tygodnie bez odwiedzin i przepada wysiłek z dwóch miesięcy.

Manuel i Blanca wsiadają do tramwaju, który zawiezie ich do Puerta de Toledo. Potem jak zwykle będą musieli przedrzeć się na piechotę do Las Injurias, pokonując rozmokłe po deszczowym kwietniu pole. Jest początek maja; praca w Urzędzie do spraw Ochrony Jeńców – sporządzanie spisów, przygotowywanie teczek z dokumentacją, korespondencja z ambasadami, czytanie listów i narady z dyrektorem – zajmuje tyle czasu, że nie ma kiedy zaglądać do wiecznie zaniedbywanej „dzielnicy nędzy”.

Na miejscu nie wita ich tym razem czereda dzieci. Podchodzi do nich Julio, jeden z mieszkańców.

– Manuelu, Murcjanka chce się z tobą widzieć, mówi, że to pilne.

Oboje ruszają ku jej domowi. Pies jest przywiązany.

– Murcjanko!

– Dobrze, że jesteś, wchodź.

Gospodyni jak zwykle obrzuca Blancę nieufnym spojrzeniem.

– To był okropny tydzień. Wczoraj zatrzymali Marcosa, a Alicia od środy bardzo choruje.

Dwójka ulubieńców Manuela i Blanki ma kłopoty. Co za koszmar!

– Pójdę do Alicii.

Zaniepokojona Blanca biegnie do chatki, gdzie mieszka mała. To ciasny, wilgotny, źle wentylowany barak; matka z córką sypiają razem na macie rozłożonej na klepisku. Teraz matka pracuje, dziewczynką opiekuje się jakaś młoda osoba. Blanca od razu widzi, że sytuacja wygląda źle: Alicia majaczy w gorączce.

– Strasznie jest rozpalona. Był u niej lekarz?

– Poszliśmy po pomoc do ośrodka dobroczynności, mieli przysłać lekarza wczoraj, ale się nie pojawił.

– Musimy ją zawieźć do szpitala.

– Nie możesz jej stąd zabrać, obiecałam się nią zająć.

Blanca, ignorując słowa dziewczyny, bierze Alicię na ręce i szczelniej owija ją cienkim kocem.

– Nie widzisz, że ona umiera?

Od progu widzi zbliżającego się Manuela. Obok niego idzie Murcjanka. Nawet teraz, przestraszona stanem Alicii, Blanca nie potrafi nie być zazdrosna o tę

kobietę.

- Jak ona się czuje?
- Trzeba ją wziąć do szpitala, ale nie wiem, czy zdążymy.
- Daj, ja ją poniosę.
- Na szpital nie ma pieniędzy.

Murcjanka się waha, nie wie, czy ma im pozwolić zabrać małą. Blanca jest zdecydowana.

- Ja w razie czego zapłacę. Trzeba powiadomić jej matkę.

Szybko pokonują błotniste pole, nie przejmując się kałużami. Potem zatrzymują samochód.

- Jaki szpital jest tu najbliżej?
- Punkt medyczny dla Latiny, przy Carrera de San Francisco.
- Jedźmy.

Na miejscu czeka długa kolejka chorych. Punkty medyczne – po jednym na każdy z dziesięciu madryckich okręgów – zajmują się poszkodowanymi w nagłych wypadkach oraz tymi, których nie stać na lekarza. Manuel z Alicią w ramionach i Blanca, nie zważając na protesty, kierują się na początek kolejki. Lekarz jest młody i zna się na rzeczy – mają szczęście.

- Tutaj nic nie poradzimy. Trzeba ją przewieźć do szpitala.
- Do którego? Poniesiemy wszelkie koszty...
- Do Ogólnego, na zewnątrz stoi karetka, porozmawiam z kierowcą.

Pół godziny później Alicia jest już w starym szpitalu przy ulicy Atocha. Manuel i Blanca muszą poczekać na zewnątrz.

- Spokojnie, Blanco, zrobiliśmy, co się dało. Teraz kolej na lekarzy.
- Alicia nie może żyć w takich warunkach! W wilgoci, marznąc, nie dojadając, bez czyjejkolwiek opieki.

– To dotyczy wszystkich maluchów z Las Injurias. Dlatego zostałem anarchista, żeby coś się zmieniło, żeby każda matka miała szansę zadbać o swoje dzieci.

Czekają, oboje zdenerwowani, ale nikt do nich nie wychodzi. Mimo okoliczności Manuel jak zwykle patrzy na Blancę pełen zachwytu. Musi wciąż sobie przypominać, że choć to teraz jego koleżanka z pracy, każde z nich pochodzi z innej sfery, a to, co prawie się między nimi zdarzyło w noc sylwestrową, w gruncie rzeczy było wytworem jego wyobraźni. Zresztą przyszło im żyć w tak strasznych czasach, że należy się skupiać na skutkach wojny albo nędzy, a nie na problemach typografów zakochanych w markizównach.

Rozmyśla tak, póki Blanca nie przypomina sobie i jemu, że powinni się martwić nie tylko o Alicię.

- A Marcos? Co z Marcosem?
- Złapali go na kradzieży. Jak nam powiedzą, co z małą, zajmę się tamtą

sprawą.

– Jeśli musisz iść, to idź od razu. Ja tu zaczekam.

– Nic się nie martw, Marcos akurat teraz nigdzie nie ucieknie.

Lekarz pojawia się dopiero po dwóch godzinach. Alicia ma ciężkie zapalenie płuc, ale bezpośrednio zagrożenie dla jej życia minęło.

– To dziecko potrzebuje starannej opieki, inaczej umrze.

Blanca cała się wzdryga. Chciałaby zabrać Alicię do siebie, żeby mała mogła wydobrzeć.

– Trzeba przekonać jej matkę.

– Murcjanka nam pomoże.

– Wiesz, że za mną nie przepada.

– Nie, ale rozumie, co jest najlepsze dla małej. Weź ją do domu, ja zajmę się resztą. No i zobaczę, co się da zrobić dla Marcosa.

Manuelowi niełatwo wyprawić się na komisariat, nawet jeśli w grę wchodzi dobro Marcosa. Strach, że zostanie rozpoznany i oskarżony o śmierć policjanta w czasie strajku fabryki Industrial Madrileña, niemal go paraliżuje. Niemniej trzeba zebrać się w sobie – dla tego dzieciaka, dla jego i tak wątpliwej przyszłości. Wiadomo: najlepszą obroną jest atak, dlatego Manuel postanowił występować z pozycji siły, tak jak to zawsze robią burżuje.

– Pracuję w Pałacu Królewskim i jeśli nie zostaną natychmiast obsłużony, Alfons XIII o wszystkim się dowie.

Tym razem Marcos ukradł zegarek kieszonkowy – tak jak zrabował naszyjnik w dniu, w którym Manuel go poznał, tyle że teraz nie udało mu się uciec.

– Jeden z przechodniów podstawił mi nogę. Kretyn!

– Dobrze cię tu traktują?

– Normalnie. Parę razy mnie szturchnęli.

Zegarek należał do pewnego kupca, właściciela sklepu z laskami i parasolami przy ulicy Pez.

– Gdyby ten gość wycofał skargę, zaraz by cię wypuścili.

– A czemu miałby wycofać?

– Jeśli grzecznie poprosimy, to czemu nie? Problem w tym, że jutro znowu wpakujesz się w kłopoty.

– Muszę za coś wyżywić matkę i rodzeństwo.

– Masz przecież pracę.

– To nie wystarczy, wszystko jest drogie, a ja dostaję tylko pieniądze z napiwków. Poza tym teraz na pewno wylecę na zbity pysk, od kiedy mnie zamknęli, nie pojawiają się w pracy.

Negocjacje z kupcem od parasoli nie nastęrczają problemów: wystarczy poprosić towarzyszy ze związku o pomoc. Nikt nie zechce się z nimi handryczyć

o i tak już odzyskany zegarek. Trudniej będzie znaleźć Marcosowi zajęcie, które pozwałoby mu godnie zarabiać na utrzymanie bliskich.

– Blanco, potrzebujemy w urzędzie chłopca na posyłki. Gdybyś zarekomendowała Marcosa, na pewno by dostał tę pracę.

* * *

– A czym zajmuje się Blanca w Pałacu Królewskim?

– Przestań z tą Blancą, masz przecież mnie!

Elisa nie potrafi znieść, że Carlos myśli o jej byłej przyjaciółce, jak gdyby każda taka myśl oznaczała niewierność.

– Odpowiadaj na pytania! Co tam się dzieje?

– Powstało jakieś biuro do spraw pomagania jeńcom wojennym.

– Podobno widuje się ją często z pewnym mężczyzną. Zwłaszcza w soboty, w dzielnicy nędzy nad rzeką.

– A, z Manuelem Lopem. To nasz nauczyciel maszynopisania, teraz pracują razem.

– Tylko pracują? Pewnie pieprzą się jak króliki.

Czy Blanca i Carlos też pieprzyli się jak króliki? Czy stąd teraz te jego podejrzenia? Elisa się gryzie, ale nie ma odwagi wprost spytać o to kochanka. Na pewno wpadłby wtedy we wściekłość i kto wie, jak by się to skończyło. Niemniej na samą myśl, że Blanca mogła być z nim tak jak ona teraz, że mogła smakować jego pocałunki i jego pieczyoty, czuć go w środku, Elisa czuje, jak pali ją nienawiść.

Od kiedy Blanca zaczęła pracować w Pałacu, ona sama zaś spotyka się z Carlosem, właściwie się nie widują. Elisa nie ma też kontaktu z bratem, choć Gonzalo kilka razy listownie proponował jej spotkanie. Niejednokrotnie rozmawiała o jego problemie z Carlosem.

– Obrzydliwość... Brzydzą mnie tacy mężczyźni. I wiesz, co jest najgorsze? Że to właściwie nie jest przestępstwo, odpowiednie środki są podejmowane tylko wtedy, gdy wybuchnie skandal, a jeśli dwaj faceci robią takie rzeczy w domu, to nic im się nie dzieje... Obrzydliwość!

Opinia Carlosa uświadomiła Elisie, że dotąd oszukiwała się co do brata – i to z winy Blanki. Ojciec i ukochany mają słuszość. Jakże żałuje teraz tych okazji, kiedy kryła Gonzala, jeśli wychodził na spotkanie z tamtym Niemcem, który, dzięki Bogu, wrócił już do swojego kraju.

– Dokąd jedziemy? Do Escorialu?

– Nie. Mieszkanie na Magdaleny też się nada.

Teraz już w ogóle nie wyprawiają się do letniego domku Carlosa; nie zabierają prowiantu i nie spędzają razem całych dni. Jadą do tamtego mieszkania, robią to, co zwykle, a gdy Carlos ma dość, wracają do samochodu i rozstają się pod wejściem do Retiro. Jednakże Carlos nigdy więcej jej nie uderzył, tylko wtedy,

jeden raz – dawno i nieprawda. A ona coraz bardziej go kocha i coraz bardziej wierzy, że on, wbrew pozorom, kocha ją.

– W przyszłym tygodniu mam urodziny, myślałam, żeby przedstawić cię ojcu, ujawnić to, co nas łączy, przed światem...

– Oszalałaś?

– Od twojego niedoszłego ślubu minął prawie rok... To dużo czasu...

– Słuchaj, jeśli zamierzasz zatruwać mi dziś życie, odstawiam cię z powrotem.

Elisa milknie; głupio zrobiła, przypominając Carlosowi o ślubie. Czasem w swoim pragnieniu, by z nim być, zapomina, jak ciężko zniósł tamten wyskok Blanki. Z każdym dniem utwierdza się w przekonaniu, że okrucieństwo jej byłej przyjaciółki mocno go skrzywiło – dlatego bywa taki nieprzyjemny. Trzeba będzie dużo miłości, żeby zapomniał o swoim cierpieniu.

Gdy docierają na miejsce, idą od razu do sypialni. Chociaż miło byłoby posiedzieć razem w salonie, porozmawiać, napić się szampana, jak kiedyś w domku pod Escorialem...

– Rozbieraj się. Na co czekasz?

– Nie chciałbyś chwilę pogawędzić? Mógłbyś poopowiadać mi o swojej rodzinie, domu, interesach. Wciąż u ciebie nie byłam. Może jak twoi rodzice wyjadą na lato na północ...

– Rozbieraj się i przestań gadać głupoty.

Elisa już doskonale wie, co on lubi. Odwrócona tyłem ściąga ubranie, potem, całkiem naga, klęka przed Carlosem i zaczyna całować jego członek. Nauczyła się, w jakim rytmie powinna go ssać, i jest bardzo dumna, że potrafi to robić tak dobrze; że sprawia mu taką przyjemność.

– Strasznie tyjesz. Nie lubię grubasek. Może powinnaś mniej jeść.

Wcale nie tyje; jest okrągła, ale zawsze taka była. Przy czym, jeśli on sobie życzy, to ona schudnie, będzie mniej jadła.

Klęka na łóżku, twarzą do ściany, w pozycji „na pieska” – jak mawia Carlos – i znosi jego sztychy. Póki on nie osiągnie rozkoszy. Ona sama nigdy nic nie czuje – jeśli nie liczyć bólu przy pierwszych zbliżeniach i, później, satysfakcji, że jemu jest dobrze.

– Już się ubierasz? Pocałujesz mnie?

– Spieszę się.

– Ale ja nie chcę jeszcze jechać. Chciałabym, żebyś mnie przytulił i żebyśmy tak sobie poleżeli...

– Ubieraj się. Jeśli za pięć minut nie będziesz gotowa, wywlokę cię na ulicę nago.

* * *

Na tym odcinku frontu, gdzie przebywa Jean-Marie, od tygodni jest

spokojnie. Najbardziej doświadczeni żołnierze się martwią.

– To znaczy, że coś się święci. Albo szykuje się ofensywa z naszej strony, albo z tamtej, ale tak czy owak zapowiada się to niewesoło.

O ósmej wieczorem, zaraz po kolacji, zaczyna się bombardowanie. Dobrze chociaż, że się najedli, bo teraz dostawy zostaną wstrzymane. Jean-Marie szykuje się akurat do snu w schronie, ze słabą nadzieją, że nim się obudzi, sytuacja się uspokoi. Zwinięty w kłębek w swoim śpiworze leży bez ruchu, wystawiając głowę tylko po to, by zapalić. Póki trwają bombardowania, Niemcy nie zaatakują: wpakowaliby się pod własne pociski. Na razie oczyszczają pole, nim rzucą do ataku piechotę. Lepiej więc odpoczywać, bo szykuje się prawdziwa walka.

Do wszystkiego można się przyzwyczaić, nawet do huku bomb i niebezpieczeństwa. Jean-Marie i wielu jego kolegów śpią snem sprawiedliwych.

Rano, tuż przed świtem, bombardowania ustają. Ci, co przeżyli, powinni spodziewać się teraz ataku piechoty. Chociaż trzeba uważać: już niejednokrotnie bywało, że artyleria wroga dla zmyłki milknie, po czym, gdy Francuzi zajmują pozycje, zaczyna znowu. Weterani pierwszej bitwy pod Ypres – a ta jest druga – twierdzą, że Niemcy powtórzyli wtedy ten manewr trzy razy.

– Polowali na nas jak na karaluchy. Spokojnie, póki nie ma pewności, że nadchodzą, nie ma się co wychylać.

Jean-Marie słucha poleceń kaprala Dufoura. Czekając, pogryza ciastka. Przez chwilę jest tak spokojnie, że nawet zapala papierosa. Przed wojną nie palił, jest przekonany, że wdychanie dymu nie może być dobre dla zdrowia, bez względu na to, co się o tym mówi. Tyle że na froncie zdrowie schodzi na dalszy plan – przecież w każdej chwili można stracić życie. Kilka metrów dalej leży martwy kolega, który nie zdołał się schronić przed lecącymi z nieba pociskami: jeśli nawet nigdy nie palił – to co z tego? Tu wszystko zależy od szczęścia i od instynktu; śmierć może nadejść w najmniej spodziewanym momencie, a jeśli nadejdzie, on, Jean-Marie, nigdy nie pozna swego syna, który musiał się już chyba urodzić.

Jeszcze nim skończy papierosa, słyszy pierwsze wystrzały. Towarzysze obsługujący karabin maszynowy zaczęli omiatać pociskami rozciągającą się przed nimi ziemię niczyją. To znaczy, że *boches* nadciągają. Po raz pierwszy czeka go prawdziwa walka.

Kiedy pojawia się nieprzyjaciel, nie ma czasu na myślenie, choć później, owszem, przyjdą wyrzuty sumienia. Jean-Marie strzela do pierwszego Niemca, którego widzi; potem do następnego i do jeszcze jednego. Ten ostatni krzyczy: został ranny. Odcinek, na którym znajduje się Jean-Marie, i tak jest stosunkowo spokojny. Niecałe sto metrów na prawo strzały nie milkną ani na chwilę, słychać wyzwiska, okrzyki bólu; bardzo możliwe, że doszło tam do walki wręcz. Jean-Marie trzyma w pogotowiu szpadel, którym zabija szczury.

Próbuje się nie rozpraszać i strzela do wszystkiego, co się rusza. Jednakże

jakiś fryc okazał się sprytniejszy albo po prostu wyjątkowo cichy i wali mu się na głowę do okopu. Tyle że popełnił błąd: skoro podkradł się tak blisko, powinien był rzucić granat i wyeliminować wroga, a tak – dał Jeanowi-Marie szansę.

To prawie dzieciak, nawet nie dorósł do swojego munduru. Usiłuje zaatakować bagnetem, innym niż używane przez Francuzów, z ząbkowanym z jednej strony ostrzem. W wąskim rowie trudno się swobodnie posługiwać tak długą bronią; Jean-Marie zdążył sięgnąć po swój szpadel. Walczy o życie, to już nie zabawa: za kilka sekund któryś z nich dwóch będzie martwy.

Blacha szpada jest tak wyostrzona, że można by się nią golić. Jean-Marie celuje w brzuch Niemca i choć tamten się broni, zadaje mu głębokie cięcie. Nie odezwali się do siebie ani słowem.

Znów macha szpadem i tym razem rani przeciwnika w nogę: krew wypływa rytmicznymi tryśnięciami; może miał szczęście i trafił w tętnicę. Niemiec upadł na ziemię, odruchowo chwycił się za udo. To jego kolejny błąd. Jean-Marie wyciąga pistolet. Niewiele myśląc, przyciska lufę do piersi tamtego i naciska spust. Chłopak umiera, a on ponownie łapie karabin i wraca na swoją pozycję. Przez następną godzinę strzela jeszcze dwa czy trzy razy, choć nie jest pewien, czy z prawdziwej konieczności, czy z nerwów. Od czasu do czasu spogląda na twarz martwego Niemca. Nic do niego nie miał, obaj tylko wypełniali rozkazy. Strzały są coraz rzadsze, zamiast nich słychać jęki rannych: atak został odparty. Zgodnie z decyzją kogoś w Berlinie zginęło mnóstwo ludzi – i na darmo. O śmierci kolejnych przesądzi pewnie ktoś w Paryżu.

Kapral Dufour zbliża się w towarzystwie żołnierza, który ma zastąpić Jeana-Marie. Kapral patrzy na trupa.

– Idź do schronu, dostaniesz jeść. Widzę, że nieźle sobie poradziłeś z tym frycem.

Sięga po pistolet zabitego, potem wyjmuje z jego kieszeni jakieś ciastka i trochę tytoniu. Ogląda bagneta.

– Ale draństwo! Ząbkowane ostrze!

I co z tego? Przecież chodzi o to, by zabijać, więc im skuteczniejsze narzędzie, tym lepiej. Dufour zapala jednego z odebranych zabitemu papierosów; drugim częstuje Jeana-Marie.

– Wolę nasze.

W kieszeni zabitego znajdują też fotografię dziewczyny, podobnie jak on bardzo młodej: ma jasne włosy i wielkie zęby, jest brzydka. Może to jego narzeczona, może siostra. Jean-Marie chowa zdjęcie za pazuchę.

– Chodźmy do schronu, jestem głodny.

Zwłoki pierwszego zabitego przezeń człowieka zostają z tyłu; oby je usunięto, nim zaczną cuchnąć.

* * *

– Nie masz prawa do tych pieniędzy. Mój mąż zostawił je dla mnie!

Antonio Carmona, brat Carmen, nie zgadza się na jej wyprawę do Madrytu; za absurdalną uważa nadzieję na to, że w ambasadzie mają więcej informacji niż we francuskim konsulacie w Sewilli.

– Nie chcę ich przecież dla siebie. Ale nie pozwolę ci jechać. Nie masz czego szukać w Madrycie, twoje miejsce jest przy rodzinie.

W Hiszpanii sytuacja kobiet, którym prawie niczego nie wolno bez zgody męża czy ojca, w ogóle wygląda niewesoło, a Cygankom jest jeszcze trudniej niż innym. W ich społeczności nieposłuszeństwa wobec mężczyzny nawet nie bierze się w rachubę. Skoro Antonio powiedział, że nie da siostrze pieniędzy ani pozwolenia na podróż do stolicy, to koniec sprawy, nikt nie przyzna Carmen racji.

– Te pieniądze są moje!

Carmen, żyjąc z Jeanem-Marie, przywykła do myśli, że z jej opinią również należy się liczyć, a jej wola ma takie samo znaczenie jak wola innych. Nie chce wracać do poprzedniej niewoli; godzić się na to, by jej brat robił, co mu się spodoba, podobnie jak dawniej ojciec.

– Jesteś złodziejem!

Antonio patrzy na nią surowo, ale i z zaskoczeniem. Potem wymierza jej policzek, od którego Carmen upada na podłogę. Matka już biegnie, by zasłonić córkę przed kolejnymi ciosami.

– Jeśli mąż nie nauczył cię rozumu, to ja się tym zajmę.

Antonio zdjął skórzany pasek i trzaska nim, tnąc powietrze.

– Przepróż brata, zaraz przepróż.

Matka pragnie oszczędzić Carmen bólu, jest przerażona jej słowami. Sama nigdy nie powiedziałaaby czegoś takiego głowie rodziny. Wspólnie z żoną Antonia uśmierzają jego gniew i zapobiegają biciu.

Juan zaczął tymczasem płakać i Carmen idzie go nakarmić. Podając mu pierś, myśli o swoim postanowieniu. Nikt nie będzie jej tak traktował: ani brat, ani nikt inny.

* * *

– Od dawna nie graliśmy w tenisa. Może jakiś meczek w najbliższą sobotę lub niedzielę?

Obowiązki związane z Urzędem do spraw Ochrony Jeńców sprawiły, że Álvaro Giner zmienił styl życia, zrezygnował z rozrywek, które dawniej dzielił z królem.

– Jak wam idzie praca?

– Wasza Królewska Mość wie, że nie jest łatwo. Ale cały ten wysiłek się opłaci. Każdy odnaleziony jeńiec to dla nas wielka radość.

– Właśnie chciałem z tobą o tym pomówić. Trzeba rozwijać naszą działalność, nie możemy się ograniczać do przekazywania listów rodzinom. Trzeba

zrobić coś więcej... Przeczytałem ten list, który dostałem od ciebie wczoraj. Od tej kobiety, która chce, by zwrócić jej rzeczy męża.

Chodzi o Francuzkę, która wcześniej błagała o informacje, a gdy się okazało, że jej mąż zginął, zwróciła się do hiszpańskiego króla z prośbą, by pomógł jej odzyskać cenne pamiątki: obrączkę i zdjęcia.

– Czarno to widzę, Wasza Królewska Mość. Dostajemy ponad trzysta listów dziennie, robimy, co w naszej mocy.

– Ale to nie dosyć, Álvaro. Zrozum mnie dobrze: jestem bardzo dumny z waszej pracy i też się cieszę każdym waszym sukcesem, niemniej to jeszcze nie dosyć. A teraz koniec gadania. Ja serwuję pierwszy, ostatecznie jestem królem.

Z każdym dniem coraz lepiej widać, że dobrze się stało, iż Hiszpania nie przystąpiła do wojny. Za granicą śmierć i zniszczenie szerzą się na niespotykaną wcześniej skalę. Europa długo się nie podniesie z tej katastrofy, straty w ludziach idą już w setki tysięcy.

– Wiesz, ile pocisków artyleryjskich przypadało u nas na jedno działo, gdy wybuchła wojna? Trzydzieści. A u Francuzów? Trzy tysiące. I nawet oni nie są w stanie sprostać pod tym względem Niemcom. Tylko pomyśl, co by się stało, gdybyśmy usłuchali tych umundurowanych mędrków, którzy chcieli najeżdżać Portugalie! Przecież zostalibyśmy wymazani z mapy!

Mecz skończył się, jak zwykle, wiktoria króla.

– Tylko raz byłem o krok od zwycięstwa, ale akurat wtedy wybuchła wojna...

Obaj panowie piją lemoniadę, żywo gawędząc.

– Jak tam ta mała Alerces? Nie sprawia kłopotów?

– Na razie świetnie się spisuje, Wasza Królewska Mość. Doskonale spełnia swoje obowiązki w biurze.

– No proszę, bardzo mnie cieszy, że jako jej szef jesteś z niej zadowolony, ale zdaje się, że jeszcze nie zauważyłeś najważniejszego: to dla ciebie doskonała partia. Panna jest ładna, inteligentna, z dobrej rodziny.

– Po tamtym numerze, który wycięła przed ołtarzem, nie byłbym w stanie się nią w ten sposób zainteresować.

Álvaro Giner kłamie. Coraz bardziej podoba mu się ta dziewczyna, która haruje naprawdę niezamordowanie i zawsze ma czas, by przeczytać jeszcze jeden list, poszukać na listach jeszcze jednego nazwiska. Uwielbia ton jej głosu oznajmiającego dobrą nowinę; radosny błysk jej oczu, gdy odnajduje się kolejny jeńiec. Postanowił jednak, że ich kontakty pozostaną ściśle zawodowe, przynajmniej póki trwa wojna, a oni razem pracują.

– Jakież nowe rozrywki na mieście? Zaniedbujesz mnie ostatnio.

– Słyszałem, że ostatnio dawali coś dobrego na ulicy León. W jakimś mieszkaniu przy placu Mayor wyświetlają filmy pornograficzne, ale te same co

zwykle, francuskie.

– Któregoś dnia będziemy musieli zacząć kręcić własne. Wyobrażasz to sobie, Álvaro? Filmy z monarszą marką...

Śmieją się obaj.

– Wie Wasza Królewska Mość, kto podobno kupił sobie kamerę i robi pierwsze próby? Markiz Albero w Sewilli.

– A to stary świntuch... Jeszcze kiedyś zawału przy tym dostanie.

– Na razie ogranicza się do artystycznego filmowania nagości, ale tylko patrzeć, jak zmieni gatunek.

– Trzeba by go poprosić, żeby zaprezentował nam coś w Pałacu...

Stopniowo nabierają wiatru w żagle: czytają listy, klasyfikują je, rozwiązują problemy... Zdołali też wreszcie uniezależnić się od Ministerstwa Wojny. Po kilku kolejnych pyskówkach z urzędnikiem uparcie odmawiającym im dostępu do spisów jeńców, Álvaro, dotrzymując słowa, załatwił jego przeniesienie do Maroka. Teraz Marcos, nowy chłopak na posyłki, codziennie biega po ambasadach państw zaangażowanych w wojnę i aktualizuje spisy bezpośrednio u źródła. Pracownicy Urzędu do spraw Ochrony Jeńców, kierowani przez Blancę i Manuela, zajmują się korespondencją z rodzinami żołnierzy, natomiast Giner, jako dyrektor, załatwia sprawy wymagające wpływów na szczytach władzy. Manuel stara się naciskać na niego przy każdej sposobności.

– Większość listów od jeńców jest zatrzymywana przez cenzurę. Żadne z walczących państw nie chce, by tą drogą przedostawały się do wroga strategicznie istotne informacje, toteż przed wysłaniem każdy list ma być pod tym kątem sprawdzony, tyle że przesyłek są tysiące, a osób oddelegowanych do ich czytania nie ma zbyt wielu. Że już nie wspomnę o uniemożliwiającym jakkolwiek komunikację analfabetyzmie samych żołnierzy, nie francuskich czy niemieckich, ale choćby rosyjskich...

– Na to akurat nic nie poradzimy. Król i tak robi, co może.

– Ale trzeba podjąć jakieś działania! Może gdyby udało się przekonać rządy, by powierzyły prace cenzorskie cywilnym ochotnikom...?

Giner nie bardzo wierzy w szansę takiego rozwiązania.

– Bądźmy realistami: przecież to by była woda na młyn różnych szpiegów. Lepiej skupmy się na tym, co jesteśmy w stanie zrobić.

Manuel załamuje ręce z bezsilności, lecz Blanca rozumie dyrektora. Szybko go polubiła i ceni sobie rozmowy, jakie prowadzą na temat rozwoju wypadków. Odnosi wrażenie, że są do siebie podobni: oboje zagłębiają się w obcy sobie świat z zamiarem jego naprawienia.

Álvaro, chociaż był na wojnie w Maroku, gdzie zresztą naoglądał się

okropności, o których nigdy nie mówi, teraz odkrywa coś, czego wcześniej nie znał: radość z niesienia pomocy innym. Bardzo się cieszy, gdy mogą komuś przekazać dobrą wieść; skwapliwie podpisuje każdy dokument, który może coś przyspieszyć; nie wzbrania się nawet przed zajęciem tak zwyczajnym jak czytanie poszczególnych listów – z Niemiec, bo niemiecki zna doskonale.

– Po dyplomie wyjechałem do Berlina. Wprawdzie medycyna nigdy mnie specjalnie nie pociągała, ale tak czy owak studiowałem ją tam jeszcze dodatkowe dwa lata.

– I nie życzy pan Niemcom zwycięstwa?

– Na początku wojny byłem po ich stronie, lecz teraz skłaniam się w stronę neutralności. A ty?

Blanca, jeśli chodzi o wojnę, niczego nie jest już pewna.

– Myślę podobnie jak pan. Chociaż nie: chciałabym, żeby zwyciężyły państwa ententy. A przede wszystkim: żeby to jak najszybciej się skończyło. W domu jesteśmy podzieleni, jak cała Hiszpania: papa i ja sprzyjamy entencie, a matka Niemcom.

– To niebezpieczne...

Don Jaime, jak wielu innych, po prostu czuje większą więź z Anglikami niż z Niemcami. Właśnie na placówce w Londynie odkrył w sobie ogrodniczą pasję, a takich rzeczy się nie zapomina.

– Jak ci idzie w pracy?

– Bardzo dobrze, strasznie się cieszę, że król o mnie pomyślał.

– Szkoda, że nie słyszałaś, jak matka rozmawiała wczoraj o tobie z markizą Estero. Jest taka dumna...

– Mama złagodniała, ale nie ze względu na moją pracę, tylko z powodu Alicii. Najwyraźniej potrzebowała tego: zostać choćby przyszywaną babcią.

– Owszem, to dziecko da się lubić. Ale wasza praca w tym urzędzie jest naprawdę godna podziwu. Wreszcie coś się królowi udało.

– Wreszcie...?

– Sądzę, że don Alfonso nie ma złej woli, ale popełnił wiele błędów. Jeśli się nie zreflektuje, skończy na wygnaniu.

– Tak myślisz?

– Tak. Podobnie jak car Mikołaj, jak kajzer... Powinni wziąć przykład z monarchii brytyjskiej: usunąć się na bok, oddać władzę w ręce narodu. Od tego zależy ich przetrwanie.

Spoglądając wstecz, Blanca dochodzi do wniosku, że bardzo się zmieniła od dnia swego nieudanego ślubu i że, wbrew oczekiwaniom, jest teraz szczęśliwa. Znacznie szczęśliwsza niż wcześniej. Od tamtej pory minął już rok i nowa wiosna zatarła ślady wyrządzonych wtedy w ogrodzie zniszczeń. Choć don Jaime uważa

inaczej.

– Ten ogród już nigdy nie będzie taki jak kiedyś. Ani ty, córeczko. Może wygląda teraz nawet ładniej, lecz niektóre rośliny nie odrosną. One też mają duszę, dzielą z nami przestrzeń, nie istnieją wyłącznie dla naszej przyjemności. Ale o czym ja mówię! Zwłaszcza teraz, gdy połowa świata usiłuje zniszczyć drugą połowę...

* * *

– Czy to byli wojskowi?

Gonzalo i Benito rozmawiali ze wszystkimi poszkodowanymi. Z zeznań niezbitnie wynika, że tak, chodzi o wojskowych; jeden z nich jest sierżantem, a poruszają się zielonym samochodem z barcelońską rejestracją.

Ramírez, redaktor naczelny „El Noticiero de Madrid”, zaleca ostrożność.

– Nie życzę sobie problemów z Ministerstwem Wojny. Potrzebuję nazwisk. Nie będziemy oskarżać sierżanta, tylko konkretnego człowieka, który, tak się składa, jest akurat sierżantem. No i ustalcie przyczynę tych ataków, inaczej trudno będzie tę historię sprzedać.

Gonzalo zastanawia się, czy nie powinien już teraz zdradzić owej przyczyny, nawet jeśli przy okazji wyjdą na jaw również jego upodobania i motywy.

Sprawa stoi w miejscu, gdy pewnego dnia Benito zjawia się cały rozgorączkowany.

– Ten zielony samochód na barcelońskich blachach to citroën należący do pułkownika Sergia Galinda Gómeza z Monteleón. No, pogratuluj mi, rzecz nie była łatwa do ustalenia.

Gonzalo nie przejawia radości, jakiej spodziewał się jego kolega.

– Co się dzieje?

– Te koszary podlegają mojemu ojcu.

Tak czy owak trzeba badać sprawę dalej: ustalić, kim jest pułkownik Galindo Gómez i czy miał coś wspólnego z pobiciami. Dla Gonzala jest też ważne, by sprawdzić, czy jego ojciec orientuje się w pozaregulaminowej działalności swoich podwładnych.

– Pułkowniku, wiemy, że pański samochód był kilkakrotnie użyty do bezprawnych celów.

– Kim panowie są?

– Dziennikarzami. Proszę się nie niepokoić. Wiemy również, że pan nie brał udziału w tych akcjach, wszyscy ich uczestnicy byli młodzi. Jeśli nie chce pan problemów, powinien pan z nami porozmawiać.

Nie poszli do koszar, żeby nie spotkać się z generałem Fuentesem, tylko do mieszkania pułkownika Galinda. To niezwykle luksusowe mieszkanie, nawet jak na oficera armii. Niemal wszyscy wysocy rangą wojskowi żyją lepiej, niż

pozwalają na to ich oficjalne dochody. Czerpią zyski z każdego możliwego źródła: zarabiają na żywności przeznaczonej dla żołnierzy, na ich pracy, na amunicji, którą sprzedaje się powtórnie, zamiast używać jej do ćwiczeń.

Drzwi otworzyła im młoda, bardzo urodziwa i elegancka kobieta. Myśleli, że to córka pułkownika, a okazała się jego żoną. Pokojówka podała pyszną kawę. Wygląda na to, że pułkownik ma zbyt wiele do stracenia, by ryzykować krycie szeregowców zabawiających się w wymierzanie madrytczykom „sprawiedliwości”.

– Chyba nie chce pan nadstawiać głowy, bo pożyczył pan jakimś sierżantom auto.

Pułkownik nie chce. Szybko podaje im nazwiska i daty.

– Twój ojciec chce cię widzieć. Czeka na zewnątrz.

– Mój ojciec...?

Generał Fuentes stawiał się w redakcji „El Noticiero de Madrid” w mundurze i pod bronią.

– Wydawało mi się, że nie życzysz sobie więcej ze mną rozmawiać.

– Nie pozwolę, żebyś brukał nasze nazwisko! Rozmawiałem z pułkownikiem Galindem.

Gonzalo nie zamierza nigdzie iść z ojcem. Dobrze pamięta wycelowany w siebie rewolwer i nie wątpi, że tym razem generał załadowałby cały magazynek.

– Czyli wiedziałeś, co wyrabiają twoi ludzie? To od nich usłyszałeś, że mnie sprali, bo bywam w lokalu dla mężczyzn? Może zresztą sam ich o to poprosiłeś, żeby nauczyć mnie rozumu...?

– Głupstwa opowiadasz.

– Artykuł już się pisze. Ci faceci wylecą z armii. A jeśli mi się powiedzie, to ty również.

– Nie pozwalam ci szargać mojego nazwiska!

– Nic się nie martw. Na pewno nie dam rady go zszargać tak bardzo jak ty!

Ich krzyki zwróciły powszechną uwagę. Redaktorzy, w tym naczelny, wyglądają, co się dzieje. Generał wrzeszczy:

– Zamknę wam ten szmatławiec! Wiecie, kto wtedy oberwał? Homosie! Mojego syna też dlatego napadli. Bo jest zbrojcem!

Odchodzi, ciskając groźby – przeciw gazecie, jej szefostwu i swojemu synowi. Redaktorzy uspokajają Gonzala.

– Jesteśmy gotowi opublikować ten materiał, ale jeśli potrzebuje pan czasu do namysłu, nie ma sprawy. Może nie chce się pan narażać na nieuniknione konsekwencje takiego artykułu. Nie wspomnimy oczywiście o orientacji seksualnej ofiar tych napadów, ale czytelnicy umięją czytać między wierszami.

– Nie ma się nad czym zastanawiać. Chcę, żeby to się ukazało, choćbym miał stracić posadę.

– Z powodu oskarżeń pańskiego ojca...? Nie, skąd. Nam trzeba dobrych dziennikarzy, bez względu na ich upodobania i dobre lub złe prowadzenie się. A pan jest dobrym dziennikarzem. Pańskie życie prywatne nas nie interesuje. Nie chcemy też za niczym agitować, po prostu naświetlamy ponurą sprawę. Proszę siadać do tego artykułu. I gratulacje z powodu wyjaśnienia zagadki.

* * *

– Chodź ze mną, Blanco, na kawę albo na spacer, bo już nie mogę czytać tych listów.

Blanca i Manuel od czasu do czasu robią sobie chwilę wolnego. Wolno im przechadzać się po wspaniałych ogrodach Campo del Moro i niekiedy, choć rzadko, korzystają z tej możliwości. Blanca pracuje w biurze najpilniej ze wszystkich, nieczęsto pozwala sobie na odpoczynek, lecz jednocześnie zawsze tryska humorem, wspiera innych dobrym słowem i uśmiechem. Od kiedy zatrudniono ją w Pałacu, bardzo się zmieniła.

– Dopiero teraz widzę, jak puste było wcześniej moje życie.

– Nie było puste. Przeciwnie, było pełne tych głupstw, które zajmują ludzi z twojej sfery – żartuje Manuel.

– Żeby żyć z zamkniętymi na wszystko oczami tylko dlatego, że przyszło się na świat w bogatej, utytułowanej rodzinie? Co to to nie. To my, ludzie uprzywilejowani, powinniśmy szczególnie dbać o społeczeństwo, w którym żyjemy.

– Gdybyż tak było, Blanco, gdybyż tak było...

Dramatyczne historie, z którymi styka się teraz na co dzień, w połączeniu z wizytami w Las Injurias oraz obserwacją Alicii i Marcosa otworzyły jej oczy znacznie bardziej niż nieudane narzeczeństwo. Blanca sama nie rozumie, jak mogła być kiedyś taka, jaka była.

– Jak się miewa Alicia?

– Dobrze, zdrowieje. Poza tym moi rodzice ją uwielbiają.

– Matka ją odwiedza?

– Tak, codziennie. Są do siebie bardzo przywiązane... Ojciec dowiedział się, że biedna Ramona musi chodzić tak daleko piechotą, i teraz daje jej pieniądze na transport.

– Dobrzy z was ludzie. Szkoda, że nie każdy markiz jest taki.

Kiedy Alicię wypisano ze szpitala, Manuel porozmawiał z Murcjanką i we dwoje przekonali matkę dziewczynki, by się zgodziła na rekonwalescencję małej u Blanki. Ramona długo się wahała.

– Zabiorą mi córkę.

– Nikt ci jej nie zabierze. Ale jeśli będziesz ją trzymać tutaj, w tych warunkach, stracisz ją z pewnością.

– To tylko do czasu, aż wyzdrowieje. Będzie miała dobrą opiekę,

wyżywienie. No i możesz ją odwiedzać, kiedy zechcesz.

– Stracę ją tak czy owak. Nie będzie chciała wracać z pałacu w taką nędzę.

Może to i prawda: u markizostwa Alerces Alicia śpi w czystej pościeli, nie marznie, jest najedzona, na podwieczorek dostaje słodycze, bawi się dawnymi lalkami Blanki, słucha bajek czytanych jej przed snem, a don Jaime, bardzo zabawny starszy pan, dużo opowiada jej o swoich kwiatach.

– Myślałam, że moja matka na widok dziecka z Las Injurias pod swoim dachem podniesie straszne larum. Wiesz, że od dawna uważa mnie za wariatkę i prawie ze mną nie rozmawia. Ale nie, wydaje się teraz szczęśliwa. Alicia popołudniami dotrzymuje jej towarzystwa: matka szydełkuje, a mała siedzi obok i tak spędzają całe godziny, bez słowa. Ba, potem odbywa się jeszcze czytanie na dobranoc, coś, czego nawet ja w dzieciństwie nie zaznałam.

Co do Marcosa – zaczął pracować w urzędzie: załatwia drobne sprawy, biega z pocztą, jest na każde zawołanie.

– Trzeba uważać, żeby czegoś nie zwinął.

– Nie ufasz własnemu protegowanemu?

– Nie ufam. Nikt go nie nauczył, że nie wolno kraść. Jak ma coś pod ręką, to sobie to bierze i tyle.

* * *

– Potrzebuję pieniędzy.

Carmen zachowała wizytówkę markiza Albero, starszego pana, który kupił od Jeana-Marie jej akt przed lustrem. Dzięki temu odnalazła pałacyk w dzielnicy Santa Cruz, nieopodal katedry. Po pertraktacjach z trzema służącymi wreszcie stanęła przed gospodarzem.

– Chodź.

Markiz zaprowadził ją do wielkiej pustej sali. Na jednej ze ścian wisi tu odosobniony obraz: ten akt przed lustrem, namalowany przez Jeana-Marie wkrótce po tym, jak się z Carmen poznali. Markiz dał za niego trzy tysiące peset.

– To arcydzieło. Prawdziwe arcydzieło.

Staruszek wydaje się naprawdę zachwycony. Mimo że ma obok modelkę, patrzy wyłącznie na płótno. Carmen jest pod wrażeniem: taki wielki pokój tylko dla niej.

– Zapłaciłem słono, ale było warto. Niech cię obejrzę. Rozbierz się.

Carmen spełnia polecenie, choć jeszcze się nie dogadali co do ceny. Szybko doszła do siebie po porodzie, niemal odzyskała dawną figurę i wie, że jest niezwykle piękna. Markiz ją ogląda, każe się jej obrócić, studiuje jej twarz, ciało...

– Utyłaś.

– Urodziłam syna.

– Ale to ty, nie ma wątpliwości.

– Tak, jestem żoną Jeana-Marie, dlatego dałam się mu namalować.

- On jeszcze żyje?
- Mam taką nadzieję. Jest na froncie. Nie pisze.
- Ubierz się.

Carmen robi, co jej każą.

- Mogę ci dobrze zapłacić. Tysiąc peset dziennie.

- A co miałabym robić?

– Pozować nago. Nagram cię kamerą. To tak samo jak przy portrecie, tylko w ruchu.

Carmen nie przypuszczała, że aż tylu ludzi trzeba do nagrania filmu. Myślała, że będzie sama z markizem, ale stary tylko sobie usiadł, a tymczasem pół tuzina innych mężczyzn czeka, aż ona zdejmie okrywający ją szlafrok. Dwóch obsługuje wielką jak szafa kamerę, kolejnych dwóch ustawia buchające gorącym lampy, pozostali jedynie się gapią. Wielu widziało jej ciało na obrazie, ale wyłącznie dwóch – na żywo: Jean-Marie i markiz, tamtego dnia, gdy przyszła tu do niego po raz pierwszy. Wstydzi się, lecz jest zdeterminowana: za tysiąc peset spokojnie wyprawi się z synem do Madrytu. I od razu pójdzie do ambasady Francji, by dowiedzieć się czegoś o miejscu pobytu i stanie męża.

Nagranie odbywa się w pałacyku i przyległym do niego ogrodzie w dzielnicy Santa Cruz. Carmen ma zdjąć jedwabny szlafrok, który przed chwilą dostała, po czym pokręci się nago po salonie, wypije kieliszek szampana podany jej przez lokaja, wyjdzie do ogrodu i zanurzy się w fontannie, pluskając się w strumieniu wody spływającym z pyska wielkiej kamiennej ryby. Potem znów podejdzie lokaj – tym razem z ręcznikiem, w który ona zaraz się owinie. I tyle, to wszystko. Uprzedzono ją, że nagranie trzeba będzie kilkakrotnie powtórzyć, być może przerywając w połowie i kręcąc poszczególne sceny osobno, i że potrwa to cały dzień. Co znaczy, że po zdjęciu szlafroka spędzi wiele godzin nago na oczach tego półtuzina obcych mężczyzn. Ale wszystko jedno: zarobi przecież tysiąc peset.

Po tym, jak pierwszy raz w życiu zabił człowieka – tamtego Niemca, który wdarł się do jego okopu i zginął od ciosów szpadlem oraz strzału z bliska – Jean-Marie przez parę nocy nie spał zbyt dobrze. Przypominał sobie twarz tego dzieciaka, jego strach, gdy szpadel rozciął mu brzuch, chwilę, gdy sam, własnoręcznie, dobijał go z pistoletu. Chłopak musiał wiedzieć, że już nie żyje, jeszcze nim umarł, i może zastanawiał się wtedy, przez ten krótki moment, czemu właściwie nie rzucił granatu, zamiast skazywać się na walkę wręcz. Byle pomyłka, która w normalnych warunkach kosztowałaby człowieka najwyżej trochę przykrości, tutaj przesądzała o jego śmierci. Jean-Marie wielokrotnie oglądał znaną w kieszeni trupa fotografię jakiejś niemieckiej dziewczyny. Czy ona w ogóle się dowie? Czy Carmen by się dowiedziała, gdyby to on zginął? Jednakże

na wojnie wszystko dzieje się szybciej niż zwykle: trzeciego wieczoru wyrzucił zdjęcie, zasnął jak kamień i przestał się gryźć. Cóż, na wojnie takie rzeczy się zdarzają, a jedno doświadczenie goni drugie.

Po swoim wyczynie zyskał w każdym razie status weterana. Kapral Dufour opowiedział wszystkim o szpadlu i wielu szczerze gratulowało koledze. Jeden z żołnierzy, Frédéric, paryski krawiec przebywający na froncie trzy miesiące dłużej niż Jean-Marie, od określenia „weteran” woli jednak inne: nazywa ich okopowymi szczurami. Twierdzi, że przestali być ludźmi, zamienili się w szczury nawykłe do śmierci i jej smrodu: jedzą, piją, palą i śpią w jej oparach, spodziewając się, że sami mogą umrzeć w każdej chwili.

O takich właśnie sprawach Jean-Marie opowiada Carmen w liście, którego nigdy nie zdoła wysłać, ale do którego wraca, jeśli ma choć trochę czasu, zwłaszcza w dniach odpoczynku na tyłach.

Wtedy pisze i maluje. Pewien oficer załatwił mu raz aż tydzień wolnego w zamian za wykonanie portretu jego kochanki, angielskiej pielęgniarki-wolontariuszki. Przez ten tydzień zginęli wszyscy jego towarzysze, łącznie z Frédériciem i kapralem Dufourem – dowództwo zarządziło nagłą ofensywę. Słyszając o tym, nic nie poczuł, mimo propozycji nie chciał się nawet napić: cóż, przeżył jako jedyny szczur ze swego stada, teraz przydzielą go gdzie indziej. I tyle.

* * *

– Uważaj na swojego ojca.

Najnowszy numer „El Noticiero de Madrid” już opuścił drukarnię, zaraz trafi do prenumeratorów, kiosków i gazeciarzy, którzy będą go zachwalać na ulicach centrum miasta. Na pierwszą stronę trafił tym razem oskarżycielski artykuł wymierzony w grupę podoficerów i szeregowców. Tekst nie podaje tylko jednej informacji, którą jego autor świadomie zataił: jaka była przyczyna dokonywanych przez tę grupę napaści? Część czytelników pomyśli, że chodziło o napady rabunkowe, część w ogóle nie zauważy przemilczenia, wielu jednak doda dwa do dwóch i...

W artykule wymienione są nazwiska bandytów oraz daty i miejsca, w których uderzali, opisuje się sposób ich działania, ich koszary oraz zwierzchnika: skłonnego przymykać oko na postęпки podwładnych generała Fuentesesa. Bardzo zresztą możliwe, że winni bynajmniej nie zostaną wydalenii z armii. Najprawdopodobniej jak zwykle, ktoś zatuszuje skandal, ale w każdym razie, po karnym przeniesieniu do innej jednostki, tamci nie będą mogli dalej uprawiać swego procederu.

Tylko jeden z poszkodowanych ujawnia swoją tożsamość: Gonzalo Fuentes, autor tekstu. Ci, którzy potrafią czytać między linijkami, natychmiast domyślą się jego orientacji seksualnej.

– Jesteś pewien, że chcesz się podpisać pełnym nazwiskiem? Mógłbyś dać jedynie inicjały.

– Niech zostanie, jak jest. Ojciec zawsze oskarżał mnie o tchórzostwo. Teraz się przekona, że nie miał racji. Że potrafię stanąć na wysokości zadania.

Naczelnny wyjątkowo go dziś chwali:

– To dobry artykuł. Nie musieliśmy w nim zmienić nawet jednego przecinka.

W ciągu jakiejś godziny najnowszy numer gazety trafia do koszar, do Ministerstwa Wojny, do domów oskarżonych wojskowych i w ręce generała Fuentesesa.

– Widziałaś, co wysmażył twój brat? To niegodne! Nie chcę o nim więcej w tym domu słyszeć!

Elisa nie ma głowy do takich rzeczy; martwi się, bardzo się martwi zupełnie innymi sprawami.

Jeszcze kilka miesięcy temu Gonzalo przejmowałby się ojcem i siostrą. Teraz już się nie przejmuje. To nie jest jego rodzina: ani generał, ani najwyraźniej – niestety – Elisa. To dwoje obcych mu ludzi.

Dowiedział się już, że Elisa widuje się z Carlosem. Gdyby zechciała się z nim spotkać, jak wielokrotnie proponował, mógłby ją przed nim przestrzec. No ale nie chciała. Jedyne, co mu pozostało z dawnego życia, to nazwisko, które chętnie by zmienił, jeśli byłoby to możliwe, oraz zdjęcie matki zabrane z domu, w którym spędził dzieciństwo i młodość. I nic więcej.

* * *

Ramírez, redaktor naczelnny, jest gotów ciągnąć ich dziennikarskie śledztwo. Benito ma się zająć jego dalszym rozwojem, Gonzalo dostanie nagrodę za dotychczasowe osiągnięcia.

– Paryż? Jasne, że chcę tam jechać!

Poprzedni korespondent gazety we francuskiej stolicy, Raúl Coronado, dostał wypowiedzenie i ktoś musi go zastąpić. Gonzalo, choć pracuje w „El Noticiero de Madrid” niedługo, cieszy się zaufaniem szefostwa.

– Niech pan weźmie wolne na sobotę i niedzielę. Musi pan to przemyśleć.

– Wszystko mam przemyślane.

– To porozmawiam z radą nadzorczą, zobaczymy, czy będzie zgoda.

* * *

– Jesteś nam winny pieniądze i nie płacisz. Co mamy zrobić?

Raúl Coronado wiedział, że na długo się nie ukryje; że prędzej czy później go znajdą i to nastąpi.

– To przez tę wojnę. Dlatego pensja nie dotarła. Ale lada dzień...

– Nie lubimy oszustów.

– Dwa dni... Tylko tyle potrzebuję...

Pani Li, madame Li, jest Chinką, lecz jej współpracownicy to głównie

Francuzi. Podobno wynajmuje też Chińczyków, ale tylko do składania ostatnich wizyt – tych, które nie służą odzyskaniu pieniędzy, lecz jedynie pokazaniu innym dłużnikom, że płacić trzeba. Raúl to wiedział, a mimo wszystko dalej u niej bywał i zadłużał się coraz bardziej.

Gdy przybył do Paryża, palaczy opium nikt nie ścigał, wielu paliło i za rozsądną cenę, dopiero potem pojawiły się zakazy i przetrwali wyłącznie nieliczni nielegalni dostarczyciele. Pani Li jest najważniejszym, najlepiej zaopatrzonym z nich, zaopatrującym większość zainteresowanych Chińczyków w Paryżu. Po delegalizacji ceny skoczyły dziesięciokrotnie. Właśnie wtedy zaczęły się kłopoty Coronada.

– Masz dwa dni, pojutrze stawisz się u pani Li z kasą. Jeśli nie, sami cię znajdziemy. Wiesz, co to znaczy.

To znaczy, że pojawią się legendarni Chińczycy. Ale go nie znajdą – po tych dwóch dniach. Bo on wprawdzie nie zdobędzie pieniędzy, lecz zniknie: ucieknie. Jeszcze tego samego wieczoru wsiądzie w pociąg do Barcelony. Jeśli będą chcieli go dostać, będą musieli wybrać się w podróż.

Ma mało czasu i dużo do zrobienia. Za kilka dni zjawi się w Paryżu jego następca, by zająć opłacane przez gazetę mieszkanie przy ulicy Sommerard. Raúl słyszał, że najprawdopodobniej będzie to chłopak niedoświadczony, lecz tak samo zdolny jak on kiedyś – niejaki Gonzalo Fuentes.

Zostawi w mieszkaniu swoje notatki, jak również zdjęcia, które robił sobie – jedno na rok – od przyjazdu do Paryża. Sam widzi, jak się zmienił, i wie, co pomyślałby o nich w czasie, zanim znalazł się w orbicie madame Li: że ma przed sobą człowieka z bogatą historią. A zatem jeśli ten cały Gonzalo Fuentes jest naprawdę dobrym dziennikarzem, podobnym do niego z przeszłości, zaciekawia się, uporządkuje jego papiery i wyda je – bo on, Raúl, nie ma już na to siły.

No i musi pożegnać się z Perlą: nie pomogła mu wprawdzie spłacić długu, ale sprawiła, że po raz pierwszy w życiu poczuł rodzinną przynależność.

To *adieu*, Paryżu.

* * *

– Są tacy, co zapłaciliby ci słono za choćby kilka godzin.

Carmen odmówiła: może pozować nago, ale nie będzie sypiać z nikim, kto nie jest jej mężem, choćby płacił krocie. Wzięła tysiąc peset za pozowanie nago, potem kolejne tysiąc za tańczenie – również nago – dla gości markiza Albero. A oni, wszyscy prawie tak starzy jak gospodarz, jedli szynkę i pili wino, obserwując, jak ona, Carmen, rusza w rytm gitar i kastanietów.

Z dwoma tysiącami peset i synem pod pachą, bez bagażu, by nie wzbudzać podejrzeń brata, wsiada teraz do madryckiego pociągu. Sądzi, że w stolicy dowie się wreszcie czegoś o Jeanie-Marie i zostanie uznana wraz z dzieckiem za jego prawowitą rodzinę.

Po całonocnej podróży pociągiem docierają na główną stację Madrytu – Dworzec Południowy, zwany również Dworcem Atocha. Carmen czuje się zagubiona. Budynek jest ogromny, setki ludzi pędzą w najrozmaitsze strony, wozy konne i mechaniczne podjeżdżają wyładowane towarem, który ma zapewne trafić do krajów ogarniętych wojną. Na peronach obok dobrze ubranych dżentelmenów tłoczą się robotnicy, kieszonkowcy i żebracy.

A przecież i Sewilla nie jest małym miastem. Carmen nie spodziewała się więc, że Madryt tak ją oszołomi. Jednakże okazuje się nieludzko wielki i pełen samochodów, które zdają się jeździć bez żadnego porządku i dwa razy niemal ją potracają. No i te sięgające nieba domy – jeden obok drugiego! To nie miasto, to jeden wielki chaos. Carmen nie wie, dokąd iść, a musi przecież gdzieś z synem zanoć, kupić coś do jedzenia... Jest przerażona. Wtedy zbliża się do niej jakiś mężczyzna.

– Potrzebuje pani pomocy?

– Szukam pensjonatu.

– Jest tu jeden za rogiem, zaprowadzę panią. To ledwie pięć minut piechotą.

Ruszają ulicą Atocha, po czym skręcają w dużo węższą Fúcar. Wreszcie na Gobernador, pośród niskich domków, nieznajomy wyciąga nóż.

– No, dawaj pieniądze, bo nie chciałbym robić krzywdy ani tobie, ani dziecku.

Gdy odchodzi z całym jej dobytkiem, Carmen krzyczy, lecz zdaje sobie sprawę, że nikt jej nie pomoże. Jest w Madrycie od pół godziny, a już straciła wszystko, co miała.

– Poszła pani z obcym mężczyzną w jakiś zaułek i dziwi się, że tak się to skończyło? Bardzo bym się dziwił, gdyby skończyło się inaczej.

Nawet policjanci ją zbywają. Zostaje w tym strasznym mieście bez pieniędzy, niemal bez bagażu, z kilkumiesięcznym synem, który płacze jej w ramionach.

– Niech pani idzie do kościoła Świętego Sebastiana, to niedaleko, też przy ulicy Atocha. Na pewno dadzą tam pani jeść.

Pomocy w kościele szuka też wielu innych: przed wejściem czekają żebracy, starcy, kaleki, kobiety z małymi dziećmi, takie jak Carmen, albo nawet same dzieci.

– Talony będą rozdawane o dwunastej, za dziesięć minut.

– Jakie talony?

– Na jedzenie. Później pogadaj z proboszczem, poproś o ubranka dla małego.

– A co ze spaniem?

– Masz szczęście, że nie jest zimno. Znajdzie się miejsce w jakimś schronisku.

Kiedy ksiądz otwiera boczne drzwi, tłum rzuca się do przodu, przepychając się i krzycząc. Nikt nie uprzedził Carmen, że pomocy nie starcza dla wszystkich. Powinna była walczyć o talon, a tak – skończyły się, zanim przyszła jej kolej.

– Przykro mi, rozdałem już wszystkie.

– Nie mam nawet jak przewinąć dziecka, wszystko mi ukradli.

Odrobinę chleba dla niej i trochę ubrań dla małego – ksiądz tylko tyle może jej ofiarować.

Kiedy Carmen siada na murku, żeby nakarmić Juana, podchodzi do niej jakiś chłopak i podaje jej kawałek sera.

– Trzymaj, nie dostałaś talonu, co?

– Nie dostałam.

– Masz gdzie zanocować?

– Nie.

– Chodź ze mną, Murcjanka pozwoli ci się przespać u siebie.

Carmen boi się kolejnej pułapki. Tylko co mogą jej teraz ukraść? Syna?

– Mam na imię Marcos, mieszkam w Las Injurias, to rzekomo najgorsza dzielnica w Madrycie, ale tylko tam znajdzie się ktoś, kto ci pomoże.

* * *

– Alicia, nie wolno ci samej przechodzić przez ulicę!

W Madrycie jest coraz więcej aut, choć jeszcze kilka lat temu było ich tak mało, że każde wzbudzało sensację. Teraz są niemal wszędzie, najrozmaitszych marek i kolorów; walczą o przestrzeń z pojazdami konnymi. Ludzie jeszcze do tego nie przywykli i raz na jakiś czas ktoś ginie pod kołami. Podobno w Stanach Zjednoczonych zdarza się to tak często, że zaczęto tam – podobnie jak w Londynie – instalować sygnalizację świetlną: czerwone i zielone światła wskazują samochodom, kiedy mogą jechać, a kiedy mają się zatrzymać. W Madrycie jeszcze czegoś takiego nie ma i Blanca bardzo się martwi, bo Alicia bez przerwy puszcza jej rękę i rzuca się biegiem przed siebie. Przy jednej z takich okazji Blanca zauważyła czerwone renault Carlosa. Chwyta małą i zawraca, by uniknąć spotkania z byłym narzeczonym, gdy nagle widzi Elisę, która przechodzi przez ulicę i wsiada do auta. Blanca stoi jak wrośnięta w ziemię, gapiąc się na dawną przyjaciółkę. Elisa jej nie dostrzega, wpatrzona w mężczyznę za kierownicą.

– W ciąży? Takiej kretynki jak ty jeszcze świat nie oglądał!

W ostatnim czasie Elisa prawie nie sypia. Zaczęła coś podejrzewać dwa tygodnie temu, a teraz ma już pewność. Czekwała, aż Carlos sam zaproponuje kolejne spotkanie w mieszkaniu przy ulicy Magdaleny, by mu o tym powiedzieć: jest z nim w ciąży.

– Jak miałam temu zapobiec?

Pierwszy policzek boli tym bardziej, że się go nie spodziewała. Drugi

sprawia, że się chwieje, a cios w brzuch, tylko trochę powyżej miejsca, gdzie musi się znajdować jej dziecko, posyła ją na podłogę. Tam dosięga ją jeszcze kopniak.

– Idiotka!

Zwinęła się w kłębek i tak leży, płacząc. Carlos nalał sobie koniaku, usiadł i patrzy na nią – z nienawiścią i złością.

– Jeśli sądziłaś, że w ten sposób zmusisz mnie do małżeństwa, to bardzo się pomyliłaś, głupia krowo. Nie ożenię się z suką, która nosi nie wiadomo czyjego bachora.

– To przecież twoje dziecko... Carlos, ja cię kocham...

Elisa nie rozumie, jak on może mieć wątpliwości. Jego słowa bołą tak samo jak uderzenia. Czy wciąż nie widzi, że ona go kocha? Naprawdę myśli, że mogłaby być z innym?

– Nie, nie zamierzam się z tobą żenić. Nie ludź się, że pójdę do ołtarza z kobietą w ciąży. Co za debilka!

Wyzwiska i ciosy sypią się dalej, Elisa długo nie ma odwagi nawet się odezwać.

– Co ja mam zrobić, Carlos? Co mam zrobić?

– Mnie pytasz? To nie moja sprawa. Trzeba było pomyśleć, zanim rozłożyłaś nogi. Radź sobie, jak chcesz, ale ja cię uprzedzam: wyprę się tego dzieciaka.

– Nie możesz mi tego zrobić, jesteś jego ojcem, ja z nikim innym nie byłam...

– Gdybyś wiedziała, ile dziwek próbowało mi to wcześniej wmawiać... Dziwek znacznie zresztą sprytniejszych od ciebie!

Carlos upokarza ją z głębokim zadowoleniem. Od dawna na to czekał, Elisa bardzo długo nie zachodziła w ciążę. Ale teraz proszę: zniszczyła sobie życie i czyja to wina? Jej najlepszej przyjaciółki Blanki. Bo przecież nic by się nie stało, gdyby się nie przyjaźniły.

Postanowił, że nie spocznie, póki nie unieszczęśliwi wszystkich, którzy otaczają jego byłą narzeczoną: jej ojca – tego szaleńca gadającego z roślinami; jej matki – żyjącej pozorami wydmuszki; tego typa, który z nią pracuje, i oczywiście tej małej, Alicii, wydobytej z jakiegoś rynsztoka...

Nienawidzi ich, bo są jej bliscy. Niech cierpią – i to przez nią. Zaczął wszystko planować zaraz po tym, jak Blanca Alerces ośmieszyła go w kaplicy Przytułku dla Sierot pod wezwaniem Najświętszego Serca Pana Jezusa przy ulicy Juana Bravo. Ją samą zostawi sobie na koniec, a wtedy głupia pożałuje tego, co zrobiła. Nikt nie będzie kpil z księcia Camino.

Carlos nawet jej nie odwiózł pod bramę Retiro, skąd ją zwykle zabiera. Elisa idzie jak nieprzytomna ulicą Magdaleny. Nie wie, co ma robić. Ostatniej nocy, zastanawiając się, jak przekazać mu swoją nowinę, marzyła, że Carlos ją przytuli,

powie, by się nie martwiła, bo on będzie przy niej, ożeni się z nią i razem wychowają to dziecko.

Brak jej odwagi, by wracać do domu. Przecież jeśli wyzna ojcu, co się stało, spadnie na nią kolejna porcja wyzwisk i ciosów. Gdyby Gonzalo był w Madrycie, bez wahania poszłaby do niego, tyle że brat wyjechał do Paryża. Do Blanki też nie może się zwrócić. Co by jej powiedziała? Że mężczyzna, którego ona zostawiła przed ołtarzem, zrobił jej przyjaciółce dziecko i teraz się tego wypiera?

Na placu Antona Martina podchodzi do niej jakaś kobieta. To żebraczka przesiadująca pod tutejszym kościołem.

– Coś się stało? Pomóc pani jakoś?

Upadła tak nisko, że budzi litość u żebraczki! Wybuchła płaczem i zwierza się jej, jakby ją dobrze znała; jakby ta zniszczona, źle ubrana kobieta o rozczochranych posiwiałych włosach była jej przyjaciółką, ba, matką, która umarła tak dawno temu, a dziś byłaby córce potrzebna bardziej niż kiedykolwiek. Opowiada o wszystkim: o ciąży, wyzwiskach, biciu...

– Jeśli masz pieniądze, możesz się łatwo pozbyć problemu. Znam w Las Injurias kobietę, która ci pomoże.

Elisa, przestraszona, ucieka. Nie posunie się do czegoś takiego. Zresztą Carlos na pewno pożałuje tego, jak się zachował, i jeszcze wszystko się ułoży.

6.

Co poczniemy z tym listem?

Tylko Álvaro i Blanca siedzą wciąż, mimo późnej pory, w biurze na ostatnim piętrze Pałacu Królewskiego. Stopniowo jakoś się tu urządzili: bez luksusów, dywanów, obrazów czy rzeźb, pośród ściągniętych z różnych miejsc biurek i szaf, i maszyn do pisania. Ale i tak jest przyjemnie. To tutaj przeglądają spisy jeńców, czytają raporty nadsyłane przez hiszpańskie ambasady, korespondują z ministerstwami wojny różnych krajów. To tutaj wyteżają wzrok w słabym, mrugającym świetle elektrycznych żarówek. Zazwyczaj ostatni wychodzi z pracy Manuel, ale dziś, tak jak przez ostatnie dni, znikł wcześniej, spiesząc do zadań, z których się nikomu nie zwierza. Większość listów zaczyna się od pochwał skierowanych do Alfonsa XIII, lecz tym razem sprawa wygląda inaczej.

Do obywatela Alfonsa XIII

Wyznaję, że zawsze byłem republikaninem, wierzę w ideały swego kraju: wolność, równość i braterstwo, a Hiszpanom życzę zmiany ustroju i możliwości swobodnego kierowania własnym losem. Zwracam się do Pana o pomoc, ponieważ, choć zajmuje Pan pozycję, która nikomu się nie należy, w trakcie tej wojny podjął się Pan pięknego zadania. Piszę więc do Pana jako do człowieka, a nie do króla.

Mój syn Bernard trafił do niemieckiej niewoli po bitwie o Ardeny, na początku wojny. Wielokrotnie pisaliśmy do niego na adres wskazany przez na\7b: .margin \7d sze Ministerstwo Wojny, lecz nie dostaliśmy odpowiedzi.

Matka Bernarda jest chora – mówią, że na serce, ale ja wiem, że to ze smutku. Zostało jej niewiele czasu; tygodnie, najwyżej miesiące. Nic nie podniosłoby jej na duchu tak, jak wieści od syna. Dlatego apeluję do Pana, jako syna i ojca, o zajęcie się naszą sprawą.

Proszę przyjąć pozdrowienia od człowieka równego sobie.

Gaston Mainard

– Jak to dobrze, że jeszcze jesteście!

Blanca dziwi się, widząc króla, któremu towarzyszy mężczyzna o kulach, z czymś w rodzaju uprząży na nogach.

– Álvaro, znasz markiza Villalobar, prawda?

– Oczywiście... Don Rodrigo, nie wiedziałem, że jest pan w Madrycie.

– Jak się miewasz, Álvaro? Ja tylko na parę dni. Dostaliście ostatnie wysłane przez nas spisy?

– Tak, bardzo jesteśmy wdzięczni.

Król z ciepłym uśmiechem zwraca się w stronę Blanki. Przedstawia ją markizowi.

– To najpracowitsza osoba w królestwie, dusza Urzędu do spraw Ochrony Jeńców, Blanca Alerces. Z pewnością znasz jej ojca.

– Jesteś córką don Jaimego? Pracowałem dla niego w Londynie. Wspaniały człowiek, wspaniały dyplomata. Bardzo się cieszę, że cię spotykam.

– To ja się cieszę, z przyjemnością przekażę te słowa ojcu.

Don Alfonso cierpliwie czeka, aż będzie mógł przejść do rzeczy.

– Rodrigo przywiózł wieści z Belgii. Lepiej chodźmy do mojego gabinetu, tam porozmawiamy.

– Zanim pójdziemy, może Wasza Królewska Mość rzuci okiem na ten list?

Twarz króla, która zdradza najpierw ciekawość, w trakcie lektury poważnieje.

– Zajmijcie się tym w pierwszej kolejności i zróbcie, co w waszej mocy. Wiecie przecież, że w tym miejscu nie liczą się ani religia, ani pozycja społeczna, ani przekonania.

– Jak Wasza Królewska Mość rozkaże.

Panowie zmierzają już ku drzwiom, kiedy don Alfonso ponownie zwraca się do Blanki, która nie ruszyła się z krzesła, zdecydowana jeszcze trochę popracować.

– Blanco, może pójdziesz z nami? Nikt tak jak ty nie zna się na tych sprawach.

Stremowana Blanca idzie pałacowymi korytarzami, coraz wspanialszymi, w miarę jak zbliżają się do części budynku zajmowanej przez monarchę. Pamięta, jak była tu po raz pierwszy, oszołomiona obrazami, tkaninami i meblami. Teraz poznała już niemal cały Pałac, zwiedziła wiele z najpiękniejszych pomieszczeń: Kaplicę Królewską, Królewską Aptekę, Salę Halabardników, Tronową i tę, która wywarła na niej największe wrażenie – Porcelanową. Sama mieszka w uroczym pałacyku, ale to jednak nie to samo.

Bardzo niewielu ludzi ma wstęp do gabinetu króla, jeszcze węższe grono zna jego prywatne pokoje. Podobno jeden z arrasów rozwieszonych w gabinecie skrywa prowadzące do nich drzwi. Blanca nie spodziewa się ich nigdy przekroczyć: bywa w Pałacu od dawna i codziennie, a nie widziała jeszcze królowej ani infantów.

Po drodze nie wtrąca się do prowadzonej przez trzech mężczyzn rozmowy, która krąży wokół wydarzeń towarzyskich – balów i nawet korridy.

– Poprosiłem was tu, by prosić o radę. Rodrigo de Saavedra, markiz Villalobar, opowiedział mi właśnie o tym, w jakiej sytuacji znalazła się Edith Cavell, angielska pielęgniarka zatrzymana przez Niemców w Brukseli. Streścisz nam tę sprawę, Rodrigo?

Usiedli na kanapach w głębi gabinetu, tego samego, w którym Blanca była już w dniu, kiedy została zatrudniona w Urzędzie do spraw Ochrony Jeńców. Tyle że wtedy tak się denerwowała, że nie bardzo mogła się skupić na otoczeniu. Pomieszczenie nie jest zbyt duże; można by pomyśleć, że król dysponuje znacznie większym gabinetem. Okna wychodzą na plac Oriente. Podobno Alfons XIII lubi przez nie wyglądać, obserwując mieszkańców – i mieszkanki – Madrytu. Meble reprezentują różne style: obok rokokowych krzeseł znajduje się tu mahoniowe empirowe biurko z blatem podtrzymywanym przez łabędzie z brązu. Z sufitu zwisa wspinały żyrandol z weneckiego szkła, podłogę zaś pokrywa utrzymany w złotawych tonach dywan z królewskiej manufaktury. Blancę fascynuje ten wystrój, jednakże nie pora na kontemplację: niewiele kobiet – jeśli w ogóle jakakolwiek – dostało zaszczytu uczestnictwa w podobnym zebraniu. Należy się zatem skupić.

– Nie wiem, czy dotarły do Hiszpanii wieści o postępach niemieckich żołnierzy w Belgii. Doszło do ataków na ludność cywilną, aresztowań, prób szantażu, tortur i innych przejawów braku poszanowania dla podstawowych ludzkich zasad...

– Informacje napływają skąpo, w dodatku są zniekształcane w zależności od linii przyjętej przez daną gazetę. Jedni piszą, że Belgowie przechodzą piekło, inni, że Niemcy zachowują się bardzo przyzwoicie.

– Ja tam mieszkam jako dyplomata i cokolwiek teraz powiem o okrucieństwie okupanta, będzie niewystarczające. Ta wojna wydobywa z ludzi wszystko, co najgorsze. Choć robimy, ile się da: razem z ambasadorem Stanów Zjednoczonych zdołaliśmy powołać do życia organizację udzielającą pomocy humanitarnej mieszkańcom. Niemal całe wsparcie pochodzi od amerykańskich darczyńców. Nie wiem, co będzie, jeśli Stany przystąpią do wojny.

– Zatonięcie *Lusitanii* może to znacznie przyspieszyć.

– Tak, jest jasne, po której stronie Amerykanie się opowiedzą. Nie wiadomo tylko kiedy.

Blanca pamięta artykuł, który czytała na temat *Lusitanii*, pasażerskiego transatlantyku zatopionego u wybrzeży Irlandii przez niemiecką łódź podwodną w maju tysiąc dziewięćset piętnastego roku. Zginęło wtedy ponad tysiąc osób, w większości irlandzkich i brytyjskich emigrantów, choć wśród ofiar było też stu dwudziestu trzech obywateli Stanów Zjednoczonych, którzy wracali do siebie, uciekając z niebezpiecznego Starego Świata. Amerykańska opinia publiczna, wcześniej niechętna angażowaniu się w europejski konflikt, błyskawicznie zwróciła się przeciwko Niemcom. Jedyne ostrożność prezydenta Woodrowa Wilsona, nazywana przez niektórych tchórzostwem, zapobiegła natychmiastowemu wypowiedzeniu im wojny.

– Amerykanie się włączą, gdy będą pewni zwycięstwa. Są w stanie

zmobilizować milion dobrze uzbrojonych żołnierzy, ale prasa, bardzo u nich silna, będzie żądała rozliczenia się z każdej straty w ludziach, więc chcą ich stracić jak najmniej.

– Dziennikarstwo to broń obosieczna, Wasza Królewska Mość: proszę sobie przypomnieć naciski w sprawie Kuby. Wojna zawsze służy gazetom, a przedsiębiorcy w stylu Hearsta nie zwykli przegapiać dobrych okazji.

Blanca uważnie przysłuchuje się rozmowie. Don Rodrigo, choć fizycznie niepełnosprawny, emanuje siłą i autorytetem, a mówi tak, że nie sposób się oderwać od jego opowieści.

Edith Cavell jest Angielką, która przed wybuchem wojny kierowała w Brukseli Instytutem Berkendeal, szkołą dla pielęgniarek. Później szkoła przekształciła się w szpital, by we współpracy z Czerwonym Krzyżem nieść pomoc rannym.

– To kryształowa kobieta. Nie zważa na pochodzenie swoich pacjentów, wszystkich traktuje równo: Brytyjczyków, Francuzów, Belgów, Niemców. To znaczy traktowała, dopóki mogła. Kilka miesięcy temu odwiedziłem jej szpital, wydawała się całkowicie wyczerpana. Poprosiłem, żeby spróbowała trochę odpocząć. Odparła, że nie może, bo musi ratować ludzkie życie.

Oczywiście mimo zawodowej bezstronności bynajmniej nie zapomniała, że jest Angielką, i nie wahała się chronić swoich.

– Od końca zeszłego roku pod samym nosem Niemców pomagała rannym żołnierzom brytyjskim i Belgom w wieku poborowym przedostawać się do Holandii i na Wyspy. Szacujemy, że uratowała w ten sposób około dwustu mężczyzn. Niestety, wpadła z winy podwójnego agenta i została zatrzymana.

– Będą ją sądzić?

– Gorzej: zamierzają ją stracić. Parodia sądu już się odbyła. Edith Cavell razem z kilkoma innymi zaangażowanymi w sprawę osobami została skazana na śmierć za zdradę. Nieważne, że Niemcy podpisały konwencję genewską o ochronie personelu medycznego. Razem z amerykańskim ambasadorem Hugh Gibsonem złożyliśmy skargę u barona von der Lanckena, niemieckiego cywilnego gubernatora. Sam odbyłem z nim nawet gorącą dyskusję, w trakcie której, przyznaję, przekroczyłem swoje uprawnienia i mocno się uniosłem. Niemniej baron jest człowiekiem rozsądnym, zgodził się prosić o łaskę dla skazanych, tyle że generał von Sauberzweig, gubernator wojskowy, nie chce o tym słyszeć. Dlatego zwracam się do Waszej Królewskiej Mości. To byłaby naprawdę wielka strata, nie tylko dla Anglików, ale i dla całej ludzkości, gdyby miss Cavell i jej towarzysze zostali mimo wszystko straceni.

– A co ja mogę zrobić?

Nikt z obecnych nie potrafi odpowiedzieć na to pytanie; wszyscy zadumali się nad opowiedzianą przez markiza historią. Don Rodrigo to być może najlepszy

hiszpański dyplomata, bardzo pomaga Urzędowi do spraw Ochrony Jeńców: właśnie dzięki niemu zyskali dostęp do spisów francuskich i belgijskich żołnierzy przebywających w niemieckiej niewoli, a cywilna ludność Belgii też niejedno mu zawdzięcza. Blanca i Álvaro bardzo by chcieli, by król zdołał go jakoś wesprzeć.

– Przepraszam, że się odzywam...

– Po to tu jesteś, Blanco, śmiało.

– Nie wiem, czy to w ogóle możliwe, ale... Wasza Królewska Mość jest przecież spokrewniony z kajzerem. Może poskutkowałaby tu osobista interwencja Waszej Królewskiej Mości i obietnica, że hiszpańska dyplomacja dopilnuje, by miss Cavell nie wróciła do swej działalności, będąc kimś w rodzaju więźnia w naszej ambasadzie... Może dzięki temu uniknęłaby śmierci.

Mężczyźni patrzą po sobie, zastanawiając się nad propozycją Blanki. Król ma poważne zastrzeżenia.

– Czy nie oznaczałoby to rezygnacji z neutralności...?

– Chodzi o ratowanie ludzkiego życia, Wasza Królewska Mość, poza tym miss Cavell leczyła również żołnierzy niemieckich, teraz więc Niemcy mogą się wykazać, zyskując przy tym gwarancję, że już więcej nie będzie działała na ich niekorzyść.

– Niemcy nie przejmują się zbyt opinia publiczną na świecie. Te wszystkie ataki chemiczne, łodzie podwodne, bombardowania celów cywilnych...

– Sytuacja się zmienia, a skoro istnieje ryzyko, że Stany Zjednoczone zaangażują się w wojnę...

Ambasador zdecydowanie popiera pomysł Blanki.

– Warto spróbować, Wasza Królewska Mość. Nie wątpię, że baron von der Lancken nas poprze, bo rozumie, że śmierć miss Cavell Niemcom nie pomoże. Jest znacznie bardziej inteligentny niż generał Sauberzweig.

Do dyskusji włącza się i Álvaro Giner.

– Kajzer zgodził się przecież na mediację Waszej Królewskiej Mości w sprawie ochrony niemieckich jeńców, tego się nie wyprze. A prośba dotycząca miss Cavell ma charakter humanitarny, nie strategiczny.

Król waha się jeszcze przez kilka sekund, które Blance dłużą się w nieskończoność.

– Dobrze, przygotujcie mi jutro z rana stosowny list. Podpiszę go i natychmiast wyślę do Berlina. Nie zapomnijcie tylko wspomnieć o opinii publicznej, względach humanitarnych, moich związkach z kajzerem i o wszystkim, co mogłoby na niego wpłynąć.

Blanca rozumie, że spotkanie dobiegło końca, bo don Alfonso wstaje – tego dowiedziała się zaraz na początku swojej kariery w Pałacu. Jest już w drzwiach, gdy król jeszcze raz się do niej odzywa:

– Dziękuję, Blanco. Ojciec może być z ciebie dumny.

Kiedy wreszcie wychodzą z Pałacu, plac Oriente tonie już w ciemnościach. Wieczór jest przyjemny, ciepły, ale nie tak gorący jak bywało latem. Dookoła kręci się jeszcze sporo przechodniów.

– Zrobiło się późno, wezwę ci auto.

– Nie, wolę się przespacerować. Siedziałam w czterech ścianach od dziewiątej rano.

– Jak chcesz, ale w takim razie muszę cię odprowadzić... Spacer i mnie się przyda.

Idą w stronę kościoła Świętego Jakuba, potem ulicą Mayor, przez Puerta del Sol i Carrera de San Jerónimo ku Paseo del Prado. Oboje mieszkają w pobliżu – to dzielnica wyższych warstw społecznych. Po drodze z ożywieniem komentują sprawy urzędu oraz własną ewolucję światopoglądową.

– Na początku byłem germanofilem, już ci o tym wspominałem. A teraz chcę już tylko, żeby ten koszmar się skończył.

– Ja i ojciec popieramy Anglików. Ale w sumie... Dziś nasłuchaliśmy się o okrucieństwie Niemców, a inni zapewne postępują podobnie.

– Bez wątpienia.

O tej porze dama nie powinna pokazywać się z mężczyzną w kawiarniach, niemniej Álvaro właśnie na to miałby ochotę: chciałby usiąść gdzieś z Blanca, zapomnieć o wojnie, pogawędzić o Paryżu czy Londynie – miastach, w których Blanca mieszkała, jemu również świetnie znanych. Doskonale się czuje w jej towarzystwie, jest tak różna od kobiet, z którymi stykał się do tej pory. Owszem, tamte też były piękne, tyle że znacznie mniej inteligentne i godne szacunku. Widok jej uśmiechniętej, pochylonej nad tym czy innym listem twarzy sprawia, że on, Álvaro, tym chętniej biegnie co rano do Pałacu.

– Cieszysz się, że z nami pracujesz?

– Ogromnie. Myślę, że to bardzo pożyteczna praca.

– Chodziło mi raczej o to, czy dobrze się czujesz w tej sytuacji. Dziewczyny takie jak ty rzadko udzielają się w ten sposób poza domem.

– Dziewczyny takie jak ja rzadko też zostawiają swoich narzeczonych przed ołtarzem, więc sam rozumiesz... Ale odpowiedź na twoje pytanie brzmi: tak, dobrze się w tej pracy czuję.

– No, z tym ślubem to narobiłaś niezłego zamieszania. Wciąż nie mogę uwierzyć, że to zrobiłaś.

– Nikt nie mógł w to uwierzyć. Szczególnie matka. Wciąż mi nie przebaczyła. Łatwo mnie odsądzać od czci i wiary, ale mimo wszystko nie należę do kobiet, które przymykają oko na świństwa, nawet jeśli niektórzy tak by woleli.

Álvaro nie musi jej ciągnąć za język, by ze szczegółami opowiedziała mu o wizycie Pilar Marín w przeddzień ślubu; o wątpliwościach, które nią targały, gdy

jechała do kościoła pożyczonym rolls-royce'em; o tym, jak szybko biło jej serce, kiedy szła między rzędami ławek wypełnionych gośćmi, i jak bardzo się bała, spoglądając w oczy narzeczonego, a potem słysząc, że ksiądz zadaje sakramentalne pytanie, na które zamierzała odpowiedzieć nie – nie wyjdzie za tego człowieka, bo to drań pozbawiony skrupułów.

– Jak już wyjaśniłam dlaczego, poczułam się lepiej. Zupełnie jakbym, słuchając siebie samej, upewniła się, że racja jest po mojej stronie i że będę w stanie przekonać o tym każdego. Każdego z wyjątkiem mojej matki. Dobrze, że ojciec mnie poparł. Biedak, musiał się zająć odesłaniem tych wszystkich gości do domu.

Blanca mówi bez przerwy od dziesięciu minut: po raz pierwszy zwierza się komuś ze wszystkiego, co wtedy myślała i czuła. Gdy to sobie uzmysławia, ogarnia ją wstyd. Dlaczego wywnętrza się akurat przed tym człowiekiem? W dodatku to jej szef, poza tym i tak jej nie zrozumie.

– Obawiam się, że wychodzę na papłą. Zresztą kogo to w ogóle interesuje.

– O, to bardzo ciekawe. Nigdy bym się nie odważył spytać, ale od kiedy usłyszałem, co się stało, zastanawiałem się, jakie tobą kierowały motywy. Żeby zerwać z narzeczoną tak... spektakularnie...

– Znasz Carlosa?

– Tak, wszyscy go znają. Nie sposób pójść na premierę, przyjęcie lub do jednego z tych lokali, gdzie nie bywają damy, żeby się na niego nie natknąć. Byłem też na paru organizowanych przez niego wieczorach.

– No tak. I pewnie uważasz go za wzór prawdziwego mężczyzny.

– Nie, Blanco, uważam go za kanalię. Nie lubię takich ludzi i jeśli łapię się na czymś, co mogłoby do niego pasować, zaraz staram się poprawić. Niemniej, moim zdaniem, nie powinnaś była zrywać z nim na oczach wszystkich. To obraza, której się nie zapomina, i coś znacznie poniżej twojego poziomu.

– Owszem, to drań, który nigdy mi nie daruje. Kiedyś, kilka miesięcy temu, spotkaliśmy się na ulicy: wysiadł z samochodu i zaczął mi grozić. Potem już o nim nie słyszałam.

Zbliżają się do celu, a to oznacza, że ich wspólny spacer skończy się znacznie szybciej, niż Álvaro by sobie tego życzył.

– Mógłbyś któregoś dnia odwiedzić mego ojca. Dziś już za późno.

– Tak, zrobię to kiedy indziej. Chętnie obejrzę jego słynny ogród.

Żegnają się do następnego dnia, kiedy to znów zobaczą się w Pałacu. Blanca uśmiecha się na myśl, jak cieszyłaby się doña Ana, że ktoś taki odprowadził jej córkę pod same drzwi. Álvaro wydałby się jej znakomitą partią, lepszą nawet niż Carlos de la Era, nie wspominając już o Manuelu Lopem, z którym zresztą ona, Blanca, przez ostatnie tygodnie prawie nie rozmawia, chociaż obok siebie pracują.

* * *

– Nie pozwolę, żeby mnie przez was zabili.

W kompanii, do której trafił Jean-Marie, przeważają nowicjusze: bardzo młodzi chłopcy, którzy jeszcze kilka tygodni temu uczyli się w szkole średniej gdzieś na południu Francji, a niedługo w większości będą już martwi. Można tylko mieć nadzieję, że żaden z nich przy okazji nie narazi na śmierć i jego.

Przed pierwszą walką próbuje ich więc uświadomić i odkrywa, że powtarza słowa tak niedawno przecież usłyszane od kaprala Dufoura.

– To wasi wrogowie. Jeśli ich nie zabijecie, oni zabiją was. Tu litość kosztuje życie.

Niektórzy starsi towarzysze zapewniają, że widzieli, jak Jean-Marie schyla się, nim jeszcze usłyszał wybuch, i że przeczuwa, kiedy Niemcy ostrzelają jego odcinek okopu. Może to i prawda, Jean-Marie sam nie wie. Wie tylko, że bardzo chciałby poznać swego syna, i dlatego naprawdę uważa.

Podczas pierwszego ostrzału artyleryjskiego jeden z nowych płacze. Jean-Marie, skulony, podsypia. Nie wiadomo, czy fryce zaraz na nich nie ruszą, więc lepiej zawczasu odpocząć. Pamięta podobną do tej noc, kiedy zabił młodziutkiego Niemca. Myśli sobie, że to dziwne: on sam nigdy nie brał udziału w ataku; inni mają pewnie takie doświadczenia, ale on zawsze tylko się broni.

Rankiem bombardowanie wcale nie ustaje, a w dodatku zaczyna padać deszcz. To prawdziwa ulewa, istny potop. Życie w okopie zawsze jest trudne, jednakże życie w zalanym okopie staje się ostatecznym koszmarem. Na domiar złego pod ciągłym ostrzałem nie docierają do nich ciepłe posiłki. Żywią się zatem rozmiękłym chlebem; w tych warunkach nawet zapalenie papierosa to problem. Jean-Marie nienawidzi wojny i deszczu, nienawidzi Niemców, ba, nienawidzi również Francji, która każe im wszystkim walczyć tutaj, z dala od rodzin. Chwilami łapie się na tym, że chciałby już zginąć i mieć spokój. Zaraz jednak wraca do rozumu i myśli o Carmen, o synu i o wszystkim, czego się nauczył i co pozwala mu przeżyć.

Oficerowie na tyłach mieszkają w domach odebranych cywilom. Jean-Marie zajrzał raz przez okno do środka: trzech dowódcy siedzieli przy kominku, wśród dywanów, obrazów i książek. Jakaś dziewczyna dolewała im koniaku, a oni pogodnie gawędzili, w ciepłe i wygodzie. Zapewne generałom jest jeszcze lepiej – i francuskim, i niemieckim. Ten Niemiec, który zarządził trwający właśnie atak, może wręcz nie wie, że tak leje. Mówi się, że jakiś Anglik, miłośnik jazdy konnej, kazał zbudować sobie tor wyścigowy przy swojej rezydencji w pobliżu frontu; że kilka kilometrów dalej francuska generalicja baluje w najlepsze; że do oficerskich burdeli sprowadzane są najładniejsze kobiety z całej Francji... A tymczasem szczury okopowe mokną, cuchną śmiercią i modlą się, by artylerzysta z drugiej strony nie trafił swoim „ogórkiem” w to miejsce, gdzie oni, z łopata i pistoletem w rękach, czekają, aż ich zasypie: łopata spróbują się odkopać, pistolet zaś się

przyda, w razie gdyby okazało się to niemożliwe. Dzięki temu unikną koszmaru pogrzebania żywcem, bez nadziei na jakąkolwiek pomoc.

W głębi duszy Jean-Marie musi przyznać, że ma szczęście, mnóstwo szczęścia. Niedaleko spada jeden z niemieckich pocisków; odłamek rozrywa mu nogę, wywołując konieczność ewakuacji rannego na tyły. Jeszcze nim Jean-Marie dotrze do szpitala polowego, Niemcy przystępują do ofensywy. W ciągu kilku godzin wybijają całą jego kompanię: to już drugi raz. Zresztą może to szczęście, a może tylko śmierć, próbująca się wreszcie do niego dobrać.

* * *

– Carmen, musisz podjąć decyzję: albo zaczniesz pracować, albo pójdziesz z dzieckiem żebrac, albo pora wracać do rodziny.

Murcjanka Aurelia przyjęła przyprowadzoną przez Marcosa nieznajomą pod swój dach. Nakarmiła ją, przenocowała, a nawet pozwoliła się jej wypłakać. No, ale to dzielnica nędzy, tutaj każdy powinien coś z siebie dawać.

– Nie mogę wrócić do Sewilli.

– Jak masz dziecko, wystarczy trochę sprytu, żeby utrzymać się z żebrania. Ludzie ci powiedzą, gdzie najlepiej się ustawić.

– Nie jestem żebraczką, nie będę prosić o pieniądze. A już na pewno nie z synem na rękach.

Carmen zdaje sobie sprawę, że jej życie uległo zmianie: brat nie przyjmie jej z powrotem, mąż przebywa na froncie, może już zresztą nie żyje, a ona mieszka u obcej kobiety w najgorszej dzielnicy Madrytu i nic już nie jest takie jak dawniej. Jednakże duma nie pozwala jej nagabywać ludzi, choćby narzucać się ze swoimi wróżbami.

– Wolę pracować. Prac w rzece, jak tutejsze kobiety.

Carmen roi sobie czasem, że mogłaby poprosić Antonia o wybaczenie, wrócić do Sewilli i zapomnieć o Jeanie-Marie. Woda w rzece robi się coraz zimniejsza, a bardziej doświadczone praczki mówią, że to jeszcze nic; że dopiero zimą zaczną powstawać odmrożenia i boleć wszystkie kości. Przecież brat ostatecznie by jej wybaczył: trzeba uczynić coś naprawdę bardzo złego, żeby Cyganie nie dali komuś ze swoich drugiej szansy; szybko znalazłaby dla Juana nowego ojca, znów by tańczyła, spacerowała z matką po Trianie, żyła...

Całymi dniami haruje, nie widując syna. W kilka kobiet składają się na opiekunkę do dzieci. Do tych najmniejszych; starsze biegają samopas, jak kiedyś Alicia. Opiekunka karmi maluchy i w razie potrzeby przewija. Carmen początkowo bała się powierzać jej Juana, ale to dobra osoba, traktuje dzieciaki jak własne. Niewiele o niej wiadomo: podobno była kiedyś mniszką, lecz porzuciła zakon i zamieszkała w Las Injurias; mówi się też, że pochodzi z Kuby, gdzie jej rodzina ma cukrownie, pałace i rozległe posiadłości ziemskie. O tych, którzy różnią się od innych, zawsze krążą plotki; ludzie wymyślają historie, próbując ich zrozumieć.

Dopiero późnym wieczorem, gdy tramwajem odwiezie wyprane ubrania klientom, Carmen odbiera syna, karmi go, opowiada mu o ojcu, najodważniejszym żołnierzu w całej Europie, i próbuje się z nim bawić, tak jak z pewnością robiłby to Jean-Marie. Stara się też odświeżyć swoją szczątkową francuszczyznę, żeby Juan mógł obcować z językiem ojca.

* * *

– Dostałem wieści dotyczące Brukseli. Mamy za mało czasu, nie zdążymy z tym listem. Wyślę do Berlina telegram.

Don Alfonso wpadł do gabinetu, gdzie markiz Villalobar i Álvaro Giner akurat redagują pismo do Wilhelma II. Brytyjski ambasador w Hiszpanii, Arthur Hardinge, przekazał bezpośrednio królowi, że egzekucja miss Cavell oraz dziesięciu innych osób została wyznaczona na następny poniedziałek, osiemnastego października. Powstrzymać może ją tylko natychmiastowa osobista reakcja Alfonsa XIII.

– Już podyktowałem tekst swojemu sekretarzowi: „Najpiękniejszy przywilej rządzących to moc wybaczenia. Będę Ci głęboko wdzięczny, jeśli ułaskawisz osoby, które, jak słyszałem, mają zostać stracone w poniedziałek. Twój wierny kuzyn Alfonso”.

– Czy to nie nazbyt śmiało, Wasza Królewska Mość?

– Myślę, że trzeba przypomnieć kajzerowi, że jednym z filarów władzy powinno być miłosierdzie.

Wilhelm II przebywa poza Berlinem. Niewystarczające wojskowe przygotowanie cesarza sprawiło, że ster rządów w Niemczech przejęli generałowie. Kajzer ogranicza się do wizytowania swoich oddziałów, dodawania żołnierzom ducha i wygłaszania patriotycznych przemówień. Niektórzy twierdzą, że wcale nie chciał tej wojny; że wypowiedział ją pod presją wojskowych, wróżąc, że jeszcze wszyscy tego pożałują. Niemniej don Alfonso znajduje niespodzianego sojusznika – na telegram odpowiada żona cesarza, Augusta Wiktoria: „Otrzymawszy Pańską wiadomość, bezzwłocznie zatelegrafowałam do generała von Bissinga, prosząc, by na kilka dni wstrzymał egzekucję i dał nam tym samym czas na skontaktowanie się z cesarzem. Mam nadzieję, że uda się ocalić te biedne kobiety, choć rzecz jasna nie wiem, co takiego uczyniły”.

– To dobra wiadomość.

– Nie ma się jeszcze z czego cieszyć, Álvaro. Zobaczymy, co z tego wyjdzie. Trzeba liczyć na to, że komunikacja tym razem nie zawiedzie.

Czekając na wieści o miss Cavell, dowiadują się, że nie wszystkie zaangażowane w sprawę osoby zostały skazane na śmierć: na przykład księżna de Croy otrzymała wyrok dziesięciu lat prac przymusowych.

Jednakże to angielska pielęgniarka wzbudza najwięcej emocji; stała się już

symbolem pomocy bliźniemu. Z jakiegoś powodu w Urzędzie do spraw Ochrony Jeńców, dokąd codziennie napływają długie listy zabitych, jej los szczególnie leży wszystkim na sercu, ich rozmowy i myśli wciąż do niej wracają. Nawet Manuel Lope, który zwykle patrzy na króla z niechęcią, bardziej zresztą narzucaną sobie niż szczerą, teraz wyczekuje, aż Alfons XIII stanie w drzwiach i ogłosi, że miss Cavell nie zostanie jednak stracona. Niestety, wieści są zupełnie inne. Król przynosi je im osobiście.

– Gdy Augusta Wiktoria rozsyłała swoje telegramy, miss Cavell już nie żyła. Rozstrzelano ją wcześniej: informacja, którą przekazał nam brytyjski ambasador, była nieprawdziwa, egzekucję przewidziano nie na osiemnastego, lecz na dwunastego. Bardzo mi przykro. Dobrze chociaż, że reszcie skazanych darowano życie.

Wszyscy w biurze dzielają smutek don Alfonsa. Teraz pracuje tu już niemal dwadzieścia osób. Wydają się tak przygnębieni, że król czuje się w obowiązku podnieść ich morale.

– Od początku powtarzam, że to, co teraz robimy, to najważniejsze zadanie, jakie nam się w życiu trafia. Niemało już działaliśmy, dziś ponieśliśmy dotkliwą porażkę, ale zapewniam was, że jeszcze będą powody do radości i dumy.

* * *

– Dobrze się panienka czuje?

Te poranne mdłości i zawroty głowy... Na szczęście poza tym nic nie widać. Tylko trzeba udawać przed pokojówką, żeby przypadkiem nie doniosła generałowi. Elisa zdaje sobie jednak sprawę, że musi coś zrobić, podjąć jakąś decyzję: jest w ciąży i problem sam się nie rozwiąże.

Dopóki Carlos nie zmieni zdania – bo zmieni je z pewnością – jest tylko jedna osoba, do której Elisa, choć niechętnie, może się zwrócić: Blanca Alerces.

– Witaj.

– Cześć. Ale niespodzianka, nie spodziewałam się ciebie.

– Muszę z tobą pomówić.

– Jeśli chcesz mi powiedzieć, że widujesz się z Carlosem, to nie trzeba. Już o tym wiem.

To był błąd szukać u niej pomocy. Carlos miał słuszość: to egoistka, która nie przejmuje się nikim poza sobą. Carlos... Tak za nim tęskni... Może gdyby do niego poszła, on by ją przytulił i wszystko wróciłoby do normy...? Ale nie, lepiej poczekać.

Blanca o nic nie pyta. Tyle lat przyjaźni, od dzieciństwa, i oto nieodwołalnie się od siebie oddaliły. Elisa przyznaje, że sama ponosi za to część winy; ale nie większą niż jej dawna przyjaciółka.

Propozycja tamtej kobiety, żebraczki spod kościoła, wzbudza w niej głęboki sprzeciw: miałyby zabić własne dziecko i w ten sposób „pozbyć się problemu”?

Nie, nigdy w życiu. Jaka szkoda, że Gonzalo jest w Paryżu; on by jej doradził.

Mimo wszystko wraca w tamto miejsce: z placu Progreso widzi budynek przy ulicy Magdaleny, gdzie spotykała się z Carlosem, ale idzie dalej, ulicą Atocha. Gdy jest ubrana, ciąży jeszcze nie widać, chociaż zmiany w ciele postępują. Nie wolno dłużej czekać, trzeba coś przedsięwziąć. Żebraczka siedzi przed kościołem Zbawiciela i Świętego Mikołaja jak kilka tygodni wcześniej.

– Pamięta mnie pani?

– Owszem, nie minęło znowu tak wiele czasu, choć w pani sytuacji liczy się każdy tydzień.

– Podjęłam decyzję. Muszę spotkać się z tą osobą, o której pani wspomniała.

– Proszę przyjść tu jutro o dziewiątej. Niech pani przygotuje czterdzieści duro¹, ale dokładną cenę poda pani sama zainteresowana. I niech się pani nie spóźni. Najlepiej kogoś wziąć ze sobą.

Nikogo nie weźmie, pójdzie sama. Już się nie cofnie.

* * *

– Nie pozwolę, by rozkazywała mi kobieta.

Blanca, nienawykła do takich sytuacji, odbiera te słowa jak policzek.

– Proszę wybaczyć, ale to polecenie Álvara Ginera, dyrektora Urzędu do spraw Ochrony Jeńców. Ja je tylko przekazuję.

– To niech pan dyrektor sam się tu pofatyguje, ja nie zamierzam słuchać byle kogo.

Mogłaby wrócić do Pałacu i opowiedzieć o tym, co się stało; Manuel, Álvaro i sam don Alfonso stanęliby po jej stronie, ba, gdyby poprosiła, ukaraliby tego osobnika, jednakże przecież nie o to chodzi: pozwalając, by ktoś rozwiązywał za nią jej problemy, niejako przyznałaby rację temu tutaj. Ministerialni urzędnicy mają wykonywać swoje obowiązki, czyli między innymi współpracować z Urzędem do spraw Ochrony Jeńców, bez względu na to, kto go akurat reprezentuje.

– Może pan poinformować swojego zwierzchnika, że chcę z nim mówić?

Tamten początkowo protestuje, niemniej po półgodzinie Blanca rozmawia już z jego szefem, zaproszona do znacznie bardziej reprezentacyjnego gabinetu.

– Podobno pragnie pani złożyć skargę. Uprzedzam, że ja się takimi sprawami nie zajmuję.

– Nie chodzi mi o składanie skargi, tylko o to, by pańscy podwładni robili, co do nich należy. Zresztą nie mówię teraz we własnym imieniu, tylko w imieniu króla. Sam pan zdecyduje, jak się do tej kwestii odnieść.

Straciła cały ranek, lecz wraca do Pałacu z dokumentami, po które poszła, uzyskawszy przeprosiny od aroganckiego urzędnika, zadowolona ze swego drobnego zwycięstwa. Jest tak szczęśliwa, że na ulicy Mayor przystaje przed ciastkarnią El Riojano, która zaopatruje rodzinę królewską, i chcąc uczcić swój

sukces z koleżankami z biura, kupuje „ciasteczka regencyjne”², takie same jak te zabierane niegdyś przez małego Alfonsa XIII na posiedzenia Rady Regencyjnej.

– Nie, Manuelu, ty nie jesteś zaproszony. Będziemy świętować w kobiecym gronie.

– A co świętujecie?

– To, że choć wszystko kosztuje nas dwa razy więcej niż mężczyźni, i tak sobie radzimy.

Niemniej po kilku minutach zapraszają do udziału w zabawie i panów. Śmierć miss Cavell była dla wszystkich ciężkim ciosem, po którym jeszcze się nie otrząsnęli. Takie okazje jak dzisiejsza pomagają zapomnieć, bo przecież zapomnieć trzeba. Jak to mówi Álvaro Giner przed pójściem wieczorem do domu: „Tylko przeczytam jeszcze jeden list, jeszcze tylko ten jeden”.

* * *

– Dziś zostanę na noc u Blanki. Może zresztą pojedziemy z jej rodzicami na wieś, więc nie będzie mnie przez kilka dni.

Pieniądze ma – nie musi prosić o nie ojca i wymyślać na co; oszczędzała od wielu miesięcy, chcąc kupić Carlosowi prezent: platynowy zegarek, taki jak ten, który dostał przed ślubem od Blanki i potem jej zwrócił. Teraz część tej sumy pójdzie na coś innego. Elisa wciąż nie wie, czy jej problem zostanie „rozwiązany” jeszcze tego samego dnia, czy może trzeba będzie czekać. Tak czy owak ma przy sobie umówione czterdzieści duro.

Pięć minut przed czasem jest już na miejscu.

– Chodźmy na targ – mówi żebraczka. – Tam na nas czekają.

Targ Antona Martina to zadaszona przestrzeń między placem o tej samej nazwie a ulicą Santa Isabel. Kobieta, z którą mają się spotkać, akurat rozmawia z właścicielem jednego ze straganów.

– Nie, nie dam pani zgniłych owoców.

– Woli je pan wyrzucić? Naprawdę? Choć jeszcze by się przydały...?

– Wolę je sprzedawać, póki są dobre. Albo pani płaci, albo do widzenia.

Elisa, podążając za żebraczką, podchodzi bliżej.

– Murcjanko, to jest pani, o której ci mówiłam.

– Szlag, te owoce są jeszcze całkiem dobre, można by je przetrzeć dla dzieci, ale nie, ci dranie wolą je wyrzucać!

Elisa jest przerażona, już niemal żałuje.

– Przyniosłaś pieniądze?

– Czterdzieści duro.

– Daj mi je.

Kobieta bierze zapłatę od Elisy i wraca do stoiska.

– Chciałeś pieniędzy? Ale ich nie dostaniesz, bo teraz kupię owoców u kogoś innego! Świnia!

Oddalając się, słyszą z tyłu wyzwiska handlarza. Grubiaństwa najwyraźniej nie robią na Murcjance wrażenia – odwraca się jeszcze i odpowiada w podobnym tonie. Elisa bardzo się jej boi; oddała się w ręce kogoś, kto ją przeraża.

– Idziemy do mnie. Od jak dawna wiesz, że jesteś w ciąży?

– Zaczęłam coś podejrzewać miesiąc temu, może pięć tygodni...

– Czyli musisz być już gdzieś w trzecim miesiącu. Szlag, długo zwlekałaś.

Im później, tym większe ryzyko.

Elisa rozgląda się wokół ze strachem. Nigdy nie przypuszczała, że w Madrycie są takie miejsca: byle jak pozbijane z desek, kryte nie wiadomo czym chaty pośród kałuż i stert śmieci. Przed domem tej całej Murcjanki wściekle ujada pies; rzuciłby się na nie, gdyby nie łańcuch. To o tej dzielnicy opowiadała kiedyś Blanca. Czy to możliwe, by się z Murcjanką znały?

Dom w środku wygląda nieco lepiej niż na zewnątrz, przynajmniej wydaje się czysty.

– Rozbierz się od pasa w dół. Przygotuję ci napar z ziół. Pierwszy raz to robisz, prawda?

– Tak.

– Kochanek nie chce nawet słyszeć o dziecku?

– Nie, nie kochanek... Narzeczony.

– Narzeczony? Nie łudź się. Gdyby się za takiego uważał, nigdy byś tu nie trafiła, przynajmniej nie sama. No chodź, mówiłam, żebyś się rozebrała.

Elisa spełnia polecenie. Zimno jej. Aż podskakuje, gdy drzwi się otwierają i do domu wchodzi jeszcze jedna kobieta.

To Cyganka, niezwykle zresztą piękna. Rozkłada na stole chyba czyste prześcieradła. Przez chwilę patrzy Elisie w oczy, potem jednak spuszcza wzrok i wychodzi bez słowa.

Murcjanka wrzuciła do garnuszka jakieś zioła i czeka, aż woda się zagotuje. Elisa nie wie, co robić; stoi, dygocąc, do połowy rozebrana.

* * *

– Pora, by Alicia wróciła do domu.

Bez względu na uczucia markizostwa Alerces Alicia ma matkę i powinna mieszkać razem z nią. Manuel czuje się zobowiązany, by o tym przypomnieć.

– Przecież ona tam biega samopas, śpi byle gdzie, znowu zachoruje. Dużo lepiej jej u nas.

Doña Ana przywołuje wszystkie dostępne argumenty.

– A gdybyśmy tej kobiecie zapłacili...?

– Mamo! To zupełnie, jakbyś chciała kupić od niej dziecko.

– Moglibyśmy dać jej pracę u nas. Mieszkałaby z córką, a my zapewnilibyśmy Alicii edukację.

Pomysł don Jaimego wydaje się Blance rozsądny, niemniej trzeba go

omówić z Manuelem.

– To żadne rozwiązanie, Blanco. To znaczy dla Alicii owszem, ale tylko dla niej. A co z innymi dziećmi z Las Injurias? Nie są aż tak milutkie, nie złapały cię pierwszego dnia za rękę, więc cię nie obchodzą i mogą sobie spokojnie umrzeć z głodu i zimna?

– Oczywiście, że mnie obchodzą. Ale chyba lepiej pomóc jednej Alicii niż nikomu, prawda?

– Nie jestem tego taki pewien. Bo jak już będziesz miała Alicię w domu, to co zrobisz? Zapomnisz o reszcie? Nadal będziesz zdobywała kredę i tabliczki, i buty dla pozostałych, czy zadowolisz się swoją nową zabawką?

– Zabawką? Jesteś... Jesteś wstrętny.

Strasznie się na niego obraziła i pewnie pozostałaby obrażona przez długie tygodnie, gdyby nie to, że po namyśle przyznała mu rację. Jest wiele podobnych do Alicii dziewczynek – w tym samym wieku i z takimi samymi problemami – które też mogą zachorować, ale nikt im wtedy nie pomoże. Czemu skupiać się na Alicii? Owszem, jest najładniejsza i najsympatyczniejsza, lecz czy dlatego powinna mieć lepiej niż inne? Choć, z drugiej strony, czy to powód, by odbierać jej szansę?

Powinni o tym jeszcze porozmawiać, jednakże przerywa im zdyszany Marcos, zatrudniony przez Álvara jako chłopiec na posyłki.

– Manuelu, chodź na chwilę.

Blanca słyszy, jak szepczą; nie rozróżnia słów, niemniej rozumie, że stało się coś złego, pewnie w Las Injurias. Manuel, bardzo zmartwiony, wraca, by opowiedzieć jej, o co chodzi.

– Do Murcjanki trafiła jakaś kobieta, która podobno cię zna. Marcos nie wie kto to taki, ale podobno z nią źle, powinniśmy tam jechać.

Marcos im towarzyszy. Pies Murcjanki jest przywiązany, lecz i tak swoim zwyczajem próbuje rzucić się na Manuela. W środku, mimo dwóch zapalonych świec, panuje mrok i Blanca w pierwszej chwili nie rozpoznaje kobiety, która leży na łóżku gospodyni. Dopiero po chwili zdaje sobie sprawę, że to Elisa.

– Co się stało?

– Dostała krwotoku.

– Trzeba ją zabrać do szpitala!

Murcjanka oponuje.

– Mowy nie ma. Lekarz już jedzie. To była aborcja, w szpitalu od razu się zorientują, a ona cały czas powtarzała, że ojciec by ją zabił. Prosto ze szpitala trafi do więzienia.

Przybycie lekarza ucina dyskusję.

– Niech wszyscy wyjdą. Potrzebuję więcej świec.

Blanca, już na zewnątrz, chodzi przed drzwiami w tę i z powrotem. Cyganka Carmen przyniosła jej z sąsiedniego domu szklankę wody. Murcjanka krąży

z czystymi ręcznikami i wrzątkiem.

– To ona tym się zajmuje, ta twoja przyjaciółka?

– Ja... Nie wiedziałem.

Przez kolejne pół godziny Blanca i Manuel milczą. Aż pojawia się lekarz.

– Mocno się wykrwawiła, ale mam nadzieję, że przeżyje. W każdym razie trzeba ją stąd zabrać. Tu jest zbyt wilgotno i zimno.

– Możemy ją przewieźć od razu?

– Lepiej poczekać do rana. Wydałem Murcjance dyspozycje co do lekarstw.

Kto mi zapłaci?

– Wszystko stało się tak szybko, że nie mamy przy sobie gotówki. Jutro osobiście zadbam, żeby dostał pan pieniądze – mówi Manuel.

– Tutaj płaci się od razu. Nie myśli pan chyba, że zaufam ludziom z Las Injurias?

Blanca odpina od sukni broszę i podaje ją lekarzowi.

– To wystarczy?

Elisa śpi, kiedy wracają do środka. Blanca znów się zdumiewa, widząc przyjaciółkę na wąskim łóżeczku, pod tanią kołdrą, w skąpo oświetlonym pokoju. Nigdy wcześniej dom Murcjanki nie wydawał się jej taki nędzny; w najgorszych snach nie połączyłaby Elisy z tym miejscem. Gospodyni się usprawiedliwia:

– Przykro mi, zbyt długo zwlekała. Cięża była bardziej zaawansowana, niż myślałam.

– A ojciec...? To Carlos de la Era?

– Nie wiem, mnie się takich rzeczy nie mówi. Ona twierdziła, że jej narzeczony. Biedaczka.

– Jeśli umrze, doniosę na ciebie. Przysięgam, że jeśli umrze, wylądujesz w więzieniu.

* * *

– Uważaj, ktoś cię wsypał.

Francuzi nie znają używanego teraz przez Franka nazwiska; nie wiedzą, że jako Marcel Malmaison mieszka na poddaszu w okolicach Montmartre'u. Wiedzą natomiast, że kręci się wśród nich Niemiec, niejaki Frank Heimer.

– Informacja przyszła z Berlina, od działającego tam szpiega.

– To ktoś ze Sztabu Generalnego?

– Nie. Zresztą to nawet nie informacja, tylko domysły. Pewnie od kogoś z dołu drabiny. Może to ktoś, kto poznał cię w Berlinie i teraz jedynie ostrzega...

Franka powiadamia o tym Jules Arles, rzekomo piekarz z południa Francji, prowadzący obecnie sklep przy Rivoli, a w rzeczywistości niemiecki szpieg Rudolph Strass, urodzony w Monachium, lecz wychowany w Pou. Wedle instrukcji Frank ma każdego poniedziałku zaglądać do jego piekarni i tyle; w razie problemów właściciel go zagadnie, jeśli nie – wystarczy wybrać pieczywo,

zapłacić i nie pokazywać się w tym miejscu przez kolejny tydzień. I oto Jules Arles po raz pierwszy z nim rozmawia.

– Domyślasz się, kto by to mógł być?

– Tak, mam pewne podejrzenia. Gustav Müller, wykładowca uniwersytecki z Berlina.

Powiedział to bez zastanowienia, ale jest niemal pewien: dawny kochanek za bardzo się nim interesował, zadawał zbyt wiele pytań.

– Przekażę to dalej.

Frank płaci za brioszki i idzie w stronę pobliskiej wieży Saint-Jacques. Dotarłszy na skwer, siada na ławce i obserwuje przechodniów. Gdyby nie duża liczba mundurów, można by wątpić, czy rzeczywiście trwa wojna: matki pchają przed sobą wózki z dziećmi, zakochani spacerują, maluchy się bawią, mężczyźni czytają na ławkach gazety... Słychać dźwięk skrzypiec, lecz Frank nie jest w stanie ustalić, skąd dobiega muzyka. Wspomina koncerty, na które chadzał z Gustavem Müllerem. Wojna wszystko zmieniała, także ich – od środka.

– Mogę się przysiąc?

Na ławkę opadł jakiś mężczyzna. Frank musi teraz bardzo uważać. Czy to któryś z jego towarzyszy? Czy zaraz wymówi jedno z wyuczonych przez Franka na pamięć haseł i podzieli się jakimiś nowymi informacjami? Czy może to francuski agent, który lada moment go zdemaskuje? Mówi po francusku z akcentem, ale te kilka słów nie pozwoliło Frankowi się zorientować – z jakim. Przez chwilę siedzą spokojnie; tamten nie próbuje nawiązać kontaktu. Może to po prostu ktoś, kto, korzystając z ładnej pogody, chce poczytać na powietrzu, co samo w sobie jest tak normalne, że aż nienormalne w nowym życiu Franka.

Po dłuższej chwili nieznajomy wstaje i odchodzi, zostawiwszy jednak na ławce swoją gazetę. To raczej nie przypadek. Frank zdejmuje płaszcz i kładzie go na zadrukowanych stronach. Znów przez jakiś czas patrzy na przechodniów. Potem sięga po płaszcz, dbając, by wraz z nim niepostrzeżenie podnieść z ławki gazetę.

Pełen niepokoju wraca na swoje poddasze: przez całą drogę się boi, że ktoś za nim idzie; że to pułapka i zaraz go aresztują. Gazeta jest po hiszpańsku, to „El Noticiero de Madrid”. Frank czyta ją od deski do deski, niczego nie znajdując. Dopiero przy drugiej lekturze zwraca uwagę na podpis pod jedną z wojennych korespondencji: hiszpański wysłannik w Paryżu nazywa się Gonzalo Fuentes. Czy tamten mężczyzna specjalnie mu to zostawił? Czy ktoś wie, kim on, Frank, naprawdę jest, i chciał go powiadomić? Frank nie ma pojęcia i obawia się, że nigdy się nie dowie.

Słyszając stukot butów na schodach budynku przy Jägerstrasse, gdzie mieszka, Gustav Müller nie próbuje uciekać ani nie zamierza stawiać oporu. Od dawna się tego spodziewał. Od początku wojny, kiedy zdecydował, że musi pomóc

Francuzom, choćby za cenę zdrady ojczystego kraju, byle tylko kajzer i stojący za nim pruscy wojskowi nie zdołali utrzymać władzy.

– Gustav Müller? Pójdzie pan z nami.

– Tylko wezmę dokumenty.

– To niepotrzebne.

Samochód, do którego go wsadzili, oddala się od centrum, zmierzając w stronę Poczdamu. Gustav ma tylko jedno pytanie.

– Czy wydał mnie Frank Heimer?

– Czy to nie ty wydałeś jego? Popełniłeś błąd, przez to wpadłeś.

Tak, oczywiście, to był błąd, ostatecznie kiedyś się z Frankiem przyjaźnili. Pewną pociechę stanowi fakt, że się jednak nie pomylił: Frank jest w Paryżu, szpieguje dla Niemców. Teraz, gdy już mu wszystko jedno, Gustav poniekąd życzy mu szczęścia. Niech Niemcy przegrają, wojskowi stracą władzę i możliwość realizacji swoich ekspansjonistycznych planów, ale Frank niech przeżyje. I niech zdoła zapomnieć o swojej zdradzie.

Przez dwa kolejne dni Frank nie pracuje dla swoich mocodawców, lecz wyłącznie dla siebie. Wreszcie zdobywa adres korespondenta hiszpańskiej gazety. Gonzalo mieszka przy ulicy Sommerard. Frank czeka tam na niego przez kilka godzin, aż widzi go wychodzącego z domu. Tak, to on, Gonzalo, jego madrycki kochanek.

Nie może go zaczepić; ogranicza się do pójścia jego tropem – do jednej z tanich, uczęszczanych przez studentów restauracyjek w okolicach Sorbony.

Gonzalo trochę się zmienił przez te miesiące, ale raczej chyba psychicznie niż fizycznie: znikło to chłopięce spojrzenie, którym patrzył wokoło mimo ukończonych dwudziestu dwóch lat. Najwyraźniej wydorósł.

Frank otrzymał gratulacje z powodu zdemaskowania Gustava Müllera. Jego dawny przyjaciel został zatrzymany i w trakcie przesłuchania podał nazwiska innych francuskich konfidentów w Niemczech. Frank dobrze rozumie, na czym polegało to przesłuchanie. Zrobił, co do niego należało, ale gdy jeszcze mieszkał w Madrycie, zanim to wszystko się zaczęło, nigdy by nie przypuszczał, że potrafi.

* * *

– Przepraszam, czy my się już gdzieś spotkałyśmy? Znam twoją twarz, ale nie wiem skąd.

Blanca nie ruszyła się z Las Injurias. Nie mogą zabrać Elisy od Murcjanki, póki stan chorej trochę się nie poprawi – jeszcze przynajmniej przez kilka godzin. Młoda Cyganka mówiąca z andaluzyjskim akcentem przyniosła jej gorącą kawę z mlekiem. To ta sama, która poprzedniego dnia podała jej szklankę wody, tyle że wtedy Blanca, przejęta stanem przyjaciółki, nie zwróciła na dziewczynę większej uwagi.

– Niedawno przyjechałam tu z Sewilli. Nie mogła mnie pani nigdzie spotkać.

Blanca się zastanawia: to niezwykle piękna twarz, z tych, których raczej się nie zapomina. Musiała ją gdzieś już widzieć...

– To ten obraz! Namalowany przez jakiegoś francuskiego malarza!

Dostała to płótno w prezencie ślubnym i potem musiała je odesłać. Jak się nazywał ten markiz z Sewilli, znajomy jej rodziców? Dobrze pamięta tamtą scenę, w przeddzień nieudanego wesela: obraz wisi w salonie, przedstawia dziewczynę przed lustrem, w koszuli nocnej z opadniętym ramiączkiem, tak zmysłowy, że bulwersuje doń Anę.

– Ten malarz to mój mąż, Jean-Marie Huguet.

Carmen opowiada: o swoim małżeństwie, sprzedanych obrazach, braku wieści od męża, wyprawie do Madrytu, kradzieży...

– Jestem w rozpacz. Coś mi mówi, że powinnam o Jeanie-Marie zapomnieć, uznać go za zmarłego i wrócić z synem do Sewilli... Ale nie potrafię.

– Pracuję w miejscu, gdzie możemy ci pomóc. Przyjdź do nas za kilka dni, jak uspokoi się ta sytuacja z moją przyjaciółką. Spróbujemy odnaleźć twojego męża.

Do tej pory pomagali osobom bez twarzy, znanym jedynie z listów, pełnych, owszem, bardzo osobistych kłopotów i lęków. Do Blanki dopiero teraz w pełni dociera – nawet jeśli wiedziała to wcześniej – że pracują dla prawdziwych ludzi, bezradnych, z trudem znoszących niepewność co do losu bliskich, bez względu na miejsce zamieszkania: francuską wioskę, niemieckie miasto czy hiszpańską dzielnicę nędzy...

* * *

– Zgodziłabyś się dla mnie pozować?

Rana nie zapewni Jeanowi-Marie zwolnienia ze służby: za trzy albo cztery tygodnie trzeba będzie wracać na front, do nowej kompanii, by zginąć lub patrzeć na śmierć kolejnych towarzyszy. Dlatego należy korzystać z pobytu na tyłach: z czystej, suchej pościeli, ciepłych posiłków i spokojnie, bez obaw przesypanych nocy. Jean-Marie zdążył już pozapominać martwych kolegów; musi się wysilić, by przywołać imiona i twarze tych, z którymi dzielił miesiące w okopach, a którzy nie mieli tyle szczęścia co on.

Madeleine jest pielęgniarką, też pochodzi z Paryża. Opiekowała się Jeanem-Marie po nocach i załatwiła mu zgodę na używanie strychu, gdzie mieści się magazyn szpitala polowego, zajmującego cały wielki dom na wsi na północy Francji. Na tym właśnie strychu teraz pozuje, sama zresztą zdobyła dla Jeana-Marie płótno i farby.

– W Paryżu też kilka razy pozowałam, dobrze płacili.

– Ja ci nic nie zapłacę, jestem biednym, rannym żołnierzem.

Widać, że dziewczyna ma wprawę: ani drgnie, trwa w narzuconej przez

malarza pozie, nie skarży się, nie protestuje.

- Po wojnie musisz mnie namalować jeszcze raz.
- Jeśli przeżyję, to bardzo chętnie.

Jean-Marie pracuje powoli, jakby miał to być jego ostatni obraz; jakby samo jego ukończenie oznaczało powrót na front i koniec dotychczasowego farta.

Zawsze lubił akty. Madeleine zgodziłaby się rozebrać, tyle że okoliczności temu nie sprzyjają. Dlatego ma na sobie swój zwykły pielęgniarski fartuch. Jean-Marie chciałby namalować wojnę, ale jeszcze nie wie jak; na razie ogranicza się do Madeleine, jej ubioru, ciała, twarzy...

Codziennie spędzają sam na sam kilka godzin. Potem, gdy wracają na dół, a Madeleine podejmuje swoje pielęgniarskie obowiązki, przysiada czasem przy łóżku Jeana-Marie, żeby jeszcze pogadać. Niekiedy to właśnie ona zmienia mu opatrunki.

- Całkiem dobrze to wygląda, niedługo cię wypiszą.
- Wolalbym, żeby ucieli mi tę nogę, byle nie wracać w okopy.
- Opóźnimy to tak bardzo, jak zdołamy.

Są sobie coraz bliżsi. Jean-Marie lubi rozmawiać podczas malowania i opowiada jej wiele rzeczy: o swojej młodości spędzonej w Paryżu, o swoich malarskich początkach, o wyjeździe do Sewilli.

- Nie dostajesz od Carmen listów?
- Nie pozwolili mi z nią korespondować.
- Może ja bym mogła pomóc... Za kilka tygodni jadę na urlop do domu.

Z Paryża na pewno da się nadać przesyłkę do Sewilli.

Od czasu rozstania Jean-Marie pisze do żony regularnie, ale nie może przecież wysłać jej tego długiego, skrajnie szczerego listu, który powstawał w okopach. W ciągu dwóch dni przygotowuje więc nowy. Opowiada w nim Carmen, jak się miewa, choć przedstawia wszystko tak, jakby nigdy nie znalazł się w prawdziwym niebezpieczeństwie, jakby jego rana była zwykłą błahostką i jakby frontowe noce stanowiły część wycieczki ze spaniem pod gwiazdami, a nie koszmar w każdej chwili grożący śmiercią; w jego relacji nie ma miejsca na głód, zimno i zabitych kolegów. Dopytuje się za to, jak czuje się Carmen i czy ich dziecko – syn czy córka? – urodziło się bez problemów.

- To wygląda już całkiem dobrze. Jutro pana wypiszemy.

Lekarz obejrzał nogę Jeana-Marie i nie ma rady: czas spokoju dobiega końca. Wkrótce zacznie się frontowa makabra. Obraz jest wprawdzie gotowy, lecz Madeleine i tak czeka na malarza w prowizorycznej pracowni na strychu: przyniosła butelkę wina, trochę sera i wędliny, tytoń.

– Może gdybym porozmawiała z lekarzem, dałby ci jeszcze kilka dni wolnego.

- Co mi po kilku dniach? Muszę jechać. Zatrzymaj sobie ten obraz, to

prezent.

Madeleine rozpina guziki pielęgniarskiego fartucha.

– Chciałam to zrobić od samego początku.

Jean-Marie również. Obiecał sobie nie sypiać z innymi kobietami niż Carmen, ale wtedy jeszcze nie wiedział, że jego życie przyjmie taki obrót; że przyjdzie dzień, kiedy ledwie postawiony na nogi będzie musiał wracać do rzeźni, za jedyną pociechę mając te kilka godzin w ramionach kobiety, której nie kocha, będąc jej jednak bardzo wdzięczny. Zerka w stronę drzwi.

– Spokojnie, nikt tu nie zajrzy.

Na wszelki wypadek podpiera kłankę krzesłem. Kiedy się odwraca, Madeleine zdejmuje właśnie okropną bieliznę, jaką dostaje się w wojsku. Ma ładne ciało, bardzo jasną, pokrytą piegami skórę; w niczym nie przypomina Carmen. Może zresztą każde ciało wydałoby się teraz Jeanowi-Marie ładne... On też się rozbiera. Po raz pierwszy się całują.

– I ja mam kogoś w Paryżu, ale dzisiaj chcę być z tobą.

Rozesłała na drewnianej podłodze koc; kładą się na nim. Jean-Marie woli nic nie mówić, jeszcze by mu się wyrwało imię żony. Skupia się na całowaniu, dotykaniu... Pragnie zapomnieć, choćby na kilka minut, że już jutro wróci w miejsce, gdzie będzie musiał zabijać lub zginąć.

* * *

– Jak się czujesz?

To pytanie retoryczne; nie trzeba być lekarzem, by widzieć, że Elisa czuje się fatalnie, chociaż i tak lepiej niż w poprzednie dni. No, ale wtedy przeszła piekło.

– Ojciec wie?

– Nie, ale nie zdołamy go długo okłamywać. Najpóźniej jutro musisz wrócić do domu.

– Wczoraj był tutaj Manuel, nasz nauczyciel maszynopisania, prawda?

– Tak, to jego pokój.

Elisa odzyskała przytomność, a jednak Blanca nie mówi jej nic z tego, co sobie myślała przez te dwa dni, które upłynęły od czasu, gdy zabrali ją od Murcjanki. Nie wybaczyła dawnej przyjaciółce, nie wyrzuca jej wszakże romansu z Carlosem. Czuje się zawiedziona i znużona. Chciałaby już wrócić na ostatnie piętro Pałacu, zając się pracą i zapomnieć o tych, którzy nie bardzo zasługują na jej pomoc.

Dziś wzięła sobie wolne, lecz jutro z rana bezwzględnie musi iść do biura. Manuel zresztą też.

– Chyba trzeba powiadomić Gonzalę.

– Mój brat jest w Paryżu, nic go nie obchodzi. Nawet się ze mną nie pożegnał przed wyjazdem.

– Nie przekręcaj faktów. To ty nie chciałaś go widzieć. To ty popełniłaś te wszystkie błędy, ty i nikt inny.

Elisa płacze. Blanca żałuje, że dała się ponieść złości i odezwała się tak ostro.

– Myślałam, że Carlos mnie kocha. Straszna ze mnie idiotka. Zawsze się w nim kochałam, jeszcze kiedy był z tobą. Nawet nie wiesz, jak się ucieszyłam, kiedy odwołałaś swój ślub.

Blanca jej przerywa. Nie życzy sobie tego wysłuchiwać, wszystko jej jedno, ich przyjaźń należy do przeszłości i motywy działań Elisy nie mają żadnego znaczenia. Pragnęłaby, żeby Elisa mogła już wstać, pójść do siebie i zniknąć z jej życia. Może dobry człowiek nie powinien w ten sposób tego odczuwać, ale trudno.

– Niedługo zjawi się Manuel, a ja będę musiała wracać do domu. Powinnaś się wcześniej umyć.

W większości budynków w uboższych dzielnicach Madrytu nie ma łazienek, tylko wychodki. Lokatorzy domu, w którym mieszka Manuel, chodzą się kąpać do łaźni publicznej przy ulicy Valencia. Elisie zostaje miska z letnią wodą i szmatka – to bardzo niewygodne mycie, zajmuje niemal godzinę. Smutną, pełną napięcia godzinę, w czasie której prawie się do siebie z Blancą nie odzywają.

* * *

– Sąsiedzi prosili, bym panu przypomniał, że tu nie wolno urządzać zabaw.

Gonzalo wprowadził się do mieszkania, które zajmował wcześniejszy korespondent gazety: dwupokojowej klitki z oknami wychodzącymi na podwórze, przy ulicy Sommerard w Dzielnicy Łacińskiej. Szefostwo nie kryło, że jego poprzednik nie zrezygnował, tylko został zwolniony, bo nie wywiązywał się z obowiązków. Sąsiedzi od razu poinformowali Gonzala, że był alkoholikiem, uaktywniał się jedynie po nocach, kiedy urządzał awantury ze sprowadzonymi do domu kobietami, tanimi prostytutkami wynajdywanymi w najgorszych spelunkach miasta. Gonzalo go nie poznał; ten cały Raúl opuścił Paryż dwa tygodnie przed jego przyjazdem, niemniej zostawił w mieszkaniu dużo osobistych rzeczy, między innymi dziwną kolekcję własnych zdjęć: jest ich dwanaście, po jednym na każdy rok spędzony w Paryżu, ostatnie zrobione ledwie kilka dni przed wyprowadzką. Dobrze pokazują jego przemianę z młodego eleganta w postarzałego mężczyznę o źle obciętych włosach i nieprzystrzyżonej brodzie, z wyglądu niemal żebraka. Gonzalo chętnie by się dowiedział, co takiego przytrafiło mu się w Paryżu, że tak nisko upadł; może odpowiedź na to pytanie kryje się w nieuporządkowanych papierach znalezionych w jednym ze schowków pod sufitem. Na razie jednak trzeba się skupić na czymś innym: Gonzalo codziennie wysyła do redakcji korespondencję, wkręca się, gdzie tylko może, zdobył też pozwolenie na wizytę na froncie.

Nie zna w Paryżu zbyt wielu ludzi, wychodzi więc tylko po to, by pracować

lub coś przekazać w którejś z okolicznych co tańszych restauracji. Usiłuje być na bieżąco, szuka informacji o strefach walk, przyjmowanych przez obie strony konfliktu strategiach, liczbie żołnierzy, wykorzystywanym uzbrojeniu... Tak długo unikał wszystkiego, co wiązało się z wojskową karierą ojca, i proszę: oto w Paryżu zajmuje się wyłącznie tym, by wiedzieć o metodach niszczenia przeciwnika tyle samo lub nawet więcej niż generał Fuentes.

Ostatniego wieczoru w Madrycie poszedł do lokalu przy ulicy Flor razem z Benitem, kolegą z redakcji. Właściciel, człowiek bywały, dał mu całą listę adresów paryskich klubów dla mężczyzn. Gonzalo nie wybrał się do żadnego. Choć od wyjazdu Franka minęło wiele miesięcy, z nikim od tamtej pory nie spał i nie ma na to ochoty.

* * *

– Elisa omal przez ciebie nie umarła.

Oburzenie skłoniło Blancę do niespodziewanego posunięcia: poszła do Carlosa do domu, zadzwoniła do jego drzwi i kazała pokojówce poprosić pana. Czekając w saloniku, pożałowała swojego kroku: przecież tak tym człowiekiem gardzi... Jednakże na jego widok znów poczuła słuszny gniew. Tacy ludzie nie powinni chodzić po świecie z podniesioną głową.

– Ciekawe, kto jej zrobił dzieciaka. Trudno dociec. Twoja przyjaciółka świadczy usługi, o które człowiek nie śmiałyby prosić najgorszej markietanki. Ty też? Sypiasz z Ginerem i tym drugim, tym gryzipiórkim? Może nawet jednocześnie...

Blanca była kiedyś w Carlosie zakochana, potem te dobre uczucia zamieniły się w obojętność, a jeszcze później w pogardę. Teraz jest pełna nienawiści, nie rozumie, jak mogła stanąć z kimś takim przed ołtarzem, do tego stopnia się pomylić... Gdyby urodziła się mężczyzną i żyła pół wieku wcześniej, wyzwalałyby go na pojedynek, jak robili dawniej dżentelmeni, albo zwyczajem prostaków stłukłaby go na kwaśne jabłko.

– Kiedyś za to zapłacisz.

– Tak, pewnie pójdę do piekła. Ale to dopiero za jakiś czas. Wcześniej zapłacisz ty. Już ci to mówiłem i jeszcze raz powtórzę.

Do pokoju wchodzi matka Carlosa, uprzedzona o wizycie przez służbę.

– Idź stąd. Nie jesteś tu mile widziana.

– Pani syn jest sprawcą ciąży mojej przyjaciółki.

– Tak kończą dziwki chodzące do łóżka z kim popadnie. Wynoś się.

– Ona prawie umarła.

– Byłoby o jedną grzesznicę mniej. Niech Bóg nas przed takimi uchroni! I słyszałaś, co mówię: wynocha.

Pałacyk, w którym Carlos de la Era, książę Camino, mieszka ze swoimi rodzicami, stoi przy Paseo de la Fuente Castellana, przedłużeniu Paseo de

Recoletos. Blanca niemal biegnie, jeszcze bardziej rozjuszona, niż kiedy szła w tamtą stronę, wściekła na Carlosa, na jego matkę i na Elisę, leżącą teraz w pokoju wynajmowanym przez Manuela.

– Blanca!

Ktoś ją woła ze wspaniałej, nowiusieńkiej czerwonej lancierki. Nie spodziewała się spotkać Álvara Ginera.

Siadają przy jednym ze stolików w Café Gijón, niedaleko miejsca, gdzie się na siebie natknęli. Wyglądają przez okno na przechodniów; prawie wszyscy przystają, by podziwiać samochód.

– Jaki ładny! Nowy?

– Przysłali mi go przed tygodniem. To lancia, prosto z Włoch.

– Prześliczny.

– Tak, ale zbyt drogi. Ojciec się uparł. Chcesz się przejechać? – Jasne!

– Umiesz prowadzić?

– Ja? Skąd.

Blanca, zawstydzona, wraca na ulicę Sombrerete, do pokoju Manuela, gdzie czeka na nią Elisa. Wychodząc, mówiła, że to na chwilę: chciała tylko wpaść do Carlosa, a minęło już niemal sześć godzin... Bez wątpienia najlepszych w ostatnich miesiącach. Álvaro Giner zawiózł ją do parku Casa de Campo. Tam zamienili się miejscami i uczył ją jeździć. Ależ to była zabawa!

– Dobrze ci idzie, po dwóch czy trzech lekcjach będziesz lepszym kierowcą niż większość mężczyzn.

– I co mi z tego przyjdzie?

– Żadne prawo nie zabrania kobietom jeździć autem.

Niektóre z mijanych osób aż odskakują na widok damy za kierownicą tego niezwyklego czerwonego samochodu.

– Byłabym sławna w całym Madrycie, pisaliby o mnie w gazetach.

– Jeszcze jeden powód, żeby się nauczyć. Podobno w Stanach Zjednoczonych kobiety często prowadzą samochody, ba, nawet ciężarówki.

– Amerykanie to szaleńcy.

– Bez dwóch zdań. Ale już niedługo pójdziemy w ich ślady. Może zjesz ze mną obiad? Zabiorę cię w okolice Humery, do lokalu, gdzie podają najlepszego królika w całej Hiszpanii. Co ty na to?

Teraz, wracając do rzeczywistości, do Manuela Lopego, Elisy i kłopotów, Blanca ma wyrzuty sumienia, że spędziła czas tak wesoło i zgodziła się pójść z Álvarem na obiad. W drodze powrotnej do Madrytu przez moment miała wrażenie, że szef ją pocałuje. Chwała Bogu, że tego nie zrobił: musiałaby go odepchnąć, choć przecież wbrew sobie.

– Jak tam Elisa?

– Dobrze, śpi. Byłem w aptece El Globo po lekarstwa.

– Przepraszam, że zeszło mi tak długo.

– Nie szkodzi, pewnie miałaś coś do załatwienia.

Manuel z oddaniem opiekuje się Elisą. Nie wiedział, że Murcjanka usuwa ciążę, i czuje się odpowiedzialny.

– Będę z tobą szczerzy. Wiedziałem, że coś jest na rzeczy, ale sądziłem, że chodzi o paserstwo. Zresztą o nie zapewne też. I jeszcze o wiele innych rzeczy, o których się nigdy nie dowiemy.

Jego pokój jest całkiem przestronny; mieści się na drugim piętrze stosunkowo nowego budynku w dzielnicy Lavapiés, czyli dawnym madryckim getcie.

– Rozmawiałaś z nią?

– Obudziła się na chwilę w południe. Dałem jej trochę rosółu. Ale nic nie mówiła, tylko płakała przez cały czas.

Jak ona, Blanca, mu się za to wszystko odwdzięczy? Z dała od Álvara znów czuje, jak ją ciągnie do Manuela, do tej jego prostej szlachetności.

– Cóż, teraz ja muszę wyjść. Do Ateneum Ludowego. Niedługo ci wyjaśnię, o co chodzi, to niespodzianka.

Blanca zostaje sama z Elisą, która wciąż śpi. Może to i lepiej.

Życie Blanki w ostatnim roku ogromnie się zmieniło. Wszystko, co wcześniej było jej drogie, zeszło na drugi plan: Elisa z przyjaciółki zamieniła się w nieznajomą, były narzeczoney okazał się kanalią, wygodne życie dobrze urodzonej panienci zastąpiła praca w Urzędzie do spraw Ochrony Jeńców, a uczucia wobec Manuela i Álvara wciąż nie dają się uporządkować. Tak czy owak Blanca czuje się bardziej wolna niż kiedykolwiek.

– Papo, a co byś powiedział, gdybym chciała nauczyć się prowadzić auto?

Don Jaime akurat czyta w bibliotece; jakie to szczęście, że zawsze można na niego liczyć, choć tyłu bierze go za nieszkodliwego wariata.

– Nie mam nic przeciwko. Myślę, że każdy powinien to umieć. Wiesz, że większością angielskich ambulansów kierują teraz kobiety?

Duro – nieoficjalne określenie monety o wartości pięciu peset. [wróć]

Po hiszpańsku *pastas del Consejo*. [wróć]

7.

Álvaro, pod wieczór, jak to się skończy, chciałbym z tobą porozmawiać o twoich planach rozwoju naszej działalności...

Słońce jeszcze nie wzeszło, gdy uczestnicy polowania z królem – łowczy, przyjaciele, pomocnicy i rusznikarze, naganiacze i stajenni – zbierają się do drogi. Obficie posilili się wędlinami, jajami, serem i piklami. To stosowne śniadanie, zważywszy, jaki dzień ich czeka. W południe dostaną tylko zwykłą dla takich okazji lekką przekąskę. Obecność króla przyciągnęła tylu gości, że wygląda to bardziej na przygotowania do bitwy niż na polowanie.

Álvaro i don Alfonso nie mieli sposobności porozmawiać w trakcie podróży pociągiem z Madrytu do Santander, a stamtąd – samochodami podstawionymi przez markiza Viana – do miejscowości Liébana w paśmie Picos de Europa. Na miejsce dotarli wczoraj po południu, zostali powitani przez lokalne władze, na których ręce król przekazał tysiąc reali dla ubogich. W okolicy nie dochodzi do żadnych protestów, mieszkańcy są zadowoleni z królewskiej wizyty i nieustannie to okazują, organizując imprezy, sypiąc kwiaty na drogę, wnosząc pochwalne okrzyki... Kiedy Alfons XIII rusza na polowanie, ciekawscy tak się tłoczą, że Gwardia Cywilna musi ich trzymać w odległości kilometra od myśliwych z obawy, by któryś zamiast zwierza nie ustrzelił człowieka.

Monarcha i jego najbliżsi przyjaciele zatrzymali się w uroczej Willi Królewskiej, oddanej do użytku ledwie dwa lata wcześniej, a zbudowanej niebywałym wręcz kosztem stu pięćdziesięciu tysięcy peset wyłożonych przez Asturyjską Kompanię Wydobywczą, by Alfons XIII miał gdzie nocować, kiedy wybiera się na polowanie do lasów udostępnionych mu przez gminy Liébana, Valdeón i Cabrales. Reszta liczego towarzystwa ulokowała się w jakimś tuzinie namiotów rozbitych na wielkiej łące przed willą.

Okolica obfituje w grubszą zwierzynę, zwłaszcza kozice. Don Alfonso lubi tu polować, już jego ojciec bywał w tych stronach, a on sam przyjeżdżał tutaj wcześniej kilkakrotnie, jednakże po raz pierwszy towarzyszy mu Álvaro Giner. Przyjaciel nie ma doświadczenia w niełatwych górskich wyprawach, woli polowania na dziki na południu Hiszpanii, z psami, obławą i stanowiskami strzeleckimi odległymi jedno od drugiego o setki metrów.

Pojadą konno, dokąd się da, a potem ruszą pieszo. Markiz Viana, główny królewski łowczy, już wydał rozkazy stajennym, by przygotowali wierzchowce. Będą się wspinać ku Puertos de Áliva i dalej, do miejsca nazywanego Tiros del Rey – co znaczy „królewskie strzały” – na pamiątkę pierwszych strzeleckich prób podjętych tu przez ojca obecnego monarchy w trakcie jego pierwszej podróży do Picos de Europa.

Álvaro obserwuje organizatora wszystkich wypraw Alfonsa XIII w góry.

Markiz Viana przybył na miejsce cztery dni temu i nie spocznie, póki wszyscy nie wrócą do Madrytu. Zna swoje obowiązki i wywiązuje się z nich doskonale, zawsze czujny, gotów na każde skinienie króla. Wczoraj wieczorem, kiedy popijali koniak przed kominkiem, opowiedział Álvarowi o kłopotach z linią telegraficzną, konieczną, by don Alfonso mógł pozostawać w kontakcie z Madrytem: kozice na kilku odcinkach uszkodziły druty. Trzeba było je na gwałt naprawiać i ustawić strażę, by sytuacja się nie powtórzyła.

Markiz musi sobie radzić z podobnymi niespodziankami, a zarazem dbać o wizerunek monarchy: sprytnym posunięciem okazała się zgoda na to, by kilku wybranych górali miało okazję porozmawiać z królem, opowiedzieć mu o swoich problemach, poprosić go o pomoc albo tylko z bliska pozdrowić. Gazety podchwycą to z zapałem, sympatia ludu do rodziny królewskiej wzrośnie, a don Alfonso nawet nie będzie podejrzewał, że jego rozmówcy zostali starannie dobrani.

Stanowisko strzeleckie Álvaro sasiaduje z pozycją króla. Nikt nie spodziewa się ataku żadnych radykałów, od jakiegoś czasu jest z nimi spokój, jednakże lepiej, by don Alfonso miał wokół siebie tylko najbardziej zaufanych ludzi. Tak czy owak strzelcy się nawzajem nie widzą. Álvaro usadawia się wygodniej, poprawia strzelbę i czeka.

Jest niezwykle zadowolony z pracy w Urzędzie do spraw Ochrony Jeńców. To, co zaczęło się jako narzucony mu przez króla obowiązek, szybko stało się podstawą jego egzystencji. Po raz pierwszy w życiu czuje się przydatny społeczeństwu; nawet jako lekarz wojskowy nie odczuwał tego tak wyraźnie. Teraz codziennie pędzi do Pałacu już z samego rana i pracuje bez wytchnienia, a często wychodzi z biura ostatni. Niemal całkowicie zmienił przyzwyczajenia: nie bywa w teatrze ani na przyjęciach, nie miewa kochanek, ba, zrezygnował nawet z wizyt w swoich dobrach pod Toledo, gdzie zwykł kiedyś polować na zające i króliki. Na tę eskapadę zgodził się tylko z tej przyczyny, że król prosił go o to osobiście, poza tym straci jedynie cztery dni, a od dawna nie dawał sobie chwili wytchnienia.

Przed wyjazdem z Madrytu wezwał do siebie Blancę i Manuela i wydał im odpowiednie instrukcje: jakie listy należy wysłać pod jego nieobecność, z czym na niego poczekać, do kogo zadzwonić w razie problemów w tym czy innym ministerstwie, jak sobie radzić z ciągłymi biurokratycznymi szykanami.

Uważa tę dwójkę za świetnych współpracowników, choć czasem ma wątpliwości, czy oni rewanżują mu się tym samym; czy staje na wysokości zadania. Blanca bardzo mu się podoba, do tego stopnia, że czasem nachodzą go myśli, czy nie powinien zapomnieć o jej nieudanym narzeczeństwie i zacząć się o nią starać. Manuel natomiast stanowi pewnego rodzaju zagadkę: pracuje za dwóch, jest bardzo inteligentny i zawsze gotów działać, ale zachowuje dystans. Jak gdyby coś ukrywał. Álvaro niekiedy się zastanawia, co łączy tych dwoje: widać, że dobrze się ze sobą czują, mają do siebie nawzajem wielkie zaufanie. Manuel nie

dorównuje wprawdzie Blance pozycją społeczną, niemniej bywały już takie związki, a Blanca nie wydaje się specjalnie przejmować konwenansami.

I oto słyhać pierwsze strzały. Álvaro jakoś nie ma szczęścia i pierwsza kozica pojawia się w zasięgu jego wzroku dopiero niemal godzinę później. To piękne zwierzęta, takie zwinne. Álvaro wolałby po prostu oglądać, jak skaczą po skałach, ale ostatecznie jest na polowaniu. Unosi broń i strzela, bez przekonania, więc chybia; i dobrze, jeszcze będzie miał szansę, na razie sobie popatrzy. Kozica i tak nie uniknie swego losu: zaraz trafi na innego myśliwego, bardziej zapalonego do polowań.

Do końca dnia ma na koncie dwie ustrzelone sztuki; żadnego porównania z dwunastoma ofiarami don Alfonsa. Niewykluczone zresztą, że nie wszystkie te zwierzęta upolował sam monarcha, jednakże nikt się przecież z królem nie będzie wyklócał. Zresztą to dopiero pierwszy z trzech dni polowania; w sumie mają już dwadzieścia pięć kozic.

Wracają do królewskiej rezydencji, jak zwykle komentując swoje wyczyny i niepowodzenia, co piękniejsze widziane osobniki, plany względem poroży kozłów.

– Álvaro, przejdźmy się jeszcze.

Czekając na uroczystą kolację (bulion, pieczone kapłony, jakaś lokalna dziczyzna), spacerują wokół domu. Rozciągają się stąd doprawdy przepiękne widoki. Don Alfonso swoim zwyczajem pali czarny kanaryjski tytoń.

– Czytałem twoje pismo na temat inspekcji przeprowadzanych przez naszą dyplomację w obozach jenieckich.

Álvaro narzekał w nim, że wprawdzie niektóre z raportów, jak choćby te nadsyłane przez lekarzy wojskowych José Barreirę czy Antonia Ferratgesa, są bez zarzutu, niemniej jako dyrektor Urzędu do spraw Ochrony Jeńców chciałby mieć dokładniejszy wgląd w tę sprawę.

– Widać, że niektórzy z naszych wysłanników, na szczęście nieliczni, w ogóle nie odwiedzają tych obozów, a jeśli nawet, to nie rozmawiają z więźniami, ograniczając się do pogawędek przy obfitym obiedzie z niemieckim czy francuskim komendantem.

– Po powrocie ustanowimy ścisłe procedury. Chciałbym oczywiście, żebyś to nadzorował.

– Dziękuję, Wasza Królewska Mość.

Sytuacja jeńców, wyłączwszy Rosjan, traktowanych prawie zawsze ze szczególnym okrucieństwem, jest bardzo różna. Niektórzy, zwłaszcza oficerowie, nie mają się na co skarżyć; część szeregowców trafia do pracy w gospodarstwach rolnych po stronie wroga, gdzie spotyka się z przyzwoitym przyjęciem; nawet w niektórych obozach szanowane są prawa więźniów. Jednakże są również takie miejsca, w których łamie się podstawowe prawa człowieka, uwięzionych głodzi się

i sprowadza do poziomu zwierząt.

– Postaram się też zająć tym, o co od dawna prosicie: żebyśmy wzięli na siebie nadzór nad wymianą jeńców. Przede wszystkim między Niemcami a Francją, ale i Anglicy mogliby być zainteresowani.

– To doskonała wiadomość.

– Chodziłoby o chorych i z powodu kalectwa niezdolnych do dalszej walki, jak również o ojców rodzin wielodzietnych.

– Czy są już jakieś wstępne ustalenia w tej sprawie?

– Tak, ale takich rzeczy nie załatwia się listownie. Będziesz musiał się wybrać do Paryża i Berlina, a może i do Londynu... Ale to po Bożym Narodzeniu. Jak wrócimy do Madrytu, porozmawiaj z Candeleirą. Mój sekretarz pomoże ci wszystko zorganizować. Powinieneś zabrać ze sobą tę małą Alerces, Blancę. To rozsądna dziewczyna, będziesz miał w niej oparcie.

* * *

– Jest list do pana, panie Fuentes.

Konsjerżka podaje Gonzalowi kopertę. Bez znaczka. Gonzalo otwiera ją z zaciekawionym – nie zna w Paryżu nikogo, kto mógłby się z nim porozumiewać taką drogą.

Mam się dobrze i cieszę się, że Ty również.

Kocham Cię.

Frank

Tak, dobrze zna ten charakter pisma. Czyli Frank jest w Paryżu i go gdzieś widział. Ale co on tu robi? To niemożliwe, przecież Niemcy są z Francją w stanie wojny...

* * *

Frank nie może zasnąć. Teraz, gdy wytrzeźwiał po wypitej wcześniej butelce koniaku, rozumie, że popełnił wielki, straszliwy błąd. Zostawił kopertę, samemu nie będąc widzianym, przeświadczony, że Gonzalo nigdy by go nie zdradził, ale już wcale nie jest tego taki pewien: ostatecznie był pewien, że kochanek przyjdzie się z nim pożegnać tamtego ostatniego wieczoru w Madrycie, a jednak się nie zjawił. No i z jego korespondencji jasno wynika, że sympatyzuje z ententą.

Wychodzi na pogrążoną w mroku ulicę. Od kiedy kilka dni temu zobaczył Gonzala, zaniedbuje się w obowiązkach. Gdyby jego zwierzchnicy się zorientowali, że o mało sam się nie zdemaskował, przy okazji narażając na niebezpieczeństwo dużo innych osób, z pewnością natychmiast by go zlikwidowali. Trzeba się uspokoić, zająć pracą, zapomnieć.

Na ulicy Pierre Lescot, niedaleko Hal, mieści się łaźnia, w której bywa wielu brytyjskich żołnierzy. Frank nie przepada za takimi miejscami, przypadkowe kontakty seksualne nigdy go nie zaspokajały, dziś jednak tam zajrzy. To dobra okazja, by nawiązać kontakt z jakimiś oficerami, może się czegoś od nich dowiedzieć.

Nie jest to zwykła publiczna łaźnia, jedna z tych, którymi Francuzi rekompensują sobie brak łaźni w większości paryskich mieszkań; to lokal wyłącznie dla mężczyzn, bez specjalnego powodzenia stylizowany na starożytne łaźnie rzymskie. Bywalcy spacerują tu owinięci w pasie ręcznikami, rozglądają się, uśmiechają, porozumiewają wzrokiem, po czym znikają w co bardziej ustronnych kątach.

Frank wybiera wysokiego przystojnego rudzielca. Potem się dowie, że to walijski kapitan; szczęście mu sprzyja. Już po pięciu minutach gawędzą w najlepsze, a po kwadransie odchodzą razem na bok.

– Po co miałabym kłamać, panie Fuentes? Nie wiem, kto zostawił ten list. Wsunął go pod drzwi, jak mnie nie było.

Niemcy nie mają w Paryżu swoich dyplomatów, reprezentują ich tutaj Szwajcarzy, podobnie jak Francuzów w niemieckiej stolicy – Hiszpanie. Niemieccy dziennikarze też nie są tu mile widziani, wymiana handlowa ustała. Frank musi się zatem ukrywać. Jak go znaleźć? Raczej się nie da, poza tym niewykluczone, że takie poszukiwania ściągnęłyby na niego uwagę Francuzów i skończyłyby się jego rozstrzelaniem. Już lepiej mieć oczy szeroko otwarte i czekać, aż sam się znowu odezwie.

Gonzalo sięga po listę, którą otrzymał od właściciela madryckiego lokalu przy ulicy Flor: są tu kawiarnie, dansingi, kabarety, nawet jedna łaźnia. Czy w którymś z tych miejsc odnajdzie kiedyś Franka? A może to Frank odnajdzie tam jego? Tak czy owak trzeba się ruszyć, papiery po poprzednim korespondencie nie uciekną.

Trudno sobie wyobrazić Franka, zawsze tak wyrafinowanego, wśród tych mężczyzn, którzy szukają szybkiej rozkoszy w parkach i ciemnych zaułkach. Gonzalo z łatwością ich rozpoznaje: rozumie te spojrzenia, ten kod. W ciągu kilku minut dostaje kilka propozycji, którym jeszcze dwa lata temu, zanim spotkał Franka, nie potrafiłby się oprzeć.

Cóż, dzisiaj nie miał szczęścia, ale będzie się kręcił po takich miejscach tak długo, aż osiągnie swój cel.

Frank odprowadził walijskiego kapitana do jego pokoju w hotelu przy placu Madeleine. Teraz budzi się u jego boku. Rudzielec śpi, za dużo poprzedniego wieczoru wypił. Z łaźni poszli razem do kabaretu, gdzie obejrzeni spektakl

ośmieszający niemieckich żołnierzy.

Frank szpera wśród rzeczy kochanka i znajduje bardzo ciekawe mapy. Nie wie, co na nich zaznaczono, ale z pewnością chodzi o obiekty wojskowe. W jakimś berlińskim biurze zajmą się nimi specjaliści.

Akurat chowa mapy, chcąc już wyjść, gdy Walijczyk podnosi się z łóżka.

– Co robisz?

Rzuca się na niego. Frank nie ma wyboru: wykorzystując wywołaną kaczem niezbornością ruchów przeciwnika, kilkakrotnie dźga go wziętym ze stołu nożem do otwierania listów.

Gdy jest już pewny, że tamten nie żyje, przebiera się w jego ubrania, a własne, zakrwawione, chowa do torby. Wychodzi z hotelu, nikt go nie zaczepia. Łapie taksówkę, której kierowca, zagorzały patriota, przez całą drogę peroruje:

– Tym razem damy tym *boches* tak popalić, że już się nie podniosą.

Wróciwszy do siebie, Frank bierze gorącą kąpiel i siedząc w wannie, myśli o zamordowanym brytyjskim żołnierzu. To pierwszy człowiek, którego zabił, a już nie pamięta jego nazwiska. I wcale nie odczuwa wyrzutów sumienia. Tak, wojna bardzo go zmieniła; nie wiadomo, czy jeszcze kiedyś będzie taki jak dawniej.

* * *

– Mamy tyle pracy, a on sobie poluje na kozice! Cokolwiek to jest...

– Rodzaj kóz.

– No właśnie. Dla takich ludzi kozy są ważniejsze od naszych zadań.

W podobnych chwilach Blanca załamuje ręce. Manuel, zdaje się, nie rozumie, że król i Álvaro naprawdę dużo robią; ostatecznie to dzięki nim to wszystko się zaczęło.

Pod nieobecność szefa problemy się mnożą: Francuzi zwlekają z nadesłaniem nowych list jeńców; jakiś urzędnik z Ministerstwa Wojny zawieruszył gdzieś raport z inspekcji obozu w saksońskim Merseburgu; Camila Nebot, jedna ze współpracownic, nie przychodzi do biura z powodu zaraźliwej gorączki tyfoidalnej, na którą zapadła jej siostra, przy czym, na znak solidarności z kolegami, poprosiła, by dla uniknięcia opóźnień przysłano jej materiały do domu.

Blanca i Manuel nie mają nawet chwili dla siebie, aż w końcu zostają w biurze sami. Blanca podchodzi do kolegi i ośmiela się przez chwilę masować mu barki. Gdyby ktoś ich tak zobaczył, byłby prawdziwy skandal.

– Co za okropny dzień.

Manuel jest zaskoczony tym fizycznym kontaktem, ale tego nie okazuje. Zaczyna się skarżyć na kłopoty, które na nich spadły, byle tylko jak najdłużej czuć ciepło jej dłoni.

– Nie mów tak, okazał się całkiem owocny. Wiesz, na ile listów odpowiedzieliśmy dziś pozytywnie? Na szesnaście! To nasz drugi w kolejności najlepszy wynik. I spójrz na to: przyszło z Rosji, ale po hiszpańsku, a sprawa od

razu się rozwiązała, bo mieliśmy już przesyłkę od syna nadawczyni, tylko nie wiedzieliśmy, dokąd ją dalej skierować.

Blanca sięga po leżącą na stole kopertę; masaż dobiega końca.

Najjaśniejszy Panie,

z różnych stron słyhać głosy zachwycone pomocą, jakiej Wasza Królewska Mość i Jego wspaniały kraj udzielacie potrzebującym, dlatego zdecydowałam się napisać ten list, w nadziei na litościwą uwagę.

Mój syn, porucznik armii rosyjskiej Nikołaj Strawiński, został ranny w walkach, które we wrześniu toczyły się pod Wilnem. Jego ciała nie odnaleziono, więc podobno szansa na to, że przeżył, jest niewielka. Ja jednak czepiam się nadziei, że może trafił do niemieckiej niewoli i otrzymał pomoc medyczną. Zdaję sobie sprawę, że takich przypadków są tysiące i że ten nie wygląda najlepiej, ale jest, jak jest, a Nikołaj to mój jedyny syn.

Proszę przyjąć wyrazy ufności i wdzięczności od wiernej sługi.

Za każdym razem, gdy mogą przekazać list od krewnych jakiemuś jeńcowi albo zapewnić tę czy inną rodzinę, że ich syn, mąż, narzeczony lub brat żyje i ma szansę na powrót do domu, Blanca cieszy się tak samo jak na początku; jak wtedy, gdy na liście francuskich jeńców w niemieckich obozach znaleźli Armanda Cornille'a, odnosząc pierwszy sukces.

– Muszę już iść. Chętnie dotrzymałbym ci jeszcze towarzystwa, ale nie dam rady, mam coś ważnego do zrobienia.

– Kiedy mi wreszcie powiesz, dokąd tak uciekasz wieczorami? To tajemnica?

– Skąd. W przyszłą sobotę zostanie wreszcie wystawiona moja sztuka. Oczywiście przez amatorów. I zresztą wcale nie chodzi o teatr, tylko o anarchistyczną propagandę.

– Zaprosisz mnie?

– Jasne, jeśli masz ochotę.

W Barcelonie, Buenos Aires czy w Meksyku dramaturgia polityczna kwitnie. Urugwajczyk Florencio Sánchez cieszy się powszechnym uznaniem, nie wspominając już o Norwegu Ibsenie, autorze sztuk takich jak *Wróg ludu*. W Madrycie, gdzie bardziej popularne są idee socjalistyczne niż anarchistyczne, do tej pory z wielkim powodzeniem wystawiono choćby *Chleb biedaka* Gonzáleza Llany czy *Juana José* Joaquína Dicynty. Tyle że to melodramaty, skupiające się raczej na miłosnych perypetiach bohaterów niż na kwestiach ideologicznych. Manuel chce odwrócić te proporcje. Od wielu miesięcy każdą wolną chwilę

poświęca na pisanie, a od kilku tygodni prowadzi próby z aktorami.

– Nie wiem, co z tego wyjdzie przy takim pośpiechu, w dodatku z amatorską obsadą. Denerwuję się i dlatego ostatnio tak często znikam.

– W sobotę na pewno się zjawię. I będę biła brawo, aż mi ręce poodpadają.

Blanca zostaje w biurze sama, chce nadrobić jeszcze trochę zaległości. Wtedy odzwierny wprowadza Carmen, Cygankę z Las Injurias. Blanca dobrze pamięta jej historię. Ileż to kobiet znalazło się w podobnej sytuacji? Bez wieści od męża, który wyjechał na front i słuch po nim zaginął.

– Przepraszam, że tak późno, wcześniej pracowałam.

– Nie szkodzi, wejdź.

Nazwisko Jeana-Marie nie występuje na żadnej z list, ani wśród zabitych, ani wśród jeńców.

– Czy to znaczy, że mój mąż żyje?

Blanca nie potrafi powiedzieć jej prawdy: że po wybuchu bomby z człowieka często nie zostaje nawet stalowy nieśmiertelnik; że wielu żołnierzy zostało zasypanych, a ciała innych gniją, niepogrzebane, na ziemi niczyjej... Nie wspominając już o przypadkach dezercji, biurokratycznych błędach, nielegalnych egzekucjach.

– Nie, tego nie możemy być pewni. Spisy są niekompletne. W każdym razie to pozostawia nadzieję.

Małżeństwa Carmen, zawartego wedle cygańskich obyczajów, nie odnotowano w żadnych oficjalnych rejestrach, toteż trudno będzie sprawić, by ambasada Francji uznała ją i jej syna za rodzinę francuskiego żołnierza. Niewykluczone, że trzeba będzie do tego autorytetu Álvара Ginera. Tylko w ten sposób da się uzyskać informacje o kimś, kto wciąż przebywa na froncie.

– Musisz kilka dni poczekać, aż wróci nasz dyrektor. Może on coś poradzi. A na razie miejmy nadzieję, że z twoim mężem wszystko w porządku.

* * *

– Zgodziliśmy się na sześciogodzinne zawieszenie broni, żeby móc zabrać rannych i zabitych. Huguet, zajmij się tym.

Nocą na ziemi niczyjej spotkały się dwa patrole: niemiecki i francuski. Doszło do wymiany ognia i do okopów przez wiele godzin dobiegały krzyki po francusku i po niemiecku. Ranni wciąż tam leżą, przerażeni i uzbrojeni, i nikt nie ma odwagi się do nich zbliżyć. Dowódcy dogadali się więc w sprawie chwilowego rozejmu. Grupy ratunkowe mają się wyprawić po kolegów bez broni, przy czym problemem w tym wypadku bynajmniej nie jest nieprzyjaciel – takich umów się dotrzymuje; zagrożenie stwarzają ci, którzy czekają na pomoc, ale w panice mogą działać pochopnie.

– Uważajcie: zanim do kogoś podejździecie, upewnijcie się, że ten ktoś wie,

kim jesteście i jakie macie zamiary. Niech wam nawet do głowy nie przyjdzie zaczepiać Niemców, choćby słowami. Nie chcemy, żeby spadł na nas deszcz granatów, zrozumiano?

Jean-Marie nie jest rolnikiem i nigdy się takimi kwestiami nie zajmował, niemniej teraz zaskoczony łapie się na myśli, że ziemia, na której walczą, długo nie będzie nadawała się pod zasiew. Wszędzie zieją leje po bombach, walają się odłamki pocisków, łuski po nabojach, rozmaite pozostałości po bitwie. No i tyle śmierci – to chyba nie sprzyja uprawom.

Odnajdują i odstawiają na tyły trzech rannych, zbierają też trupy towarzyszy. Z Niemców, na których się natykają przez pierwsze trzy godziny rozejmu, żaden już nie żyje.

Jean-Marie skrupulatnie sprawdza cały obszar. Gdyby niedługo i on zginął, wołałby nie gnić tu w zapomnieniu – przez czyjąś nieuwagę. W końcu widzi przed sobą niemieckiego żołnierza, też bez broni, najwyraźniej doświadczonego. Tamten również go zauważył. Patrzą sobie w oczy, wahają się niepewni, czy powinni wymienić wojskowe pozdrowienie, uścisnąć sobie ręce czy może się nawzajem zignorować. Jean-Marie wyciąga paczkę papierosów i częstuje Niemca. Nieznajomy sięga do kieszeni po własny tytoń i zapalki. Palą bez słowa. Niemiec wskazuje stertę kamieni, która wygląda, jakby ją ktoś usypał w tym miejscu specjalnie po to, by dwóch mężczyzn mogło usiąść i porozmawiać przy papierosie.

– Mówisz po francusku?

Nierozumiejące spojrzenie tamtego starcza za odpowiedź.

– No to mamy problem, bo ja nie znam niemieckiego. Na imię mi Jean-Marie. Jean-Marie.

Niemiec kiwa głową, zrozumiał.

– Otto.

Niewiele więcej mogą sobie powiedzieć; palą w milczeniu, od czasu do czasu spoglądając na siebie i nawet lekko się uśmiechając.

– Ja nic do was nie mam, serio. Pod tym względem nic się nie zmieniło, choć zabiłem już niejednego. No, ale inaczej sam bym zginął, a chcę zobaczyć syna. Właściwie to nawet nie wiem, czy to syn, czy córka, wyjechałem przed narodzinami i potem nie dostawałem wieści.

Otto chyba znowu coś zrozumiał, bo wyjmując z kieszeni fotografię, na której widać dwoje jasnowłosych dzieci, cztero- czy pięcioletnich chłopców bliźniaków. Jean-Marie sięga po zdjęcie, by się mu lepiej przyjrzeć.

– To twoi synowie? Oby wojna wkrótce się skończyła, to może będziesz mógł patrzeć, jak dorastają.

Zwraca fotografię, ciska niedopałek na ziemię i wstaje. Jeszcze raz wyciąga paczkę papierosów i podaje ją całą Niemcowi.

– Masz, to dla ciebie.

Tamten szuka czegoś po kieszeniach i ofiarowuje mu w zamian kilka ciastek.

– Dziękuję.

– *Danke schön.*

Jeszcze uścisk dłoni i oto już się rozchodzą. Do końca rozejmu zostały jakieś dwie godziny, należy się jeszcze rozejrzeć. A potem może trzeba się będzie nawzajem pozabijać.

* * *

– Nie powinieneś na jakiś czas wyjechać z Paryża?

Po śmierci walijskiego kapitana Roya Rogersa wyszła na jaw kradzież map, a śledztwo wykazało, że ostatnie godziny życia kapitan spędził najprawdopodobniej w towarzystwie mężczyzny, którego poznał w łaźni przy ulicy Pierre Lescot. Portret pamięciowy tego mężczyzny ukazał się nawet w gazetach. Frank, rzecz jasna, go widział: owszem, jest dość wierny, ale podobnie wygląda wielu mężczyzn w Paryżu. Wątpliwe, by to wystarczyło.

Rysunkowi towarzyszy opis, z którego wynika, że poszukiwany mówi po angielsku z silnym francuskim akcentem, jest ciemnowłosa i elegancki, i tyle. Nie ma żadnej wzmianki o symulowanym przez Franka utykaniu, co mocno go uspokaja. Naprawdę trudno sobie wyobrazić, żeby dzięki czemuś takiemu policja i wojsko dotarły do Marcela Malmaisona.

– Nie widzę powodu, żeby wracać do Niemiec. Całkiem dobrze mi tu idzie, a z tym Walijszym to był nieszczęśliwy wypadek.

Mapy znalezione przez Franka w mieszkaniu kapitana Rogersa okazały się bardzo przydatne; dzięki nim Niemcy uprzedzili pewien manewr Anglików przy granicy belgijskiej, unikając zaskoczenia.

– Nikt nie twierdzi, że masz wracać do Niemiec. Chodzi tylko o to, żebyś opuścił Paryż. Za kilka dni dostaniesz rozkazy. Na razie trochę się przyczaj, przez kilka dni zajmij się książką o Napoleonie, no i pod żadnym pozorem nie zaglądamy teraz do tych lokali, w których bywasz.

Frank nie chce wyjeżdżać z Paryża, zwłaszcza że jest tu również Gonzalo. Mógłby się z nim jakoś spotkać, wszystko mu wytłumaczyć, ukryć się u niego, a nawet wrócić razem z nim do Hiszpanii, uznając wojnę za zakończoną.

* * *

– Co ty tu robisz? Nie chcę cię więcej widzieć.

Carlos de la Era wysiadł właśnie z samochodu w towarzystwie pięknej dziewczyny i oto w bramie budynku przy ulicy Magdaleny natyka się na Elisę Fuentes.

– Muszę z tobą porozmawiać.

Elisa nie ma pojęcia, co z tego będzie, ale Carlos w końcu zwraca się do swojej towarzyszki:

– Masz tu klucze i idź na górę. Zaraz do ciebie dołączę.

Dziewczyna wyraźnie nie chce kłopotów – znika, ledwie rzuciwszy okiem na Elisę, która z kolei odprowadza ją nienawistnym spojrzeniem.

– Twoja nowa znajoma wygląda na prostytutkę.

– Ty też tak wyglądałaś, jak tu przychodziłaś.

Elisa przełyka obelgę. Przecież go kochała. Przychodziła tu, żeby go podbić, zawojować i spędzić z nim resztę życia.

– Nie możemy porozmawiać bez takich uwag z twojej strony?

– Mów, czego chcesz. Blanca już mnie nachodziła w domu. I powiedziałem jej wyraźnie: nie obchodzi mnie, co się z tobą dzieje, do niczego cię nie zmuszałem. Sama tu przyłaziłaś, żeby się pieprzyć jak ostatnia dziwka.

I tyle – Carlos idzie do mieszkania, do tamtej kobiety. Ona pewnie też się dla niego rozbiera, odwraca do ściany i zagryza zęby.

Elisa naprawdę wiele ostatnio przeszła. Zerwała z bratem i z Blancą, omal nie umarła. Wciąż kocha Carlosa – takie rzeczy nie zmieniają się z dnia na dzień – choć teraz już rozumie, że on nigdy jej nie kochał. Po prostu się nią bawił. Dlaczego akurat nią? Ze względu na Blancę. Zawsze Blanca, wiecznie Blanca: najpierw jako przeszkoda na drodze do jej, Elisy, szczęścia, a teraz – przyczyna jej zgryzoty.

Nogi same niosą ją na plac Antona Martina. Pod kościołem, jak zawsze ubrana na czarno, siedzi żebraczka, która skontaktowała ją z tamtą kobietą z Las Injurias. Elisa mija starą bez słowa i wchodzi do środka. Siada w ławce, żeby się pomodlić, lecz nie potrafi wystarczająco się skupić: myśli o Carlosie, który pewnie leży teraz na tamtej prostytutce, nie przejmując się tym, że ona pozwala mu na to wyłącznie dla pieniędzy. Elisa przymyka powieki i przypomina ich wspólne popołudnia, pierwszy raz, gdy się przy nim rozebrała, wszystkie te okazje, gdy lizała całe jego ciało... W jej wizje wdziera się głos księdza. Elisa otwiera oczy i zalewa ją wstyd: jest w kościele, akurat zaczyna się msza, a ona daje się ponieść lubieżnym instynktom. Mogłaby się wypowiedzieć, ale brak jej odwagi. Nie da rady wyznać swoich grzechów, musi z nimi żyć.

Wstaje i rusza do wyjścia. Czuje na sobie potępiające spojrzenia; są tu same kobiety. Zatrzymuje się jeszcze przed żebraczką i nie patrząc na nią, udając, że jej nie rozpoznała, rzuca jej monetę.

Nie da się złamać.

* * *

– Dziękuję, że przyszedłaś, siadź sobie tutaj. Zaczynamy za dziesięć minut. Chcesz się czegoś napić? Może lemoniady?

Anselmo Lorenzo, jeden z pierwszych hiszpańskich anarchistów, zmarły na krótko przed wybuchem wojny, twierdził, że każdy oddział Krajowej Konfederacji Pracy powinien przede wszystkim zadbać o swoje ludowe ateneum – miejsce,

gdzie mogłyby się odbywać koncerty i przedstawienia teatralne oraz lekcje pisania dla dorosłych, i gdzie lud miałby zawsze dostęp do książek. W Barcelonie działa kilka takich anarchistycznych placówek, choćby Katalońskie Ateneum Klasy Robotniczej, Ludowe Ateneum Encyklopedyczne czy Ateneum Syndykalistyczne, które mieści się przy ulicy Ponent, kierowane przez Salvadora Seguí, słynnego Cukrowego Chłopca¹; ba, w wielu dzielnicach powstają małe lokalne atenea, liczące się jednak w życiu kulturalnym i politycznym. Madryt zdominowali socjaliści, niemniej i działacze anarchistyczni zaczynają się jakoś przebijać. Sztuka Manuela Lopego wystawiana jest w Ateneum przy Paseo de las Delicias.

– Nie martw się o mnie, masz teraz inne rzeczy na głowie. Spotkamy się po przedstawieniu.

Blanca z ciekawością rozgląda się po zebranych, którzy odpłacają jej podobnym zainteresowaniem: są tutaj robotnicy w znoszonych ubraniach i nieodłącznych czapkach, z szacunkiem popatrujący ku scenie; całe rodziny, podeksytowane być może pierwszą w życiu wizytą w teatrze; młode dziewczyny, zbite w grupki i śmiechem kokietujące chłopców. Blanca nawykła do zupełnie innych przedstawień. Tu jest, oczywiście, nieskończenie mniej elegancko niż w Teatrze Królewskim, jednakże wszystko wydaje się zarazem bardziej szczerze. Nie ma czerwonych aksamitów ani złotych ozdób; pusta, pomalowana na biało sala mieści jakieś sto osób. Wielu widzów przyniosło własne krzesła, jedynie trzydzieści czy czterdzieści należy do wyposażenia lokalu. Niektórzy mężczyźni usiedli na podłodze, inni zamierzają chyba stać, oparci o ścianę w głębi.

Ktoś klaszcze w dłonie i jakiś głos obwieszcza początek spektaklu, na co publiczność zamiera w pełnym uszanowania milczeniu. Nie trwa ono jednak długo, bo w czasie, gdy aktorzy grają, widzowie dają upust emocjom, głośno wyrażają swoje zdanie, śmieją się, krytykują bohaterów negatywnych i starają się ostrzec pozytywnych przed grożącymi im niebezpieczeństwami.

– Nie! Nie otwieraj!

– On cię oszuka, głupia!

– Poślij go do diabła!

Blanca szybko zapomina o swojej odmienności w tym gronie i poddaje się nastrojowi.

Sztuka opowiada o losach pewnej robotniczej rodziny złożonej z pogodzonych ze swym losem rodziców, ich niezwykle urodziwej córki oraz jej starszego brata – odważnego, zapalonego anarchisty. Wszyscy czworo pracują w wielkiej fabryce, za pół darmo harują od świtu do nocy. Aż synowi właściciela owej fabryki wpada w oko główna bohaterka. Dziewczyna, zakochana w koledze z pracy, nie chce o niczym słyszeć, zwłaszcza gdy otrzymuje propozycję natury pieniężnej. Tymczasem jej brat, młody anarchista, organizuje strajk, który ma na celu poprawę bytu robotników – tak licznie przecież zgromadzonych na sali – za co

majster i jego ludzie spuszcza ją mu manto. Wkrótce potem jego siostra zostaje zgwałcona przez „panicza”, a jej ukochany, próbując jej bronić, ginie. Główny bohater, choć wciąż nie doszedł do siebie, postanawia się zemścić.

Gdy dochodzi do ostatecznej konfrontacji, publiczność szaleje.

– Zabij go!

– Skończ z tym kundlem!

Bójka, dosyć zresztą komiczna ze względu na nieudolność aktorów, przechodzi przez różne fazy, niemniej w końcu wygrywa główny bohater, zły kapitalista zaś umiera. Rozentuzjasmowani widzowie biją brawa. Policjanci, którzy przybywają, by aresztować zabójcę, po wysłuchaniu jego racji pozwalają mu uciec, przyznając, że postąpił właściwie, i argumentując, że sami przecież też są z ludu. Przedstawienie się kończy, nagrodzone owacjami.

Dziesiątka aktorów jest wywoływana na scenę aż cztery razy. Wraz z nimi pokazuje się Manuel Lope, autor sztuki i reżyser spektaklu. Blanca oklaskuje go z zapalem.

– I jak? Podobało ci się?

– Bardzo! Cieszę się, że przyszłam.

– Zdaje się, że od dwóch dni z nerwów nic nie jadłem, może dasz się gdzieś zaprosić i bardziej szczegółowo opowiesz mi o swoich wrażeniach?

Idą spacerem do knajpy przy ulicy Canarias, gdzie wszyscy dobrze Manuela znają i od razu nakrywają mu dyskretny stolik w głębi.

– Ten sam co zawsze, towarzyszu.

Manuel tłumaczy Blance, że znajdujące się obok drzwi pozwoliłyby mu uciec w razie nalotu policji, dlatego to miejsce zarezerwowane jest dla działaczy związkowych.

– Ktoś cię ściga? Zakładam, że zostałeś prześwietlony, zanim wpuszczono cię do Pałacu.

– Właśnie nie bardzo. Co dowodzi, że hiszpańskiej policji nikt nie powinien ufać.

Podają im karafkę taniego wina, ser z La Manchy, wędlinę i chleb. Manuel do krojenia wyjmuje własny nóż.

– Wyobrażam sobie, że nigdy nie byłeś w takim miejscu.

– Nie. Nigdy nie byłam też w ludowym ateneum ani nie widziałam anarchistycznego przedstawienia. To dzień pełen wrażeń.

– A próbowałaś wcześniej wina?

– Owszem, ale po kryjomu. Raz upiliśmy się z Elisą winem pozostałym po wydanej przez moich rodziców kolacji. Dobrze, że nikt się nie zorientował, miałyśmy wtedy po piętnaście lat...

Czas mija im jak z bicza strzelił – na wspomnianiu młodzińskich

wybryków i komentowaniu najlepszych momentów przedstawienia oraz reakcji widzów.

– Na dworze już się chyba ściemnia.

– Powinnam wracać do domu.

– Odprowadzę cię.

Kawałek podejżdżają tramwajem. Blanca dopiero teraz czuje, że wino na nią podziałało: śmieje się z byle czego, jest w siódmym niebie.

– To na razie.

Żegnając się, bez namysłu całuje Manuela w usta. On, choć zaskoczony, odpowiada namiętnym pocałunkiem, lecz zaraz się cofa.

– Jutro będziesz tego żałować... Lepiej już pójdę.

* * *

– Niech nikt nawet nie drgnie, póki to się nie skończy!

Jean-Marie ma nowych towarzyszy: Lamberta, lewie siedemnastoletniego czeladnika stolarskiego; przerażonego studenta prawa nazwiskiem Casseau; Anacleta, roztargnionego wiejskiego chłopaka, który lada chwila sam ściągnie na siebie nieszczęście; Vilette'a, młodzieńca w wieku licealnym, dojrzewającego teraz w przyspieszonym tempie... On sam też jest zwykłym szeregowym żołnierzem, od pozostałych odróżniają go tylko wiek, mundur, wskutek długiego używania niemal przyrastający mu do ciała, i spojrzenie człowieka, który widział już wszystko. Żółtodzioby szanują go jak oficera; on wie, że niewiele pożyje dłużej od niego.

Rozpoczęło się intensywne bombardowanie. Jean-Marie przetrwał już takie niejedno i próbuje nie dopuścić do tego, by któryś z jego kolegów ze strachu popełnił śmiertelny błąd. Radzi im wytrzymać na pozycjach: to bezpieczniejsze niż próba ucieczki. Wiatr, jak sprawdził, wieje wprawdzie w stronę Niemców, co uniemożliwia im atak gazowy, niemniej maskę lepiej mieć pod ręką, tak samo jak wyostrzony szpadel, karabin Hotchkiss 1909 i pistolet Lebel, ten sam od początku wojny. W każdym razie nie pada, jedzenie więc im nie zamokło, no i papierosa da się zapalić bez wysiłku.

Jean-Marie rozgląda się po kolegach. Casseau, który dygoce w rogu, w razie ataku najprawdopodobniej zginie pierwszy. Vilette spokojnie zaciąga się tytoniem. Anaclet ściska broń, jakby ktoś chciał mu ją odebrać, cały spięty, może nawet spragniony jakiegoś działania... Wszyscy oni dziś dowiedzą się o wojnie więcej niż przez ostatnie długie tygodnie.

Podobno szpiedzy nie próżnują, patrole rozpoznawcze robią swoje, balony obserwacyjne też – czyli o żadnym zaskoczeniu nie powinno być mowy. Niemcy nie zaryzykowałiby przecież ofensywy bez odpowiedniego przygotowania. Musieli ściągnąć na front posiłki: ludzi, broń i żywność. A jednak nikt z francuskich sztabowców nic nie wie. Całe dowództwo jest do dupy, przy czym za niekompetencję tych na górze jak zwykle zapłacą ci z dołu. Gdzie się podziały

wolność, równość i braterstwo? Cóż, francuscy generałowie chyba o nich nie słyszeli.

Atak następuje po dwudziestu czterech godzinach nieustannego bombardowania. Francuska artyleria milczy, ani śladu alianckiego lotnictwa, które choć na chwilę odciążyłoby siedzącą w okopach piechotę. Jean-Marie po raz kolejny stwierdza, że nie tylko oni sami uważają się za szczury okopowe: ich dowódcy najwyraźniej podzielają tę opinię, w głębokiej pogardzie mając życie podwładnych. Gdyby miał taką możliwość i mógł się w ten sposób uratować, natychmiast podpisałby akt kapitulacji, by z niecierpliwością czekać, aż fryce rozstrzelają co poniektórych polityków i generałów.

Część umocnień, na szczęście oddalona od jego pozycji, przed chwilą się zapadła. Dwaj żołnierze zostali zasypani, ale udało się ich odkopać i wysłać do lazaretu.

Wszyscy spodziewają się lada moment ujrzeć nadciągających *boches*. Chwała Bogu wiatr się nie zmienił, nie ma powodu obawiać się gazu musztardowego.

Jakiś oficer, którego Jean-Marie widział po raz pierwszy w życiu, kilka minut wcześniej pojawił się w ich okopie, by dodać im ducha.

– Odwagi!

Potem zniknął – pewnie umknął w bezpieczne miejsce, żeby popijać szampana, podczas gdy oni będą tu umierać. Jean-Marie ani myśli polec bohaterską śmiercią; nie dla takich jak tamten tchórz. Gdyby mógł, chętnie by zdezerterował; ale nie może.

Dobrze wie, jak to dokładnie wygląda. Najpierw lecą granaty, później odzywają się karabiny maszynowe... To niebezpieczny moment, bo fryce już na nich pędzą, a oni, wystawiając głowy, narażają się na niemal pewną śmierć. On tym razem zajął stanowisko snajpera, który musiał zginąć w bombardowaniu albo uciec. Lepsza taka ochrona niż żadna. Teraz należy tylko strzelać do wszystkiego, co się rusza, i w miarę możliwości trafiać.

Wielu wokół niego zginęło. Niemcy rzucili do ataku wszystkie siły i przełamali opór. Jean-Marie nie ruszył się ze swojego miejsca, bo wiedział, że przy próbie ucieczki zginie. Kolegów stracił z oczu dawno temu, może już żaden nie żyje. Szczęście go opuściło: nie będzie, jak poprzednio, jedynym ocalałym z kompanii. Musiał stoczyć walkę wręcz z dwoma nieprzyjaciółmi; dwukrotnie wygrał, niemniej fortuna kołem się toczy.

Trafiają się chwile spokoju, kiedy wokół nie widać wrogów, nie słychać strzałów. Czyżby tylko on przeżył? Czy pozostali wybili się nawzajem do nogi? Zaczyna się wycofywać przez labirynt okopów, ostrożnie, żeby nie paść przypadkiem ofiarą swoich.

Znów odzywają się granaty. Chyba się zgubił, nie wie, gdzie jest. Zgiełk dochodzi nie z tyłu, lecz z przodu. Czy idzie w złą stronę, czy *boches* go wyprzedzili? Chyba powinien gdzieś się natknąć na rodaków...

Natyka się jednak na fryców. Dwóch stoi przed nim, jeden trzyma się za jego plecami; wszyscy mierzą prosto w niego. Jean-Marie rzuca broń na ziemię, tylko tak ma jakąkolwiek szansę.

– Poddaję się, poddaję!

Jeden z Niemców podchodzi i uderza go karabinową kolbą w twarz. Jean-Marie upada. Niemiec krzyczy coś niezrozumiałego i odbezpiecza pistolet. Jean-Marie się kuli: skoro ma umrzeć, to byle jak najszybciej. Ale wtedy odzywa się inny głos, protestuje.

Czyjaś dłoń pomaga Jeanowi-Marie wstać. Twarz jest znajoma: to przecież Otto, ten, z którym palili papierosy w czasie zawieszenia broni. Coś mówi i się uśmiecha. Otto, jego jedyny przyjaciel.

* * *

– Nie uciekaj przede mną, przecież nawet nie pamiętam, co się wtedy stało.

Blanca nie żałuje, że go pocałowała. Zrobiła to i już, czasu nie cofnie; nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem. Chociaż, owszem, trochę się wstydzi. Nigdy się tak nie zachowywała; do tej pory całowała się tylko z Carlosem i nie wie, co ją teraz napadło.

Álvaro Giner wrócił z polowania i wezwał ją oraz Manuela do swojego gabinetu; musi chodzić o coś ważnego, bo obecny jest również król.

– Mój przyjaciel Álvaro zaprosił was tutaj, bo nadszedł czas, byśmy rozszerzyli zakres naszej działalności.

Don Alfonso wyjaśnia swój zamiar: chce, żeby włączyli się w wymianę chorych i rannych jeńców, aktywniej uczestniczyli w nadzorowaniu warunków życia w obozach, jeszcze mocniejszy nacisk kładli na kwestie humanitarne.

– Będziemy potrzebowali znacznie więcej środków.

– Spokojnie, pieniędzy i ludzi nie zabraknie. Przeprowadzimy też restrukturyzację biura. Manuel obejmie kierownictwo tu, w Madrycie, a ty, Blanco, na początku przyszłego roku pojedziesz z Álvarem do Paryża i Berlina, na negocjacje.

Urząd do spraw Ochrony Jeńców ma odtąd zatrudniać ponad pięćdziesiąt osób, po części wolontariuszy. Bernardo Candeleira, sekretarz Jego Królewskiej Mości, musi się wystarać o dodatkowe pomieszczenia, potrzebują co najmniej dwa razy więcej miejsca niż dotychczas. Inspektorzy wizytujący obozy, wcześniej podlegli ambasadam, będą teraz zależni od nich, częściej współpracując też z Czerwonym Krzyżem.

– Już pierwszego dnia mówiłem, że będziemy kiedyś dumni ze swojej tutaj pracy. Ale nawet ja się nie spodziewałem, że zajdziemy tak daleko. Nie wolno nam

jednak spoczywać na laurach, a wam trojgu ufam bardziej niż komukolwiek innemu.

Kilka minut po spotkaniu z królem w gabinecie dyrektora pojawia się nowy gość: Carmen. Blanca na nią czekała.

– To żona tego francuskiego żołnierza, o którym panu mówiłam.

W biurze Blanca zwykle zwraca się do szefa formalnie, choć poza Pałacem zbliżyli się już do siebie tak bardzo, że Álvaro, chcąc z nią omówić szczegóły styczniowej podróży, zaproponował wspólny obiad w restauracji Lhardy.

– Carmen nie jest w stanie udokumentować przed Francuzami swojego małżeństwa, bo ślub miała nie oficjalny, lecz cygański, zwyczajowy.

– W takim razie chyba niewiele możemy zrobić.

– A gdybyśmy poprosili o pomoc ambasadora?

Álvaro lubi się z nią droczyć.

– Sugerujesz, żebym do niego zadzwonił i poprosił go, by zechciał przymknąć oko na brak papierów?

– Tak, to właśnie sugeruję. Nie ma się co oszukiwać.

Carmen nie przywykła do oglądania tak ważnych osób zaśmiewających się do rozpuku i nie wie, czy to dobrze wróży.

– Masz jakichś świadków na to, że ten ślub rzeczywiście się odbył?

– Swoją rodzinę.

– To raczej nie wystarczy.

– Nieważne, bo oni i tak by tu nie przyjechali. Ja chcę się tylko dowiedzieć, co z moim mężem, nie zależy mi na pieniądzu ani na niczym takim, naprawdę.

– Zobaczymy, co się da zrobić, coś wymyślimy, nie martw się.

* * *

– Poproszę „L’Illustration”.

Gonzalo wpatruje się w portret pamięciowy mordercy i nabiera coraz głębszej pewności, że chodzi o Franka, chociaż mężczyzna z rysunku ma dużo ciemniejsze włosy i nie nosi wąsów. Z artykułu nie wynika, gdzie kapitan Rogers spotkał swojego zabójcę, wiadomo jedynie, że gdzieś w okolicach Hal. Na liście sporządzonej przez właściciela madryckiego lokalu przy ulicy Flor jest wiele przybytków mieszczących się w tej dzielnicy. Gazety nie wspominają o homoseksualnej relacji łączącej ofiarę z oprawcą, niemniej jeśli ktoś umie czytać między wierszami, sprawa wydaje się oczywista: ci dwaj wpadli sobie w oko i ostatecznie wylądowali razem w hotelu.

To musi być Frank, choć z drugiej strony trudno w to uwierzyć. Bo czy Frank byłby w stanie z zimną krwią zamordować człowieka? Ten Frank, którego Gonzalo znał, na pewno nie. Tyle że w czasach pokoju wszystko wyglądało inaczej i życie ludzkie znaczyło więcej niż teraz.

Analizując wypadki ostatnich dni, Gonzalo dochodzi do wniosku, że jego dawny kochanek został niemieckim szpiegiem: przebywa w Paryżu, zamordował tamtego nieszczęśnika i ukradł jakieś mapy. Należałoby pomóc policji; poinformować francuskich funkcjonariuszy, że nie szukają kogoś, kto mówi po angielsku z francuskim akcentem, lecz pewnego berlińczyka, który długie lata spędził we Francji. Gonzalo nie zaznał nawet chwili spokoju, od kiedy wie, że Frank jest w pobliżu, jednakże gdy rozumuje na chłodno, zdaje sobie sprawę, że jego madrycki romans należy do przeszłości.

Poza tym musi pracować. Jego korespondencje się podobają, otrzymał już dwa ważne gratulacyjne listy od szefostwa. Naczelnicy zachęca go, by wyprawił się na front, nadarza się też sposobność, by pojechać do Anglii: wkrótce grupa dziennikarzy z różnych krajów odwiedzi tam fabrykę, w której powstają nowoczesne samoloty mające skończyć z niemiecką dominacją na niebie.

* * *

– Dostałem film od markiza Albero. Jeśli Wasza Królewska Mość chce, możemy go obejrzeć dziś wieczorem.

Alfons XIII uwielbia kino i w niedzielę w Pałacu Królewskim często organizowane są dla rodziny i przyjaciół pokazy amerykańskich nowości z Chaplinem, Fattym Arbuckle'em, Mary Pickford. Dwa tygodnie temu Álvaro Giner został zaproszony na projekcję kontrowersyjnych *Narodzin narodu*, z udziałem Orkiestry Królewskiej, która akompaniowała w co bardziej dramatycznych momentach, zupełnie jak w sali prawdziwego kinematografu.

Jednakże dzisiaj na widowni zasiądą tylko król, Álvaro i jeszcze dwóch zaufanych ludzi. W tym gronie obejrzą kilka nowych filmów pornograficznych oraz, na deser, rzecz nakręconą przez markiza Albero z Sewilli, z jakąś prześliczną Cyganką w roli głównej.

– To nie będzie pornografia, ta dziewczyna po prostu pokazuje się nago. Zna Wasza Królewska Mość markiza, straszny z niego romantyk.

Filmy dla dorosłych, wszystkie francuskie z wyjątkiem jednego, niemieckiego, jak zwykle wywołują śmiech zgromadzonych: te pulchne aktorki, antyklerykalne akcenty, wyjątkowo szpetni aktorzy...

– Teraz, w związku z wojną, produkcja pewnie wyhamuje...

– Podobno w Argentynie też takie rzeczy powstają. Trzeba zobaczyć, czy nie da się czegoś stamtąd sprowadzić. No i z Hollywood, oczywiście. Słyszałem, że tam zwyczajne aktorki często zaczynają od podobnych występów.

– A co z Hiszpanią, Wasza Królewska Mość? Trzeba by jakoś zachęcić naszych pionierów.

– Jeszcze sam się tym zajmę, zobaczycie. I na pewno odniosę sukces.

Film z Sewilli zostawili sobie na koniec; po raz pierwszy zobaczą w takiej roli Hiszpankę. Tymczasem zjedli już kolację, wznieśli kilka toastów szampanem,

pożartowali i wymienili plotki o znajomych.

– No dobrze, to zobaczmy, co ma do zaproponowania ten stary liberyn Albero.

Film nie jest zbyt ciekawy: przypomina niemieckie produkcje, w których nadzy ludzie uprawiają gimnastykę lub balet. Tyle tylko, że nakręcił go człowiek wszystkim znany, na dodatek w swoim domu, w którym każdy z obecnych był. No i aktorka okazuje się rzeczywiście zjawiskowa.

– Coś takiego! Przecież ja tę dziewczynę znam...

– No to musisz nam ją przedstawić, nie bądź samolubem.

* * *

– Jeśli ktoś wyjdzie za ogrodzenie, zginie. Strażnicy mają rozkaz strzelać, nie będą zadawać pytań.

Tak brzmią pierwsze słowa, które Jean-Marie słyszy tu po francusku. Jest to francuszczyzna chropawa wprawdzie i niemiła dla ucha, ale przynajmniej zrozumiała.

Żołnierze żadnej ze stron nie mają pojęcia, kto wygrywa wojnę, ba, kto wygrywa tę akurat bitwę. Jean-Marie wie tylko, że zawsze jedynie się bronił, nigdy nie atakował; czekał na fryców, żeby blokować im drogę, i ostatecznie nie zablokował, więc gdyby ktoś go teraz o to zapytał, odrzekłby, że zwyciężają Niemcy.

To, że w ogóle żyje, jest zasługą Ottona, który nie pozwolił kolegom zastrzelić go jeszcze w okopach. Że chcieli to zrobić – tego Jean-Marie nie ma im nawet za złe; dookoła trwała przecież wzajemna jatka. W trakcie szkolenia wielokrotnie słyszał, że Niemcy przejawiają wobec jeńców wyjątkowe okrucieństwo, ale zawsze sądził, że to nieprawda; że chodzi o to, by żołnierze bali się składać broń. Teraz się przekona.

Otto odstawił go żywego na tyły i tam się z nim pożegnał. Zanim odszedł, dał mu jeszcze paczkę papierosów i porcję gorącej zupy z odrobiną mięsa oraz kromką razowego chleba. Od tamtej pory, a upłynęło już niemal dwanaście godzin, Jean-Marie nie miał nic w ustach. W okopach chodziły słuchy, że alianci jedzą lepiej od Niemców i że trafiają się *boches* gotowi się poddać pod wpływem zapachów z francuskich garkuchni. Może i jest w tym odrobina prawdy: mimo wszystko żaden francuski kucharz nikomu nie podałby nic tak obrzydliwego jak tamta zupa sprzed dwunastu godzin.

Jean-Marie nie zna żadnego spośród trzydziestu czy czterdziestu innych francuskich jeńców. Siedzą stłoczeni na małej, ogrodzonej niską siatką przestrzeni; obok stoi jakiś pozbawiony dachu budynek, coś jakby dawny kurnik, zniszczony może przez bombę. Jest zimno, a oni nie dostali żadnych koców; zapowiada się trudny poranek. Nie ma też latryn; ci, którzy nie mogą wytrzymać, załatwiają swoje potrzeby w ruinach kurnika. Jean-Marie znalazł sobie miejsce jak

najbardziej od niego oddalone, bo dolatujący stamtąd odór staje się nie do zniesienia.

– Na pewno rano dadzą nam jakieś śniadanie, właśnie po to nas liczyli.

Trzeba przysłuchiwać się rozmowom innych, w nadziei, że w końcu się człowiek czegoś dowie. To pierwszy przejaw złego traktowania jeńców: nikt nie ma pojęcia, co się dzieje, dokąd ich przenoszą i dlaczego, jak się zachowywać, żeby przeżyć.

– Spisali nasze dane, bo rano zamierzają nas rozstrzelać. Po co mieliby nas karmić, skoro i tak zabiją?

O trzeciej nad ranem słyhać serię wystrzałów – jeden z Francuzów wstał i wyszedł za ogrodzenie; nie wiadomo, dokąd się wybierał, może był lunatykiem. Czyli to prawda: strażnicy nie zadają pytań. W dodatku nie zabrali ciała, kazali więźniom wziąć je z powrotem za siatkę i teraz tak leży. Może ma stanowić przestrożę dla innych.

O świcie przynoszą im wielki gar jakiejś owsianej papki; misek czy łyżek brak. Ci, którzy znaleźli się najbliżej, zaczynają jeść rękami, reszta szybko sobie uświadamia, że dla nich nie starczy, i natychmiast wybuchają bójki o dostęp do kotła. Niemcy śmieją się i zagrzewają wygłodniałych więźniów do walki. Ta zresztą prędko się kończy, bo w zamieszaniu gar się wywraca i papka ląduje na ziemi. Wielu jeńców klęka i usiłuje zgarniać resztki rękami.

Nie minął nawet jeden dzień w niewoli, a oni już stracili godność. Może szkoleniowcy mieli słuszość; może po wrogu należy się spodziewać wyłącznie okrucieństwa.

Dwie godziny po nieudanym śniadaniu każą im się ustawić gęsiego i bijąc ich kolbami, wyganiają na drogę.

– I co? Mamy iść piechotą do Niemiec?

Zdaje się, że właśnie o to chodzi. I lepiej nie zostawać w tyle; zaraz się o tym przekonają.

* * *

– Nie, jeszcze nie dzwoniłem do ambasadora, bo wcale nie mam pewności, czy ta kobieta jest osobą, za którą się podaje. Nie wiem, czy naprawdę szuka męża, francuskiego żołnierza, czy po prostu wyrwała się z jakiegoś sewilskiego burdelu i teraz próbuje nas wykorzystać.

Álvaro czuje się zakłopotany; musi się przyznać Blance, gdzie właściwie zobaczył Carmen. Nie tak znowu łatwo opowiedzieć koleżance z pracy, ba, podwładnej, że ma się zwyczaj oglądać filmy erotyczne – i to całkiem niedaleko od ich biura, w prywatnych apartamentach króla. W końcu się poddaje. Blanca nie spocznie, póki nie dowie się prawdy.

– Wystąpiła całkiem nago? To takie filmy naprawdę istnieją? To znaczy

słyszałam, że we Francji i innych tego typu miejscach, owszem, ale u nas?

Z drugiej strony Carmen przecież już wcześniej pozowała bez ubrania: swojemu mężowi, gdy ją malował. Jeden z jego obrazów ona, Blanca, nawet dostała w prezencie – od markiza Albero z okazji niedoszłego ślubu.

– Od markiza Albero? Czyli wszystko jasne, bo to był jego film.

Jedzą akurat flaki po madrycku – specjalność restauracji Lhardy, jednej z najlepszych i najstarszych w stolicy. Rozmawiają wprawdzie o Carmen, lecz spotkali się, by zaplanować swoją podróż do Paryża i Berlina, a może również Wiednia.

– Zaczniemy od Paryża, potem Berlin...

– W Niemczech powinniśmy odwiedzić jakiś obóz jeniecki.

– Tak, ale nie będziemy nikogo uprzedzać. Zgodnie z umową mamy prawo do wizytacji wszystkich takich miejsc, wskażemy któreś w ostatniej chwili. Nie chcę, żeby nas zawieźli w specjalnie przygotowane, pokazowe...

– Szkoda, że nie zobaczymy żadnego we Francji, mielibyśmy wtedy pełniejszy obraz. Bo jak się skarżyć na Niemców, skoro nie wiadomo, czy Francuzi nie są jeszcze gorsi?

– Niestety, obozy we Francji wizytują Szwajcarzy.

– A co z Londynem? Nie jedziemy do Londynu?

– Londyn musi poczekać do wiosny, ze wszystkim teraz nie zdążymy. Ja nie mówię po angielsku, a ty?

– Ja tak, ojciec był przez pewien czas ambasadorem w Wielkiej Brytanii.

Álvaro musi często przerywać rozmowę, żeby witać się ze znajomymi. W pewnej chwili Blanca zostaje sama i korzysta z okazji, by zajrzeć do przygotowanych wraz z Manuelem notatek; skoro już omawia różne sprawy z dyrektorem, nie chce zapomnieć o czymś ważnym. Gdy podnosi wzrok, zaskoczona odkrywa, że przed stolikiem stoi Carlos.

– Widzę, że teraz pokazujesz się ze swoim gachem publicznie. Wydasz się za niego czy tylko posłużysz mu za zabawkę, jak twoja przyjaciółka Elisa mnie? Co tam zresztą u niej? Już wylądowała na ulicy? Ostatecznie tylko do tego się nadaje.

– Idź sobie.

– A ty sypiasz tylko z tym tutaj czy i z tamtym drugim? Chyba że jeszcze o kimś nie wiem...

Nim Álvaro wraca do stolika, Carlos znika w sąsiedniej sali. Blanca chciałaby już stąd wyjść, żeby nie wyczuwać jego obecności tuż obok. Nie boi się go, raczej się nim brzydzi.

– Mówiliśmy o wizytacji w jednym z niemieckich obozów.

– Przepraszam, Álvaro, ale czy moglibyśmy dokończyć tę rozmowę już w biurze?

* * *

– Szczęśliwego tysiąc dziewięćset szesnastego!

Blanca dobrze pamięta poprzedniego sylwestra, którego spędziła z Manuelem na Puerta del Sol, jedząc winogrona, nieświadoma jeszcze, że powinna przy tym pomyśleć życzenie. Szkoda, że nie zażyczyła sobie, by Carlos de la Era całkiem znikł jej z horyzontu.

Tydzień wcześniej świętowali w domu Boże Narodzenie – jak zawsze wesoło. W tym roku dodatkowy powód do radości stanowiła obecność Alicii: doña Ana znów mogła całkowicie skupić się na dziecku, rozpakowywała z małą prezenty, uczyła ją kolęd, pokazywała jej szopkę.

Dziś jest trzydziesty pierwszy grudnia. Blanca była zaproszona do Pałacu, Álvaro wręcz nalegał, by przyszła, ale ona wolała wybrać się z rodzicami do księstwa Pimentel. Don Jaime i doña Ana chcieli w ten sposób zagłuszyć smutek: Alicia na sylwestra wróciła z matką do Las Injurias. W związku z tym nie obyło się nawet bez awantury. Doña Ana zdecydowanie protestowała, trzeba było jej przypomnieć, że mała nie jest jednak jej wnuczką. Blanca bardzo się obawia, że ta zaborczość matki przysporzy im w nadchodzącym roku kłopotów.

Zjedli dobrą kolację, a o północy przerwali tańce, by złożyć sobie nawzajem życzenia; pospiesznego łykania winogron nie było. Gdy wszyscy wokół wymieniali uściski, Blanca myślała o Álvaro i o Manuelu. I choć winogron nie było, prosiła los, by oszczędził jej dalszych kontaktów z dawnym narzeczonym.

Manuel przez cały wieczór nie ruszył się ze swego pokoju przy ulicy Sombrerete. Do późna siedział w biurze; opuścił je, jak niemal zawsze, ostatni. Blanca, która musiała się szykować na jakieś przyjęcie, wyszła już koło południa. Wcześniej jednak złożyła koledze noworoczne życzenia.

– Nie zapomnij o coś poprosić o północy. Kto wie, może takie prośby naprawdę bywają wysłuchane.

Idąc już do siebie, Manuel spotkał na placu Oriente Álvара Ginera, wyelegantowanego z okazji kameralnej sylwestrowej zabawy w Pałacu. Szczerze życzył szefowi szczęścia – zdążył go mimo woli polubić.

Kawałek dalej natknął się na dwóch związkowych towarzyszy, których nie widział od miesięcy.

– Czekaliśmy tu na ciebie, stary. Chodź z nami na wino.

Usiedli w jakiejś knajpie. Manuel sam już zauważył, że spędzając tyle czasu w Pałacu, stopniowo mieszczenie i coraz bardziej lubi kawiarnie, a coraz mniej – lokale podobne do tego.

– Od dawna się nie pokazujesz na zebraniach.

– Mam dużo na głowie: pracę, Las Injurias, sprawy osobiste.

Choć wolał to od siebie odsuwać, w głębi duszy od początku wiedział, że ta

chwila musi nadejść: że prędzej czy później się do niego zgłoszą.

– Niejeden towarzysz oddał życie za to, co ty masz w zasięgu ręki. Trzeba zlikwidować Alfonsa XIII.

– Dobrze wiecie, że nie popieram przemocy.

– Masz do tego prawo, ale decyzja została już podjęta. Swego czasu pomogliśmy ci w potrzebie, teraz przyszła pora, żebyś się nam odwdzieczył. Przemyśl to sobie.

Wrócił do domu pogrążony w rozmyślaniach o tym, co przed chwilą usłyszał. Zdaje się, że to była groźba.

Teraz słucha dobiegających z ulicy hałasów. Jacyś chłopcy ciągną na sznurkach puszek, wywołując straszny harmider. Sam też tak robił, gdy miał dwanaście czy trzynaście lat. Razem z Luisem Segurą rozrabiali w sylwestrowe noce aż do świtu, puszczali petardy... Mieszkał wtedy z rodzicami w niskim domku przy arenie walk byków Fuente del Berro. Niewykluczone, że ojciec wciąż tam mieszka; od śmierci matki Manuel nie widział go ani razu i nie ma na to ochoty.

Przestał też odwiedzać Murcjankę. Widuje ją, kiedy chodzi na lekcje z dziećmi z Las Injurias i stara się pomagać tamtejszym biedakom. Nie zostaje z nią jednak sam na sam, nie wspominając już o chodzeniu z nią do łóżka. Nie osądza jej sposobów zarabiania na życie, nawet tego, że usuwa ciężę, niemniej uważa, że powinna była mu o tym powiedzieć, zamiast czekać, aż sam się dowie.

Nie potrafi przestać myśleć o niedawnym spotkaniu z towarzyszami. Nigdy nie wierzył w skuteczność przemocy, a teraz dodatkowo sądzi, że atak na króla w warunkach wojennych przyniósłby więcej szkody niż pożytku. Alfons XIII robi przecież sporo dobrego.

Álvaro wraz grupką innych gości króla pali hawańskie cygara. Wśród zebranych jest i markiz Albero, twórca filmu z młodą Cyganką, która takie wrażenie zrobiła na don Alfonsie.

– Skąd wytrzasnąłeś tę małą, Albero?

– To modelka i żona pewnego francuskiego malarza, który mieszkał w Sewilli. Bardzo dobrego malarza zresztą. Niestety wzięli go do wojska. Może już nie żyje. Chciałem jeszcze coś z nią nakręcić, ale zniknęła. Podobno jest w Madrycie.

– Spytaj o nią Alvarita, on podobno ją zna, ale nikomu jej nie pokazuje. Trzyma dziewczynę dla siebie.

Król, nie tracąc nadziei na znalezienie przyjacielowi żony, kilka minut wcześniej przedstawił mu Adelę Espinosę, niezwykle piękną córkę don Tomasa Espinosy, bardzo zamożnego człowieka interesów.

– Facet robi fortunę na tej wojnie i bardzo by nie chciał, żeby się skończyła.

Francuzom sprzedaje pistolety, Niemcom kule, a obu stronom mundury, zboże, części do aut i okrętów.

- Sęp, za przeproszeniem Waszej Królewskiej Mości.
- Owszem, ale córkę ma ładną. Dziewczyna jest do wzięcia, ma pieniądze i wielki apetyt na zaszczytne tytuły.
- Tyle że ja... nie mam żadnych tytułów.
- I o tym chciałem z tobą pomówić. Jeszcze w tym roku zrobię z ciebie księcia. Zresztą wcale nie dlatego, że jesteś moim przyjacielem, a dlatego, że sobie na to zasłużyłeś ciężką pracą w naszym biurze. Rzecz jest przesądzona. Co powiedziałbyś na tytuł księcia Jeńców? Czy wolałbyś coś innego?

Jeśli orientacja go nie zawodzi – bo Niemcy nie zawracają sobie głowy informowaniem ich o takich sprawach – dziś przypada sylwester. Gdzie teraz są, Jean-Marie nie wie. Zatrzymali się na nocleg w pobliżu jakiegoś niemieckiego miasteczka, przez które przechodzili kilka godzin temu. Idą już od tak dawna, że Francja musiała zostać bardzo daleko.

Miasteczko wyglądało idyllicznie: małe kolorowe domki o czarnych dwuspadowych dachach, wąskie brukowane ulice, w tle ośnieżone szczyty... Jean-Marie woli malować ludzi, ale tym razem stwierdził, że chętnie machnąłby taki widoczek. Zaczął myśleć o perspektywie, barwach, świetle i tak się rozkojarzył, że nie dostrzegł chłopaka z kamieniem w ręku. Uchyliłby się przecież, jak to często robił podczas podwórkowych walk w dzieciństwie. Ale nie: dostał w czoło, rozcięcie mocno krwawiło. Niemieccy żołnierze się śmiali, chłopak też, ba, nawet część jego towarzyszy niedoli uległa wesołości. Tylko jakaś kobieta popatrzyła na niego ze smutkiem i podeszła, by oczyścić i opatrzyć mu ranę.

Na czole zostanie blizna, a w pamięci – jeśli uda mu się utrzymać przy życiu – niezła opowieść: przetrwałem okopy, bomby i walki wręcz, żeby gdzieś w Niemczech, może w Bawarii, oberwać w sylwestra od chłopczyny z kamieniem.

Mieszkańcy Las Injurias też świętują, jak inni madrytczycy, choć w tym roku nikt nie ukradł dla nich ciężarówki z przysmakami, jak to uczynili anarchiści rok wcześniej. Owszem, znów rozdawano buty i zabawki, tyle że butów i zabawek się nie je, toteż kolacja w większości domów jest równie skromna jak zazwyczaj.

Rozpalono jednak ognisko, przy którym wszyscy się teraz grzeją. Chłopcy hałasują, ciągnąc na sznurku puszki, starsi śpiewają i tańczą. Wielu pochodzi z Estremadury lub Murcji: tradycyjnym pieśniom towarzyszy rytmiczne klaskanie.

Murcjanka od rana czeka na Manuela – i to nie ze względu na uprawianą przez niego dobroczynność. Chciałaby, żeby wszystko było jak dawniej, zanim pojawiła się tamta dziewczyna, która prawie umarła.

Wśród zgromadzonych są natomiast Alicia z matką.

– Państwo nie chcieli mnie puścić, musiałam im przypomnieć, że jestem wolnym człowiekiem, a Alicia to moja córka. Dobrze chociaż, że Blanca przemówiła im do rozumu.

– W sylwestra o szóstej wieczorem idź się wypowiedzieć do Notre Dame. Pierwszy konfesjonał po prawej. Tam dostaniesz wskazówki.

Frank odebrał to polecenie kilka dni temu. Teraz, po wizycie w Notre Dame, już wszystko wie. Tak jak się spodziewał, ma opuścić Paryż; dołączy do grupy dziennikarzy wybierających się do południowej Anglii. Będą tam zwiedzać fabrykę samolotów. On wystąpi jako meksykański reporter Roberto Velázquez; potrzebne dokumenty znajdzie w skrytce na Gare du Nord. Kazano mu zrobić jak najwięcej zdjęć, które następnie przekaże dalej. Wtedy mu powiedzą, czy zostanie w Paryżu, czy wróci do Niemiec.

* * *

– Czyli to ty zastąpiłeś poprzedniego korespondenta „El Noticiero de Madrid”. Mam nadzieję, że nie skończysz tak jak on.

Gonzalo spędza sylwestra w jednym z najbardziej luksusowych hoteli Paryża – Ritzu przy placu Vendôme; na przyjęcie zaproszono korespondentów różnych hiszpańskich i latynoamerykańskich gazet.

– Nic o nim nie wiem, tylko tyle, że wedle naszej konsjerżki mu odbiło.

– Bo to i cała historia. Paryż jest dla niektórych bardzo niebezpiecznym miastem, mój drogi, bardzo niebezpiecznym. Twój poprzednik od dawna nie przychodził ani na przyjęcia, ani na spotkania z politykami czy wojskowymi. Podobno widywano go w bardzo podejrzanych lokalach na Montmartrze. Ale powiedz: jedziesz z nami do tej fabryki samolotów?

– Tak, po raz pierwszy będę w Wielkiej Brytanii. Nie znam angielskiego.

– Nic się nie martw, nie będziesz go potrzebował. Towarzyszyć nam będą francuscy wojskowi, nie zostawią nas samych nawet na pięć minut. Boją się niemieckich szpiegów. Podobno pełno ich w Paryżu. Jeden z nich zabił przecież kapitana Rogersa.

Carlos de la Era ogląda noworoczne fajerwerki z daleka. Siedząc w swoim czerwonym aucie, złości się, ponieważ nie został zaproszony na żadne ważne sylwestrowe przyjęcie. Chciał nawet zorganizować coś u siebie, ale dostał tyle odpowiedzi odmownych, że musiał zrezygnować, udając, że to z powodu choroby matki.

Zaparkował przy Puerta de Toledo, ale chyba pora się zbierać, bo nic nie wskazuje na to, by tej nocy mógł coś wskórać. Szkoda, dobrze by było, gdyby Blanca zaczęła rok tysiąc dziewięćset szesnasty od wieści o Alicii i jej matce, ale cóż, te dwie najwyraźniej spędzą dzisiejszą noc w swojej dawnej norze.

Po katalońsku: *Noi del Sucre*. [\[wróć\]](#)

8.

Kto zajmował się tymi sprawami? To są przecież błędy nie do wybaczenia!

Manuel jest wyraźnie wściekły. Niektóre nazwiska powtarzają się wielokrotnie: Dupont wśród Francuzów, Smith pomiędzy Anglikami... To samo dotyczy imion – Philippe czy John występują w wielu teczkach. W archiwum przechowywane są dane co najmniej dwudziestu Davidów Williamsów. Dlatego trzeba zawsze sprawdzać datę urodzin, miejsce pochodzenia oraz inne szczegóły. Każda pomyłka pociąga za sobą poważne konsekwencje – oznacza, że jacyś rodzice otrzymają nieprawdziwą wiadomość o śmierci swego syna czy list skierowany do kogoś zupełnie innego. Manuel przypominał o tym tysiąc razy, a mimo to właśnie odkrył, że pomyłono dwie tecki.

– To chyba moja wina. Przykro mi...

Blanca od razu się przyznaje. Przeczytała te listy, sprawdziła spisy jeńców, przygotowała odpowiedzi. Na szczęście Manuel zapobiegł katastrofie.

– Nic mnie nie usprawiedliwia. Daj, zaraz poprawię.

– Sam to zrobię, nie przejmuj się.

– Nie, nie! Sprawdzę wszystko, co zrobiłam od rana. Nie chcę ryzykować, jestem dziś roztargniona, myślę o innych rzeczach i opuściłam się w pracy.

– W takim razie tym bardziej muszę się włączyć.

I oto dzieje się coś niespodziewanego: Blanca wybucha płaczem. Nigdy wcześniej, nawet w dniach najcięższej pracy, nie ulegała w ten sposób emocjom. Teraz nie jest w stanie opanować łez. Drżącym głosem odczytuje Manuelowi list, który ma przed sobą.

Wasza Królewska Mość,

nikt już nie pomoże ani mnie, ani mojemu wnukowi Milutinowi, który kilka miesięcy temu umarł w obozie jenieckim w Austrii. Jednakże przeczytałam w jednej z naszych gazet o działaniach Waszej Królewskiej Mości i muszę im przyklasnąć, nawet jeśli z mojej perspektywy są spóźnione i zakrojone zbyt wąsko.

Mój wnuk, dwudziestolatek z Czarnogóry, był pełnym wiary w przyszłość idealistą, dobrym studentem, gorącym patriotą, człowiekiem inteligentnym i wesołym. Nie da się o nim powiedzieć choćby jednego złego słowa. Wybuchła wojna, Milutin odpowiedział na wezwanie ojczyzny i dzielnie walczył z Austriakami. Trafił do niewoli, ale i wtedy nie stracił godności ani ducha. Dostaliśmy od niego jeden list, w którym, zamiast się skarżyć, opowiadał nam o swoich planach, o przyjaźni, jaką zawarł mimo niesprzyjających warunków, o swym podziwieniu dla lekarzy niosących pomoc chorym niezależnie od własnego wyczerpania. Zamierzał po wojnie pójść na medycynę, by również pracować na

rzecz cierpiących.

Nie zostało mu to dane. O jego śmierci poinformował nas zbieg z tego samego obozu: jeden ze strażników zastrzelił naszego Milutina, będąc pod wpływem alkoholu. Założył się z kimś, że trafi w głowę jeńca z odległości stu metrów. Na nasze nieszczęście wygrał ten zakład, a trafionym jeńcem okazał się mój wnuk. Tamtego człowieka nawet nie ukarano, jedynie upomniano: oto jaka jest dziś wartość młodego ludzkiego życia.

Mnie już Wasza Królewska Mość nie pomoże, ale przecież trzeba powstrzymać ten koszmar. O co z całego serca błagam.

– Przepraszam, Blanco, byłem zbyt ostry. Sam się zresztą już nieraz myliłem.

Słowa Manuela odnoszą skutek odwrotny do zamierzonego: Blanca płacze coraz rozpaczliwiej. Pozostali pracownicy biura obserwują ich z zakłopotaniem niepewni, czy powinni się wtrącić, czy nie.

– Chodź, przejdziemy się na spacer.

Idą pod rękę przez plac, szukając jakiejś ławki z dala od tłumu. Nim ją znajdują, Blanca się uspokaja, zawstydzona swoją słabością.

– Przepraszam, zachowałam się niemądrze.

– Co ci jest?

– Nie wiem, mam dziś wrażenie, że wszystko robię źle... Taki dzień.

Blanca czuje się przytłoczona: pracy jest coraz więcej, gdyż król znów rozszerzył zakres ich obowiązków, powierzając im rozsyłanie hiszpańskich lekarzy-wolontariuszy do różnych szpitali polowych; zbliżająca się podróż do Paryża i Berlina z pewnością spowoduje dodatkowe opóźnienia, a na domiar złego Elisa po epizodzie w Las Injurias znów zerwała z dawną przyjaciółką wszelki kontakt.

– Chyba miałeś rację. Nie powinniśmy byli ściągać Alicii do nas. Zresztą sama nie wiem.

Alicia bardzo się zmieniła: w noc sylwestrową, gdy matka zabrała ją do domu, przez cały czas płakała, nie zwracając uwagi na niegdysiejszych kolegów i odmawiając jedzenia oraz picia.

– No i znowu się rozchorowała. Ma zapalenie płuc. Moja matka czuwa przy niej po całych nocach.

– Czy to nie jest raczej zadanie dla jej własnej matki?

– O to ciągle toczą się zażarte kłótnie. Alicia, rzecz jasna, korzysta z tej sytuacji i wchodzi wszystkim na głowę. Moja matka nie rozumie, że mała nie jest jej wnuczką, a matka Alicii, że tu chodzi przede wszystkim o dobro dziecka. Lada dzień nastąpi zerwanie stosunków.

– Cóż, matka Alicii ma do niej większe prawo.

– Tak, ale ja wciąż liczę na to, że sytuacja jakoś się unormuje. Gdybyśmy wtedy nie zabrali małej z Las Injurias, już by pewnie nie żyła. Tyle że potem należało chyba zostawić ją w spokoju.

– Ty chciałaś dobrze.

– No tak... Dziękuję, Manuelu, już mi lepiej. Możemy wracać.

– Nie, pospacerujmy trochę. Dwie godziny nikogo nie zbawią. Nie masz ochoty na kawę?

* * *

Samochody, które wciąż koegzystują z coraz jednak rzadszymi pojazdami konnymi, elektryczne tramwaje, tłumy przechodniów zaaferowanych lub, przeciwnie, zażywających spokojnej przechadzki... Ulice Madrytu są jak zawsze pełne ludzi – w różnym wieku, z różnych klas społecznych, nie tylko madrytczyków, lecz i przyjezdnych. Manuel i Blanca wędrują wraz z innymi; można by ich wziąć za młode małżeństwo na wycieczce w stolicy.

– Widziałeś się ostatnio z Murcjanką?

– Jasne, przecież co sobotę udzielam w Las Injurias lekcji. Ale wiem, o co pytasz: czy rozmawiałem z nią o tym, co się stało. Nie. Każdy robi to, co uważa za słuszne. Mam tylko pretensję, że mi nie powiedziała.

– Nie oburza cię zabijanie niemowląt?

– Nie jestem pewien, czy tu chodzi o zabijanie niemowląt... Przecież to dopiero płody. Zresztą, nie mnie osądzać takie rzeczy. Wolałbym, oczywiście, żeby kobiety nie musiały się posuwać do podobnych skrajności, ale nie zamierzam krytykować ani twojej przyjaciółki Elisy, ani Murcjanki. Życie niekiedy wymaga od nas podejmowania bolesnych decyzji. Widziałem w życiu wiele dzieci, które umierały z głodu, i zawsze sobie wtedy myślałem, że byłoby lepiej, gdyby ich matka nie rodziła jednego po drugim.

Temat został wyczerpany. Blanca w gruncie rzeczy nie ma ochoty na rozmowę o Murcjance i Elisie. Chciałaby znów poczuć się przy Manuelu swobodnie – jak na początku, gdy się poznali, i później, w noc sylwestrową na Puerta del Sol, i w ten wieczór po przedstawieniu, kiedy pocałowali się na pożegnanie.

– Jak tam twoja sztuka? Cieszy się powodzeniem?

– Tak, chcą ją nawet wystawić w kilku miejscach w Katalonii.

– To prawdziwy sukces, prawda?

– Mnie nie chodzi o sukces, tylko o to, by dotrzeć z naszymi ideami do ludzi. My, anarchiści, powinniśmy mieć do zaproponowania coś jeszcze poza organizowaniem zamachów.

Blanca bardzo się tą kwestią interesuje; pyta Manuela o książki, z których mogłaby się czegoś dowiedzieć na temat jego przekonań, a także o jego przeszłość.

– Wolałbym nie rozmawiać z tobą o swojej przeszłości. Żeby nie musieć

kłamać.

- Zgrywasz teraz tajemniczego?
- Może naprawdę jestem tajemniczy.

Docierają do Puerta del Sol, gdzie akurat rozpoczynają się prace nad podziemnym pociągiem, który ma usprawnić komunikację w Madrycie. Niesamowite przedsięwzięcie!

– Nie potrafię sobie tego wyobrazić. Wykopią tunel aż do Cuatro Caminos... Przecież ziemia się pod nami wszystkimi pozapada!

- Widziałam już takie pociągi w Paryżu i Londynie. Postęp czyni cuda.

– Kiedyś całą pracę będą wykonywały za nas maszyny i robotnicy, zamiast harować od świtu do nocy, zajmą się wreszcie samorozwojem. Pytałaś mnie o anarchizm. Właśnie o to w nim chodzi. O równość, o to, żeby nikt nie musiał przez całe życie pracować na innych i żeby każdy ciągle się rozwijał. Żeby nie było rządów ani armii i żeby panowało powszechne dobro.

– Wątpię, by ta wizja się kiedykolwiek ziściła. Jeśli maszyny zastąpią ludzi w pracy, wielu nie będzie miało jak zarabiać na życie. Ba, te maszyny będą należeć do nielicznych, tak jak teraz jest z ziemią, co w sumie może się okazać jeszcze gorsze. Ale, rzecz jasna, chciałabym, żebyś to ty miał rację.

Blanca, w przeciwieństwie do Manuela, nie bardzo wierzy w ludzkość. Wojna, która wybuchła w chwili, gdy Europa prosperowała lepiej niż kiedykolwiek w historii, to najlepszy dowód, że zarazek destrukcji nie da się wyplenić, bez względu na dobre intencje anarchistów.

- Wstąpimy tu na kawę?

W centrum Madrytu pełno jest najrozmaitszych kawiarni; każdy znajdzie coś dla siebie: konserwatyści i liberałowie, germanofile i stronnicy ententy, amatorzy literatury i muzyki... Blanca i Manuel siadają w Café de Fornos, na rogu ulic Alcalá i Virgen de los Peligros. Za dnia to przyzwoity lokal, jednakże wieczorami, gdy kończy się ostatnie przedstawienie w pobliskim teatrze Apolo, tutejsza klientela się zmienia i zamiast panienek z dobrych domów przy stolikach pojawiają się osoby podejrzanej konduity.

- Kiedy z Ginerem wyjeżdżacie?

– Za jakieś dwa tygodnie.

– Będzie mi cię brakowało.

– Mamy wielu nowych pracowników, do tego czasu się wdroszą i nawet nie zauważysz mojej nieobecności.

- Nie chodzi mi o pracę, tylko o ciebie. Lubię cię codziennie widywać.

* * *

- Szybciej! Nie zatrzymywać się!

Jean-Marie nie wie, jak nazywa się miejsce, gdzie ich trzymają. Nie ma też pojęcia, do czego służą głązy taszczone przez nich z kamieniołomu na ciężarówce:

czy do wznoszenia budynków, czy może do wzmacniania słynnych niemieckich okopów. Niemcy to wytrawni budowniczości. Jeszcze za sto lat, w dwudziestym pierwszym wieku, ich bunkry będą znaczyły powierzchnię Europy niczym blizny, przypominając o śmierci i zniszczeniu. Jeśli, rzecz jasna, ta wojna kiedykolwiek się skończy i ktoś ją w ogóle przeżyje.

W obozie Jean-Marie spotkał dawnego kolegę z kompanii, studenta Casseau, który, jak pamięta, wydał mu się zbyt delikatny, by przeżyć ataki Niemców i ewentualne trudy niewoli. A jednak to on przetrwał; reszta zginęła. Vilette, Anaclet, wszyscy. Dołączyli do wielu innych, którzy już z pewnością nie doczekają końca tego koszmaru.

Karmią ich źle i skąpo, ubrań też im prawie nie dają, dobrze chociaż, że robi się coraz cieplej, idzie wiosna. To jedyna rzecz, która nie zależy od niekompetentnych niemieckich i francuskich dowódców: natura żyje swoim życiem, już wkrótce śnieg stopnieje, zakwitną kwiaty. Jean-Marie chce wierzyć, że on z kolei odzyska wolność, zobaczy syna, przytuli Carmen...

– Patrz! Tam!

Casseau pierwszy zauważył, że ciągnące się wzdłuż drogi do kamieniołomu ogrodzenie z drutu kolczastego w jednym miejscu jest zerwane. Dałoby się tamtędy przecisnąć, lecz na razie nikt się chyba nie zorientował. Mijają tę dziurę raz i drugi, starając się na nią nie patrzeć, żeby nie zwracać niczyjej uwagi. Za ogrodzeniem jest otwarta przestrzeń, a czterysta czy pięćset metrów dalej zaczyna się gęsty las, w którym można by się zapewne ukryć. Czy to droga do wolności, czy do pewnej śmierci? Jak uciekać przez obcy kraj, którego języka się nie zna?

– Tutaj wszyscy pomrzemy z głodu, a jeśli nawet nie, to zastrzelą nas któryś ze strażników, w przypływie złego humoru. Już lepiej zginąć przy próbie ucieczki.

Casseau, dawniej tak nieśmiały, tak zestrachany, teraz wydaje się pełen determinacji.

– Jak chcesz tu zostać, to zostań, sam spróbuję. Ale uważam, że mamy patriotyczny obowiązek się stąd wyrwać, wrócić do Francji i walczyć dalej.

Jean-Marie waha się przez kolejne kilka dni: mijając uszkodzone ogrodzenie, jedząc i kładąc się do snu. Nie wie, co robić. Wie tylko jedno: chce żyć.

– Jutro się zbieram. Boję się, że załatają tę dziurę i stracę jedyną sposobność.

Casseau już podjął decyzję, teraz Jean-Marie musi zrobić to samo: czy się odważy? Jemu chodzi wyłącznie o przetrwanie, ojczyznę się nie przejmuje. Szkoda, że nie posłuchał brata Carmen, gdy Antonio proponował mu kryjówkę na czas wojny, gdzieś w Alpach. Ani Francja, ani Anglia, ani Niemcy, żadni generałowie, prezydenci, królowie ani królowie nie zasługują na takie poświęcenie.

Jeńcy dźwigają swój ładunek na plecach, jak w Hiszpanii węglarze, w czymś w rodzaju plecaków z kapturami, które zakłada się na głowę, by zrównoważyć ciężar. Plan ucieczki jest prosty: zostawić plecak, ostrożnie prześlizgnąć się za

druty i biec, biec bez ustanku z nadzieją, że się zdąży.

– Niewykluczone, że ktoś zechce pójść w nasze ślady.

– To i lepiej. Im nas więcej, tym większa szansa, że komuś się uda. Nie myśl o tym, co będzie potem. Po prostu biegnij, spotkamy się w lesie.

– A dalej co?

– To jest wojna, nikt nie wie, co dalej. Może spadnie bomba? I zabije nas albo Niemców? Zobaczymy.

Okolo dziewiątej, gdy mają już za sobą kilka godzin pracy, przyjeżdża wóz z gorącą kawą i kanapkami dla strażników. To najlepszy moment. Większość Niemców odstawia wtedy karabiny, posila się, a potem pali papierosy i żartuje; zanim ktokolwiek złapie za broń, minie kilka cennych chwil.

Casseau idzie tuż przed Jeanem-Marie. Rankiem dogadali się, że jednak uciekają razem. Przedrą się z powrotem do Francji i znów będą walczyć.

– Teraz!

Casseau zrzuca plecak i wciska się pod druty. Jean-Marie chce uczynić to samo, ale nie może, stoi jak wrośnięty w ziemię. Dwaj mężczyźni za nim biorą przykład z Casseau. Wszyscy trzej, już po drugiej stronie ogrodzenia, podrywają się na nogi i biegną. Jean-Marie odnosi wrażenie, że drzewa się tymczasem oddaliły; nie da się do nich dotrzeć. Nigdy nie był zbyt religijny, ale teraz, gdy tak stoi, potrafi się jedynie modlić. Bezgłośnie porusza ustami: „Ojczy nasz, któryś jest w niebie”.

Strażnicy uważali bardziej, niż się wydawało. Casseau i jego dwaj przypadkowi towarzysze padają na ziemię, nim zdążyli pokonać połowę dystansu. Niemcy gratulują strzelcom celności.

Jean-Marie wciąż żyje, po raz kolejny się uratował. Tyle że zamiast ulgi czuje wstyd. On, taki doświadczony, powinien był zadbać o młodszego towarzysza. Zamiast tego stchórzył i tylko patrzył na śmierć kogoś, kto okazał się znacznie odważniejszy od niego.

* * *

– Nic nie wiemy o aktualnym miejscu pobytu Jeana-Marie Hugueta. Wiadomo, że został ranny pod Ypres i trafił do szpitala polowego. Potem wrócił na front, w okolice Verdun. Od tamtej pory nie mamy o nim wieści.

– Jak to?

– Nie odnaleziono jego ciała, ale nie wrócił do swojej jednostki, Niemcy zaś nie zgłosili pojmania go w niewolę. Oczywiście czasem to musi potrwać. Nic nie wskazuje natomiast na to, by zdezerterował; to był dobry żołnierz, zgłoszono go nawet do awansu.

– A więc?

– Trzeba czekać, aż potwierdzi się któraś z trzech możliwości: zginął, trafił do obozu albo uciekł.

Álvaro Giner, dyrektor Urzędu do spraw Ochrony Jeńców, osobiście wyprawił się z Carmen Carmoną do ambasady Francji w Madrycie. Gdyby nie jego towarzystwo, Carmen nigdy nie zostałaby tam wpuszczona.

– Czy mogłabym zostawić dla męża list? Na wypadek gdyby się odnalazł.

– Ze względu na don Álvaro Ginera i jego pomoc dla wielu francuskich żołnierzy zrobimy, co się da. Pod warunkiem, że pani mąż nie zdezerterował, bo jeśli tak się stało, po odnalezieniu się natychmiast stanie przed sądem wojskowym.

Czyli wszystko na darmo: wciąż nic nie wiadomo. Dobrze chociaż, że Álvaro Giner uzyskał od Francuzów konkretną obietnicę: powiadomią ich, jak tylko coś się okaże. Zainteresował się też losem syna Carmen po ewentualnej śmierci jego ojca.

– Bez deklaracji z jego strony mamy związane ręce.

– Ale skoro zaginął, to jak ma składać deklaracje?

– Takie są przepisy. Wojna to dla wszystkich tragedia.

Co ten arogancki Francuz może wiedzieć o tragediach? Ubrany w modny garnitur siedzi w bezpiecznym madryckim biurze, podczas gdy inni gniją w okopach! Carmen chętnie by go spoliczkowała, ale wie, że to tylko skomplikowałoby sprawę. Ten kretyn może się jednak przydać.

* * *

– Carmen, czy to naprawdę Jean-Marie jest ojcem twojego dziecka? Nie chcę cię obrażać, ale muszę ci wyznać, że widziałem cię już wcześniej. Na filmie nakręconym przez markiza Albero.

Carmen czuje wstyd; nie sądziła, że zobaczy ją w tej roli ktokolwiek poza samym markizem i tuzinem jego pomocników.

– Potrzebowałam pieniędzy, żeby tu przyjechać.

Schodzą już po schodach i Carmen zaczyna podejrzewać, że pomoc Ginera nie była bezinteresowna; że to próba zaciągnięcia jej do łóżka.

– Nie musisz się tłumaczyć, życie nie zawsze układa się po naszej myśli. A czasy są trudne. Markiz prosił, żebym cię z nim skontaktował.

– Czego chce?

– Nie wiem. Na razie nie mówiłem mu, gdzie cię może znaleźć. Mam powiedzieć?

– Nie, nie zamierzam już więcej robić takich rzeczy. Byle starczyło mi pieniędzy, żeby nakarmić syna. A pan czego ode mnie oczekuje?

– Niczego od ciebie nie oczekuję, Carmen. Mam tylko nadzieję, że odnajdziemy twojego męża i zdołamy ściągnąć go do Hiszpanii, by mógł poznać syna.

Czyli chyba się pomyliła – to najwyraźniej dobry człowiek, tak jak twierdziła Blanca. Ludzie, jak widać, są bardzo różni: jedni potrafią okraść samotną kobietę z dzieckiem na rękę, inni zaś bezinteresownie udzielają bliźnim

pomocy. Może to wszystko wpływ wojny, a może zawsze tak to wygląda, tylko ona, Carmen, żyła wcześniej oderwana od rzeczywistości.

Na dworze czeka Blanca, ciekawa, jak im poszło, i zdecydowana odprowadzić Carmen do Las Injurias; po drodze zastanawiają się we dwie, co dalej.

– Zostaniesz w Madrycie czy wrócisz do Sewilli?

– Nie mam pojęcia. Wiesz, co mnie spotka w domu? Brat długo mi nie wybaczy tej mojej „ucieczki”. Tutaj przynajmniej jestem panią samej siebie.

Tyle że cena za to okazuje się bardzo wysoka: całe dni z dala od dziecka, nad zimną rzeką, przy pracy, która nie pozwala nawet na to, by kupić sobie własne ubranie, choćby taką sukienkę z okazji wizyty w ambasadzie, pożyczoną od Blanki.

Świadoma już okrucieństw tego świata Blanca codziennie dziękuje losowi za to, że urodziła się w zamożnej rodzinie i że ma ojca, który podobnie jak ona uważa, że kobietom należą się takie same prawa jak mężczyznom.

– Papo, wiem, że nie mamy już w domu miejsca dla kolejnej kobiety z dzieckiem, ale jest ktoś, komu chciałabym jakoś pomóc. To bardzo pracowita osoba.

– Co potrafi?

– Czy ja wiem... Pierze. Poza tym pozowała w Sewilli do obrazów.

– Blanco, ja naprawdę nie wiem, co mogę zrobić dla praczki... Dlaczego mnie zdręczasz takimi rzeczami?

– To dla mnie ważne.

– Dobrze, pomyślę, ale żeby to już była ostatnia tego rodzaju sprawa.

Oboje wiedzą, że nie będzie ostatnia i że don Jaime jak zawsze stanie na głowie, by pomóc, gdyż jest dumny z córki, która zamiast myśleć tylko o sobie, wzorem innych dziewcząt ze swojej sfery, zajmuje się kłopotami innych.

– Gdybyś jeszcze interesowała się ogrodnictwem, byłabyś prawdziwym ideałem.

– A tak nie jestem?

– No coś ty! Jesteś prawdziwym utrapieniem! Trudno sobie nawet wyobrazić gorszą córkę.

W Las Injurias Blanca znowu spotyka Murcjanę. Po raz pierwszy od zajścia z Elisą i, wyjątkowo, sam na sam, bez Manuela.

– Jak się miewa Alicia?

– Lepiej, codziennie przychodzi do niej lekarz. Wyzdrowieje. Tutejsze dzieci są przyzwyczajone do zimna i wilgoci, silniejsze... W takich miejscach jak twój dom tracą odporność.

– Bzdura. Kiedy zabierałam Alicię do szpitala, była w znacznie gorszym stanie niż teraz. Niewykluczone, że gdyby tu została, już by nie żyła. Powinnaś od czasu do czasu przypominać o tym jej matce.

Murcjanka nie przyzna jej racji, choć wie, że Blanca się w tej sprawie nie myli. Nikt nie powinien mieszkać w Las Injurias – ani dzieci, ani nawet dorośli. Dzielnica nędzy musi zniknąć z powierzchni ziemi i z pamięci madrytczyków: oby za jakieś czterdzieści lat nikt nie pamiętał, że coś takiego w ogóle istniało.

– A co u twojej przyjaciółki Elisy?

– Doszła do siebie. Przynajmniej fizycznie.

– Chciałam jej wtedy pomóc, ale ona za długo zwlekała. I nie powiedziała mi prawdy. W takich wypadkach czas jest kwestią podstawową. Elisa skłamała. Była w ciąży dłużej, niż mówiła. Wiem, że potępiasz aborcję, ale jest wiele kobiet, które nie mają wyjścia.

Blanca nie zamierza o tym dyskutować, jej poglądy i tak zostały w ostatnich miesiącach wystawione na niejedną próbę. Czasem odnosi wrażenie, że już nigdy nie będzie niczego pewna. Może faktycznie, tak jak twierdzi Murcjanka, niektóre kobiety nie mają wyboru. Ale Elisa miała.

– Przecież ty to robisz dla pieniędzy.

– Tak, dla pieniędzy. Żeby kupić naszym dzieciom trochę owoców, których tobie nigdy nie brakowało. Nie próbuj mi się tu wywyższać. Ja mogłabym żyć gdzie indziej, a jeśli mieszkam w Las Injurias i usuwam ciążę, to dlatego, że nie chcę zostawić wszystkich tych ludzi samym sobie, nieważne, czy tobie się to podoba czy nie. Twoja przyjaciółka popełniła błąd i ktoś musiał pobrudzić sobie ręce, żeby uwolnić ją od konsekwencji. Trafiła akurat na mnie, ale nie ja jedna w Madrycie się tym param. W każdej dzielnicy z łatwością znajdziesz tego rodzaju pomoc. W okolicy Las Ventas działa Micaela, koło Cuatro Caminos Eulalia z Kordoby. Żadna z nas nie jest gorsza od ciebie, po prostu przyszło nam funkcjonować w innych warunkach.

Ta rozmowa donikąd nie prowadzi. Zdaniem Blanki obie – i Elisa, i Murcjanka – dopuściły się czegoś strasznego. Manuel nie chce ich sądzić, ale ona, Blanca, nie potrafi tego nie robić, nawet jeśli teraz już rozumie, że naprawdę różnie to w życiu bywa.

* * *

– Peron ósmy, tam na pana czekają.

Pojadą pociągiem do Calais, gdzie wsiądą na statek do angielskiego Dover. Wszystko, co stanie się potem, jest objęte ścisłą tajemnicą. Położenia fabryki, którą mają zwiedzać, w ogóle nie poznają, a wszelkie wieści, jakie będą przekazywać na jej temat swoim redakcjom, zostaną poddane cenzurze. Oficjalnie chodzi o dostarczenie prasie obiektywnych informacji, jednakże wiadomo, że główny cel to propaganda: Niemcy powinni zdać sobie sprawę z tego, co ich czeka, gdy alianci rzucają na szalę cały dostępny sobie potencjał nauki i przemysłu. Najniebezpieczniejszym momentem podróży będzie, rzecz jasna, przeprawa przez La Manche, gdzie tyle już razy niemieckie łodzie podwodne siały spustoszenie.

Gonzalo zerknął wcześniej na listę dziennikarzy zaproszonych do udziału w tej wyprawie: z piętnastu uczestników tylko dwóch – oprócz niego – mówi po hiszpańsku. Jednego z nich Gonzalo jeszcze nie zna, to jakiś meksykański reporter Roberto Velázquez, który zresztą właśnie się spóźnia.

Dopiero gdy pozostali zajmują już powoli swoje miejsca w przedziałach, znajomy Gonzalowi głos pyta po francusku:

– Czy to wagon numer sześć?

Gonzalo czuje, że serce w nim zamiera. Obróciwszy się, staje oko w oko z Frankiem. Nie są jednak sami. Gonzalo podaje Frankowi rękę i mówi po hiszpańsku:

– Gonzalo Fuentes, „El Noticiero de Madrid”.

– Roberto Velázquez, „El Universal”.

Frank wita się z resztą dziennikarzy, całkiem spokojnie, jak gdyby nigdy nic. Potem opada na fotel przy drzwiach, nieopodal Gonzala, który ulokował się obok okna. Między nimi siedzi korespondent „ABC”, nie mogą nawiązać kontaktu wzrokowego. Naprzeciwko mają dwóch Francuzów i jednego Belga; rozmowa toczy się po francusku – o wojnie, najnowszych doniesieniach z frontu, czekającej ich podróży.

Gonzalo jest zdenerwowany, nie wie, jak się zachować. Bez większego powodzenia próbuje skupić się na dokumentach, które rozdał im jadący z nimi francuski wojskowy. Na jeden z punktów zwraca szczególną uwagę: każde złamanie zasad poufności będzie uważane za zdradę i stosownie do tego karane. A zatem Franka, gdyby został zdemaskowany, czeka śmierć przez rozstrzelanie.

Niedługo po tym, jak pociąg ruszył, Gonzalo wstaje i mówi, że zajrzy do wagonu restauracyjnego. Tak jak przewidywał, Frank podąża za nim.

– Co ty tutaj robisz? Zabiłeś tamtego Walijczyka, prawda?

– Któryś z nas musiał zginąć. Trwa wojna, ja po prostu wypełniam swój obowiązek, służę swojemu krajowi.

Przez jakiś czas milczą. Za oknem migają nieuprawiane od dawna pola: front wprawdzie tu nie dotarł, ale i tak większość zdolnych do pracy mężczyzn została zmobilizowana.

– Wydasz mnie?

Gonzalo patrzy Frankowi w oczy; są teraz inne niż kiedyś, w Madrycie, bardziej przenikliwe, pozbawione dawnej wesołości. Trudno wytrzymać ich spojrzenie, Gonzalo odwraca wzrok. Co robi Frank? Musi przecież czuć się zagrożony. Czy i jego zabije, jak tamtego nieszczęśnika? Czy i to uzna za swój obowiązek?

Dołącza do nich korespondent „ABC”.

– Wagon restauracyjny jest nieczynny?

– Zaraz się przekonamy.

We trzech ruszają dalej. Gonzalo nie odpowiedział na pytanie Franka; sam nie wie, czy go wyda.

* * *

– Jak mogłeś nie wiedzieć, że planuje ucieczkę? Przecież byliście nierozłączni.

Jean-Marie odpowiada na pytania strażników. Raz po raz zapewnia, że naprawdę nic nie wiedział; że Casseau działał w pojedynkę.

– Szedłem tuż za nim, kiedy rzucił się na ziemię. Tak się zdziwiłem, że zastygłem. Sam nie zamierzałem uciekać, zbyt się bałem.

Chwilowo jeszcze go nie biją.

– Kto uszkodził ogrodzenie?

– Nie wiem. Może Casseau, ale właściwie kiedy miałyby to zrobić? Zakładam, że po prostu któregoś dnia zauważył tę dziurę. Ja nie miałem o niczym pojęcia.

– Powinieneś był się zorientować i nas uprzedzić. Następnym razem będziesz bardziej uważał, już ja ci to gwarantuję.

Zamykają go w karczerze, dla postrachu. Pomieszczenie jest małe, pozbawione okien, światło wpada do środka jedynie przez szpary w drzwiach, więc nawet w południe nic nie widać. Nie ma tu pryczy czy koca. A najgorsze, że nie wiadomo, ile go będą w tym miejscu trzymać.

W kubku stoi trochę mętnej wody; póki się nie okaże, kiedy przyniosą nową, ten zapas lepiej racjonować, pijąc odrobinę tylko wtedy, gdy pragnienie staje się nie do wytrzymania.

Raz po raz wracają wspomnienia. Jean-Marie wciąż myśli o tej chwili, gdy Casseau rzucił się do ucieczki. On sam nie zdołał się ruszyć, chociaż miał taki zamiar. Czy to był strach, czy instykt samozachowawczy? Czy on, Jean-Marie, jest w stanie tylko czekać, aż ta wojna się skończy, bez względu na to, kto miałyby ją wygrać?

Pierwsze godziny zamknięcia upływają w miarę znośnie. Jean-Marie trochę śpi, w okopach warunki bywały jeszcze gorsze – tutaj przynajmniej nie spadają bomby. Budzi się pod wieczór. Światło w szczelinach drzwi słabnie, nocą będzie ciemno choć oko wykol. Nie dostał nic do jedzenia, świeżej wody też nie. Dobrze, że oszczędzał, ale i tak nad ranem wypija ostatni łyk. Znów zasypia i znów się budzi. Jest kolejny dzień. W ustach zaschło, na ściankach kubka nie został nawet ślad wilgoci. Trzeba będzie jeszcze poczekać.

Czas jednak mija i nikt do więźnia nie przychodzi. Jean-Marie próbuje wyglądać przez szczeliny na zewnątrz, ale nic nie widzi. Wstaje i niemal się przewraca, ma straszne zawroty głowy. Siada więc z powrotem i czeka, stara się zająć czymś myśli.

W końcu rozlega się jakiś hałas i drzwi się otwierają. Światło jest

oślepiające. Jakiś żołnierz nalewa wody do kubka i kładzie na ziemi obok kawałek chleba. Jean-Marie najchętniej wypiłby wszystko, co ma, od razu, lecz się powstrzymuje: bierze jedynie łyk i przed połknięciem długo trzyma go w ustach.

Mimo to woda kończy się jeszcze przed wieczorem. Lepiej nie myśleć o zbliżającej się nocy.

A jednak znów to czuje: że przeżyje tę wojnę. I oto ciemności rozdziera nagły błysk, potem krople deszczu zaczynają stukać o dach byle jak skleconego karceru. Nawałnica jest tak intensywna, że woda przenika przez szczeliny, leje się po ścianach. Jean-Marie łapczywie ją zlizuje, po chwili zresztą cały jest mokry. Dzisiaj nie umrze z pragnienia.

* * *

– Do ciebie?

– A czemu nie? Moi rodzice nie gryzą... Zresztą papa bardzo chce cię poznać, dużo mu o tobie opowiadałam.

Manuel nie spodziewał się, że Blanca zaprosi go do domu, by mógł odwiedzić wracającą do zdrowia Alicję. Sam pomysł mu się podoba, tyle że chodzi o sobotę, którą wolałby jak zwykle poświęcić dzieciom z Las Injurias, a nie biesiadowaniu w pałacyku markizostwa Alerces. Na dobitkę wcześniej, bo w piątkowy wieczór, czeka go jeszcze inne spotkanie.

Umówił się z kilkoma towarzyszami na zapleczu knajpy przy ulicy Canarias – tej samej, do której zaprosił Blancę po swoim przedstawieniu. Próbuje wytłumaczyć kolegom, że zamach na króla nie ma sensu, przynajmniej na razie.

– Znacie mój stosunek do walki zbrojnej. Ale jest coś jeszcze: to po prostu zły moment.

– Czyli odmawiasz współpracy?

– Nigdy z własnej woli nie angażowałem się w przemoc, choć kilka razy zostałem w nią wplątany. Teraz chodzi mi jednak o to, że w ostatnim czasie król podjął wiele dobrych decyzji. To dzięki niemu nasi żołnierze nie giną w kolejnej wojnie. Pamiętacie Barranco del Lobo?

Jego odmowa z pewnością będzie miała poważne konsekwencje. Ostatecznie towarzysze – a może już ekstowarysze? – pomogli mu, gdy ich potrzebował: po śmierci tamtego policjanta ukryli go w Las Injurias, załatwili mu lewe papiery... Ale to przecież oni zawsze mu powtarzali, że trzeba postępować zgodnie z tym, co się uważa za słuszne i sprawiedliwe, w tym zaś momencie słuszne i sprawiedliwe wydaje się to, by Alfons XIII dalej działał na rzecz jeńców, bo to chyba najlepsza rzecz, na jaką się kiedykolwiek zdobył. Ech, gdybyż tylko można się było na tym skupić, zamiast ciągle nerwowo oglądać się za siebie!

Idąc już z wizytą do Blanki, Manuel myśli też o tym, że lubi ją bardziej i inaczej, niż powinien. To zresztą naprawdę dobra osoba, choć luksusy, w jakich mieszka, wołają o pomstę do nieba. Don Jaime przyjmuje gościa serdecznie i zaraz

prowadzi go do swojego ogrodu, piękniejszego i bardziej zadbanego niż którykolwiek z madryckich parków.

– Nie lubisz kwiatów?

– Kwiatów? Mój dziadek był rolnikiem, uprawiał ziemię, ale zajmowały go raczej rośliny jadalne niż ozdobne. Ja urodziłem się w Madrycie i nigdy w życiu niczego nie zasadziłem.

– W Madrycie? Blanca mówiła, że pochodzisz z Valladolid.

– W Valladolid się wychowałem, ale jestem z Madrytu.

Po raz pierwszy się w ten sposób zapomniał. Udało mu się wybrnąć, ale należy bardziej uważać. Nie wolno zaniedbywać środków ostrożności. To przez ten luksus, piękno tego ogrodu, cały ten komfort, z którym on, Manuel, nie ma i nigdy nie będzie miał nic wspólnego. W takich chwilach z całą mocą uświadamia sobie, że jedyne, co może dzielić z Blancą, to obowiązki w Pałacu. Kiedy wojna się skończy, Urząd do spraw Ochrony Jeńców przestanie być potrzebny, a oni się rozejdą – każde w swoją stronę. Blanca wyda się za jakiegoś arystokratę, on zaś znajdzie sobie miłą dziewczynę, pewnie służącą w takim czy innym mieszczańskim domu. Choć nie da się też wykluczyć, że zostanie aresztowany i zgnije w więzieniu gdzieś w Maroku. Albo padnie ofiarą zemsty dawnych kolegów.

W końcu przypomina sobie, że przyszedł tu dla Alicii. Jej pokój robi wrażenie, trudno się dziwić, że mała woli go od chaty w Las Injurias: jest duży, jasny, ładnie urządzone, pełen książek dla dzieci i zabawek, wyposażony w wielką szafę z ubrankami... Manuel już rozumie, czemu Alicia tak histeryzowała w sylwestra, gdy matka wzięła ją do domu: pewnie sądziła, że nigdy więcej nie wróci do tego ziemskiego raj.

– Jak się masz?

– Dobrze, bardzo lubię tu mieszkać.

– Nie tęsknisz za kolegami?

– Szkoda, że nie przyszli z tobą.

Markizostwo dobrze obchodzą się z nią i z jej matką, jednakże Ramona ma obawy, że kiedyś to się skończy. I co wtedy? Czy nie będą próbowali ich rozdzielić? Manuel rozumie jej lęki: biedaczka bardzo się boi, że sprzedaje dziecko, nawet nie zdając sobie z tego sprawy.

* * *

– Jeszcze trochę mięsa?

Doña Ana jest wcieloną uprzejmością, zapewne Blanca udzieliła jej zdecydowanych instrukcji: Manuel to kolega z pracy w Pałacu Królewskim i trzeba traktować go odpowiednio, choć nie należy do ich sfery i z wyborem sztuców do kolejnych dań musi czekać na innych, by mieć się na kim wzorować. Tak czy owak, mimo starań gospodyni, Manuel nie czuje się komfortowo. Bogactwo markizostwa odbiera jak policzek. Na stole stoi tyle półmisek z jedzeniem, że

wszyscy obecni mogliby się tym żywić przez cały tydzień. Każdy kęs znakomitego skądinąd mięsa nazywanego przez gospodarzy rostbefem tylko wzmaga oburzenie Manuela, zwłaszcza gdy w polu jego widzenia pojawia się usługująca im Ramona, matka Alicii. Powinien być z nią, a nie z „państwem”.

Po deserze i zaserwowanej przez Ramonę kawie zostaje sam z Blanca w przyległym do jadalni saloniku.

– Chcesz się czegoś napić? Brandy?

– Nie. Bardzo dziękuję. Twoi rodzice są bardzo mili, przez cały czas starannie ukrywali, że nieprzyjemnie im zasiadać do stołu z kimś takim jak ja.

– Skoro byli mili, powinieneś im odplacić tym samym i nie przypisywać im odczuć, których może wcale nie mają.

Blanca nie zamierza za nic przeproszać. Nie jej wina, że urodziła się tam, gdzie się urodziła, i że innym jest w życiu ciężiej. Pragnie w miarę możliwości pomagać przy zasypywaniu tej przepaści, ale przeproszać nie będzie. A skoro Manuel chce psuć z tego powodu ich znajomość – jego sprawa.

– Masz rację. Wybacz. Chyba nie powinienem był tu przychodzić. W biurze wszystko wygląda inaczej, mogę cię traktować normalnie.

– A gdzie indziej nie możesz? Czemu?

– Bo jesteś bogata.

– Czy pracuję mniej od innych? Zasłaniam się swoją pozycją społeczną, żeby migać się od obowiązków? Raczej nie. Więc nie widzę problemu.

Nie zdołają się porozumieć. Należy pozbyć się złudzeń. Blanca ma wiele dobrej woli, lecz na niektóre rzeczy nic nie poradzi. Poza tym niedługo wyjeżdża w podróż z Álvarem Ginerem, a nie ulega wątpliwości, że z szefem łączy ją więcej niż z kolegami.

* * *

– Wchodź, lepiej, żeby nikt cię nie zobaczył.

Nie musieli się umawiać: Gonzalo wiedział, że Frank zjawi się u niego w pokoju, w hotelu w Dover, gdzie ich ulokowano. I oto przyszedł. Witają się chłodno, uściskiem dłoni.

– Czytałem twoje korespondencje. Wreszcie udało ci się zostać dziennikarzem. I to dobrym.

– Pomógł mi markiz Alerces. Pamiętasz go?

– Jasne, z Madrytu pamiętam wszystko. Choć na początku nigdy bym nie uwierzył, że kiedyś za tym miastem zatęsknię. W wieczór przed wyjazdem czekałem na ciebie tam, gdzie zwykle, nie pokazałeś się.

– Przykro mi. Wiesz już, co się stało, prawda?

– Nie.

– Zostałem po drodze napadnięty. Długo leżałem w szpitalu. Sprawcami okazali się wojskowi, którzy atakowali homoseksualistów. Opisałem to potem

w gazecie. Łatwo nie było, ojciec wyrzucił mnie z domu. Myślę, że dlatego dostałem to stanowisko w Paryżu: chodziło o to, żeby wysłać mnie gdzieś daleko i nie pozwolić tamtym na zemstę i dokończenie tego, co zaczęli.

– Bardzo mi przykro. W głębi duszy wiedziałem, że musiałeś mieć jakiś poważny powód, żeby nie przyjść.

– Pewnie. Przecież cię kochałem.

– Już nie kochasz?

– Kocham. Ale wszystko dookoła się zmieniło. Kiedy w Paryżu dostałem twoją wiadomość, chciałem natychmiast cię odszukać. A potem usłyszałem, co się stało z tamtym Walińczykiem, i domyśliłem się, że to ty.

– Nie jestem z tego dumny, ale nie miałem wyboru. Mój kraj jest w stanie wojny z Wielką Brytanią, a ja wykonuję swoje obowiązki. Wydasz mnie?

– Nie. Pod warunkiem że jeszcze dzisiaj znikniesz, zrezygnujesz z wizyty w tej fabryce.

– Dlaczego tak stawiasz sprawę?

– Zabiłeś tamtego biedaka i możesz zabić również mnie. Nie wiem, kto wygra tę wojnę, ale tak czy owak znalazłeś się po drugiej stronie barykady. Po stronie tych, którzy potrafią zdradzić zaufanie kochanka, zabić człowieka, który otworzył przed nimi drzwi. Jeśli mnie dzisiaj nie zamordujesz, a jutro wciąż tu będziesz, to cię wydam.

– Nie martw się, nic ci nie zrobię, nie dałbym rady. Nie sądzę też, żebyś ty z kolei był zdolny spełnić swoją zapowiedź.

– Lepiej tego nie sprawdzaj.

Obejmują się – to ich pierwszy od dawna fizyczny kontakt.

– Życz mi szczęścia, może ta wojna się skończy i jeszcze kiedyś się zobaczymy.

– Jeśli się skończy, będę na ciebie czekał. Tutaj, w Paryżu, Londynie czy gdziekolwiek indziej.

Dziennikarze o ósmej zbierają się na śniadaniu. Gonzalo wstał zdenerwowany. Nocą nie zmrużył oka. Frank ma słuszość: nie zdołałby wydać go Francuzom. Jeśli ostrzeżenie nie poskutkowało, nic nie zrobi. Ostatecznie jest tylko dziennikarzem, relacjonuje zdarzenia, ale do walki się nie miesza. Bez względu na to, kto miałby wygrać.

Nalewa sobie ukochanej przez Brytyjczyków herbaty, sięga po jajecznicę i kielbaski. Nie je ich wszakże, nie ma apetytu. Grzebie w talerzu widelcem, co chwila zerkając na drzwi w obawie, że stanie w nich jego niemiecki kochanek.

Godzinę później powinni już ruszać do fabryki samolotów, dostają jednak wiadomość, że muszą jeszcze poczekać w swoich pokojach. Gonzalo po drodze na górę natyka się na korespondenta „ABC”.

– Wygląda na to, że ten Meksykanin, Roberto Velázquez, zniknął. Uciekł. Podobno mógł być niemieckim szpiegiem.

Gonzalo z całej duszy pragnie, by Frankowi udało się przedrzeć z powrotem do Francji, a stamtąd do Berlina. I by kiedyś, po wojnie, mogli się znowu spotkać i kochać, na co nie zdobyli się poprzedniej nocy. Sam nie wie, czy popełnił błąd, czy właśnie zrobił to, co należało.

– Może pan już wyjść...

Pewien angielski rybak zgodził się za astronomiczną cenę przetransportować Franka przez La Manche na swoim kutrze. Jest ciemna bezksiężycowa noc; płynęli sześć godzin. Frank przez cały ten czas bardzo się bał, że rybak nie dotrzyma słowa i ściągnie mu na głowę pogoń. Nie zrobił tego, ale cóż, wojna to wojna, myśli Frank, znów usprawiedliwiając w ten sposób to, jak zaraz postąpi. Nie wolno mu ryzykować, korzysta więc z tego, że rybak na chwilę się odwrócił, chwytając go od tyłu za szyję i zabija, tak jak ich uczono jeszcze w Berlinie.

– Przykro mi, nie powinieneś być zdradzać swojego kraju.

Rozbiera nieszczęśnika i ciało wrzuca do wody. Odzyskał swoje pieniądze, ma też grube ubranie, niewielki plecak, do którego włożył znaleziony na kutrze prowiant, oraz nóż. Zostawia łódź i pół godziny później siedzi już ukryty na trudno dostępnym klifie. Zaczeka do rana, by zorientować się, gdzie jest i co ma robić dalej.

Postanawia przedostać się bocznymi drogami do Paryża. Może zdoła znów zostać Marcellem Malmaisonem, zamieszkałym na wygodnym poddaszu przy ulicy Oran. Wcześniej jednak czeka go długa i najeżona niebezpieczeństwami droga.

* * *

– Możesz wyjść.

Jean-Marie spędził w karczerze tydzień. Przez siedem dni i nocy cierpiał głód i pragnienie, pogrążony w mroku i niepewny swego losu. Teraz światło go oślepia, jest tak słaby, że ledwie trzyma się na nogach. Nie zdoła pracować w kamieniołomie, dźwigać głazów w tym samym rytmie co inni; strażnicy będą go bić bez ustanku. Przez ostatnie dwa dni po raz pierwszy pragnął, by to wszystko się skończyło; marzył tylko o tym, żeby zasnąć i nigdy więcej się nie obudzić. Ale i to przetrwał.

– Pij małymi łykami.

Wbrew radom wlewa w siebie wodę tak, jakby ktoś znów zamierzał odebrać mu do niej dostęp. Ale obok stoi też miska z owocami. Jean-Marie już nie pamięta, kiedy ostatnio jadł winogrona, jabłka. Chwilami odnosi wrażenie, że to wszystko nieprawda; że zaraz się obudzi głodny, spragniony, w ciemnościach...

– Nazywasz się Jean-Marie Huguet?

– Tak.

– Jesteś malarzem?

– Tak.

– Jedz, pij i odpoczywaj. Potem weźmiesz gorącą kąpiel, dostaniesz czyste ubranie. Jutro jedziemy do Berlina.

Jean-Marie nie wie, o co chodzi, skąd taka zmiana, ale postanawia korzystać z okazji.

– Proszę wejść. Nie wiem, czy mnie pan pamięta. Generał Köhler.

Niemiecki wojskowy mówi po francusku poprawnie, choć z mocnym akcentem. Jean-Marie skądś zna tę twarz; zdaje się, że przed laty, jeszcze w Paryżu, sprzedał temu człowiekowi jakiś obraz. Nie zapamiętał jego nazwiska, ba, wtedy nawet nie wiedział, że ma do czynienia z wojskowym. W każdym razie za te pieniądze opłacił podróż do Sewilli.

– Już wiem: kupił pan ode mnie kopię *Śniadania na trawie*.

– Owszem, bardzo udaną kopię... Wciąż u mnie wisi. Od dawna nic o panu nie słyszałem. Proszę siadać, napije się pan czegoś? I niech mi pan opowie, co się z panem działo.

Jean-Marie opowiada więc o pobycie w Sewilli, udziale w wojnie, niewoli.

– Szkoda, że Francuzi nie potrafią oszczędzać ludzi tak utalentowanych jak pan. Przez przypadek zobaczyłem pańskie nazwisko na liście jeńców. Pomyślałem, że warto sprawdzić. Przykro mi z powodu tego, co pan u nas przeszedł, sam pan wie, że wojna to jeden wielki koszmar. No, ale pan ma to już za sobą. Oczywiście pozostanie pan jeńcem, jednakże na zupełnie innych warunkach, znacznie korzystniejszych i dla pana, i dla nas, i w ogóle dla wszystkich.

Generał Köhler proponuje Jeanowi-Marie zatrudnienie w pracowni fałszerskiej, podrabiającej przepustki i inne dokumenty, ba, nawet banknoty. W zamian oferuje mu w miarę wygodne, a w każdym razie wolne od przemocy życie.

– Zgadza się pan?

– A gdybym się nie zgodził?

– Czy ja wiem... Nie lubię nikomu grozić, w ogóle nie biorę pod uwagę, że mógłby mi pan odmówić. Ale jeśli potrzebuje pan takiej negatywnej, jedynie teoretycznej zachęty, żeby się zdecydować, to powiem, że w razie odmowy mógłby pan już nigdy nie utrzymać w dłoni pędzla czy ołówka. A to by była wielka strata, czyż nie?

– Zgadzam się, oczywiście.

* * *

– To dwieście peset, Carmen, czterdzieści duro, wiesz, co mogłabyś za to kupić dziecku?

Jasne, że wie. Kupiłaby Juanowi mleko i ubrania, których mały tak

potrzebuje; może nawet wyprowadziłaby się z nim z Las Injurias, żeby nie chorował tak jak inne tutejsze dzieci.

Propozycję składa jej Duża Rosa, nazywana tak przez wszystkich w dzielnicy ze względu na swój wzrost. Chodzi jak zwykle o jej, Carmen, urodę. Zawsze tak było; od najwcześniejszej młodości zaczęły ją rozmaite stręczycielki, informując, że ten czy inny zamożny mężczyzna chciałby się z nią spotkać na osobności i gotów jest niemało za to zapłacić. Do tej pory, wyjąwszy ofertę markiza Albero, zawsze odmawiała. Tyle że nigdy nie potrzebowała pieniędzy aż tak bardzo jak teraz.

– Dziękuję, Roso, ale nic z tego.

– Jak zmienisz zdanie, a zmienisz, wiesz, gdzie mnie szukać. Choć wtedy zarobisz już pewnie mniej.

To również typowe: pośredniczki takie jak Duża Rosa, raz straciwszy prowizję, później się za to mszczą.

Carmen ma teraz własną chatę, tuż obok Murcjanki Aurelii. Choć ta bardzo jej pomogła, Carmen się jej boi. Niezależnie jednak od tego asystuje jej, gdy zjawiają się u niej przerażone młode kobiety z „kłopotami”. Nie robi nic, czego mogłaby żałować; ogranicza się do noszenia wody, rozpalania w piecu, parzenia ziół. Czasem, gdy jakaś dziewczyna bardzo się denerwuje, Carmen z nią rozmawia, stara się ją uspokoić, sprawić, by zapomniała o tym, co się zaraz stanie. Część z tych kobiet to ciężko doświadczone przez los prostytutki i żebraczki; dużo jest też robotnic, które i tak mają już zbyt wiele gąb do wykarmienia. Carmen najbardziej współczuje nieszczęśnikom oszukany przez narzeczonych, takim jak ta znajoma Blanki, Elisa, która prawie się wykrwawiła.

Wizyta w ambasadzie Francji okazała się frustrująca: nadal nie wiadomo, czy Jean-Marie w ogóle żyje. Carmen ufa jednak, że w tym biurze w Pałacu coś poradzą. Nie pozwoli im o sobie zapomnieć, będzie ich od czasu do czasu odwiedzać, a w razie potrzeby uwiedzie ich szefa; wie, jak się to robi.

* * *

– Enrique Granados płynął na pokładzie promu pasażerskiego *Sussex*. Nie żyje, właśnie odebrałem telegram.

Znany kompozytor odniósł ostatnio wielki sukces: w Nowym Jorku świetnie przyjęto jego nową operę *Goyescas*. To jeden z pierwszych hiszpańskich obywateli zabitych podczas tej wojny, a w każdym razie pierwsza tak znana hiszpańska osobistość, która padła ofiarą ataku niemieckiej łodzi podwodnej na kanale La Manche. Powoli napływają bardziej szczegółowe doniesienia: Granados dostał się do jednej z szalup ratunkowych, lecz widząc w wodzie swoją żonę, wyskoczył i utonął razem z nią.

Nieco wcześniej, piątego marca tysiąc dziewięćset szesnastego roku, koło Rio de Janeiro na dno poszedł największy hiszpański transatlantyk, *Príncipe de*

Asturias, pływający na trasie między Barceloną a Buenos Aires. Śmierć poniosło wtedy ponad czterystu pięćdziesięciu spośród sześciuset pasażerów, to największa morska tragedia w dziejach Hiszpanii. Cały kraj pogrzyżył się w żalobie.

– Kiedy jedziecie do Paryża?

– W przyszły poniedziałek, Wasza Królewska Mość. Z wielu powodów trochę się to opóźniło, ale teraz już wszystko gotowe.

– Oby Najwyższy miał was w swojej opiece. W niedzielę urządzimy tu, w Pałacu, pożegnalny obiad. Jeśli chcesz, zaproszę też Adelę Espinosę.

Od przyjęcia sylwestrowego, na którym się poznali, Álvaro Giner i Adela widują się regularnie. Álvaro zabiega o nią wedle wszystkich reguł: składa jej przepisowe wizyty, wysyła zaproszenia i prezenty, pokazuje się z nią na premierach w teatrze i koncertach.

Sam na sam rozmawiali dotąd mało. Dziewczyna, owszem, jest ładna i miła, i bardzo dla niego odpowiednia, rodzina byłaby ich związkiem zachwycona. Zresztą naprawdę pora się ustatkować, ożenić i mieć dzieci, zamiast wciąż włóczyć się po nocach, odwiedzać kolejne utrzymanki i wyczekiwać po przedstawieniach na aktorki.

Adela świetnie się nadaje na żonę, tyle że, choć właściwie doskonała, nie budzi w Álvaroze tego, co Beatriz Vargas ani – to już na pewno! – Blanca Alerces. Czy od jej nieudanego ślubu minęło już wystarczająco dużo czasu? Álvaro naprawdę cieszy się na ich wspólne wojaże. Ma nadzieję, że jeszcze lepiej ją w trakcie podróży pozna.

Z kolei Beatriz wróciła podobno do Madrytu i myśl o niej też ostatnio zakłóca Álvarovi spokój. Miał w życiu wiele kochanek, ale ta podobała mu się najbardziej, mimo że była kapryśna i samolubna. Nie widział jej od ponad roku, lecz wciąż o niej pamięta. Walczy ze sobą, by nie odwiedzić jej w teatrze.

Adela Espinosa zjawia się na zorganizowanym przez króla pożegnalnym obiedzie. Atmosfera jest na tyle luźna, na ile to możliwe w Pałacu, w obecności monarchy, jego małżonki, premiera rządu i kilku ministrów. Biesiadnikom przygrywa orkiestra. W takich chwilach jak ta Álvaro głęboko współczuje swemu przyjacielowi tego życia na pokaz.

Przypadkiem zostają z Adelą sami na tarasie. Álvaro, sam nie wiedząc dlaczego, ośmiela się ją pocałować. Ona się nie wzbrania. Gdyby ktoś ich nakrył, byłby wielki skandal. Dziwna rzecz: człowiek przez cały dzień myśli na zmianę o Blance i o Beatriz, a wieczorem całuje się z Adelą.

– Długo cię nie będzie?

– Nie wiem dokładnie. Ze dwa miesiące, może trzy.

– Będę liczyć dni do twojego powrotu.

Miła dziewczyna. Naprawdę powinien się na niej skupić i dać sobie spokój z innymi, zwłaszcza z Blancą.

* * *

– Przez jakiś czas nie grałam, cieszę się, że podobał się panu mój występ.

Teatr Apolo przy ulicy Alcalá jest jedynym miejscem w Madrycie, gdzie obejrzyć można cztery przedstawienia dziennie. To wszystko zarzuele, przeznaczone jednak dla różnych typów publiczności: najwcześniejsze – dla służby, popołudniowe – dla rodzin z dziećmi, wieczorne – dla małżeństw, te o pierwszej w nocy zaś, najswobodniejsze – dla bon vivantów i prostytutek. Ci ostatni kończą potem najczęściej w Café de Fornos, na pokazach flamenco w znanym tablao¹ Villa Rosa albo na jeszcze bardziej swawolnych imprezach organizowanych tu i ówdzie po domach.

To właśnie po zakończeniu „czwórki w Apolo” zamożni panowie wyczekują na aktorki pod teatrem albo posyłają im bukiety takie jak ten, który przed chwilą dostała Beatriz Vargas.

– Carlos de la Era, księżę Camino, do usług. Pozwoli się pani zaprosić na kieliszek szampana?

Życie Beatriz mocno się skomplikowało od czasu, gdy Álvaro Giner wyrzucił ją z domu. Ukochany, z którym została wtedy przyłapana, Julián, zostawił ją, gdy tylko skończyły się pieniądze od jej bogatego protektora. Nie zdołała się też wkręcić do żadnego poważnego teatru; w Barcelonie i San Sebastián bezskutecznie próbowała przeniknąć do mieszczańskich kręgów wzbogaconych dzięki wojnie. Dlatego dwa miesiące temu postanowiła wrócić do Madrytu i wyblagać jakąś rolę u dawnych znajomych. Od pewnego czasu zastępuje w nocnym przedstawieniu inną chórzystkę, która odmawia występowania o tej porze i w takim towarzystwie. Beatriz wszystko jedno – wie już przecież, że kariery artystycznej nie robi, zależy jej tylko na tym, by znaleźć sobie dobrze sytuowanego kochanka, który wynajęłby jej mieszkanie, płacił za jej zachcianki i nie miał przy tym wybujałego temperamentu. Powinna była bardziej uważać z Ginerem; takiego dżentelmena już nie złapie. Pytała nawet przyjaciół, gdzie mogłaby go spotkać, ale wszyscy mówią, że jest bardzo zajęty jakąś pracą w Pałacu i że się prawie nie pokazuje.

Dostają z Carlosem najlepszy stolik w modnym ostatnio lokalu pod nazwą Cabaret Ideal, mieszczącym się przy Paseo de Rosales. Kamerdynerzy zdają się doskonale znać księcia Camino, podobnie jak wielu bywalców kiwających mu z różnych stron sali. Właśnie tego Beatriz oczekuje od mężczyzny: żeby miał pieniądze i umiał je wydawać.

– A dlaczego, jak mówisz, na jakiś czas zniknął ze sceny?

– Prawie wyszłam za mąż, ale ostatecznie uznałam, że żaden mężczyzna nie jest tego wart i że wolę aplauzy publiczności.

– Nic dziwnego, w pełni na nie zresztą zasługujesz.

Beatriz tego nie pamięta, ale spotkała się już kiedyś z księciem Camino – w czasach, gdy była utrzymanką Álvaro Ginera. Przedstawiono ich sobie dwa lata

temu, w grudniu, w teatrze Princesa, po premierze *Niekochanej* Jacinta Benaventego z Marią Guerrero w roli głównej. Beatriz znajdowała się wtedy na szczycie i nie zwracała uwagi na prezentowanych jej mężczyzn; teraz ich potrzebuje.

– Mam jednak nadzieję, że panowie ze szczętem ci nie obrzydli?

– Jeśli trafia się prawdziwy dżentelmen...

– Zakładam więc, że mogę cię zaprosić do swojej posiadłości pod Escorialem?

– Sama nie wiem.

– Jeździsz konno?

– Chętnie się nauczę.

Carlos de la Era jest zadowolony i podekscytowany: nie sądził, że pójdzie mu tak łatwo. Co powie ten cały Giner, kiedy zobaczy ją z nim pod rękę? I kiedy usłyszy o swoich intymnych sprawach plotki, które on, Carlos, wyciągnie z Beatriz i umiejętnie rozpuści na mieście? Facet jeszcze pożałuje, że doradzał swojemu przyjacielowi, don Alfonsowi, usunięcie księcia Camino z list gości zapraszanych do Pałacu. Poza tym nie ulega wątpliwości, że to z nim sypia Blanca. Długo udawała skromniśkę, ale w ostatnich dniach narzeczeństwa nieco spuściła z tonu i wtedy wyszło na jaw, z jakiej jest ulepiona gliny; z takiej samej jak jej przyjaciółka Elisa. Te dwie są gorsze niż francuskie dziwki z ulicy Madera; gorsze niż ta Beatriz Vargas, która już wkrótce da się zaciągnąć do jego łóżka.

* * *

– Ostatnio powiedziałaś mojemu ojcu, że urodziłeś się w Madrycie. A ja myślałam, że...

Manuel od początku się obawiał, że tamten błąd się zemści. Nie wiedział, w jaki sposób, ale był pewien, że to nieuniknione.

– Wyjechałem do Valladolid jako małe dziecko.

– A jednak z twoich dokumentów wynika, że się tam urodziłeś. Widziałam je, przygotowując dla ciebie umowę.

– Mówiłem ci już, że wolałbym nie rozmawiać o swojej przeszłości, aby nie musieć kłamać.

To wystarczy, by Blanca nie zadawała więcej pytań. Ostatecznie uważa Manuela za swojego najlepszego przyjaciela i ma nadzieję, że tak już pozostanie.

– W porządku, Manuelu. Ufam ci.

To jej ostatni dzień w biurze przed wyjazdem do Paryża; zdaniem Manuela właśnie z tego powodu nie naciska. Bo przecież potrafi z każdego wydobyć, co zechce, i gdyby się uparła, Manuel raz-dwa by jej wyznał, że nazywa się Campos, nie Lope, i że jest poszukiwany w związku ze śmiercią policjanta, którego wcale nie zabił.

Trzeba jeszcze domknąć kilka spraw. Manuel stanie na czele madryckiego

biura, podlegając bezpośrednio królowi. Co rano, punktualnie o dziewiątej, ma się pojawiać w królewskim gabinecie i zdawać relację z postępów Urzędu do spraw Ochrony Jeńców. Álvaro liczy na to, że podwładny, którego tak ceni, zaskarbi sobie również uznanie don Alfonsa.

– Król bardzo się interesuje naszą pracą, sam zobaczysz, że będzie cię pytał o rzeczy, co do których nigdy byś nie przypuszczał, że w ogóle o nich wie. Nie bój się zasypywać go szczegółami, niech widzi, że przejmujesz się każdym przypadkiem.

Blanca też nie szczędzi koledze rad, nie chce, by czuł się przed monarchą onieśmielony.

– Nie wahaj się prosić go o pomoc. Szczególnie jakbyś miał jakieś kłopoty z Ministerstwem Wojny.

To wręcz zabawne: niedawno związkowi towarzysze wmawiali mu, że Alfons XIII ucieleśnia wszystkie bolączki dręczące Hiszpanię, a teraz nagle się okazuje, że monarcha jest lekiem na całe zło.

– I pamiętaj, błagam, by zwracać się do niego jak należy. Żebyś nie napytał sobie biedy jakimś niemądrym wyskokiem...

– Blanca! Naprawdę masz mnie za idiotę?

– Nie, za idiotę to nie, ale przecież znamy się nie od dzisiaj. No, proszę... Zresztą my niedługo będziemy z powrotem, te miesiące miną, nim się obejrzysz.

Tymczasem Manuela martwi właśnie to, że bez Blanki będą się ciągnąć w nieskończoność. Praca pozostanie ta sama: czasem będzie można przekazać komuś radosną nowinę, poza tym jak zwykle przyjdzie smucić się losem zabitych i zaginionych, ale Blanca przestanie w tym uczestniczyć. Jakże mu będzie brak jej optymizmu i energii!

Po południu w biurze pojawia się, jak niemal codziennie, don Alfonso; pragnie się pożegnać. Oprócz tego, ku zaskoczeniu Manuela, chce z nim porozmawiać w cztery oczy.

– Manuelu, myślę, że powinniśmy ułatwić Álvaro i Blance zadanie, wystosowując pierwszy apel o uwolnienie jeńców. To zwróci uwagę rządzących, wywoła komentarze.

– Apel o uwolnienie wszystkich...?

– Nie, w ten sposób niczego nie osiągniemy. Chodzi o ruch, który ma szanse powodzenia, odbije się echem w prasie i wszystkim się spodoba. Wiesz coś może o jakichś sławnych ludziach w niewoli? – Nie, ale mogę poszukać, Wasza Królewska Mość.

– Doskonale, liczę na ciebie, Manuelu.

Manuel stawia się na dworcu, by pożegnać wyjeżdżających. Przy okazji spotyka rodziców Blanki, znów bardzo dla niego uprzejmych; zajętego bagażami

brata Álvara Gintera; Bernarda Candeleirę, królewskiego sekretarza, który występuje tu w imieniu don Alfonsa... Blanca i Álvaro pojedą – oczywiście pierwszą klasą – do Irun, tam przesiądą się w pociąg do Paryża. Mają już zrobioną rezerwację w hotelu Crillon, jednym z najlepszych we francuskiej stolicy. Wiadomo, ich podróż to zupełnie coś innego niż wyprawy hiszpańskich anarchistów, od lat szukających w Paryżu schronienia, albo robotników wyjeżdżających tam z rodzinami za chlebem.

- Teraz ja ci udzielę kilku rad, Blanco. Uważaj na siebie, nie ryzykuj.
- W Paryżu podobno w ogóle się nie czuje, że trwa wojna.
- Wszystko jedno, uważaj. I wracaj prędko.

Chętnie by ją pocałował, nie zważając na konsekwencje. Co by na to powiedział jej sympatyczny ojciec? Albo Álvaro Ginter? Czy Candeleira wspomniałby o tym królowi? Chociaż to wszystko jedno. Ważne, co pomyślałaby sobie Blanca. Raz się już pocałowali, lecz to ich nie zbliżyło, wręcz przeciwnie. Zresztą pociąg już ruszył. Manuel zazdrości Álvarovi. Chciałby być na jego miejscu, ale za wysokie progi...

* * *

– Panie generale, przepraszam, że przeszkadzam. Nie wiem, czy pan zauważył, ale z pańską córką dzieje się coś złego...

Delfina, galisyjska służąca Fuentesów, wiele już widziała w ich domu. Pracuje u nich od wczesnej młodości: patrzyła na śmierć generałowej, która osierociła niedorosłe dzieci; całymi latami mogła obserwować zachowanie Gonzala, chłopca inteligentnego i wrażliwego, ale bez wątpienia zбочzonego – bo tak to przecież ludzie nazywają. Kiedy Gonzalo się wyprowadził, nikt Delfinie niczego nie tłumaczył, ale choć sama nie czyta gazet, na targu usłyszała o artykule zarzucającym generałowi maczanie palców w jakichś pobiciach i od razu wszystko zrozumiała. Jej uwagi nie uszła też zmiana, która dokonała się w Elisie po nieudanym ślubie jej przyjaciółki, ani późniejsza zgryzota panienci, jej nieprzespane noce i okropny wygląd po powrocie z pewnej kilkudniowej wizyty u Blanki. Choć oczywiście Blanca nie miała z tym nic wspólnego. Delfina jest przekonana, że wie, co się stało, ostatecznie wiele dziewcząt w tym wieku zachodzi w niechcianą ciążę.

Do generała zwróciła się dopiero po długim namyśle. Gdyby jego żona żyła, niczego nie trzeba byłoby mu mówić; jej zresztą też nie, bo sama by się zorientowała. No, ale z generałem jest inaczej: to człowiek zimny, antypatyczny, surowy.

Zdecydowała się na tę rozmowę, gdyż boi się o Elisę. Nie żeby za nią przepadała – dziewczyna nigdy nie traktowała jej dobrze, wdala się w ojca, inaczej niż Gonzalo, zawsze taki miły. Niemniej źle by było, gdyby powtórzyła się historia z poprzedniego domu, w którym Delfina służyła: jej pani rzuciła się wtedy przez

okno, w kilka dni po urodzeniu zdeformowanego dziecka, które nie przeżyło. Tuż przed tym, nim skoczyła, patrzyła tak samo jak teraz Elisa. Dlatego trzeba uprzedzić generała, niech on coś zrobi.

– O co chodzi? Jest chora?

– Nie wiem.

– To się dowiedz. I w razie czego wezwij lekarza. Ja wychodzę, wrócę późno, kolację zjem na mieście.

Elisa jest zarozumiała i wyniosła, ale trzeba przyznać, że z rodziną jej się nie poszczęściło: matka nie żyje, brat wyjechał za granicę, a ojcu brak ludzkich odruchów. Nawet ona, Delfina, urodzona w nędznej chacie w jeszcze nędzniejszej galisyjskiej wiosce, zaznała w życiu więcej ciepła.

– Panienko Eliso, może przyniosę panience trochę bulionu? Tak nie można: iść do łóżka na głodniaka.

– Nie, nie jestem głodna.

– Albo zrobię panience tortillę. Przecież lubi panienka moje tortille.

– Nie słyszałaś, co powiedziałam? Nie chcę!

Ta mała naprawdę źle skończy. Delfina musi się uspokoić. Tyle dobrego, że mieszkają na parterze; nawet jak Elisa skoczy, najwyżej złamie sobie nogę.

* * *

– Stój, bo strzelam.

Od Paryża dzieli go jedynie sześćdziesiąt kilometrów i Frank nie zamierza pozwolić, by ten stary żandarm pokrzyżował mu szyki. Popełnił głupi błąd: wobec bliskości celu za bardzo się rozzuchwalił i kontynuował marsz za dnia, zamiast jak poprzednio się ukrywać.

Nie może dopuścić do tego, by ten stary, który teraz mierzy do niego z pistoletu, skorzystał z telefonu i powiadomił kogo trzeba, że oto znalazł poszukiwanego przez wszystkich niemieckiego szpiega podającego się za dziennikarza z Meksyku. Do miasteczka, które niedawno minął, mają jakieś półtora kilometra; po drodze trzeba się go pozbyć. To będzie już trzecie dokonane przez Franka zabójstwo. Ale trudno, wojna to wojna: zabijasz albo sam umierasz.

Do tej pory za dnia się chował, a wędrował o świcie i zmierzchu, kiedy drogi są puste i już albo jeszcze nie jest ciemno. Kradł jajka, czasem owoce i warzywa. W ten sam sposób wymienił ubranie, nie chcąc w razie czego zwracać na siebie uwagi rybackim strojem. Nie rozumie, co ten żandarm robi w tym miejscu o szóstej rano ani dlaczego tak się zaniepokoił, że poprosił go o dokumenty. Nikt nie nosi przy sobie dokumentów, spacerując o poranku po miedzy! Tak czy owak w takim tempie dotrą do miasteczka za jakieś dwadzieścia minut; tyle czasu zostało Frankowi na działanie. Wystarczy, by tamten popełnił choć jeden błąd, a skończy podobnie jak ostatnio pewien rybak znad kanału La Manche.

Los uśmiecha się do Franka na nieco bardziej stromym odcinku drogi. Stary

żandarm, trochę przyciężki od dogadzania sobie przez całe życie, sapie i opuszcza broń. Takiej okazji przepuścić nie sposób. Frank odciąga trupa w krzaki, zabiera pistolet i ucieka. Musi dotrzeć do Paryża jak najszybciej, w miarę możliwości nie zostawiając już za sobą kolejnych ofiar.

* * *

Gonzalo jest z powrotem w Paryżu. Po zniknięciu Franka wszystkich dziennikarzy przesłuchano i wizyta w fabryce została odwołana. Ktoś doniósł, że to właśnie Gonzalo najdłużej rozmawiał z domniemanym Meksykaninem, toteż jego przesłuchanie okazało się wyjątkowo nieprzyjemne.

– Ja nic nie wiem! Mówiliśmy o wojnie, o dziennikarskich płacach w Meksyku i Hiszpanii i o paryskich rozrywkach. O niczym więcej.

Nie dostał zgody na publikację relacji z nieudanej podróży; inni chyba też nie. Należy zakładać, że również ewentualne wieści o losie Franka nie przedostaną się do prasy. Władze są zaniepokojone skutecznością niemieckiej infiltracji. Brytyjskie czasopisma drukują patriotyczne opowiadania, których bohaterowie wstawiają się demaskowaniem szpiegów; Gonzalo myśli sobie, że tego rodzaju akcje społeczne trzeba by w przyszłości wprowadzić także w Hiszpanii. Od kiedy mieszka za granicą, raz po raz przekonuje się, że Frank miał rację, gdy go w Madrycie przekonywał, iż Hiszpania odstaje od reszty Europy i nie wiadomo, czy kiedykolwiek ją dogoni. Gonzalo, choć zawsze popierał monarchię z pobudek wyłącznie sentymentalnych, nigdy nie był republikaninem. Teraz jednak dochodzi do wniosku, że póki Burbonowie pozostaną u władzy, nic się w kraju nie zmieni. A zmiana jest niezbędna, nawet gdyby miała się okazać trudna, wręcz traumatyczna.

Złożył wniosek o możliwość wyprawy na pierwszą linię frontu; wciąż czeka na odpowiedź, korzystając zaś z wolnego czasu, próbuje się czegoś dowiedzieć o swoim poprzedniku na stanowisku korespondenta „El Noticiero”.

Raúl Coronado urodził się na Kubie jako syn hiszpańskiego wojskowego i miejscowej Mulatki. Wrócił do Hiszpanii po uzyskaniu przez wyspę niepodległości, a był już wtedy dziennikarzem „La Gaceta de la Habana”, oficjalnego hiszpańskiego periodyku. W Madrycie spędził niewiele czasu; w tysiąc dziewięćset trzecim roku wysłano go do Paryża w charakterze korespondenta „El Noticiero”. Z tego okresu pochodzi pierwsze spośród znalezionych przez Gonzala zdjęć. Przedstawia dobrze ubranego mężczyznę o kręconych, zaczesanych do tyłu włosach, stanowiących najwyraźniej pamiątkę po afrykańskich przodkach i kłócących się z bardzo białą, wręcz mleczną cerą.

Raúl zostawił po sobie w mieszkaniu mnóstwo papierów. Gonzalo stopniowo je przegląda: są zapisane odręcznie, raczej niechlujnie, mieszanką hiszpańskiego i francuskiego. Odcyfrowanie tych bazgrołów zajmie sporo czasu.

Trudno się w tym wszystkim połapać: część notatek to chyba fragmenty

opowiadań – może przy odrobienie szczęścia uda się je odtworzyć. Są też luźne spostrzeżenia, pojedyncze zdania, oderwane myśli. Niektóre urywki czyta się tak, jakby chodziło o początek niedokończonych powieści. Na nieszczęście nie ma żadnego dziennika, który posłużyłby za zestaw wskazówek. Gonzalo napisał do Benita z pytaniem, czy Raúl wrócił do redakcji, lecz najwyraźniej nie; zatrzymał się w Barcelonie i zerwał z gazetą wszelkie kontakty. Trzeba będzie popytać kolegów dziennikarzy; może oni coś wiedzą o tajemniczym panu Coronado.

* * *

– Prezydent we własnej osobie... Musimy sprawić, by nas poparł.

Álvaro Giner i Blanca Alerces zostaną przyjęci przez Raymonda Poincaré w Pałacu Elizejskim – wspaniałej rezydencji, która była kiedyś domem madame Pompadour, a od połowy dziewiętnastego wieku służy jako siedziba francuskich prezydentów. Później mają spotkanie z premierem Aristide’em Briandem z Francuskiej Partii Socjalistycznej.

– Briand jest przeciwny wojnom w ogóle, na pewno się z nami zgodzi.

Czas spędzony w pociągu – niemal dwadzieścia cztery godziny od wyjazdu z Madrytu – spożytkowali na opracowanie listy kontaktów, które będą musieli bezzwłocznie nawiązać; omówienie ostatnich spraw biura i przejrzenie raportów, które przygotował dla nich królewski sekretarz, Bernardo Candeleira. Poza tym dużo rozmawiali, coraz lepiej się nawzajem poznając.

– Mówiliśmy o moich perypetiach matrymonialnych, a o twoich nie. Nigdy nie myślałeś, żeby się ożenić?

– Myślę o tym bardzo często, ale żadna mnie nie chce. Sądzisz, że jestem aż tak brzydki?

Álvaro często w ten sposób żartuje. Bo przecież jest jednym z najprzystojniejszych mężczyzn, jakich Blanca kiedykolwiek poznała; przystojniejszym nawet niż Carlos de la Era – jak pomyślała już przy pierwszym spotkaniu, przed gabinetem Alfonsa XIII. Poza tym często i szczerze się śmieje, co tylko potęguje jego urok.

Okazało się, że woli teatr od muzyki, sporty od polowań, a powieści od filozofii; że nie cierpi poezji i chciałby kiedyś mieć dzieci.

– Ale tylko dwoje, chłopca i dziewczynkę. Sam miałem sześcioro rodzeństwa i to było istne szaleństwo.

– Ja jestem jedynaczką i zawsze żałowałam, że nie mam chociaż siostry. Marzę o sześciu, ba, ośmiu córkach.

– Co za koszmar.

I znów się śmieją. Blanca dobrze rozumie króla: miło się przyjaźnić z kimś takim jak Álvaro.

Pałac Elizejski, usytuowany przy słynnych Polach Elizejskich, nie

dorównuje przepychem Wersalowi, lecz w niczym nie ustępuje Pałacowi Królewskiemu w Madrycie. Blanca i Álvaro ubrali się ze szczególnym staraniem – ona ma na sobie piękną suknię z ciemnoszarego, pobłyskującego srebrzyście aksamitu, kupioną poprzedniego wieczoru w jednym z tutejszych luksusowych butików; nawet wojna nie przeszkadza paryżanom cieszyć się modą. Wychodząc z hotelu, Blanca i Álvaro przerzucają się żartami i sprawiają wrażenie, jakby wybierali się na ślub.

Ich uwagę zwracają paski papieru ponaklejane na pałacowe okna, by w razie niemieckiego bombardowania wibracje nie uszkodziły szyb. Poza tym wszystko wygląda normalnie, a rzeźby, obrazy i tkaniny zdobiące wnętrza świadczą o tym, że była to niegdyś siedziba cesarza. Prezydent Raymond Poincaré przyjmuje gości w swoim gabinecie urządzonej w tak zwanym Salon Doré – wspaniałej komnacie, która za czasów madame Pompadour pełniła funkcję głównego pałacowego salonu.

– Poprosiłem już premiera i Ministerstwo Wojny o jak najściślejszą współpracę z wysłannikami hiszpańskiego króla.

– Jesteśmy panu za to bardzo wdzięczni.

– To ja jestem wdzięczny Alfonsowi XIII za jego starania i pomoc, proszę mu to przekazać.

– Oczywiście, przekazemy.

I tyle – prezydent wstaje, sygnalizując, że rozmowa dobiegła końca. Nie spodziewali się długiej narady, jednakże od ich wejścia nie minęła nawet minuta.

Nie odzywają się, póki nie wsiądą z powrotem do samochodu. Dopiero tam wybuchają śmiechem.

– Jeśli wszystkie nasze spotkania będą w ten sposób przebiegać, to...

Mimo że wojna nie odcisnęła na Paryżu specjalnego piętna, niektóre znane restauracje, jak La Tour d'Argent albo Le Grand Véfour, są zamknięte.

– Szkoda, papa bardzo lubił La Tour d'Argent. Kiedy był tu ambasadorem, zabierał mnie, mała jeszcze byłam, na *canard à la presse*. Bywaliśmy tam tylko we dwoje. Tylko że potem dowiedziałam się, jak się tę potrawę przyrządza, i już nigdy więcej jej nie tknęłam. Wiesz, że najpierw się kaczkę dusi, żeby nie marnować jej krwi, a potem miazdzy w specjalnej prasie?

– Nie, nie wiedziałem. Ale to pyszna rzecz. Przykro mi ze względu na biedne kaczki, niemniej po wojnie przyjadę do Paryża specjalnie na *canard à la presse*. Twój ojciec to ciekawy człowiek.

– Wielu twierdzi, że znikowany.

– Niewykluczone, ale wyłącznie w dobrym sensie.

Z braku innych pomysłów jedzą kolację w hotelu Crillon, gdzie się zatrzymali, mieszczącym się tuż przy placu Concorde. Maria Antonina bywała tu na lekcjach gry na fortepianie; razem z mężem, Ludwikiem XVI, została zgilotynowana na placu obok. Piją perrier-jouët, ulubionego szampana Álvaro;

jedzenie jest wspaniałe, muzyka w tle sprzyja miłemu nastrojowi.

- Niezbyt często pijam alkohol, chyba nie powinnam...
- Boisz się, że zrobisz potem coś niestosownego?
- Raczej że powiem. Że się wygłupię i odeślesz mnie do Madrytu.
- Nie martw się, za bardzo cię tu potrzebuję.

Łatwo się obcuje z Álvarem. Z Carlosem nigdy się tak swobodnie nie czuła. Z Manuelem, owszem, kilka razy. Nagle sobie o nim przypomina. Czy jest zakochana? W Manuelu? W Álarze? A może w obu? Nie, to niemożliwe, takie rzeczy zdarzają się tylko w piosenkach śpiewanych czasem przez służące.

* * *

– To pierwszy list, jaki przyszedł do nas z Portugalii, Wasza Królewska Mość. Portugalski zna w biurze jedynie Blanca, ale jakoś sobie poradziliśmy.

Zgodnie z zaleceniem Álvara Ginera Manuel Lope codziennie o dziewiątej rano stawia się w gabinecie króla. Nikt go nie przeszukuje, nikt nie sprawdza mu dokumentów. Dawni towarzysze mają słuszość, bez trudu mógłby dokonać zamachu. Jest tylko jeden problem: nie chce.

– I jeszcze coś. Znaleźliśmy dwóch sławnych jeńców, tak jak Wasza Królewska Mość sobie życzył. A właściwie jednego sławnego i jednego stosunkowo znanego.

- Jak się nazywają?
- Waław Niżyński i Maurice Chevalier.
- Niżyńskiego nawet widziałem na scenie, ale o tym drugim nigdy nie słyszałem.
- Maurice Chevalier to francuski piosenkarz, młody, ale we Francji bardzo już popularny. Naprawdę nazywa się Maurice Saint-Léon.
- Przyniosłeś mi ich teczki?
- Tak, oczywiście. Kłopot w tym, że Niżyński nie jest prawdziwym jeńcem. Sam Wasza Królewska Mość zobaczy.

– Zostaw mi te papiery, przejrzę je i potem porozmawiamy.

Waław Niżyński jest rosyjskim tancerzem światowej sławy. Choć przez wiele lat był kochankiem swojego impresaria, Siergieja Diagilewa, podczas ostatniego tournée po Ameryce Południowej, odbytego rok przed wojną, ożenił się w Buenos Aires z Węgierką Romolą de Pulszky. Wybuch międzynarodowego konfliktu zaskoczył go u teściów w Budapeszcie, gdzie, jako obywatel rosyjski, został zatrzymany. Nie brał udziału w walkach, nie siedzi w więzieniu ani w obozie, pozostaje w areszcie domowym, jednakże wszyscy, którzy mają z nim kontakt, opowiadają, że zamknięcie bardzo źle wpływa na jego psychikę, co zresztą nie dziwi, gdyż w jego rodzinie wielokrotnie zdarzały się choroby umysłowe. Siergiej Diagilew, jego dawny kochanek, zwrócił się więc o pomoc do Urzędu do spraw Ochrony Jeńców. Może zresztą nie uczynił tego całkiem bezinteresownie,

albowiem potrzebuje Niżyńskiego do spektaklu, który chce wystawić w Metropolitan Opera House w Nowym Jorku, niemniej ewentualne uwolnienie tancerza to dla urzędu szansa zdobycia szerszego rozgłosu.

Maurice Chevalier nie jest tak znany; przed wojną śpiewał w modnych paryskich lokalach, zagrał też kilka epizodycznych ról w niemym kinie. Na froncie był krótko, ledwie kilka tygodni, po czym został ranny, pojmany w niewolę przez Niemców i od tamtej pory, czyli od dwóch lat, przebywa w obozie. Jego nazwisko od dawna figuruje na listach jeńców, udało się nawet skontaktować go z rodziną.

Król wolałby jakieś bardziej spektakularne przypadki, lecz dobre i to. Rzecz w tym, by wykazać, że ambicje Urzędu do spraw Ochrony Jeńców nie ograniczają się do świadczenia usług pocztowych uwięzionym i ich bliskim.

Nazajutrz o dziewiątej rano Manuel otrzymuje więc dyspozycje.

– Przejrzałem te dokumenty i myślę, że możemy spróbować. Zażądamy uwolnienia obu, może uda się przynajmniej z jednym. Choć nie będę ukrywał, że do naszych celów lepiej nadałby się ten Rosjanin.

– Jestem tego samego zdania, Wasza Królewska Mość.

– Jeśli nasz plan się powiedzie, zaproszę Niżyńskiego na występy do Hiszpanii. Dostaniesz miejsce w mojej łóżce.

Na samą myśl o tym, co powiedzieliby jego koledzy anarchiści, widząc go w Teatrze Królewskim u boku Alfonsa XIII, Manuel niemal parska śmiechem. Ma nadzieję, że taki dzień nigdy nie nadejdzie.

* * *

– Ten znaczek bardzo trudno podrobić, potrzebuję więcej czasu.

Jean-Marie jest jedynym francuskim jeńcem zatrudnionym w pracowni fałszerskiej. Pełno tu za to Rosjan, są też Włosi i Belgowie. Jak na niemiecką instytucję przystało, wszystko chodzi jak w zegarku. Więźniowie produkują dokumentację typową dla krajów walczących z Niemcami: dowody tożsamości, przepustki, banknoty – cokolwiek może pomóc niemieckim szpiegom w przenikaniu za linie nieprzyjaciela i dać wojskowym minimalną choćby przewagę.

Istnieje, rzecz jasna, pokusa, by czegoś nie dopracować, z nadzieją, że jakiś francuski żandarm albo włoski karabinier to zauważy i zatrzyma osobę legitymującą się podróbkami. Niemcy zdają sobie z tego sprawę i dokładnie sprawdzają jakość kopii, porównując je z oryginałem. Błąd karany jest śmiercią, co powtarzają im niemal co dzień i co niejednokrotnie już udowodnili.

Artyści, jak ich nazywają, żyją w bardzo dobrych jak na jeńców warunkach: mają zapewnione smaczne jedzenie, tytoń, łóżka z czystą pościelą, względny szacunek ze strony strażników. Pracują w wygodnie urządzonej jasnym pomieszczeniu, dostają potrzebne materiały, a nawet trochę czasu wolnego na własną twórczość, chociaż zdają sobie sprawę, że cokolwiek stworzą – trafi do

prywatnych kolekcji tych samych ludzi, którzy pozbawili ich wolności.

Jean-Marie otrzymał specjalne zlecenie: każde popołudnie spędza u generała Köhlera, malując jego drugą, młodszą żonę.

W pierwszych dniach ręce nie bardzo go słuchały, zamiast do trzymania pędzla nawykłe do strzelania i dźwigania kamieni. Na szczęście to minęło i znów jest jak dawniej. Wielu z pewnością uznałoby, że Jean-Marie dopuszcza się zdrady, ale wszystko jedno, byle tylko uniknąć okopów. Nic nie jest jeszcze przesądzone, lecz można mieć nadzieję, że w ten sposób uda się mu przeżyć i zobaczyć syna. * * *

Juan biega już – na niepewnych nóżkach – po Las Injurias, z depczącą mu po piętach matką, która dba, by się nie przewracał, a przynajmniej nie przewracał się zbyt często. Carmen nierzadko natyka się przy tym na Dużą Rosę, która za każdym razem przypomina jej o swojej ofercie: czterdzieści duro i wszystkie jej kłopoty znikną; musi tylko zrobić to, co robiła gratis wiele razy.

– To prawdziwa szkoda! Tak marnować podobną okazję! Nawet sobie nie wyobrażasz, ile z tych, które piorą z tobą w rzece, marzy o takiej szansie.

Carmen nie wie, że jej rodzina w Sewilli już kilka miesięcy temu otrzymała list od Jeana-Marie, wysłany z Paryża przez jego dawną pielęgniarkę, Madeleine. Nie ma też pojęcia, że jej brat, Antonio, dawno jej wybaczył i teraz pragnie ją odnaleźć i przekazać jej dobre wieści. Wypytuje o siostrę Cyganów, którzy podróżują po całej Hiszpanii, ale jak na razie bez powodzenia.

* * *

– Ależ ten Paryż ci służy! Jesteś jakby wyższy i znacznie przystojniejszy!

Gonzalo śmieje się z komplementów Blanki. Jej niespodziewana wizyta to jeden z nielicznych ostatnio pozytywów jego życia. W dzieciństwie nigdy by nie pomyśleli, że kiedyś zasiądą do kolacji w eleganckim paryskim bistro Benoît przy ulicy Saint-Martin, on – jako korespondent dużej madryckiej gazety, ona zaś – jako wysłanniczka króla Alfonsa XIII. Blanca ma na sobie tę samą suknię, którą włożyła wcześniej na spotkanie z prezydentem Francji.

– Kupiłam ją wtedy specjalnie i nawet nie zdążyłam jej pognieść. Zamierzam tak wystąpić jeszcze kilka razy, mam nadzieję, że mojemu szefowi nie będzie to przeszkadzać.

Najpierw wymieniają się nowinami. Rozmawiają o dziennikarskich obowiązkach i o tajemniczym poprzedniku Gonzala, Raúlu Coronado; o negocjacjach prowadzonych przez Blancę i Álvaro Ginera z Raymondem Poincaré i Aristide'em Briandem; o zmianie na stanowisku francuskiego ministra wojny, którym zamiast Josepha Gallieniego został Pierre Roque – i to w chwili, gdy Blanca i Álvaro mieli już umówione spotkanie z tym pierwszym. Blanca z entuzjazmem opowiada o pracy w biurze, o zaangażowaniu Alfonsa XIII,

o odnoszonych przez nich od czasu do czasu sukcesach... Mówi o poszczególnych przypadkach: o małej Sylvie, od której wszystko się zaczęło; o Armandzie Cornille'u, pierwszym z odnalezionych jeńców, ale również o sprawach wciąż czekających na rozwiązanie, jak choćby kazu sewilskiej Cyganki Carmen poszukującej swego męża, francuskiego malarza.

– Jeśli ten malarz pochodził z Paryża, może dałoby się tu odszukać jego rodzinę? Może oni mieli od niego jakieś wieści?

– Możliwe, ale na to trzeba czasu. Tym bardziej że Huguetów są w Paryżu pewnie setki.

Początkowo unikają tematów naprawdę ważnych – wzmianek o Elisie i Franku, Álvaro i Manuelu, Carlosie.

– O swojej siostrze nic nie wiem. Zaraz po przyjeździe do Paryża napisałem do niej kilka razy, ale nie odpowiedziała. Więc przestałem pisać.

– Nie mam pojęcia, czy powinnam ci o tym mówić, ale myślę, że Elisa potrzebuje pomocy.

Blanca opowiada Gonzalowi o przeprowadzonej przez jego siostrę aborcji i jej dramatycznych skutkach, o swoim chłdzie i ponownym zerwaniu przez Elisę wszelkich z nią kontaktów.

– Nic nie wiedziałem.

– Przykro mi, że słyszysz o tym akurat ode mnie.

Wspomnienie Elisy ciąży nad ich dalszą rozmową, niemniej Gonzalo w końcu decyduje się zwierzyć Blance z ponownego spotkania z Frankiem; mówi o jego liście zostawionym u konsjerżki, ucieczce z angielskiego hotelu.

– Sądzę, że rozumiem: Frank walczy za ojczyznę. I tym bardziej wdzięczny jestem królowi, że nam tego oszczędził. Ale nie myśl sobie, że stałem się zagorzałym monarchistą. Uważam, że nasz kraj potrzebuje zmian, nie może dalej tkwić w łapskach kleru, posiadaczy ziemskich i tchórzliwych generałów. Dlatego król musi ustąpić. Od kiedy jestem w Paryżu, coraz wyraźniej widzę, że inaczej nie ruszymy do przodu.

– Poczekajmy, aż ta wojna się skończy, zanim rozpętamy własną.

Rozstają się przed hotelem Crillon. Nie ma jeszcze północy i po raz pierwszy od wielu miesięcy Gonzalo nie chce wracać do siebie. Sięga po listę z adresami lokali dla mężczyzn.

Jeszcze tej samej nocy ląduje – jak Frank wiele razy wcześniej – w cudzym hotelowym pokoju: u młodego australijskiego porucznika, który nazajutrz wyruszy na front.

– Potrzebuję pomocy, żeby wrócić do Niemiec.

– Czekaliśmy na ciebie, wyjeżdżasz dziś wieczorem. Widzimy się tutaj o dziesiątej.

Frank zdołał dotrzeć do Paryża. Od razu pojechał na Gare d'Austerlitz, gdzie się przekonał, że jego skrytkę odkryto i przeszukano. Został więc bez fałszywych papierów, nie mógł też schronić się w mieszkaniu przy ulicy Oran. Marcel Malmaison umarł, nie dokończywszy swojej książki o Napoleonie.

Po kilku próbach udało mu się skontaktować z jednym ze swoich. Jeszcze kilka godzin i znów będzie bezpieczny.

Spojrzał na swoje odbicie w lustrze i właściwie się nie rozpoznał: jest źle ubrany, zarosnięty, wychudły i opalony. Bardziej przypomina żebraków znad Sekwany niż wytwornego niemieckiego dyplomatę pracującego kiedyś w Madrycie. Boi się, że tych zmian nie da się cofnąć i że już nigdy nie będzie sobą.

* * *

– Chciałbym, żebyśmy zamieszkali razem, ale wiesz, że mieszkam u rodziców, a moja matka to kobieta starej daty. Chwilowo będziesz się musiała zadowolić tym lokum.

Beatriz Vargas przywykła do nieporównanie większych luksusów. Carlos de la Era nie bardzo ją interesuje, zwłaszcza jako mąż. Zresztą wie przecież, czego chcą od niej mężczyźni; ktoś taki jak on nigdy nie ożeniłby się z kobietą jej konduity. Jest utrzymanką i jeśli zgadza się dochowywać komuś wierności, to tylko za odpowiednim wynagrodzeniem w pieniądzech, kosztownościach i strojach. Wizyta w domku pod Escorialem nie przypadła jej do gustu: Carlos okazał się kiepskim kochankiem, zmuszał ją do biernego gapienia się przed siebie i próbował zadać jej ból. Sypiała już z wieloma mężczyznami – z których części wołałaby nie pamiętać – i nic jej nie zdziwi, ale Carlos de la Era to dno. Szkoda, że chwilowo musi korzystać z jego... szczodrości.

Mieszkanie, które wynajmował jej Giner przy ulicy Fuencarral, było duże i pięknie urządzone – znacznie miłsze niż to tutaj, przy Magdaleny, niedaleko placu Progreso. Czyżby się fatalnie pomyliła w wyborze nowego kochanka? Czyżby Carlos nie był aż tak bogaty, jak mówią? Zaraz się okaże, że jego herby i tytuły nie starczą na opłacenie jej potrzeb.

– To bardzo brzydkie miejsce, zupełnie mi się nie podoba. Nie będę tu szczęśliwa i nie zdołam uszczęśliwić ciebie.

Bada teren: niejednokrotnie już, wyrażając w ten sposób niezadowolenie, skłaniała mężczyzn do ustępstw. To takie nieskomplikowane stworzenia. Zwłaszcza ci co bogatsi.

– Beatriz, wytrzymaj chwilę, aż znajdę coś lepszego. Mnie do szczęścia wystarczy bycie z tobą, reszta jest bez znaczenia.

Carlos ma pieniądze, pewnie, że ma: wojna przynosi jego rodzinie spore zyski. Tyle że głupio byłoby je tracić na tę babę czy na jakąkolwiek inną kochankę. Carlos gardzi nimi wszystkimi, a Beatriz na dodatek w ogóle mu się nie podoba; widuje się z nią wyłącznie po to, by sprowokować Álvara Ginera. Jeszcze nie wie

jak, ale coś wykombinuje. Ostatecznie facet był w niej bardzo zakochany i z pewnością prędzej czy później spróbuje do niej wrócić.

Kwestia zemsty na Blance zajmuje Carlosa bez reszty. Álvaro to tylko jedna z możliwości, nie należy zapominać o innych. Don Jaimego dałoby się pognębić finansowo, tyle że taki dziwak mógłby się tym zbytnio nie przejąć. Wygląda na to, że najlepszy skutek odniosłoby zniszczenie mu ogrodu. Natomiast ta mała żebraczka, Alicia, doskonale się nadaje, bo jej krzywda zabolalaby wszystkich: Blance, jej ojca i matkę. Tak, bez wątpienia to jest właściwy kierunek.

* * *

– Do Moulin Rouge? Naprawdę chcesz tam iść?

Blanca tyle słyszała o słynnym kabarecie, że zapragnęła zjeść tam kolację i obejrzeć przedstawienie. Zresztą, to jej ostatni wieczór w Paryżu. Po długich wahaniach odważyła się powiedzieć o swoich chęciach Álvarowi; dobrze, że zareagował jedynie śmiechem.

– Czy to bardzo niestosowne?

– Nie, raczej zabawne. Jeśli sobie życzysz, z przyjemnością cię tam zabiorę.

Kilka dni wytężonej pracy przyniosło rezultaty: trzeba jakoś uczcić fakt, że francuski rząd zobowiązał się do uczestnictwa w wymianie jeńców. Wysłannicy hiszpańskiego króla ruszają jutro przez Szwajcarię do Berlina. Jeśli zdołają przekonać i Niemców, odniosą prawdziwy sukces. Tym bardziej powinni dziś zaszaleć.

Mimo wszystko Blanca mocno się denerwuje, choć stara się tego nie okazywać. Właśnie dotarli na Montmartre, w okolice Clichy, gdzie fascynującą, a zarazem groźną czerwienią błyszczy słynny wiatrak; dookoła panuje atmosfera tętniącej muzyką zabawy i, podobno, również wyuzdania. Blanca bardzo by chciała dać się ponieść temu nastrojowi.

Szampan, mężczyźni w smokingach i frakach, kobiety w kosztownych i śmiałych sukniach, pióra, nagie ramiona, znaczące spojrzenia... Tancerki na scenie zrzucają część odzieży, tancerze nie kryją swoich homoseksualnych skłonności.

– Są takie miejsca w Madrycie?

– Są, ale znacznie mniej eleganckie. W Barcelonie dałoby się znaleźć coś podobnego, ale w Madrycie nie ma tego rodzaju tradycji.

Blanca ogląda spektakl z uśmiechem, wyobraża sobie, jak to jest tak tańczyć – niemal nago, czując podziw i pożądanie wszystkich tych ludzi, a zwłaszcza Álvaro Gintera.

– Może zamówilibyśmy więcej szampana?

– Jasne, szampana nie może zabraknąć!

Tej nocy, po powrocie do hotelu, Blanca zachowa się tak, jak – zdaniem zakonnic ze szkoły – w żadnym razie nie powinna: znalazłszy się w swoim pokoju,

zrzuci przed lustrem ubranie, będzie naśladować pozy przybierane teraz na scenie przez tancerki, ba, wymyśli na swój użytek jeszcze bardziej wyuzdane, po czym padnie na łóżko, by dotykać się tak długo, aż osiągnie przyjemność.

Trochę przed ich nieudanym ślubem pozwoliła Carlosowi towarzyszyć sobie w takiej chwili; pozwoliła mu się całować i dotykać swoich piersi, pieściła go – do skutku i tylko jedno zostawiła na później, na noc poślubną, do której nigdy nie doszło.

Tej nocy nie będzie, rzecz jasna, myśleć o Carlosie. Będzie myśleć o Álvaro i o Manuelu. Raz o jednym, raz o drugim, a czasem o obu jednocześnie. Włoży między nogi poduszkę, którą potem zastąpi dłonią; już umie się dotykać, wie, jak to robić, i wręcz podejrzewa, że żaden mężczyzna jej w tym nie dorówna. Później poczuje taką rozkosz, że stanie się obojętne, kto jej towarzyszy w tych fantazjach. A jeszcze później zaśnie, nago, i obudzi się dopiero o poranku.

Na scenie grupa tancerek wykonuje bezwstydnego kankana. Publiczność klaszcze, kelnerzy otwierają kolejne butelki, kilku katalońskich przedsiębiorców doskonale się czuje w towarzystwie kobiet, które z pewnością nie są ich żonami, gdzie indziej znowu brytyjscy wojskowi wrzaskami domagają się więcej trunków.

– Jeśli masz dość, możemy stąd iść.

– Skąd, świetnie się bawię. Zostaniemy jeszcze chwilę?

Nigdy się tak dobrze nie bawiła. Wracają taksówką już o świcie. Nigdy jeszcze nie wracała z miasta o tej porze.

– Chyba zaraz ranek... Szkoda, miałam nadzieję, że ta noc wcale się nie skończy.

– Cóż, jeśli chcemy zdążyć na pociąg, musimy się wymeldować z hotelu o jedenastej.

Patrzą na siebie i Blanca jest pewna, że gdyby powiedziała choć słowo, Álvaro spałby dziś u niej. Pozwalając jej zaznać przyjemności w teorii zarezerwowanych na noc poślubną.

– Blanco... Trzeba się położyć, przed nami ciężki dzień.

– Dobranoc, Álvaro, do jutra.

Álvaro idzie do siebie zirytowany. Dlaczego pocałował Adelę przed wyjazdem? I dlaczego napisał do niej zaraz po przybyciu do Paryża? A napisał – szarmancko, niemal czule... Ona zaś z pewnością zdążyła opowiedzieć o tym matce, która z kolei doniosła królowej Wiktorii Eugonii, by ta mogła się podzielić wieściami z mężem, królem.

Lokal, w którym odbywają się pokazy flamenco. [\[wróć\]](#)

9.

Nie znasz niemieckiego?

– Nie, tylko francuski i angielski, Wasza Królewska Mość.

– No to ci przetłumaczę: zgadzają się uwolnić Niżyńskiego. W najbliższych dniach odstawią go na granicę szwajcarską, skąd będzie mógł się udać, dokąd zechce. Musi tylko podpisać zobowiązanie, że nie zacznie walczyć z Niemcami.

– Gratulacje, Wasza Królewska Mość.

– Nie, proszę, nie gratuluj mnie, tylko swoim kolegom z biura. A co z tym drugim? Jak on się nazywał...?

– Maurice Chevalier.

– Właśnie! Mam nadzieję, że naprawdę dobrze śpiewa i wart jest naszych wysiłków.

Manuel czuje się tak samo zadowolony jak król. Biuro zaraz poinformuje hiszpańską prasę o swoim udziale w uwolnieniu jeńców, zagraniczne gazety podchwycą temat, a rządy wielu krajów poczują presję: oto można się ze względów humanitarnych dogadywać, a skoro tak – to czemu nie zakończyć tej wojny?

– Przekażę wszystko kolegom, będą naprawdę szczęśliwi. Teraz bez wątplenia dostaniemy dużo próśb o uwolnienie więźniów, nie tylko o pomoc w nawiązaniu z nimi kontaktu.

– Oczywiście. Tak czy owak pogratuluj swoim współpracownikom, Manuelu. Aha, i jeszcze jedno. Odwołali mi spotkanie, może masz ochotę na kawę?

Nie da się takiej propozycji odrzucić. Nawet jeśli się jest anarchistą. Podczas gdy Alfons XIII dzwoni na służbę, Manuel niechętnie rozgląda się po gabinecie: te meble, ten żyrandol z weneckiego szkła, tak imponujący Blance, te obrazy... Po prawej wisi portret Alfonsa XII; z tyłu, nad komodą – płótno przedstawiające jakąś królową, może matkę obecnego monarchy. Wszędzie stoją jakieś bibeloty, wiele z nich wiąże się z grą w polo, jedną z pasji gospodarza. Manuel wierci się niespokojnie; przywykł do codziennych spotkań z królem, ale po raz pierwszy ma z nim zasiąść przy jednym ze stolików pod oknem.

– Coś ci wyznam: kuchnie mieszczą się tak daleko stąd, że kawa dociera tu zimna. Ohyda. Jak widać, bycie królem i mieszkanie w pałacu niczego pod tym względem nie gwarantuje. Ale powiedz, jak wam idzie.

– Dobrze, Wasza Królewska Mość. Mamy w biurze doskonałych pracowników. Przygotowujemy już dokumentację konieczną do wymiany jeńców.

– Jak ta wojna się skończy, a skończy się, możesz mi wierzyć, zatrudnię was do innych zadań. To prawdziwa przyjemność pracować z takimi entuzjastami.

Manuel nie przywykł do podobnych luksusów. Miejsce, gdzie siedzi, zajmowali przed nim premierzy, także zagraniczni, a może i jakiś król. To tutaj

podejmowano decyzje mające wpływ na życie mnóstwa ludzi. Łatwo ulec podszeptom próżności, dać się uwieść uprzejmościom ze strony króla. Należy jednak pamiętać, że chodzi o ratowanie ludzkiego życia i że gdy przyjdzie pora, trzeba będzie zażądać od tego człowieka, który właśnie zamówił dla nich obu kawę, by opuścił ten pałac, a także ten kraj. On, Manuel, nigdy, przenigdy nie współpracowałby z kimś takim w innych warunkach, niemniej mówienie o tym teraz na nic by się nie zdało. Jeszcze będzie po temu okazja.

– Dziękuję, Wasza Królewska Mość.

Don Alfonso miał rację: kawa dociera do jego gabinetu zimna. Podaje ją ubrana w uniform dziewczyna, która czerwieni się, gdy król zwraca się do niej w te słowa:

– Trzeba coś z tym zrobić, Enriquito. Albo zaczniesz biegać, albo musimy urządzić kuchnię tu, w przedsionku...

– Przykro mi, Wasza Królewska Mość.

Don Alfonso dolewa sobie mleka, przekazuje dzbanuszek Manuelowi i sam słodzi mu kawę.

– Dwie łyżeczki? Trzy?

– Dwie poproszę.

Przez chwilę piją w milczeniu. Pokojówka wychodzi.

– Enriqueta jest w pałacu nowa. Za to jej matka, kucharka, również Enriqueta, pracuje u nas od dawna. To urocza osoba, gdy byłem mały, zakradałem się do kuchni po jej ciastka. Sądziłem, że potrafię je za każdym razem zwędzić dzięki własnemu sprytowi, póki się nie okazało, że Enriqueta zostawiała je zawsze w tym samym miejscu właśnie z myślą o mnie. Tak to bywa z dziećmi. Pewnie moje teraz też się w ten sposób zabawiają.

Manuel nie wie, co robić: czy czekać, aż król zakończy wątek i całe spotkanie? Czy raczej szybko dopić kawę, wstać i się pożegnać? Nie, raczej trzeba zostawić inicjatywę gospodarzowi.

– Słyszałem od Álvara Ginera, że w soboty udzielasz lekcji dzieciakom z jakiejś biednej dzielnicy?

Manuel nie przypuszczał, że jego szef jest aż tak na bieżąco – nie wspominając już o królu.

– Tak, Wasza Królewska Mość. Z Las Injurias.

– Gdzie to jest?

– Nie tak znowu daleko stąd, nad rzeką. To bardzo smutne miejsce, zamieszkane przez różnych nieszczęśników, żebraków i...

– ...przestępców.

– Tacy też się zdarzają.

– Piękny pomysł z tymi lekcjami. Gdybym mógł ci w czymś pomóc, to mów.

Manuel nie ma pewności, czy don Alfonso aby nie żartuje. Przecież jest

królem, nikt nie może tyle co on, tysiące ludzi tylko czekają na jego rozkazy.

– Nie wiem, co odpowiedzieć. Gdyby Wasza Królewska Mość chciał, mógłby sprawić, żeby takie dzielnice w ogóle nie istniały.

– Przesadzasz... Choć to by było znakomicie. Wolno mi zarzucać niedostatek inteligencji czy nieudolność, ale nie to, że nie robię wszystkiego, co w mojej mocy. Czasami moja interwencja się na coś przydaje, ale w gruncie rzeczy możliwości mam niewielkie. W każdym razie powtarzam: w razie czego chętnie ci pomogę.

Nie, nie i jeszcze raz nie. Alfons XIII i cała królewska rodzina muszą opuścić Hiszpanię. Monarchia to przyczyna większości problemów tego kraju, a fakt, że sam król raczej budzi sympatię, niczego nie zmienia. Zresztą, towarzysze anarchiści argumentowaliby zapewne, że tak to już jest z królami: mają zwodzić swój lud i on, Manuel, jak wielu innych dał się złapać na haczyk. Może i tak... Niemniej don Alfonso naprawdę wydaje się sympatyczny.

W biurze czekają na Manuela dwie wiadomości: jedna dobra, a druga fatalna. Pierwsza dotyczy Maurice'a Chevaliera: Niemcy zgodzili się uwolnić i jego. Druga wiąże się z tym, że Anglicy i Nowozelandczycy zostali w końcu ewakuowani z rejonu Gallipoli, gdzie niemal przez rok walczyli z Turkami, a straty w ludziach sięgają dwustu pięćdziesięciu tysięcy. Już wkrótce trzeba będzie przeglądać niekończące się spisy zabitych i rozsyłać do rodzin listy z kondolencjami.

– Coś wiemy o jeńcach? Musimy stworzyć w archiwum osobny dział dla przypadków związanych z Gallipoli.

To była prawdziwa jatka. Wojska ententy dokonały desantu na zaminowane plaże półwyspu Gallipoli, pod tureckim ostrzałem. Prowadzona przez Turków zażarta obrona, ciężki klimat i trudności w zaopatrywaniu, a potem ewakuowaniu żołnierzy drogą morską sprawiły, że cała operacja zakończyła się spektakularną klęską.

– Winston Churchill, pierwszy lord Admiralicji, musiał podać się do dymisji.

– To nie przywróci życia tym, którzy przez niego zginęli.

– Niedawno musieliśmy odpowiedzieć pewnej kobiecie nazwiskiem Rached. Biedaczka straciła tam trzech synów.

Przyszedł też list od Blanki. Oboje z Álvarem opuścili już Paryż, zadowoleni z wyniku prowadzonych z Francuzami negocjacji. Jeśli w Niemczech pójdzie im równie dobrze, niebawem będzie można rozpocząć wymianę jeńców. Blanca dołączyła do oficjalnej przesyłki prywatny liścik do Manuela. Opowiada mu w nim o szczegółach odbytych spotkań i o swoich wrażeniach dotyczących Paryża, przekazuje pozdrowienia od Gonzala, jak również – co wyjątkowo dla Manuela ważne – pisze, że bardzo za nim tęskni i chciałaby, aby jej towarzyszył. On też za

nią tęskni; codziennie od nowa przeżywa zawód, że nie wita go w biurze jej uśmiech...

Kolejny list, jak zwykle, wyrywa go z takich rozmyślań.

Do Jego Królewskiej Mości Alfonsa XIII, króla Hiszpanii

Zdaję sobie sprawę, że zadaniem urzędu łaskawie powołanego do życia przez Waszą Królewską Mość jest niesienie pomocy żołnierzom i że moja prośba nie ma z tym nic wspólnego, jednakże w najgłębszej rozpaczycy zwracam się do Waszej Królewskiej Mości, upatrując w tym ostatnią deskę ratunku.

Pochodzę z Fresnoy-le-Grand, miasteczka położonego między Saint-Quentin a granicą z Belgią, w departamencie Aisne. Na początku wojny zostałem wysłany do Paryża na szkolenie wojskowe. Pech chciał, że uległem wypadkowi drogowemu i straciłem nogę, co uniemożliwiło mi służbę ojczyźnie. Po długim czasie spędzonym w różnych szpitalach postanowiłem wracać do rodziców, którzy prowadzili w naszych stronach gospodarstwo. Niestety, front zmiotł je z powierzchni ziemi. Nic się nie uratowało: ani inwentarz, ani uprawy, ani nawet dom zbudowany przez moich przodków.

Nie to mnie wszakże martwi: mnóstwo ludzi tak jak ja będzie musiało zaczynać po wojnie od zera. Chodzi o moich rodziców i młodszą siostrę, Adèle: uciekli z Fresnoy-le-Grand i nikt nie potrafi mi wskazać miejsca ich pobytu.

Będę wdzięczny za wszelką pomoc, ale gdyby okazała się niemożliwa, życzę Waszej Królewskiej Mości wytrwałości w tej pracy, którą Wasza Królewska Mość przedsięwziął dla dobra ogarniętej szaleństwem Europy.

Benoît Lasserre

Prześlę ten list do francuskiego Ministerstwa Wojny. Niewiele więcej mogą zrobić w tej sprawie. Prawdę mówiąc, w ogóle mało mogą i właśnie z tym frustrującym przekonaniem Manuel kładzie się co wieczór do łóżka.

* * *

– Chcielibyśmy się spotkać z pewnym konkretnym jeńcem. Nazywa się Pierre Sartou.

Pierre jest bratem Sylvie, dziewczynki, która wysyłając do Alfonsa XIII swój list, zapoczątkowała działalność Urzędu do spraw Ochrony Jeńców. Udało się chłopaka odnaleźć i przekazać jego list siostrze – w prezencie na odległe już Boże Narodzenie roku tysiąc dziewięćset czternastego. Teraz, wiosną roku tysiąc dziewięćset szesnastego, Pierre Sartou wciąż przebywa w niemieckim obozie w Döberitz.

– Ten jeniec leży w szpitalu polowym. Nie wiem, czy będą państwo mogli go zobaczyć. Do tego trzeba zgody władz sanitarnych.

Pierre choruje na tyfus i lekarze nie zgadzają się na odwiedziny; zresztą, nie byłby w stanie rozmawiać – ma zbyt wysoką gorączkę. Giner jako lekarz rozumie, że niewiele da się zrobić, można tylko czekać, aż chory wyzdrowieje albo umrze. Chociaż istnieje szczepionka, w tysiąc dziewięćset cztertnastym roku wybuchła w Barcelonie epidemia, która zabiła niemal dwa tysiące pięćset osób zakażonych po spożyciu zainfekowanej wody z Montcady. Pierre Sartou może liczyć wyłącznie na szczęście: medycyna potrafi już tyfusowi zapobiegać, lecz nie umie z niego leczyć.

– Nie dałoby się biedaka przenieść do jakiegoś lepszego szpitala?

– To jeniec wojenny, wróg. Ale zgodnie z konwencją genewską ma zapewnioną należytą opiekę.

Wszystkie zaangażowane w wojnę państwa podpisały pierwszą i drugą konwencję genewską. Ta druga, z tysiąc dziewięćset szóstego roku, reguluje kwestie związane z traktowaniem jeńców wojennych i stanowi, że ranni oraz chorzy mają prawo do leczenia, nie wolno nastawać na ich integralność fizyczną ani wykonywać na nich egzekucji bez legalnego wyroku. Najniebezpieczniejszym momentem dla jeńca jest zawsze chwila pojmania: właśnie wtedy często dochodzi do samosądów. Potem, choć zagrożenie nie mija, jest trochę lepiej. Niestety, w wielu wypadkach więźniowie nie trafiają na listy przesyłane organizacjom międzynarodowym. Poza tym, mimo inspekcji przeprowadzanych przez Czerwony Krzyż i państwa neutralne, takie jak Hiszpania, postanowienia konwencji genewskich są notorycznie łamane. W Döberitz chyba na razie nie, jednakże masowy napływ jeńców grozi pogorszeniem sytuacji. Z informacji uzyskanych przez Alvara i Blancę wynika, że traktowanie więźniów w dużej mierze zależy od zwierzchnika danego obozu. Niektórzy zachowują się przyzwoicie, inni zaś zamieniają się w prawdziwych katów. Listy napływające do Pałacu Królewskiego w Madrycie świadczą o tym, że szczególnie cierpią Rosjanie zamknięci w obozach państw centralnych, chociaż głodują też Niemcy przetrzymywani przez Rosjan, zwłaszcza na Syberii.

Álvaro i Blanca od niedawna są w Berlinie. Mają za sobą ciężką podróż przez Szwajcarię, liczne przesiadki, długie godziny oczekiwania na kolejny pociąg, noce spędzane we francuskich, szwajcarskich i niemieckich miasteczkach, okrażanie kolejnych stref objętych walką. Otrzymali zgodę na wizytowanie wszystkich niemieckich obozów bez konieczności opowiadania się komukolwiek. Na początek wybrali Döberitz, położone niecałe trzydzieści kilometrów od niemieckiej stolicy, gdzie czekają ich spotkania w sprawie zaakceptowania przez Niemcy proponowanych przez Alfonsa XIII planów wymiany jeńców.

Tym razem negocjacje są trudniejsze niż w Paryżu. Hiszpania reprezentuje

francuskie interesy w Niemczech, tak samo jak Szwajcaria – niemieckie we Francji. Oznacza to, że hiszpańscy dyplomaci, choć neutralni, bywają postrzegani przez Niemców jako frankofile. W związku z tym każdy fałszywy ruch może się źle skończyć: niejednokrotnie już niemieckie łodzie podwodne „przez pomyłkę” atakowały hiszpańskie statki handlowe.

– Najważniejsze, żeby nie zmarnować tego, co wypracowaliśmy sobie tutaj od początku wojny.

Luis Polo de Bernabé, hiszpański ambasador w Berlinie, jest znanym germanofilem. Rychło wychodzi na jaw antypatia, jaką żywią do siebie z Álvarem.

– Zналиście się wcześniej?

– Nie. Osobiście to nie. Wymieniliśmy wiele listów, ale to nasze pierwsze spotkanie.

Álvaro jako szef Urzędu do spraw Ochrony Jeńców wielokrotnie narzekał na przesyłane mu raporty z inspekcji w niemieckich obozach. Nigdy też nie doczekał się pełnej ich listy.

– Że nie wspomnę już o listach jeńców przydzielonych do prac w kopalniach czy na roli.

Wielu szeregowych żołnierzy to w cywilu rolnicy i hodowcy bydła, którzy zamiast do obozów często trafiają na niemiecką wieś, by pracować tam w zastępstwie Niemców walczących na froncie. Tacy – z pewnymi wyjątkami – mają najwięcej szczęścia. Lokalne społeczności traktują ich zwykle przyzwoicie, ba, zdarza się, że z czasem wręcz niemal jak swoich.

– To dopiero będzie problem po wojnie, jak ten czy tamten nie zechce wrócić do kraju. Zwłaszcza jeśli przy okazji dorobi się z jakąś Niemką potomstwa...

Nie da się ukryć, że wielu zwyczajnych Niemców, podobnie jak Francuzów, wykazuje się humanitarnym podejściem do wroga i życie poza obozami jest dla jeńców znacznie łatwiejsze.

Hiszpanie przyjęli też pewną ich liczbę do siebie. Powstał nawet plan przewidujący, że Hiszpania mogłaby się zajmować Niemcami pojmanymi przez Francuzów, Szwajcaria natomiast – Francuzami uwięzionymi przez Niemców. Álvaro Giner i król naradzali się nad tym przy kilku okazjach, jednakże ze względów finansowych rzecz okazała się nie do przeprowadzenia. Udało się wszakże udzielić schronienia Niemcom, którzy uciekając z ogarniętego wojną Kamerunu, przedostali się do hiszpańskiej Gwinei Równikowej; większość z nich została przewieziona na Półwysep Iberyjski, głównie do Saragossy.

– W krótkim czasie pozakładali tam dobrze prosperujące przedsiębiorstwa. Powinniśmy się od nich uczyć. Trzeba by nam więcej takich przybyszów, żeby pomogli nam rozwijać nasz kraj.

Álvaro i Blanca odbywają mnóstwo oficjalnych i nieformalnych spotkań:

z pracownikami ambasady Hiszpanii, lekarzami wojskowymi wizytującymi obozy, niejednokrotnie znanymi Ginerowi jeszcze ze studiów. Nie mają kiedy obcować sam na sam, jak ostatniej nocy w Paryżu. Może to zresztą i lepiej: w ten sposób nie ryzykują zakłóceń w doskonale się przecież układającej współpracy.

* * *

– Długo zostanie pan w Madrycie, panie Fuentes?

– Tydzień. Gdyby coś się miało zmienić, z pewnością państwa uprzedzę.

Po rozmowie z Blancą Gonzalo postanowił wrócić na chwilę do Hiszpanii, żeby zobaczyć się z siostrą. Poprosił w redakcji o zgodę i w odwrotnym kierunku pokonał tę samą trasę, która przed kilku miesiącami zawiodła go do Paryża. Nie spędził za granicą zbyt wiele czasu, ale i tak patrzy na swoje rodzinne miasto innymi oczami: Madryt jest brudny i prowincjonalny, choć niepozbawiony uroku. Tak zawsze twierdził Frank.

Zdecydował się na pokój w hotelu París, tym samym, w którym kiedyś odwiedzał Franka. Rozpoznaje recepcjonistę: to on wręczył jego kochankowi list z wezwaniem do Berlina; on również niejednokrotnie piorunował go wzrokiem, widząc, jak o świcie wymyka się z hotelu.

W redakcji „El Noticiero de Madrid” – mieszczącej się na tyłach ulicy Alcalá, nieopodal pałacu markizów Casa Riera, gdzie podobno ma wkrótce znaleźć przystań dom kultury Círculo de Bellas Artes – panuje spokój, który pod wieczór, w miarę zbliżania się pory zamknięcia numeru, ustąpi piekielnemu harmidrowi czynionemu przez reporterów i innych współpracowników gazety, jak również przez klientów usiłujących w ostatniej chwili zamieścić swoje ogłoszenia.

– Twoje korespondencje cieszą się dużym uznaniem, mam nadzieję, że nie znudził ci się Paryż.

– W żadnym razie. Muszę tylko załatwić pewne sprawy osobiste.

Gonzalo nie jest już tym wystraszonego chłopcem, z którego szefostwo otwarcie kiedyś podkpiwało. Wyrobił sobie pozycję – tak skutecznie, że dostał nawet zaproszenie do restauracji Lhardy, na obiad w towarzystwie redaktora naczelnego i głównego akcjonariusza gazety don Jaimego Alercesa, ojca Blanki.

– Kto, twoim zdaniem, wygra tę wojnę?

– Postawiłbym na ententę, don Jaime, choć na razie Niemcy zdają się mieć przewagę. Ale z czasem będzie im coraz trudniej w takim okrażeniu. Chyba żeby szybko zwyciężyli, na co się nie zanoszą.

– A czemu nie spróbują negocjacji?

– To chyba kwestia charakteru. Niemcy są dumni, zdyscyplinowani, kochają swój kraj. Nie poddadzą się aż do ostatniego człowieka. Powinniśmy się od nich uczyć, choć może niekoniecznie na tym polu... Ale przecież w ciągu krótkiego czasu prześcignęli Anglików w dziedzinie badań naukowych i techniki, stali się morską potęgą, mają najprężniejszy przemysł w Europie. Tylko dyplomacja im nie

wychodzi, a sąsiadami są fatalnymi.

– Stany Zjednoczone coraz bardziej skłaniają się ku interwencji. Nie rozumiem tylko, dlaczego tak z tym zwlekają.

– W Paryżu od miesięcy pełno jest amerykańskich obserwatorów, którzy bez przerwy jeżdżą na front. W dniu, w którym Stany wypowiedzą wojnę Niemcom, ich koniec będzie bliski.

– Tak, Stany to potęga. Samolotów i czołgów produkują dziesięć razy więcej niż Europejczycy. Odniosą miażdżące zwycięstwo.

Don Jaime Alerces zawsze lubił Gonzalą, a teraz w dodatku nabrał dla niego szacunku. Korzystając z okazji, wypytuje go o swoją córkę. Rozmowa stopniowo schodzi na codzienne życie w wojennym Paryżu, wspólnych znajomych – z których wielu don Jaime nie widuje od czasu, gdy był we Francji ambasadorem – i na publikowane przez Gonzalą artykuły.

– Przyznaję, że czytam je zawsze już przy śniadaniu. Bardzo mi się podoba twoje podejście: inni piszą o operacjach zbrojnych, a ty pokazujesz nam zwykłych ludzi. Gratulacje!

– Dziękuję.

– To nie jest tylko moja opinia. Inni też cię cenią, na przykład Alfons XIII uwielbia twoje teksty. Właśnie, prosił nawet, żebyś przy okazji pobytu w Madrycie zjadł z nim obiad.

Zaskoczony Gonzalo z wrażenia na chwilę traci oddech.

– Z królem...? Ja...?

– Pojutrze, oczywiście pod warunkiem że się zgodzisz.

– Jasne, jasne. Jak mógłbym się nie zgodzić?

Jednakże wizyta w Pałacu Królewskim, choć stresująca, niepokoi Gonzalą znacznie mniej niż odwiedziny w mieszkaniu przy ulicy Claudia Coella, gdzie przecież spędził większość życia. Spotkanie z ojcem nie zapowiada się zbyt przyjemnie. Gonzalo przez długie lata panicznie się go bał, żył w jego cieniu; teraz widzi, że to frustrat, któremu udało się awansować w marionetkowej hiszpańskiej armii wyłącznie ze względu na skrajną niekompetencję większości wojskowych.

– Mówiłem ci, żebyś się tu nie pokazywał.

– Nie przyszedłem do ciebie, tylko do swojej siostry.

– Elisa nie chce z tobą rozmawiać. Wynoś się!

– Bo co? Znowu wyciągniesz pistolet? Niby to ja nie jestem prawdziwym mężczyzną, ale to ty groziłeś własnemu synowi bronią! Nie ruszę się stąd, póki nie porozmawiam z siostrą. W ostatnim czasie dużo się nauczyłem i wiem już, że takim jak ty zawsze ostatecznie brakuje odwagi, by strzelić. Tchórz!

– Nie zamierzam wdawać się z tobą w dyskusje. Idź precz!

Do przedpokoju wyjrzała Elisa – rzeczywiście nie chce z nim gadać. Nie ma

radę, trzeba odejść z kwitkiem. Siostra zapewne nie odpowie i na kolejne jego listy, być może w ogóle ich nie czyta. Można ewentualnie łapać ją na ulicy, w drodze do kościoła, jeśli jeszcze tam chodzi. Ojciec najwyraźniej nie rozumie, że jego córka jest w niebezpieczeństwie, potrzebuje pomocy i jeśli jej nie otrzyma, umrze – niewykluczone, że ze smutku i braku chęci, by dalej żyć w tym domu. Bo Gonzalo zaczyna podejrzewać, że tak właśnie stało się z jego matką.

Jedynie służąca, Delfina, uśmiechnęła się do niego i wyjrzała za nim, gdy już schodził po schodach.

– Paniczu Gonzalo! Niech pan nie daje za wygraną. Z panią Elisą naprawdę jest źle...

To dobra kobieta, gdyby nie ona, jego dzieciństwo upływałoby w jeszcze większym chłdzie. Biedaczka bardzo się starała, by sieroty na co dzień nie odczuwały tak mocno nieobecności matki. Szkoda, że generał Fuentes jej w tym nie pomógł.

* * *

– Błagam, odpowiadałem na to pytanie już ze trzy razy.

– I odpowie pan jeszcze nieraz, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Frank rozumie, że jego rodacy muszą się upewnić, czy nie przeszedł na stronę Francuzów i nie został podwójnym agentem, nie spodziewał się jednak, że będą go traktować gorzej niż jeńca.

– Dlaczego uciekł pan z Dover, rezygnując z wypełnienia misji?

– Już mówiłem: zostałem rozpoznany. Był tam pewien hiszpański dziennikarz, którego spotkałem wcześniej podczas pobytu w Madrycie.

– Dlaczego go pan nie zabił?

– Nie miałem okazji. Uznałem, że lepiej zbiec, niż ryzykować i narażać na niebezpieczeństwo także swoje kontakty w Paryżu.

Jak miałby się przyznać, że dla kraju zrobiłby wszystko, ryzykując swoje i cudze życie, ale Gonzala Fuentesza zabić by nie mógł? Nigdy, nawet dla ocalenia własnej skóry.

Podróż powrotna przebiegła podobnie do tej, którą odbył w tamtą stronę, tyle że okazała się dłuższa: czasem zawiązywano mu oczy, nocami maszerował przez jakieś pustkowia, dni spędzał w ustronnych chatkach. Aż wreszcie z pewnością znalazł się w Szwajcarii, niewykluczone więc, że teraz trzymają go gdzieś na południu Niemiec.

– W dniach, które poprzedziły śmierć kapitana Rogersa, nagminnie zaniedbywał pan środki bezpieczeństwa.

– Już tłumaczyłem, że chodziło mi o mapy, które zresztą potem bardzo się w sztabie przydały. Uznałem, że zdobycie ich jest ważniejsze od środków bezpieczeństwa.

Nieprawda. Szukał wtedy Gonzala, lecz tamte mapy spadły mu jak z nieba.

I nie tylko jemu: wielu niemieckich żołnierzy walczących na granicy francusko-belgijskiej ocaliło dzięki nim życie. Tej wersji trzeba się trzymać. Tylko ona daje szansę na przetrwanie.

– Wedle francuskich gazet spotkał pan tamtego Walińczyka tej samej nocy, kiedy go pan zabił.

– Francuskie gazety nie mają o niczym pojęcia. O działalności niemieckich szpiegów w Paryżu zwłaszcza.

– Więc proszę jeszcze raz nam opowiedzieć, jak to było.

Czyli od początku – znów ta historyjka, którą wymyślił podczas ucieczki. Nie zacznie się płatać, choćby kazali mu ją powtarzać tysiącrotnie. Przesłuchują go przecież ci sami ludzie, którzy go wcześniej szkolili. Poradzi sobie.

Po przesłuchaniu zamykają go w pojedynczej celi. Jedzenie dostaje przez otwór w drzwiach. Dobrze, że ma chociaż okienko nad głową, dzięki czemu wie, czy jest dzień czy noc. Ma też dużo czasu na rozmyślania: o Gonzalu, o Gustavie Müllerze, o ludziach, których zabił, o decyzji, że wróci do Niemiec, i o wrażeniu, że przegrywają.

Kilka godzin później, nim zdąży się przespać, znowu prowadzą go do pokoju przesłuchań.

– Dlaczego uciekł pan z Dover?

Nie boi się. Zna wszystkie pytania, a nawet kolejność, w jakiej są zadawane. Wie, że niebawem wyjdzie na wolność.

* * *

– Nie kończ jeszcze tego obrazu, chcę, żebyś dalej do mnie przychodził.

Gretchen, żona generała Köhlera, ma dwadzieścia pięć lat – o trzydzieści pięć mniej niż jej mąż – i bardzo się w swoim małżeństwie nudzi. Lubi spędzać popołudnia z Jeanem-Marie, francuskim malarzem, który pracując, nie przestaje z nią rozmawiać. Mówią po francusku, w języku matki Gretchen, chociaż Jean-Marie coraz lepiej radzi sobie z niemieckim. Poza tym jest taki miły, tak dobrze wychowany i jednocześnie zabawny... Jego opowieść o porwaniu sewilskiej Cyganki rozśmieszyła Gretchen do łez.

– I ożeniłeś się z nią potem?

– Tak, to moja żona.

A teraz oznajmił, że obraz jest już prawie gotowy, jeszcze ze dwie godziny pracy i będzie go można powiesić na ścianie salonu, w specjalnie przygotowanym przez generała miejscu.

– Powiedz mojemu mężowi, że musisz jeszcze to i owo poprawić.

– Nie mogę, generał pytał mnie, kiedy skończę, już ze trzy razy, poza tym widział, na jakim jesteśmy etapie.

– No to namaluj mnie teraz inaczej, tak jak tę swoją Cyganekę.

– Nago? Generał kazałby mnie rozstrzelać.

– Porozmawiam z nim. A ty się zastanów nad odpowiednią pozą.

Generał nigdy niczego żonie nie odmawia – tyle że jeszcze nigdy nie prosiła go o zgodę na to, by mogła pozować bez ubrania obcemu mężczyźnie.

– To nie jest mężczyzna, tylko artysta.

– To francuski więzień oddany do mojej dyspozycji! Już powiedziałem: nie ma mowy.

– Więc ci się nie podobam? Nie chciałbyś mnie zachować na zawsze taką, jaka jestem teraz, zanim czas zniszczy mi figurę? Moja obecna uroda ma szansę przetrwać tylko na tym obrazie...

Dwie godziny później, odwoławszy się do tych samych sztuczek, którymi omotała przyszłego męża, gdy była jeszcze kelnerką w monachijskiej piwiarni, Gretchen stawia na swoim. Ma wielką ochotę rozebrać się dla tego Francuza.

Przed południem Jean-Marie wciąż pracuje nad podróbkami. Wśród więźniów rozeszła się plotka, że ich nazwisk nie ma na żadnej liście jeńców; że rodziny nic nie wiedzą o ich losie, może nawet uznają ich za zabitych.

– To znaczy, że wszystkich nas przed końcem wojny wymordują.

– Nie zrobią tego, potrzebują nas.

– Do czasu. Po wojnie staniemy się zbędni.

To bardzo niepokojące pogłoski. Czyżby naprawdę oficjalnie nie istnieli? A może faktycznie zostali wpisani na listę ofiar śmiertelnych? Czy to jedynie kolejne z krążących wymysłów? Wciąż są traktowani całkiem dobrze i mają się znacznie lepiej niż wtedy, gdy przymierali głodem i musieli pracować ponad siły. Jean-Marie w każdym razie – jeśli to będzie zależało od niego – nie zamierza już nigdy wrócić do kamieniołomu.

– Słabo nas tu pilnują, powinniśmy spróbować ucieczki.

– Dokąd? Jesteśmy w Berlinie. Gdzie się ukryjemy?

– Moglibyśmy sfalszować dokumenty dla samych siebie.

– W tym wam pomogę, ale uciekać nie będę. Nigdzie się stąd nie ruszam.

* * *

– Carmen, twój syn od rana kaszle i gorączkuje. Powinnaś wziąć go do lekarza.

Nocą też kasłał. Carmen miała nadzieję, że do rana mu przejdzie. Skąd ma wytrzasnąć pieniądze na lekarza?

– Idź do najbliższego punktu medycznego, tam ci pomogą. Wszystko przez tę wilgoć. Ta wilgoć nas tu wykończy.

W punkcie medycznym obejrzy Juana lekarz, lecz później trzeba będzie kupić lekarstwa, zająć się małym i na kilka dni zrezygnować z zarobków z prania. Carmen nie może sobie na to pozwolić. I tak ledwo wiąże koniec z końcem.

– Duża Roso, zgadzam się, ale za pięćdziesiąt duro.

Tylko to rozwiązanie przychodzi jej do głowy.

– Przecież ci mówiłam, że to była jednorazowa tak wysoka oferta.

– Powtarzam: chcę pięćdziesiąt duro. Jeśli zależy ci na zarobku, wiesz, gdzie mnie znaleźć.

Jedynie Murcjanka wie o wizycie Carmen u Dużej Rosy.

– Dobrze robisz, że się zgadzasz, ale za większe pieniądze. Nie gryź się, to nie ty pójdziesz do łóżka z tym facetem, tylko twoje ciało. Liczy się dobro twojego syna. I nie myśl, że zdradzasz męża, to nie ma z nim nic wspólnego.

Murcjanka też tak kiedyś sobie dorabiała. Teraz Carmen, która mieszka obok, nie widuje u niej mężczyzn. Bo Murcjanka wciąż ma nadzieję, że któregoś soboty Manuel po lekcjach z dziećmi znów do niej zajrzy – i zostanie na noc. Ale jej nadzieja okaże się płonna.

* * *

– Ma pan ordynansa?

– Oczywiście, jestem obecnie jeńcem, ale pozostałem pułkownikiem francuskiej armii, przysługuje mi ordynans.

Obóz Helmstedt leży niemal dwieście kilometrów od Berlina. Blanca i Álvaro już rozumieją, czemu tak ich nakłaniano do jego wizytacji. W Helmstedt przebywają najwyżsi rangą jeńcy, którym usługują zastępy rosyjskich i francuskich ordynansów, pucybutów, stajennych, kucharzy i pokojowych.

– Przywieźli nas do uzdrowiska! To jakaś farsa, Blanco! Czy oni biorą nas za idiotów? Zażądam, by natychmiast pokazali nam inny obóz.

– Wybuchnie awantura.

– Wojna to jedna wielka awantura.

Álvaro Giner jest oburzony. Nie odbył całej tej podróży przez połowę ogarniętej międzynarodowym konfliktem Europy, żeby oglądać miejsce, gdzie jeńcy biorą co dzień gorące prysznice, zjadają się przysmakami francuskiej kuchni i spacerują po dobrze utrzymanych ogrodach. Wyciąga mapę i zagląda do notatek.

– Teraz pojedziemy do Merseburga.

– Dzisiaj? Dzisiaj to niemożliwe.

Giner całkowicie ignoruje protesty niemieckiego oficera, który towarzyszy im podczas wizytacji.

– Dostaliśmy pozwolenie na zwiedzanie tych obozów, które sami wybierzemy, w czasie, który nam odpowiada, bez konieczności starania się o czyjąkolwiek zgodę. Jedziemy do Merseburga.

Niemiec nie ma innego wyjścia, jak usłuchać. Dzielące ich od Merseburga sto pięćdziesiąt kilometrów pokonują w oddanym im do dyspozycji czerwonym mercedesie. Prowadzi młody żołnierz, który, jak zauważyli wcześniej, mocno utyka; może został ranny na froncie – w każdym razie uznano go za niezdolnego do dalszej walki i oddelegowano do prac pomocniczych na tyłach.

- Generał Köhler nie będzie zadowolony z tej niezapowiedzianej wizyty.
- Bardzo mi przykro z tego powodu.

Za oknem widać niemiecką prowincję, najbardziej cierpiącą na tej wojnie: wioski i miasteczka, w których zostały niemal same kobiety, pracujące zamiast mężczyzn w polu lub w potrzebnych wojsku fabrykach. W Berlinie sytuacja wygląda nieco lepiej, choć i tam w sklepach brakuje nawet podstawowych produktów. We Francji mówi się, że Niemcy rekruci są niedożywieni; machina wojenna wprawiona w ruch przez pruskich generałów pochłania wszystko, co się da, spychając ludzi w nędzę. Tylko naród tak zdyscyplinowany jak Niemcy może to wytrzymać.

– Owoców ani mydła nie starczy nawet dla nas samych ani dla naszych rodzin. Jak mielibyśmy się jeszcze dzielić z więźniami?

Jeńcy pobierają za swoją pracę symboliczne wynagrodzenie, ale płacić za wszystko muszą w zwyczajnych, bardzo wysokich przez inflację cenach.

Zgodnie z podejrzeniami Álvara warunki w Merseburgu nie mają nic wspólnego z tymi z Helmstedt czy Döberitz. Tak wyglądają prawdziwe jenieckie obozy, do których nie docierają wysłannicy ambasady: więźniowie chronicznie nie dojadają, chodzą ubrani nieodpowiednio do pogody, cierpią z powodu okrucieństwa strażników, ścisku w barakach i przymusowych robót. W polowych szpitalach, rzecz jasna, brak sprzętu i personelu.

– Oficer, który państwu towarzyszy, opowiedział mi, że uparli się państwo, by zwiedzić Merseburg.

– Naszym obowiązkiem jest monitorowanie warunków, w jakich przetrzymywani są jeńcy wojenni. Niemiecki rząd wyraził na to zresztą zgodę.

Generał Köhler zaprosił Blancę i Álvara na kolację do siebie – do swojej willi w jednej z najlepszych dzielnic Berlina. Blanca chętnie wzięłaby udział w rozmowie prowadzonej przez mężczyzn w salonie, jednakże Gretchen, żona generała, koniecznie chciała pokazać jej wspaniałą kolekcję srebrnych łyżeczek do kawy, zapoczątkowaną przed niemal stu laty przez babkę Köhlerową. Zupełnie jakby Blancę mogły obchodzić jakieś łyżeczki!

Gretchen jest niezwykle piękna i o wiele młodsza od męża. Na ścianie w salonie wisi portret ukazujący ją w pełnej krasie; malarz naprawdę się postarał. Obraz nie jest podpisany, Blanca nie wie, kto go namalował, lecz coś w tym płótnie zwraca jej uwagę: urodziwa Niemka została przedstawiona na tle pejzażu, który kojarzy się z południem Hiszpanii, może z okolicami Sewilli. Wygląda to zaskakująco, zwłaszcza w zestawieniu z bladą cerą i jasnymi włosami modelki, tak różnej w typie od Andaluzyjek. Blanca zapomina jednak o tym, gdy wreszcie może dołączyć do panów.

– Oczywiście, wolelibyśmy traktować jeńców lepiej, ale sam pan widzi,

drogi panie Giner, w jaką biedę wpędza nas Królewska Marynarka Wojenna, blokując nasze porty.

– Jednak to Niemcy pierwsze zaczęły atakować z łodzi podwodnych statki handlowe i pasażerskie.

– Nic innego nam nie pozostało. Hiszpania z własnej historii zna agresywną postawę Brytyjczyków na morzu. Na szczęście dzięki geniuszowi naszego kajzera potrafimy z nimi rywalizować.

Kolacja przebiega wszakże spokojnie, głównie dzięki respektowaniu przez obie strony wymogów grzeczności. Generał jest człowiekiem wykształconym i obytym, potrafi bawić gości ciekawą rozmową; jego żona emanuje naturalnym urokiem.

– Gdy ta wojna się skończy, chcemy się przeprowadzić do Paryża. Gretchen jest córką Niemca i Francuzki. Mam nadzieję, że Francuzi nie zmuszą nas wcześniej do zniszczenia tego pięknego miasta. – Nie sądzę, by kogokolwiek do tego zmuszali, generale.

– Cóż... To uroczy naród, ale nazbyt hardy. Powinni się jak najszybciej poddać.

W samochodzie wiozącym ich z powrotem do hotelu Blanca popada w zadumę. Znowu myśli o Gretchen i jej portrecie. To jedna z najpiękniejszych kobiet, jakie Blanca kiedykolwiek widziała, i obraz oddaje jej sprawiedliwość. Niemniej skojarzenie z aktem przesłanym kiedyś do Madrytu przez markiza Albero jest przemożne. Tyle że przedstawiona na nim Carmen była mimo wszystko znacznie bardziej zmysłowa.

– A może to po prostu dzieła tego samego malarza?

– Możemy spytać generała, czy zna Jeana-Marie.

* * *

– To nie będzie jakiś uroczysty obiad, zaprosiłem cię, żeby porozmawiać o wojnie i innych takich sprawach. Dlatego rozgość się i bądź ze mną szczery, nawet jeśli miałbym się z tobą w jakiejś kwestii nie zgodzić. Zawsze ciekawi mnie opinia ludzi zorientowanych w sytuacji.

Alfons XIII przyjął Gonzala w prywatnej i niewielkiej – przynajmniej jak na Pałac – jadalni, gdzie zasiedli do stołu tylko we dwóch.

– Z uwagą czytam twoje korespondencje z Paryża. Podoba mi się ich swobodny, w dobrym tego słowa znaczeniu, ton. To, że piszesz o ludziach, a nie o armiach.

– Nie bez powodu, Wasza Królewska Mość. O armiach po prostu nic nie wiem. Choć, jak Wasza Królewska Mość może słyszał, mój ojciec jest generałem. Czasem jednak daleko pada jabłko od jabłoni.

– Tak czy owak to prawdziwe szczęście dla czytelników. Czy mi się zdaje, czy w ostatnich tygodniach zacząłeś bardziej sprzyjać entencie?

– Wydaje mi się, że alianci wygrają tę wojnę, Wasza Królewska Mość. W Paryżu mówi się, że Niemcy się duszą i że walczą tylko z wrodzonego uporu.

Gonzalo niejednokrotnie odbywał już taką rozmowę i zapewne nieraz jeszcze odbędzie. Niemcy wciąż odnoszą militarne sukcesy, mają dobrze przygotowane i zdyscyplinowane wojsko, wielu nadal wierzy, że któregoś dnia zwycięsko przedefilują przez Pola Elizejskie, jednakże on jest innego zdania: ententa wygra tę wojnę, a jeśli niemieckie dowództwo nie zorientuje się w porę i nie wynegocjuje, póki może, godnego traktatu pokojowego, konsekwencje tej pomyłki okażą się dramatyczne i trwałe.

– Od dawna nakłaniamy kajzera do rozejmu.

– Proszę wybaczyć, Wasza Królewska Mość, ale kajzer nie ma w tej sprawie nic do powiedzenia, jego opinia nikogo nie interesuje. Od kiedy całkowicie oddał władzę w kraju wojskowemu, stracił resztki wpływu na rozwój sytuacji i, co gorsza, wszelki autorytet. W Niemczech i w Rosji rosną w siłę komuniści.

– A w Hiszpanii?

Gonzalo nie wie, do jakiego stopnia król mówił poważnie, kiedy na początku prosił go o szczerość. Naprawdę chce znać jego zdanie czy tylko udawał otwartego? Don Alfonso jakby czytał w jego myślach:

– Naprawdę zależy mi na twojej szczerzej opinii.

– Również w Hiszpanii komuniści i anarchiści łapią wiatr w żagle. Za kilka lat kajzer, cesarz Austro-Węgier, car i co poniektórzy inni władcy przejdą do historii. Jedynie monarchia brytyjska potrafi iść z duchem czasu.

– A nasza?

– Wydaje mi się, że należałoby przeprowadzić głębokie reformy, zrezygnować z kolonialnych ciągotek, zainwestować w przemysł i edukację. Ta wojna pokazuje, że trzeba być gotowym na wszystko.

– Ale co sądzisz o naszej monarchii?

– Wasza Królewska Mość, przy całym moim szacunku dla Waszej Królewskiej Mości monarchia w Hiszpanii nie ma szans.

Obiad trwa dalej w ciepłej atmosferze, przy czym obaj rozmówcy zaczynają unikać drażliwych tematów. Gonzalo przyznaje, że król jest człowiekiem otwartym, i trochę żałuje swoich niedawnych słów. Konwersacja schodzi na sporty, życie w Paryżu, tamtejsze rozrywki.

– Nie bardzo mam na to czas. Praca korespondenta w trakcie wojny jest straszliwie absorbująca.

– Pewnie wiesz, czym się tu zajmujemy razem z twoją przyjaciółką Blancą.

– Tak, to piękna inicjatywa.

– Może kiedyś zdołasz nam w czymś pomóc. Bo choć nie widzisz przyszłości dla naszej monarchii, nie zapominaj, że mnie chodzi tylko o dobro kraju. Nie musisz popierać króla, ale popieraj, proszę, co lepsze z jego pomysłów.

Gonzalo, jak wielu innych po wizycie u Alfonsa XIII, przysiada na ławce na placu Oriente. Aż trudno uwierzyć, że miasto tuż za murami Pałacu żyje swoim życiem. Być może z któregoś z pałacowych okien monarcha obserwuje swoich poddanych. Niewykluczone, że podgląda stamtąd reakcje swoich rozmówców: czy są po wyjściu od niego zafrasowani, czy radzi. A on, Gonzalo, właśnie powiedział królowi Hiszpanii w twarz, że monarchia nie ma przyszłości. Dlaczego? Po co taka szczerłość? To wcale nie przez wino – przecież ledwie umoczył usta w kieliszku. Czyżby przez próżność? Przez pełną pychy świadomość, że można? Próżność i pycha to nieodmiennie źli doradcy.

* * *

– Alicio, uważaj, nie pobrudź nowej sukienki!

Doña Ana Alerces, która własną córkę zawsze wysyłała na spacer z opiekunkami, z Alicią osobiście wyprawia się do Retiro, gdzie pozwala małej bawić się z innymi dziećmi, podczas gdy sama gawędzi z ich matkami lub babkami, pyszniąc się swoją podopieczną, jakby naprawdę była jej wnuczką.

– Pobaw się na karuzeli, a ja pójdę kupić nam horchatę¹. Nie ruszaj się stąd i nie rozrabiaj. Czasem można odnieść wrażenie, że taka dzikuska musiała się dotychczas wychowywać na Dzikim Zachodzie z Indianami.

Nie ma żadnego zagrożenia: inne kobiety przypilnują małej. Doña Ana idzie więc spokojnie po jej ulubiony napój. Przy stoisku z horchatą natyka się na matkę bardzo zaprzyjaźnionych z Alicią bliźniaczek.

– Doña Cristina! Od dawna pani nie widziałam.

– Wychowywanie bliźniaczek to koszmar: proszę sobie wyobrazić, że obie naraz dostały mi kolki!

– Ciekawa rzecz z takimi bliźniakami. Czytałam onegdaj w jakimś czasopiśmie dla dam o bliźniaczych siostrach, które tego samego dnia wyszły za bliźniaków i jednocześnie urodziły dzieci.

– Niewiarygodne, prawda?

Wracają we dwie do dzieci, niosąc im horchatę. Doña Ana ze zdziwieniem stwierdza, że Alicii nigdzie nie widać.

– Gdzie jest Alicia? Alicia!

Naprawdę niepokoić zaczyna się dopiero po chwili.

– Alicia! Alicia!

* * *

– Pieniądze z góry.

Choć to jej pierwszy raz, Carmen nie jest aż tak naiwna, żeby zaufać Dużej Rosie. Murcjanka Aurelia też ją odpowiednio poinstruowała.

– Nie wierzysz mi?

– Nie.

Spotkanie ma się odbyć w mieszkaniu przy ulicy Bordadores. To stare i ciemne lokum; drzwi otwiera kobieta w podeszłym wieku.

– Przyszyła cię Duża Rosa, czy tak?

Prowadzi Carmen do pokoju, w którym znajdują się: łóżko, umywalnia, zawieszony na ścianie krucyfiks oraz fotel. Klienta jeszcze nie ma. Carmen wygląda przez okno wychodzące na podwórko-studnię. Potem siada i czeka. Już nie może się cofnąć: zabrała Juana do lekarza i potrzebuje pieniędzy, musi kupić synowi lekarstwa i dobre jedzenie, i cieplejsze ubrania... Myśli o tym, żeby zdjąć ze ściany krzyż; jest wierząca i nie chce, by Pan widział jej poczynania. Ostatecznie daje sobie z tym spokój, przecież to tylko kawałek drewna.

Dziesięć minut później słyszy pukanie do drzwi wejściowych. Jest spięta – za chwilę zjawi się tu mężczyzna, który za bycie z nią zapłacił pięćdziesiąt duro, nie licząc prowizji dla Dużej Rosy.

Wchodzi do pokoju bez pukania. Carmen go rozpoznaje. To właściciel sklepu kolonialnego, do którego zaglądają czasem z Murcjanką. Pamięta nawet jego imię: Diego.

– Nie rozbierzesz się?

Carmen zaczyna zdejmować ubrania odwrócona do niego tyłem, ale on, kładąc jej rękę na ramieniu, ustawia ją przodem do siebie.

– Zapłaciłem za to. Powoli.

Sam rozbiera się dopiero wtedy, gdy ona, całkiem naga, leży już nieruchomo na łóżku.

Carmen od kilku dni bała się tej chwili. Wyobrażała sobie odrażającego, pokracznego i cuchnącego gnoma, lecz oto pojawił się Diego, miły chłopak, który właściwie zawsze jej się podobał. Teraz kładzie się obok niej. Próbuje pocałować ją w usta.

– Nie... Proszę...

– Dorzucę jeszcze dziesięć duro.

Carmen rozchyła wargi, pozwala, by Diego wsunął jej do ust język, odpowiada na jego pocałunki. A on jej dotyka, przeciąga to, ile może, aż w końcu w nią wchodzi. Ciało Carmen reaguje żywiołowo; nie spała z mężczyzną od wyjazdu Jeana-Marie i narodzin Juana.

– Przyjemnie było, prawda?

– Bardzo przyjemnie.

Namiętność ustąpiła już miejsca wyrzutom sumienia. Carmen nigdy by nie przypuszczała, że odda się komuś za pieniądze i jeszcze będzie czerpać z tego rozkosz. Czuje się całkiem zagubiona, ale przynajmniej kupi synowi, co trzeba. I więcej czegoś podobnego nie robi.

* * *

– Podobam ci się?

Gretchen ma bardzo białą skórę, jest szczupła, proporcjonalnie zbudowana i jeśli nie liczyć głowy – bezwłosa. Jej piersi są małe, lecz kształtne; nogi – długie, brzuch płaski.

– Jasne. Wyjątkowo piękna z ciebie kobieta.

Jean-Marie chce się skupić na akcie: na pozie modelki, jej spojrzeniu, tle... Musi robić postępy, żeby nie wzbudzić podejrzeń generała, ale jednocześnie zdaje sobie sprawę, że Gretchen bynajmniej nie chodzi o obraz. I że on sam idzie na ten układ, by nie stracić uprzywilejowanej pozycji.

– Chyba nie oczekujesz, że się w ogóle nie będę ruszać.

– Proszę, spróbuj mi pomóc i przez chwilę zachować pozę.

– Musisz mi jeszcze raz pokazać jaką... Jak miałam trzymać tę nogę?

Gretchen nie zamierza udawać: całuje go, dotyka...

– Powiniennem malować.

– Później.

Jean-Marie woli nie myśleć, co by się stało, gdyby generał ich tak nakrył. Nic dobrego w każdym razie. Rozumie też jednak, że Gretchen może nakłonić męża, by się go pozbył – rozstrzelał go albo skazał na coś jeszcze gorszego... Nie da się jej więc odtrącić; trzeba postępować tak, by ryzyko się opłacało.

* * *

– Dziewczynka oddaliła się z jakimś mężczyzną. Mamy jego opis: był wysoki, po trzydziestce, ciemnowłosa, dobrze ubrany. I tyle. Jakaś kobieta widziała tylko, że wcale małej nie zmuszał, zdaje się, że poszła z nim z własnej woli.

– Nikt nie zauważył, by wsiadali do samochodu czy tramwaju?

– Nie.

Matka Alicii jest zrozpaczona, doña Ana dostała hysterii i trzeba było wezwać lekarza. To don Jaime rozmawia z policjantem; to on dba, by zajęto się tą sprawą tak, jak gdyby rzeczywiście chodziło o wnuczkę markizostwa Alerces, a nie o córkę ich służącej.

– Musicie ją znaleźć. Każdy, nawet najmniejszy trop hojnie wynagrodzę.

Manuel Lope, którego poinformowano o tym, co się stało, stawiał się w pałacyku markizostwa, jak najszybciej zdołał.

– Oczywiście, że są ludzie, którzy kradną dzieci, don Jaime. I nigdy nie robią tego w dobrych zamiarach.

Opowiada się o rozmaitych dewiantach, o burdelach oferujących klientom chłopców i dziewczynki, a nawet – co wydaje się mało wiarygodne – o przypadkach wykorzystywania uprowadzonych niemowląt do wytwarzania rozmaitych mikstur: odmładzających, przeciwgruźliczych... Hiszpanie pamiętają niejaką Enriquetę Martí, wampirzycę z Barcelony, którą trzy lata temu powiesiły jej własne koleżanki z celi. W jej domu przy ulicy Ponent, w dzielnicy Raval, znaleziono szczątki dwanaściora dzieci, choć uznano, że zamordowała ich

znacznie więcej; wyszło też na jaw, że przed laty była już zatrzymana za prostytuowanie nieletnich.

– Ale w Madrycie nigdy jeszcze nie mieliśmy takiego monstrum. Oby tak pozostało.

– Chcę do domu...

Alicia nie ma ochoty siedzieć dalej w tym wielkim i zimnym domu, z tym panem, który wcześniej się z nią bawił i obiecywał, że jeśli z nim pójdzie, kupi jej wszystkie zabawki, jakich ona sobie zażyczy. Teraz tylko na nią patrzy, siedząc naprzeciwko w fotelu.

– Oczywiście, ale dzisiaj już późno, lepiej będzie, jeśli zostaniesz tu na noc.

– Chcę do domu, do mamy...

Boi się go. A jeśli on zrobi jej krzywdę?

– Mam dla ciebie cukierki, chcesz cukierków?

– Nie, chcę do domu. Zrobisz mi krzywdę?

Mężczyzna nie odpowiada i Alicia zaczyna płakać.

– Blanca zrobiła wielką krzywdę mnie.

– Blanca jest dobra.

– Wszyscy tak myślą, ale to nieprawda.

Teraz to on płacze. Alicia wstaje i głaszcze go po głowie.

– Nie płacz. Czemu płaczesz?

Carlos planował, że ani Blanca, ani doña Ana już nigdy małej nie zobaczą. Waha się jednak. Nawet on nie potrafi skrzywdzić dziecka. Zwłaszcza tego dziecka, które go pociesza i z którym przez cały dzień się bawił. Miał z Pilar córkę, lecz nigdy nie wziął jej na ręce, nigdy nie spędzał z nią czasu, nie uczył jej piosenek, które zna jeszcze z dzieciństwa...

Manuel szaleje z niepokoju i chociaż rozumie, na co się naraża, postanawia zwrócić się do dawnych towarzyszy o pomoc w poszukiwaniu Alicii po całym Madrycie. Stara się też pocieszyć jej matkę Ramonę i oferuje swoje usługi don Jaimemu.

– Uprzedził pan córkę?

– Nie, jeszcze nie. Nie wiem, co robić.

– Blanca z Berlina nic nie poradzi, lepiej jej oszczędzić udręki, jeszcze zdąży się dowiedzieć. Zresztą może tymczasem Alicia się odnajdzie.

Pierwsza noc po jej zaginięciu jest dla wszystkich koszmarem; w pałacyku markizostwa Alerces nikt nawet nie próbuje spać. Don Jaime po raz pierwszy od wielu lat nie ma nawet ochoty na rozmowę ze swoimi kwiatami.

– Możemy dać ogłoszenie w „El Noticiero de Madrid”, na pierwszej stronie, i obiecać nagrodę. Jeśli ktoś coś widział, będziemy mieli punkt zaczepienia.

Policjanci poradzili mu jednak, by wstrzymać się z tym przez czterdzieści osiem godzin, na wypadek gdyby chodziło o porwanie dla okupu. Markiz woli zapłacić każdą sumę niż, przestraszywszy porywaczy, narazić małą na dodatkowe niebezpieczeństwo. Niemniej, jeśli przez najbliższe dwie doby nic się nie wydarzy, fotografia Alicii znajdzie się wszędzie.

– Będziesz pamiętała, co przekazać dziadkowi?

– Tak.

– Powtórz, bym miał pewność, że nie zapomniałaś.

– Następnym razem nie odnajdę się tak łatwo.

– Doskonale, mądra dziewczynka. Wiesz, co teraz robić: wysiądziesz z samochodu i pójdziesz chodnikiem w stronę policjanta, który stoi na rogu. Powiesz mu, że masz na imię Alicia, że cię szukają i że chcesz wrócić do domu.

Alicia się uśmiecha, znów ma wrażenie, że to wszystko zabawa. A ona umie się w nią bawić, bo jest bardzo mądra.

– I pamiętaj, obiecałaś, że nikomu nie powiesz, co ci mówiłem o Blance.

Puszczając ją wolno, Carlos zdaje sobie sprawę, że pewnego dnia mogą się gdzieś przez przypadek spotkać, a wtedy mała, nawet całkiem niechcący, go wyda. Może nie powinien był jej zabierać z parku; chciał zranić Blancę i ostatecznie ucierpiał sam. Nie dał rady przeprowadzić swojego planu, ale to niewiele zmienia; wymyśli nowy.

– Alicia się odnalazła.

Doña Ana wylewnie ściska Ramonę. Nie potrafi się opanować, gdy don Jaime przekazuje im radosną wiadomość; w głębi duszy była przekonana, że nigdy już swojej ulubienicy nie zobaczy.

– Wszystko z nią dobrze?

– Wygląda na to, że nic jej się nie stało. Nawet nie płakała, zaraz ją tu przywiozła.

Alicia nie umie powiedzieć, gdzie była; powtarza jedynie, że poszła na spacer z miłym panem, który kupił jej cukierki, bawił się z nią i nawet nauczył ją śpiewać piosenkę; że nie wie, gdzie zostawiła swoją kurteczkę, może w domu u tego pana, który poza tym dał jej na kolację tortillę i odstąpił na noc wielkie łóżko, a rano kazał zapamiętać wiadomość dla don Jaimego: że ona, Alicia, następnym razem nie odnajdzie się tak łatwo.

– Mają państwo jakichś wrogów? Kogoś, kto chciałby się za coś mścić?

– Nie wydaje mi się, ale wiadomo, że takich rzeczy często się nie zauważa. Nie mam pojęcia, o co chodzi. Niemniej zrobię wszystko, żeby następnego razu nie było.

* * *

– General Köhler mówi, że nigdy nie słyszał o Jeanie-Marie Huguecie i że twórcą tego obrazu jest Niemiec.

– Niezłą mam intuicję, doprawdy... To wrażenie było takie silne... Wstyd! I ty, i generał musicie sobie myśleć, że oszalałam.

Blanca śmieje się z własnych bezczelnych nadziei, że mogłaby odnaleźć człowieka – jednego spośród milionów rozrzuconych po całej Europie przez wojnę – dzięki jego malarstwu, i to nie będąc nawet znawczynią sztuki.

Wraz z Álvarem codziennie odbywają spotkania w sprawie pierwszej planowanej wymiany jeńców. Wkrótce zadanie powierzone im przez Alfonsa XIII zostanie wykonane i będą mogli wrócić do Hiszpanii, by tam zająć się przygotowywaniem dokumentacji, dzięki której tysiące żołnierzy wrócą do domów. Wcześniej jednak czeka ich wizyta w Austrii, gdzie mają odwiedzić ostatni obóz jeniecki, Mauthausen, położony jakieś dwadzieścia kilometrów od miasta Linz. Słyszeli, że to najgorszy spośród obozów utrzymywanych przez państwa centralne.

Tymczasem nadeszła bardzo zła wiadomość: Pierre Sartou zmarł w Döberitz na tyfus. Od razu z Berlina wysłali list do jego siostry Sylvie, do której napisze też osobiście don Alfonso.

– Wielka szkoda, że tak się to skończyło. Przecież dzięki tej małej Urząd do spraw Ochrony Jeńców w ogóle istnieje.

– Powstałby i tak, bo musiał powstać, Blanco. Sytuacja tego wymagała. Król chciał pomóc i okazja tak czy owak by się nadarzyła.

W jednej z berlińskich gazet przeczytali o uwolnieniu Niżyńskiego i Chevaliera; z artykułu wynika, że Niemcy oczekują stosownej odpowiedzi na ten gest. Udział Alfonsa XIII ledwie został wspomniany.

– Nie przejmuj się, Jego Królewska Mość zawsze powtarza, że liczą się efekty, a nie medale.

Odebrali też list od Manuela – bezosobowy, skupiony na sprawach biura. Niebawem znów się włączą w jego prace, w związku ze zbliżającą się wymianą jeńców wywracając wszystko do góry nogami.

* * *

– Coś takiego! W ogóle tego miasta nie poznaję! Kiedy tu studiowałem, Berlin był bardzo rozrywkowym miejscem.

Kabarety prawie nie działają, wiele piwiarni pozamykano, kawiarniane ogródki, w których Álvaro siadywał wieczorami nad szklaneczką jakiegoś trunku, też już nie istnieją... Chociaż linia frontu przebiega daleko stąd, w Berlinie bardziej czuć wojnę niż w Paryżu. Blanca i Álvaro mieszkają przy placu Poczdamskim, w hotelu Esplanade, niegdyś uważanym za jeden z najbardziej luksusowych w Europie, a dziś świecącym pustkami. Przylegający do niego wspaniały ogród o powierzchni ponad tysiąca pięciuset metrów kwadratowych to chyba jeden

z nielicznych w Berlinie zakątków, gdzie nie widać śladów wojny. Podobno to tutaj – w ogrodzie i w sali nazywanej Cesarską – kajzer Wilhelm urządzał przed wojną bankiety dla przyjaciół.

– Teraz pewnie nie jest w nastroju do zabaw. Lewicowa prasa domaga się jego abdykacji, a prawicowa nie bardzo go broni.

Berlin liczy nieco ponad dwa miliony mieszkańców i ma problemy z zaopatrzeniem; zwykłym ludziom żyje się tu teraz bardzo ciężko. Ekonomia została całkowicie podporządkowana wojennym potrzebom, przemysł przestawiono na produkcję samolotów, czołgów, bomb i wszelkiej broni oraz amunicji, żywność idzie głównie na potrzeby armii. Ludność cywilną zostawiono niejako samą sobie i coraz donośniej rozlegają się głosy protestu. Komuniści zyskują licznych zwolenników i wielu przypuszcza, że międzynarodowy konflikt skończy się nie tylko klęską Niemiec, ale również zmianą systemu: rewolucją.

W dodatku niemiecka flota przegrała bitwę jutlandzką, tracąc przewagę na morzu. Przedłużanie tej wojny coraz bardziej traci sens, jednakże pruscy generałowie najwyraźniej nie zamierzają odpuścić, wiodąc swój kraj ku katastrofie.

W dzielnicy Charlottenburg życie nocne jeszcze całkiem nie zamarło. Álvaro i Blanca siadają w zatłoczonej mimo wszystko piwiarni, każde przed wielkim kuflem.

– Strasznie to gorzkie.

– Nigdy wcześniej nie próbowałaś piwa?

– Nigdy.

– Nic się nie martw, zanim dopijesz swój kufel, przyzwyczaisz się do tego smaku i będziesz miała ochotę na więcej.

Najmilsze momenty tej podróży zdarzają się wtedy, kiedy Álvaro i Blanca zapominają o swoich obowiązkach i przez chwilę są po prostu mężczyzną i kobietą; kiedy wszystko im jedno, co stanie się z kajzerem albo z carem, bo liczy się tylko to, by miło spędzić czas przy wykwintnej kolacji z najlepszym szampanem w luksusowej paryskiej restauracji lub przy kielbaskach z piwem w berlińskiej piwiarni.

– Co zamierzasz robić po wojnie?

– Po wojnie...? Czasem mam wrażenie, że ona nigdy się nie skończy. Nie wiem, może posłucham ojca i zacznę pisać do gazet artykuły o prawach kobiet.

– Twój ojciec chce, żebyś pisała do gazet o prawach kobiet? To naprawdę oryginalna postać.

– Sam widzisz. A ty?

– Ja nie. Ja jestem mało oryginalny.

– Oj, nie wygłupiaj się... Pytam, co będziesz robił potem.

– Ożenię się.

– Z kim?

– Nie wiem, z kobietą, która mnie pokocha. Albo nawet i z tobą. Omówimy to po wojnie. Jeśli nie spotkamy do tego czasu nikogo innego, to się pobierzemy.

– O, to może jeszcze zdążę się za kimś rozejrzeć...

Żartują, choć żadne nie miałyby nic przeciwko temu, żeby się po wojnie pobrać. Zmieniają temat. Blanca rzeczywiście przyzwyczaja się do smaku piwa i w końcu zamawia drugi kufel. Alkohol trochę uderza jej do głowy i w drodze powrotnej wszystko ją śmieszy. Álvaro, jak zwykle dżentelmen w każdym calu, żegna się z nią pod drzwiami jej pokoju.

Rozbierając się do snu, Blanca wraca myślami do niedawnej rozmowy. Tak, chciałyby, żeby ta wojna już się skończyła; chciałyby wyjść za Álvaro Ginera.

Álvaro też jest niespokojny, wręcz ma wyrzuty sumienia: nie zdziwiłby się, gdyby w Madrycie uważano go za narzeczonego Adeli Espinosy, a mimo to próbuje uwodzić Blancę. Na domiar złego robi to z innych niż zwykle pobudek: bynajmniej nie dla zabawy.

* * *

– Dziś dzień świętego...?

– Antoniego.

Trzynasty czerwca to również ostatni dzień pobytu Gonzala w Hiszpanii. To, co miało trwać tydzień, przedłużyło się niemal do miesiąca. Mimo to, ku swojej rozpaczy, choć wielokrotnie próbował, nie zdołał porozmawiać z siostrą.

Wcześniej tu nie zaglądał, ale ostatni wieczór przed powrotem do Paryża chce spędzić w znajomym miejscu: w lokalu bez nazwy, przy ulicy Flor.

– Pozwoli się pan zaprosić na kieliszek szampana?

Mężczyzna, który go zagadnął, ma rude włosy i angielski akcent. Nie czekając na odpowiedź, siada przy stoliku zajmowanym przez Gonzala.

– Gonzalo Fuentes, prawda?

– Czy my się znamy?

– Ja w każdym razie wiem o panu wszystko. No, prawie. Ale proszę się nie martwić: uważam pana za sojusznika.

– A kim pan jest?

– Moje nazwisko nie ma tu znaczenia. Pracuję dla brytyjskiej Korony.

Odgrywany na scenie spektakl znów się zmienił i, jeśli to możliwe, jest jeszcze gorszy niż poprzednie. Grupka młodych mężczyzn w kobiecych strojach usiłuje tańczyć słynnego w Paryżu kankana. Publiczność klaszcze jednak z takim entuzjazmem, jakby znajdowała się co najmniej w Folies Bergère.

– W czym mogę panu pomóc?

– Jest pan znanym dziennikarzem, w bardzo krótkim czasie wyrobił pan sobie markę. Gdybym poprosił, żeby przeniesiono pana do Berlina, szefostwo pańskiej gazety zgodziłoby się natychmiast.

– Dobrze mi w Paryżu.

– Niemcy przegrają tę wojnę. A pan ma talent, który lepiej pan wykorzysta, opisując klęskę, nie zwycięstwo. Berlin to teraz najlepsze dla pana miejsce: będzie pan mógł obserwować z bliska upadek kajzera, może nawet, przy odrobieniu szczęścia, rewolucję.

– A pan co z tego będzie miał?

– Mnie chodzi o to, żeby pomógł pan nam to wszystko przyspieszyć.

– Czyli żebym został szpiegiem?

– Można to i tak nazwać... Ale nie chcemy, żeby się pan w jakikolwiek sposób narażał. Wystarczy, że przyjrzy się pan temu, co nam trudno zobaczyć, i podzieli się z nami swoją opinią.

Po kankanie przychodzi pora na występ maga, który zaprasza widzów do udziału w numerze z kartami, sprawia, że znikają monety, i wyciąga ze spodni ochotników damską bieliznę.

– Co proponujecie mi w zamian?

– Pieniądze?

– Nie, pieniądze mnie nie interesują. Zarabiam teraz więcej, niż potrzebuję.

– To może chciałby pan, żeby pańskie artykuły ukazywały się również w prasie brytyjskiej i amerykańskiej?

– Brzmi nieźle. Ale dlaczego wybraliście akurat mnie?

– Już mówiłem: uważamy pana za sojusznika. Nie musi pan odpowiadać od razu, umówmy się, że jutro będę na pana czekał na dworcu.

Gonzalo zostaje sam. Stracił resztkę zainteresowania tym, co dzieje się dookoła; myśli o otrzymanej właśnie propozycji. Berlin? Wspaniale byłoby poznać to miasto, o którym Frank tyle opowiadał. Jak on się ma? Czy się uratował?

– Wybroniłeś się. Jesteś wolny.

Nemiecki wywiad uznał w końcu, że Frank Heimer nie został podwójnym agentem, nie zdradził ojczyzny, nie pracuje dla Francuzów.

– Wrócę teraz do Paryża?

– To niemożliwe, zostaniesz w Niemczech, jako szpieg jesteś spalony. Oddasz się do dyspozycji generała Köhlera, który nadzoruje pracę jeńców podrabiających dokumenty. Jutro wyruszasz do Berlina.

– I co pan nam odpowie?

Pociąg do Paryża odjeżdża z Estación del Norte. Gonzalo spotyka Anglika na peronie.

– Zgadzam się.

– Bardzo się cieszymy. W Paryżu skontaktuje się z panem nasz agent. Przez jakieś dwa tygodnie będzie pana wprowadzał w szczegóły. Tymczasem proszę

prowadzić normalne życie, pisać.

– W porządku.

– Udanej podróży. I witamy po stronie zwycięzców.

* * *

– Kim pani jest?

– Nazywam się Elisa Fuentes i jestem narzeczoną Carlosa. A pani? Wygląda mi pani na prostytutkę. Czy on panią utrzymuje?

Beatriz Vargas nie ma pojęcia, o co chodzi tej dziewczynie, która ni stąd ni zowąd zapukała do drzwi mieszkania przy ulicy Magdaleny i podaje się za narzeczoną Carlosa. To zresztą bez znaczenia, Beatriz nie będzie przecież zazdrosna. Carlos de la Era może sobie być i żonaty, byle tylko dawał jej pieniądze.

– Proszę posłuchać, chyba powinna pani w takim razie porozmawiać z narzeczoną.

– Wynoś się stąd!

– Wyprowadzę się, jeśli Carlos sobie tego zażyczy.

Elisa od kilku dni z ukrycia obserwuje budynek przy ulicy Magdaleny. Widziała wchodzącego do środka Carlosa, który potem wychodził na miasto z tą wywłoką. To ona teraz go zabawia. Elisa nie zamierza jednak poddać się bez walki: kochali się, tyle razem przeszli, mogli mieć dziecko... Powinna pozwolić się maleństwu urodzić, popełniła błąd. Po kilku miesiącach spędzonych w niemal całkowitym zamknięciu zyskała zupełną jasność: nie zrezygnuje.

– Proszę, by opuściła pani mieszkanie mego narzeczonego. Tak będzie dla pani lepiej.

– Jeśli nie przestanie pani mnie nachodzić, wezwę policję.

Beatriz zatrzaskuje drzwi. Tamta osoba patrzy wzrokiem wariatki. Trzeba powiedzieć Carlosowi, żeby coś z nią zrobił.

– Oszalałaś?

Carlos de la Era łapie Elisę na ulicy; czekał na taką okazję, od kiedy Beatriz opowiedziała mu, co zaszło. Mało brakowało, by wybrał się z wizytą do generała Fuentes. Ta idiotka zwariowała, on sam nie potrafił zrealizować swoich zamiarów względem Alicii, Blanca wciąż rozbija się po Europie z tym swoim szefem, który – nie ma już co do tego wątpliwości – beczelnie ją uwiódł... Zemsta, o której on, Carlos, od tak dawna marzy, rozłazi się w szwach.

– Czy tamta kobieta już się wyprowadziła z naszego mieszkania? Wybaczam ci. Mamy przed sobą całe życie, zapomnimy o złych rzeczach, o tym też.

– „Wybaczasz” mi? Z „naszego” mieszkania? Elisa, pomieszało ci się w tej głupiej łepetynie! Jeśli jeszcze raz pokażesz się na Magdaleny, to pożałujesz.

Elisa uśmiecha się, jakby go nie słyszała; jakby zamiast jej grozić, wyznawał jej miłość.

– Wiem, że mnie kochasz, jesteś zagubiony, ale mnie kochasz. Będę się za ciebie modlić, będę błagać Boga, by rozjaśnił ci w głowie. Nie martw się, zaczekam, aż uświadomisz sobie, co naprawdę do mnie czujesz.

– Zwariowałaś, no, zupełnie zwariowałaś! Trzymaj się ode mnie z daleka!

Carlos odchodzi znacznie bardziej zaniepokojony niż przed tą rozmową. Elisa patrzy, jak wskakuje do samochodu i rusza. Sama idzie dalej, uśmiechnięta, szczęśliwa, bo spotkała się przecież z ukochanym.

* * *

– To nieludzkie.

Jeńcy z obozu Mauthausen traktowani są ze skrajnym okrucieństwem: setki rozstrzelano za próbę ucieczki, wszędzie widać napisy obwieszczające, że strażnicy mają prawo zabić więźnia za odmowę wykonania pracy, raz po raz zdarzają się samobójstwa, jedzenie jest podłe, opieki medycznej w ogóle brak, podobnie jak wystarczającej liczby łóżek i sienników, ludzie śpią bez okrycia, na ziemi, nie wspominając już o tym, że ci, którzy stracili rozum, kręcą się swobodnie po obozie, a wszyscy podlegają nieustannym i okrutnym karom fizycznym.

Po rozmowach z oficerami i lekarzami dokonującymi inspekcji Álvaro i Blanca sporządzili listę uchybień zaobserwowanych w obozach pod Grosswusterwitz, Hagenbeck, Getyngą, Münsterem czy Lechfeld. Jednakże w Mauthausen jest bez porównania najgorzej.

– To wrogowie Niemiec, lepsze traktowanie im się nie należy.

Komendant obozu to najwyraźniej zimny sadysta.

– Złożę na pana skargę, zadbam, by stanął pan przed sądem. Zapłaci pan za to, co pan tu wyczynia!

Blanca jest przerażona: w rozmowie z tym osobnikiem, którego nazwiska nie zapamiętała, Álvaro przekracza swoje kompetencje. Poza tym, obserwując ich, można odnieść wrażenie, że zaraz skoczą sobie do gardeł. Dwaj uzbrojeni po zęby niemieccy żołnierze tylko czekają na rozkazy zwierzchnika.

– Ma pan natychmiast opuścić obóz.

– Nie, dostałem zgodę na wizytację. Wyjadę, kiedy uznam, że ją przeprowadziłem.

– Jako komendant tego obozu nakazuję panu wyjechać już teraz.

– O, doprawdy? Niech pan każe swoim zbirom tknąć mnie choćby palcem, a będzie pan żałował do końca życia!

Blanca nigdy szefa takiego nie widziała, nie przypuszczała nawet, że ktoś tak dobrze wychowany i powściągliwy może się tak rozgniewać.

Álvaro uspokaja się dopiero w pociągu, którym jadą we dwoje do Wiednia.

– Ten świat jest, jaki jest, właśnie przez takich ludzi. Przecież podobne typy zasługują na natychmiastowy odstrzał! Przysięgam: gdybym mógł go położyć trupem, poczułbym się znacznie lepiej.

– Cóż, nie myśl o tym teraz. Robimy to, co robimy, żeby równoważyć zło i nie pozwalać, by tacy ludzie stawiali na swoim. Podniesiemy larum, złożymy tyle skarg, ile będzie trzeba, aż ten zwyrodnialec zostanie zdjęty ze stanowiska i ukarany.

W Wiedniu spędzą tylko jedną noc, już nazajutrz ruszają w drogę powrotną: do Szwajcarii, potem do Francji i stamtąd do Hiszpanii. Bez postojów. Podróż potrwa kilka dni, lecz w pewnym sensie pożegnać trzeba się już dzisiaj. A obojgu ciążyą wszystkie te rzeczy, których nie powiedzieli sobie przez ostatnie tygodnie.

* * *

– Nie rób głupstw, Manuelu.

Nigdy wcześniej tego nie doświadczył, ale pewne sprawy rozumie się już za pierwszym razem: ktoś przystawia mu do pleców pistolet.

– Kim jesteś?

– Nie odwracaj się. Nieważne, kim jestem, ważne, że masz teraz pójść z nami. Przyjaciół chce się z tobą widzieć.

Przynajmniej nie są z policji.

– I musicie mnie do niego doprowadzić pod broń? To chyba nie bardzo się przyjaźnimy.

– On uważa, podobnie jak my zresztą, że bardzo się zmieniłeś. I nie wiadomo, czy jesteś jeszcze naszym przyjacielem, czy już psem na usługach Burbonów.

Wchodzą w bramę przy ulicy Olmo; tutaj napastnicy zasłaniają Manuelowi oczy i wiodą go dalej przez jakieś podwórka. Kręcą tak, że po chwili osiągną swój cel: Manuel nie ma pojęcia, gdzie się znalazł.

– Widzę, że mój przyjaciel naprawdę mi nie ufa.

– Chwilowo nie ufa ci nikt z nas. Ale wciąż możesz nas przekonać, że jesteś po naszej stronie.

To pocieszające. Gdyby chcieli go zabić, nie zadawaliby sobie tyle trudu.

– Możesz zdjąć opaskę z oczu i usiąść, zaraz przyjdzie twój przyjaciel.

Niewielkie pomieszczenie, w którym go zostawili, nie ma okien. Stoją tu tylko stół i dwa krzesła. Manuel czeka jakieś dziesięć minut. Potem drzwi się otwierają i wchodzi Luis Segura.

– Wybacz ten teatr. Nie czuję się tu, w Madrycie, pewnie. Nie uściskasz mnie?

– Kazałeś mnie tu ściągnąć uzbrojonym zbirów i oczekujesz gorącego powitania?

Luis nie wygląda najlepiej: schudł, oczy ma podkrążone, chyba nie śpi za dużo i większość czasu spędza w czterech ścianach. Bardzo poważny siada naprzeciwko.

– Słyszałem, że nie chcesz z nami współpracować. Nie chciałem w to

wierzyć. Zaryzykowałem nawet przyjazd z Barcelony, żebyś mi to powiedział prosto w twarz.

– Luis, wiesz lepiej niż ktokolwiek inny, że nie popieram waszych metod.

– Towarzysze proszą cię o pomoc, a ty opowiadasz się po stronie wrogów? Czy stałeś się jednym z nich? Jakiś czas temu pytałem cię, czy załatwiłbyś króla. Odparłeś, że tak, że króla to owszem. Kłamałeś?

Chcą wyrzeć na niego nacisk i znaleźli odpowiednią osobę, lecz Manuel nie ma żadnych wątpliwości: odmówi, choćby nie wiadomo co mu mówili i nie wiadomo czym mu grozili.

– Jeśli go teraz zabijecie, sytuacja ulegnie pogorszeniu. Prawdopodobnie również dla nas. Wiele rzeczy zostanie zaprzeczonych. Zaczekajcie do końca wojny.

Luis wyjmując zza pazuchy pistolet i kładzie go na stole.

– Usiłujesz mnie zastraszyć?

– Nie, daję ci broń, z której zastrzelisz Alfonsa XIII.

– Nie wezmę jej.

Luis i Manuel znajdują się od dziecka, z czasów, zanim Manuel zerwał z ojcem i zanim obaj odkryli anarchizm, który jeszcze bardziej ich do siebie zbliżył. W gruncie rzeczy to Manuel wciągnął przyjaciela do organizacji. Ale wcześniej kapali się razem w strumieniu Abroñigal, staczali walki na kamienie z chłopakami z wrogiej dzielnicy Las Ventas del Espíritu Santo, podrywali pokojówki na potańcówkach w La Bombilli, chodzili na manifestacje. Są różni, ale to nigdy nie przeszkadzało im się porozumieć.

– Manuelu, ciężą na nas określone obowiązki i dobrze o tym wiesz.

– Nie mam obowiązku nikogo zabijać.

– Człowiek, którego starasz się chronić, posłał wielu na śmierć, a przedtem kazał im mordować innych. W Maroku. I znów tak robi. Ja nie zawahałbym się spełnić prośby towarzyszy, chętnie bym się z tobą zamienił, nawet gdybym miał zginąć na miejscu. Chyba w to nie wątpisz? Tyle że to ty masz teraz możliwość i obowiązek się wykazać.

– Nic z tego.

– To twoje ostatnie słowo?

– Tak.

Zapada milczenie. Manuel domyśla się, że teraz naprawdę przyszedł czas na groźby, których wypowiedzenie sporo Luisa kosztuje.

– Pamiętaj, że nazywasz się nie Manuel Lope, lecz Manuel Campos, i że swego czasu skwapliwie skorzystałeś z pomocy tych, z którymi teraz nie chcesz współpracować.

– Zamierzacie na mnie donieść?

– To nie zależy ode mnie. Nie wiem, jakie zapadną decyzje. Spróbuję się za

tobą wstawić, ale nie sądzę, żeby ktoś mnie słuchał, zwłaszcza teraz, gdy zostałeś naszym wrogiem.

Manuel wstaje.

– Czy to znaczy, że mnie stąd nie wypuscicie?

Luis podchodzi do drzwi i kilka razy w nie puka. Do środka zagląda mężczyzna, który szybko odwraca od Manuela twarz; to chyba ten sam, który go tu przyprowadził.

– Wyprowadź Manuela na ulicę, ale tak, żeby się nie zorientował, gdzie jesteśmy. Nie możemy mu ufać. Żegnaj, Manuelu.

Kilka minut później, pokonawszy z zasłoniętymi oczami kilka podwórek, Manuel jest już wolny. Luis, jego wieloletni przyjaciel, właśnie wypchnął go na drugą stronę barykady. Całkiem zresztą niesłusznie. Tak czy owak trzeba strzec się i policji, i dawnych kolegów.

* * *

– Już nie mogę. Napijemy się tu gdzieś kawy?

Ani Álvaro, ani Blanca nie znali wcześniej Wiednia. Wojna nie sprzyja turystyce, niemniej obeszlą Innerstadt i przespacerowali się po Ringu – wytyczonej w połowie dziewiętnastego wieku w miejscu dawnych murów obronnych alei, wzdłuż której stoi wiele ważnych i pięknych budynków: opera, wspaniały neorenesansowy gmach z salą koncertową na niemal trzy tysiące widzów, mogących regularnie oglądać najlepsze spektakle na świecie; usytuowany nieopodal neogotycki ratusz; Uniwersytet Wiedeński, jeden z najstarszych w Europie; majestatyczny neobarokowy Burgtheater, gdzie niektóre ze swych dzieł wystawiał sam Mozart; Muzeum Historii Naturalnej i inne takie placówki, sale koncertowe, pałace i piękny kościół wotywny zbudowany na polecenie arcyksięcia Maksymiliana Habsburga.

– Przejdźmy jeszcze kawaleczek, podobno będąc tutaj, nie wypada nie zajrzeć do Café Demel.

Wiedeń to miasto kawiarni – jest ich tu jakiś tysiąc, a każda serwuje najlepsze na świecie torty. Klienci przesiadują tam całymi godzinami, czytając gazety, rozprawiając ze znajomymi, grając w szachy i słuchając wiedeńskich walców.

– Tort Sachera... Próbowałem go kiedyś w Berlinie, ale dopiero teraz skosztuję oryginalnego.

Niemniej nawet przepyszny tort Sachera podawany w cukierni Demel, która spiera się o prawo do nazwy tego rarytasu z położonym na tyłach opery hotelem Sacher, nie jest w stanie pocieszyć Álvaro i Blanki po okropnej wizycie w Mauthausen.

– Ale nie mówmy o tym więcej. To nasz ostatni wieczór. Cieszysz się, że wracasz do domu?

– Cieszę się, że odpocznę, zobaczę rodziców i Alicię, wrócę do biura.

– A ja z chęcią już zawsze bym tak podróżował, zajadając się tortami w Wiedniu, pijąc szampana w Paryżu, podlewając berlińskie kielbaski piwem...

Álvaro nie kończy zdania, choć mógłby dodać, że z chęcią już zawsze słuchałby, jak Blanca się śmieje. Bo zaśmiewa się teraz do rozpuku.

– Czyli najchętniej byś się bez przerwy obzerał.

– Tak, ale razem z tobą. Tylko z tobą.

Álvaro ośmiela się przesunąć dłoń po blacie stołu i sięgnąć po rękę Blanki; ona jej nie cofa, ich palce się splatają. Przed minutą, ba, przed trzydziestoma sekundami coś takiego wydawałoby się niemożliwe.

– W takim razie i ja nie miałabym nic przeciwko.

Z trudem nad sobą panują, by nie zrobić z siebie przedstawienia od razu w cukierni ani potem na ulicy, w drodze do luksusowego Grand Hotelu, gdzie się zatrzymali, ani też w recepcji. Zaczynają się całować dopiero w pokoju Blanki.

– Nie wiem, czy powinniśmy... Może wrócę do siebie...?

– Wszystko mi jedno, co powinniśmy, a czego nie. Nie idź.

Wspomnienie podobnej sceny z udziałem Carlosa zdaje się Blance wręcz groteskowe. Zresztą wtedy myślała głównie o tym, by przerwać w porę, a teraz ma wrażenie, że umrze, jeśli Álvaro przestanie. Popycha go więc lekko w stronę łóżka i zaczyna rozpinać mu koszulę; on pozwala jej przejąć inicjatywę. Przez chwilę Blanca widzi przed sobą twarz Manuela, lecz szybko odgania to wyobrażenie; nie pora na takie rzeczy.

Nic nie mówią, tylko się całują, dotykają i rozbierają. Już naga – Blanca wstaje i włącza światło.

– Chcę cię widzieć. I żebyś ty widział mnie. Nie chcę tak po ciemku.

W ogóle nie odczuwa spodziewanego wstydu. Czuje przemożne pragnienie. Álvaro kładzie się na niej, w jej ciele odzywa się krótki słaby ból, który zresztą zaraz znika, zastąpiony przez przyjemność. Álvaro z zamkniętymi oczami szeptem powtarza: „Kocham cię”. Blanca nie odpowiada, choć wie przecież, że też go kocha.

Potem, wciąż do niego lgnąc całym ciałem, obraca się i siada na wierzchu. Rusza się teraz powoli, ostrożnie, przeciągając to cudowne doświadczenie. Sama nie wierzy, że tyle z tym zwlekała, pozbawiając się podobnych doznań. Schyla się nad Álvarem, całuje go, on zaś przyspiesza. Ona nie wie jeszcze, jak to się właściwie skończy, ale szybko się dowiaduje: przyjemność się wzmacnia, Álvaro jęczy, jego ciało napina się jeszcze bardziej, a później rozluźnia. Nie rozłączając się, trwają przez dłuższą chwilę bez ruchu. Dopiero wtedy Blanca mówi:

– Ja też cię kocham.

Popularny zwłaszcza we wschodniej Hiszpanii napój chłodzący robiony z bulw migdałów ziemnych, wody i cukru. [wróć]

10.

Jakaż to radość mieć cię znowu w domu!

Ledwie kilka godzin po przyjeździe do Madrytu Álvaro spotyka się z Alfonsem XIII, by zdać mu szczegółową relację z ponaddwumiesięcznej podróży po Europie. Jest niedziela i panowie zasiadają we dwóch do śniadania w prywatnych apartamentach monarchy.

– No to opowiadaj!

– O rzeczach najważniejszych na bieżąco donosiłem w listach, Wasza Królewska Mość...

Tak, król otrzymywał pocztą dyplomatyczną raporty ze spotkań, negocjacji i inspekcji w obozach jenieckich.

– ...niemniej najgorszy z istniejących obozów odwiedziliśmy dopiero przed kilkoma dniami i nie zdążyłem go Waszej Królewskiej Mości opisać. Chodzi o Mauthausen, koszarne miejsce, prawdziwe piekło na ziemi.

– To w Niemczech?

– Nie, w Austrii, niedaleko Linzu. Nigdy wcześniej nie spotkałem się z podobnym barbarzyństwem. Tamtejsze warunki da się chyba porównać tylko z tymi, w jakich przetrzymywani są Niemcy w Rosji. Bo słyszałem, że zwłaszcza na Syberii sytuacja wygląda naprawdę tragicznie. Ale i w Mauthausen można odnieść wrażenie, że co poniektórzy wyżywają się na jeńcach za całe zło wojny.

– Wystosujemy w tej sprawie oficjalną petycję.

– Jak najbardziej, Wasza Królewska Mość, tyle że to nic nie da. Europa właściwie leży w gruzach, prasowe doniesienia w ogóle nie pozwalają wyobrazić sobie skali zniszczeń. Świat zwariował.

Álvaro przygotował szczegółowy pisemny raport z tego, co widział i czego doświadczył, by umożliwić królowi stworzenie sobie choć przybliżonej wizji.

– Jeszcze dziś się z nim zapoznam, jutro o tym porozmawiamy. A teraz mów: jak się bawiłeś? Chcę wiedzieć, o czym nie pisałeś w oficjalnych listach.

– Paryż i Berlin bardzo się, oczywiście, podczas wojny zmieniły. Niemniej wciąż można się tam rozerwać, jeśli ktoś wie gdzie.

– A ty wiesz.

– Tak czy owak głównie pracowałem. Raz czy dwa poszliśmy na jakąś kolację albo na przedstawienie, niewiele więcej się działo. A tu co słyhać?

– Wszystko po staremu. Sam wiesz, że Madryt to nudna prowincja. Jedyna nowość jest taka, że pewna młoda dama z dobrej rodziny, niejaka Adela Espinosa, z niecierpliwością wygląda powrotu pewnego kawalera nazwiskiem Giner, żeby sformalizować ich związek, który, jak donoszą złe języki, został już nieformalnie przypieczętowany pocałunkiem.

Álvaro napisał do Adeli kilka listów z podróży, znacznie bardziej zresztą

stonowanych niż ten pierwszy, wysłany na początku z Paryża. Kiedy wyjeżdżał, był przekonany, że powinien się z nią związać, jego uczucia bardzo się jednak tymczasem zmieniły i teraz musi się zastanowić, jak się z tego wszystkiego dyskretnie wycofać. Nie czuje się na siłach tłumaczyć się Blance.

Od tamtej nocy w Wiedniu nie mieli już okazji pobyć tylko we dwoje. Ciągłe zmieniali pociągi, przesiadywali w dworcowych poczekalniach – a wszystko to w towarzystwie żony hiszpańskiego ambasadora w Wiedniu, od której nie zdołali się ani na chwilę uwolnić. Choć o niczym innym nie marzyli, nie mogli się nawet przelotnie dotknąć. Wczoraj wieczorem zaś na stacji czekała już na Blancę rodzina, zjawił się również Manuel Lope. Pożegnali się więc urzędowo. No a teraz pora podjąć jakieś decyzje.

– Sformalizować związek z Adelą...? Nie wiem, czy chcę się z tym aż tak spieszyć.

– Daj spokój, Alvarito, chyba się teraz nie wycofasz! Nawet o tym nie myśl. Bo inaczej będę zmuszony wygnać cię z kraju.

Don Alfonso, rzecz jasna, żartuje – nigdy by się w ten sposób nie mieszał w prywatne sprawy przyjaciela – niemniej jego reakcja dowodzi, że wszyscy, łącznie z główną zainteresowaną, uważają te zaręczyny za przesądzone. Zerwanie tej relacji na obecnym etapie okazałoby się zatem niehonorowe i bardzo dla Adeli bolesne.

Rodzina Álvaro – jego rodzice, bracia i siostry, szwagrowie, szwagierki, bratankowie i siostrzeńcy – zbiera się każdej niedzieli około południa w pałacyku nestorów rodu, położonym niedaleko Akademii Królewskiej, jak również nieopodal siedziby markizostwa Alerces, chociaż przed spotkaniem w Urzędzie do spraw Ochrony Jeńców Blanca i Álvaro znali się jedynie ze słyszenia. Pałacyk rodziców Álvaro w niczym nie ustępuje okolicznym rezydencjom: to duży, piękny neoklasycyzycki budynek ze wspaniałą fasadą i luksusowym wystrojem. Álvaro jest najmłodszy z rodzeństwa i choć ma mieszkanie przy Fuencarral, gdzie w przeszłości lokował swoje kochanki, a także drugie, na własny użytek, przy ulicy Alcalá, naprzeciw Retiro, jako jedyny jeszcze pomieszkuje u rodziców.

Na niedzielnych spotkaniach rzadko zjawiają się wszyscy członkowie rodziny, trudno bowiem zmobilizować naraz tyle osób, jednakże powrót beniaminka z długiej wyprawy sprawił, że wyjątkowo każdy się stawił. Nawet najstarszy z braci, ksiądz Ernesto, którego brakuje najczęściej, wyrwał się jakoś z Pałacu Biskupiego.

Wojna nie pozwoliła Álvarovi przywieźć krewnym zbyt wielu upominków. Poprzestał na podarkach dla najmłodszych: zabawkach wystruganych z drewna przez pewnego trzymanego w Döberitz rosyjskiego jeńca, który dostał za nie od hiszpańskiego wizytatora znacznie więcej tytoniu, niż mógłby się spodziewać.

– Przykro mi, że tak skromnie.

Niedostatek prezentów Álvaro rekompensuje rozlicznymi anegdotami, opowiadając, między innymi, o króciutkiej rozmowie z prezydentem Francji i o wizytacji w Helmstedt, gdzie wysocy rangą więźniowie mają do dyspozycji ordynansów, kucharzy, fryzjerów i ogrodników; ku uciechu siostrzeńców zmyśla nawet, że pociąg, którym jechał, został raz ostrzelany z powietrza.

– Jestem pewien, że za sterami siedział sam Czerwony Baron... Słyszeliście o nim? To najlepszy pilot, prawdziwy as. Sam zestrzelił więcej samolotów nieprzyjaciela niż wszyscy jego towarzysze razem wzięci. Więc wyobrażacie sobie pewnie, jak się bałem...

Rodzina się cieszy, najwyraźniej naprawdę martwili się o jego bezpieczeństwo w czasie tej podróży przez ogarniętą wojną kontynent. Po deserze matka każe lokajowi przynieść niespodziankę: kilka butelek szampana Louis Roederer Cristal.

– To trunko wytwarzany wyłącznie na potrzeby rosyjskiego cara, rozumiecie zatem, ile mnie kosztowało jego zdobycie. I mówię tu nie o pieniądzach. Gdyby nie wojna, nigdy by mi się nie udało.

Lokaj rozlewa drogocenny płyn do kieliszków stojących przed dorosłymi członkami rodziny. Jeden z siostrzeńców Álvaro, już prawie pełnoletni, skarży się i w końcu dostaje od dziadka pozwolenie na udział w czekającym ich toaście.

– Kiedyś trzeba zacząć, toteż jeśli twoja matka się zgodzi...

Wszyscy są zaciekawieni, bo takie ceremonie w domu Ginerów nie zdarzają się często; głowa rodu z pewnością ma coś do obwieszczenia i to coś, z czego najwyraźniej bardzo się cieszy.

– Álvaro, zawsze taki dyskretny, nic nie mówi o najważniejszym: wypijmy za jego przyszłe małżeństwo z panną Adelą Espinosą, którą poznałem i, muszę przyznać, znajduję prześliczną. Zdrowie młodej pary!

Wszyscy z uśmiechem przyłączają się do toastu. Álvaro ledwie macza usta w szampanie; tak gorzkiego nigdy w życiu nie pił.

– Zdrowie!

* * *

– Powinniście byli mnie zawiadomić, wysłać mi telegram. Przecież od razu bym wróciła!

Wiść o zaginięciu Alicii przeraziła Blancę bardziej niż wszystkie okropieństwa wojny. W dodatku policja nic nie wie o mężczyźnie, który małą wprowadził; nikt poza nią go nie widział.

– Alicia mówi, że był dla niej miły, bawił się z nią i dawał jej cukierki. Tyle że wróciła bez kurteczki, nie sądzę jednak, żeby ktoś porwał dziecko dla sztuki odzieży. Policja pytała mnie o ewentualnych wrogów, ale powiedziałem im, że chyba nikt mi aż tak źle nie życzy, a przynajmniej ja nic o tym nie wiem.

Manuel, który też wyszedł przywitać Blancę na dworcu, teraz je

u markizostwa obiad.

– Zanim poszukiwania na dobre się rozpoczęły, Alicia wróciła do domu. Właściwie nic nie wiadomo... Może ktoś się po prostu pomylił i uprowadził nie to dziecko, które zamierzał. Już się chyba tego nie dowiemy.

– Twoja matka okropnie się wtedy w parku przestraszyła.

Blanca z niepokojem myśli o tym, że ona, owszem, ma wroga: Carlosa. Ale nie, nawet on nie zdobyłby się na coś takiego. Zresztą po co? Żeby potem puścić małą wolno? Poza tym Carlos, jeśli już, zaczekałby, aż ona, Blanca, wróci do Madrytu; nie uderzałby pod jej nieobecność z obawy, że osoba, którą chce zranić, nawet się o niczym nie dowie. Nie, nie ma sensu wymieniać jego imienia, ale tak czy owak trzeba mieć oczy szeroko otwarte.

U markizostwa Alerces, podobnie jak u Álvara, wszyscy są ciekawi szczegółów podróży, Blanca musi więc im opowiadać o swoich spacerach po Paryżu i Berlinie; o miejscach, które widziała po raz pierwszy od dzieciństwa, kiedy to oglądała je wraz z rodzicami; o ich nielicznych znajomych, z jakimi udało jej się skontaktować; o skutkach wojny...

– W Paryżu jest pełno żołnierzy ze wszystkich stron świata. Niemcy twierdzą, że szykują się już na defiladę po Polach Elizejskich, ale na razie przechadzają się tam raczej Anglicy, Australijczycy, Nowozelandczycy, Brazylijczycy, Portugalczycy.

– A Amerykanie? Wiadomo już, czy w końcu przystąpią do wojny?

– Według wielu obserwatorów zrobią to niebawem.

– Ależ to wszystko nudne, moje dziecko! Nie bywałaś na żadnych ciekawych przyjęciach?

– Na przyjęciach, mamó? Francja jest w stanie wojny... Niby codzienne życie w Paryżu toczy się zwykłym rytmem, niemniej mało kto ma głowę do przyjęć.

Mogłaby opowiedzieć o swojej wizycie w Moulin Rouge: ojciec by się uśmieł, a matka – zgorszyła. Choć może nie bardziej niż Manuel; anarchiści bywają w gruncie rzeczy strasznymi moralistami, nie uznają takich mieszczańskich brewerii. No i jest jeszcze ta druga sprawa... Ona, Blanca, ma za sobą pierwszą miłosną noc i mimo że wydaje się taka sama, jak była, czuje się zupełnie inną osobą.

W pewnym momencie zostaje sam na sam z Manuelem; rozmawiają o pracy w biurze, o negocjacjach i zawartych porozumieniach, o Paryżu, Berlinie i Wiedniu, o Mauthausen i awanturze, jaką Álvaro zrobił tamtejszemu komendantowi.

– Po prostu wyszedł z siebie! Przez moment myślałam, że się stamtąd nie wydostaniemy, bo wsadzą nas do karceru.

Blanca mówi to bez uśmiechu: lepiej, żeby Manuel nie zauważył, jaką dumą

i radością napęłnia ją już sama wzmianka o ich dyrektorze.

Manuel odwzajemnia się jej relacją z działalności madryckiego biura, ze spotkań z królem i sukcesów w postaci uwolnienia rosyjskiego tancerza i francuskiego piosenkarza.

Oboje ukrywają to, co najważniejsze: Blanca, rzecz jasna, nie zwierza się Manuelowi ze swej miłosnej nocy z Álvarem, Manuel zaś nawet nie napomyka o groźbach, którymi dawni towarzysze zareagowali na jego odmowę wyeliminowania Alfonsa XIII. O takich rzeczach mogliby kiedyś porozmawiać ze swoimi najlepszymi przyjaciółmi, Elisą i Luisem, tyle że utracili już tę możliwość. Teraz mają wyłącznie siebie nawzajem.

Nazajutrz rano Blanca uda się do pracy w Pałacu i spotka Álvara. Niewykluczone, że uda im się zamienić parę czułych słów albo gestów; jeśli nie – przynajmniej się zobaczą. Przez ostatnie dobre dwa miesiące widywali się codziennie, o najrozmaitszych porach, i dwunastogodzinna rozłąka wydaje się nie do zniesienia.

* * *

– Zostawiam ci pieniądze na stoliku. Wiem, że ich nie chcesz, ale na pewno ci się przydadzą.

Carmen spotkała się już z Diegiem kilka razy. Dwa dni po pierwszej schadzce zjawiła się u niego w sklepie, niby to po cieciorkę. Nie zamienili ani słowa, bo w pobliżu była jego żona. Dopiero później on, mocno zaniepokojony, zadbał o okazję do rozmowy.

– Nie bój się, nic twojej żonie nie powiem.

– To czego chcesz?

– Żebyśmy się znowu zobaczyli. Bez pośrednictwa Rosy, bez płacenia.

– Czemu?

– Dobrze mi z tobą było, nie sądziłam, że jeszcze kiedyś tego zaznam.

Widują się więc raz w tygodniu, w poniedziałki po południu – bo wtedy Diego ma wymówkę w postaci wizyty u księgowego – w mieszkaniu przy ulicy Segowia. To był jedyny warunek Carmen: że nie wrócą już tam, gdzie spotkali się po raz pierwszy, i nie będą rozmawiali z tamtą staruchą ani oglądali krucyfiks na ścianie. Chodzi o to, by zapomnieć o roli, jaką w ich relacji odegrała Duża Rosa.

– Powtarzam: nie życzę sobie, żebyś mi płacił.

– Ja ci wcale nie płacę. Chcę tylko, żebyś mogła kupić synowi lekarstwa czy co tam mu jest potrzebne. Chcę zwyczajnie pomóc.

Sklep Diega jest duży, dobrze zaopatrzony i świetnie położony – przyciąga nawet elegancką klientelę. Trzech chłopców na posyłki roznosi towar po domach, kilku subiektów obsługuje kupujących na miejscu. Handel się kręci i Diego może sobie pozwolić, by wspomagać Carmen kilkoma duro tygodniowo.

– Spotkamy się w następnym poniedziałek?

– Zawsze mnie o to pytasz... Jasne, że się spotkamy. A jeśli małemu naprawdę czegoś trzeba, to mi powiedz, nie krępuj się, wiesz, że bardzo lubię dzieci, choć sam ich, niestety, nie mam.

Po schadzkach z Diegiem Carmen wraca do Las Injurias. Wsiada do tramwaju na Puerta del Sol i po drodze wbrew sobie rozmyśla o mężu. Czy on jeszcze żyje? Co by mu powiedziała, gdyby po zakończeniu wojny wrócił? Wyznałaby mu, że miała innego mężczyznę? Że podczas gdy on, Jean-Marie, cierpiał w okopach, w szpitalu czy w niewoli, ona sypiała z właścicielem sklepu kolonialnego, z którym było jej lepiej niż kiedykolwiek wcześniej?

Na propozycję Dużej Rosy przystała wyłącznie dla dobra Juana. Od dawna marzyła, by wydostać się wraz z nim z tej niezdrowej okolicy. Teraz ma już trochę ukrytych pod podłogą chaty oszczędności – dość, by przez jakieś dwa miesiące opłacać porządny pensjonat i w tym czasie szukać pracy albo żeby wrócić do Sewilli, pogodzić się z wolą brata Antonia, jakakolwiek by ona była, i najprawdopodobniej grać przez resztę życia rolę wdowy, którą zresztą pewnie i jest. Dlaczego więc dalej mieszka w Las Injurias? Ze strachu przed resztą Madrytu? Dlatego, że przywykła do swobody i nie zniosłaby więcej zależności od mężczyzny? Nie zna odpowiedzi. Przez cały czas – czy to piorąc w rzece, czy wracając tramwajem do domu – zadreżcza się myślami o tym, że oto stała się złą matką i jeszcze gorszą żoną.

– Zaraz zjawi się twój mąż.

Gretchen coraz mniej uważa, coraz bardziej przeciąga ich zabawy. Ostatnio, gdy jak zwykle uprawiali seks w studiu urządzonym przez generała Köhlera po to, by Jean-Marie mógł spokojnie malować jego żonę, brakowało jedynie kilku chwil, a zostaliby przyłapani. Generał wkroczył do studia akurat w momencie, gdy malarz kończył się ubierać, a modelka dopiero przyjmowała pozę, w jakiej powinna trwać. Jean-Marie przetrwał dziesiątki bombardowań, kolejne ostrzały okopów, starcia wręcz, pojmanie do niewoli, wyczerpujący marsz przez połowę Niemiec, nieudaną próbę ucieczki i pobyt w karczerze, więc wołałby nie zginąć teraz z ręki zazdrosnego męża. Zazdrosnego w dodatku o kobietę, która po kilku razach przestała się Jeanowi-Marie w ogóle podobać. Owszem, jest piękna, ale nie sypiałby z nią, gdyby nie potrzeba regularnego wyrywania się z zamknięcia, w którym Niemcy trzymają swoich jeńców, jak również lęk, że za odmowę świadczenia generałowej cielesnych usług słono zapłaci. Jednakże, żeby się podniecić, musi myśleć o Carmen, którą zresztą coraz bardziej zapomina. Z każdym dniem trudniej mu przywołać w pamięci jej twarz.

Dwaj żołnierze przywożą go do domu Köhlerów i czekają na zewnątrz. W środku nikt go nie pilnuje. Mógłby spróbować uciec tylnymi drzwiami, tylko...

dokąd? Potrzebowałyby pieniędzy i kryjówki, nie wspominając już o pomocy, by wydostać się z Niemiec. Gdyby miał pewność, że prawdą jest to, co się mówi – że planują ich przed końcem wojny wymordować – postawiłby wszystko na jedną kartę. Ale to nie może być prawda, nikt nie jest aż tak okrutny.

* * *

– Słyszałem, że wróciłaś do Madrytu i występujesz znowu w Apolo. Nawet miałem ochotę wybrać się kiedyś na twoje przedstawienie.

Álvaro Giner i Beatriz Vargas spotkali się przez przypadek na ulicy. On postanowił zrezygnować dziś z usług szofera i pójść do Pałacu pieszo, by w spokoju zastanowić się nad tym, co go czeka: nad powrotem do pracy i nad swoimi relacjami z Blancą. Beatriz z kolei wstała dużo wcześniej niż zwykle, by już z rana zdeponować w banku pieniądze, które po długim naleganiu udało jej się wyciągnąć od Carlosa. Regularne wpłaty i starannie gromadzone kosztowności, które otrzymuje od kochanków, stanowią owoc jej pracy i zabezpieczenie na przyszłość, na czasy, gdy jej uroda przeminie.

– Występowałam tylko przez miesiąc. Pytałam o ciebie, ale podobno byłeś poza Hiszpanią, we Francji i w Niemczech. Bałam się, że coś ci się stanie...

– Masz czas, żeby napić się ze mną kawy?

Siadają w Café de Levante przy ulicy Arenal. Álvaro jest pod wrażeniem: Beatriz wciąż wygląda wspaniale, może nawet lepiej niż poprzednio.

– Muszę cię poprosić o wybaczenie. Nie wiem, co mnie wtedy opętało, że poszłam do łóżka z tamtym facetem.

– Nie kłam, Beatriz, przecież cię znam.

– Naprawdę, to był pierwszy raz. Strasznie się wstydzę.

Kłamię. Álvaro zasięgnął języka: stróż za stosowną opłatą przyznał, że kochanek Beatriz właściwie u niej mieszkał. On, Álvaro, utrzymywał ją, a ona – tamtego. Jak się zastanowić, to niemal sprawiedliwe.

– Gdzie mieszkasz teraz?

– Poznałam pewnego mężczyznę, ale to nie tak jak z tobą. Z tobą było mi dobrze... Od naszego rozstania już nigdy nie czułam się szczęśliwa.

– Przykro mi, Beatriz, niemniej to ty mnie zdradziłaś.

Aż dziw, że dziewczyna nie odniosła sukcesu jako aktorka: potrafi nawet udać, że walczy ze łzami.

– A ty jak się masz?

– Dobrze.

– Czy w naszym mieszkaniu mieszka teraz jakaś inna kobieta?

– W naszym mieszkaniu? O ile wiem, ono nadal należy do mnie... Ale nie, nikt w nim nie mieszka, stoi puste. W ostatnim czasie miałem dużo pracy i mało czasu na rozrywki.

Jakby mało mu było kłopotów z Adelą i Blancą, siedzi sobie oto w kawiarni

z Beatriz, która patrzy na niego, uśmiecha się i mówi tak jak dawniej. Nie kryje, kim jest, ale to bynajmniej nie umniejsza jej uroku.

– A można wiedzieć, kto cię teraz utrzymuje?

– Carlos de la Era. Znasz go?

To nie może być przypadek.

– Oczywiście, że go znam. Kto ci go przedstawił?

– Nikt. Carlos zobaczył mnie na scenie, przysłał mi kwiaty... Ale gdybyś chciał, zaraz bym do ciebie wróciła. On nie traktuje mnie tak dobrze jak ty. Zresztą, ciebie kochałam, a z nim jestem, bo muszę.

– Uważaj na niego, ten facet nie cieszy się dobrą sławą.

– Przerażasz mnie... Tyle że nie mam dokąd pójść, Álvaro. Nie układa mi się, odkąd się rozstaliśmy.

– Możesz zamieszkać u mnie, przy Fuencarral.

– Z tobą?

– Nie, sama, na kilka tygodni, do czasu aż znajdziesz sobie pracę w teatrze. Nie chcę, żebyś musiała zadawać się z takim człowiekiem. Nie będę cię odwiedzał, chcę tylko pomóc.

– Dokąd się wybierasz?

Gdy Carlos się zjawia, Beatriz jest już spakowana.

– Wyprowadzam się. Przemyślałam to i nie czuję się tutaj dobrze.

Nie wiedziała, że dziś się do niej wybiera; gdyby wiedziała, pospieszyłaby się i znikła po cichu. Do tej pory się go nie bała; nie podobał jej się, ale się go nie bała. Zaczęła po rozmowie z Álvarem. Drży więc teraz, a Carlos się nie odzywa; krąży tylko po pokoju, raz po raz zerkając na jej walizki. W końcu mówi:

– Nigdzie nie pójdziesz.

– Nie możesz mnie zmusić, żebym została.

Uderzenie w twarz posyła ją na podłogę. Beatriz czuje, jak krew napływa jej do ust.

– Powiedziałem, że nigdzie nie pójdziesz.

Beatriz wciąż siedzi na ziemi. Kuli się w obawie przed kolejnymi ciosami, ramionami osłania głowę. Jednakże Carlos de la Era nie bije jej więcej; nie musi.

– Rozpakuj się i rozbierz.

Słucha bez szemrania. Potem robi wszystko to, czego on żąda; wszystko to, co, jak wie, on lubi. Zawsze jest tak samo: najpierw każe się ssać, potem – odwrócić się do ściany i pozwolić się brutalnie ujeżdżać.

– A więc dokąd się wybierałaś?

– To było nieporozumienie.

– Tak lepiej. I nie próbuj uciekać pod moją nieobecność, bo i tak cię znajdę. A wtedy pożałujesz. Zrozumiano?

* * *

– Raúl Coronado? Jasne, że go znam! Chociaż od dawna się tu nie pokazuje... Wrócił do Hiszpanii?

Przeglądając papiery swego poprzednika, Gonzalo natknął się na kilka opowiadań, których akcja rozgrywa się w barze L'Axarquie przy ulicy Audran. To niewielki tani lokal odwiedzany przez okoliczne prostytutki, które chcą odpocząć między jednym klientem a drugim. Właściciel pochodzi z Malagi, ale w Paryżu mieszka od tak dawna, że mówi po hiszpańsku raczej z francuskim niż andaluzyjskim akcentem.

– Zawsze siadał przy tym stole, ze swoimi papierami i piórem. Całymi nocami tylko pisał i pił koniak. Czasem spotykał się z jedną kobietą, Kubanką, która pracuje w burdelu nieopodal. Chyba tylko ona coś by o nim wiedziała... Na pewno ją pan znajdzie. Jest czarna, wyższa od pana o głowę, a na imię ma Perla.

Gonzalo spotyka Perlę już w czasie drugiej czy trzeciej przechadzki po dzielnicy. Paco z L'Axarquie miał rację: on, Gonzalo, jest słusznej postury, ale ta kobieta musi mierzyć prawie dwa metry.

– Porozmawiać? Ze mną? O czym?

– O Raúlu Coronado.

– Raúl wrócił do Hiszpanii. Nic więcej nie mam o nim do powiedzenia.

Kilka banknotów przelamuje wszakże jej opór: ostatecznie przekroczyła już czterdziestkę i najlepsze lata w swoim zawodzie ma za sobą.

– Chodźmy do L'Axarquie, tam się z nim widywałam.

Paco nalewa im po kieliszku taniego koniaku, zostawia butelkę na stole i dyskretnie się oddala.

– Od dawna znała pani Raúla?

– W pewnym sensie od zawsze. Jesteśmy przyrodnym rodzeństwem. Po matce, bo ojcem Raúla był hiszpański urzędnik na Kubie, a moim zwykły doker. Nie bardzo widać po nas pokrewieństwo, prawda?

– Nie bardzo.

– On najpierw się mnie wstydził... Że jestem taka czarna... A potem chciał, żebym mu wybaczyła, ale powiedziałam, że mowy nie ma, że teraz ja wstydzę się jego.

– Co się z nim tu, w Paryżu, stało?

– A co chcesz wiedzieć?

– Wszystko... Widziałem zdjęcia. Wynika z nich, że Raúl w ciągu kilku lat z eleganckiego młodzieńca stał się starym rozmemłańcem.

– Cóż, życie nauczyło rozpieszczonego białaska moreasu...

Wygląda na to, że trzeba będzie postawić Perli niejeden kieliszek, zanim się z nią dojdzie do ładu.

– W Hawanie uważał się za książętko, w Madrycie odkrył, że jest nikiem,

a w Paryżu dodatkowo się dowiedział, że jego babka, matka jego matki, była afrykańską niewolnicą.

– Przyjechała tu pani razem z nim?

– Nie mów do mnie „pani”, bo to mnie postarza, a i tak młoda nie jestem. Nie, ja tu byłam już wcześniej. Za młodu pracowałam w najlepszych burdelach. Bogacze, artyści i różni sławni ludzie płacili za mnie krocie. Ale to dawne dzieje. Teraz zrobię wszystko za trochę pieniędzy na jedzenie i pensjonat. No i wtedy nie znałam opium.

– Raúl też palił?

– Paliliśmy razem, tutaj niedaleko. Kiedyś w Paryżu było dużo palarni, ale potem je pozamykali i w okolicy została tylko jedna, prowadzona przez starą Chinkę, madame Li. Raúl twierdził, że baba miała co najmniej sto pięćdziesiąt lat. Niedawno wyciągnęła kopyta, tyle że wcale nie ze starości. Zabił ją jakiś złodziej, wciąż nie wiadomo kto.

– Czy to opium zniszczyło Raúla?

– Opium, syfilis, ten tutaj koniak... Czy mój brat nie żyje?

Butelka jest pusta, choć Gonzalo prawie nie tknął swego kieliszka.

– Tego nie wiem. Próbowałem zlokalizować go w Madrycie, ale zdaje się, że zatrzymał się w Barcelonie.

– Nawet jeśli jeszcze żyje, długo już nie pociągnie. Czemu o niego wypytujesz?

– Zająłem jego stanowisko w gazecie, mieszkam w jego mieszkaniu przy ulicy Sommerard... Zostawił tam sporo papierów.

– Może byś zamówił jeszcze koniaku?

Gonzalo gestem prosi Paca o następną butelkę.

– Pisał o mnie?

– Nie wiem, strasznie bazgrał, więc na razie udało mi się odcyfrować tylko kilka fragmentów.

– Co z tym zrobisz?

– Nie mam pojęcia. A co powinienem?

– Powinieneś je spalić i o wszystkim zapomnieć. Jest nadzieja, że facet odwalił już kitę w jakimś pensjonacie w chińskiej dzielnicy Barcelony. Mają tam w Barcelonie chińską dzielnicę?

W drodze do domu, tuż przed wejściem do metra, zaczepia Gonzala jakiś mężczyzna. Ma nasunięty na oczy kapelusz, toteż Gonzalo rozpoznaje go dopiero po chwili: to ten sam człowiek, który przysiadł się do niego w madryckim lokalu przy ulicy Flor. Teraz wręcza mu kopertę.

– W środku znajdzie pan bilet na pociąg do Calais. Wyjeżdża pan za dwa dni. Najpierw spędzi pan dwa tygodnie na szkoleniu, dopiero potem czeka pana

podróż do Berlina. Już w pociągu otrzyma pan kolejne instrukcje.

– Od pana?

– Nie wiem, ktoś się z panem skontaktuje. Proszę nas nie zawieść i wsiąść do tego pociągu.

* * *

– Przepraszam, Álvaro, ale coś ci jest?

Od dwóch dni zwraca się do niej wyłącznie w sprawach urzędowych. Blanca nie tego się spodziewała po powrocie z ich wspólnej podróży.

– Nie, nie, nic mi nie jest, przepraszam... Wiesz, jakie sterty niepodpisanych papierów znalazłem na biurku? Daj mi parę dni, żebym się z nimi ogarnął, na razie nie mam do niczego innego głowy.

To poniekąd prawda. Ale tylko poniekąd, bo to nie praca go tak zajmuje, tylko zaistniała sytuacja. Blanca się wyraźnie smuci, Adela zapewne niecierpliwi, a Beatriz, wbrew zapowiedzi, nie pojawiła się w mieszkaniu przy Fuencarral. Poza tym król chce zorganizować kolację, na którą postanowił, rzecz jasna, zaprosić przyszłą narzeczoną swego przyjaciela, a rodzina Ginerów nie ustaje w snuciu ślubnych planów.

– Oczywiście, nie przejmuj się.

– Aha, jedna rzecz, Blanco. Wiesz, gdzie mieści się to mieszkanie, w którym Carlos de la Era widywał się ze swoją kochanką?

– Skąd to pytanie?

– Po prostu jestem ciekawy.

– Przy Magdaleny, niedaleko placu Progreso. Tak mówiła Pilar Marín.

Blanca opuszcza gabinet szefa zawiedziona i zła. Może źle wybrała? Nie żałuje tego, co się stało, ba, chętnie znów spędziłaby z Álvarem noc, lecz niewykluczone, że to był jednak błąd.

Manuel, jak zwykle niez mordowany, pracuje przy swoim biurku.

– Rzuć okiem na to.

List, który jej podaje, jest napisany piękną, poprawną angielszczyzną, bardzo różną od języka, którym posługuje się większość ich korespondentów – zrozpaczonych, nieobeznanych z ortografią czy stylistyką biedaków.

Włosy ma ciemnobrązowe, oczy też. Brwi ciemne, bardzo gęste. I mały czarny wąsik. Na czole – drobną bliznę. Na jednym z siekaczy – starte szkliwo. Jest krótkowidzem, zwykle używa binokli, lecz na front zabrał ze sobą okulary w złotych oprawkach. Na małym palcu nosi złoty sygnet z wyrytymi inicjałami „J.K.” Każda sztuka jego odzieży podpisana jest: „John Kipling”.

– I co na to powiesz?

– Ciekawe... Kto to napisał?

- Nie wiesz?
- Chwilę... Kipling? Ten od Nagrody Nobla?
- Ten sam. Angielski pisarz Rudyard Kipling. Czytałaś *Jeżeli*?
- Muszę się przyznać do ignorancji: nie.
- To przeczytaj. Wspaniały wiersz.

John Kipling, syn noblisty, zaginął bez śladu w bitwie pod Loos. To już druga taka tragedia, która spotyka pisarza: wcześniej inne z jego trojga dzieci, najstarsza córka, umarło na zapalenie płuc. Teraz cała nadzieja w Urzędzie do spraw Ochrony Jeńców. W czasie bitwy pod Loos, stoczonej przez Brytyjczyków i Niemców w tysiąc dziewięćset piętnastym roku, czyli niemal przed dwoma laty, śmierć zebrała wyjątkowo obfite żniwo. Pracownicy biura odpowiadali już w tej sprawie na wiele listów i tylko na kilka – niecały jeden procent – mogli udzielić odpowiedzi pozytywnej. Anglicy zdecydowali się pod Loos na użycie gazu, a gdy wiatr się zmienił, sami też ponieśli ogromne straty w ludziach. Nie da się wykluczyć, że John trafił do niemieckiej niewoli, i trzeba będzie starannie przejrzeć listy jeńców, najprawdopodobniej jednak zginął, jak tylu innych, i jego szczątki gniją gdzieś nieodnalezione.

- Staniemy na głowie, żeby go odszukać.

Blanca tego właśnie potrzebuje: zadania, które sprowadzi ją na ziemię i pozwoli jej się wyzwolić od głupich mrzonek, którym dała się ostatnio owładnąć jak byle gęś. Ale w sumie jak to możliwe, że ktoś najpierw mówi ci, że cię kocha, a potem nagle – że ma dużo pracy...?

Álvaro, żegnając się z podwładnymi, znów nie poświęca jej nawet osobnego spojrzenia, czym wprawia ją we wściekłość. Co się stało? Co się zmieniło?

Nieco później, wróciwszy do swego stołu, Blanca znajduje na nim zapisaną odręcznie kartkę. Rozpoznaje pismo Manuela. To wiersz! Ponieważ została w biurze sama, może go spokojnie przeczytać.

*Jeżeli spokój zachowasz, choćby go stracili
 Ubodzy duchem, ciebie oskarżając;
 Jeżeli wierzysz w siebie, gdy inni zwątpili,
 Na ich niepewność jednak pozwalając.
 Jeżeli czekać zdołasz, nie czując zmęczenia,
 Samemu nie kłamiesz, chociaż fałsz panuje,
 Lub nienawiścią otoczony, nie dasz jej wstąpienia,
 Lecz mędrca świętego pozy nie przyjmujesz.*

*Jeżeli masz marzenia, nie czyniąc ich panem,
 Jeżeli myśląc, celem nie czynisz myślenia,
 Jeżeli triumf i porażkę w życiu napotkane*

*Jednako przyjmujesz oba te złudzenia.
Jeżeli zniesiesz, aby z twoich ust
Dla głupców pułapkę łotrzy tworzyli,
Lub gmach swego życia, co runął w nów,
Bez słowa skargi wznieść będziesz miał siły.*

*Jeżeli zbierzesz, coś w życiu swym zdobył,
I na jedną kartę wszystko to postawisz,
I przegrasz, i zaczniesz wieść żywot nowy,
A żal po tej stracie nie będzie cię trawić.
Jeżeli zmusisz, choć ich już nie stanie,
Serce, hart ducha, aby ci służyły,
A gdy się wypalisz, Wola twa zostanie
I Wola ta powie ci: „Wstań! Zbierz siły!”.*

*Jeżeli pokory zniszczyć nie zdoła tłumy obecność,
Pychy nie czujesz, z królem rozmawiając,
Jeżeli nie zrani cię wrogów ni przyjaciół niecność,
I ludzi cenisz, żadnego nie wyróżniając.
Jeżeli zdołasz każdą chwilę istnienia
Wypełnić życiem, jakby była wiekiem,
Twoja jest ziemia i wszystkie jej stworzenia
I – mój synu – będziesz prawdziwym człowiekiem!¹*

To *Jeżeli*, wiersz, o którym Manuel wcześniej jej mówił... Piękny prezent. Kipling ma słuszość: trzeba być dzielną i nie dać się zranić.

– Tutaj powstaje większość dokumentów, którymi posługują się nasi szpiedzy. Może te, którymi legitymowałeś się w Paryżu, też wyszły z naszej pracowni.

Generał Köhler oprowadza Franka Heimera po swoich włościach. Pracownia fałszerska mieści się na terenie pewnych koszar w Poczdamie, niedaleko Berlina, i w różnych okresach zatrudnia od trzydziestu do czterdziestu jeńców.

– Rozmaici się nam trafiają: wielu z nich to artyści, mamy też takich, którzy pracowali przed wojną w drukarniach, są nawet dwaj Rosjanie mający za sobą odsiadkę w więzieniu za podrabianie pieniędzy. Nasi niemieccy współpracownicy, bo korzystamy także z pomocy rodaków, nigdy tu nie zagląдают. Nie chcemy, żeby wchodzili w kontakt z więźniami.

– Dlaczego?

– Jeńcy, którzy znaleźli się u nas, nie figurują w żadnych spisach. Rzecz

w tym, by nikt się nimi nie interesował.

– Czyli zostaną tu do końca wojny.

– My tylko wypełniamy rozkazy, Heimer. Ci ludzie znają fałszywe tożsamości naszych szpiegów, w ogóle zbyt wiele wiedzą... Kiedy ta wojna się skończy, nastanie kilka lat pokoju, po czym wybuchnie kolejna, a wtedy będziemy potrzebowali stworzonej teraz siatki. Jak mówię: my tylko wypełniamy rozkazy. Ale wątpię, by nasi „podopieczni” kiedykolwiek wrócili do domów.

Ta żelazna wojskowa logika. Jest tyle rzeczy, które liczą się bardziej niż ludzkie życie.

– Przedstawię ci Jeana-Marie Hugueta, to znakomity francuski malarz, który podobnie jak ty długo mieszkał w Hiszpanii.

Frank ceni sobie literaturę, zwłaszcza poezję, lecz na malarstwie się nie zna, toteż nigdy o kimś takim nie słyszał. Niemniej chętnie porozmawia z tym człowiekiem o Sewilli, o ciepłych wieczorach spędzanych nad rzeką, przy szklaneczce jakiegoś dobrze schłodzonego trunku, o zapachu kwiatów pomarańczy w dzielnicy Santa Cruz, o magii flamenco... Z Gonzalem wprowadzie nigdy na południu Hiszpanii nie był, jednakże wszystko, co wiąże się z tym krajem, przypomina mu o madryckim kochanku.

– Dużo czasu spędził pan w Sewilli?

– Niewiele ponad dwa lata, bo zaczęła się wojna i musiałem wrócić do Francji. Ale kiedy to wszystko się skończy, znów tam zamieszkać. Czuję, że to moje miejsce na ziemi.

Kiedy to wszystko się skończy... Ciężko będzie Frankowi obcować z tymi nieszczęśnikami, nieświadomymi przecież, że ich los został już przesądzony.

Za swojej poprzedniej bytności w Berlinie, po powrocie z Madrytu, a przed wyjazdem do Paryża, Frank mieszkał w hotelu; na kilka tygodni nie opłacało się budzić do życia odziedziczonego po rodzicach mieszkania przy Friedrichstrasse. Teraz to co innego – kto wie, kiedy i czy w ogóle uda mu się jeszcze wyrwać z Berlina. Wraca zatem na stare śmieci, do domu, gdzie spędził dzieciństwo i wczesną młodość; znów, po dwudziestu czy trzydziestu latach, spotyka dawnych sąsiadów, spaceruje po Tiergarten i wzdłuż Sprewy.

– Słyszałeś, co się stało z Gustavem Müllerem?

Umówił się z kolegą ze studiów na kawę; traf chciał, że usiedli w kawiarni Berio, tej samej, gdzie chyba widział Gustava po raz ostatni.

– Nie, od dawna nie miałem o nim wieści.

– Wygląda na to, że szpiegował dla Francuzów. W końcu wpadł. Przyjechali po niego i więcej się nie pokazał.

– Siedzi?

– Nie bądź naiwny, Frank. On dawno nie żyje. Zresztą to przecież nie jedyny

taki przypadek.

Frank nie jest naiwny; przynajmniej nie w tych sprawach. Dobrze chociaż, że nikt nie wie, iż Gustav Müller wpadł właśnie przez niego.

* * *

– Wysoka, niebieskooka, piękna blondynka. Musi gdzieś tu w pobliżu mieszkać.

– A tak, w tamtym budynku na pierwszym piętrze. Tylko że od ładnych paru dni jej nie widziałem, pewnie się wyprowadziła. Tam kobiety często się zmieniają, jeśli pan rozumie, co mam na myśli.

Álvaro znalazł Beatriz bez trudu. Jest wyjątkowo urodziwa, wszędzie zwraca na siebie uwagę: w okolicy, w której mieszka, zna ją zawsze każdy cieć, chłopak na posyłki i sklepikarz.

– Álvaro, co ty tu robisz? Proszę, idź sobie.

– Co ci się stało?

– Nic, potknęłam się na schodach...

Beatriz próbuje zamknąć drzwi, lecz Álvaro jej nie pozwala. Na jej policzku wciąż widać fioletowawy ślad po uderzeniu Carlosa.

– Naprawdę musisz iść. Błagam... On mnie zabije.

– Zbierz swoje rzeczy i chodź ze mną. Pospiesz się, to, co da się odkupić, zostaw.

Pięć minut później Beatriz wraz ze swoimi kosztownościami, bez których nie chciała się nigdzie ruszyć, jedzie już samochodem Álvaro na ulicę Fuencarral.

– On mnie znajdzie. A wtedy potraktuje mnie dużo gorzej niż ostatnio.

– Nic ci nie zrobi.

– Nie znasz go, to szaleniec.

Beatriz tym razem nie gra: jest autentycznie przerażona. Álvaro prosi ją, by na chwilę przestała jęczeć; trzeba się zastanowić.

* * *

– Mam kłopot i chciałbym się Waszej Królewskiej Mości poradzić.

– Chodzi o sprawy naszego biura?

– Nie, to problem natury osobistej. Zwracam się do Waszej Królewskiej Mości jako przyjaciela. Pamięta Wasza Królewska Mość Beatriz Vargas?

Don Alfonso pamięta – rozmawiał o niej z Álvarem wiele razy i sam zalecał przyjacielowi, by z nią zerwał. Teraz jest zdumiony opowieścią o ich przypadkowym spotkaniu, o tym, jak zareagował Carlos de la Era i jak Beatriz w końcu uciekła z mieszkania przy ulicy Magdaleny.

– I co ja mogę w tej sprawie zrobić?

– Nie wiem, może nic, po prostu potrzebuję rady.

– Ten osobnik, Carlos de la Era, jest zwykłą szują, ale nie bardzo da się go wsadzić za to do więzienia. Wiesz, co by o mnie napisali w gazetach, gdybym

spróbował wywierać tego rodzaju naciski?

– Wyobrażam sobie.

– Pomyślmy jednak nad jakimś sensownym rozwiązaniem. Swoją drogą, Álvaro, wiedziałem, że ta dziewczyna ściągnie ci na głowę kłopoty. Zobacysz, jak się Adela dowie...

Tak czy owak należy porozmawiać z Carlosem, zanim odnajdzie Beatriz; stawić mu czoło i uświadomić, kto ją chroni.

– Na ciebie nie odważy się podnieść ręki.

– To nawet szkoda. Gdyby się odważył, mógłbym dać mu nauczkę.

– Oczekujesz ode mnie rady czy przyklaskiwania podobnym nonsensom? Nie chojrakuj. Porozmawiaj z draniem, powiedz mu, że dziewczyna jest z tobą albo jeszcze lepiej, że jest pod twoją opieką i że bardzo żałujesz, jeśli to pokrzyżowało mu plany. Bądź stanowczy, ale unikaj agresji.

– Tak, słusznie. Przykro mi, że zawracam Waszej Królewskiej Mości głowę takimi rzeczami.

– Zwariowałeś? Wreszcie ktoś zwraca się do mnie z czymś ciekawym, a nie z tymi nudziarstwami, które muszę znosić na co dzień. Czasami odnoszę wrażenie, że istnieje specjalna nagroda dla tego hiszpańskiego obywatela, który najskuteczniej zanudzi swojego króla.

* * *

– Nie wsiadam na statek? Przyjechałem do Calais i nie płynę do Anglii?

Po jednej nocy w Calais polecono Gonzalowi wracać do Paryża. Zgodnie z poleceniem przekradł się na dworzec potajemnie, a podróżować będzie w zamkniętym przedziale z zasłoniętymi oknami.

– To wszystko dla zmyłki. Wszędzie pełno niemieckich szpiegów. Miejsce, gdzie przejdzie pan szkolenie, jest objęte ścisłą tajemnicą, nie chcemy, by ktokolwiek się o nim dowiedział. Nawet pan nie pozna jego położenia.

Każą mu wysiąść na małej stacji, gdzie paryskie pociągi zwykle się nie zatrzymują, i w środku nocy wsadzają go na pakę jakiejś ciężarówki. Po kilku godzinach jazdy następuje kolejna przesiadka – tym razem do ambulansu, który nad ranem dowozi Gonzala do celu.

To piękna wiejska rezydencja, prawdziwe *château* w tchnącym spokojem ogrodzie. Przed wejściem stoją dwa wojskowe pojazdy. Gonzala wita pułkownik w polowym mundurze; jest Anglikiem, lecz mówi w miarę poprawną francuszczyznę.

– Miło mi pana poznać, panie Fuentes. Proszę się teraz rozpakować, nie mamy czasu do stracenia, przez najbliższe dwa tygodnie czeka nas mnóstwo pracy.

Wygodne łóżko, stół, krzesło, szafa i umywalka to całe wyposażenie udostępnionego Gonzalowi pokoju. Jego okno wychodzi na ten sam ogród, przez który przed chwilą przejechali. Nic nie pozwala Gonzalowi stwierdzić, gdzie się

znajdują: gdzieś we Francji, poza tym nie wiadomo. Na cichych korytarzach minął kilku innych wojskowych, chyba wyłącznie Anglików.

– Panie Fuentes, jak już wspomniałem, czas nas goni. Zdajemy sobie sprawę, że nie jest pan żołnierzem i że nie zostanie pan szpiegiem w tradycyjnym tego słowa znaczeniu, lecz będzie pan luźno z nami współpracował podczas swego pobytu w Berlinie. Musimy jednak pana ostrzec: trwa wojna i nawet to może się okazać niebezpieczne. Jeśli wolałby się pan wycofać, jeszcze istnieje taka możliwość. W takim wypadku odstawimy pana do Paryża i o wszystkim zapomnimy.

– Nie, nie zamierzam się wycofywać.

– Dziękuję, panie Fuentes. Odważny z pana człowiek.

* * *

– Dokumenty poproszę.

Manuel z lękiem spogląda na policjanta. Szli akurat z Blancą przez plac Oriente; spotkali się przed Teatrem Królewskim i zmierzali do Pałacu. Jest bardzo wcześnie, ale praca w biurze czeka.

– Co się dzieje?

– Proszę, żeby okazał pan dokumenty.

– Ja tutaj pracuję. W Pałacu.

Funkcjonariusz niespieszonym, lecz wymownym gestem podnosi rękę do wiszącej mu u pasa pałki.

– Zechce pan spełnić moje polecenie.

Manuel wyciąga portfel. Lekko drżącą dłonią podaje policjantowi dokument tożsamości. Mundurowy ogląda go dokładnie, z obu stron, po czym zwraca właścicielowi.

– Dziękuję.

I tyle. Blanca i Manuel idą dalej. Ona – mocno przestraszona jego dziwną reakcją.

– Manuelu, dlaczego się tak zdenerwowałeś?

– Nie zdenerwowałem się.

– Przecież cię znam.

– Po prostu nie przepadam za policją. Zdecydowanie nie przepadam.

Właśnie zdejmują płaszcze, gdy jedna z wolontariuszek woła:

– Manuelu, telefon do ciebie.

– Do mnie?

Manuel odbiera; pracuje w Pałacu od dwóch lat i nigdy jeszcze nikt tu do niego nie dzwonił.

– Słuchaj, policjant, który cię przed chwilą wylegitymował, to jeden z nas. Jutro może to być już ktoś zupełnie inny. Zależy, czy zdecydujesz się zrobić, co do ciebie należy.

– Kto mówi?

– To nieistotne. Ważne jest to, po czyjej ty jesteś stronie. Aha, masz pozdrowienia od swojego przyjaciela Luisa.

Blanca przystanęła tuż obok. Wie już, że coś się dzieje – i to coś poważnego.

– Nie wmawiaj mi, że wszystko w porządku, bo nie jestem głupia. Chodź, przejdziemy się po ogrodzie.

– Zabić króla?!

– Nie zrobię tego, już im to powiedziałem.

– Ale to jakiś koszmar!

– Wszyscy wiedzą, że anarchiści życzą sobie śmierci don Alfonsa. Zorganizowali już parę nieudanych zamachów. Prawdziwy koszmar zaczęłyby się wtedy, gdybym chciał z nimi przy tym współpracować. A nie chcę, przynajmniej do końca wojny.

Blanca musi się zastanowić. Ufa Manuelowi – to znaczy ufała jeszcze kilka minut temu. Sama wciągnęła go do zespołu pracującego w Urzędzie do spraw Ochrony Jeńców; do tej pory bardzo się sprawdzał. Poza tym nie ukrywał, że jest anarchista, ba, zaprosił ją nawet do Ludowego Ateneum na swoją sztukę...

– Naprawdę nazywasz się Manuel Lope?

– Nie, naprawdę nazywam się Manuel Campos.

– Dlaczego się ukrywasz pod cudzym nazwiskiem?

– Oskarżono mnie o to, że zabiłem na pewnej manifestacji policjanta. Zaczekaj, zanim coś powiesz, musisz wiedzieć, że go nie zabiłem. To nie byłem ja.

– Skąd mam wiedzieć, że mówisz mi prawdę?

– Myślisz, że chcę zabić Alfonsa XIII? Nie sądzisz, że gdybym chciał, to już dawno bym to zrobił? Pamiętaj, że pod waszą nieobecność codziennie spotykałem się z nim sam na sam w jego gabinecie. Czyli okazji mi nie brakowało.

Carlos de la Era jest kanalią; Álvaro Giner od powrotu z podróży zachowuje się jak obcy człowiek; Manuel Lope, który zresztą wcale nie nazywa się Lope, został oskarżony o zabójstwo policjanta. Cóż, nie ulega wątpliwości, że ona, Blanca, potrafi sobie dobierać przyjaciół.

– A jeśli wpadniesz? Jeśli twoi dawni towarzysze na ciebie doniosą?

– Nie wiem, co wtedy będzie.

– Własnym uszom nie wierzę! Jak możesz mi mówić, że nie wiesz?!

– Bo nie wiem. Co mam ci powiedzieć?

* * *

– Nie wierzę, że wyprowadziła się z własnej woli.

Álvaro Giner i Carlos de la Era spotkali się w Casino de Madrid – najelegantszym madryckim klubie usytuowanym przy ulicy Alcalá. To niezwykle wytworny lokal, a oni dwaj najchętniej skoczyliby sobie do oczu.

– Nie obchodzi mnie, w co wierzysz. Beatriz mieszka teraz u mnie, a ty zostawisz ją w spokoju.

– Masz jakąś obsesję na punkcie kobiet, które ze mną spały? Najpierw Blanca, teraz Beatriz... Może zrobię ci listę kolejnych?

– Nie spałeś z Blancą.

– Skąd wiesz? Tobie też powiedziała, że jesteś pierwszy? Nie daj się zwieść, mało który z nas ma szansę być pierwszym. Chociaż w wypadku Blanki mnie się udało.

Álvaro wstaje z wyraźnym zamiarem uciszenia swojego rozmówcy.

– Nie masz prawa!

Kilku obecnych w sali mężczyzn podnosi wzrok znad swoich gazet. Rzadko słyszy się tutaj podniesione głosy, to przecież nie jest byle knajpa.

– Naprawdę chcesz się tu bić? Mnie wszystko jedno, mojej reputacji to nie zaszkodzi, ale twojej. Pomyśl, co by sobie król pomyślał, gdyby mu doniesiono, że jego współpracownik z powodu zwykłej dziwki wdał się w awanturę w miejscu publicznym.

– To chodźmy w jakieś mniej publiczne.

– Nie, mnie tu dobrze.

– Tchórz.

– Świat należy do tchórzy, przyjacielu. Nie wiedziałeś? Chcę pomówić z Beatriz.

– Mowy nie ma. A jeśli spróbujesz, to czy będziemy w miejscu publicznym, czy nie, nic ci nie pomoże.

Rada don Alfonsa brzmiała: postępuj stanowczo, ale bez agresji. Cóż, nie wyszło. Zaraz z pewnością pójdzie po mieście plotka, że Álvaro Giner i Carlos de la Era omal się nie pobili.

– Beatriz, rozmawiałem z tym całym Carlosem.

– Co? Czyli on już wie, gdzie mieszkam...

– Nie martw się, nic ci nie zrobi.

Beatriz nadal wydaje się przestraszona, niemniej już nie takie rzeczy udawała, żeby coś zyskać. Choć z drugiej strony, od kiedy wprowadziła się z powrotem do mieszkania przy Fuencarral, nie wyściubia nosa na zewnątrz, wbrew swoim zwyczajom nie prosi o pieniądze, nie odczuwa przemożnej potrzeby robienia luksusowych zakupów.

– Ale jak ciebie tu nie będzie...?

– Dozorca wie, że Carlos de la Era nie ma tutaj wstępu.

– A potem? Jeśli mnie stąd wyrzucisz? Jeśli ci się znudzę? Ten człowiek jest wariatem, nie masz pojęcia, jak na mnie spojrzał, gdy mu powiedziałam, że odchodzę.

„Jeśli ci się znudzę”? Pozwolił jej u siebie mieszkać, ale nic więcej. Nie przespał się z nią i nie zamierza tego robić. Tęsknił za nią, a teraz ma ją pod ręką, jak dawniej; pragnął Blanki i jego pragnienia zostały spełnione, ba, widuje ją co dzień w biurze, łaknącą kontaktu; spotkał Adelę, doskonałą kandydatkę na żonę, i oto wszyscy ich swatają, rzecz jest właściwie przesądzona wręcz bez jego udziału... W sumie mógłby uznać, że to doskonale; że wybór należy do niego. Tyle że nie o to chodziło. I co gorsza, nie wiadomo, jak się z tego wyplątać.

* * *

– Wielka szkoda, że się pan wyprowadza. Mam nadzieję, że pański następcą będzie podobny do pana, a nie do tego poprzedniego.

Gonzalo otrzymał zgodę szefostwa na przeprowadzkę do Berlina. W Paryżu zastąpi go Benito, kolega z redakcji.

– Proszę się nie martwić, to porządny człowiek, nie przysporzy nikomu kłopotów.

Konsjerżka domu przy ulicy Sommerard zdecydowanie nie życzyłaby sobie kogoś takiego jak Raúl Coronado.

– Nie lubię do tego wracać, ale dzień, w którym ten osobnik się stąd wyniósł, był jednym z najlepszych w moim życiu. Te zabawy, które u siebie urządzał, nie były normalne, o nie!

Dopiero teraz, pod koniec pobytu w Paryżu, Gonzalo zaczyna dowiadywać się o swoim poprzedniku naprawdę interesujących rzeczy: najpierw Perla opowiedziała mu o opium, a teraz konsjerżka wspomina o tych zabawach.

– Nazywam je zabawami z braku lepszego określenia. Ale wie pan co? Mam wrażenie, że chodziło o coś w rodzaju ceremonii na cześć diabła.

– Czemu nic mi pani wcześniej nie mówiła?

– A chciałby pan potem żyć w takim mieszkaniu? Jeden z pokoi trzeba było przed pańskim przyjazdem przemaalować.

– Przez bazgroły na ścianach?

– Przez to, że ściany zostały pokryte czarną farbą.

Przesady. Gonzalo szczerze wątpi, żeby ktoś odprawiał satanistyczne rytuały w pełnej lokatorów kamienicy w centrum Paryża. Raúl był dziwny i obcy – spełniał więc wszystkie warunki, żeby pobudzić wyobraźnię sąsiadów.

– Tak czy owak nie musi się pani niepokoić. Mój zastępca ma więcej wspólnego ze mną niż z don Raúlem.

Gonzalo zabiera ze sobą do Berlina dodatkowy kufer – pełen tych papierów po tajemniczym don Raúlu, które wydają się najbardziej interesujące. Wojna wojną – nawet gdyby chodziło o jej upragniony koniec – ale postać tego pół Kubańczyka, pół Hiszpana go fascynuje, zwłaszcza w kontekście ostatnich rewelacji. Ile w nich prawdy? Czy w papierach da się znaleźć jakieś wyjaśnienie? Szkoda, że mało będzie czasu na ich czytanie...

Bo poza wszystkim innym trzeba przecież odnaleźć Franka. Gonzalo szpieguje teraz dla Anglików, tak jak on robił to kiedyś dla Niemców. Nic nie wiadomo, by Francuzi go złapali, więc może jednak dotarł do domu.

* * *

– Nie nocowała dziś panienka u siebie?

– Nie twoja sprawa.

Delfina nie powinna się tym przejmować, ale wciąż martwi się o Elisę. Dziewczyna wygląda lepiej niż przed paroma miesiącami, jakby się trochę ożywiła, co jednak wcale nie znaczy, że niebezpieczeństwo minęło. W ciągu ostatniego tygodnia spędziła poza domem aż dwie noce, a generał Fuentes nic nie zauważył. Wczoraj zjadła z nim kolację, przy której oboje milczeli – jak zwykle od wyprowadzki panicza Gonzala; on jeden próbował tchnąć w tę rodzinę nieco życia. Potem, kiedy reszta domowników, czyli ona, Delfina, i pan domu poszli spać, Elisa się dokądś wymknęła. Wróciła przed świtem i od razu zasiadła u siebie przy biurku, by pisać coś, co potem starannie zamknęła na klucz w szufladzie.

– Powinna panienka o siebie zadbać, przecież tak nie można! Nie śpi panienka, prawie nic nie je...

– Wracaj do kuchni i nie gadaj tyle.

Ostatniej nocy nie miała szczęścia i nie zobaczyła Carlosa. Poprzedniej – owszem: dostrzegła go w bramie budynku przy Magdaleny, gdzie zresztą nie mieszka już tamta blondynka. Carlos zjawił się z inną kobietą – źle ubraną, najwyraźniej prostytutką. Ta po godzinie wyszła, sama. Carlos pokazał się nieco później. Jej, Elisy, nie zauważył. Na razie to dosyć, że go widuje z daleka: takiego przystojnego, wysokiego, eleganckiego, pewnego siebie...

W ciągu dnia trochę śpi, a przez resztę czasu pisze do ukochanego długi list, w którym wyznaje mu wieczną miłość i wybacza wszystkie błędy: zdrady, upokorzenia, wyzwiska i ciosy. Stawia tylko jeden warunek: że się pobiorą i będą mieli dziecko, które stracili, zresztą z jej winy.

Niemniej ona, Elisa, będzie przecież idealną żoną: świetną towarzyszką życia i doskonałą kochanką. Nawet Carlos, tak mało zorientowany w kwestiach miłosnych, musi zgodzić się z jej argumentacją, gdy się z nią w końcu zapozna.

* * *

– Szczęśliwego roku tysiąc dziewięćset siedemnastego!

Nadszedł kolejny sylwester, już trzeci od początku wojny. Ostatnie miesiące były dla Blanki bardzo ciężkie: brak większych sukcesów w biurze, kłopoty z Alicią, strach przed Carlosem, odkrycie tajemnic Manuela... No i przede wszystkim Álvaro Giner. Szczęśliwe czasy już chyba nie wrócą; może zresztą jej, Blanki, szczęście trwało tyle, co jedna krótka noc w Wiedniu.

Ulegając namowom matki, zgodziła się wybrać na przyjęcie wydawane

przez Alfonsa XIII. W końcu miała okazję wejść po schodach Sabatiniego, które tak pragnęła zobaczyć, gdy przed kilku laty po raz pierwszy zjawiała się w Pałacu. To sześćdziesiąt cztery stopnie z litego marmuru, każdy szerokości pięciu metrów i bardzo niski – by dama w sukni balowej gdzieś się przypadkiem nie potknęła. Strop na nimi zdobią białe stiuki oraz fresk autorstwa Corrada Giaquinta, przedstawiający triumf religii i Kościoła. W każdej innej sytuacji Blanca zachwyciłaby się tymi detalami, dziś jednak prawie niczego nie zauważa: wiedziała, że u króla będzie też Álvaro i że to niczego nie ułatwi. Widzi go teraz, jak rozmawia z jakąś ładną dziewczyną. Nieznajoma ma podobno na imię Adela; poza tym Blanca nic o niej nie wie. Stara się nie patrzeć w tamtą stronę, lecz nie do końca jej się to udaje. Naprawdę dziwne, że Álvaro nawet do niej nie podszedł, ostatecznie pracują razem. Król natomiast, owszem, przywitał się z nią i jej rodzicami, sprawiając, że doña Ana ze szczęścia omal nie uleciała pod sufit.

– Widać, że Jego Królewska Mość cię ceni, córeczko. Od początku mówiłam, że to dobry pomysł z tą pracą. Ludzie od razu bardziej cię szanują, jeśli udzielasz się również zawodowo.

– Mamo! Przecież ty nie chciałaś, żebym pracowała.

– Nie opowiadaj głupstw, Blanco. Jak to: nie chciałam? Od dawna powtarzam, że kobiety powinny pracować i studiować na uniwersytecie.

Mówi się, że Stany Zjednoczone już na pewno lada dzień przystąpią do wojny. Germanofile, zdecydowanie mniej liczni niż kilka lat temu, załamują ręce; zwolennicy ententy się cieszą. Niemniej większość królewskich gości, bez względu na swoje poglądy, zarobiła na tym międzynarodowym konflikcie, umiejętnie dywersyfikując ryzyko. Zresztą zarobili nie tylko oni; nawet wioskowi handlarze bydlą wzbogacili się w ostatnich latach, sprzedając Francuzom muły.

– Papo, chyba już pojedę do domu. Może powiem szoferowi, żeby mnie odwiózł i wrócił po ciebie i mamę?

– Nie zaczekasz do północy? Moglibyśmy później zabrać się razem.

Trzeba się uzbroić w cierpliwość do czasu, aż don Alfonso złoży swoim gościom noworoczne życzenia; ostatecznie po to tu przyszli, nie wypada wymykać się wcześniej, poza tym głupio by to wyglądało, gdyby Álvaro jednak zdecydował się porozmawiać z kimś innym niż ta cała Adela.

Zwyczaju jedzenia winogron, coraz bardziej popularnego wśród ludzi świętujących na Puerta del Sol, nikt w Pałacu nie kultywuje. O północy orkiestra milknie na chwilę, a potem zaczyna grać znowu, podczas gdy zgromadzeni biją brawa i składają sobie nawzajem życzenia.

Po kilku minutach król zabiera głos, dziękując obecnym za przybycie i życząc im szczęśliwego nowego roku, a wszystkim Hiszpanom – końca wojny i pomyślności.

– I wreszcie, korzystając z okazji, pragnąłbym podzielić się z wami

wiadomością, która szczególnie mnie raduje: mój przyjaciel Álvaro Giner postanowił wreszcie ogłosić swoje zaręczyny z panną Adelą Espinosą. Zdrowie młodej pary!

Blanca walczy ze sobą z całych sił. Musi się uśmiechać, robić dobrą minę do złej gry, by nikt nie zauważył wściekłości i zawodu, które pustoszą ją od środka.

Autor tego przekładu pozostaje nieznany. [\[wróć\]](#)

11.

Jest bardzo późno i zimno, panienko. Może wezwę paniencę jakieś auto?

– Nie, Eusebio, chętnie się przejdę...

Obsługa Pałacu zna i ceni Blancę, która często opuszcza biuro już o zmroku i choć zawsze zabiegana, do każdego się uśmiecha, dla każdego ma miłe słowo lub uprzejme pytanie o rodzinę. Dlatego, choć nikt nie wydawał w tej sprawie żadnych oficjalnych dyspozycji, wszyscy kierowcy Jego Królewskiej Mości chętnie odwieźliby ją do domu.

– W takim razie proszę uważać, bo nocą pełno wilków.

– Tak, zwłaszcza w centrum Madrytu!

Blanca jest dziś w dobrym nastroju, mieli w biurze dobry dzień: zdołali zlokalizować kilku jeńców i dostali w końcu zaległe spisy więźniów od Austriaków, z którymi współpraca układa się najgorzej. Jednakże największą radości sprawił Blance list od pewnego francuskiego chłopca, który dzięki wysiłkom Urzędu do spraw Ochrony Jeńców odzyskał ojca.

Kochany Królu Hiszpanii,

kilka miesięcy temu pisałem z prośbą o pomoc w odnalezieniu mojego taty i niedługo potem dostałem od niego list, z którego dowiedziałem się, że ma się dobrze i wkrótce wróci do domu. Na początku w to nie uwierzyłem, koledzy w szkole mówili, że z wojny się nie wraca. Ale razem z mamą co wieczór się modliliśmy i potem często mi się śniło, że się budzę, a tata jest już w domu.

No i wczoraj wrócił! Nie mogliśmy przestać z mamą płakać – nie ze smutku, a właśnie z radości. Tata bardzo schudł i kuleje, bo był ranny w kolano: gdzieś obok niego wybuchła bomba. Pytałem go o różne rzeczy związane z wojną, ale nie chce o tym mówić, chce zapomnieć. Powiedział tylko, że wrócił do domu dzięki Panu i że powinniśmy być za to bardzo Panu wdzięczni.

Przesyłam Panu rysunek: to król, nie wiem, czy podobny do Pana, ale mama mówi, że tak.

Émile

Blanca od razu zaniósła ten list don Alfonsowi. Tylko nieliczni potrafią dziękować.

– Rysunek nie bardzo małemu wyszedł, niemniej napiszę do niego i go pochwalę. Zostaw mi adres, dam go jutro Candeirze.

– Proszę mi wybaczyć, Wasza Królewska Mość, ale z całym szacunkiem, to

bardzo wierny portret, nawet wąsy są takie same.

Blanca natychmiast żałuje, że nie ugryzła się w język: a jeśli król nie zrozumie dowcipu? On wszakże wybucha śmiechem.

– Żarty sobie stroisz. Gdybym miał takie wąsy jak na tym rysunku, natychmiast bym się ogolił.

Blanca mimo styczniowego chłodu chce wrócić do domu piechotą. Potrzebuje chwili samotności, by w spokoju pomyśleć i nie musieć ciągle komuś odpowiadać – kolegom z pracy, matce, nawet Manuelowi... Potrzebuje spaceru, by popatrzeć na nieznanomych, którzy nic o niej nie wiedzą; na normalne rodziny, które wracają opatulone do domu i niezależnie od wojny, cen i kłopotów wydają się szczęśliwe.

Minęło ledwie kilka dni od ogłoszenia zaręczyn Álvara z Adelą. Sprawa odbiła się szerokim echem, także w prasowych kronikach towarzyskich. Adela jest ładna, ciemnowłosa, z bogatej rodziny... Álvaro dobrze sobie wybrał żonę, nawet jeśli ona, Blanca, spodziewałaby się po nim czegoś innego. Jest zakochana i sądziła, że on odwzajemnia jej uczucie, w związku z czym ulegnie bardziej głosowi serca niż rozumu.

Droga z Pałacu do domu jest dosyć długa. Blanca idzie szerokimi, dobrze oświetlonymi ulicami, mijając kolejne sklepy, które już się powoli zamykają.

Na Paseo del Prado jest ciemniej. Nie szkodzi, zaraz będzie na miejscu, zresztą doskonale zna tę okolicę; mieszkańcy stojących tu domów – hrabiowie, markizowie i książęta – to w większości przyjaciele jej rodziców.

Słyszy za sobą kroki, odwraca się, lecz nikogo nie widzi. Może jej się tylko zdawało. Ale nie – bo oto ktoś kładzie jej rękę na ramieniu. Blanca tłumi okrzyk i znów się odwraca.

– Chyba się mnie nie spodziewałaś.

Carlos de la Era – znowu on! Głupio się łudziła, że już go nie zobaczy. Powinna zachować spokój, nie okazywać lęku.

– Czego chcesz?

– Przypomnieć ci się. Chcę, żebyś o mnie pamiętała, tak jak ja pamiętam o tobie.

Nie wolno dać mu się zastraszyć, trzeba sprawić, żeby wreszcie przestał ją nękać.

– Nie wiem, czy to ty uprowadziłaś Alicję, ale wierz mi, że jeśli maczałeś w tym palce, pożałujesz.

Carlos się waha, najwyraźniej oczekiwał innej reakcji.

– Nawet takiej kreatury jak ty nie podejrzewałabym o porwanie dziecka. Niemniej, jeśli miałeś z tym coś wspólnego, wiem, do kogo się zwrócić, żebyś za to słono zapłacił.

– Naślesz na mnie któregoś ze swoich kochanków?

– Uważaj, Carlos, naprawdę uważaj. Zdziwiłbyś się, ile osób by się ucieszyło, gdyby w końcu ktoś dał ci nauczkę.

To powiedziawszy, Blanca odwraca się na pięcie i oddala z pozornym spokojem, powoli, nie zerkając za siebie. Drży jednak, modląc się w duchu, by Carlos nie zdążył się otrząsnąć po jej ataku. Oddycha z ulgą dopiero w domu.

Jest wszakże zadowolona: wreszcie zdobyła się na odwagę, by się temu łajdakowi postawić.

* * *

– Car Mikołaj II abdykował.

Alfons XIII od wielu tygodni z niepokojem śledzi rozwój wypadków w Rosji. Po zabójstwie Rasputina w grudniu tysiąc dziewięćset szesnastego roku nastąpiły różne komplikacje. Rosjanie ponoszą jedną militarną klęskę za drugą, co stanowi wynik ich całkowitej dezorganizacji – podobno w czasie niektórych bitew żołnierzom wydawano amunicję niepasującą do ich broni – oraz niekompetencji ich dowództwa, wywodzącego się głównie z arystokracji i pozbawionego innych zasług niż bliska znajomość z carem. Ludzie mają dosyć bycia mięsem armatnim, rząd od lat, właściwie od początku wojny nie panuje nad sytuacją, w siłę rosną za to najrozmaitsze rady i komitety robotnicze.

Álvaro Giner w przeciwieństwie do monarchy nie jest takim obrotem spraw wstrząśnięty.

– To było do przewidzenia. Przecież nawet wielki książę Mikołaj Mikołajewicz ostrzegał cara, że straci władzę, jeśli czegoś nie zmieni.

Mikołaj II przekazał władzę w kraju Rządowi Tymczasowemu z Gieorgijem Lwowem na czele; jednocześnie w miastach i na froncie ludzie organizują się oddolnie. Najpotężniejsza z rad robotniczych, pietrogradzka, żąda natychmiastowego wycofania się Rosji z wojny.

– Jeśli Niemcy uwolnią się na froncie wschodnim i będą mogli skupić swoje siły na zachodzie, wszystko jeszcze może się zdarzyć.

– Teraz powinni włączyć się Amerykanie. Chyba nie pozwolą Niemcom wygrać? Nigdy nie wybaczą im zatopienia *Lusitanii*, nawet jeśli zwlekali z zemstą tyle czasu.

Niemieckie ataki na statki pasażerskie, okręty handlowe państw neutralnych i pływające szpitale od dawna wzbudzają powszechne oburzenie. Można zrozumieć potrzebę odcięcia przeciwnikowi zaopatrzenia, ale wojnę wygrywa się nie tylko dzięki broni, lecz również dzięki propagandzie. W całej Hiszpanii szybko ubywa germanofilów.

– Niemcy zdecydowanie nie zadbali o dobrą prasę. Nie dość, że przegrają tę wojnę, to jeszcze aż się proszą o polityczne upokorzenie.

Gdy Stany Zjednoczone włączą się do gry – a wszyscy są zdania, że nastąpi to najpóźniej za sześć do ośmiu tygodni – pozostanie tylko ustalić warunki pokoju.

Francuzi i Anglicy już myślą o tym, jak zmusić Niemców do poniesienia wszelkich, zarówno ekonomicznych, jak moralnych kosztów światowego konfliktu. Nawet jeśli Rosja się podda, nominalni zwycięzcy na froncie wschodnim zyskają najwyżej kilka dodatkowych tygodni.

– Czy carowi udało się opuścić Rosję?

– Nie, został wraz z całą rodziną zatrzymany. Chciałbym zaproponować im wszystkim azyl w Hiszpanii.

– Czy to na pewno dobry pomysł, Wasza Królewska Mość? Mikołaj II nie cieszy się w Europie specjalną sympatią, a hiszpańscy robotnicy z pewnością będą protestować. Chwilowo nastroje społeczne w Hiszpanii nieco się uspokoiły, może nie trzeba prowokować fermentu? No i nie byłoby korzystne, żeby ktokolwiek łączył Waszą Królewską Mość akurat z rosyjskim władcą.

– Są sytuacje, w których korzyści schodzą na drugi plan, ustępując pola obowiązkom.

Álvaro rozumie, dlaczego Alfons XIII pragnie pomóc carskiej rodzinie: bez wątplenia wyobraża sobie, co stałoby się z nim samym, gdyby i w Hiszpanii wybuchła rewolucja. Co zresztą nie jest niemożliwe, chociaż, zdaniem Álvaro, monarchia hiszpańska przetrwa, jeśli król zdecyduje się na radykalne reformy.

– Wszyscy, którzy mówią Waszej Królewskiej Mości to, co myślą, a nie to, co chciałby Wasza Królewska Mość usłyszeć, dzielają moją opinię.

– Wiem. Pamiętasz Gonzala Fuentesę, paryskiego korespondenta „El Noticiero”?

– Tak, pewnie. To on opisał brutalne wybryki tamtych wojskowych. Przyjaźni się z Blancą, byli nawet razem na kolacji w Paryżu.

– Zaprosiłem go na obiad, kiedy wy byliście akurat w Berlinie. Wydaje mi się inteligentny i wykształcony. Ma bardzo krytyczny stosunek do monarchii, uważa ją za przeżytek. Dużo się nad tym zastanawiałem, widzę przecież, że coraz więcej ludzi krytykuje nasz ustrój, nie rozumiejąc, że lepszego jeszcze nie wymyślono...

– Już kiedyś o tym rozmawialiśmy, Wasza Królewska Mość. Myślę, że powinniśmy się wzorować na Brytyjczykach.

– Nie wiem, Álvaro, Hiszpania jest zupełnie innym krajem. Nie sądzę, żeby była gotowa na duże zmiany.

Jeśli jednak ustrój się zmieni, to właśnie dlatego, że w takich momentach monarcha wyraźnie lekceważy swoich poddanych.

* * *

Álvaro i don Alfonso znów wyprawili się na polowanie do majątku Ginera, w okolice Toledo. To jedno z nielicznych miejsc, gdzie mogą polować bez królewskiej świty, tylko z psami. Zresztą strzelby jak zwykle stanowią raczej pretekst, by móc bez przeszkód porozmawiać. Służba przygotowująca obiad,

sekretarz mający w razie czego odszyfrowywać tajne depesze i cały zastęp kierowców, ochroniarzy i asystentów – wszyscy oni zostali w udostępnionym królowi przez Álvara domu. Don Alfonso, jak zawsze podczas wyjazdów, przyjmuje tam lokalne władze i rozdziela datki na cele dobroczynne.

– Nie tęskni Wasza Królewska Mość czasem za samotnością?

– Jesteśmy teraz sami.

– Chodzi mi o taką prawdziwą samotność. W domu czeka na nas z pięćdziesiąt osób.

– A, to nie wiem. Nigdy nie byłem naprawdę sam. Może faktycznie brak mi związanej z tym swobody i dlatego tak lubię się z tobą wymykać z Pałacu. Właśnie, musimy coś zorganizować przed twoim ślubem.

Adela Espinosa, narzeczona Álvara, w ostatniej chwili musiała zrezygnować z udziału w wyprawie pod Toledo z powodu niefortunnego przeziębienia.

– Wyznaczyliście już datę?

– To będzie jesień, październik albo listopad. W tym tygodniu dowiemy się szczegółów. Bo decydują nasze rodziny. Mnie zresztą wszystko jedno, tyle że chyba wolalibyśmy to przenieść na przyszłą wiosnę.

– Nie wydajesz się specjalnie rozentuzjasmowany.

– Może jestem już za stary na takie rzeczy. Gdybym ożenił się za młodu, jak Wasza Królewska Mość...

– ...straciłbyś wiele okazji do świetnej zabawy. Wciąż udzielasz schronienia tej swojej chórzystce?

– Beatriz Vargas? Tak, mieszka u mnie, ale nawet jej nie dotknąłem. A Carlos de la Era nie daje znaków życia.

– Czyli nie było powodów do obaw. Niektórzy są mocni tylko w gębie...

Tak samo myśli Beatriz; uspokoiła się już na tyle, że sama wychodzi na zakupy, co zawsze sprawiało jej największą przyjemność. Ponieważ przez jakiś czas tego nie robiła, Álvaro miał pewność, że naprawdę czuła się przerażona.

Nie jest natomiast prawdą, że jej nie dotknął. Nie są kochankami w pełnym tego słowa znaczeniu, ale wszystko ku temu zmierza. Zawsze mu się bardzo podobała i teraz, gdy ma ją do swojej dyspozycji, a ona dodatkowo ciągle go prowokuje, nie jest mu łatwo oprzeć się pokusie.

– Nie martw się, przecież twoja przyszła żona się nie dowie... W każdym razie nie ode mnie. Zaprosisz mnie na ślub?

– Mowy nie ma.

– Czy ona jest dziewicą?

– Chyba tak. A jeśli nie, to nie z mojej winy.

W Pałacu trwają ostatnie przygotowania do pierwszej wielkiej wymiany jeńców między Niemcami a Francją. Po dwa tysiące ludzi z każdej ze stron

– przede wszystkim niezdolnych do dalszej walki – wróci do domów. Król, jak zawsze, bardzo się interesuje sprawami biura. Ostateczne porozumienie zostanie podpisane za kilka tygodni w Genewie.

– Pojedziesz do Szwajcarii?

– Ktoś musi Waszą Królewską Mość godnie reprezentować.

– Chcesz wziąć ze sobą Blancę, jak ostatnio?

– Sądzę, że jeszcze nie odpoczęła po tamtej podróży. Poradzę sobie w pojedynkę.

O tym, co stało się w Wiedniu, Álvaro nie opowiedział nikomu, nawet swojemu przyjacielowi don Alfonsowi. Nie porozmawiał też – czego się wstydzi – z Blancą. Kiedy w noc sylwestrową król ogłosił jego zaręczyny z Adelą Espinosą, Blanca była na sali. Álvaro szukał jej spojrzenia, ale bez skutku. Uśmiechała się, dobrze maskując prawdziwe uczucia, jednakże Álvaro i tak wiedział, co się z nią dzieje. Wstyd mu, że okazał się tchórzem; że nie rozmówił się z nią wcześniej; że nie zapobiegł temu niepotrzebnemu okrucieństwu. Tak się oburzał na Carlosa, a wychodzi na to, że sam jest niewiele lepszy.

Wrócił do biura dopiero po święcie Trzech Króli i zastał Blancę pogrążoną w pracy, jak zwykle. Nie podniosła wzroku, gdy witał się z wszystkimi od progu, tylko wciąż wertując papiery, rzuciła mu zdawkowe „dzień dobry”. Potem zebrali się we troje z Manuelem: żadnego znaczącego spojrzenia, żadnej zmiany tonu, ani słowa, które nie wiązałyby się z ich obowiązkami. Álvaro obawia się, że nie zdoła się aż tak kontrolować, jeśli będzie miał szansę porozmawiać z nią sam na sam albo jeśli kiedyś przyjdzie im znowu razem podróżować. Myśli o niej każdego wieczoru przed zaśnięciem, każdego ranka po przebudzeniu i w ogóle w każdej chwili dnia, bez względu na to, co akurat robi. Ma okropne poczucie, że zachował się jak kanalia i że w imię reguł obowiązujących w jego sferze, w imię swoich niby-zobowiązań wobec Adeli marnuje własne życie, a może i życie Blanki.

* * *

– Nigdy nie byłeś w Madrycie?

– Raz, tuż po przyjeździe do Hiszpanii. Chciałem jechać bezpośrednio do Sewilli, ale pociąg z Paryża kończył bieg w Madrycie, więc zostałem tam tydzień, zanim ruszyłem dalej na południe. Chociaż stolica Hiszpanii nigdy mnie nie interesowała, ostatecznie z dużych miast znałem już Paryż. Większy, ciekawszy, bardziej kosmopolityczny... Madryt to sporych rozmiarów wioska. Ja chciałem poznać istotę Hiszpanii i znalazłem ją w Andaluzji.

Frank i Jean-Marie zaprzyjaźnili się na tyle, na ile to możliwe między więźniem i kimś, kto go w pewnym sensie pilnuje. Codziennie piją razem mocno posłodzoną kawę z mlekiem – bo taką właśnie lubi Francuz. Rozmawiają po hiszpańsku albo po francusku, choć Frank dba też o to, by Jean-Marie ćwiczył swój niemiecki. Wspominają Hiszpanię, mówią o tym, jak bardzo chcieliby tam po

wojnie wrócić.

– W dzieciństwie niejednokrotnie słyszałem, jak jeden z przyjaciół mojego ojca opowiada mu o Sewilli. Rodzice wieczorem zawsze posyłali mnie do łóżka, ale potem jeszcze podkradałem się pod drzwi salonu. Tamten gość, jak trochę wypił, zaczynał rozprawiać o Andaluzji. Sewilla była w moich oczach najbardziej egzotycznym miejscem na świecie. Gdybym nasłuchał się wtedy o Tahiti, pewnie to tam bym ostatecznie wylądował, jednakże mowa była o flamenco, pięknych kobietach, gitarach... Pokochałem tę muzykę, zanim się z nią zetknąłem.

– Tahiti leży na końcu świata, może wojna by cię tam nie dopadła. Siedziałbyś sobie teraz pod palmą, schnąc po morskiej kąpieli i malując...

– I ciesząc się wdziękami tamtejszych kobiet. Nie zapominaj o tamtejszych kobietach.

– Nie zapominam.

– A ty? Czemu nie trafiłeś na żadną odległą wyspę?

– Ze mną było inaczej. Pracowałem w ambasadzie Niemiec w Paryżu, kiedy nagle się dowiedziałem, że przenoszą mnie do Madrytu. Prawie się popłakałem. Przez pierwsze pół roku nie przestawałem się skarżyć.

– A potem?

– Potem pokochałem Hiszpanię. I kogoś w Hiszpanii.

Jean-Marie domyśla się seksualnych preferencji swojego rozmówcy i nie zadaje niewygodnych pytań. Przede wszystkim z obawy, że mógłby stracić dostęp do cukru, ale również dlatego, że naprawdę polubił te pogawędki z Frankiem. Gdyby żyli w innych czasach, rzeczywiście mogliby zostać przyjaciółmi.

– Ktoś na ciebie w Hiszpanii czeka?

– Żona i syn. Albo córka, nie mam pojęcia, nie byłem już przy narodzinach. A na ciebie?

– Nie wiem, chyba nie. Kilka miesięcy temu spotkałem się z tą osobą, która na mnie wcześniej czekała. Wszyscy bardzo się zmieniliśmy. Masz szczęście, że twoja żona mieszka w Sewilli, tam czas się zatrzymał.

– Wysłałem jej przez pewną pielęgniarkę list, ale nie dostałem odpowiedzi. Nic w tym zresztą dziwnego. Zakładam jednak, że Carmen wciąż mieszka z rodziną, może nawet uważa się za wdowę. Pewnie próbowała mnie odnaleźć, ale to już tyle lat... Może uznała mnie za zmarłego i znów wyszła za mąż... Kiedy się poznaliśmy, była obiecana komuś innemu. Kto wie, co się tam dzieje.

– Ta wojna kiedyś się skończy. A żona z pewnością o tobie nie zapomniała. Myśl o tym, myśl o powrocie. Tylko to nam pozostało, przeżyć i spróbować odzyskać to, co straciliśmy.

Jean-Marie, choć jest w Berlinie od dawna i codziennie ma do czynienia z Niemcami, w bliższy kontakt raczej z nimi nie wchodzi. Tak naprawdę miał okazję porozmawiać tylko z dwoma: z Ottonem i teraz z Frankiem. Niejednego za

to zabił, wielu próbowało zabić jego. Przy czym ani on, ani tamci nie robili tego z nienawiści; po prostu wypełniali rozkazy. A Otto i Frank bardzo mu pomogli i chętnie by im się za to odwdziaczył. Ciekawa rzecz: mimo wszystko ich wręcz polubił. W ogóle od jednostek – jeśli w grę nie wchodziły wytyczne z góry – zaznał więcej dobrego niż złego. Nie dość zatem, że wszyscy tracą cenne lata swego życia, pozbawieni widoku swoich dorastających dzieci, to jeszcze postępują wbrew sobie. Po wojnie, jeśli uda się ją przetrwać, trzeba będzie zadbać, by to rozpętane przez wojskowych szaleństwo nigdy więcej się nie powtórzyło. Nigdy więcej.

– Obraz jest gotowy.

– Nie... Nie możesz go skończyć.

Jean-Marie przeciągał sprawę, ile mógł, dbając, by generał Köhler jednak widział jakieś postępy.

– Przestaniesz teraz do mnie przychodzić?

– Nie mam wyboru. Jestem więźniem, trudno mi prowadzić życie towarzyskie...

Gretchen uważnie przypatruje się obrazowi. Przed ukończeniem nie chciała go oglądać: Jean-Marie zasłaniał go przed nią prześcieradłem. Teraz patrzy na swój wizerunek: jest naga, leży na szezlongu. Biel jej skóry kontrastuje z czarnym obiciem mebla; długie jasne włosy rozkładają się na nim wachlarzem. O żadnej skromności nie ma tu mowy: między rozsuniętymi nogami dokładnie widać części intymne. Nie da się tego powiesić w salonie i pokazywać gościom.

– Wyglądam jak prostytutka. Ale ładna prostytutka.

– Bardzo ładna.

– Jak na to zareagował mój mąż?

– Jest zadowolony. Chciałem nawet to i owo zasłonić, ale poprosił mnie, żebym tego nie robił. Powiedział, że życzyłaś sobie pozować nago, więc ci się spodoba.

– Owszem, to płótno jest tak bezwstydne, że aż oryginalne. Ładniejsze niż tamto z tą twoją Cyganką?

– Oba są ładne, każde na swój sposób.

Jeszcze uprawiają seks – może po raz ostatni. Jean-Marie zdaje sobie sprawę, że straci swoją względną popołudniową swobodę i wszelką szansę ucieczki, lecz w zamian za to zyska spokój, nie będzie się ciągle bał, że generał przyłapie ich z Gretchen in flagranti.

– Poproszę męża, żeby pozwolił ci namalować jeszcze jeden mój portret. Tym razem do jego gabinetu.

– Proszę, nie rób tego.

– Nie chcesz mnie więcej widywać?

– Generał zacznie coś podejrzywać. Każe mnie zabić.

– Nie, jeśli zaczniesz coś podejrzewać, zabije cię własnymi rękami. Zresztą i tak zginiecie, nie rozumiesz tego? Myślisz, że inaczej by się zgodził na takie eksperymenty? Że oglądałbyś mnie gołą, gdybyś miał przeżyć? Mój mąż jest niemieckim generałem, a nie przedstawicielem paryskiej bohemy. No i wy za dużo wiecie. Jeśli chcesz przetrwać, masz tylko jedną możliwość: musisz dalej tu przychodzić i któregoś razu uciec.

– Dlaczego mi to mówisz?

– Żebyś mógł uciec.

– A nie mógłbym dzisiaj?

– Nie, powinieneś się przygotować. Przy okazji namalujesz kolejny obraz.

– Więc pomożesz mi się stąd wyrwać?

– Jestem Niemką, nie mogę ci pomóc. Ale moja matka jest Francuzką i dlatego ci nie przeszkodzię.

* * *

– Z uwagą czytaliśmy pańskie artykuły. Odnosimy wrażenie, że w ostatnim czasie zaczął pan sprzyjać naszym wrogom.

Gonzalo, żeby móc uprawiać dziennikarstwo w Berlinie, potrzebuje zgody niemieckiego Ministerstwa Wojny. Jeśli nie przekona siedzącego naprzeciwko urzędnika, będzie musiał wracać do Paryża albo Madrytu.

– Jestem dziennikarzem, w Paryżu opisywałem to, co tam widziałem. Niewykluczone, że w Berlinie zobaczę wszystko z nowej perspektywy.

– Dobrze pan mówi po niemiecku. Gdzie się pan nauczył?

– Mówię dużo gorzej, niżbym chciał, ale uczę się od dawna, znałem wielu Niemców.

– Jakieś nazwiska?

Czy powinien wspomnieć o Franku Heimerze? Lepiej nie, nie wiadomo, co się z nim dzieje. W ogóle nie należało wyskakiwać z tymi znajomymi Niemcami. Frank, choć wciąż trudno w to uwierzyć, jest szpiegiem – czy raczej był, bo może już nie żyje. A nawet jeśli żyje, pewnie go nienawidzi za to, co stało się w Dover.

– Nie chodziło mi o nikogo konkretnego, mój ojciec jest generałem hiszpańskiej armii i zawsze bardzo podziwiał Niemców. Miał znajomych w ambasadzie Niemiec w Madrycie i czasem zapraszał ich wraz z żonami do nas. To pozwalało mi ćwiczyć.

Urzędnik nie draży tego tematu, najwyraźniej uznał odpowiedź za wystarczającą.

– Pańskie artykuły mają się ukazywać również w prasie amerykańskiej.

Gonzalo nie miał pojęcia, że Niemcy o tym wiedzą; zresztą, nic w tym dziwnego, ich szpiegdy nie próżnują. Trzeba jakoś wybrnąć.

– To wynik czysto biznesowego porozumienia zawartego przez moją gazetę z kilkoma amerykańskimi. W żaden sposób nie wpłynie ono na mój ogląd sytuacji.

Zresztą, jak może pan zauważyć, ja skupiam się na ludziach, nie wdaję się w rozważania natury strategicznej, takie rzeczy zostawiam wojskowym. Nie kryję natomiast, że liczę na amerykańskie honoraria.

Uśmiech urzędnika, który, jak wszyscy, słyszał o płynących strumieniami dolarach, świadczy o tym, że Gonzalo utrafił we właściwy ton.

– Poza tym Stany Zjednoczone wciąż nie są z Niemcami w stanie wojny.

Gonzalo jest w Berlinie od dwóch dni i ciągle mieszka w jednym z wielu hoteli przy placu Poczdamskim; ten akurat nazywa się Palast i stoi bardzo blisko stacji, na której Gonzalo wysiadł, jak również nieopodal hotelu Esplanade, skąd nie tak dawno pisała do niego Blanca. Jeśli Ministerstwo Wojny wyda mu zezwolenie, będzie mógł rozejrzeć się za jakimś zaciszniejszym lokum. Potem skupi się na pisaniu, kontaktach z Anglikami, przeglądaniu przywiezionych z Paryża papierów Raúla Coronado i... na szukaniu Franka. Ma wiele na głowie, lecz najpierw musi poradzić sobie tutaj.

– Pańskie artykuły będą przechodziły przez naszą cenzurę.

– To niezgodne z prawem.

– Trwa wojna, nie wszystkie prawa w pełni obowiązują. Jeśli nie zechce pan się dostosować, wróci pan do siebie.

– A zatem nie mam wyboru.

Oczywiście wiedział o tej cenzurze, we Francji też tak było, pomyślał jednak, że jeśli zaprotestuje, wypadnie bardziej wiarygodnie. Tak czy owak nie zamierza przecież pisać tekstów dotyczących działań wojskowych; jak – zgodnie z prawdą – powiedział urzędnikowi, interesują go raczej poszczególni Niemcy, ich życie i punkt widzenia. Więcej mówią o wojnie łzy dziewczyny, która żegna wyjeżdżającego na front chłopaka, niż jakiegokolwiek statystyki. Przy czym akurat tego nigdy nie pojmą wojskowi cenzorzy.

Pragnęłyby, żeby ta rozmowa wreszcie się skończyła.

– Wydamy panu zezwolenie. Proszę pamiętać, że nie wolno panu opuszczać Berlina bez specjalnej przepustki, musi pan przedkładać nam wszystkie swoje teksty i odnawiać otrzymane dziś zezwolenie co piętnaście dni. Niedopełnienie któregokolwiek z tych obowiązków będzie skutkowało wydaleniem z Niemiec.

Podczas szkolenia zalecono mu – oprócz mnóstwa innych rzeczy – by poszukał sobie w Berlinie ustronnego domu w spokojnej dzielnicy; koniecznie z piwnicą i podjazdem. To w tej chwili najpilniejsze.

W hotelowej recepcji czeka na niego koperta; w środku jest tylko adres – przy Marienstrasse – i tyle.

– Przyniósł to jakiś żołnierz, ordynans. Powiedział, że spodziewa się pan tej wiadomości.

– Dziękuję.

Pod numerem szóstym przy Marienstrasse mieści się dokładnie taki dom,

jakiego Gonzalo szuka; tabliczka obwieszcza, że jest do wynajęcia. Okazuje się w pełni umeblowany, czysty, nie za drogi i dostępny od zaraz. Wygląda na to, że Gonzalo ma w Berlinie anioła stróża.

Czego natomiast nie ma – to pojęcia, że całkiem nieopodal znajduje się mieszkanie odziedziczone po rodzicach przez Franka; to samo, w którym młody Heimer pobierał tak często później wspomniane lekcje gry na fortepianie.

Na razie, póki nie otrzyma dalszych instrukcji, Gonzalo będzie tylko pisał swoje artykuły i czytał notatki Raúla. Potem, gdy zaczną sływać rozkazy, może zrobić się niebezpiecznie. Ale nie ma odwrotu; zresztą Gonzalo naprawdę chce się choć trochę przyczynić do tego, by wojna dobiegła końca.

Pierwszy tekst poświęci zdumiewającej niemieckiej dyscyplinie. Odnosi wrażenie, że ludzie wokół znoszą wszystkie trudności z niesłychanym spokojem. Niemcy może i nie mają w tym konflikcie racji, ale i tak są godnym podziwu narodem.

* * *

– Ta wariatka mówi, że wyjeżdża. Razem z małą. Blanco, przemów jej do rozsądku.

Blanca rzadko może zaznać spokoju. Jak nie ma kłopotów w biurze, to martwi się Manuelem; jak nie Manuelem, to Álvarem, Elisą... Dziś dla odmiany problemy pojawiły się w domu – chodzi o Ramonę i jej córkę Alicię.

– Jak to: wyjeżdża?

– Chce wracać w swoje strony.

– Papa już z nią rozmawiał?

– Ramona nie życzy sobie żadnych rozmów. Mówi, że już podjęła decyzję i rusza jutro z rana.

Matka Alicii wielokrotnie wspominała o miejscu, gdzie się urodziła: jakimś miasteczku pod Segovią, Blanca nie pamiętała jego nazwy. Ludzie żyją tam z hodowli bydła i zgodnie z nostalgiczną wizją Ramony wciąż tylko organizują odpusty, pieką w ogniu kasztany i kąpią się w rzece. To stamtąd Ramona знаła Basilia, w którym się zakochała i z którym ma Alicię; tyle że on już był żonaty i dzieciaty, zresztą mieszkał tuż obok... Uciekli razem do Madrytu i mimo nadziei na lepszy los skończyli w Las Injurias. Wiele razem znieśli, Ramona zaszła w ciążę... Aż Basilio pewnego dnia znikł bez śladu. Ramona, samotna i zhańbiona, została w Las Injurias bez grosza przy duszy. Długo nie miała odwagi wrócić do siebie, do pełnych potępienia sąsiadów. Teraz jednak się zdecydowała i może to jednak dobrze dla jej córki: Alicia ma tam dziadków, prawdziwych, a nie przyszywanych jak markizostwo Alerces, nawet jeśli ci bardzo się starają... Może tak będzie dla wszystkich najlepiej.

– Mamo, Ramona zapewne wie, co robi.

Blanca idzie do ogrodu. Jej ojciec jak zwykle, gdy chce pomyśleć, pracuje

przy swoich kwiatach.

– Co ty o tym wszystkim sądzisz?

– Jest mi smutno, bo bardzo się do Alicii przywiązaliśmy. Ale to córka Ramony.

– Mama chyba tego nie rozumie.

– Zrozumie. Obiecuj jej tylko wnuka, a zobaczysz...

Don Jaime już postanowił pomóc Ramonie w dotarciu na miejsce.

– Damy jej trochę pieniędzy, żeby małej niczego nie zabrakło. No i zawieziemy je z twoją matką własnym samochodem, przecież to nie tak daleko. Potem od czasu do czasu będziemy się tam wybierać w odwiedziny. Czyste wiejskie powietrze dobrze mojej żonie robi...

– W teorii to takie proste.

– W praktyce też. Po prostu sami wszystko niepotrzebnie komplikujemy.

Wieczorem Blanca zagląda do pokoju Alicii. Wkrótce znikną stamtąd jej książeczki i zabawki, jej śmiech...

– Podobno jedziesz do dziadków.

– Mama mówi, że tam w wiosce jest bardzo ładnie, że są kury i osiołek, i że będę mogła na nim jeździć. Ale nie wiem, czy chcę się stąd wyprowadzać.

– Będziemy cię odwiedzali. I kiedyś mi pokażesz, jak się jeździ na osiołku, zgoda?

Rozstanie z Ramoną i Alicią to wyjątkowo smutny moment. Jest akurat sobota; Blanca już z rana wysłała do Manuela wiadomość, żeby i on mógł się pożegnać. Cały bagaż załadowano tymczasem do niebieskiego oldsmobile'a, nowego auta don Jaimego. Doña Ana naprawdę zdecydowała się wziąć udział w wyprawie.

– Blanco, pamiętaj, że obiecałaś nas odwiedzać.

– Oczywiście. A ty nauczysz mnie jeździć na osiołku.

Później Blanca i Manuel zostają w pałacyku sami. Siadają w ogrodzie, żeby napić się lemoniady. Po raz pierwszy od długiego czasu są tylko we dwoje. Blanca, choć szanuje decyzję Ramony, nie potrafi odegnać przygnębienia. Manuel usiłuje ją jakoś rozweselić.

– To rzeczywiście piękny ogród.

– Ja już tego prawie nie zauważam. Wszystko tutaj jest zasługą papy.

– Kiedy stykasz się z czymś pięknym na co dzień, przestajesz to widzieć.

Dlatego trzeba sobie o tym przypominać. Ja, na przykład, każdego ranka powtarzam sobie w duchu, jaka jesteś śliczna.

Manuel mówi to żartobliwie, dla podniesienia Blanki na duchu. Znają się niemal od trzech lat i bardzo przyjaźnią; mają też za sobą chwile przemilczanego zakochania, oddalenia, złości...

– Amerykanie ogłosili, że wreszcie przystępują do wojny.

– Tak, teraz to już nie potrwa długo. Co będziesz robić później?
– Nie wiem, znajdę sobie jakąś inną pracę... Na pewno nie zamierzam wieść beczynnego życia panienki z dobrego domu. A ty?

– Chyba wyjadę z Hiszpanii. Może do Argentyny. Albo jeszcze lepiej do Brazylii.

– Do Brazylii? To jadę z tobą.

Śmieją się, żadne nic nie wie o Brazylii; to zbyt daleko, zbyt egzotycznie. I może właśnie o to chodzi, może na drugim końcu świata dałoby się zapomnieć.

– Twoi dawni towarzysze się odzywają?

– Tak, bez przerwy. Zostawiają mi wiadomości, składają wizyty... Ale nie martw się, nie zmieniłem zdania. Wciąż nie mam w planach zamachu na króla.

– Wiem.

Manuel niespodziewanie gładzi dłoń Blanki; ciągle siedzą na ławce w ogrodzie.

– Jak się nazywają te kwiaty?

– Nie mam zielonego pojęcia.

Blanca nie usuwa ręki, podoba jej się ten dotyk. Gdyby wcześniej nie byli tak ostrożni, tak tchórzliwi... Manuel wielokrotnie żałował, że się cofnął tamtego wieczoru, gdy go pocałowała. Czego więcej mu było trzeba? Po co tyle się nad wszystkim zastanawiać?

– Nie pocałujesz mnie?

– A chciałybyś?

– Tak.

Idą razem na górę, do pokoju Blanki. Na szczęście nie spotykają po drodze nikogo ze służby.

– Blanco, jesteś pewna?

– Mógłbyś przestać zadawać pytania?

Blanca wolałaby o tym nie myśleć, ale nie potrafi: to już drugi jej mężczyzna. Drugi, którego całuje, pieści, przyjmuje w siebie... Bardzo się od siebie różnią: Álvaro jest czulszy, Manuel – bardziej szorstki; Álvaro – bardziej skupiony na partnerce, Manuel – skłonny do dominacji... Blanca wie, że niedobrze jest tak porównywać, lecz nie może się pozbyć wrażenia, że Álvaro był lepszym kochankiem.

– To nie jest twój pierwszy raz.

– Twój też nie, a jakoś nic na ten temat nie mówię.

– Masz rację, przepraszam.

Gdy kończą i przez chwilę leżą bez ruchu, Blanca uświadamia sobie, że nie o to chodzi. Álvaro wcale nie jest lepszym kochankiem; po prostu ona jest w nim zakochana.

* * *

– Don Diego jeszcze nie przyszedł.

Carmen jak każdego poniedziałku zjawia się w mieszkaniu przy ulicy Segowia. Słowa kobiety, która jej otwiera, mocno ją dziwią: do tej pory Diego zawsze był pierwszy. Może jednak nie ma powodu do zmartwienia, może coś się stało w sklepie. Korzystając z okazji, zrobi kochankowi niespodziankę: będzie na niego czekać nago w łóżku. Mężczyźni uwielbiają oglądać ją nago, choć tylko nieliczni widzieli ją tak na żywo; większość jedynie na obrazach lub na filmie nakręconym przez markiza Albero.

Patrzy na siebie w lustrze i nie całkiem się sobie podoba: tak, jest szczupła, ma długie, może nawet zbyt długie nogi, mimo przebytej ciąży wciąż płaski brzuch, duże i jędrne piersi, silne, ale nie nazbyt szerokie plecy, smukłą szyję, mało owłosienia... A jednak nie wydaje się sobie ładniejsza niż dawne przyjaciółki z Sewilli, o nieco bardziej zaokrąglonych kształtach. Tak czy owak mężczyzn jej ciało zachwyca, a ją, szczerze mówiąc, zachwyca ich zachwyt.

Pokój niewiele różni się od tamtego przy ulicy Bordadores; jedyna, lecz w oczach Carmen fundamentalna różnica polega na tym, że tutaj nie ma nad łóżkiem krucyfiksu. No i właścicielka mieszkania jest tym razem dużo młodsza; wynajmuje ten pokój na godziny, korzystając z tego, że w purytańskim, a pełnym hipokryzji Madrycie nie brakuje grzeszników. Carmen wygląda przez okno, przez które widać to samo co zwykle w tym mieście: ludzie chodzą w tę i z powrotem, jakby nie mieli nic innego do roboty, samochody i tramwaje elektryczne mijają się z wozami ciągniętymi przez muły... Jakiś młody mężczyzna przystanął, gapiąc się prosto w okno, w którym stoi Carmen. Przecież jest naga! Nakrył ją. Uśmiecha się do niego, po czym zaciąga zasłonę. Tęskni za znacznie spokojniejszą Sewillą; nie powinna była wyjeżdżać od brata...

Po godzinie czekania jest już naprawdę zaniepokojona i zaczyna się zbierać. Czy ma teraz zapłacić za pokój? Nie wzięła pieniędzy. Co się dzieje z Diegiem?

Po półtorej godziny wychodzi do salonu, gdzie gospodyni mieszkania jak zwykle robi na drutach.

– Idzie już pani?

– Mój znajomy się nie zjawił... Przykro mi, nie mogę dziś pani zapłacić.

– Mam nadzieję, że wszystko się wyjaśni. Don Diego to poważny człowiek.

– Proszę się nie martwić. Coś musiało mu wypaść, w przyszły poniedziałek na pewno ureguluje rachunek.

– Ale gdyby nie... Znam innych mężczyzn, którzy chętnie zrobią to za niego. Jeśli jest pani zainteresowana.

W Las Injurias czeka na nią Murcjanka – z wieściami o Diegu.

– Chodzi o jego żonę. Umarła dziś rano.

– Umarła?

– Całkiem nagle. Jak chłopak ze sklepu dotarł tu z informacją, ciebie już nie było. Nie wiedziałam, gdzie cię szukać.

Diego owdowiał. Tego się nie spodziewała. Któregoś popołudnia, gdy leżeli w łóżku, powiedział, że gdyby nie był już żonaty, toby się jej oświadczył. Carmen uznała, że to żart; nie zależy jej na formalnościach, zresztą sama przecież ma męża, nawet jeśli nie wie, czy on żyje, i w ogóle w świetle prawa nigdy nie została jego żoną.

Waha się, czy powinna pójść na pogrzeb, ale Murcjanka przekonuje ją, że tak. To już następnego ranka. Stopniowo dowiadują się szczegółów: żona Diega przewróciła się, obsługując klientów w sklepie. Nie dało się jej uratować. Diego zawsze przedstawiał ją jako osobę bardzo poważną, bardzo religijną i surową, niezdolną do śmiechu i do wybaczenia ludziom błędów.

Diego jest bardzo elegancki w czarnym garniturze; do twarzy mu też z nitkami siwizny we włosach. Przyjmuje niekończące się kondolencje. Murcjanka i Carmen czekają na swoją kolej. Carmen nie ma pojęcia, co mu powie.

– Przykro mi.

– Nie dałem rady wtedy przyjść, wybacz.

– Nic się nie stało.

– Za dwa albo trzy dni przyjadę po ciebie.

„Przyjadę po ciebie”... Co to znaczy? Chyba chciał powiedzieć, że przyjedzie do niej – żeby porozmawiać. A jednak powiedział: „po ciebie”.

* * *

– Blanco, muszę z tobą porozmawiać. Zajrzysz do mnie do gabinetu?

Idąc do niego, Blanca nie potrafi się nie denerwować. Od kiedy zrozumiała, że nie będą wracać do tego, co stało się w czasie podróży, i że wszystko skończone, starała się unikać takich sam na sam. Właśnie po to, żeby nie trząść się tak jak teraz.

– Jak wiesz, w przyszłym miesiącu zostanie sfinalizowana wymiana niemieckich i francuskich jeńców, pierwsza tak duża. Król chce, żebym pojechał do Genewy na podpisanie ostatecznych porozumień.

– Wszystko jest gotowe, dokładnie sprawdziliśmy dokumentację. To na pewno będzie wielki sukces i początek nowego etapu naszej pracy.

– Don Alfonso zasugerował, że twoja obecność bardzo by się w Genewie przydała.

Nie, ona nigdzie z nim więcej nie pojedzie. Bardzo jej przykro, ale ma w nosie opinię króla. Nie pojedzie i już.

– Nie może mnie pan o to prosić, don Álvaro.

Wraca do formy grzecznościowej, z której zrezygnowali oboje dawno temu, żeby zasygnalizować zmianę, jaka między nimi zaszła. Ma wielką ochotę go

zranić, zawstydzić; wcześniej nad sobą panowała.

– Poza tym nie sędzę, by pańska narzeczona była zadowolona z tego, że podróżuje pan z inną kobietą.

Álvaro spuszcza wzrok.

– Powinienem był ci powiedzieć. Nie wiedziałem jak. Bardzo mi przykro.

– Nie ma o czym mówić. Nie ma pan nawet prawa prosić o wybaczenie.

A do Genewy nie pojedę.

Blanca wstaje i wychodzi, nie czekając na odpowiedź. Przemierza salę, w której stoi jej biurko, mija też Manuela i idzie dalej. Opuszcza Pałac i siada na ławce – tej samej, na której siadywała wcześniej kilka razy ze swoim przyjacielem anarchistą. Myślała, że się rozplacze, ale nie. Na placu Oriente w ten słoneczny wiosenny dzień pełno jest ludzi. Zawsze ją dziwiło, że te dwa tak różne światy – Pałac i ulicę – dzieli tak niewielka odległość. Wiadomo, że król czasem wygląda przez okno, obserwuje zwykłych ludzi, zwłaszcza ładne dziewczyny. Może teraz zresztą też patrzy. Blanca postanawia, że dziś już nie wróci do pracy; ma dosyć.

Nie była tu od wielu miesięcy, może nawet rok cały, jednakże wcześniej odwiedzała to miejsce bardzo często, doskonale pamięta adres.

– Panienska Blanca! Jak miło panią widzieć.

Delfina, służąca Fuentesów, zawsze ją lubiła – z wzajemnością.

– Panienska Elisa jest w swoim pokoju. Proszę przejść do salonu, zaraz ją poproszę.

Salon w tym domu to smutne pomieszczenie: meble są ciemne i niewygodne, na ścianach wiszą nieliczne zdjęcia zmarłej przed laty żony generała, jego samego i Elisy; fotografie Gonzala znikły. Elisa zawsze twierdziła, że ich dom zmienił się po śmierci matki, ale to nieprawda. Blanca pamięta, że zawsze taki był, ponury i zimny jak jego gospodarz.

– Cześć.

Tylko tyle. Zresztą nie spodziewała się niczego więcej.

– Od dawna nie miałam od ciebie wieści, więc postanowiłam zajrzeć.

– Napijesz się kawy?

Przynajmniej nie została wyrzucona za drzwi. Przez chwilę obawiała się i tego.

– Tak, chętnie.

W dawnych czasach trajkotałyby już w najlepsze, przeskakując z tematu na temat; teraz ostrożnie czekają, aż to ta druga zacznie rozmowę.

– Cóż... Więc co słyhać?

– Przygotowuję się do ślubu.

– Do ślubu?

– Tak, wychodzę za Carlosa. Jeszcze nie ustaliliśmy daty. Jak sama

rozumiesz, nie zostaniesz zaproszona.

– Tak, rozumiem... Nie wiedziałam, że znów jesteście razem.

– Nie muszę ci się spowiadać ze swojego życia. Poza tym nigdy nie przestaliśmy być razem. Carlos jest po prostu zagubiony, tak samo jak wtedy, kiedy chciał się żenić z tobą. Wybacz, że ci to powiem, ale on nigdy cię nie kochał. Był z tobą, żeby znaleźć się bliżej mnie.

– Nie powinnaś jeszcze przemyśleć tego ślubu?

– Wszystko zostało już dokładnie przemyślane. A teraz przepraszam, mam dużo na głowie.

– Nie dostałam jeszcze kawy.

– Kiedy indziej się napijemy.

Elisa wydaje się całkiem oderwana od rzeczywistości. Co się w takich sytuacjach robi?

* * *

– Czy zamierzają nas po wojnie zlikwidować?

Frank prawie krztusi się kawą, którą jak każdego ranka popija w towarzystwie Jeana-Marie.

– Skąd to pytanie? Też pomysł!

Nikt mu nic takiego nie mówił. Generał Köhler pierwszego dnia wspomniał o czymś podobnym, ale przecież to niemożliwe. Niemcy są cywilizowanym narodem, nie dopuszczają się takich okrucieństw. Ba, gazety rozpisują się ostatnio o planowanej wymianie jeńców z Francją. Wielu ludzi wróci do domu. Kraj, który potrafi jeszcze w trakcie wojny uwalniać niezdolnych do dalszej walki wrogów, nie będzie przecież zabijał jeńców już po podpisaniu pokoju. Frank jest tego pewien.

– Oczywiście, że nikt was nie zamierza likwidować. Myślisz, że gdyby istniał taki plan, karmiliby was równie dobrze? I dawaliby wam do dyspozycji piecyki? A ty malowałabyś żonę jednego z generałów?

Generał Köhler powiadomił Jeana-Marie przez Franka, że zgadza się na kolejny obraz przedstawiający Gretchen.

– Najwyraźniej twoje płótna bardzo im się podobają. Tyle że mamy teraz dużo pracy tutaj, będziesz mógł się wyrwać jedynie dwa razy w tygodniu.

Jean-Marie nie rozumie postępowania Gretchen, która z jednej strony chyba go ceni i wiele ryzykuje, by się z nim spotykać, a z drugiej traktuje go jak seksualnego niewolnika.

– Pomyślałam, że mógłbyś mnie tym razem namalować w sukni ślubnej.

Znów znalazł się w willi generała, ale coś się zmieniło: jeden z żołnierzy z obstawy też wszedł do środka; uzbrojony i czujny siedzi za drzwiami. Poza tym Jean-Marie jest teraz przewożony w kajdankach.

– Ten żołnierz będzie tak siedział?

– Mój mąż boi się, że uciekniesz.

Nie uprawiają już seksu, przeciwnie, Gretchen nabrała dystansu. Jean-Marie maluje ją najlepiej, jak potrafi, bez pośpiechu.

– Podobno mogę tu przyjeżdżać tylko dwa razy na tydzień.

– To zdecydowanie wystarczy.

Kiedy kończą, żołnierz wchodzi do pokoju i zakuwa malarza w kajdanki. Teraz, gdy ucieczka stała się właściwie niemożliwa, Jean-Marie nabrał pewności, że powinien uciekać, nawet jeśli Frank twierdzi, że nie ma powodu do obaw.

* * *

– Manuelu, Marcos od kilku dni nie pojawił się w domu. Jego matka bardzo się martwi.

Manuel nie widuje go też ostatnio w biurze, choć wie, że chłopak wypełnia swoje obowiązki: listy są dostarczane i od razu rozdzielane wedle krajów, z których pochodzą, nie ma również opóźnień w odnoszeniu przesyłek na pocztę.

– Popytam kolegów.

Marcos nie jest już tym piętnastolatkiem, który na oczach Manuela ukradł kiedyś naszyjnik na jarmarku świętojańskim; ma osiemnaście lat i stał się dorosłym mężczyzną. Dzięki pracy w Urzędzie do spraw Ochrony Jeńców utrzymuje rodzeństwo i wciąż się uczy. Tak jak Manuel został anarchistą.

– Ale... Wiesz może, czy pokłócił się ostatnio z matką albo coś w tym stylu?

– Nie, po prostu mało bywa w domu. Jego matka sądzi, że mógł sobie znaleźć dziewczynę.

– To nie byłoby zbyt dobrze...

W biurze też nikt nic nie wie, poza tym, że Marcos zjawia się co dzień wcześniej rano, załatwia, co trzeba, po czym znika aż do późnego popołudnia, kiedy to wraca, by sprawdzić, czy nie ma znowu czegoś do zrobienia.

– Coś się stało?

To Blanca najczęściej przestaje z Marcosem i nic nie zauważyła. Bardzo jest z niego zadowolona.

– Znasz go przecież. Lubi swobodę i jak go nie ograniczasz, sam robi, co trzeba.

– Zakładam, że nic się złego nie dzieje, ale jego matka się martwi, bo mało go widuje.

– W takim razie znów poznał jakąś dziewczynę. Tak to z nim jest, wariuje na punkcie byle spódniczki.

Niewykluczone. Tak czy owak z pewnością nie ma powodu do zmartwienia. Marcos to już mężczyzna i najwyraźniej wyrósł na kobieciarza. Niemniej Manuel zrobił się w ostatnich czasach podejrzliwy.

Od kiedy popadł w konflikt z towarzyszami, nie pokazuje się w Ateneum przy Paseo de las Delicias, wie jednak, że Marcos zwykł tam spędzać całe godziny

na czytaniu wszelkich dostępnych materiałów o anarchizmie. Tak jak teraz.

- Podobno rzadko bywasz w domu.
- Jestem zajęty.
- Masz dziewczynę?
- Miewam wiele dziewczyn.

Marcos wydaje się skępowany, choć rozmawia z człowiekiem, który bardzo mu pomógł: wyciągnął go z więzienia i dał mu pracę. To znaczy, że intuicja Manuela nie zawodzi, dzieje się coś dziwnego.

– Nie chciałbyś mi o czymś opowiedzieć? Nie wpakowałeś się aby w jakieś tarapaty?

- Nie, skąd.
- Gdybyś jednak potrzebował rozmowy, to wiesz, gdzie mnie szukać.

Manuel martwi się po tym spotkaniu jeszcze bardziej. Nie potrafi zgadnąć, o co chodzi.

- Słyszałem, że był tu dziś Manuel. Gadał z tobą.

Luis Segura, wbrew temu, co sądzi Manuel, przebywa nie w Barcelonie, lecz w Madrycie. I ma oczy dookoła głowy. Także jeśli chodzi o Marcosa.

- Nic mu nie powiedziałem. On nic nie wie.
- Dobrze, ufamy ci. Ale buzia na kłódkę.
- Kiedy uderzymy?
- Cierpliwości, Marcos. Nawet nie wiem, czy się w ogóle zdecydujemy.
- Ale Manuelowi nic się nie stanie, prawda?
- Znam Manuela od dziecka, bardzo się z nim przyjaźniłem i będę się starał go chronić, ale jeśli zechce nam przeszkodzić w zamachu na Alfonsa XIII, mogę nie dać rady obronić go przed resztą towarzyszy.

* * *

– Odebrałem telegram od Álvara. Wymiana jeńców przebiegła pomyślnie, uznałem, że chcielibyście o tym wiedzieć.

Alfons XIII zażyczył sobie, by pod nieobecność Álvara z codziennym porannym raportem przychodziła do niego Blanca. W ten sposób daje jej do zrozumienia, że ją ceni i że wciąż żywo interesuje się działalnością biura, nawet jeśli już tam nie zagląda i nie czyta tego czy owego z napływających ciągle tysiącami listów. Zamiast półtuzina osób, jak na początku, Urząd do spraw Ochrony Jeńców zatrudnia teraz dziesiątki pracowników i wolontariuszy.

- Usiądź, proszę, i opowiadaj.

Król, jak zwykle, jest bardzo serdeczny i Blanca czuje się w jego gabinecie coraz swobodniej. Opowiada więc o sukcesach i porażkach biura, o tym, że nie udało się odnaleźć syna Rudyarda Kiplinga, o hiszpańskich lekarzach wojskowych, którzy na ochotnika zgłaszają się do służby na okrętach szpitalnych różnych

zaangażowanych w wojnę krajów.

– Chyba nie przypuszczaliśmy, że tak się to wszystko rozwinie, Wasza Królewska Mość.

– Musimy się zastanowić, jak kontynuować tę działalność już po zakończeniu wojny, żeby świat stał się choć trochę bardziej ludzki. Coś wymyślimy.

Kontynuować...? Blanca, wracając do biura, przypomina sobie, że w Szwajcarii, pod koniec podróży, którą odbyła z Álvarem Ginerem po Europie, słyszała o międzynarodowej organizacji, która miałyby rozstrzygać konflikty. Czy coś takiego jest w ogóle możliwe?

– Nie wiem, czy powinienem ci to proponować, nie obrażaj się, proszę, jeśli uznasz, że nie... Ale co ty na to, żebyśmy znaleźli jakieś miejsce, gdzie moglibyśmy się spotykać?

Manuel od dłuższego czasu chciał poruszyć z Blancą ten temat. Od tamtego jedyne go razu, gdy kochali się u niej w domu.

– Masz coś na widoku?

– Jeśli chcesz, to coś znajdę.

Blanca nie ma pewności, czy chce powtarzać tamto doświadczenie, lecz z drugiej strony bez wątpienia nie chce, by miłość do Álvara zbyt się w niej rozpanoszyła i przeszkadzała jej korzystać z życia. Ślub Álvara z Adelą Espinosą zaplanowano na październik. Trzeba o tym człowieku jak najszybciej zapomnieć; jak to mówią, klin klinem.

– Tylko błagam, niech to będzie coś w miarę przytulnego.

Kobiety takie jak ona nie bywają w pokojach wynajmowanych na godziny, choć doskonale wiedzą o ich istnieniu. Nie żeby nie mieszały kochanków, przeciwnie, Blanca jest przekonana, że mieszają bardzo często, tyle że wybierają ich sobie spośród mężczyzn ze swojej sfery, dysponujących odpowiednio urządzonymi miłosnymi gniazdkami, zamiast zadawać się z anarchistami bez dachu nad głową.

– A swoją drogą, znalazłeś Marcosa?

– Tak. I bardzo się o niego martwię. Dziwnie się zachowuje, coś mu jest, a ja nie wiem co. Ale może po prostu dorósł szybciej, niżbyśmy chcieli.

* * *

– Cześć, nie cieszysz się, że mnie widzisz?

Gonzalo jest ostatnią osobą, którą Frank spodziewałby się spotkać w Berlinie, w dodatku kilka metrów od wejścia do swego domu. Od czasu problematycznego spotkania w Dover obaj niejedno przeżyli.

– Poprosiłem o przeniesienie tutaj.

– Żeby mnie odnaleźć?

– Żeby zobaczyć koniec wojny z waszej perspektywy.

Ze świetnie kiedyś zaopatrzonej piwniczki Heimerów niewiele zostało, niemniej, ku zaskoczeniu Franka, uchowała się butelka koniaku Hennessy. Trzymał ją na specjalną okazję, a lepszą niż wizyta Gonzala trudno sobie wyobrazić.

– Dokładnie tak sobie to mieszkanie wyobrażałem, kiedy mi o nim mówiłeś.

W salonie stoją duże, stare, drogie meble, między innymi fotele w angielskim stylu; na podłodze leży dywan, który ojciec Franka przywiózł pod koniec dziewiętnastego wieku z Persji; jest tu też wielki kominek.

– Jak mnie znalazłeś?

– Muszę przyznać, że okazało się to prostsze, niż się spodziewałem. Zajrzałem do książki telefonicznej, było tam wprawdzie kilku Heimerów, ale pamiętałem, że wspominałeś kiedyś o Friedrichstrasse. Czasem strasznie wszystko komplikujemy... Skąd masz ten koniak?

– Teraz go już w Berlinie nie uświadczysz. Nie wiem zresztą, czy picie francuskich trunków nie jest aby aktem zdrady.

Siedzą w fotelach, daleko od siebie. Przed trzema laty taki dystans byłby nie do pomyślenia.

– Wciąż pracujesz dla Ministerstwa Wojny?

– Nie mogę z tobą o tym rozmawiać.

– Rozumiem, nie powinienem był pytać. Nie przyszedłem tu wyciągać od ciebie wojskowych tajemnic. Chciałem cię po prostu zobaczyć i przeprosić za to, co zdarzyło się w Dover.

– Zrobiłeś, co uważałeś za słuszne, może zresztą uratowałeś mi życie. Gdyby przyłapali mnie wtedy w tej fabryce samolotów, zostałbym natychmiast rozstrzelany.

– Słyszę, że nadal bardzo dobrze mówisz po hiszpańsku, chociaż niektóre wyrażenia dziwnie brzmią w twoich ustach.

– Cóż, miałem ostatnio okazję poćwiczyć. Poznałem francuskiego malarza, który przed wojną mieszkał w Sewilli.

– Jeńca?

– Tak, ale nie wolno mi o takich rzeczach mówić, naprawdę.

– To twój kochanek?

– Nie, nie mieszkam teraz kochanków. Miewałem w Paryżu, zresztą wiesz, bo trafiło to nawet do gazet... Lepiej zostawmy ten temat.

Lepiej nie wspominać kapitana Rogersa, podobnie jak Gustava Müllera, angielskiego rybaka, francuskiego żandarma... To pewnego rodzaju wojenne blizny.

– Pamiętasz Blancę Alerces? To ta przyjaciółka mojej siostry, moja zresztą też, która zostawiła narzeczonego przed ołtarzem...

– Jasne, pamiętam, to był niezły skandal.

– No więc Blanca pracuje teraz w Urzędzie do spraw Ochrony Jeńców, stworzonym przez naszego króla. Robią tam wspaniałe rzeczy.

Wydawać by się mogło, że to jedna z wielu uwag, które zaraz zostaną zapomniane; ale nie – informacja dotycząca Urzędu do spraw Ochrony Jeńców zapada Frankowi w pamięć i powróci jeszcze w tej rozmowie, później, kiedy wiele początkowych obaw zdąży się już rozproszyć. Koniak też stopniowo rozwiązuje języki.

– Czyli ta Blanca i jej koledzy pomagają jeńcom i ich rodzinom, tak? Myślisz, że mogliby przekazać komuś list? Ale w najściślejszej tajemnicy...

– Oczywiście. Chodzi o tego Francuza?

– Tak. On od początku wojny nie wie nic o swojej żonie, a ona nie ma nawet pojęcia, czy on żyje. Uważam, że jestem mu winien tę przysługę.

W warunkach wojennych kolacja w luksusowej restauracji niestety nie wchodzi w grę, lecz nic nie stoi na przeszkodzie, by zjeść z chlebem trochę sardynek, zapijając je resztką koniaku.

– Chyba się strasznie ululałem, nie wiem, jak trafię do domu.

– Więc śpij tutaj.

I oto ostatnie lata przestają się liczyć, wszystko wraca do punktu, w którym byli, gdy jeszcze w Madrycie Gonzalo pędził na ich nigdy nieodbyte spotkanie.

* * *

– Wyjść za ciebie...?

– Przecież ci mówiłem, że gdybym nie był już żonaty, dawno bym się ożenił z tobą. Nie mam zwyczaju rzucać słów na wiatr.

– Ale ja jestem mężatką, Diego.

Diego nalega.

– Chowałbym twojego syna jak własnego, Carmen, dałbym mu swoje nazwisko, gdybyś chciała... Sklep świetnie prosperuje, mogłabyś wreszcie wyprowadzić się z tej strasznej okolicy.

– Diego, ja już mam męża!

– Wiesz, że nie chcę zadawać ci bólu, ale twój mąż najprawdopodobniej zginął. Od lat nie dostajesz o nim wieści, w ambasadzie Francji też nie mają pojęcia, co się z nim stało.

– Mimo to wierzę, że on żyje.

Niemniej propozycja Diega jest kusząca: wspomnienie Jeana-Marie mocno się już zatarło i Carmen chętnie dałaby Juanowi ojca, którego nigdy nie miał, wraz z nim na zawsze porzucając Las Injurias; nie musiałyby już więcej prac w zimnej rzece i zamiast tego królowałyby w sklepie, zupełnie jak zmarła żona Diega, pośród półek z konserwami, słoikami, serami i słodyczami, którymi rozpieszczałaby Juana.

– Nie możemy się pobrać, ale to nie znaczy, że powinniśmy przestać się widywać. Wręcz przeciwnie.

Juan przyzwyczaiłby się do ojczyzny, a ona żyłaby wygodnie, wcale nie tęskniąc za domem brata w Sewilli.

Jakie są szanse na to, że Jean-Marie kiedykolwiek wróci do domu? Praktycznie zerowe. Zaraz jutro trzeba się znowu wybrać do Urzędu do spraw Ochrony Jeńców i o niego spytać, chociaż wiadomo, jaka będzie odpowiedź: nic się nie zmieniło. Tak czy owak należy im o sobie przypominać, na wypadek gdyby Jean-Marie Huguet pojawił się kiedyś na jakiejś liście.

– Ale ja nie chcę się z tobą widywać, chcę z tobą mieszkać, dzielić się obowiązkami i przyjemnościami...

– Podobno wojna niedługo się skończy, bo Amerykanie pokonają Niemców w kilka miesięcy. I wtedy, jeśli mój mąż nie wróci, my się pobierzemy.

– A do tego czasu?

– Możemy po prostu razem mieszkać.

Przeprowadzi się do niego, w oczach ludzi zostanie jego służącą i pomocnicą, a tak naprawdę – towarzyszką życia.

– A jeśli twój mąż wróci?

– Nie będę kłamać. Gdyby mnie nadal chciał, wyjadę z nim do Sewilli.

Mieszkańcy Las Injurias żegnają Carmen i Juana wielką fetą. Diego przywiózł słodycze dla dzieci i jedzenie oraz wino dla dorosłych; ktoś gra na gitarze, by Carmen mogła zatańczyć, czego nie robiła od ostatniego wieczoru spędzonego z Jeanem-Marie, tuż przed jego wyjazdem na front. Tylko Murcjanka, zamiast się bawić, rozmyśla, jak można na całej tej sytuacji skorzystać.

– Bo chyba będziesz nam pomagać...? Przynajmniej z mlekiem dla dzieci?

– Zrobię, co się da, ale pamiętaj, że będę tam zwyczajną pracownicą.

– Co do tego, to nie próbuj ani mnie, ani siebie samej oszukiwać.

Inni, jak choćby opiekunka Juana, dawna kubańska zakonnica, cieszą się, że ktoś zdołał wydobyć się z otaczającego ich bagna.

Marcos też się zjawił, ale jest milczący. Od wielu dni prawie się nie odzywa, jak gdyby przygnieciony jakimś ciężarem, który przeszkadza mu być tak jak dawniej beztroskim.

– Źle się bawisz?

– Wręcz przeciwnie. Moje gratulacje. Ale nie zapominaj o nas. Pamiętasz, jak cię spotkałem tamtego dnia, kiedy cię okradli?

– Jasne. Gdyby nie ty, nie przetrwałabym swojej pierwszej nocy w Madrycie.

– Pewnie, że byś przetrwała.

– Jestem twoją dłużniczką. Gdybyś mnie kiedyś potrzebował, z przyjemnością ci się odwdzięczę.

Las Injurias to najgorsza w Madrycie dzielnica nędzy, jednakże Carmen po

namyśle dochodzi do wniosku, że zaznała w niej więcej dobrego niż złego. A z Jeanem-Marie potrafiłaby tu być całkiem szczęśliwa.

Wóz Diega, używany zwykle do dostarczania towarów klientom, wiezie jej skromny dobytek na ulicę Hermosillo. Już jutro trzeba będzie kupić nowe ubrania dla siebie i syna, a większość starych wyrzucić. Niby to nie ślub, lecz Carmen czuje się tak, jakby wychodziła za mąż. Sama już nie wierzy, że Jean-Marie wróci.

* * *

– Sukienkę należy dostarczyć na ulicę Fuencarral, ale rachunek niech państwo wyślą, jak zwykle, Álvarowi Ginerowi. Oczywiście proszę dwukrotnie zawyżyć sumę, podzielimy się zyskiem.

Beatriz nie boi się już Carlosa; od miesięcy go nie widziała i nie miała od niego wieści. Z pewnością dawno o niej zapomniał i w ogóle nie było powodów do obaw. Álvaro przebywa w Szwajcarii i korzystając z tego, Beatriz stara się jak najbardziej obłowić. Ostatecznie jej dotychczasowy opiekun niedługo się żeni i być może zechce się jej pozbyć ze swego mieszkania. Jeśli ta wojna naprawdę się skończy, trzeba będzie spróbować szczęścia w Paryżu. W pierwszych miesiącach pieniądze bardzo się przydadzą. A potem – kto wie, może uda się załapać do Folies Bergère?

W Madrycie jest wiele sklepów, z którymi dziewczyny takie jak ona wchodziły w następujący układ: kupują ubrania, każą wysyłać zawyżone rachunki swoim protektorom, po czym dzielą się zyskiem ze sprzedającym w stosunku trzy do jednego. To, w połączeniu z prezentami od kochanka i dodatkowymi zarobkami, które stają się możliwe, gdy ten wyjeżdża albo ma na głowie rodzinę, często pozwala zgromadzić niewielką fortunę. Beatriz się jednak nie poszczęściło: Julián, ten, z którym nakrył ją Álvaro, zabrał jej wszystkie pieniądze. Przysięgła sobie, że tym razem będzie inaczej, zamierza pójść w ślady Mercedes Castro. Dużo o niej słyszała: podobno kiedyś nazywano ją Deputowaną, gdyż specjalizowała się w parlamentarzystach; teraz, zbliżając się do pięćdziesiątki, jest właścicielką kawiarni. Przy czym mówi się też, że przez jakiś czas była kochanką samego Alfonsa XIII, który obsypywał ją dynastycznymi klejnotami. Może to zresztą tylko plotka... Tak czy siak Mercedes Castro od dawna nie musi pracować, potrafiła się ustawić. I Beatriz zamierza zrobić tak samo.

Na ulicy Serrano, gdzie mieści się sklep, właśnie zaczęło padać. Beatriz chciała jeszcze zajrzeć do jubilera, aby obejrzyć pierścionek, o który poprosi Álvaro – to ma być prezent pożegnalny przed jego ślubem – jednakże lepiej to przelożyć na jakiś pogodniejszy dzień. Dobrze chociaż, że przezornie wzięła z domu parasol. Rozgląda się za taksówką, którą mogłaby wrócić na Fuencarral, lecz jak na złość żadna się nie pojawia. Łatwiej będzie złapać coś na Recoletos. Beatriz rusza przed siebie pustą o tej porze ulicą, która biegnie wzdłuż Biblioteki Narodowej.

Wciąż skupiona na wypatrywaniu taksówki nie zwraca uwagi na samochód, który zbliża się do niej z dużą szybkością. To czerwone renault coupé, model DeVille.

Uderzenie jest potężne. Beatriz pada na ziemię i już się nie podnosi. Nie ma świadków, auto pospiesznie odjeżdża.

Chociaż nie – świadek jest: to Elisa Fuentes. Jak zwykle szła na ulicę Magdaleny, by wypatrywać Carlosa z ukrycia. Była na rogu Recoletos i Villanuevy, kiedy minęło ją czerwone renault. Carlos pewnie by ją zauważył, gdyby nie skupił się na czymś innym. Elisa nie wątpi, że specjalnie przejechał tamtą kobietę, nawet nie próbował hamować ani jej wymijać.

Bezwładne ciało moknie teraz na środku ulicy. Buty leżą kawałek dalej, spódnica zadarła się nieprzystojnie. Elisa patrzy kobiecie w twarz i ją rozpoznaje: to jedna z kochanek Carlosa, jedna z tych, które przewinęły się przez mieszkanie przy Magdaleny. Nie dotyka jej, nawet się nie schyla. Kobieta najwyraźniej nie żyje.

– Zastąłem pana Ginera?

Nie jest rzeczą zwykłą, by w Urzędzie do spraw Ochrony Jeńców pojawiali się policjanci. Blanca, niespokojna o Manuela, natychmiast wychodzi mundurowemu na spotkanie.

– Wyjechał za granicę. W czym możemy panu pomóc?

– W ulicznym wypadku zginęła pewna kobieta. Wygląda na to, że mieszkała w lokalu należącym do don Álvara Ginera.

Jedynym znanym Blance przyjacielem Álvara jest król. Czy wypada go mieszać w taką sprawę?

– Beatriz Vargas? Tak, była jego znajomą. Wyślijcie mu telegram z wiadomością o jej śmierci. Kiedy miał wracać?

– Jutro.

– Aha, czyli telegramu już nie dostanie. Niech ktoś wyjdzie po niego na stację. I trzeba zachować dyskrecję. Adela Espinosa nie może o niczym wiedzieć.

Adela nie. Blanca – tak. Choć może ją boli to wszystko bardziej, niż zaboląoby tamtą.

Manuel i Blanca idą na pogrzeb zamiast Ginera, którego jeszcze nie ma w Madrycie. Nikt inny się nie zjawił, by pożegnać Beatriz, żadni znajomi, krewni, koledzy z teatru. Nikt...

Ksiądz mamrocze zwyczajowe formułki, a Blanca zastanawia się, kim była ta kobieta. Że Álvaro ma narzeczoną ze swojej sfery – to wiedziała; ale że w dodatku miał kochankę – to bardzo niemiła niespodzianka. Więcej go łączy z Carlosem, niż Blanca przypuszczała... Przynajmniej Manuel jest inny.

– Znalazłeś jakieś miejsce, gdzie moglibyśmy się widywać?

– Wystarczająco dobrego dla ciebie to nie.

Po południu, zgodnie z poleceniem Alfonsa XIII, muszą odebrać z dworca swojego szefa. Wcześniej jednak, gdy zaglądną na chwilę do biura, dostają wiadomość, której się nie spodziewali.

– Gonzalo Fuentes, korespondent „El Noticiero de Madrid” w Berlinie, przesłał nam list do Carmen Carmony od jej męża, Jeana-Marie Hugueta.

– Naprawdę? Jak to możliwe? Szkoda, że nie zdążymy teraz pojechać do Las Injurias. Jakże się Carmen ucieszy, sama chcę jej to przekazać!

– Carmen kilka tygodni temu znalazła pracę poza Las Injurias. Dowiem się, gdzie mieszka.

Na peronie spotykają się z ojcem Álvara Ginera i jego narzeczoną, Adelą Espinosą, którzy też wyszli po niego na stację. Trzeba poczekać na stosowny moment.

– Beatriz nie żyje? To niemożliwe.

– Zginęła w wypadku, przejechana przez samochód. Nie wiadomo, co się właściwie stało, nie było świadków. Pochowano ją dzisiaj z rana.

* * *

– Wczoraj wieczorem próbowaliśmy się z tobą skontaktować i nie mogliśmy cię znaleźć.

Obok Gonzala przystanęła taksówka. Chciał się przejść, ale gdy kierowca odezwał się po angielsku, stało się jasne, o co chodzi.

– Nie nocowałem u siebie.

– Domyśliliśmy się tego.

Od dłuższego czasu – od tamtego pierwszego razu – każdą noc spędza u Franka.

– Trzeba, żebyś dziś kogoś ugościł.

– Kogo?

– Lepiej, żebyś nie wiedział. Wejdą od tyłu, mają własny klucz. Ukryją się w piwnicy. Dasz im kilka butelek wody i trochę konserw, to wystarczy.

Gonzalo próbuje się jeszcze dopytywać, ale nie dostaje odpowiedzi. Cóż, taka była umowa: zgodził się pomóc, a trzy pierwsze z jego artykułów już wyszły w kilku wielkonakładowych amerykańskich gazetach. Niewykluczone, że w krótkim czasie stał się najbardziej czytany hiszpański dziennikarzem wszech czasów.

– Nie zostaniesz dzisiaj?

– Nie, muszę dokończyć artykuł.

– Możesz to zrobić tutaj, mam maszynę do pisania.

– Przepraszam, nabrałem różnych dziwnych nawyków. Zdecydowanie

wolę pracować w samotności. Ale to tylko jedna noc.

Frank przekazał mu napisany przez tego francuskiego malarza list; za pośrednictwem ambasady Hiszpanii udało się dostarczyć go do Urzędu do spraw Ochrony Jeńców. Frank mocno ryzykował, lecz to wcale nie znaczy, że Gonzalo powinien mu się zwierzać ze swoich pozadziennikarskich zajęć.

– Potrzebujecie czegoś jeszcze?

– Koca.

W piwnicy Gonzala ukrywają się mężczyzna i kobieta. To Brytyjczycy, którzy przez trzy ostatnie lata udawali Niemców i mieszkali w Berlinie. Omal nie wpadli i teraz usiłują przekraść się z powrotem do domu.

– Nie martw się, jutro z rana już nas tu nie będzie.

Gonzalo się boi, to jasne, ale jednocześnie jest dumny, że może pomóc. Wyobraża sobie Franka w Paryżu, w takiej samej sytuacji jak teraz tych dwoje: przemykającego po ciemnych ulicach, ukrytego w jakiejś piwnicy, żywiącego się konserwami i śpiącego lekkim, czujnym snem, na wypadek gdyby trzeba było nagle uciekać.

Tamci się więcej nie odzywają, w ciszy słychać tylko ciężki oddech mężczyzny. Gonzalo wraca na górę, ale z nerwów nie może zasnąć. W końcu wstaje z łóżka, nie ma sensu tak się przewracać z boku na bok. Siada więc, jak ostatnio regularnie, do notatek Raúla Coronado. Odnosi wrażenie, że wszystkie one, choć najwyraźniej sporządzone w różnych momentach, na wielu rodzajach papieru, różnymi kolorami atramentu i zmiennym, czasem wręcz nieczytelnym charakterem pisma, stanowią części jednej i tej samej opowieści, może nawet – powieści. Trzeba tylko odgadnąć, w jakiej kolejności powinny być czytane.

Chyba znalazł początek: to świstek, w który, jeśli sądzić po tłustych plamach, była kiedyś zawinięta jakaś wędlina. Na tym tle widnieje ledwie kilka linijek tekstu: „Upadek jest istotą i przeznaczeniem wszystkiego, siłą napędową, która przywiodła nas z Kuby do Hiszpanii i dalej, do Paryża, i która przywróci nas ziemi – tej rodzinnej i tej, co stanie się naszym grobem. Byliśmy wszystkim i wszystko straciliśmy; takie jest przeznaczenie rodzin naznaczonych grzechem”.

Gonzalo przegląda papiery Raúla przez kilka godzin, aż o świcie czuje przemożne zmęczenie. Jest już pewien: to nie są luźne notatki ani nawet opowiadania; to pełna dygresji powieść, formalnie swobodna autobiografia Raúla, historia jego rodziny, matki, przyrodniej siostry Perli, paryskich kochanek i doświadczeń z narkotykami. Należy teraz to wszystko uporządkować.

Gdy się budzi, pary Brytyjczyków oczywiście już nie ma; znikli bez pożegnania, bez jakichkolwiek wyjaśnień. To i lepiej: nie będzie ich mógł wydać nawet na torturach.

Musi się udać do Ministerstwa Wojny z kolejnym artykułem do

ocenzurowania; i chciałby popracować nad zapiskami Raúla. Niemniej dziś będzie spał u Franka, przy nim odpoczywa.

* * *

– Mówiłem, że nie chcę cię więcej widzieć. Mam ci zrobić krzywdę, żebyś zrozumiała?

– Lepiej mnie najpierw wysłuchaj.

Elisa czuje rosnącą w niej siłę, która nie zostawia miejsca na wątpliwości: trzeba walczyć, wszelkimi sposobami walczyć o swoje, o miłość.

– Widziałam, jak przejechałeś tamtą dziewczynę. Jeśli się ze mną nie ożenisz, doniosę na ciebie.

Tego się nie spodziewał. Zresztą wcale nie zaplanował zabójstwa Beatriz. Po prostu nagle ją zobaczył, sprawdził, czy nikt nie widzi, i dodał gazu. Nie wiedział nawet, czy zginęła, póki nie przeczytał o tym w gazecie. Po raz pierwszy zabił człowieka i nie poczuł nic z tego, czego się spodziewał, żadnych wyrzutów sumienia, tylko zadowolenie, że oto wreszcie ukarał kogoś za okazaną mu nielojalność.

– Oszalałaś.

– Z czasem zrozumiesz, że mnie kochasz. Pan Bóg tak pokierował naszymi ścieżkami, żebym mogła ci to uświadomić.

O ile zabójstwo Beatriz było przypadkowe, o tyle śmierć Elisy będzie wynikiem starannego planu. Jej to już na pewno nie pożałuje.

– W porządku. Wygrałaś.

Podchodzi do niej i pochyla się, by ją pocałować; ona przyjmuje to z satysfakcją.

– Pobierzemy się i będziemy mieli dzieci, razem się zestarzejemy. Może masz rację, może to nieszczęście nas wreszcie połączy.

Elisa wzdycha przy każdym jego słowie, pozwala się rozbierać.

– Poczekaj, dobrze pamiętam, co lubisz.

Staje do niego tyłem i sama zdejmuje całe ubranie; potem znów się odwraca. Jest szczuplejsza niż kiedyś, ale zarazem zwiotczała, w ogóle go nie podnieca.

Kłęka przed nim, rozpina mu spodnie, bierze do ust jego członek i ssie go, póki nie stwardnieje. Później, oparta na rękach i kolanach, czeka, patrząc w ścianę.

Carlos de la Era, wbijając się w nią, myśli o tym, jakie to jednak wygodne: Elisa nie ma żadnych wymagań, nigdy nie chce niczego zmieniać i nie skarży się na brutalne traktowanie, w przeciwieństwie do Beatriz. Wspomnienie o zmarłej mocno go irytuje: uwiódł ją, żeby dokuczyć Álvaroowi Ginerowi, a ostatecznie dokuczył samemu sobie. Dobrze się stało, że ją rozjechał, ale szkoda, że nie może się tym nikomu pochwalić albo że chociaż nie widział miny Ginera w chwili, gdy mu powiedziano...

Kończy i opada na plecy Elisy, która przez dłuższą chwilę utrzymuje ciężar

ich obojga. A kiedy on, zmęczony, w końcu kładzie się na łóżku, ona obejmuje go z błogim uśmiechem na ustach.

– Będiesz ze mną bardzo szczęśliwy, obiecuję. Będiesz najbardziej kochanym mężczyzną na świecie.

* * *

Álvaro Giner już spakował rzeczy Beatriz. Wie, bo kiedyś mu powiedziała, że jej rodzina – z którą nie utrzymywała kontaktu, od kiedy w wieku piętnastu lat wyjechała do miasta – mieszka na wsi gdzieś na wschodzie Hiszpanii. Znalazł tylko jedną osobistą pamiątkę: niewyraźną fotografię, która przedstawia ubraną na czarno kobietę z jasnowłosą dziewczynką, niezdradzającą jeszcze znaków przyszłej zjawiskowej urody. To zapewne Beatriz z matką. Za nimi widać niską ubogą chatę, jakich pełno na hiszpańskiej prowincji. I to tyle; nie ma żadnego adresu, żadnych listów.

Mimo to trzeba jakoś odnaleźć Vargasów – chyba że prawdziwe nazwisko Beatriz brzmiało zupełnie inaczej – i przekazać im jej rzeczy; przede wszystkim, wyłudzone zresztą od niego, klejnoty i pieniądze. Chętnie jeszcze to i owo dorzuci, byle ci ludzie się nie dowiedzieli, jak kiepsko poszło w życiu ich córce, której już nigdy nie zobaczą.

Sukienek też należy się pozbyć, najlepiej oddać je potrzebującym. Porozmawia o tym z Manuelem, niewykluczone, że przydadzą się w tej dzielnicy nędzy, Las Injurias. A gdyby okazały się jednak zbyt wykwintne jak na tamtejsze warunki, zawsze można je sprzedać i odpowiednio spożytkować zarobione w ten sposób pieniądze. Niewiele więcej jest do uprzątnięcia. Beatriz nie trzymała w domu książek ani ulubionych drobiazgów, przechowywała tylko swoje zdjęcia z różnych przedstawień. Niewiele po sobie zostawiła na tym świecie.

Policja nie ma pojęcia, kto ją przejechał. Bo to wiadomo: została potrącona przez samochód. Nawet gdyby jego kierowca się zatrzymał, i tak niewiele mógł zrobić, miała złamany kręgosłup. Álvaro cieszy się, że jej w tym stanie nie widział. Zapamięta ją piękną i zdrową. Świadców wypadku nie znaleziono, lecz i nie szukano zbyt wytrwale. Do niego, Álvaro, policjanci dotarli dzięki rachunkowi za sukienkę z pobliskiego sklepu. Tak czy owak pewnie mają rację, twierdząc, że chodzi o zwykły wypadek. Gdyby można było kogoś podejrzewać, Álvaro podejrzewałby Carlosa, jednakże chyba nawet Carlos de la Era nie zdobyłby się na podobne okrucieństwo.

Ujrzawszy na dworcu ojca w towarzystwie Adeli Espinosy, a kilka kroków dalej Blanę z Manuelem, Álvaro natychmiast zrozumiał, że stało się coś złego. Przy pierwszej okazji odszedł z Blaną nieco na bok. Och, jakaż była dyskretna! Ale co sobie myślała? Zanim ją poznał, dawno temu, przez jakiś czas, owszem, czuł się w Beatriz zakochany. Teraz chciał jej tylko pomoc, a jeśli z nią czasem sypiał, to bynajmniej nie z miłości...

Blanca nie chciałaby słuchać tych wyjaśnień. W jej oczach pograżył się ostatecznie. Nic dziwnego: stchórzył i zamiast przyznać się jej do swoich zobowiązań względem Adeli, spędził z nią noc. Wspaniałą zresztą. Nie będzie o tym myślał. Ożeni się z Adelą, Blancę po wojnie przestanie w ogóle widywać. Kiedyś o niej zapomni i spróbuje być szczęśliwy, wykonując, jak zawsze, swoje obowiązki.

* * *

– Niech służąca wykąpie dziecko. Poleż ze mną jeszcze chwilę...

Dom Diega okazał się wygodniejszy, niż się Carmen spodziewała; lepiej położony i urządzony, większy. Jedna z dwóch służących zajmuje się Juanem, kiedy Carmen pod kierunkiem Diega uczy się, jak działa jego sklep.

– Pańskie oko konia tuczy. Kiedy mnie nie ma, musisz tu na wszystko uważać. Każdy tylko patrzy, jak nas okraść. Mnie i ciebie, bo to przecież nasze.

Kilku subiektów w niebieskich fartuchach obsługuje klientów i dba o porządek na półkach; chłopcy na posyłki biegają po mieście ze specjalnymi wózekkami wyładowanymi zakupionym przez najznacześniejszych gości towarem. Przy kasie stać może wyłącznie Diego albo, w jego zastępstwie, Carmen ewentualnie jeden z subiektów, już niemal sześćdziesięcioletni, który rozpoczynał pracę w tym sklepie jako dwunastolatek, jeszcze w czasach dziadka Diega.

– On właściwie należy do rodziny, tylko jemu wolno ufać.

Diego, choć często skarży się na swoich pracowników, jest dla nich dobrym szefem; płaci im nieco więcej niż inni w jego branży, szanuje godziny ich pracy i dni wolne. Poza tym pomaga potrzebującym: udziela ludziom kredytu, a produkty, których nie może sprzedać, oddaje ubogim w dzielnicach takich jak Las Injurias. W ten sposób poznał Carmen.

– Zwróciłem na ciebie uwagę, jak tylko pierwszy raz tu weszłaś. Zjawiłyście się z Murcjanką, żeby spytać, czy nie mam czegoś na zbyciu. Chciałem cię zagadnąć, ale moja żona, niech jej ziemia lekką będzie, wciąż na nas patrzyła. Dlatego później wpadłem na pomysł, żeby zwrócić się do Dużej Rosy.

Carmen stopniowo zapoznaje się ze szczegółami prowadzenia interesu, uczy się rachunków, zwiedza dobrze zaopatrzone magazyn, poznaje dostawców.

– Moja żona nie dała mi dzieci. Wszystko to dostanie Juan. Z rodzeństwem, jeśli nas Bóg pobłogosławi.

– Carmen, byłam w Las Injurias i dowiedziałam się od Murcjanki, że tutaj pracujesz. Mam dobre wieści!

List od Jeana-Marie... Kilka tygodni temu płakałaby z radości, a teraz otwiera kopertę z niepokojem.

Jean-Marie donosi, że ma się dobrze; trafił do niewoli i teraz przebywa w Berlinie, nie choruje i jest traktowany przyzwoicie, ale nie może się nad tym

rozwódzić, żeby nie zaszkodzić tym, którzy mu pomogli z tym listem. Pisze też, że był na froncie, ale już nie walczy i zagrożenie dla jego życia minęło, a jeśli w ogóle przeżył, to dlatego, że myśli o niej bez przerwy i bardzo chce poznać ich dziecko. Na koniec zapewnia, że kocha ją tak samo jak w dniu, w którym ją porwał, żeby mogła zostać jego żoną.

Diega nie ma, pojechał zawieźć utarg z poprzedniego dnia do banku. Carmen stoi przy kasie wypełnionej banknotami i bilonem i dogląda, czy wszystko wokół idzie, jak trzeba; a idzie. Juan bawi się w domu, niedługo zresztą zacznie chodzić do szkoły... Jest dzieckiem zadbanym, dobrze odżywionym i ubranym. Carmen boi się to wszystko stracić.

– Gdybyś przygotowała odpowiedź, moglibyśmy spróbować ją dostarczyć twojemu mężowi. To, rzecz jasna, potrwa, ale na pewno się uda.

– Oczywiście, tylko teraz jestem trochę oszołomiona, muszę się zastanowić, co napisać.

– Rozumiem. Zastanów się, a jak będziesz gotowa, znajdziesz mnie w biurze. I gratulacje z powodu nowej pracy, mam nadzieję, że ci się tu podoba.

* * *

– Dzisiaj siedzisz chyba bardziej na lewo... Przetawiałaś fotel? Jean-Marie nadal bywa u Köhlerów dwa razy na tydzień. Gretchen pozuje w sukni ślubnej. Pilnujący więźnia żołnierz nie wchodzi do prowizorycznej pracowni, siedzi pod jej drzwiami, paląc. Jest tak pewien, że Francuz nie zamierza uciekać, że stracił czujność.

– Wiem na pewno, że wszystkich was zabiją. Mówiłam, że ci nie pomogę, ale zmieniłam zdanie. Trzymaj.

To pistolet. Może nawet pistolet generała.

– Musisz mnie związać, nie będę krzyczeć. Tu są zwykłe ubrania, w torbie masz jedzenie i trochę pieniędzy. Wyjdiesz tylnymi drzwiami, ten żołnierz zorientuje się dopiero za jakieś dwie godziny.

Trzeba się zdecydować. Natychmiast. Tak, ucieknie. Spróbuje się przedrzeć do Francji.

Gretchen dotrzymuje słowa: w milczeniu pozwala się związać. Prosi tylko, by ją pocałował, nim ją zaknebluje.

– Szkoda, że nie poznaliśmy się w innych okolicznościach. Przepraszam, że ostatnio byłam dla ciebie taka zimna, ale inaczej się nie dało. Może jeszcze kiedyś się spotkamy.

Jean-Marie przeskakuje przez mur ogrodu i rusza przed siebie. Nie zdoła uciec bez czyjejś pomocy, lecz na szczęście zna kogoś, komu ufa. Franka Heimera.

* * *

– Nic lepszego nie znalazłem, nie mam w tym doświadczenia.

– Wszystko jedno, dziś po prostu chcę być z tobą.

Blanca nigdy nie była w pokoju wynajmowanym na godziny i nie zdaje sobie sprawy, że Manuel, spełniając jej prośbę, naprawdę wyszukał najprzytulniejszy i najbardziej dyskretny. Ponieważ mają własny klucz, nie musiała znosić pogardliwych spojrzeń żadnej gospodyni. Tutaj nikt nie mieszka: za ścianą nie czeka na pieniądze żadna wdowa, żadne dzieci nie tłumią chichotów. To drogie miejsce, lecz Manuel od lat odmawia sobie wszelkich luksusów, niemal wszystko, co zarabia, oddając innym. A teraz ma ważny powód, żeby na sobie nie oszczędzać. Jest zadowolony z wyboru.

– Nie nawykłam do takich sytuacji, nie wiem, jak się zachowywać.

– Spokojnie. Ja zresztą też nigdy w takiej sytuacji nie byłem. Jeśli źle się tu czujesz, to chodźmy.

– Oj, przestań z tym „chodźmy”! Bo zaraz pomyślę, że ci wcale nie zależy. Myślę, że powinniśmy się rozebrać.

Gdy ona zdejmuje ubranie, on, zafascynowany, obserwuje ją z fotela. Nie trwa to zresztą długo: już wiele miesięcy temu, idąc za najnowszą paryską modą, Blanca zrezygnowała z gorsetu. Teraz, zanim rozpięła pierwszy guzik, spytała:

– Będziesz patrzył?

– Tak, będę patrzył.

Manuel powiedział to z uśmiechem i tyle wystarczyło, by przełamali lody. Blanca też się uśmiecha. Zrzuca sukienkę i halkę, zdejmuje pończochy, Manuel pomaga jej ze stanikiem. Po chwili stoi całkiem naga.

– Podobam ci się?

– Bardzo, nigdy nie marzyłem, że będę z tak piękną kobietą.

Jest wysoka, ma jasne włosy, niebieskie oczy, bardzo białą skórę i umięśnione – choć nie uprawia żadnych sportów – ciało; długie nogi, wąskie biodra, małe piersi. W filmach pornograficznych pokazywanych czasem u króla występują zwykle bardziej korpulentne dziewczyny.

Byli już ze sobą, ale wtedy wszystko wydarzyło się tak niespodziewanie, że dopiero teraz muszą przełamywać kolejne bariery. Całują się, jeszcze niezdarnie, dotykają, jeszcze nieśmiało...

– Zasłonić okno?

– Nie, zostaw. Nie ma się czego wstydzić.

Ona też mu się przypatruje: jest dobrze zbudowany i w formie, lecz zupełnie inny od Álvara.

– Nie wierć się przez chwilę, ty mnie już sobie obejrzałeś, teraz moja kolej.

Manuel leży na łóżku, na brzuchu. Blanca delikatnie wodzi palcami po jego skórze: po stopach, nogach, pośladkach, plecach, karku... Później każe się kochankowi odwrócić i dotyka przedniej części jego ciała, omijając przyrodzenie. Do niego jeszcze wróci.

– Nie chcę być jak te kobiety, które sypiają z mężami po ciemku, prawie nie

wiedząc, co się tam pod kołdrą dzieje. Chcę, żebyśmy znali nawzajem swoje ciała. I żebyśmy mieli z tego przyjemność.

Stopniowo się ze sobą oswajają, ich pieszczoty stają się śmielsze, pocałunki – agresywniejsze.

– Masz...?

– ...prezerwatywę? Tak.

Teraz robi się je z indyjskiej gumy, a nie, jak dawniej, ze zwierzęcych kiszek. Podobno w Anglii prezerwatywy można kupić w aptekach; w Hiszpanii nie są aż tak dostępne, niemniej, jeśli się chce, można się w nie bez trudu zaopatrzyć.

Przestają mówić, słowa tracą znaczenie, liczy się tylko dotyk. I Blanca znów czuje tę ogromną przyjemność, której nawet nie potrafi nazwać, bo przecież o takich rzeczach się nie rozmawia: hiszpańskie matki nie opowiadają o tym swoim córkom, przyjaciółki się sobie z tego nie zwierżają... Może się wstydzą, a może nigdy czegoś podobnego nie doświadczyły. To jest tak jak wtedy, gdy dotyka sama siebie, tyle że dziesięć razy mocniej. I znowu, i znowu... Ale jej to w ogóle nie nuży, chciałaby to powtarzać w nieskończoność, dzień w dzień, bo czymś takim nie sposób się znudzić.

– Będziemy tu wracali, Manuelu.

– Mam taką nadzieję.

– Póki się mną nie znudzisz.

– To nigdy nie nastąpi.

– I chciałabym, żebyś mnie nauczył wszystkiego, co umiesz.

Wracając do domu, Blanca ze zdumieniem odkrywa, że przy Manuelu ani razu nie pomyślała o Ginerze. Álvaro okazał się kimś innym, niż się spodziewała, i już nigdy nie będą mieli ze sobą nic wspólnego. Dobrze, że się w porę zorientowała; inaczej znów musiałaby wywołać skandal przed ołtarzem.

W Rosji zwyciężyła rewolucja. To pierwszy krok.

Na początku listopada według kalendarza gregoriańskiego – a pod koniec października wedle juliańskiego – przychodzi wiadomość, której wyczekiwali robotnicy z całego świata: Rosja, jak to ujął Lenin, który wrócił z emigracji, przystępuje do „budowania porządku socjalistycznego”. To skutek niemal rocznych walk: starć między chłopami a właścicielami ziemskimi, między rewolucjonistami a zwolennikami cara próbującymi przywrócić Mikołajowi II władzę, między zbuntowanymi żołnierzami a ich zwierzchnikami.

Przywódcy bolszewików, Lenin i Trocki, chcą, by światowe mocarstwa rozpoczęły negocjacje, których celem byłby pokój bez zwycięzców i przegranych, bez aneksji i indemnizacji. Tymczasem w Rosji parceluje się majątki ziemskie. To wielkie marzenie socjalistów: nowy porządek oparty nie na ekonomicznej władzy, lecz na interesach ludzi pracy. Manuel jest pełen entuzjazmu: po Rosji przyjdzie kolej na inne kraje i monarchie, łącznie z hiszpańską.

– Jeszcze zobaczymy, jak to wszystko będzie wyglądało. Nie wiadomo nawet, co dalej z Rosją, przecież tam już właściwie trwa wojna domowa... Poza tym ty nie jesteś socjalistą ani komunistą, tylko anarchistą. A mnie obchodzi wyłącznie nasza praca.

Blanca nie podziela radości Manuela, jego zainteresowania Rosją ani nadziei na przyszłość Hiszpanii; niepokoi się natomiast zbliżającym się końcem wojny, bo chociaż, rzecz jasna, go pragnie, nie ma pewności, czy Urząd do spraw Ochrony Jeńców poradzi sobie z dodatkowymi obowiązkami. A po podpisaniu traktatów pokojowych trzeba będzie zadbać, by jeńcy jak najszybciej wrócili do domów. Zresztą w chaosie, który wtedy zapewne nastąpi, może dojść do wielu nadużyć czy wręcz aktów zemsty, dlatego należy przeprowadzić wcześniej tyle wymian więźniów, ile się da. Poza tym są jeszcze cywilne ofiary wojny, ludzie, których los rzucił w różne strony świata... Sytuacja w biurze jest teraz nawet trudniejsza niż na początku, kiedy garstka ochotników, mająca do zaoferowania niewiele więcej niż dobrą wolę i znajomość języków obcych, nie bardzo wiedziała, co począć z tysiącami przychodzących do Pałacu listów i jak zorganizować sobie pracę.

– Mieliśmy dotąd jakieś listy z samej Hiszpanii?

– Nie przypominam sobie... Chyba nie.

– No to mamy pierwszy.

Do wiadomości Króla Hiszpanii

Wasza Królewska Mość,

zapewne dziwić może tego rodzaju list od Hiszpanki, jako że przecież nasz kraj nie bierze udziału w wojnie. W gazetach piszą, że stworzony przez Waszą Królewską Mość Urząd do spraw Ochrony Jeńców pomaga wszystkim: Francuzom, Anglikom, Niemcom. Zastanawiam się, czy my, poddani Waszej Królewskiej Mości, też mamy prawo do takiej pomocy.

Chodzi o mojego syna, Miguela Almazana Castro, urodzonego w Sepulwedzie pod Segowią, miasteczku, gdzie my, jego rodzice, nadal mieszkamy. Miguel zawsze stwarzał problemy. W wieku dwunastu lat po raz pierwszy uciekł z domu i dopiero po dwóch miesiącach odnaleźliśmy go w Madrycie; dwa lata później na rok przepadł w Barcelonie. Mając lat osiemnaście, opuścił nas, jak się zdaje, na dobre. Po dwóch latach nieobecności przysłał list z Algierii: zaciągnął się do francuskiej Legii Cudzoziemskiej. Od tamtej pory pisał do nas stosunkowo regularnie – aż wybuchła wojna. Dowiedzieliśmy się, że jego batalion został wysłany do Francji i walczył pod Verdun. Nikt nie poinformował nas o późniejszym losie naszego syna i zastanawiamy się, czy mógłby Wasza Królewska Mość ustalić, co się z nim stało.

Niech Bóg ma Waszą Królewską Mość w opiece na długie lata

Rosa Castro

– Znalazłeś tego chłopaka?

– Tak, zginął. Odpowiemy listem czy telegramem?

– Telegramem. Wiadomość jest zła, ale matka chciałaby wiedzieć jak najszybciej.

Dobrych wiadomości mają jak na lekarstwo.

Camila Nebot, jedna z dziewczyn, które pracują w biurze od początku i wykazują się największą skutecznością, podchodzi ze starym, sporządzonym odręcznie spisem jeńców.

– Chciałam ci to pokazać, Blanco. Długo tego szukałam, ale w końcu znalazłam. To lista z czasów, kiedy Ministerstwo Wojny nie przysyłało nam oryginałów, bo przychodziły z Niemiec tylko w jednym egzemplarzu. Przepisałam ją osobiście. Spójrz.

Chodzi o jeńców z obozu Lagensalza w Turyngii. Jest wśród nich wymieniony niejaki John Kepler. Brak o nim jakichkolwiek informacji: nie wiadomo, gdzie się urodził ani kiedy został pojmany.

– John Kepler? Czy to może być John Kipling?

– Też o tym pomyślałam. Sama nie wiem... Pamiętam, w jakich okolicznościach przepisywałam wtedy tę listę, bardzo zresztą długą: na kolanie,

przy słabym świetle... Może się pomyliłam?

Sama myśl o tym, że mogliby trafić na ślad syna słynnego pisarza, wywołuje radość w całym biurze. Niemniej, zanim podzieli się wieściami z Rudyardem Kiplingiem, muszą się upewnić, czy Camila Nebot swego czasu naprawdę popełniła błąd, który teraz da się szczęśliwie naprawić. Najprościej będzie zwrócić się o pomoc do ambasady Hiszpanii w Berlinie – a o to trzeba prosić Álvara, który wprowadzie z ambasadorem ma na pieńku, ale i tak na pewno zdoła przyspieszyć cały proces.

– Muszę z panem porozmawiać.

Blance nie jest łatwo rozmawiać z Álvarem; kto by uwierzył, że kiedyś byli ze sobą tak blisko, że bliżej się nie da... Wchodzi do gabinetu, siada, stara się zachowywać uprzejmy dystans i nie patrzeć szefowi zbyt często w oczy. Wyjaśnia mu zaistniałą sytuację i konieczność zaangażowania go w tę sprawę.

– Zostaw mi wszystkie namiary, jeszcze dziś wyślę telegram do Berlina. Jeśli to rzeczywiście syn Rudyarda Kiplinga, postaramy się go uwolnić. Może wymienimy go na tego niemieckiego kompozytora, którego przetrzymują Francuzi... Nie musimy czekać na kolejną wymianę zbiorową, załatwimy to indywidualnie. Zobaczymy, czy się nam powiedzie.

– Bardzo dziękuję.

Blanca wstaje już, chcąc odejść, kiedy Álvaro prosi ją, by jeszcze na chwilę usiadła. Spogląda na niego z niechęcią, lecz spełnia jego życzenie.

– Szukałem jakiejś biurowej wymówki, żeby cię tu zatrzymać, ale nic nie przychodzi mi do głowy. Chciałbym jednak, żebyś dała mi dziesięć minut, a może uda mi się przed tobą wytłumaczyć.

– Już mówiłam, że nie musi pan tego robić. Zresztą, o ile się nie mylę, za tydzień się pan żeni.

– Przełożyłem ten ślub. Ze względu na nadmiar obowiązków w biurze. Łatwe to nie było.

Blanca nie potrafi się powstrzymać, chociaż wie, że będzie żałowała tego, co zaraz powie.

– Mam nadzieję, że pierwsza dowiedziała się o tym doña Adela, że ją pan uprzedził, zanim podał pan to do wiadomości publicznej. A może postąpił pan z nią tak jak ze mną? Okłamał ją pan, obiecał jej pan ślub jesienią, po czym król uświadomił jej na jakimś przyjęciu, że rzecz się odwlecze? „Wypijmy zdrowie mojego przyjaciela Álvara, który nie ożeni się aż do wiosny”...

Álvaro wzdycha. Rozmowa przyjęła najgorszy obrót. Nie trzeba było jej w ogóle zaczynać, jednakże teraz nie ma już odwrotu.

– Słusznie się złościysz. Tyle że ja cię wcale nie okłamałem, po prostu nie umiałem się zachować. Zanim wyjechaliśmy, poznałem Adelę i wszystko jakoś

szybko się potoczyło... A nasza noc w Wiedniu była najlepszą w moim życiu, szkoda, że czas się wtedy nie zatrzymał...

– Ale się nie zatrzymał. Bo to było ponad rok temu. Najlepiej o tym zapomnijmy. Nie żebym miała nieskazitelną reputację po tym, jak zostawiłam narzeczonego przed ołtarzem, niemniej tamtą noc w Wiedniu wolałabym wymazać z życiorysu.

– Dobrze, przepraszam, że do tego nawiązałem.

Blanca znowu wstaje i rusza ku drzwiom, nie dając Álvarowi szansy na nic więcej.

– Teraz poproszę Camilę, żeby przyniosła panu dokumenty dotyczące Johna Kiplinga, żeby mógł pan napisać do Berlina. Bardzo dziękuję.

Wychodzi z gabinetu, nie oglądając się za siebie, i przemierzywszy salę, w której pracują jej koledzy, idzie do archiwum, gdzie ma nadzieję znaleźć Manuela.

– Manuelu, to mieszkanie, w którym byliśmy ostatnio... Myślisz, że jest szansa, by dzisiaj było wolne?

* * *

– Tutaj nie możemy mieszkać, to mieszkanie źle mi się kojarzy. Musisz je sprzedać i kupić nowe, nasze wspólne.

Elisa chodzi na ulicę Magdaleny każdego popołudnia. Kupiła kwiaty na balkony, zmieniła firany w oknach na takie, które wpuszczają więcej światła, wyrzuciła butelki po alkoholu, usunęła ślady po innych kobietach, powiesiła trochę swoich ubrań w szafie i zostawiła kilka książek w salonie; lubi tam czytać albo haftować, czekając, aż przyjdzie Carlos.

– Nie chcę też, żebyśmy mieszkali z twoją rodziną, wiem, że wasz dom to właściwie pałacyk, ale sam rozumiesz, że nowożeńcy potrzebują własnej przestrzeni, choćby i niewielkiej. A o czymś obszerniejszym pomyślimy, jak pojawią się dzieci.

Carlos de la Era ma jedną obsesję: nie życzy sobie, by ktokolwiek o nich dwojgu wiedział.

– Nikt nie może się dowiedzieć, absolutnie nikt. Dopóki nie urządzimy przyjęcia weselnego, na które zaprosimy wszystkich. Oczywiście zorganizujemy je w moim rodzinnym domu, żeby było uroczyściej, ostatecznie zostaniesz księżną...

Elisa już to sobie wyobraża: stawi się cały Madryt, może i król zechce się pofatygować... A kiedy wszyscy będą popijać na dole drinki, ona, Elisa, zejdzie do nich po schodach jako nowa pani domu, księżna Camino. Blanca Alerces umarłaby z zazdrości; nawet trochę szkoda, że jej nie zaproszą.

Trzeba zamówić suknię, Elisa przegląda więc paryskie magazyny. Bizuterię dostanie od rodziny narzeczonego. Uparła się, że chce ten sam *sautoir* z pereł, który otrzymała od Carlosa Blanca i który potem, po zerwaniu ich zaręczyn, do

niego wrócił. W „Blanco y Negro” z pewnością o tym napiszą i Blanca mimo wszystko się dowie. Carlos się zgadza. Na orkiestrę z Ritza również.

– Ale najważniejsze, żebyś nikomu nic nie mówiła, inaczej nici z niespodzianki. A chodzi o to, żebyś zrobiła jak największe wrażenie.

– Dla mnie najważniejsze jest to, jak nam razem dobrze.

Elisa wciąż się zastanawia nad listą gości. Carlos, w trosce o wygodę, poprosił, żeby nie było ich więcej niż dwustu.

– Nie chcemy przecież, by mówiono później, że był ścisk, prawda? Nie martw się, na sam ślub zaprosimy całe miasto. To będzie wydarzenie roku.

Każdego popołudnia, gdy Carlos się zjawia, Elisa gorączkowo przedstawia mu swoje nowe pomysły, a on śmieje się z jej zapału.

– Nie lepiej zostawić menu kucharzom, których wynajmiemy?

– Ale trzeba zadbać, żeby trafili w nasze gusta. Sama się tym zajmę. My, kobiety, znamy się na takich rzeczach. Tak będę prowadzić nasz dom, że wszyscy nam pozazdroszą, zobaczysz...

Potem idą do sypialni i Elisa się rozbiera. Podczas gdy Carlos robi swoje, ona w myślach poprawia listę gości. Kiedy on kończy, ona znów wraca do swoich projektów.

– A co do muzyki, to znasz się na niej lepiej niż ja. Może przygotowałbyś spis utworów dla orkiestry. Tak mi zależy, żeby wszystko wypadło doskonale.

– Przygotujemy go razem, któregoś dnia znajdziemy na to czas. Zastanów się, czego lubisz słuchać. Oczywiście to musi być coś wesołego. Wesoła muzyka na wesoły dzień.

Elisa się cieszy. Tyle ma teraz radości, to najszczęśliwszy okres w jej życiu.

– A może pojedziemy na jeden dzień do Escorialu i tam się tym zajmiemy? Pamiętasz nasze dawne wycieczki?

– Jak mogłabym zapomnieć nasz pierwszy raz?

– Weźmiemy prowiant i szampana. I gramofon, chciałbym, żebyś dla mnie zatańczyła.

– Och, będę się wstydzić, ale oczywiście, dla ciebie wszystko.

– Tylko nikt nie może o niczym wiedzieć. Inaczej bardzo bym się gniewał.

– Nie martw się, nikt się o niczym nie dowie. Przecież mnie też zależy na zrobieniu wszystkim niespodzianki...

Tyle musieli wycierpieć, przejść tyle ciężkich prób: ciążę i aborcję, śmierć tamtej dziewczyny pod kołami auta, miesiące smutku... Liczy się jednak to, że teraz są wreszcie szczęśliwi.

* * *

– Co ty tu robisz? Wszędzie cię szukają...

Jean-Marie przebrał się z więziennego uniformu w zniszczone robotnicze ubranie i czapkę. Wygląda jak pierwszy lepszy Niemiec – uwagę zwracać może

tylko to, że w swoim wieku nie trafił jeszcze na front, ale z drugiej strony część robotników jest potrzebna na miejscu, w fabrykach zbrojeniowych. Ma przy sobie pistolet, na wypadek gdyby Frank Heimer nie zareagował tak, jak się tego po nim spodziewa. Bardzo by żałował, lecz zabiłby go bez wahania; nie jego pierwszego.

– Potrzebuję twojej pomocy, inaczej nigdy się stąd nie wydostanę, nigdy nie wrócę do Sewilli.

– Mojej pomocy? Zwariowałaś...

Frank rozgląda się na wszystkie strony, po czym wpuszcza Jeana-Marie do budynku. Jest wieczór, niedługo zjawi się Gonzalo. Co za koszmarna sytuacja! Niemniej chciałby pomóc Francuzowi, dość się już śmierci naoglądał na tej wojnie.

Na schodach spotykają sąsiadkę z trzeciego piętra, starszą panią, wdowę po lekarzu, która zna Franka od dziecka. To dobra kobieta, bardzo się przyjaźniła z jego matką. Teraz niesie jakiś niewielki mebel.

– Dobry wieczór, Frau Krumm.

– Dobry wieczór, Frank. Ugotowałam barszczu, może chcesz trochę dla siebie i przyjaciela?

– Proszę się nie kłopotać, wychodzimy dziś na miasto. To chyba ciężkie, co pani dźwiga. Pomogę pani.

– Chcę to wystawić na ulicę, do jutra zniknie. Na pewno się komuś przyda, choćby na podpałkę do pieca...

– Ale nie powinna się pani przeciążać, w razie czego proszę dać znać, a zniosę, co trzeba.

Frank wraca na dół z meblem, a pani Krumm idzie do siebie. Jean-Marie się denerwuje.

– Widziała mnie, nie mogę tu zostać.

– Spokojnie, Frau Krumm nie wtyka nosa w cudze sprawy. Pomyślała pewnie, że jesteś jednym z moich kochanków... Jadłeś coś?

– Już nie pamiętam, kiedy ostatnio miałem coś w ustach.

Podczas gdy Francuz się kąpie, Frank szuka dla niego czegoś do ubrania i podgrzewa mu trochę zupy. Jean-Marie już je, gdy zjawia się Gonzalo. Tłumaczy mu, co się dzieje.

– Ja mam w domu piwnicę, tam będziesz bezpieczniejszy.

Na szczęście w drodze na Marienstrasse nie natykają się na nikogo. Piwnica Gonzala bardzo się zmieniła od czasu, gdy nocowała w niej brytyjska para. Jest tu łóżko z czystą pościelą, a także łazienka – czyli wszystko, czego mogą potrzebować uciekinierzy. Najważniejszą jednak rolę odgrywa skrytka: kilka dni po odjeździe pierwszych gości do Gonzala zawitało dwóch robotników, którzy pod pretekstem reperowania rur kanalizacyjnych skonstruowali skomplikowany mechanizm pozwalający odsuwać ciężki drewniany regał kryjący z tyłu niewielkie pomieszczenie. Naprawdę niewielkie: metr na półtora. Podłogę wyściela tu

materac, mieści się też nocnik i naczynie z wodą. W razie czego jedna osoba jakiś czas w tych warunkach wytrzyma. Przez piwnicę przewinęło się już kilku Anglików i nawet Francuzów, ale nikt jeszcze nie musiał się chować w jaskini, jak nazwał to miejsce Gonzalo.

– Dlaczego masz w domu coś takiego?

Może nie należało wtajemniczać Franka, tyle że inaczej nie dałoby się pomóc temu mocno wystraszonemu Francuzowi.

– Później pogadamy, na razie trzeba zadbać o bezpieczeństwo twojego przyjaciela.

Kiedy Jean-Marie jest już w stanie samodzielnie obsługiwać mechanizm otwierający i zamykający skrytkę, Frank i Gonzalo zostają sami.

– W Dover zadałeś mi pewne pytanie, które ja teraz powtórzę: wydasz mnie?

– Nie, jasne, że nie. Dla kogo pracujesz?

– Chyba dla Anglików, chociaż pewności nie mam. Niewykluczone, że dla Amerykanów. Staram się wiedzieć jak najmniej. Zwerbowali mnie zresztą w tym lokalu, w którym bywaliśmy razem, przy ulicy Flor. Poprosili, żebym się przeniósł do Berlina i zbierał dla nich informacje. Choć jak na razie przechowuję tylko uciekinierów...

– Dlaczego się zgodziłeś?

– Chciałem udowodnić samemu sobie, że nie jestem tchórzem, bez względu na to, co myśli o mnie ojciec. No i uważam, że dla świata będzie lepiej, jeśli tę wojnę wygra ententa. Zdaję sobie sprawę, że niewiele mogę, ale wolałbym, aby Europą nie rządzą pruscy wojskowi. Marzy mi się świat ludzi wolnych.

– Co zrobimy z Jeanem-Marie?

– Trzeba go jakoś przerzucić przez granicę.

Śpią razem, jak robili to dotąd u Franka, jeśli Gonzalo nie musiał wracać do siebie. Czują się bliżsi sobie i szczęśliwsi. Po raz pierwszy od długiego czasu są po tej samej stronie barykady.

* * *

– Blanco, przyszły dwa telegramy z Berlina, jeden oficjalny, a drugi zaszyfrowany. Pierwszy zawiera złe wieści. John Kepler nie jest Johnem Kiplingiem, to zwykły angielski sierżant, nic go nie łączy z wielkim pisarzem. Ale tak czy owak wymienimy go za tego niemieckiego kompozytora. Chłopak ma prawdziwe szczęście. Pewnie nigdy nie zrozumie, co się wydarzyło.

Nie pisali do Rudyarda Kiplinga i dobrze się stało: przynajmniej nie rozbudzili w nim płonnych nadziei. Będą dalej szukać jego syna, może kiedyś uda im się zdjąć z jego teczki czerwoną wstążkę sygnalizującą, że wciąż nie został odnaleziony. Álvaro podaje Blance drugi telegram: sekwencja cyfr nic jej nie mówi.

– Pamiętasz przypadek Jeana-Marie Hugueta? Tego francuskiego malarza,

o którego pytaliśmy w ambasadzie Francji...?

– Tak, niedawno dostaliśmy list napisany przez niego do żony. Nie złożyliśmy skargi w związku z brakiem jego nazwiska na listach jeńców, żeby nie ściągać uwagi na ludzi, którzy mu pomogli.

– Ciekawe swoją drogą, jak wielu więźniów jest w podobnej sytuacji... Tak czy owak, on akurat zdołał uciec.

– Uciec? Nic mu się po drodze nie stało?

– Nie. Pewien Hiszpan ukrył go u siebie w domu.

– I co teraz?

– Trzeba wydostać go z Berlina.

– Bez wsparcia z góry będzie trudno. Nie dałoby się go przenieść do naszej ambasady?

– Raczej nie, ambasador jest strasznym germanofilem, nie sądzę, żeby się ucieszył... Poza tym nie zapominajmy, że Hiszpania zachowuje neutralność.

– No to musimy się zwrócić o pomoc do kogoś postawionego jeszcze wyżej.

– Do kogo?

– Do ministra albo samego króla.

– Króla nie możemy w to mieszać. Jakież inne pomysły?

* * *

Kto nie wierzy w zbiegi okoliczności, ten się myli. Na bieg wielkich spraw może nie wpływają, lecz na bieg małych – i owszem. Kilka minut po tym, jak Blanca opuściła gabinet Álvара Ginera, który przekazał jej wieści o Jeanie-Marie, w Urzędzie do spraw Ochrony Jeńców zjawia się Carmen Carmona.

– Nie dałam rady napisać do męża, bo nie wiem, co mu odpowiedzieć.

– To musi być trudne... Po tak długim czasie...

– Nie mam pojęcia, co począć. Po raz pierwszy od wyjazdu Jeana-Marie jest mi dobrze. Żyję z mężczyzną, który mnie kocha, mojemu synowi niczego nie brakuje.

– Jesteś z innym? Z właścicielem tego sklepu, w którym pracujesz?

– Tak. Zdaję sobie sprawę, że to okropne, ale tak długo byłam sama...

– Nie płacz, to normalne.

Tak wygląda inne oblicze wojny – to, które nie wyziera z oficjalnych raportów o stratach. Ile rodzin się rozpadło, choć nikt w nich nie zginął? Ile par się rozstało? Ile dzieci nie rozpozna swoich ojców, gdy wrócą po wielu latach? Ilu mężczyzn zastanie w domu potomstwo, którego się nie spodziewa?

– Chcę, żeby Jean-Marie wrócił, oczywiście, że chcę. Chcę, żebyśmy razem wrócili do Sewilli, żebyśmy wynajęli studio przy ulicy Esperanza de Triana i żeby było jak dawniej. Jean-Marie znów by mnie malował i cieszylibyśmy się potem, gdyby zdołał taki obraz sprzedać. Ja bym znowu tańczyła, a on by klaskał nie do taktu tymi swoimi „łapskami żabojada”, jak mawiał mój brat Antonio... Chcę tego

wszystkiego, ale nie chcę stracić Diega. Bo jego też kocham.

Blanca nie potrafi jej pomóc. Może powinna ją pocieszyć? Powiedzieć jej, że wcale nie jest pewne, czy Jean-Marie wróci, bo uciekł Niemcom i teraz go szukają? Że nie powinna zostawiać Diega, bo szanse na odzyskanie męża ma naprawdę niewielkie?

– Carmen, daj sobie czas, dobrze się zastanów. A ja będę cię o wszystkim informować na bieżąco.

Trzeba się przyczaić, przeczekać.

– Diego, Jean-Marie żyje, dostałam od niego list. Jakies dwa tygodnie temu. Nie mówiłam ci o tym, bo nie wiem, co robić.

Leżą nago w łóżku. Przed chwilą się kochali, jak każdego wieczoru, od kiedy mieszkają razem. To najlepszy moment dnia, coś, na co oboje czekają z niecierpliwością, wykonując swoje obowiązki.

– Żyje? Wraca?

– Jest w niewoli. Po wojnie wróci...

Diego nigdy specjalnie nie interesował się trwającym właśnie międzynarodowym konfliktem; tyle że odnotował związany z nim wzrost cen. Nawet na tym zarobił, choć wcale się nie cieszy, że inni z tego powodu cierpią. I oto nagle z zaskoczeniem stwierdza, że pragnąłby, aby ta wojna stała się najdłuższą w historii i trwała sto lat – byle tylko Jean-Marie nie odebrał mu Carmen.

– Nie chcę cię stracić.

– A ja nie chcę stracić ciebie, ale jeśli on wróci...

* * *

– Kilka tutejszych kobiet chce z tobą mówić. Porozmawiasz z nimi w najbliższą sobotę?

Bez względu na swoje liczne obowiązki i rozmaite życiowe komplikacje Manuel nigdy nie zaniedbuje sobotnich lekcji w Las Injurias: uczenie dzieciaków pisania, czytania i podstawowych rachunków to najbardziej pożyteczne ze wszystkiego, co robi. Murcjanka, choć się rozstali, wciąż udostępnia mu swój dom. Jest dobrą przyjaciółką, nie jemu oceniać, jak zarabia na chleb.

– Jasne, przekaż im, że zjawię się trochę wcześniej, to pogadamy.

Manuel od dawna nie zwraca na siebie specjalnej uwagi nikogo z Las Injurias. Może chodzić, gdzie chce, wszyscy uważają go za swojaka. Miejscowi złodzieje wiedzą, że ich nie wyda; prostytutki – że zawsze znajdzie dla nich miłe słowo; żebracy – że od czasu do czasu da im jakieś drobniaki; bezrobotni – że podpowie, gdzie szukać pracy... Każdy zaprasza go na szklankę wina albo wody, albo po prostu na pogawędkę.

Teraz przystaje, żeby porozmawiać z Isidrem, żebrakiem, którego wszyscy

wołają imieniem świętego, bo twierdzi, że zanim się rozpił, był podobnie jak święty Izydor oraczem. Potem stracił ziemię, dom i rodzinę i wylądował w Las Injurias. Zwykle żebrze przed klasztorem Klarysek. Cokolwiek dostanie – przepija, a je głównie to, co mu dadzą litościwe sąsiadki. Niemniej w rzadkich chwilach względnej trzeźwości okazuje się interesującym rozmówcą i często wie, co w trawie piszczy.

– Uważaj na chłopaka.

– Chodzi ci o Marcosa?

– A o kogo? Młodzi nie radzą sobie z pomysłami, które podłapują, i potem są problemy. Ze mną też tak było, wiele lat temu... Nawet nie myślałem, że tyle pożyję...

– Masz na myśli coś konkretnego?

– Pewnie, że mam na myśli coś konkretnego. Ale i tak mnie nie posłuchasz. Jestem przecież tylko pijakiem, który wcześniej orał ziemię...

Nie sposób z niego wydobyć nic więcej. Stary spełnił swój obowiązek, ostrzegł, kogo trzeba, i na tym jego rola się kończy. Manuel podaje mu monetę, dorzucając daremne zastrzeżenie, że to nie na wino, tylko na ciepły posiłek.

Potem idzie do chaty, w której wraz z matką i rodzeństwem mieszka Marcos. Matka siedzi na dworze przy ognisku; rodzeństwa nigdzie nie widać, pewnie biegają po całej dzielnicy. Albo i po całym Madrycie, szukając okazji do kradzieży.

– Jest Marcos?

– Śpi, wczoraj wrócił późno. Mam kawę, zaparzyć ci?

– Tak, zaraz wypijemy ją razem.

Manuel wchodzi do środka. Marcos śpi na materacu rozłożonym na podłodze w jedynej izbie. Manuel siada na rozklekotanym krześle i przez chwilę przygląda się chłopakowi. Marcos bardzo urósł, już niemal dorównuje mu wzrostem i posturą. Lepiej z nim nie zadzierać. Koszulę i spodnie zawiesił na gwoździu wbitym w ścianę, na ziemi leżą buty, a obok widać książkę: *Zdobycie chleba* Piotra Kropotkina, z przedmową Élisée Reclusa; to dla anarchistów coś w rodzaju Biblii. Manuel, będąc w wieku Marcosa, też czytał te teksty z zachwytem, a zaraz po wybuchu wojny zgodził się z Kropotkinem, gdy ten opowiedział się po stronie ententy, uważając, że to jedyny sposób na przewycięzenie niemieckiego militarizmu. Kolejne lata pokazały, że miał słusność.

– Pobudka, mleko już przyjechało!

Do Las Injurias nie docierają mleczarze ze swoimi osłami, ale tym wyrażeniem i tak budzi się śpiochów.

– Co się dzieje?

– Właśnie liczę na to, że mi powiesz. Czy przestałem być mile widziany w tym domu? Wstawaj, napijemy się kawy. Matka już ją szykuje na zewnątrz.

Manuel wychodzi na dwór, żeby dać Marcosowi czas na ubranie się

i przemyć twarz w misce, która stoi w kącie. Kawa jest już gotowa.

– Martwię się o niego. Bardzo się zmienił. Zawsze był takim dobrym chłopcem, a teraz ciągle się wścieka.

– Taki wiek. Dzieciaki dorastają, no i czasy są trudne. Ale spokojnie. Najlepiej będzie, jeśli porozmawiam z Marcosem na osobności.

W końcu chłopak staje w progu. Kroi sobie kawałek chleba, polewa go oliwą i posypuje solą; potem siada obok Manuela.

– Wszyscy się o ciebie martwią. Mówią, że dziwnie się zachowujesz.

– Gdyby każdy zajmował się swoimi sprawami, żyłoby się nam o wiele lepiej.

– Powiesz mi, o co chodzi, czy mam się dowiedzieć sam?

– Ojciec zostawił nas z matką i rodzeństwem, kiedy byłem bardzo mały. Wiesz, co bym mu zrobił, gdyby wrócił? Wypatroszył jak świniaka. Bardzo jestem ci wdzięczny za pomoc, szanuję cię i nigdy nie przestanę, ale nie potrzebuję nowego ojca do patroszenia.

* * *

– Od jak dawna tu nie byliśmy?

– Pamiętam to dokładnie, Wasza Królewska Mość. Przyjechaliśmy tutaj ostatnio dzień przed zamachem w Sarajewie.

– Pomyślałby kto, że już wiek minął od tego czasu.

– Więcej. Ostatecznie to było przed wojną.

Do zajazdu przy skrócie na Palazuelos de Eresma dotarli tym samym autem co wtedy: to hispano-suiza, model nazwany imieniem króla, z czterema cylindrami w rzędzie, o mocy sześćdziesięciu koni mechanicznych, wyposażony w cztery biegi plus wsteczny. Osiągana przez niego prędkość stu dwudziestu kilometrów na godzinę nikogo już jednak nie dziwi tak jak przed wojną: w takich czasach technika rozwija się błyskawicznie.

Gości zajazdu obsługuje ta sama co kiedyś brzydka dziewczyna, teraz w siódmym miesiącu ciąży. Wino okazuje się jak zwykle wyborne, podobnie jak kiełbasa.

– Gdyby wszystko poszło zgodnie z planem, już od miesiąca byłbyś żonaty.

– Tak się nie dało, Wasza Królewska Mość. Co nagle, to po diable. Wiosną uroczystość będzie przyjemniejsza, panna młoda piękniejsza, a wojna zakończona.

– Prawdę mówiąc, tego ostatniego nie jestem wcale pewien. Owszem, koniec się zbliża, ale takie końcówki często się przeciągają. Niemcy bez wątplenia rzucają się jeszcze do niemal samobójczego ataku, ententa zadrży, choć w końcu i tak zwycięży.

Jest zimny jesienny dzień. Álvaro Giner ma słuszość: ślub o tej porze roku to nie najlepszy pomysł. Dlatego obyło się bez większych awantur, lecz co będzie wiosną? Wtedy już nic nie da się zrobić.

– Álvaro, mogę cię o coś spytać? Jako przyjaciel?

– Oczywiście, Wasza Królewska Mość.

– Ty nie chcesz się żenić, prawda?

– Nie. Ale się ożenię.

– Adela jest ładna, miła, urocza, z dobrej rodziny... Czego jej brak?

Przyjacielowi mówi się prawdę. Nawet jeśli to właśnie Alfons XIII poznał go, Álvaro, z Adelą i popychał w jej stronę.

– Jestem zakochany w innej.

– W Beatriz? Ona nie żyje, nic na to nie poradzisz.

– Nie, nie w Beatriz. W Blance Alerces. Od samego początku.

Nikomemu się z tego dotychczas nie zwierzał. Don Alfonso pociąga łyk wina, wkłada do ust kawałek kielbasy i się uśmiecha.

– To doprawdy wspaniała komplikacja, Álvaro. Skąd ja biorę takich przyjaciół?! I dlaczego w ogóle zapytałem...?

Zamierzają jeszcze rozegrać mecz tenisa. Król, jak zawsze, wygra.

– Nie mam żadnych szans.

– Nie bądź takim pesymistą. Człowiek prawie zawsze dostaje kolejną szansę.

Przypomnij sobie naszą pierwszą rozmowę z Blancą.

* * *

– Dozorca nie rozpałił w kominku, zaraz jutro go zwolnię.

W domu pod Escorialem, chatce, jak nazywa to miejsce Carlos de la Era, panuje ziąb.

– A nie zapomniałeś go uprzedzić?

– Oczywiście, że nie zapomniałem. Przygotowywałem tę wyprawę od tygodnia.

– Jak się pobierzemy, przejmę od ciebie te sprawy, żeby cię odciążyć. Ty jesteś zbyt dobry dla służby, ja się do nich zabiorę. Bardzo lubię ten dom... Może byśmy tu zamieszkali?

– Pewnie, że tak, kochanie, jak zechcesz.

Carlos sam rozpała w kominku – ale wyłącznie w sypialni, przecież i tak nie będą się stamtąd ruszać. Elisa tymczasem nakrywa do stołu: mają zimny prowiant i butelkę wina, którą przywiozła, żeby sprawić przyjemność ukochanemu.

Stoi akurat tyłem, gdy Carlos podkrada się do niej, dzierżąc w ręku grube polano. Zamierza uderzyć ją z całej siły w podstawę czaszki. Elisa w ostatniej chwili się obraca, tylko trochę, dość jednak, by trafił ją jedynie w ramię. Ból jest okropny, podobnie jak zaskoczenie. Elisa w odruchu obronnym wbija w ciało napastnika trzymany w dłoni korkociąg.

Carlos krzyczy z bólu i znów unosi polano; Elisa osłania się ramieniem. Na stole leży bardzo ostry nóż, którym przed chwilą kroїła pieczeń. Z tak bliska jest skuteczniejszy niż toporne polano. Elisa zadaje kilka ciosów. Carlos z każdym

uderzeniem bierze coraz słabszy zamach. Elisa próbuje chronić głowę, ogromnie bolą ją ręce i zębra.

Nim upadnie na ziemię, ostatnim machnięciem noża przecina Carlosowi gardło, z którego bucha krew.

Ból jest nie do wytrzymania. Zegar wskazuje czwartą po południu. Czyli minęły jakieś trzy godziny. Elisa dźwiga się na tyle, by rozejrzeć się po pokoju. Obok niej w kałuży krwi leży Carlos; jest martwy.

Trzeba pomyśleć. Ramię bardzo boli, ręce też. Lewa jest chyba złamana w wielu miejscach. Twarz spuchła. Elisa próbuje wstać, ale upada z powrotem. Z bólu ćmi jej się w głowie. Usiłuje go więc pokonać. Pamięta, że ojciec w dzieciństwie nie pozwalał jej płakać. Ona potrafiła się powstrzymać, a Gonzalo nie. Gonzalo zawsze płakał, jak się przewrócił.

Ta myśl pomaga jej się uspokoić. W tym domu nie ma telefonu, a najbliżsi sąsiedzi mieszkają prawie pięćset metrów dalej – nie usłyszeliby jej, nawet gdyby miała siłę krzyżeć. Nie zdoła też dowlec się do drogi, gdzie mogłaby czekać, aż ktoś ją zobaczy.

Słabnie coraz bardziej i w końcu zdaje sobie sprawę, że ta krew na podłodze to nie tylko krew Carlosa. Najwyraźniej ostra krawędź polana przecięła jakąś ważną żyłę, bo czerwona kałuża wokół rośnie.

Po rozważeniu wszystkich możliwości i jeszcze jednej nieudanej próbie dźwignięcia się na nogi – mogłaby wziąć kluczyki od samochodu, jakoś do niego dotrzeć i zacząć trąbić klaksonem – dochodzi do wniosku, że nic się nie da zrobić.

Najlepiej będzie po prostu umrzeć tu, u boku ukochanego, i razem z nim zaczekać, aż ktoś ich znajdzie.

Jest pierwszy grudnia. Dzień wstał słoneczny, choć zimny, po południu natomiast pogoda zaczęła się psuć i teraz w każdej chwili może sygnąć śnieg. W biurze, jak zwykle przez ostatnie miesiące, praca wre: ze wszystkich stron spływają listy, telegramy, coraz to nowe spisy jeńców. W najbliższym czasie wymiana więźniów obejmie – poza Francuzami i Niemcami – także Brytyjczyków i Belgów. Wszyscy chodzą zdenerwowani, stawka jest niezwykle wysoka. Álvaro nie przestaje ich popędzać: jeszcze trochę wysiłku, jeszcze trochę! Każdej sprawy, której zaniedbają, będą żałować do końca życia; po zakończeniu wojny nie darują sobie przecież, że mogli ocalić czyjeś życie i tego nie uczynili. Tu nie chodzi o zwykłą pracę, lecz o ludzki obowiązek. Dlatego ilekroć z czymś kończą, myślą zaraz: jeszcze trochę! Sam Álvaro też prawie w ogóle nie odpoczywa.

Blanca wraca do domu tak zmęczona, że nawet nie zauważa czarnego samochodu zaparkowanego przed bramą. W bibliotece ojciec pije koniak z jakimś mężczyzną w mundurze; to generał Fuentes, ojciec Elisy.

- Moja córka od trzech dni nie pojawiła się w domu.
- Od dawna się nie widzimy, nic o niej nie wiem.
- Mówiła, że będzie nocować u ciebie. Że ją zaprosiłaś. To samo powiedziała Delfinie, naszej służącej.
- Naprawdę nic nie wiem. Elisa nie odwiedza mnie od wielu miesięcy, w ogóle nie rozmawiamy, mój ojciec może to potwierdzić.
- Dlaczego skłamała? Kto za tym stoi?
- Carlos de la Era.
- Twój były narzeczony?
- Przez jakiś czas się z Elisą spotykali. Tylko on przychodzi mi na myśl.

Rodzina Carlosa też się o niego od trzech dni niepokoi: wyszedł z domu we wtorek wcześniej rano i dotąd nie wrócił. Nie pierwszy raz tak znika, ale jego matka ma złe przeczucia i dlatego kazała go nawet szukać w mieszkaniu przy ulicy Magdaleny. Tam go nie było.

– Mieszkanie okazało się wysprzątane, pełne roślin i różnych nowych rzeczy. Bardzo nas to zdziwiło. Może to pańska córka tak na niego wpłynęła...?

Z obawy przed skandalem niczego nie zgłoszono na policję. Wszyscy są już pewni, że Elisa i Carlos uciekli dokądś razem. Tylko po co?

* * *

– Frank Heimer? Proszę nie oglądać się za siebie, iść równym krokiem i skręcić w następną ulicę. Mierzmy do pana z broni, niech pan nas nie zmusza do oddania strzału.

Frank wykonuje polecenia. Ten, kto się do niego zwraca, jest bez wątpienia Niemcem. Czyli został nakryty przez swoich? W takim razie lepiej by było, gdyby rzucił się do ucieczki i zginął na miejscu.

– Do samochodu.

Wsiadają do czarnego mercedesa. Kierowca już czeka. W sumie jest ich w aucie pięciu, Frank siedzi z tyłu, między dwoma nieznanymi mężczyznami. Nie zdoła wyskoczyć.

– Co się stało? Kim panowie są?

Nikt nie odpowiada, każą mu być cicho. Jean-Marie narobił sporo zamieszania swoim zniknięciem; może o to chodzi, myśli Frank.

Zna miejsce, do którego go wiozą, tutaj przecież pracuje. Zajeżdżają od tyłu i prowadzą go do pomieszczeń, których wcześniej nie widział. Skutego kajdankami zostawiają go w ciemności.

Przez jakieś dwie godziny nic się nie dzieje. Później pojawia się generał Köhler. Na powitanie kopie Franka tak, że ten spada z krzesła.

– Gdzie jest Francuz?

– Nie wiem.

– Wolisz sobie to wszystko utrudnić? Frau Krumm jest dobrą Niemką.

Widziała was. Nie wszyscy zdradzają swój kraj tak jak ty. I pomyśleć, że przez chwilę się bałem, że to moja biedna Gretchen maczała w tym palce... Twoje mieszkanie zostało już przeszukane. W tym momencie nasi ludzie wchodzą do domu tego twojego hiszpańskiego przyjaciela. Znajdą tam naszego Francuza?

Jean-Marie zdążył się schować w skrytce za regałem. Na górze Gonzalo kłóci się z Niemcami, którzy wparowali do jego domu.

– Nie mają panowie prawa! Mam pozwolenie, żeby tu mieszkać i uprawiać w Berlinie dziennikarstwo!

Nikt nie zwraca na niego uwagi. Dowódca Niemców odpycha go na bok, jego podwładni rozbiegają się po domu, zaglądają we wszystkie kąty. Otwierają szuflady, wyrzucają na podłogę papiery, opróżniają szafy.

– Jeśli powiedzą mi panowie, o co chodzi, może będę mógł służyć pomocą.

Siarczysty policzek omal nie przewraca Gonzala na ziemię. Ci tutaj nie liczą się z tym, że jest obcokrajowcem, że pochodzi z kraju neutralnego i że pracuje jako dziennikarz; jednym z problemów Niemiec w tej wojnie było całkowite lekceważenie kwestii wizerunkowych.

Dwóch zeszło już do piwnicy. Łóżko jest zaścielone, nic nie wskazuje na to, że ktokolwiek tu przebywał. Jean-Marie wykazał się ostrożnością.

– Kto tutaj śpi?

– Nikt.

– Dlaczego urządził pan piwnicę w ten sposób?

– Bo u siebie w domu robię to, co mi się podoba.

Tym razem uderzenie w twarz naprawdę go przewraca. Na szczęście upada na łóżko. Niemcy znikają tak, jak się pojawili – bez żadnych wyjaśnień. Po jakimś czasie Jean-Marie wychodzi ze swej kryjówki.

– Oni wrócą.

– To bardzo możliwe. Trzeba cię stąd wydostać. Pójdę po pomoc, nie ruszaj się z miejsca, nie rób głupstw.

Trzeba wykorzystać wyjście awaryjne: Gonzalo zgodnie z instrukcją idzie do piwiarni na placu Märkischer i zagaduje o austriackie piwo kelnerkę o ciemnych włosach związanych w kucyk czerwoną gumką. Kiedy dziewczyna mówi, że takiego nie mają, zamawia dwa lokalne, oba, wciąż zgodnie z instrukcją, dla siebie. Potem czeka.

– Coś się stało?

– Mam w domu zbiegłego francuskiego jeńca. Niemcy już u mnie byli, ale go nie znaleźli.

– Teraz nic nie zrobimy, musimy dwa albo trzy dni odczekać.

– To za długo.

– Idź do ambasady Hiszpanii i znajdź Velasca, pracuje tam jako tłumacz. Jeśli on da radę ukryć twojego Francuza w ambasadzie, my zajmiemy się transportem. Ale poza Velaskiem nikt nie może o tym wiedzieć.

* * *

– Czego tu szukasz?

Jest Wigilia, w Urzędzie do spraw Ochrony Jeńców szykuje się uroczysta kolacja, a Manuel właśnie wraca od króla: musiał mu zanieść do podpisu dokumentację dotyczącą ostatniej w tym roku wymiany więźniów. Alfons XIII był jak zwykle miły, życzył mu wesołych świąt i zapewnił go, że to wszystko rychło się skończy.

– Rok tysiąc dziewięćset osiemnasty będzie rokiem końca wojny, zobaczysz, Manuelu. Zaraz przyjdę do was do biura z życzeniami. O ile ta audiencja, której mam teraz udzielić, w miarę szybko się skończy. Nawet dzisiaj nie mogą zostawić mnie w spokoju...

W drodze powrotnej Manuel spotyka w prywatnej części Pałacu Marcosa, który w żadnym razie nie powinien się tu zapuszczać.

– Chciałem się rozejrzeć... Nigdy tu nie byłem.

Marcos jest bardzo zdenerwowany, kłamie. Chce iść dalej, lecz Manuel łapie go za rękę.

– Chodź ze mną.

Marcos próbuje się wyrwać i właśnie wtedy wypada mu na posadzkę pistolet. To star, taki sam jak ten, którym Luis Segura uśmiercił kiedyś policjanta. Manuel nie zdziwiłby się, gdyby chodziło o ten sam egzemplarz.

Marcos się potknął i Manuel pierwszy łapie broń.

– Zwariowałeś?

– Trzeba zabić króla. Dziś jest dobra okazja. Towarzysze zwrócili się z tym do mnie, a ja nie jestem takim tchórzem jak ty i spełnię ich prośbę.

– Nikogo nie będziesz zabijał.

Manuel wlecze Marcosa na zewnątrz. Nie wie, jak chłopak przemycił broń do Pałacu, ale nie może ryzykować, że straż go z nią nakryje. Tłucze więc pistoletem o kamienny schodek i wrzuca go do jakiegoś wazonu. Kiedyś, może za wiele lat, ktoś to znajdzie i będzie się zastanawiał, skąd się tu wzięło.

– Odpowiesz za to przed towarzyszami.

– Już ty się o mnie nie martw, Marcos, odpowiem, za co będzie trzeba.

Wychodzą na dwór, na plac Oriente; tu mogą swobodnie rozmawiać.

– Powiem w biurze, że zrezygnowałeś, znalazłeś inną pracę. Nie wydam cię, ale nie chcę cię więcej widzieć w okolicach Pałacu.

– Sprzedałeś się królowi? Zostałeś monarchistycznym kundlem?

– Nie rozumiesz, że to, co tu robimy, jest ważne? Ratujemy ludziom życie.

– To przez tę markizównę, z którą sypiasz? Stałeś się zwykłym sługusem.

Brzydę się tobą. Jesteś jak mój ojciec, ciebie też chętnie bym wypatroszył.

Marcos pospiesznie odchodzi. Manuel siada na ławce: drży cały, głównie z oburzenia. Tyle razy ocalił temu gówniarzowi skórę... Musi wracać do biura, wytłumaczyć go jakoś i razem ze wszystkimi wzniesć świąteczny toast. Choć w to Boże Narodzenie będzie bardziej samotny niż kiedykolwiek.

* * *

– Wesołych świąt... *Frohe Weihnachten.*

Gonzalo nie wie, co z Frankiem; jak tylko Jean-Marie będzie bezpieczny w ambasadzie Hiszpanii, on poruszy niebo i ziemię, żeby odnaleźć kochanka.

Velasco, tłumacz z ambasady, przygotował wszystko razem z kilkoma kolegami – wygląda na to, że niejednokrotnie już robili takie rzeczy za plecami ambasadora. Jean-Marie ukryje się w pomieszczeniu za kuchnią i tam będzie czekał na dalszy rozwój sytuacji. Álvaro Giner pomoże mu przedostać się przez granicę.

W czasie wojny Boże Narodzenie obchodzone jest skromniej niż zwykle, jednakże na ulicach nie brakuje ludzi, którzy robią ostatnie świąteczne zakupy, biegają za prezentami albo próbują coś jeszcze wysłać bliskim na front. To najlepszy dzień na przewiezienie Jeana-Marie. Anglicy dotrzymali słowa i podstawili furgonetkę z logo jakiejś piekarni. Zawinięty w worek Francuz wjedzie do ambasady bramą dla dostawców.

– Musisz tu czekać. Nie wolno ci opuszczać tego pomieszczenia. Wiem, że ciasno tutaj i niewygodnie, ale w każdym razie przestronniej i wygodniej niż w trumnie.

Velasco jest człowiekiem bezpośrednim, niczego nie owija w bawełnę. Wiele osób dużo ryzykuje dla tego Francuza, nie wiedząc nawet, czy sobie na to zasłużył. Ma przestrzegać reguł i tyle.

– Możemy co najwyżej udostępnić ci trochę książek. To żadne arcydzieła, ale pomogą ci zabić czas.

– A papier i ołówek by się znalazły? Porysowałbym...

– Owszem, papieru mamy pod dostatkiem.

Jean-Marie, sam w pokoiku za kuchnią, nie wiedząc, co stało się z Gretchen i z Frankiem, siedzi na łóżku, bo poza tym nie ma na czym, i usiłuje przypomnieć sobie twarz Carmen: chciałby naszkicować jej portret. Dawniej wystarczyło, że po prostu zamknął oczy i od razu ją widział; teraz jest inaczej. Jakie ona ma oczy? Jakie usta? Rysuje z pamięci, ale gdy kończy, widzi przed sobą obcą kobietę i zaczyna płakać.

Wyobraża ją sobie w Sewilli, z rodziną. Dziś wieczorem pewnie urządzili sobie cygańską Wigilię: będą bez końca jeść, pić, śpiewać i tańczyć... On,

Jean-Marie, tylko raz w czymś takim uczestniczył i raczej tego nie zapomni. Chciałby tam teraz być i nie musieć się zamartwiać losem tych, którzy mu w ostatnich dniach pomogli. Nie miał prawa ich narażać. Dlaczego własną wolność uznał za ważniejszą niż życie innych? Pociesza się tylko tym, że to przecież wojna, nic od niego nie zależy... Żył sobie szczęśliwie w ulubionym miejscu na ziemi, póki go stamtąd nie wyrwano jednym telegramem. Niech będzie przeklęty ten, kto to zrobił!

Gonzalo nie bardzo może w taki dzień cokolwiek zdziałać. Wysłał do redakcji artykuł o świętach; w jakimś miejscu na świecie ktoś go pewnie teraz tłumaczy na angielski. Wielu Amerykanów, którzy zapewne zasiedli już do obfitej kolacji w ciepłych domach, przeczyta wkrótce o niedostatku panującym w Berlinie. Gonzalo rozmawiał z pewnym osiemdziesięcioletkiem, który seryjnie wyrabia z drewna samochodziki, żeby rozdawać je pozbawionym innych prezentów dzieciom na święta; i z kobietą, która na swojej maszynie za darmo obszywa na ulicy najbiedniejszych; i z członkami dawno rozwiązanego chóru, którzy w Wigilię śpiewają na dworze, by przypominać ludziom, że jest Boże Narodzenie. Przecież to wszystko dobrzy ludzie, niezależnie od tego, że Niemcy.

On, Gonzalo, nastawił się na to, że Wigilię spędzi z Frankiem; zamiast tego siedzi sam przy Marienstrasse i nawet nie ma nic specjalnego do jedzenia.

Wcześniej trochę się pod tym względem zaniedbał, ale pilnując Jeana-Marie, znów zajął się papierami Raúla Coronado. Coraz łatwiej mu idzie ich porządkowanie. Naprawdę układają się w coś w rodzaju fabularyzowanej historii rodzinnej. Brakuje jeszcze drobnych fragmentów, niemniej Gonzalo na tyle dobrze poznał już francuszczyznę Raúla, że mógłby je nawet sam dopisać. Wyjdzie z tego dobra powieść, po powrocie do Madrytu trzeba będzie odszukać jej autora i nakłonić go do jej publikacji.

No i jest jeszcze coś zaległego do zrobienia: należy wreszcie przeczytać list od ojca, wciąż nieotwarty, chociaż przyszedł przed kilkoma dniami. Gonzalo nie ma na to najmniejszej ochoty. Nigdy nie wybaczy generałowi i święta nic tu nie zmieniają.

* * *

– Manuelu...

– Coś długo cię nie było.

Manuel i Luis Segura znów stoją twarzą w twarz. Luis podszedł do przyjaciela na ciemnej, pustej o tej porze ulicy w Lavapiés. Wieczór jest zimny i wilgotny, nikt z własnej woli nie wybiera się w taką pogodę na spacer. Oni dwaj też woleliby być gdzie indziej.

– Nie należało przeszkadzać Marcosowi w wykonaniu zadania.

– Twoje szczęście, że go przyłapałem, inaczej miałbyś go na sumieniu.

– I co ja mam z tobą zrobić?

– Wiesz, że moim zdaniem każdy powinien robić to, co uważa za słuszne. Ja musiałem powstrzymać Marcosa przed popełnieniem zbrodni i ty też zrobisz, co musisz.

– Nie ułatwiasz mi sprawy.

– Nie? Myślałem, że podjąłeś już w życiu tyle podobnych decyzji, że zdążyłeś się przyzwyczaić.

Na rogu pojawia się kobieta. Milkną obaj, lecz ona, widząc ich tak zjeżonych, obraca się na pięcie i wraca, skąd przyszła.

– Przestraszyliśmy ją.

– Na to wygląda. To jak będzie? Jeśli musisz mnie zabić, raczej się pośpiesz. Jeśli nie, idę do domu.

– Naprawdę mi nie pomagasz. Nie wiem, może przepraszam, powiedz, że się pomyliłem, cokolwiek, co pozwoli mi się wycofać z poczuciem, że postępuję słusznie.

– Przykro mi. Sam musisz sobie z tym poradzić.

Luis ma przy pasku pistolet, ten sam co kiedyś. Wyjmuje go, mierzy. Manuel się nie rusza. Luis opuszcza broń.

– Nie dam rady. Uważam, że popełniłeś błąd. Powinieneś być nam pozwolić zabić króla... Ale nic, będą jeszcze inne okazje.

– Powodzenia. Idę.

Rozchodzą się bez pożegnania; być może już nigdy się nie zobaczą.

* * *

– Przedstawię wam teraz dane, które przed chwilą sobie zestawilem. Dwanaście tysięcy jeńców wymienionych między Francją a Niemcami. Dwa tysiące między Niemcami a Wielką Brytanią. Do tego pięćuset Włochów, dwustu Belgów. A byli też Turcy, Chorwaci, Serbowie, Austriacy...

Każdy z niemal pięćdziesięciu pracowników Urzędu do spraw Ochrony Jeńców trzyma w dłoni kieliszek. Álvaro Giner, ich dyrektor, zadbał o wigilijny poczęstunek, pokrywając koszty z własnej kieszeni, i teraz chce wznieść świąteczny toast.

– Każdy z tych mężczyzn spędzi dzisiejszy wieczór we własnym domu, z rodziną, a wszystko to dzięki wam. Dlatego powiem teraz to co zawsze: jeszcze trochę. Dziś i jutro będziemy odpoczywać. Pojutrze chcę was tu widzieć z powrotem, pełnych energii i gotowych do dalszej pracy. Wesołych świąt!

Wszyscy klaszczą i składają sobie nawzajem życzenia. Blanca rozgląda się za Marcosem i pyta o niego Manuela.

– Chciał wymknąć się wcześniej. Sama rozumiesz... znów jakaś dziewczyna. Ale słuchaj, Álvaro naprawdę się zmienił.

– Jak to?

- Sprawia wrażenie, jakby faktycznie mu na tym wszystkim zależało.
- Zawsze mu zależało, nigdy w to nie wątpiłam.

Álvaro, w ostatnich czasach nieco oschły w kontaktach, dzisiaj gawędzi ze wszystkimi, bez względu na to, czy chodzi o wykwalifikowanego urzędnika, czy o młodą wolontariuszkę; dla każdego ma miłe słowo. W końcu zbliża się do Blanki.

- Wesołych świąt, Blanco.
- Dziękuję.
- Chcę tylko, żebyś wiedziała, że bez ciebie nic z tego, co osiągnęliśmy, nie byłoby możliwe. Bez ciebie i bez Manuela.
- Pan też swoje zrobił. I don Alfonso, bez którego w ogóle nie ruszylibyśmy z miejsca...

Przerywa im Manuel. Poszedł napełnić kieliszki, ale chyba coś się stało.

- Przepraszam, Blanco, właśnie odebrałem telefon od ciebie z domu.
- Znaleziono Elisę.

- Chwała Bogu, że wszystko dobrze się skończyło!
- Nie. Oni nie żyją. Oboje. I ona, i Carlos de la Era.

13.

Wiem, czym zajmuje się prowadzona przez pana pracownia. Wiem, że zatrudnia jeńców wojennych, których nazwiska nie figurują w żadnych rejestrach. I wiem, co zamierzacie z tymi jeńcami zrobić.

Gonzalo Fuentes zjawił się w gabinecie u generała Köhlera. Od kilku godzin wie już o śmierci swojej siostry Elisy i tego drania Carlosa – Blanca przysłała mu telegram i obiecała, że w najbliższych dniach napisze list ze szczegółami. Gonzalo nie ma pewności, czy chce je poznać. Ta straszna wiadomość nadeszła w najgorszym momencie. Na opłakiwanie siostry będzie jeszcze czas, na razie trzeba zmierzyć się z niemieckim generałem i ratować życie Franka – jeśli Frank wciąż żyje.

– Dostał pan już nakaz opuszczenia Niemiec, panie Fuentes? Jeśli nie, jeszcze dziś pan dostanie. Będzie pan miał czterdzieści osiem godzin na wyjazd, później nie gwarantujemy panu bezpieczeństwa. Ludzie są bardzo wyczuleni na punkcie zdrajców narodu, a pan, jak nam się zdaje, przybył do nas, by pomagać naszym wrogom.

– Może być pan pewien, że pańskie nazwisko trafi do gazet. Przegracie wojnę, a ja osobiście zadbam, żeby wszyscy się dowiedzieli, co pan w jej trakcie wyprawiał. Gdzie jest Frank Heimer? – Na pewno nie miał zbyt udanych świąt. Nie jest już tym eleganckim przystojniakiem, którego pan znał. Ale trzeba przyznać, że okazał się twardy. Nie możemy pana aresztować, bo mimo wszystko pana nie wydał.

– Chcę go zobaczyć.

– W porządku, pójde panu na rękę. Nie mam takiego obowiązku, ale powiedzmy, że zrobię to w imię miłości... A, i jeśli spotka pan, bo pewnie pan spotka, tego francuskiego malarza, któremu pański przyjaciel pomógł w ucieczce, proszę mu przekazać, że bardzo mi się podobają jego obrazy, że ma wielki talent i że jeśli zdoła przetrwać tę wojnę, czeka go wspianała przyszłość.

Żołnierz otwiera kluczem kratę. Za nią ciągnie się pusty korytarz o pomalowanych na bladą żółć ścianach i betonowej posadzce; po obu stronach widać szare metalowe drzwi. Gonzalowi towarzyszą jeszcze dwaj inni żołnierze, obaj uzbrojeni po zęby i czujni: ostatecznie wchodzą w przestrzeń pełną zdesperowanych ludzi, którzy zrobiliby wszystko, byle się z niej wydostać. Gonzalo musiał wcześniej poddać się rewizji i zostawić klucze, pióro, okulary, pasek, nawet muchę, którą miał na szyi – każdą rzecz, jaka mogłaby posłużyć za broń czy narzędzie pomocne w ucieczce. Zatrzymują się przed drzwiami numer 7.

– Ma pan kwadrans.

Żołnierz wpuszcza go do pogrążonej w ciemnościach celi, po czym zamyka

za nim drzwi. Frank siedzi w głębi, na pryczy z cienkim materacem. Na widok Gonzala powoli, niezgrabnie wstaje. Ma poranioną twarz, brak mu kilku zębów. Mimo wszystko rzucają się sobie w ramiona.

– Co oni ci zrobili?

– To bez znaczenia, jutro z rana mnie rozstrzelają i będzie po wszystkim. Nic im nie powiedziałem, myśleli, że mnie złamią, ale nie dali rady.

Dali za to radę skazać go na śmierć – w błyskawicznym procesie bez prawa do obrony. I tak oto Frank, który narażał życie w Paryżu, szpiegując dla Niemiec, umrze w Berlinie za to, że pomógł Francuzowi.

– Tutaj siedzą wyłącznie skazańcy. Codziennie rano zabierają jednego albo nawet kilku i zaraz potem z dziedzińca słychać wystrzały. Niektórzy krzyczą i płaczą, ale ja nie dam nikomu takiej satysfakcji.

– Nie pozwolę im cię zabić, złożę skargę.

– Nic nie poradzisz.

Mają dla siebie tylko piętnaście minut, kilka już upłynęło. Frank nie chce tracić czasu na mrzonki. Zginie, zanim jego kochanek zdoła z kimkolwiek o nim porozmawiać.

– Wydalą cię z Niemiec?

– Taki mają zamiar, ale ja się stąd nigdzie bez ciebie nie ruszę.

– Nie ryzykuj bez potrzeby. A jak będziesz w Madrycie, zajrzyj na ulicę Flor, wypij za mnie moët & chandon i błagam, daj porządny napiwek pianiście. Zawsze chciałem to zrobić, ale za każdym razem odkładałem na później. Bałem się, że faceta obrażę czy coś... I jeszcze jedno: dowiedz się, gdzie pochowano tego Walijczyka, którego zabiłem w Paryżu, i jeśli będziesz miał okazję, zanieś mu jakieś kwiaty i przeproś go w moim imieniu. Wiem, że to głupota, ale byłbym spokojniejszy...

– Wszystko to zrobimy razem.

– Aha, nie zapominaj o mnie, ale koniecznie sobie kogoś znajdź i bądź na tyle szczęśliwy, na ile zdołasz. Mam nadzieję, że takich przejść jak ostatnio życie ci w przyszłości oszczędzi. Gdyby się jednak okazało, że ktoś potrzebuje twojej pomocy, za której udzielenie możesz zapłacić równie słono jak ja, to pomóż, w ogóle się nie wahaj. Warto. To równoważy wszystkie błędy, jakie się kiedykolwiek wcześniej popełniło.

Uderzenie w drzwi to sygnał, że czas się kończy. Zostało kilka chwil na ostatni uścisk.

O szóstej rano, po nocy, w czasie której Frank prawie nie zmrużył oka, do celi wchodzi ksiądz, by zaproponować więźniowi spowiedź. Frank mówi, że jej nie potrzebuje. Pół godziny później przynoszą mu śniadanie, a zaraz potem, gdy tylko robi się jaśniej, prowadzą go na dziedziniec. Pluton egzekucyjny już czeka; jest też

obecnych kilku wyższych rangą oficerów, w tym sam generał Köhler.

– Chce pan coś powiedzieć?

– Nie, dziękuję.

Nie zawiązują mu oczu; to i lepiej – może patrzeć na niebo, na twarze żołnierzy... Dzień jest brzydki, pochmurny i zimny. Żołnierze pewnie marzą, by to wszystko się już skończyło; będą wtedy mogli napić się czegoś ciepłego. Frank wolałby umrzeć wiosną, patrząc na błękitne niebo i fruujące pod nim ptaki, ale cóż, takich rzeczy się nie wybiera. Nie chce tracić swoich ostatnich minut na żale. Myśli jeszcze o Gonzalu, o Gustavie Müllerze, o rodzicach, a potem rozlegają się komenda i strzał. I tyle.

* * *

– Pozabijali się nawzajem. Carlos zaatakował Elisę polanem, ona złapała nóż...

Szukano ich wszędzie, rozesłano ich portrety do Gwardii Cywilnej w całym kraju. Nikomu nie przyszło do głowy, by zajrzeć do domu pod Escorialem. Tamtejszy dozorca kilka dni przed tragicznym zajściem został przez Carlosa zwolniony. Najprawdopodobniej – bo wszystko to domysły – chodziło o to, by nie widział, jak gospodarz popełnia morderstwo i grzebie zwłoki Elisy gdzieś w rozległym ogrodzie.

Ciała odnaleźli dopiero rodzice Carlosa, gdy postanowili spędzić święta w swojej posiadłości poza Madrytem, tak pełnej wspomnień po ich dziecku. Matka na ten makabryczny widok straciła przytomność; ojciec, który akurat rozpakowywał samochód, rzucił się, by ratować syna, choć po miesiącu od jego śmierci było to niemożliwe.

– W grudniu było tak zimno, że zwłoki zachowały się w stosunkowo dobrym stanie.

Wprost z wigilijnego przyjęcia w biurze Manuel i Blanca pojechali do generała Fuentes. Policjant prowadzący sprawę nie miał wiele do dodania.

– Wygląda na to, że do tragedii doszło już w dniu, w którym zniknęli. Najpierw, niemal od razu, umarł Carlos de la Era. Elisa Fuentes żyła jeszcze przez jakieś dwa dni. Na pewno bardzo się bała. Próbowwała doczołgać się do drzwi, ale nie dała rady. Miała pęknięte w trzech miejscach lewe ramię, uszkodzone żebra i kość policzkową. Straciła też dużo krwi.

– Czy jej brat Gonzalo został o wszystkim powiadomiony?

– Generał jest w szoku, obawiam się więc, że jego syn nic jeszcze nie wie. Gdzie obecnie przebywa?

– W Berlinie, jest tam korespondentem „El Noticiero de Madrid”. Sama się z nim skontaktuję.

Po śmierci kogoś, kto był nam bliski, a potem przestał, pojawiają się wyrzuty sumienia. Atakują też Blancę. Czy powinna była bardziej zabiegać o utrzymanie

przyjaźni z Elisą? Wszczęć alarm, gdy odkryła, że jej dawna przyjaciółka wariuje? Kiedy rozmawiały po raz ostatni i Elisa powiedziała, że wychodzi za Carlosa, należało wyciągnąć stosowne wnioski. Tego, co się potem stało, nie dałoby się przewidzieć, ale przecież widać było, że coś jest zdecydowanie nie tak.

Ciekawe, że myśl o Carlosie nie wzbudza w niej, Blance, żadnych uczuć: ani gniewu, ani smutku, ani nienawiści, ani nawet zadowolenia, że ten człowiek znikł z jej życia na dobre. A przecież kilka lat temu myślała, że jest w nim zakochana, i bardzo się ucieszyła, kiedy poprosił ją o rękę. Wtedy był wszystkim, czego pragnęła – oto jak ograniczone miała oczekiwania. Tak bardzo się od tamtej pory zmieniła...

– Wyślę do Gonzala telegram, potem napiszę list, już na spokojnie.

Kolację wigilijną je w domu, choć po tym, co się zdarzyło, zupełnie nie ma nastroju. Oprócz rodziny są tylko książę i księżna Pimentel. Blanca w ostatniej chwili spytała Manuela, co planuje na wieczór.

– Nic, nie widzę powodów do świętowania.

– To chodź ze mną, wiem, że nie wierzysz w Boga, ale ja potrzebuję twojego towarzystwa.

Nie sposób odmówić.

– Bardzo się cieszę, że przyszedłeś. Jesteś w tym domu zawsze mile widziany.

– Dziękuję, don Jaime.

Ojciec Blanki wraca do rozmów, które razem odbyli – Manuel bywa u markizostwa tak często, że doña Ana, choć też przejęta śmiercią Elisy, zaczyna się poważnie niepokoić relacją córki z tym młodym człowiekiem.

– Nie masz rodziny w Madrycie, Manuelu?

– Nie, proszę pani. Ani tutaj, ani nigdzie indziej. Moja matka nie żyje, a z ojcem nigdy się nie dogadywałem. Od wielu lat nie mam o nim wieści.

– To niedobrze, powinieneś go odszukać.

– Z pewnością lepiej nam z dala od siebie.

Blanca widzi, że z Manuelem coś się dzisiaj dzieje. Coś go martwi; coś, co wynikało wcześniej niż ta sprawa z Elisą. Przecież Manuel nigdy tyle nie pił. Już na początku przyjął od don Jaimego kieliszek jerezu i teraz pozwala sobie raz po raz dolewać. A zawsze był taki pod tym względem umiarkowany... Trzeba uważać.

Wszyscy próbują unikać głównego tematu – w końcu to Wigilia, nie pora na rozmowy o śmierciach i zabójstwach, zwłaszcza jeśli dotyczą kogoś tak bliskiego jak Elisa. Jednakże Blanca chciałaby ją mimo wszystko powspominać.

– Pamiętacie, jak pojechała z nami latem do Walencji?

– Oczywiście, wtedy po raz pierwszy zobaczyła morze i aż się rozpląkała...

Po tej anegdocie następują kolejne, choć trudno abstrahować od tego, co się potem stało.

– Carlos de la Era był strasznym draniem. Żałuję, że już nie poniesie za to większej kary.

– Nie wiem, czy król może odebrać tytuły jego rodzinie.

– Tak, to ciekawe...

Manuel prawie się nie odzywa; ledwie znał Elisę – przez kilka tygodni uczył ją maszynopisania, nic więcej. Denerwują go jednak te dywagacje o tytułach.

– Czy je im odbiorą, czy nie, to bez znaczenia. Niedługo nie będzie w Hiszpanii ani arystokratów, ani króla. W końcu staniemy na wysokości zadania i raz na zawsze skończymy z Burbonami.

Zapada milczenie, które przerywa Blanca:

– Manuel się upiera, że rewolucja rosyjska dotrze i do nas. Ale chyba nie powinniśmy o tym dzisiaj dyskutować.

Książę Pimentel – człowiek miły, lecz usposobiony kpiarsko i polemicznie – nie zamierza wszakże przepuścić takiej okazji.

– Przeciwnie, Blanco, rzadko zasiadam do kolacji z rewolucjonistami, zwłaszcza takimi, którzy pracują w Pałacu Królewskim. Chętnie posłucham, co twój przyjaciel ma nam do powiedzenia... Pod warunkiem że nie zechce nam tu zaraz montować gilotyny.

Blanca wolałaby ich powstrzymać. Manuel nie jest trzeźwy, nie wiadomo, do czego się posunie... Na szczęście don Jaime nie ma ochoty zamieniać kolacji wigilijnej w polityczny wiec.

– Mnie tam wszystko jedno, pod warunkiem że nikt nie będzie ruszał mojego ogrodu... Czy już wam mówiłem, że będę pisywał ogrodnicze felietony do naszej gazety? Naczelnicy prosił mnie o to kilka razy, ale jakoś dotąd nie mogłem się zdecydować. Zacznę od orchidei. W przyszłym roku zamierzam zorganizować ogólnokrajowy konkurs na najpiękniejszy okaz. Na nagrodę przeznaczę dwadzieścia pięć tysięcy peset, które i tak sam zgarnę.

Napięcie opada, bo gospodarz wdaje się bez zwłoki w dywagacje na temat oryginalnej czarnej odmiany orchidei z Ameryki Środkowej. Blanca jak zwykle podziwia sposób, w jaki jej ojciec potrafi zarażać swoją pasją innych. Żaden z niego wariat, jak myślą niektórzy; to jeden z najbardziej inteligentnych ludzi na świecie.

Później, gdy doña Ana pokazuje gościom szopkę, Blanca zostaje sam na sam z Manuelem.

– Strasznie dużo wypiliśmy... Coś się dzieje?

– To był trudny dzień. Najpierw ta sprawa z Marcosem, potem z twoją przyjaciółką...

– Z Marcosem? Co z nim?

– Chciał zabić Alfonsa XIII. Wyobrażasz sobie? Uratowałem królowi życie! To jakiś absurd.

* * *

– Sfałszowany paszport dyplomatyczny? Prosisz mnie, żebym złożył podpis na sfałszowanych dokumentach?

– Tak, Wasza Królewska Mość, to jedyny sposób, by wydostać tego człowieka z Berlina.

Święta i najcięższe zimowe chłody już minęły; nadchodzi wiosna tysiąc dziewięćset osiemnastego roku, ostatnia – jak wszyscy mają nadzieję – wiosna tej wojny. Álvaro Giner wybiera się do Paryża, a potem do Berlina. Pozostaje w stałym kontakcie z Gonzalem Fuentesem, który po wydaleniu z Niemiec ruszył do Szwajcarii, i z Velaskiem, tłumaczem z berlińskiej ambasady Hiszpanii, organizującym za plecami ambasadora pomoc uciekinierom z niemieckiej niewoli. Długo się we trzech zastanawiali, jak ściągnąć Jeana-Marie Hugueta do Hiszpanii, i przyszło im do głowy tylko jedno: musi się podać za dyplomatę. Sugestia Blanki okazała się, niestety, słuszna: wobec niechętej postawy ambasadora trzeba było się odwołać do instancji wyższej.

– Jesteś niesamowity, Alvarito! Wiedziałem, że doskonale pokierujesz ochroną jeńców, ale że każesz mi podrabiać mój własny podpis... To doprawdy wspaniałe!

Dobrze się składa, że króla to bawi. Po kilku minutach, także dzięki pomocy królewskiego sekretarza Bernarda Candeleiry, fałszywy paszport z autentycznym monarszym podpisem jest gotowy.

Śmierć Carlosa i Elisy sprawiła, że chociaż raz rozmowa z Alfonsem XIII nie dotyczy jedynie cara i jego rodziny. Są uwięzieni w Jekaterynburgu i radzieckie władze odmawiają ich uwolnienia.

– Zabiją ich.

– Po co, Wasza Królewska Mość?

– Nie wiem po co, ale ich zabiją. Nic nie możemy zrobić.

Niemniej nawet u króla, podobnie jak w madryckich gazetach, kwestie związane z wojną i rewolucją błędną w zestawieniu z losem, jakiego doświadczył Carlos de la Era. Niektórzy dziennikarze ujawnili w dodatku nieprzyjemne szczegóły jego prowadzenia się.

– Piszą, że się przyjaźniliśmy i że bawiliśmy się razem. Kiedy mnie widziałeś w jego towarzystwie, Álvaro, no, kiedy?

– Księżę, który ginie wraz z generalską córką, bo się nawzajem zabijają, co wychodzi na jaw w wigilijny poranek... Sam Wasza Królewska Mość przyzna, że to dla prasy prawdziwa gratka. Nic dziwnego, że niektórzy próbują jeszcze ją ubarwić.

– Straszny typ był z tego Carlosa, trudno sobie wyobrazić większego szubrawca.

– Nie mogę pozbyć się podejrzenia, że to on przejechał Beatriz Vargas. Żeby

się zemścić.

– Masz na to jakieś dowody?

– Nie. Gdybym miał, sam bym go zabił. Nie musieliby go szukać w Escorialu.

– Cóż, niech odpoczywa w pokoju. Już nikomu nie zaszkodzi. Blanca Alerces może spać spokojnie. Ta dziewczyna codziennie od nowa mnie zadziwia, doskonale rozumiem, że się w niej zakochałeś. Właśnie... jakieś nowości w tej sprawie?

– Jestem zaręczony z Adelą Espinosą i się z nią ożenię, Wasza Królewska Mość. W kontekście Blanki nie będzie już zatem żadnych nowości.

Podróż Álvara, być może ostatnia przed końcem wojny służbowa podróż dyrektora Urzędu do spraw Ochrony Jeńców, potrwa kilka tygodni. Nie może jednak przeciągać się dłużej niż do końca maja; ślubu z Adelą Espinosą nie da się po raz kolejny przełożyć.

Pierwszy przystanek to Paryż. Álvaro ma się tu spotkać z francuskimi urzędnikami, którzy przepytawali uwolnionych dzięki niedawnym wymianom jeńców; od nich dowie się, jakie warunki panują w niemieckich obozach, których nie udało mu się odwiedzić. Zachodzi obawa, że pod koniec wojny w wielu miejscach może dojść do eliminacji więźniów, i Álvaro będzie próbował ocenić, w jakim stopniu chodzi o realne zagrożenie, a w jakim – o antyniemiecką propagandę.

Chociaż wojna dobiega końca, Niemcy postanowili siać zniszczenie, póki mogą, i sytuacja w Paryżu wydaje się gorsza niż wtedy, gdy Álvaro był tu razem z Blancą. Generał Ludendorff poprowadzi swoje oddziały na francuską stolicę, nie rezygnując z planu odbycia defilady na Polach Elizejskich; generał Foch szykuje obronę miasta przy pomocy Brytyjczyków i Amerykanów. Bitwa stoczona zostanie – znowu – nad Marną, najprawdopodobniej w początkach lata. Potem wszystko potoczy się już szybko.

Niemcy i Rosjanie przygotowują się do podpisania traktatu pokojowego – do czego dojdzie za kilka dni w Brześciu Litewskim. Zawieszenie broni na froncie wschodnim nastąpiło wszakże zbyt późno, by pozwolić Niemcom odwrócić losy tej wojny. Ententa ma przewagę militarną i wizerunkową. Państwa centralne słabną wszędzie: na Bliskim Wschodzie, na Bałkanach i na froncie zachodnim. Najlepiej by było, gdyby się poddały, lecz najwyraźniej zamierzają walczyć do ostatniego człowieka.

Z Paryża Álvaro pojedzie do Genewy, gdzie spotka się z Gonzalem Fuentesem. No i będzie rozmawiał ze Szwajcarami, którzy odgrywają podobną rolę jak Hiszpanie, nadzorując obozy jenieckie we Francji; z ich raportów wynika, że na wojnie zło i dobro rozkładają się w miarę równo po obu stronach: wbrew temu, co

mogłoby się wydawać, niemieccy jeńcy przeżywają taki sam koszmar jak jeńcy angielscy czy francuscy. Szwajcarzy i Hiszpanie, jako narody neutralne, muszą współpracować w imię poprawy sytuacji.

W ostatnim czasie Álvaro wymienił z Gonzalem kilka zaszyfrowanych telegramów i dowiedział się o śmierci tego Niemca, z którym dziennikarz, jak się zdaje, był związany uczuciowo. Tak czy owak chłopak sprawia wrażenie rozsądnego i może się w przyszłości przydać.

– Nie wolno panu wrócić do Niemiec – ostrzegł Gonzala szwajcarski pogranicznik.

– Wiem, nie zamierzam.

Nakaz opuszczenia Niemiec przyszedł później, niż zapowiadał generał Köhler: nie tego samego dnia, lecz dopiero w lutym. Gonzalo miał też – zamiast czterdziestu ośmiu godzin – aż dwa tygodnie, żeby się zebrać.

Przez ten czas załatwiał różne sprawy: tłumaczył wszystko swoim angielskim kontaktom, przygotowywał ucieczkę Jeana-Marie Hugueta i próbował – bez powodzenia – zlokalizować grób Franka Heimera.

Niemcy szukający Jeana-Marie nie znaleźli skrytki w domu przy Marienstrasse, toteż da się ją jeszcze wykorzystać. Kilka dni przed wyjazdem Gonzalo otrzymał instrukcje od Anglików; kazano mu podpisać umowę o przekazaniu najmu z pewnym prawnikiem z Bawarii. Nie rozmawiali o kryjówce i jej przeznaczeniu, lecz nie ulegało wątpliwości, że jeszcze niejeden uciekinier znajdzie w niej schronienie.

Gonzalo, podobnie jak Blanca, ma okropne wyrzuty sumienia z powodu śmierci Elisy, tym większe, że nie był nawet na pogrzebie siostry i długo o niczym nie wiedział. Po telegramie Blanki zdecydował się wreszcie otworzyć list od ojca, który miesiąc wcześniej pisał o zniknięciu Elisy i prosił o sugestie, gdzie należałoby jej szukać. Do Gonzala, jak zawsze, zwracał się tak, jakby go oskarżał o wszystkie rodzinne problemy, i wydawał się bardziej zirytowany kłopotami niż przejęty losem córki.

Akurat w czasie, gdy przyszedł ten list, wynikła cała sprawa z ucieczką Jeana-Marie. Może gdyby on, Gonzalo, przeczytał to od razu, wróciłby do Hiszpanii i nie mógłby ukryć u siebie Francuza? Może Frank w pojedynkę nie zdecydowałby się na udzielenie mu pomocy, nie zostałby zatrzymany i rozstrzelany...?

W czasie ostatniej wizyty w kraju Gonzalo próbował porozmawiać z Elisą, wysyłał jej też listy, na które nie otrzymał odpowiedzi. Ale czy wystarczająco się starał? Teraz myśli, że za bardzo się skupił na sobie, na swojej dziennikarskiej karierze, na podróżach do Paryża i Berlina – przez co zaniedbał młodszą siostrę. Mógłby się dręczyć tą myślą przez resztę życia, ale to tak jak ze śmiercią Franka: co się stało, to się nie odstanie.

Blanca w jednym z listów napisała, że generał Fuentes jednak bardzo przeżył to, co się wydarzyło. Gonzalo zamierza nawet złożyć mu po powrocie kurtuazyjną wizytę. I tyle. Bo w sumie ojciec ma to, na co sobie zasłużył. Nigdy nie troszczył się o nikogo poza sobą, zatruwał życie całej rodzinie, pogardzał synem za to, że okazał się różny od niego, i najprawdopodobniej nasłał na niego swoich żołnierzy, choć Gonzalo nigdy tego ostatecznie nie zweryfikował, wolał mimo wszystko nie wnikać.

Wciąż pisze swoje korespondencje dla „El Noticiero de Madrid”. Ostatnio już nie z Berlina, lecz ze Szwajcarii. Podobno czytelnicy w całej Hiszpanii je uwielbiają i z upodobaniem rozprawiają o nich po domach i kawiarniach. Gonzalo marzył o tym całe życie: chciał stać się rozpoznawalnym dziennikarzem. A teraz nawet w Nowym Jorku niektórzy pamiętają jego nazwisko... Jednakże ból po stracie Franka i Elisy wcale nie staje się od tego mniejszy.

Gonzalo potrzebuje więc czegoś, co dodatkowo zajęłoby jego myśli; na szczęście ma pod ręką papiery Raúla Coronado. Już wkrótce odtworzy powieść zostawioną przez poprzednika we fragmentach w Paryżu. Postanowił, że upora się z tym w Szwajcarii, po czym odszuka Raúla w Barcelonie. Sam nie wie po co. Po prostu fascynuje go ten dziwny, utalentowany przecież człowiek i jego dziwne, powikłane życie.

* * *

– Wybierasz się jutro do Las Injurias?

Blanca i Manuel co tydzień w piątek po pracy spotykają się w tym samym mieszkaniu co za pierwszym razem. Tylko na parę godzin – ale dla obojga to najlepsze godziny w tygodniu, poświęcone rozmowom, żartom, miłości... Potem Blanca wraca do domu i do życia przyzwoitej, dobrze urodzonej panienki, Manuel natomiast – do dzielnicy Lavapiés, by pospacerować tam, zjeść coś w jakiejś knajpie i pójść w końcu do siebie, na ulicę Sombrerete. Żadne z nich nie ma już innych przyjaciół. Elisa nie żyje, anarchiści nigdy nie wybaczą Manuelowi tego, co uważają za jego zdradę.

– Tak, mam lekcje.

– Uważaj na siebie.

Blanca martwi się, że Manuel mógłby spotkać Marcosa. Nie widzieli się od trzech miesięcy, od Wigilii, kiedy to Manuel uniemożliwił dawnemu podopiecznemu dokonanie zamachu na Alfonsa XIII. W Las Injurias muszą się kiedyś na siebie natknąć.

– Nie zamierzam się ukrywać. Wszyscy wiedzą, gdzie mieszkam i pracuję, dokąd chodzę na wino. Jeśli coś do mnie mają, i tak znajdą mnie bez większych problemów.

Manuel nie boi się byłych towarzyszy; wbrew rozpowszechnionym opiniom bynajmniej nie są to pozbawieni skrupułów szaleńcy, gotowi zabijać przy każdej

nadarzającej się okazji. Nie, to idealisci pragnący lepszego świata i przekonani, że przemoc to jedyny sposób, by go wywalczyć. Manuel ich nie wini; ostatecznie do przemocy raz po raz uciekała się w historii każda władza, także kościelna – zawsze po to, by realizować własne cele i podporządkowywać sobie innych, słabszych. Dlatego słabsi postanowili bronić się teraz tymi samymi środkami. I Manuel się ich nie boi.

Nie obawia się też ewentualnego spotkania z Marcosem. Chłopak, sfrustrowany niepowodzeniem, gadał, co mu ślina na język przyniosła, ale przecież nigdy nie spełniłby swojej groźby dotyczącej patroszenia. Ba, najpewniej już się wstydzi i zamierza go przeprosić. Ostatecznie – podobnie jak jego rodzina i cała dzielnica – zaznał od Manuela wyłącznie dobra.

Manuela martwi coś innego: czuje się samotny, zawieszony między dwoma światami. Pracuje w Pałacu, raz w tygodniu chodzi do łóżka z markizówną, mieszka zaś w wynajętym pokoju w podłej dzielnicy i udziela lekcji dzieciom nędzarzy. A przecież nie należy do żadnego z tych światów – jego miejsce jest w Ateneum Ludowym, pośród bywających tam ludzi. Powinien nadal pisać sztuki takie jak ta, którą wystawiono przy Paseo de las Delicias i później pokazywano też w innych częściach kraju.

Co należałoby zrobić, by się odnaleźć? Co się z nim stanie po wojnie? Będzie musiał znaleźć sobie nową pracę, tyle że nie ma żadnej motywacji. Kiedyś w żartach powiedział Blance, że chciałby wyemigrować, poszukać szczęścia gdzie indziej. Mówili o Brazylii, Argentynie, Kubie... Od tamtej pory myśli o tym codziennie, coraz bardziej przekonany, że to dobry pomysł. Nie zamierza czekać, aż Blanca się nim znudzi i wyjdzie za mąż za kogoś ze swojej sfery; nie chce pracować z królem lub Álvarem Ginerem przy czymś, do czego nie zapali się już tak jak do pomocy jeńcom. Gdy przyjdzie pora, zniknie – po cichu, bez pożegnania. Nie uprzedzając nawet Blanki. Po prostu kupi bilet. Spędzi z Blancą ostatnie piątkowe popołudnie, w sobotę przeprowadzi ostatnią lekcję w Las Injurias, może wypije ostatnią szklaneczkę wina z Murcjanką. Później wróci do siebie, do Lavapiés, spakuje manatki i ruszy na stację Atocha, by tam wsiąść do pociągu, który zawiezie go do Kadyksu, Lizbony czy La Coruñi – zależy, skąd akurat będą odpływać statki do Ameryki Południowej. W poniedziałek, gdy jego nieobecność zostanie w końcu zauważona, on będzie już na pełnym morzu, w drodze ku nowemu życiu. Oczywiście, wcześniej napisze do Blanki list, by się nie martwiła, że coś mu się stało; by wiedziała, że wyjechał, ponieważ chciał, choć jej o tym nie powiedział.

Jak ona by na to zareagowała? Jasne, byłoby jej bardzo przykro, ale w końcu by zrozumiała, że to najlepsze wyjście – dla nich obojga. Odzyskałaby wolność i nie musiałaby się martwić, że prędzej czy później go zrani. Bo chociaż on chciałby się z nią ożenić, wie, że to niemożliwe. Już i tak zbyt często zapominał,

z kim się zadaje. A nie powinien zapominać.

Tymczasem Blanca, gdyby знаła plany kochanka, sama zaproponowałaby mu małżeństwo. Niczego się jednak nie domyśla i jak w każdy piątek czuje się bardzo zadowolona. Umówiła się z rodzicami, że nazajutrz pojedzie z nimi do miasteczka pod Segowią, gdzie mieszka Alicia. Oni odwiedzają małą regularnie, co miesiąc, a jej się jak dotąd nie udało.

Nie wyznała im tego, co wie od policji: wygląda na to, że w dniu swego zniknięcia Alicia była u Carlosa, w domu pod Escorialem. To on ją porwał; podczas przeszukania znaleziono jej kurteczkę. Nie wiadomo, o co mu chodziło, po co ją uprowadził, skoro potem odesłał całą i zdrową do domu. To sekret, który zabrał ze sobą do grobu. Może po prostu pragnął pokazać rodzinie byłej narzeczonej, że jeśli się chce, każdego można zranić, i że z kimś takim jak Carlos de la Era nie należy zadzierać.

Wyjeżdżają z Madrytu o świcie i ojciec, ku przerażeniu matki, pozwala Blance prowadzić.

– Umiesz to robić, prawda?

– Jak najbardziej.

– Tylko nie pędź, błagam.

Auto ojca, oldsmobile model Limited Touring, różni się od samochodu Álvaro, u którego Blanca pobierała pierwsze lekcje jazdy, niemniej różnice okazują się nie tak znowu wielkie. Tyle że prowadząc, trudno nie wspominać tamtego razu, gdy wybrali się do Casa de Campo. To był piękny dzień; właśnie wtedy zdała sobie sprawę, że się w swoim szefie zakochała.

Czy nadal jest zakochana? Tego nie wie. Czy jest zakochana w Manuelu? Nie wie i tego. Pragnie go, w tej kwestii nie ma wątpliwości; lubi z nim przebywać i uprawiać z nim seks, bo tymczasem nauczyli się dawać sobie nawzajem przyjemność. Ale co do uczuć... Nie, nie kocha go. Znacznie więcej wspólnego z miłością ma to, co czuje do Álvaro, choć myślenie o tym niczemu nie służy. Po powrocie do Madrytu Álvaro ożeni się z Adelą. I tyle.

– Uważaj na tym zakręcie.

– Papo!

– Musimy pomyśleć o sprawieniu ci samochodu.

– Naprawdę?

– Pewnie, przecież bardzo dobrze sobie radzisz za kierownicą.

Od czasu do czasu muszą zwalniać, niemal przystawać, żeby po chwili wyprzedzić wóz ciągnięty przez woły lub muły albo żeby przepuścić przecinające drogę stado owiec. Poza Madrytem życie toczy się w innym, bardziej ludzkim rytmie. W sumie po co jej, Blance, samochód? Żeby się dokądś spieszyć? Wszystko jedno, ważne, że go chce. Gdyby miała podobną jasność i w innych sprawach...

Miasteczko, w którym dorasta Alicia, jest niewielkie: to kilkaset domów zamieszkałych przez ludzi, którzy uprawiają rolę, karmią kury i hodują bydło. Niektórym wyraźnie się powodzi, pewnie dzięki wojnie; od jej wybuchu Francuzi zaopatrują się u Hiszpanów w mięso. W związku z tym w miasteczku otwarto nawet stosunkowo wygodny zajazd. Niemniej państwo Alerces zatrzymają się na noc dwadzieścia kilometrów dalej, u przyjaciela don Jaimego.

Alicia bardzo się zmieniła i urosła przez te kilka miesięcy, które upłynęły od jej wyjazdu z Madrytu. Wita gości z radością, wydaje się zdrowa i szczęśliwa. Mieszkańcy wielu prowincjonalnych miasteczek marzą o stolicy nieświadomi, że czeka ich tam znacznie gorsze życie...

– To pokażesz mi, jak się jeździ na osiołku?

– Nie da rady, mój osiołek został sprzedany. Poszedł na wojnę. Mam nadzieję, że nic mu się nie stanie. Do osiołków nie strzelają, prawda?

– Do osiołków? Skąd!

Blanca gawędzi z dziewczynką, pozwala się zaprowadzić do kościoła, który jest dumą miasteczka, a nawiązawszy z małą kontakt, porusza najbardziej interesujący ją temat.

– Alicio, pamiętasz tamtego pana, który zabrał cię kiedyś z parku?

– Tak.

– Ten pan nic ci nie zrobił, prawda?

– Nie, tylko ze mną rozmawiał, ale obiecałam mu, że nikomu nie powiem o czym.

– Ten pan miał na imię Carlos. Umarł. Teraz możesz mi już powiedzieć, o czym wtedy mówiliście.

Alicia nie bardzo chce do tego wracać, powtarza, że nie wszystko pamięta, że ten pan Carlos opowiadał dziwne rzeczy i że naprawdę nic jej nie zrobił.

– Trochę płakał, mówił, że jesteś niedobra i że wyrządziłaś mu krzywdę. Ja cię broniłam, ale nie chciał mnie słuchać i twierdził, że nie życzył nikomu nic złego i że wszystko przez ciebie...

Blanca nie czuje się najlepiej po tej rozmowie. Alicia z kolei chyba rzeczywiście prawie o wszystkim zapomniała, bo teraz ugania się już za kurami i przedstawia Blance swoje nowe koleżanki. Carlos próbował się usprawiedliwiać... Cóż, nikt nie chce się uważać za kanalię.

– Przejdziesz się ze mną?

Spacer po polach i łąkach w towarzystwie don Jaimego to prawdziwa przyjemność; ojciec pokazuje Blance najładniejsze rośliny i mówi jej, jak się nazywają.

– Powinieneś być zostać rolnikiem.

– Coś ty, wolę być szurniętym markizem. Ta wojna powoli się kończy, prawda?

– Takie chodzą słuchy.

– Co zamierzasz później?

Wszyscy zadają sobie to samo pytanie. Urząd do spraw Ochrony Jeńców będzie działał jeszcze przez jakiś czas – przynajmniej do powrotu reszty więźniów. Może trzeba się też będzie zająć rodzinami tych, którzy jednak nie wrócą... Ale co potem? Z nią, z Manuelem, z Álvarem?

– Chyba pójdę na studia. Na prawo.

– Chcesz być adwokatem?

– Nie, chcę się zająć polityką. Hiszpania musi się bardzo zmienić i myślę, że kobiety powinny mieć w tym udział.

– Wszystko to pięknie, tylko nie zapominaj, że nasza gazeta może ci świetnie posłużyć do propagowania swoich idei. Poza tym tak naprawdę nie pytałem o kwestie zawodowe. Teraz praca w biurze zajmuje ci dużo czasu. Ale kiedy się skończy...? Nie chciałabyś mieć rodziny?

Czyli wcale nie chodziło o roślinki, tylko o poważną rozmowę rodzica z córką. Rozmowę, której z doñą Aną nie dałoby się odbyć.

– Mama kazała ci ze mną pomówić?

– Przyznaję, że kilka razy dawała mi do zrozumienia, jak się martwi, choć po ostatniej aferze z Carlosem zrozumiała, że dobrze zrobiłaś, nie wychodząc za niego za mąż.

– Trochę jej to zajęło.

– Obecnie, rzecz jasna, gryzie się, że zbyt dużo przestajesz z tym kolegą z pracy, Manuelem...

– Gryzie się?

– Cóż, zawsze zbyt wielką wagę przywiązywała do kwestii klasowych.

– A ty?

Don Jaime od dziecka wpajał córce postępowe idee, jednakże praktyka może się okazać trudniejsza od teorii. Co myśli sobie teraz?

– Myślę, że trzeba próbować być szczęśliwym, a łatwiej być szczęśliwym z kimś, kto jest do nas podobny, odebrał zbliżone wychowanie... Niemniej zdaję sobie sprawę, że życie czasem nas zaskakuje.

– Czyli nie protestowałbyś, gdybym chciała wyjść za kogoś spoza naszej sfery?

– Musiałabyś mnie przekonać, co pewnie nie byłoby łatwe, ale gdybyś zdołała... Nie, nie protestowałbym.

Ojciec zawsze ją zaskakiwał. Właściwie jest bardziej otwarty niż ona. Bo ona nie widzi siebie w roli żony Manuela.

* * *

– Lepiej, żeby ambasador pana nie zobaczył. Zacząłby coś podejrzewać.

Álvaro Giner niejednokrotnie bywał w ambasadzie Hiszpanii w Berlinie, która mieści się w pałacu Tiele-Wincklerów, w dzielnicy Tiergarten; zawsze wchodził głównymi drzwiami, a dziś, po raz pierwszy, niemal zakrada się od tyłu.

W środku czeka na niego Jean-Marie Huguet, który od wielu miesięcy nie opuszczał swojej kryjówki za kuchnią. Czytał tam, malował, desperował i się nudził, w końcu jednak wyjdzie na wolność.

– Nazywam się Álvaro Giner, zabiorę pana z powrotem do Hiszpanii, gdzie czekają na pana żona z synem. Żona od dawna pana szukała.

Jean-Marie pojedzie przez Szwajcarię i Włochy, skąd popłynie do Barcelony. To długa droga.

Gonzalo Fuentes spotkał się z Álvarem kilka dni wcześniej w Genewie, w hotelu Beau-Rivage, tym samym, w którym umarła cesarzowa Elżbieta Bawarska, zwana Sissi, zaatakowana przez włoskiego anarchistę podczas spaceru nad jeziorem. Gonzalo i Álvaro mówili o wielu sprawach: o planach wydostania Jeana-Marie z Berlina, o pracowni fałszerskiej kierowanej przez generała Köhlera, o śmierci Franka Heimera, o Elisie Fuentes i jej kochanku...

– Trzeba coś zrobić, bo inaczej ci więźniowie zginą. Znają przecież tożsamość wielu niemieckich szpiegów, różne adresy i szyfry.

– Poproszę don Alfonsa, żeby złożył oficjalną skargę, ale jako kraj neutralny mamy ograniczone pole działania. Oby kiedyś nastały lepsze czasy...

Álvaro chciałby, żeby Gonzalo swoimi tekstami pomagał im to pole poszerzyć.

– Może pan na mnie liczyć.

– Dziękuję. Wracasz do Hiszpanii?

– Tak, ale zanim zjawię się w Madrycie, zajrzę do Barcelony. Muszę tam kogoś znaleźć, pod warunkiem że ten ktoś żyje.

O dziewiątej wieczorem Jean-Marie opuszcza ambasadę Hiszpanii w samochodzie prowadzonym przez tłumacza Velasca; jadą na Dworzec Poczdamski. To trudny moment; budynek może być pod obserwacją. Zbieg kryje się za postawionym kołnierzem palta, kapelusze ma zsunięty głęboko na oczy.

Po drodze nic się nie dzieje, w Berlinie ruch jest mały, zwłaszcza teraz. Álvaro i Jean-Marie zostają we dwóch w ogromnej poczekalni. Gdyby ktoś ich teraz nakrył, rozpoznał Francuza, nie zdołaliby uciec.

Pociąg do Monachium, gdzie mają się przesiąść, spóźnia się czterdzieści minut; słynna niemiecka punktualność mocno ucierpiała w czasie wojny. Álvaro i Jean-Marie szukają ławki na uboczu. Hiszpan rozgląda się dyskretnie na boki, podczas gdy Francuz chowa się za szpaltami „Vossische Zeitung”.

Pojawia się policjant; rusza w ich stronę. Jean-Marie, uprzedzony przez

Álvara, zachowuje spokój.

– Nie denerwuj się. Ja będę mówił, twój akcent mógłby cię zdradzić.

– Dokumenty poproszę.

Jean-Marie, podając policjantowi swój fałszywy hiszpański paszport, zachowuje podziwu godne opanowanie.

– Dokąd panowie jadą?

– Daleko. Do Monachium, a potem do Szwajcarii. No i później do domu.

Policjant ogląda dokumenty, choć jest jasne, że nic nie rozumie. Mogliby mu dać jakikolwiek świstek, i tak nie zauważyłby różnicy.

– Miłej podróży. Bardzo jesteśmy wdzięczni za pomoc w sprawie jeńców. Mój brat wrócił z Francji dzięki waszemu królowi.

Wzruszające.

– Wszystkiego dobrego dla pana i pańskiego brata. Proszę napisać do Alfonsa XIII, ucieszy się, że mógł pomóc.

Do granicy z Francją czeka ich kilka takich kontroli; każda będzie osobną ciężką próbą.

* * *

– Twój mąż opuścił Niemcy, jest w Szwajcarii. Trochę to potrwa, zanim wróci do Hiszpanii, ale już jedzie.

Carmen Carmona bardzo się zmieniła: jest lepiej ubrana, uczesana, umalowana, ma zadbane ręce. Jej uroda, i w gorszych czasach zwracająca uwagę, teraz wręcz obezwładnia. Wszyscy w Pałacu się za Carmen oglądają. Gdyby król, znany ze słabości do kobiet, był gdzieś w pobliżu, z pewnością kazałby ją sobie przedstawić.

– Nie mogliśmy cię o niczym informować, dopóki nie zyskaliśmy pewności, że wszystko się uda. Twój mąż od Bożego Narodzenia ukrywał się w ambasadzie Hiszpanii w Berlinie, a my zastanawialiśmy się, jak go stamtąd wydostać.

– Dziękuję. Dzięki Bogu!

Blanca była w sklepie u Diega. Wie o jego związku z Carmen.

– Zdecydowałaś już, co zrobisz?

– Jean-Marie jest moim mężem, ojcem mojego syna. Nigdy nie miałam wątpliwości, co powinnam.

– A Diego...?

– Porozmawiam z nim. Od początku wiedział, że to może nastąpić. Teraz chcę się spotkać z Jeanem-Marie, poznać go z Juanem.

Carmen rozmawia z Diegiem jak zwykle w łóżku, kiedy Juan już zasnął, służące poszły do siebie, a oni cieszą się chwilą we dwoje.

– Diego, Jean-Marie wróci... Już jest w drodze. Przeżył.

– Przyjedzie do Hiszpanii?

– Tak, za dwa albo trzy tygodnie. Wiedzieliśmy, że to się może zdarzyć.

Przez długą chwilę milczą, nie wiedząc, co mówić – gniewać się, rozpacząć czy przekonywać.

– Wyprowadzę się jutro z powrotem do Las Injurias, Murcjanka jeszcze raz mi pomoże. Bardzo jestem ci za wszystko wdzięczna i choć to może bez sensu, chciałabym, żebyś wiedział, że cię kocham.

– Nie, Carmen, proszę... Trzeba się zastanowić... Jutro nie otworzymy sklepu, zostawimy małego z opiekunką, pójdziemy na miasto pogadać.

– Nie, Diego, ty będziesz mnie przekonywał, ja będę chciała ci ulec. Ale nie. Wrócę z Jeanem-Marie do Sewilli. Lepiej już to zostawmy.

Nie musi wracać do Las Injurias. Diego opłaca hotel, w którym mogą z Juanem mieszkać aż do powrotu Jeana-Marie. Carmen śledzi doniesienia o jego podróży do Szwajcarii, potem do Barcelony. Wkrótce będą razem; opowie mu wszystko, niczego nie ukrywając. Ma nadzieję, że on jej wybaczy.

* * *

– Owszem, znałem tego człowieka, choć nie wiedziałem, że nazywa się Raúl Coronado. Był dla nas po prostu Kubańczykiem.

Gonzalo nigdy wcześniej nie był w Barcelonie. Od pierwszej chwili fascynuje go dzielnica chińska, położona tak blisko jego hotelu, a przecież tak odległa od wszystkiego co hiszpańskie... W Madrycie, Paryżu i Berlinie widział najrozmaitsze miejsca, ale tak egzotycznego i zarazem pełnego swobody – nie. Przez trzy dni zwiedzał bary, kluby i lokale takie jak ten przy ulicy Flor, tyle że znacznie sympatyczniejsze. Wszędzie pytał o Raúla Coronado; bez powodzenia, póki nie zaczął pokazywać ludziom jego zdjęć.

W Genewie dokończył porządkowanie jego papierów; brak tylko kilku fragmentów powieści, łatwych do uzupełnienia na własną rękę. Problem w tym, że nie ma zakończenia, ostatniego rozdziału. Tekst zamykają słowa dotyczące Gonzala, choć jego imię tam nie pada: „Zastąpi mnie jakiś chłopak z Madrytu. Czy kiedykolwiek dowie się, kim byłem? Teraz wrócę do Hiszpanii, poczekam w Barcelonie na koniec: swojego życia i tej opowieści”.

Poszukiwania zawiodły Gonzala do sutereny przy ulicy Escudellers, niedaleko Rambli.

– Mieszkał tutaj, ale kilka tygodni temu się powiesił. Za późno...

– Znał go pan dobrze?

– Widziałem go może ze dwa razy. To był dziwny facet, taki król żebraków i pijacznym, zapuszczony, ale w jakiś sposób i elegancki. Mieszkałem naprzeciwno, a po jego śmierci przeniosłem się tutaj, bo to dużo taniej.

– Zostawił coś? Jakies papiery?

– Musi pan spytać Galisyjki, bo ona wzięła stąd jego rzeczy.

Galisyjkę odnaleźć nietrudno: to niemal pięćdziesięcioletnia prostytutka,

która obnosi się ze swoim towarem po najbliższej okolicy.

– Kubańczyk? Niech go szlag! Mówił, że mnie stąd zabierze i że zamieszkamy razem w Figueres, po czym się powiesił i nawet mi nie zapłacił.

– Ale wzięła sobie pani jego rzeczy.

– Jakież łachy i laskę z rzekomo srebrną gałką. Też coś! Sprzedałam ją za pięć duro!

– Nie zostawił żadnych zapisków?

– Tak, mam mnóstwo zabazgranych przez niego papierów, całe stosy!

– Bardzo ich potrzebuję.

– Jak mi pan dobrze zapłaci, może je znajdę.

Galisyjka targuje się nieźle: dostaje sto peset za stertkę serwetek i innych ścinków. Dużo więcej niż za laskę z rzekomo srebrną gałką.

Jedna bezsenna noc pozwala Gonzalowi dokończyć powieść Kubańczyka. Ostatnia niespodzianka to liścik skierowany bezpośrednio do niego:

Drogi a nieznany przyjacielu,

gdybym mógł, pomógłbym Ci jeszcze trochę. Chciałem się w ten sposób upewnić, że zasługujesz na to, by poznać tę historię. Zresztą, może i nie jest wiele warta, niemniej nic więcej po sobie na tym świecie nie zostawię. Zrób z nią, co chcesz: zachowaj ją, spal, wydaj pod moim lub swoim nazwiskiem, a pieniądze przepuść albo podaruj misjonarzom, by dalej unieszczęśliwiali jakieś afrykańskie czy chińskie dzieci. Mnie tam wszystko jedno, grunt, że Ty, kimkolwiek jesteś, to przeczytałeś.

Raúl

– Opowie mi pan o nim?

– Mój czas jest cenny.

– Proszę się nie przejmować, zapłacę.

Wszyscy niby znali Raúla Coronado, lecz nikt nie wie, kim był naprawdę, co go zgubiło, dlaczego porzucił swoje spokojne mieszczańskie życie, by zagłębić się w świat narkotyków, absyntu i kobiet wiadomej konduity... Tylko Gonzalo zna odpowiedź na te pytania; zna ją z napisanej przez Raúla powieści. I nie jest to odpowiedź specjalnie oryginalna.

Teraz należy się zastanowić, co z tym począć: porzucić, opublikować czy raczej udostępnić przyrodniej siostrze Raúla, Perli...? Gonzalo, mimo wszystko, traktuje te zapiski jako świadectwo, że można żyć po swojemu; on też by chciał. Może po wojnie wróci do Paryża, by pisać...? Musi się kiedyś ostatecznie

wyzwolić spod wpływów ojca generała.

* * *

– Manuel!

– To znowu ty? Pożałowałeś, że zostawiłeś mnie przy życiu?

– Nie, pożałowałem, że nie porozmawialiśmy. Może napijemy się wina?

Siadają w zaprzyjaźnionej knajpie. Manuel Campos, który już prawie zapomniał, że nie nazywa się Lope, w ogóle nie czuje lęku: Luis zjawił się sam. Cóż, w końcu obaj wciąż są anarchistami.

– Nie wolno posyłać osiemnastoletniego chłopaka na śmierć. Ten zamach w Pałacu to byłoby przecież samobójstwo.

– Marcos zgłosił się na ochotnika.

– A ty się zgodziłeś? W takim razie brak ci choćby odrobiny przyzwoitości.

– Nie tobie osądzać nasze metody. Tak czy owak nie przyszedłem się kłócić.

Po prostu nie chcę stracić przyjaciela.

W tym momencie do knajpy wpada jakiś dzieciak.

– Policja!

Wszyscy wiedzą, że trzeba uciekać. Tłoczą się przy tylnym wyjściu, lecz ostrzeżenie przyszło zbyt późno. Za malcem w lokalu pojawia się policjant, który widząc całe zamieszanie, otwiera ogień i trafia Luisa. Manuel zdążył rzucić się na podłogę. Wbiegają kolejni policjanci, pada więcej strzałów. Manuel nie ucierpiał, ale na ziemi leży trzech innych: właściciel knajpy, chłopak, który próbował ich ostrzec, oraz Luis. Dwaj pierwsi próbują tamować lejącą się im z ran krew, lecz Luis dostał prosto w głowę.

– Ty pójdziesz z nami.

– To bezprawie!

Funkcjonariusz z całej siły uderza Manuela pod żebra, inny go kopie.

– Bezprawie? To się jeszcze okaże. Jeśli przestaniesz nas prowokować, może dożyjesz.

– Pracuję w Pałacu Królewskim, dla Alfonsa XIII!

– A ja na Bliskim Wschodzie, z królem Baltazarem.

Jest późno, po dziesiątej wieczorem; Manuel wie, że nikt się za nim nie wstawi do rana, a gdyby ci tutaj odkryli jego prawdziwą tożsamość, to już w ogóle nigdy nie wyjdzie na wolność. Musi cierpliwie czekać.

Luis Segura nie żyje... Po nieszczęśliwym zajściu w trakcie strajku w Industrial Madrileña bardzo się od siebie oddalili; potem, w związku z tym, że Manuel odmawiał dokonania zamachu na króla – jeszcze bardziej, ale nic nigdy nie zmieni tego, że przyjaźnili się od zawsze.

Po dwóch godzinach Manuel zostaje wezwany do sali przesłuchań. Czeka tam na niego ten sam policjant, który przywiózł go na komisariat.

– Zanim zabierze się pan znowu do bicia, proponuję, żeby sprawdził pan to,

co mówię. Naprawdę pracuję w Pałacu Królewskim, w Urzędzie do spraw Ochrony Jeńców, pod bezpośrednim kierownictwem króla.

– To może król osobiście przyjdzie cię stąd wyciągnąć?

– Osobiście nie, przyśle kogoś. Niemniej z pewnością wyciągnie konsekwencje, gdyby coś mi się stało. Proszę lepiej uważać.

Jak się już wcześniej przekonał, musi być bardziej agresywny niż przeciwnik, inaczej przegra.

– Dobra, dobra. Odpowiadaj mi teraz na pytania.

– Życzyłbym sobie, żeby mnie pan nie tykał.

Policjant się waha. Czyli się udało. Zaczyna wątpić, czy to całe zatrzymanie było dobrym pomysłem.

– Jak pan chce. Co pan robił w towarzystwie Luisa Segury?

– Piłem wino.

– Jest pan anarchistą?

– Czy na takiego wyglądam?

– To ja zadaję pytania.

– Jest pan pewien? Pytania zadaje ten, kto stoi wyżej w hierarchii. Jest pan pewien, że z nas dwóch to właśnie pan?

Nie trzeba nawet czekać do rana. O trzeciej w nocy Manuel wraca do domu. Wstrząśnięty śmiercią przyjaciela uzmysławia sobie, że mało brakowało, a zostałyby zdemaskowany. Może nie powinien zwlekać z tym wyjazdem do Brazylii?

* * *

– Carmen!

Carmen i jej syn czekają na dworcu Atocha w towarzystwie Blanki Alerces. Z pociągu, który właśnie wjechał na stację, wysiadają Jean-Marie Huguet i Álvaro Giner. Nigdzie nie widać ani rodziny Álvaro, ani Adeli Espinosy.

Jean-Marie pierwszy wyskoczył na peron, podbiegł do żony, przytulił ją, potem wziął na ręce syna...

Blanca i Álvaro trzymają się dyskretnie z boku, za nic w świecie nie chcieliby zepsuć podobnej chwili. Carmen i Jean-Marie mają sporo do nadrobienia. Już niedługo będą mogli udać się do hotelu, gdzie mieszka Carmen. Później, gdy Jean-Marie podzieli się, z kim trzeba, swoją wiedzą o generale Köhlerze i pracowni fałszerskiej w Berlinie, zabierze żonę, dokąd zechce. Choćby do Sewilli. Ambasada Francji została już o wszystkim poinformowana i Jean-Marie dostanie zaległy żołd, który pozwoli mu się spokojnie urządzić.

Carmen się niepokoi. Radziła się Blanki, czy i w jaki sposób o wszystkim mężowi opowiedzieć.

– Nie bardzo potrafię ci pomóc. Nigdy nie byłam w takiej sytuacji. Wiem tylko, że prawda jest lepsza od kłamstw. Choć i tego nie jestem pewna.

Álvaro i Blanca przywitani się sztywno i teraz obserwują połączoną rodzinę.

- Jak tam w biurze?
 - Jak zawsze. Dużo pracy, poza tym w porządku. A jak podróż?
 - Też w porządku, chociaż Paryż był wywrócony do góry nogami przez tę niemiecką ofensywę. A w Berlinie pachnie już klęską. Załatwiłem, co miałem załatwić. Trzeba będzie jak najszybciej przeprowadzić kolejną wymianę jeńców.
 - Oczywiście. Jak tylko wrócimy do Pałacu, zaraz się biorę do pracy.
- Jean-Marie i Carmen rozmawiają. Blanca patrzy na Álvara.
- W każdym razie witaj w domu. Cieszę się, że jesteś z powrotem.
 - Dziękuję.

Jean-Marie i Carmen zostają sami dopiero kilka godzin później. Wcześniej byli w Pałacu, sam król przyjął ich i życzył im szczęścia. Potem należało jeszcze uśpić Juana.

- Posłuchaj, bardzo dużo się zdarzyło.
- Wiem, nie musisz mi się z niczego tłumaczyć.
- Ale chcę ci o wszystkim opowiedzieć, bo inaczej nie potrafiłabym z tobą żyć.

Carmen mówi długo, najważniejsze zostawia na koniec.

– Diego to dobry człowiek. Bardzo się o mnie i o Juana troszczył. Nigdy więcej się z nim nie spotkam, ale musisz wiedzieć, że ktoś taki był i że go kochałam.

Jean-Marie przez dłuższą chwilę milczy.

– Przykro mi, Carmen, że tyle przeszłaś. Ja też robiłem różne rzeczy przez te lata. Ale przeżyłem i jestem z wami.

Teraz pora na jego zwierzenia, także te dotyczące pielęgniarki Madeleine i Gretchen, żony generała Köhlera.

- Mimo to nigdy nie przestałem o tobie myśleć.
- Ja o tobie też nie.
- Chcesz, żebyśmy wrócili do Sewilli?
- Chcę.

* * *

– A gdzie Manuel?

Zapadł już zmrok; Blanca i Álvaro zostali w biurze sami. Álvaro nie był jeszcze w domu, nie widział się też z Adelą Espinosą; prosto z dworca przyjechał do Pałacu.

- Nie wiem, rano go nie widziałam, później podobno też się nie pokazał.
- Zabalował?
- Nie sądzę, on bardzo poważnie podchodzi do pracy. Może jest chory. W Madrycie szaleje ostatnio jakaś grypa. Jutro wyślę kogoś, żeby sprawdził, co się stało.

W ostatni piątek Manuel wydał się Blance trochę dziwny, ale poza tym był miły i uśmiechnięty. Ba, wbrew swoim zwyczajom powiedział jej na koniec, że ją kocha. Po raz pierwszy zresztą. Sprawilo jej to przyjemność, lecz nie mogła odpowiedzieć tym samym, więc tylko go pocałowała.

Upłynęły już dwa tygodnie od czasu, gdy trafił na komisariat; nikomu o tym nie mówił, tylko jej. Zrobił się potem ostrożniejszy, jakby lekko przestraszony.

– Jakby co, chętnie pomogę. Manuel to doskonały pracownik. Don Alfonso bardzo go ceni, może najbardziej z nas wszystkich.

Blanca i Álvaro do późnego wieczoru przygotowują dokumenty związane z oficjalną skargą na potajemne przetrzymywanie jeńców. Koło dziesiątej Blanca zagląda do gabinetu szefa, by się pożegnać.

– Usiądź na chwilę.

Lekko zaskoczona, siada.

– Blanco, w przyszłym tygodniu miałem się żenić.

– Miałeś...?

– Odwołam ten ślub, tak samo jak ty kiedyś. No, może nie przed ołtarzem. Myślę o tym od miesiący, ale dziś na dworcu zyskałem jasność. Kocham cię i chcę być z tobą.

– Nie możesz tego zrobić, Álvaro.

– Nie mogę być wiecznie nieszczęśliwy.

Epilog

Ty wciąż tutaj? Myślałem, że wszyscy już sobie poszli...

Wojna – czy też Wielka Wojna, jak zwa ją ci, którzy wierzą, że coś takiego nigdy się nie powtórzy – skończyła się dwa lata temu. Jeńcy wrócili do domów, podobnie jak uchodźcy; listy poległych, rannych i zaginionych zostały pozamykane. Każda teczka w archiwum Urzędu do spraw Ochrony Jeńców zawiera osobną historię: niektóre skończyły się dobrze, jak historia Jeana-Marie i Carmen, inne – jak w wypadku Johna Kiplinga – nie znalazły zakończenia, a jeszcze inne, owszem, znalazły, lecz zupełnie bezsensowne, jak stało się z tym biednym Francuzem Sartou. Niektóre rodziny straciły wielu swoich członków: mężów, synów, braci, narzeczonych...

Koniec wojny obfitował w dramatyczne zdarzenia i zgodnie z przewidywaniami odmienił oblicze Europy: car Mikołaj II został wraz z rodziną zamordowany, a kajzer abdykował i uciekł do Holandii. Niemcy wreszcie się poddały i musiały uznać postanowienia upokarzającego traktatu wersalskiego.

W ostatnich tygodniach konfliktu biuro działało na najwyższych obrotach, lecz później z oczywistych względów Urząd do spraw Ochrony Jeńców stał się niepotrzebny. Kto wie, czy historia w ogóle zapamięta, że ta początkowo skromna inicjatywa Alfonsa XIII, chcącego pokazać światu, że Hiszpania, choć neutralna, nie jest obojętna, przekształciła się w szeroko zakrojony projekt, przy którym pracowały pięćdziesiąt cztery osoby wspomagane przez dziesiątki wojskowych i setki dyplomatów, co pozwoliło pomóc dwustu tysiącom jeńców wojennych i rzeszy cywili.

Blanca, myśląc o tych liczbach, czuje wręcz zawrót głowy i wciąż słyszy głos Álvara powtarzającego: jeszcze trochę, jeszcze trochę... Bo choć praca w Pałacu odcisnęła piętno na wszystkich, najbardziej chyba zmienił się pod jej wpływem ich szef, który przecież zgodził się wziąć w tym udział wyłącznie ze względu na przyjaźń z królem, po czym zaangażował się bez reszty.

I oto przyszła pora na zaklejenie ostatniego listu. Potem i Blanca opuści biuro. Nagle w progu staje don Alfonso.

- Pamięta Wasza Królewska Mość Rudyarda Kiplinga?
- Nie mów, że jego syn jednak się odnalazł!
- Niestety nie, choć liczyliśmy na to do końca. Właśnie kończę pisać list w tej sprawie, mieliśmy przecież nikogo nie zostawiać bez odpowiedzi.
- Dziękuję, Blanco. Możecie być z siebie dumni.
- I jesteśmy. Mogę Waszej Królewskiej Mości w czymś pomóc?
- Prawdę mówiąc, zajrzałem tutaj, bo myślałem, że nikogo już nie ma, i chciałem się pożegnać z samym biurem. Nigdy już nie zrobimy niczego równie ważnego jak to, co robiliśmy w tych ścianach.

Manuel kiedyś, na początku, powiedział, że nawet zegar, który stoi, dwa razy na dobę pokazuje właściwą godzinę, a Urząd do spraw Ochrony Jeńców to dzieło życia Alfonsa XIII.

– Wasza Królewska Mość, jeszcze tylko jedno pytanie, choć nie wiem, czy to wypada.

– Pytaj. Zobaczymy.

– Przyjdzie Wasza Królewska Mość na mój ślub?

– Jasne, jak mógłbym nie przyjść?

* * *

– No, mów, co trzeba jeszcze zrobić.

Blanca jest niespokojna. Nazajutrz wychodzi za mąż; wszędzie wokół aż się roi od stolarzy montujących stoły w ogrodzie, kelnerów i kucharzy... Gonzalo próbuje ją wspomóc.

– Był ktoś u klarysek?

– Tak, sam im zaniósłem te dwa tuziny jajek.

– Tuziny? Powinno być dwa razy po trzynaście!

– Daj spokój, co za różnica.

– Od kiedy zostałeś pisarzem, nie wierzysz już w przesady?

– Ile razy mam powtarzać, że nie zostałem pisarzem! Wydałem tylko znalezione w Paryżu papiery.

– Przestań, Gonzalo, przecież nikt w to nie wierzy. Nie rozumiem, czemu się tego wstydzisz.

Życie Raúla Coronado ukazało się przed rokiem. Gonzalo zawsze podkreśla, że nie on jest autorem, ale wszyscy sądzą, że to taka gra ze strony słynnego dziennikarza.

Blanca, choć przygotowuje się do ślubu po raz drugi, jest tak samo zdenerwowana jak poprzednio i tak samo irytują ją ciągły hałas oraz nieustanne uwagi matki.

– Blanco, modystka zjawi się lada moment. I przyniesiono kolejny prezent, obraz jakiegoś francuskiego malarza, strasznie nieprzyzwoity. Nie wiem, kto wam coś takiego podarował!

Jean-Marie i Carmen przyjechali do Madrytu z Juanem i małą Stephanie, która ma się tu po raz pierwszy spotkać ze swoim prawdziwym ojcem, Diegiem. Na ślub Blanki ściągnęła do stolicy również Ramona z Alicią; obie spędzą w pałacyku markizostwa Alerces kilka dni. W uroczystości wezmą udział niemal wszyscy koledzy z nieistniejącego już Urzędu do spraw Ochrony Jeńców, a także mnóstwo innych gości, łącznie z tym najważniejszym: Alfonsem XIII, który potwierdził obecność swoją i małżonki Wiktorii Eugenii. Doña Ana szaleje z nerwów i nie przestaje ich też szarpać córce.

– Tęsknię za Elisą. Po ślubie zaniósę jej kwiaty na cmentarz.

- Dziękuję, Blanco. Ja też odczuwam jej brak. Ale nie smućmy się w takim dniu! Przeczytać ci, co napisali w „ABC”?
- Nie, bo to na pewno coś głupiego.
- Widziałaś się dziś z narzeczoną?
- Nie. Pewnie też ma urwanie głowy. Widzieliśmy się wczoraj.
- Jesteś bardzo zakochana, co?
- Na zabój. Dlatego wyjdę za mąż i będę bardzo szczęśliwa.

* * *

- Idę spać, jutro będzie długi dzień.

Blanca w końcu zostaje sama. Nim się położy do łóżka, sięga do szuflady, w której przechowuje najcenniejsze pamiątki, między innymi pewien list, który dwa lata wcześniej przyszedł do Pałacu.

Sama nie wie, ile razy go od tamtej pory czytała.

Kochana Blanco,

pewnie w ostatnich dniach zastanawiałaś się, co się ze mną dzieje; boję się, że mogłaś się nawet niepokoić. Nie martw się. Zniknąłem z własnej woli i po długim namyśle. Za kilka godzin wsiądę na statek do Ameryki Południowej, skąd być może nigdy już tu nie wrócę.

Dlaczego? Pewnie z wielu powodów, po części, jak zakładam, niewiele mających wspólnego z rzeczywistością. Jednakże najważniejszy z nich to miłość. Nie chcę Cię stracić, a jeśli zostanę, stracę na pewno: zmęczysz się mną, będziesz cierpieć, że mnie ranisz, później poznasz kogoś innego, wyjdiesz za mąż... Wolalbym tego wszystkiego nie oglądać.

Zabieram ze sobą mnóstwo wspomnień: doskonale pamiętam dzień, kiedy Cię poznałem, odwiedzając Gonzala w szpitalu; naszą pierwszą lekcję maszynopisania; te winogrona, które jadłaś w sylwestra tysiąc dziewięćset piętnastego roku, nie wiedząc, że trzeba pomyśleć życzenie; początek pracy w Pałacu i pierwszego odnalezionego przez Ciebie jeńca, Armanda Cornille'a – jego nazwiska też nigdy nie zapomnę... Pamiętam, jak tęskniłem za Tobą, kiedy podróżowałaś po Europie; nasze wizyty w Las Injurias; Twój pocałunek po teatralnej premierze mojego dziełka; piątkowe popołudnia w naszym ustroniu...

Wszystko to biorę ze sobą, zostawiając w Madrycie nieliczne złe chwile, które razem przeżyliśmy, i te liczniejsze, które być może musielibyśmy jeszcze przeżyć.

Życzę Ci szczęścia. Mam nadzieję, że spotkasz odpowiedniego mężczyznę ze swojej sfery, kogoś, kto Cię pokocha tak jak ja i kto będzie szanował Twoją niezależność.

*Wyjeżdżam bez lęku, a jeśli oglądam się za siebie, to tylko z Twojego powodu. Kto wie – może jeszcze kiedyś się spotkamy.
Kocham Cię.*

Manuel

Blanca chowa list do koperty; to jedyna pamiątka po jej najlepszym przyjacielu, za którym wciąż tęskni. Bardzo płakała, gdy wyjechał, poruszyła niebo i ziemię, by się czegoś o nim dowiedzieć. Odkryła, że popłynął jednak na Kubę. Zamierzała go nawet odnaleźć, pojechać do niego, później postanowiła wszakże uszanować jego decyzję. Wie, że gdzieś tam na Kubie żyje sobie wspaniały człowiek i jutro, wychodząc za mąż, pošle mu ciepłą myśl.

* * *

– Dziś chciałbym być sam, niech nikt mi nie przeszkadza.

Manuel, przez wielu zwany po prostu Anarchistą, przygotował sobie szklanekę i butelkę najlepszego rumu. Zamierza wypić ją do dna, siedząc na ganku swojego domu. Dziś nie będzie walczył o lepszy świat ani drukował ulotek, ani dyskutował z towarzyszami. Nie będzie nawet rozmawiał z Marcosem, który przyплыł na Kubę kilka miesięcy po nim i stał się jego najbliższym współpracownikiem. Dziś będzie wspominał.

Nigdy nie czytuje hiszpańskiej prasy, na tę wzmiankę natknął się więc przez przypadek. „W najbliższym czasie małżeństwo zawrą Blanca Alerces, córka markiza Alerces, i Álvaro Giner”. Manuel bardzo lubi i szanuje Álvaro; cieszy się, że to on będzie mężem Blanki.

Nikommu, nawet sobie, nie opowiada o latach przepracowanych w Pałacu, o listach jeńców i porannych naradach z królem, którego ostatecznie nawet polubił. Marcos też o tym nie wspomina. To przeszłość. Teraźniejszością jest Kuba.

Tego wieczoru będzie jednak inaczej: nazajutrz wychodzi za mąż kobieta, którą Manuel kocha; jedyna, którą kochał, choć miał wiele innych. Różnica czasu między Kubą a Hiszpanią sprawi, że kiedy on, Anarchista, wytrzeźwieje i jutro z rana się obudzi, Blanca będzie już zamężna.

Manuel nalewa sobie rumu i wznosi toast.

* * *

– Jesteś pewna, że wolisz jechać tym autem? Pimentelowie pożycziliby nam lepsze.

Blanca nie chce nawet słyszeć o srebrnym rolls-roysie zaprzyjaźnionych arystokratów. Jechała nim na swój pierwszy, niedoszły ślub; żadnych powtórek nie będzie, lepiej wziąć ojcowego oldsmobile’a.

– Chyba nie zamierzasz sama prowadzić...?

– Jeśli chce, to niech prowadzi.

– Mowy nie ma! Czy wyście powariowali?

Sprzeciw doñi Any jest stanowczy – Blanca nie zostanie więc, niestety, pierwszą w Hiszpanii panną młodą za kółkiem.

Przed kościołem Świętego Hieronima, który nazywany jest królewskim – swego czasu brał w nim ślub Alfons XIII – czeka na Blancę Álvaro Giner, elegancki i szczęśliwy.

– Wspaniale wyglądasz.

– Ty też.

– Wchodzimy?

Podziękowania

Powstanie tej powieści w większej mierze niż w innych wypadkach zależało od mnóstwa ludzi. Przede wszystkim z wydawnictwa – wyrazy wdzięczności za pomysły i zaangażowanie zechcą przyjąć: Virginia Fernández, David Trías i Justyna Rzewuska, jak również pracownicy Portocabo: Alfonso Blanco i Pepe Coira.

Muszę też wspomnieć o świetnej książce Juana Pando *Un rey para la esperanza* [Król nadziei], stanowiącej wyczerpujące studium humanitarnej działalności Alfonsa XIII. Dziękuję także Carlosowi Moreno, który wprowadzał mnie, laika, w świat myśliwych.

Każda powieść to efekt wysiłku autora, ale i osób, które go w czasie pisania otaczały: rodziny, przyjaciół i kolegów po piórze, udzielających rad i wspierających w chwilach zwątpienia.

Mam prawdziwe szczęście, gdyż w moim wypadku to grono wciąż się powiększa. Przede wszystkim dziękuję Claudii, która ufa i marzy jeszcze więcej niż ja. I paczce z Almerii, do której – oprócz Mirei, Inmy, Cata i Carmen – należą teraz również Marga i Inés. Dziękuję pierwszym czytelnikom i krytykom, wśród których znaleźli się nie tylko Marina, Recaredo, Cristina, Santi, Ignacio, Javier Lorenzo, Antonio Gómez Rufo i Antonio Mercero, lecz także Agustín Martínez i Carmen Moreno. Dziękuję Anie D'Atri i jej przyjaciołom, których tu nie wymieniam z imienia, żeby o żadnym nie zapomnieć.

A jeśli o kimsz jednak zapomniałem – to wybaczcie, nie gniewajcie się i dajcie znać. Może przy kolejnej książce uda mi się jeszcze spłacić ten dług. Wszystkim – wielkie dzięki.

Tytuł oryginału: *Cartas a palacio*

© Jorge Díaz, 2014

© PORTOCABO, 2014

© Penguin Random House Grupo Editorial S.A.U., 2014

All rights reserved

Copyright © for the Polish e-book edition by REBIS Publishing House Ltd.,
Poznań 2016

Informacja o zabezpieczeniach

W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaaniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony. Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

Redaktor: Małgorzata Chwałek

Projekt okładki: Penguin Random House Grupo Editorial / Gemma Martínez

Opracowanie graficzne polskiej wersji okładki: Michał Pawłowski /
www.kreskaikropka.pl

Fotografie na okładce

© Bettmann / Getty Images (portret kobiety)

© Quintanilla / Getty Images (Pałac Królewski w Madrycie)

© Shutterstock (żołnierze)

Wydanie I e-book (opracowane na podstawie wydania książkowego: *Listy do Pałacu*, wyd. I, Poznań 2017)

ISBN 978-83-8062-797-0

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.

ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań

tel.: 61 867 81 40, 61 867 47 08

fax: 61 867 37 74

e-mail: rebis@rebis.com.pl

www.rebis.com.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**

